

# Wood Barbara

## Zielone miasto w słońcu

*Dzieje rodziny angielskiej, która wybrała sobie Kenię na ojczyznę, splatające się z dziejami rodziny Kikuju, dla których Kenia była zawsze ojczyzną. Powieść oparta na wydarzeniach historycznych obejmuje czasy od roku 1919 do lat osiemdziesiątych. Obfituje zarówno w romantyczne, jak i mocne epizody, jest lekka i ciekawa, przy czym rzeczywiście ukazuje nam świat wschodniej Afryki, jakiego nie znamy.*

## ***Przedmowa***

Początek Kenii był dziełem przypadku.

Anglikom zależało na zawładnięciu Ugandą strategicznym punktem wojskowym w sercu Afryki, nad górnym dopływem Nilu wiec w roku 1894 zbudowali biegnącą ze wschodnioafrykańskiego wybrzeża nad Jezioro Wiktorii, do samych, można by powiedzieć, bram Ugandy, linię kolejową.

Tak się złożyło, że pociąg przejeżdżał przez krainę wojowniczych plemion i dzikich zwierząt, która przyciągała tylko misjonarzy i nieustraszonych podróżników. Gdy ukończona linia kolejowa do Ugandy okazała się inwestycją wymagającą coraz większego nakładli kosztów, rząd brytyjski musiał znaleźć jakiś sposób, żeby stała się opłacalna. I znalazł, jak wkrótce było to widać. Zaczął popierać osadnictwo wzdłuż tej linii.

Naipierw zaproponowano niezajęte terytorium Żydom, syjonistom którzy wówczas szukali stałego miejsca pobytu. Ale Żydzi odmówili, woleli udać się do Palestyny. Wszczęto więc kampanię, próbując zwabić imigrantów z całego Imperium Brytyjskiego. Zawarto traktaty z miejscowymi plemionami, nie bardzo zorientowanymi, co to jest traktat i czego chce od nich Biały Człowiek. Następnie rząd oferował prawie za bezcen ogromne połacie dzikiego pustkowia, pod warunkiem że nabywcy przyjadą osiedla się i je zagospodarują. Wysoko położona środkowa część tej krainy swym chłodnym klimatem, żyzną glebą i bujną roślinnością zainteresowała wielu Brytyjczyków z Angin, Australii i Nowej Zelandii. Oto nowa ojczyzna, gdzie można zacząć od zera, zbudować nowe życie.

Ministerstwo Kolonii ciągle zaznaczało, że ten obszar to tylko protektorat i kiedyś, gdy czarna ludność nauczy się rządzić, zostanie jej zwrócony, ale w roku 1905, chociaż białych było tam zaledwie dwa tysiące, a liczba Afrykanów wynosiła cztery miliony komisarz Protektoratu Wschodnioafrykańskiego oznajmił, że jest to „Kraj Białego Człowieka”.

## Prolog

Pani doktor Treverton?

Debora obudziła się raptownie. Zobaczyła uśmiechającą się do niej stewardesę PANAM-u. Potem poczuła drgania samolotu, co znaczyło, że zniżają się do lądowania w Nairobi.

- Tak? - zapytała stewardesę, otrząsając się z resztek snu.

- Dostaliśmy wiadomość dla pani. Ktoś czeka na panią na lotnisku. Omal się nie zachłysnęła.

- Dziękuję - powiedziała. Znów przymknęła oczy. Była zmęczona Lot trwał długo, dwadzieścia sześć godzin bez przerwy poza przesiadką w Nowym Jorku i nabraniem paliwa w Nigerii. Ktos czeka? Kto?

W torebce miała list, który ku swemu wielkiemu zaskoczeniu dostała w szpitalu tydzień przedtem. List z Misji Matki Boskiej Łaskawej w Kenii z prośbą, żeby przyjechała, bo Meme Oczera jest umierająca i wzywają.

„Po co tam wracać, jeżeli nie chcesz? - powiedział Jonathan. -Wyrzuć ten list. Zignoruj”.

Nie odpowiedziała. Leżała w jego objęciach i brakowało jej słów. Zresztą nigdy by nie zrozumiał, dlaczego ona musi polecieć do Afryki, ani dlaczego tak się tego boi. Powodem było coś, co taiła przed nim, mężczyznę, którego miała poślubić.

Teraz po odebraniu walizki i załatwieniu formalności celnych zobaczyła, że w tłumie czekających z drugiej strony strzeżonego wyjścia stoi jakiś Afrykanin, trzymając tabliczkę z napisem: „Dr Debora Treverton”.

Zapatrzyła się w niego. Był wysoki, porządnie ubrany - Kikuju, jak osądziła, przysłany po nią z misji. Minęła go i przywołała jedną z szeregu taksówek, które stały przy krawężniku. Chciała dac so-

bie trochę czasu... Czasu, żeby zdecydować, czy rzeczywiście zamierza załatwić to, pojechać do misji, i stanąć przed Meme Oczerą Misyjny szofer zamelduje, że doktor Treverton nie przyleciała tym samolotem, więc nie będą się jej spodziewać. Jeszcze nie

„Kto to jest ta Meme Oczerą?" - zapytał Jonathan kiedyś, gdy patrzyli, jak mgła osnuwa Zatokę San Francisco.

Ale mu nie powiedziała. No bo czyż mogłaby powiedzieć: „Meme Oczerą jest starą afrykańską znachorką, która wiele lat temu rzuciła klątwę na moją rodzinę". Tylko by się śmiał i kpił z powagi jej tonu

Było jednak coś więcej. To, że wyjechała z Kenii i zamieszkała w Ameryce, spowodowała właśnie Meme Oczerą. Objęty tajemnicą przed Jonathanem rozdział jej przeszłości, nie do omawiania nigdy nawet po ślubie.

Taksówka pędziła w ciemnościach. Dochodziła godzina druga nad ranem, czarna i chłodna, równikowy księżyc wyzierał zza poziomych najwyższych gałęzi głogowców. W górze gwiazdy wyglądały jak świetlisty pył. Debora pogrążyła się w zadumie

Krok po kroku, mówiła sobie. Odkąd dostała ten list z wezwaniem, posuwała się krok po kroku, usiłując nie myśleć o tym, co za każdym krokiem się kryje.

Przed wszystkim przekazała swoich pacjentów Jonathanowi Kazem prowadzili praktykę, dwoje chirurgów, którzy stali się współnikami w przychodni, zanim zdecydowali się na wspólne życie w małżeństwie. Następnie odwołała swój odczyt dla studentów medycyny i postarała się, żeby ktoś ją zastąpił w przewodniczeniu na dorocznym zjeździe lekarzy w Carmel. Od zobowiązań na następny miesiąc się nie uwolniła, pewna, że do tego czasu już wróci. Na koniec dostała wizę z ambasady Kenii - była teraz obywatelką Stanów Zjednoczonych, już więc nie miała kenijskiego paszportu - kupiła tabletki przeciw malarii, poddała się w ostatniej chwili szczepieniom na cholere i żółtą febrę i dwadzieścia osiem godzin temu jakimś cudem ostatecznie wsiadła do samolotu na lotnisku w San Francisco.

„Zadzwoń do mnie zaraz po przylocie - prosił Jonathan i jeszcze raz mocno ją przytulił, nim wyszła na płytę. -1 dzwoń codziennie, kiedy tam będziesz. Wracaj szybko, Deb".

Chociaż zwykle taki powściągliwy, całował ją długo i namiętnie przy innych pasażerach, jak gdyby chciał ją podniecić, by na pewno wróciła.

Taksówka wjechała na ciemną pustą autostradę, skręciła z wielką prędkością, przemiatając reflektorami po przydrożnej tablicy:

## WITA WAS NAIROBI, ZIELONE MIASTO W SŁOŃCU.

Debora poczuła ból w sercu. Wytrącił ją ten ból z odrętwienia po podróży powietrznej. Pomyślała: Przyjechałam do domu

Hotel Hilton w Nairobi był złocistą kolumną światła strzelistą nad śpiącym miastem. Gdy taksówka podjechała przed rześcicie oświetlone wejście, Afrykanin w kasztanowobrazowej kurtce i cylindrze pośpieszył, żeby otworzyć drzwiczki, Debora wysiadła w nocny chłód lutego, a on powiedział:

- Witamy panią.

Nie zdołała mu odpowiedzieć.

Opadły ją wspomnienia. Będąc nastolatką, towarzyszyła swojej ciotce Grace w wędrowkach po sklepach Nairobi. Stała wtedy na chodniku i gapiała się na taksówki podjeżdżające przed bajeczne hotele. Z taksówek wysiadali turyści, nadzwyczajni ludzie z dalekich stron, wystrojeni w sztywne nowe safari khaki i z aparatami fotograficznymi, ze stertami bagażu, roześmiani ożywieni. Młodziutka Debora patrzyła w urzeczeniu, zdumiewała się, zaadrościła im pragnęła należeć do ich cudownego świata. A teraz sama zapłaciła kierowcy taksówki i ruszyła po marmurowych stopniach do wyblyszczonych szklanych drzwi, które odzwierny przed nią otworzył. Żał się jej zrobiło tamtej naiwnej Debory. Jakże tamta się myśla! Za ladą recepcji przyjęły ją Afrykanki, młode, w eleganckich czerwonych mundurkach, mówiące doskonale po angielsku. Zauważyła, że wszystkie mają misterne fryzury a la ptasia klatka z niezliczonych ciasno splecionych warkoczyków. Zauważyła również to, o czym one wołały nie wiedzieć: czoła już się im nienaturalnie podwyższyły. Dochodząc do średniego wieku te dziewczyny będą prawie łyse - taka jest cena hołdowania kenijskiej modzie.

Przyjęły ją serdecznie. Uśmiechnęła się, ale mówiła niewiele, ukrywała się za swoją fasadą. Nie chciała się zdradzić angielskim akcentem. Toteż nie wątpiły, że ta smukła trzydziestoparoletnia kobieta w dzinsach i koszuli jak z westernu to rodowita Amerykanka. Nie mogły wiedzieć, że jest Kenijką, jak one, i wcale nie gorzej zna ich rdzenny język Kikuju.

W jej pokoju czekał koszyk ze świeżymi owocami, łozko było rozesłane, na poduszce leżała czekolada miętowa w srebrnej folii obok karty z życzeniem: „lele seleme”, śpij smacznie.

Chłopiec hotelowy wskazał łazienkę, barek i telewizor. Sięgnęła po pieniądze, które dostała od kasjerki na dole. Nie pamiętała, jaki jest w Kenii kurs dolara, dała chłopcu dwadzieścia szylingów i poznała po jego uśmiechu, że to za dużo.

Potem została sama.

Podeszła do okna i wyrzała. Majaczyły tylko ciemne kontury miasta stulonego w nocnym śnie. Cisza, ruch na jezdni prawie żaden i nie ma przechodniów. Nairobi, miasto pożegnane piętnaście lat temu

Tamtego dnia inna jakaś Debora, zaledwie osiemnastoletnia rozgniewana i przerażona, wsiadając do samolotu przysięgła, że nigdy do tego kraju nie wróci. Za wszelką cenę znajdzie sobie nowy dom, nowe miejsce pod słońcem. Przez następne lata usilnie tworzyła swoją nową osobowość, żeby jak najdalej w przeszłości zostawić tę Afrykę, którą miała we krwi. Uwieńczenie swych wysiłków znalazła wreszcie w San Francisco, w miłości Jonathana. To miasto miało być jej miejscem na ziemi. Ten mężczyzna miał być iei schronieniem.

I nagle dostała list. Skąd zakonnice znały jej adres? Skąd wiedziały, w którym szpitalu ona pracuje, już nie mówiąc o tym, że jest w San Francisco? Siostry z misji musiały zadać sobie wiele jatygi, BPmeść duże koszty, żeby ją odszukać. Dlaczego? Czy dlatego, że ta starucha wreszcie umiera?

Po co mnie wzywa? - zapytała Debora swoje odbicie w okiennej szybie. Zawsze mnie nienawidziłaś, Meme Oczero, zawsze czułaś do mnie urazę, bo byłam Treverton.

Co ja mam załatwić w twoich końcowych chwilach na ziemi?

„Sprawa pilna - było w tym liście. - Proszę przyjechać natychmiast.

Oparła czoło o zimną szybę. Przypomniała sobie ostatnie dni w Kenu i straszne słowa, które jej powiedziała ta znachorka. Wspomnienie przywiodło cały ból, chorobę, a już myślała, że się tego raz na zawsze pozbyła.

Weszła do łazienki, zapaliła ostre światło. Po napuszczeniu gorącej wody do wanny i dodaniu wonnej piany kąpielowej Nivea, dostarczonej przez hotel, odwróciła się i przejrzała w lustrze.

Oto jej twarz ostateczna w wyniku przeobrażeń tyłu twarzy poprzednich. Patrzyła na siebie zadowolona. Piętnaście lat temu wyjechała do Ameryki opalona na brąz, z czarnymi krótkimi kędziorami zgarniętymi za uszy, biedniutka, w prostej bez rękawów sukience z bawełny kenijskiej i w sandałach. Teraz cerę miała bladą, tak bladą, jak to tylko możliwe, jeśli przez lata zdecydowanie unika się słońca, i opadające na plecy spięte złotą klamrą włosy proste jak uprasowane. Na koszuli i džinsach były etykiety projektanta, tak samo na kosztownych trampkach. Dobrze się napracowała, żeby wydawać się Amerykanką, wydawać się białą

Bo przecież jestem biała, upomniała się przed lustrem.

I zaraz przyszedł jej na myśl Christopher. Czy on by ją teraz rozpoznał?

Po kąpieli owinęła mokre długie włosy ręcznikiem i usiadła na krawędzi łóżka. Teraz nie chciało jej się spać. Wzięła podręczną torbę, której od chwili wyjazdu nie spuszczała z oczu. Oprócz paszportu, biletu powrotnego i czeków turystycznych miała w torbie coś cenniejszego. Wyjęła to teraz i położyła przy sobie na łóżku.

Był to pakiecik w brązowym papierze owiązany sznurkiem. Rozpakowała i wyłożyła zawartość: kopertę pełną wyblakłych fotografii, plik starych listów owiązany wstążką i dziennik.

Zapatrzyła się na to.

Jej spuścizna. Wszystko, co zabrała, odlatując z Afryki, wszystko, co zostało po dumnej kiedyś - i okrytej niesławą - rodzinie Trevertonów. Tych fotografii nie oglądała, odkąd włożyła je do koperty i zalakowała piętnaście lat temu; tych listów nie czytała powtórnie, odkąd od Meme Oczery usłyszała straszną prawdę; a dziennika w zniszczonej skórzanej okładce, z datą początkową sprzed sześćdziesięciu ośmiu lat, nie czytała nigdy. Złociło się na nim wytłoczone nazwisko TREVERTON.

Nazwisko czarodziejskie w Kenii. Debora rozpoznała wyraz twarzy młodych Afrykanek w recepcji, gdy wpisywała się do hotelowej księgi, ich przelotne zaskoczenie, gdy powiedziała, jak się nazywa, i potem to chwilowe zagapienie się na nią, przelotne zaczarowanie, po którym zamknęły się w sobie, wycofały za maski uśmiechów, żeby ukryć urazę i nienawiść z powodu tamtych spraw, jakich Trevertonowie bronili. Debora w dzieciństwie przywykła do takich wyrazów twarzy; właściwie się nie zdziwiła po latach, widząc je znowu.

Kiedyś nazwisko Treverton wielbiono w Kenii. Ten hotel stał niedaleko szerokiej ulicy, nazwanej swego czasu aleją Lorda Trevertona. Obecnie to ulica Josepha Gieheru, zamęczonego Kikuju, który walczył o niepodległość. I jadąc do hotelu taksówką, Debora zobaczyła na dawnej szkole średniej im. Trevertona nowy napis: Szkoła Średnia Meme Ondziru.

Jak gdyby, pomyślała, oni się starali wymazać pamięć o nas z powierzchni ziemi.

Ale wiedziała, że żadna „kenianizacja” nie usunie Trevertonów z tego kraju. Zanadto byli wrośnięci, stając się częścią jego duszy, jego losu. Misja, w której Meme Oczera leży umierająca, to nadal Misja Matki Boskiej Łaskawej, tak jak ją



nazwały katolickie zakonnice, gdy dostały ją wiele lat temu od ciotki Treverton. A przedtem to była po prostu Misja Łaski - Grace, od imienia założycielki, Grace Treverton, słynnej pionierki na polu zdrowia publicznego w Kenii. Doktor Grace Treverton, postać nie mniej legendarna niż jej efektowny brat, hrabia, założyła misję na bezdrożu Prowincji Środkowej sześćdziesiąt osiem lat temu. To właśnie ona wychowała Debora, zastępując jej prawdziwą matkę, ale zabrała do grobu swoje straszne sekrety zamknięte w sercu. Debora wiedziała, że ciotka Grace była świadkiem i uczestniczką każdego triumfu i każdej hańby Irevertonow, widziała powstanie, upadek i znowu powstanie Kenii

Debora wyciągnęła rękę, dotknęła rzeczy rozłożonych na łóżku. Prawie się ich bała. Te fotografie... Raczej nie pamiętała ludzi, których przedstawiają. Christopher - jeszcze chłopiec, jeszcze nie mężczyzna. Żałuję, że nie ma jego późniejszych zdjęć. I te listy... Przypominała sobie tylko parę z nich, miażdżące wiadomości. I na koniec dziennik, wszystko, co pozostało w spadku po cioci Grace

Nigdy nie zaglądała do tego dziennika. W pierwszym okresie żałoby była śmiercią ciotki zbyt wstrząśnięta, żeby go bodaj otworzyć, a potem odwróciła się przeciw od rodziny i od przeszłości, jaką zawierał i reprezentował.

Teraz go wzięła z łóżka i trzymała przed sobą. Wyobraziła sobie, że czuje bijącą od niego energię. Trevertonowie! W oczach ogółu ludzie piękni, bajecznie bogaci, arystokracja, weseli przywódcy towarzystwa grającego w polo, pierwotni inicjatorzy cywilizowania Afryki Wschodniej, ale prywatnie udęczeni sekretami. Była choroba biednego chłopca przynosząca wstyd rodzinie, był sensacyjny proces rozgłaszany w gazetach na świecie, były zakazane miłości, żądze, a także tajemnica jeszcze mroczniejsza - pogłoski o złożeniu ludzkiego życia w ofierze, o morderstwie i były przesady - Meme Oczera i jej klątwa. A Christopher, dumiała Debora, mój przystojny, delikatny Christopher? Czy my też padliśmy ofiarą losu Trevertonów?

Otworzyła kopertę i wyjęła fotografie. Siedem. Ta na wierzchu została zrobiona w roku 1963 przed samym uzyskaniem przez Kenię mepodległości, końcem świata, tak jak ona to widziała. Zdjęcie grupowe pstryknięte starym aparatem box brownie. Czworo dzieci ustawionych według wzrostu. Christopher najwyższy, najstarszy - jedenastoletni. Przy nim Sara, jego młodsza siostra, moja rówieśnica, osmiolatka, obok niej ktoś to, jeśli nie ja! I ostatni, Terry Donald, dziesięcioletni malec, już wtedy krzepki, w myśliwskim ubraniu khaki

Łzy przysłoniły jej wzrok, gdy przyglądała się tym uśmiechniętym twarzom. Czwórka bosych dzieciaków umorusanych i szczęśliwych wśród kóz i kur. Widać, że nie mają żadnych trosk pod słońcem, nie wiedzą o burzy zmian, która wokół nich nadciąga i która rozbije cały ich świat. Czworo dzieci - dwoje Afrykanów, dwoje białych, czworo najserdeczniejszych przyjaciół.

Sara, moja najdroższa przyjaciółka, pomyślała ze smutkiem Debora. Dorastałyśmy razem, bawiłyśmy się razem lalkami i razem odkryłyśmy, co to są chłopcy, Sara, czarna i piękna, zwierzała jej się ze swoich marzeń. Były jak siostry, we dwie planowały przyszłość, zanim gwałtownie je rozdzieliła ta stara znachorka. Co się dzieje z Sarą? Czy jeszcze jest w Kenii?

Debora wzięła drugą z kolei fotografię. Ciotka Grace w latach trzydziestych. Kiedy się patrzy na tę miłą owalną twarz, na ten uśmiech, na miękko zaondulowane włosy zdające się jaśnieć nad głową jak aureola, trudno uwierzyć, że Grace Treverton uważano za „mężczyznę w spódnicy”. Ta niezwykła kobieta poza tym, że założyła misję, zasłynęła z innego wielkiego osiągnięcia. Napisała książkę pod tytułem „Jeśli musisz być lekarzem”. Pierwsze wydanie ukazało się pięćdziesiąt osiem lat temu, następne po wprowadzeniu aktualnych poprawek stały się jednym z najpowszechniej używanych podręczników lekarskich w Trzecim Świecie.

Teraz Debora przyjrzała się fotografii urodziwego bruneta na kucu polo. Valentine, hrabia Treverton, jej dziadek; nie знаła go. Ale nawet na tym małym i raczej nieostrym zdjęciu widziała to, co przed laty widzieli wszyscy, którzy go znali. Uderzająco przystojny mężczyzna, podobny do Lawrence'a Oliviera. Na odwrocie przeczytała: „Lipiec 1928 rok, tego dnia, kiedy jedliśmy obiad z Jego Królewską Wysokością Edwardem, księciem Walii”.

Czwarta fotografia była bez daty, bez dopisku, ale ona wiedziała, kto to. Rose, hrabina Treverton. Jak gdyby nie zdążyła się upoznać, patrzy przez ramię bardzo zdumiona. Jest jakaś pozaczasowość w tej fotografii, w tej sukni z białego pięknego tiulu, w niedbałym przekrzywieniu białej parasolki i w dziewczęcości włosów rozpuszczonych na ramiona, chociaż to kobieta wówczas na pewno już po trzydziestce. Wyraz oczu znękany, dziwnie smutny, aż budzi pytanie, co tak tę panią boli.

Na trzy ostatnie fotografie Debora nie zdołała popatrzeć. Hotelowy pokój zaludnił się duchami, wśród których były nawet duchy ludzi nie zmarłych. Gdzie, na przykład, jest Sara w tej chwili? Sara miała takie pomysły, takie ambicje! Zdumiewał mnie jej talent, za-

zdroszcila jej talentu. Sara marzyła o zaprojektowaniu zupełnie nowego „Kenya look” w modzie damskiej. Marzyła o sławie i bogactwie Zostawiła ją tak raptownie na tym wątlm skraju przepaści Sara Oczera Madengej, myślała Debora. Moja siostra Potem pomyślała o Terry Donaldzie, rumianym ładnym chłopcu, potomku pierwszych podróżników i badaczy Czarnego Łądu, ostatnim z rodu białych urodzonych w Kenii, mających sawannę, dżunglę i polowanie we krwi. I w końcu Christopher...

Debora schowała fotografie z powrotem do koperty. Czy Christopher jeszcze jest w Kenii? Piętnaście lat temu pożegnała się z mm bez wyjaśnienia, dlaczego ani dokąd wyjeżdża. Zamierzali się pobrać, kochali się. Ale ona go porzuciła tak jak Sare nie oglądając się za siebie.

Nagle Debora pojęła: wróciła do Afryki nie na życzenie umierającej staruszki, tylko w nadziei, że odnajdzie swoich bliskich i samą siebie To zupełnie jasne. Tam w San Francisco czeka na nią Jonathan Ale teraz zrozumiała, że jakoś odwlekała ostateczne przypiecztowanie związku z Jonathanem, założenie rodziny, bo chciała przedtem pogodzić terażniejszość z przeszłością. Jonathan niewiele wiedział o niej dawnej i o tym, że ona szuka swojego ja. Nic nie wiedział o Chnstopherze ani o bolesnej prawdzie, którą o swojej pierwszej miłości usłyszała. I przecież nie powiedziała Jonathanowi, jakiego odkrycia dokonała piętnaście lat temu dowiadując się, że Meme Oczera, afrykańska znachorka, jest w rzeczywistości jej babką

Znowu wzięła dziennik ciotki Grace, nagle bardzo chcąc go przeczytać Nieodparcie pociągały ją te stronic. Drżała na myśl o rewelacjach byc może ją czekających, byc może strasznych, ale też żywiła nadzieję, że może to jej udzieli odpowiedzi, da klucz do spokoju ducha

Spojrzała na pierwszą stronicę zapisaną wyblakłym już atramentem poniżej daty „10 lutego 1919 rok”. Pomyślała: Wtedy Kenia była młoda i niewinna; wizje przyszłości były kryształowo czyste, ludzie wiedzieli, do czego zmierzają, mieli serca gorące. Mężczyźni i kobiety, którzy przyjechali do Kenii, nie lękali się ryzyka bmałkowie, jednostki nieprzeciętne - duch pionierski nakazywał im stworzyć nowy kraj dla siebie i swoich dzieci.

Oni są częścią mnie, bez względu na to, jak bardzo staram się od nich uciec oni wciąż jeszcze we mnie żyją. Ale są także tamci, którzy juz byli tutaj, na starej ziemi swoich przodków, przed przybyciem obcych białych. Tamci także są częścią mnie.

**CZEŚĆ PIERWSZA**  
**ROK 1919**

## ***Rozdział 1***

Na pomoc! Potrzebujemy lekarza! Czy jest lekarz w tym pociągu?

Słyszając wrzawę, Grace Treverton otworzyła okno swego przedziału i wyjrzała, żeby zobaczyć, dlaczego pociąg zatrzymał się niezgodnie z rozkładem. Przy torze leżał jakiś człowiek.

- Co się dzieje? - zapytała lady Rose, gdy jej szwagierka sięgnęła po torbę lekarską.

- Ktoś jest ranny.

- Ojej - i Grace przystanęła, zanim wyszła z przedziału. Rose nie wygląda dobrze. Od godziny jest niepokojąco blada. Przejechały zaledwie osiemdziesiąt mil z Mombasy, portu, w którym wsiadły do tego pociągu, i zanim zatrzymają się na obiad w Voi, mają przed sobą jeszcze kilka mil.

- Powinnaś coś przekąsić, Rose - powiedziała, porozumiewając się wzrokiem z pokojówką Fanny. - I napij się czegoś. Ja szybko się zajmę tym biedakiem.

- Nic mi nie dolega - zapewniła Rose słabo. Pomuskała się po czole uperfumowaną chusteczką, złożyła ręce na brzuchu.

Grace wahała się dalej. Jeśli nie jest tak, jak trzeba, zwłaszcza z dzieckiem, na Rose nie można liczyć, że to przyzna.

Znow spojrzała na Fanny, mówiąc wzrokiem: „nie odchodź od pani”, i pospiesznie wyszła z wagonu. ,

Znalazła się w pustynnym słońcu i kurzu. Po tygodniach przebywania na statku jak w kojcu i po przejechaniu pociągiem tych osiemdziesięciu mil w maleńkim przedziale czuła przez chwilę zawrót głowy pod ogromnym niebem afrykańskim.

Ruszyła do leżącego człowieka, przy którym już zgromadził się tłum i wymieniano uwagi w języku angielskim, hindi i suahili. Powiedziała:

- Proszę mnie przepuścić. - Spróbowała się przepchnąć.

- Niech panna odejdzie. To nie dla panny widok. - Jeden z mężczyzn odwrócił się, żeby ją zatrzymać i uniósł brwi.

- Może potrafię pomóc - powiedziała, wymijając go. - Jestem lekarką.

Inni teraz spojrzeli na nią ze zdumieniem i gdy uklękła przy leżącym, wszyscy umilkli.

Nigdy dotąd nie widzieli kobiety ubranej tak dziwnie.

Grace Treverton była w białej męskiej koszuli z czarnym krawatem, dopasowanej czarnej marynarce i granatowej spódnicy długiej do kostek, a już najdziwniejszy był jej szeroki, czarny, pilśniowy trójgraniasty kapelusz. Ci mieszkańcy kolonii na skraju Imperium Brytyjskiego, nie mając kontaktu ze światem, nie rozpoznali munduru oficera Pomocniczej Służby Kobiet Królewskiej Marynarki Wojennej.

Patrzyli zdumieni, jak ona bez drgnienia, bez żadnych oznak, które by świadczyły, że zaraz zemdleje, ogląda rany leżącego. Człowiek strasznie krwawi, a ta cudaczna kobieta jest taka spokojna, jakby nalewała herbatę!

Zaczęły szeptać. Grace ignorowała ich, starając się jakoś pomóc temu nieprzytomnemu, przyodzianemu w skóry i paciorki tubylcowi, ledwie żywemu po spotkaniu z lwem. Ale gdy opatrywała jego rany środkami ze swojej podręcznej apteczki, docierały do niej szepty i orientowała się, o czym mówią.

Niektórzy byli wstrząśnięci, zgorszeni jej postępowaniem, inni rozbawieni, wszyscy nieufni. Żadna prawdziwa dama - słyszała to, odkąd tylko zapisała się na medycynę w Londynie - nie angażuje się w sprawy tak nieprzyjemne. Ona się zachowuje po prostu niestosownie! Ale ci mężczyźni tutaj przecież nie mają pojęcia, że rany tego biednego Afrykanina są niczym w porównaniu z obrażeniami, jakie leczyła na statku szpitalnym w czasie ewakuacji z Gallipoli.

- Musimy przenieść go do pociągu - powiedziała w końcu, bo nic więcej sama zrobić nie mogła.

Nikt się nie ruszył. Podniosła wzrok.

- Jemu potrzebna jest należyta pomoc. Te rozdarcia trzeba zeszyć. Już stracił mnóstwo krwi. No, na Boga, nie stójcie tak!

- Już po nim, po tym tutaj - któryś mruknął.

- Zresztą nie wiadomo, kto on - powiedział inny.

- Masaj - powiedział trzeci, jak gdyby to miało coś wyjaśnić. Grace wyprostowała się. .  
- Niech dwóch go weźmie i przeniesie do pociągu. Natychmiast! Szurali nogami niezdecydowanie. Kilku odwróciło się i odeszło.

Pozostali patrzyli jeden na drugiego. Kim ona jest, żeby wydawać rozkazy? Znowu popatrzyli na nią. Rzeczywiście, bardzo ładna i jednak wydaje się damą.

Ostatecznie dwaj dźwignęli tubylca i położyli go w budce hamulcowej. Ruszając z powrotem do swego przedziału, Grace usłyszała paskudne chichoty. Niejeden z tych mężczyzn patrzył na nią z wyraźną pogardą.

Ale przy drzwiach wagonu ktoś inny, opalony i uśmiechnięty, czekał, żeby jej pomóc wdrapać się po niemożliwych stopniach.

- Nie ma co się nimi przejmować - powiedział, dotykając ręką kapelusza. - Opóźnieni o dziesięć lat.

Odpowiedziała uśmiechem wdzięczności i zatrzymała się na małej platformie, a on wielkimi krokami poszedł do wagonu drugiej klasy.

Gdy Grace wróciła na swoje miejsce, Rose wachlowała się i patrzyła w okno. Grace sięgnęła po jej szczupłą rękę.

Zbadała tętno, mocne i miarowe. Potem pomacała jej brzuch pod cienką letnią suknią. . Odchyliła się przerażona. Dziecko osunęło się w miednicę.

- Rose - zapytała ostrożnie - kiedy dziecko opadło?

Lady Rose odwróciła wzrok od okna i zamrugowała, jak gdyby powracała myślą z daleka, z tej równiny pośród drzew głogu i suchych bez kropli deszczu zarośli.

- Wtedy, gdy wysiadłaś.

Grace otworzyła płaską butelkę z wodą mineralną, nalała wody w srebrny kubek i podała bratowej. Rose piła, rozlewając trochę, bo pociąg chybotał, a Grace spróbowała się zastanowić.

Dziecko osunęło się za wcześnie. Jeszcze nie pora. Jeszcze ponad miesiąc do tej daty. Czy to znaczy, że coś jest niedobrze? I wobec tego, kiedy może nastąpić poród? Chyba mamy czas, myślała w tym rozchybotanym, żalonym, małym pociągu z wagonami niepołączonymi żadnym przejściem. Nie da się taki pociąg w biegu zatrzymać, żeby sprowadzić pomoc.

Zła była na siebie. Że też pozwoliła Rose podróżować. Nie należało ustępować. Przede wszystkim Rose nie jest silna, a trudy podróży z Anglii to nie fraszka. Ale Rose nie dała się przekonać. „Chcę, żeby mój syn urodził się w naszym nowym domu”, powta-

rzała uparcie rozwścieczająco, jak zawsze, nielogiczna. Odkąd Valentine, jej mąż, zaczął wymownie opisywać w listach wspaniały dom, który kupił na środkowej wyżynie Brytyjskiej Wschodniej Afryki, opętało ją to pragnienie: ona musi urodzić swoje dziecko właśnie tam. W dodatku Valentine jeszcze bardziej podważył decyzję Grace, żeby Rose wyruszyła w tę podróż dopiero po rozwiązaniu. Nalegał na ich rychły przyjazd, zgadzał się z żoną, że jego syn powinien urodzić się w nowym kraju.

Grace odpisywała na to gniewnie, ale zarówno brat, jak i bratowa woleli zagłuszyć głos zdrowego rozsądku i spełnić swoje nierozważne marzenie.

Tak więc Grace i Rose wyjechały z Anglii, z Bella Hill, rodowej siedziby w Suffolk, ze wszystkimi swoimi rzeczami i sześciorgiem służby, stawiały czoło bezpiecznemu powojennemu morzu i przybyły do niedawno zdemilitaryzowanego, nęcącego egzotyką Brytyjskiego Protektoratu w Afryce Wschodniej.

Lady Rose teraz pochylała się troskliwie nad swymi krzewami róż. Chociaż pięcioro służących razem z psami rodziny jechało wagonem drugiej klasy, krzewy różane towarzyszyły hrabinie, jak gdyby były dziećmi. Grace patrzyła na nie zirytowana. Od chwili wyjazdu z Anglii te rośliny spowodowały niejedyn incydent doprawdy żenujący. Ale zaraz złagodniała widząc, z jakim zatroskaniem bratowa sprawdza, czy nic złego im się nie dzieje. Już wkrótce, pomyślała, Rose będzie miała dziecko, na którym skoncentruje swoje życie. To dziecko upragnione przez nią tak rozpaczliwie, nawet gdy specjaliści w Londynie orzekli, że nie może rodzić. Dziecko, przypominała sobie, będąc jej nadzieją, że mąż się ustakuje.

Wzdychając, zapatrzyła się w okno. Valentine to niespokojny duch; ten dziki kraj mu odpowiada. Rozumiała, dlaczego Afryka Wschodnia tak go oczarowała, dlaczego zdecydował się zostawić Bella Hill młodszemu bratu i przyjechać tutaj, żeby tworzyć nowe imperium z głuszy.

Może ta ziemia go ujarzmi, myślała, gdy pociąg kołysał ją do snu. Może Valentine stanie się nowym człowiekiem... Pociąg wjechał na stację Voi i pasażerowie hurmem ruszyli do baraku restauracyjnego, a Grace jeszcze myślała o mężczyznach, zbudzona ze snu, w którym znów była na statku szpitalnym i był tam z nią Jeremy.



Ze względu na stan bratowej nie wypadało, by jadły z innymi pasażerami, więc kolację kazały sobie przynieść do przedziału. Podawał im niemłody, pełen godności. Afrykanin. Grace prawie nie tknęła gotowanej wołowiny z kapustą, patrząc na jaśniejące w pustynnym mroku okno restauracji. Widziała tam mężczyzn przy stolikach nakrytych należycie białymi obrusami, na których połyskiwały srebrne sztucce i porcelana, widziała, jak piwmczy i ke nerzy w białych kurtkach ich obsługują. Nocne powietrze nappełniał gwar rozmów przerywany śmiechem, przysnuwał je dym cygar. Grace zazdrościła tym mężczyznom.

Rose popijała czerwone wino ze smukłego kryształowego kieliszka i spokojnie mówiła, co będzie robić w nowym domu

- Posadzę moje róże gdzieś tak, żebym zawsze je widziała. I co środa będę przyjmowała gości, wszystkie odpowiednie panie z sąsiedztwa.

Grace uśmiechnęła się do bratowej pobłażliwie. Jeszcze nie ma potrzeby odbierać Rose złudzeń: i tak szybko stanie wobec rzeczywistości nowego życia, gdy zobaczy plantację i dowie się, że od najbliższej sąsiadki dzieli ją całe mile, a owe „panie to zaharowane żony rolników, raczej niemające czasu na popołudniowe herbatki.

Coś za oknem przedziału przyciągnęło uwagę Grace | en mężczyzna, który pomógł jej wejść do wagonu, teraz doglądał ładowania na wozy swojego bagażu. Zobaczyła strzelby i sprzęt obozowy. A więc jest myśliwym, pomyślała, i jechał tutaj, do Voi.

Przyjrzała mu się zaciekawiona. Wyglądał bardzo dobrze w ubraniu khaki i hełmie tropikalnym. Gdy nagle się odwrócił i napotkał jej wzrok, na sekundę zdrętwiała. Uśmiechnął się, dosiadł konia, zsalutował i odjechał.

Patrząc na jego postać, znikającą w mroku, uświadomiła sobie, że zawsze tak bywa z nią i mężczyznami - i zawsze tak będzie.

Albo zbijała mężczyzn z tropu, tak jak tych dzisiaj, którzy nie wiedzieli, co o niej myśleć, albo budziła w nich niewytłumaczalną niechęć, albo spotykała się z ich strony z takim najwyższym uznaniem jak ze strony tego myśliwego, to znaczy uważa i ją za równą mężczyznom, a więc godną traktowania po koleżeńsku.

Wspominała mężczyzn na statku szpitalnym, tych rannych, przynoszonych na pokład co dzień. Jakże cudownie odnosili się do niej z początku, flirtowali z nią myśląc, że jest pielęgniarką. A potem nagle zmieniał się ich stosunek do mej, bo odkrywali, że jest lekarką w stopniu oficera; nie potrafiła się przełamać przez ten ich szacunek, przez to arcy poważanie.

Tamtego dnia dziewięć lat temu, gdy przyjęto ją na studia medyczne, pewna niemłoda pani doktor uprzedziła ją: „Przekonasz się, że tytuł doktora będzie dla ciebie tak samo przekleństwem jak błogosławieństwem. Wielu kolegów będzie miało ci za złe wtargnięcie w ich zazdrośnie strzeżone braterstwo, wielu pacjentów nie będzie wierzyć, że jesteś zdolna ich leczyć. I me będziesz miała normalnego życia towarzyskiego, bo nie wpasujesz się w żadną akceptowaną rolę kobiecą. Niektórzy mężczyźni będą stawiać cię na piedestale i uważać za nieosiągalną. Inni będą widzieć w tobie osobliwość, dziwadło. Niektórych będziesz przerażać, niektórych rozśmieszać. Wkroczysz w świat męski nieprzyjęta jako członek rzeczywisty i niewiele uzyskasz przywilejów tego świata”.

Doktor Alice Smythe, ponad sześćdziesięcioletnia, niezamężna mówiła prawdę. Grace Treverton miała teraz lat dwadzieścia dziewięć i była już starą panną.

Oparła głowę o pluszowy wałek i przymknęła oczy. To jest cena, przed którą przestrzegano ją, gdy oznajmiła, że zamierza studiować medycynę. Ojciec, stary hrabia, powiedział, że jej utrzymywać nie będzie, bracia śmieli się, przepowiadając, że zrezygnuje ze swojej kobiecości. Coś z ich przepowiedni się sprawdziło. Rzeczywiście złożyła ofiary. Nikle teraz były przed nią widoki na małżeństwo i macierzyństwo. Zbliżała się do trzydziestki i pomimo dwóch lat pracy na morzu wśród tysięcy żołnierzy pozostawała dziewicą.

Ale nie wszyscy mężczyźni są tacy jak jej bracia czy ci prostytutki w baraku restauracyjnym. Jest ten myśliwy, który zwrócił na nią uwagę, i przecież w Egipcie, gdzie odbywała służbę w czasie wojny spotykała oficerów, dżentelmenów, którzy szanowali belki na jej rękawie i „dr” przy nazwisku.

I był Jeremy.

Prawdę mówiąc, proroctwo doktor Smythe wydawało się grubą przesadą, gdy Jeremy wsunął na serdeczny palec lewej ręki Grace pierścionek zaręczynowy. Ale to marzenie wraz ze storpedowanym statkiem i Jeremym pochłonęły ciemne zimne odmęty Morza Śródziemnego.

Naczynia po kolacji zabrano i poproszono panie Treverton, żeby wyszły na pomost wagonu na czas przygotowania im łóżek. Grace podtrzymując bratową za łokieć, stała z nią przy poręczy, wdychała świeże nocne powietrze, podziwiała wspaniałość gwiazd. Wkrótce księżyc miał się wysunąć zza góry Kilimandżaro.

Anglia wydawała się odległa o całą galaktykę, prawie nieistniejąca. Chyba już przed wiekami wypłynęły z Southampton i rozpoczęły trzy tygodnie rejsu na wschód, z każdym dniem coraz dalej od dobrze znanych widoków, coraz głębiej w nieznaną. Port Said zadziwił Grace teraz po wojnie, gdy znów przyjeżdżali turyści: chłopcy wchodzili na pokład statku, żeby sprzedawać świecidełka i „gwarantowane starożytne rękodzieło; przekupnie krążyli z żywnością i mocnym egipskim winem. Potem Kanał Sueski pośród odrażającej pustyni i Port Sudan, karawany majestatycznych wielbłądów, Arabowie w burnusach. Z Adanu, ponurej oazy na pustkowiu, parowiec przepłynął wzdłuż egzotycznego wybrzeża Somalii na Ocean Indyjski w dusznym upale, w którym słońce, zachodząc, prażkowało niebo złotem i karmazynem. I w końcu Mombasa, wybrzeże Brytyjskiej Afryki Wschodniej, budowle oślepiająco białe, palmy kokosowe, drzewa mango, krzewy w chwale swojego kwiecia, arabscy kramarze, a w kramach wszystko, czego dusza zapragnie. Gdzie pozostały mgły Suffolk, dostojne stare kamienie Bella Hill, elżbietańskie gospody przy wiejskich drogach? Należały już do innego świata, innych czasów.

Grace patrzyła na mężczyzn siedzących na werandzie baraku restauracyjnego z kieliszkami koniaku i cygarami. Oni też czekali, żeby przygotowano im posłania na noc i żeby pociąg ruszył z postoju Jakże marzenia wnoszą na to dzikie dziewicze terytorium? Które z tych marzeń przetrwają, które się rozwieją? Co czeka każdego z nich u kresu podróży? Prawie doba minie, zanim pociąg dojedzie do Nairobi. A potem dla hrabiny Treverton i jej świty nastąpi wiele jeszcze dni telepania się w wozie zaprzężonym w woły na piaszczystym szlaku do Nyeri, na północy. . . . \_ Grace drżała, myśląc o tym. Jej marzenie - marzenie jej i Jeremiego omawiane w okrutnie przelotnym, danym im czasie - miało się ziścić na końcu drogi wśród głuszy. To Jeremy roztoczył przed nią tę cudowną wizję: w dzikich ostępach przystań nadziei i miłosierdzia. Jeremy zamierzał po wojnie osiedlić się w Afryce, ukazać poganom świat Boga. Chcieli pracować razem, Jeremy miał leczyć dusze, a ona ciała. Nocami na statku szpitalnym rozmawiali o założeniu misji w Brytyjskiej Afryce Wschodniej. Teraz, gdy moment przyjazdu się zbliżał, wiedziała, że zbuduje tam szpital, wniesie w afrykańskie mroki dobroczynną światłość Jeremy'ego.

- Ojej - powiedziała lady Rose, opierając się o nią. - Chyba powinnam się położyć.

Grace spojrzała i przeraziła się. Twarz bratowej była biała jak jej suknia z muślinu.

- Rose? Masz bóle? -Nie...

Grace biła się z myślami. Jechać dalej czy zostać tutaj? Ale stacja na pustyni to nie miejsce dla kobiety w przededniu rozwiązania, a do Nairobi tylko doba jazdy.

Boże, daj nam czas, modliła się, gdy z pomocą Fanny kładła Rose do łózka. Nie dopuść, żeby to stało się tutaj. Nie mam chloroformu ani gorącej wody.

Rose się nie martwiła. Rozmarzona, jak gdyby myślą przebywała daleko, zapytała jedynie:

- Czy moim różom nic się nie dzieje?

Grace poczekała, aż bratowa uśnie, zdjęła swój marynarski mundur, wyczyściła go szczotką i powiesiła. Niejednej lękarce zarzucano, że nabrała cech męskich, a już to, że Grace nadal nosi mundur, chociaż me służy w marynarce od roku, wydawało się ludziom podejrzane Co za bzdura. Grace była po prostu pragmatyczną. Kostium jest dobrze skrojony i z dobrego materiału. Po odpruciu belek me widziała powodu, dla którego nie miałyby go nosić jeszcze przez lata.

Nasza żeglareczka, nazywał ją Valentine. Ich ojciec brał udział w wojnie fajmskiej, sam Valentine zaciągnął się, żeby wyprzeć Niemców z Afryki Wschodniej, i odbył służbę jako oficer pułkowy. Zgłoszenie się Grace do Marynarki Wojennej zostało przyjęte z wielką dezaprobatą. Ale Grace miała w sobie trevertonowski upór i postąpiła zgodnie z nakazem sumienia. Teraz też, tutaj w Afryce, niezłomnie zamierzała urzeczywistnić marzenie, którego iskra zajaśniała w jej sercu na statku szpitalnym, wśród fal Morza Śródziemnego

Valentine me pochwałał planu zbudowania szpitala w buszu żywiąc głęboko zakorzenioną pogardę dla wszelkich misjonarzy Uprzedził więc siostrę, że w żaden sposób nie będzie popierał tak głupiego przedsięwzięcia. Ale Grace nie potrzebowała pomocy Valentine a; miała nieduże dochody ze swojego spadku, niewielką dotację z miejscowych kościołów w Suffolk i przede wszystkim kręgosłup mocniejszy niż niejeden mężczyzna.

Z kuszетки lady Rose doleciał jęk. Grace odwróciła się raptownie Jej wąż bratowa oddychała głęboko, ręce trzymała na brzuchu - Nic ci nie jest? Rose się uśmiechnęła.

Grace odpowiedziała uśmiechem otuchy, nie okazując lęku Tyle jeszcze mil do przebycia, tyle dni, a mają przed sobą najtrudniejszą część tej podróży!

- On kopie? - zapytała. Rose przytaknęła.

Już zapadła decyzja, że dziecku będzie na imię Arthur ku pamięci młodszego ich brata, który poległ we Francji w pierwszym roku wojny. Arthur Currie Treverton, z czołówki dzielnych chłopców, którzy zgłosili się do wojska, ledwie wojna wybuchła.

Rozległ się gwizd, pociąg ruszył. Grace patrzyła przez okno, jak uspokajające światła stacji Voi uciekają coraz dalej wstecz. Wkrótce ciemna noc panowała wszędzie wokoło. Pociąg z sapaniem przecinał ponury jałowy krajobraz wzdłuż dawnej trasy niewolników, pędzonych znad Jeziora Wiktorii. Ten nowoczesny rok 1919 był tylko mgieniem oka, sekundą od czasów arabskich karawan, gdy Afrykanie w łańcuchach człapali tą drogą na wybrzeże, do statku handlarzy niewolników, do swego zgubnego przeznaczenia.

Grace upewniła się, czy okna wagonu są szczelnie zamknięte. Słyszała opowieści o lwach ludożercach, wyciągających ludzi z pociągu przez okna. To kraj niecywilizowany, dziki, nocą jeszcze bardziej zdradliwy niż w dzień. Nigdy dotąd nie czuła się tak odosobniona i bezbronna. Nie było żadnych przejść pomiędzy wagonami pierwszej klasy, które sunęły w mrok jak pudełka na szybko pociąganym sznurku. Nie było sposobu skontaktowania się z pasażerami w sąsiednich wagonach ani zatrzymania pociągu. Grace modliła się, żeby zdążyły dojechać do Nairobi.

Usiłowała się odprężyć, uważając na Rose, -zastanawiając się, co zrobić jutro. Zatrzymamy się w Nairobi, zdecydowała. Nie możemy jechać dalej, dopóki dziecko się nie urodzi.

Valentine będzie się zżymał, oczywiście, bo postój może oznaczać zwłokę co najmniej trzymiesięczną wobec zbliżania się długiego okresu deszczów, kiedy to wszelkie podróże do Afryki Środkowej staną się niemożliwe. Ale Grace nie wątpiła, że przekona brata. Przecież jej nie mniej niż jemu zależy na ulokowaniu jego żony w domu, który zbudował, i tylko dla bezpieczeństwa matki i dziecka musi nalegać, żeby przerwały podróż.

Nie mogła zasnąć, więc zaczęła pisać swój nowy dziennik. W prezencie od jednego z profesorów Wydziału Medycyny dostała po studiach ten ładny tom w safianowej okładce z pozłacanymi brzegami pustych stron. Czekwała z pierwszym zapisem - czekała na pierwszy dzień swego nowego życia.

Napisała już na pierwszej stronie: „10 lutego 1919 rok”, gdy Rose wrzasnęła. Dziecko się rodziło.

## ***Rozdział 2***

Była wściekła na brata. Czarne chmury wisiały nad wzgórzami groźnie jak sępy. A te dwie kobiety z sześciorgiem służących i czternastoma Afrykanami oraz pięcioma wozami pełnymi ich doczesnego mienia posuwały się powolutku niebezpiecznym piaszczystym szlakiem. Jaką ochroną przed nagłą ulewą będą płócienne budy wozów? Co Valentine powie, kiedy zobaczy zniszczony dywan Aubusson, przemoknięte obrazy z Bella Hill? Jak będzie uspokajał Rose, kiedy okaże się, że koronkowy obrus i jedwabne suknie zbutwiały od deszczu? Cóż za nedorzeczne przedsięwzięcie, takie taszczenie tego bałaganu w dzikie pustkowię. Valentine nie jest przy zdrowych zmysłach. Grace spojrzała na bratową opatuloną futrem, zapatrzoną w dal, jak gdyby mogła dojrzeć, co kryje się na końcu ich szlaku.

Rose była nadal bardzo słaba i wstrząsająco blada. Ale nie chciała zostać w Nairobi, zwłaszcza po otrzymaniu wiadomości od Valentine'a, który napisał, żeby zaraz do niego wyruszyły. Grace próbowała postawić na swoim, Rose jednak nazajutrz kazała angielskiemu służącemu załadować wozy. Pozostawała głucha na perswazje Grace i tak oto znalazły się teraz pośrodku bezdroża, przedzierając się wśród bananów i drzew mango. Walczyły z owadami, o zmroku bezsennie w namiotach słuchając ryku lwów i gepardów. A lada chwila miały spaść obfite deszcze! Płacz dziecka sprawił, że Grace się odwróciła i spojrzała na wóz za sobą. Pani Pembroke, niania, wyciągnęła butelkę z mlekiem i uciszyła niemowlę.

Grace zmarszczyła brwi. Cud, że to dziecko żyje. Była pewna, że urodziło się martwe, gdy nieruchomy kształcik ukazał się na prześcieradle. Bez tętna, z buzią siną. Pomimo to zastosowała sztuczne

oddychanie - i ono żyło! Dziewczyneczka malusieńka, słabiutka, ale żywa i z dnia na dzień coraz silniejsza. Grace pomyślała o siedzącej przy niej młodej matce. Lady Rose poza tym epizodem w hotelu Norfolk, tym upieraniem się, że muszą natychmiast jechać dalej do Nyeri, nieprzerwanie od chwili narodzin dziecka milczała. Nie - Grace przypomniała sobie - jeszcze raz usłyszała jej głos. Rose uporczywie pytana, jak da córeczce na imię, odpowiedziała po prostu: „Mona”. Grace nie wiedziała, co o tym myśleć, dopóki nie zobaczyła romantycznej powieści, którą Rose czytała w czasie podróży. Bohaterką tej powieści była niejaka Mona.

Nie mając wyboru, Grace to akceptowała, bo brat me wydał żadnych dyspozycji na wypadek, gdyby urodziła się dziewczynka. W swojej próżności Valentine, opętany pragnieniem założenia dynastii, nie dopuszczał myśli, że spłodził niekoniecznie syna. Grace załatwiła chrzest dziecka i wysłała wiadomość do brata.

Odpowiedział: „Przyjeżdżajcie natychmiast. Wszystko jest gotowe”

W ciągu dziesięciu dni, odkąd wyruszyły z Nairobi, lady Rose nie powiedziała ani słowa. Oczy, duże i ciemne, błyszczące gorączkowo, wciąż wlepiała gdzieś przed siebie, białymi małymi rękami wciąż poruszała w gronostajowej mufce. Siedziała w wozie pochylona do przodu, tak jakby ponagliła ciągnące wóz woły. Gdy się do niej mówiło, nie odpowiadała. Gdy się jej dawało dziecko w objęcia, patrzyła na nie pustym wzrokiem. Poza tym, że pragnęła zobaczyć swój nowy dom, interesowała się jedynie krzewami róż, które miała przy sobie w wozie.

Skutek urazu porodowego, doszła do wniosku Grace, i wstrząsu wobec tylu zmian naraz. Dojedziemy do nowego domu i zrobi jej się lepiej.

Jeszcze trzy lata temu Rose, zanim w swoje siedemnaste urodziny poznała Valentine'a, żyła jak pod kloszem. I nawet po zaręczynach z tym młodym hrabią niewiele zaznała życia towarzyskiego. Ożenił się z nią w trzy miesiące od chwili poznania i wywiózł ją do Bella Hill, między zaborcze cienie Tudorów.

Zagadką dla wszystkich było, dlaczego Valentine wybrał sobie tę nieśmiałą, rozmarzoną Rose, kiedy mógł przebierać wśród najświetniejszych panien na wydaniu w całej Anglii. Valentine pełen rozmachu, przystojny, bogaty i z ostatnio odziedziczonym tytułem. To fakt, Rose jest piękna, chociaż jakoś niematerialnie, jakoś nie z tego świata. Zdaniem Grace, jak te tragiczne dziewczyny, o kto-

rych pisał Edgar Poe. Grace obawiała się, że Rose to nie partnerka dla silnego Valentine'a.

A przecież on ją sobie wybrał, a ona od razu się zgodziła. I wniosła swoją świetlistość w ciemne okazałe komnaty Bella Hill.

Grace bardzo była ciekawa, czego brat dokonał w ciągu tych ubiegłych dwunastu miesięcy. Ludzie wyrażali sceptycyzm, mówili, że podjął się zadania chyba niemożliwego. Ale Grace wiedziała, że Valentine potrafi czynić rzeczy wprost niewiarygodne.

Valentine Treverton, kipiący energią niespokojny duch, gotów czerpać życie pełnymi garściami, uznał, że w Anglii się dusi. Zaprzagnął znaleźć się w dziewiczym świecie, który mógłby sobie przywłaszczyć, w którym mógłby stanowić prawo jako pierwszy tam władca, a więc nie potrzebując się oglądać na żadnych poprzedników, na tradycję. Olśniewał wszystkich, którzy go kiedykolwiek spotkali. Chodził długim krokiem, na powitanie wyciągał ręce szeroko jak do uścisku. Śmiał się serdecznie, szczerze i spontanicznie. Był tak urodziwy, że czarował nawet mężczyzn. Ale Grace знаła jego drugą stronę: jego gniew, jego humory, jego bezgraniczne zarozumialstwo i przekonanie, że prawie nikt mu w niczym nie dorówna. Nie wątpiła, że tę afrykańską głuszę będzie miał pod butem. Kapnęły pierwsze krople deszczu. Spojrzała na niebo. Afrykanie już gestykulowali gwałtownie, wołali coś do siebie w potoczystym języku Kikuju. Nie musiała znać tego języka, żeby wiedzieć, co mówią. Jeżeli deszcz będzie ulewny, szlak zmieni się w mokradło nie do przebycia.

- Cze Cze! - zawołała przywódcę Kikuju. Zawrócił do jej wozu.

- Tak, *memseeb?*

- Daleko jeszcze do posiadłości?

Wzruszył ramionami i rozczapierzył wszystkie pięć palców.

Zniecierpliwiła się. Co to znaczy? Pięć mil? Pięć godzin? Czy, Boże broń, pięć dni? Znowu spojrzała na niebo.

Chmury leżały nisko, czarne jak węgiel drzewny; złowieszczy wiatr targał liście bananów.

- Musimy się pośpieszyć, Cze Cze - powiedziała. - Nie możemy ruszyć prędzej? - Bo wydawało jej się, że wóz na przedzie pełźnie w ślimaczym tempie. Dwaj mężczyźni na koniach, mający ze strzelbami wypatrywać dzikich zwierząt, chyba drzemali, a tubylcy, przyodziani w kozie skóry i uzbrojeni w dzidy, szli przy wozach po prostu spacerkiem.



Przywódca skłonił się jej, podszedł do pierwszego wozu i w języku Kikuju ponaglił woźnicę. Ale bez skutku. Grace nie pozwoliła sobie zeskoczyć i popędzić wołów osobiście. Żałowała, że nie usłuchała pewnego pana, którego poznała w hotelu Blue Posts w Thika. Ten pan jej wyjaśnił, że Cze Cze znaczy „Powolny” i zapewne nie bez powodu takie imię temu przywódcy nadano. Ale ona wolała nie zmieniać przewodnika w połowie podróży i oto rezultat: są teraz pomiędzy miasteczkiem Nyeri i posiadłością jej brata na pustkowiu, kiedy nadciąga burza.

Odwróciła się i zobaczyła, że pani Pembroke roztropnie wycofała się z dzieckiem w objęciach i z przygnębioną Fanny, pokojówką Rose, pod płócienną budę wozu. Wszyscy mężczyźni szli przy wozach uzbrojeni, nawet stary Fitzpatrick, kamerdyner z Bella Hill, wyglądający dziwnie w ubraniu khaki i tropikalnym hełmie.

Grace uznałaby pewnie ten pochód za komiczny, gdyby nie była taka zaniepokojona i rozgniewana.

Znów spojrzała na bratową i zdumiała się, widząc na jej bladych wargach słaby uśmiech. O czym Rose myśli?

W istocie lady Rose rozmyślała o schronieniu czekającym na końcu tego okropnego szlaku, o Bella Dwa, domu, który Valentine dla niej wybudował. Pięć miesięcy temu napisał w liście:

***Nasza posiadłość leży w dolinie szerokiej na czterdzieści mil pomiędzy górą Kenya i pasmem górskim Aberdare, tylko o trzydzieści mil od równika. Jesteśmy na wysokości ponad jednej mili nad poziomem morza i w naszej posiadłości przez głęboki, bujnie zarośnięty wąwóz płynie wartka rzeka Chania. Dom jest jedyny w swoim rodzaju. Sam go projektowałem, coś zupełnie nowego w tym nowym kraju. Postanowiłem nazwać go Bella Dwa albo Też Bella, możesz wybrać, co wolisz. To dom, co się zowie, z biblioteką, pokojem muzycznym i pokojem dziecięcym dla naszego syna.***

Valentine nie potrzebował dodawać nic więcej. Rose od razu sobie wyobraziła ten nowy dom, który miał być jej własny, nie tak jak ta siedziba, w której otoczona portretami rodu Tudorów czuła się intruzem. Teraz wreszcie będzie jedyną panią swojego domu, przywiesi sobie do paska klucze.

Od urodzenia dziecka przez całe te cztery tygodnie Rose myślała wyłącznie o tym. Stwierdziła, że jeśli usilnie się skupia i całą energię ześrodkowuje na Bella Dwa, może nie myśleć o „tamtej sprawie”.

Fantazjowała teraz, że godzinami kieruje rozwieszaniem draperii, ustawianiem stołów i krzeseł, układaniem kwiatów w wazonach. I co najważniejsze, pilnuje, żeby przestrzegano należytej etykiety w dniach jej przyjęć: musi błyszczeć serwis podwieczorkowy, który jej babci podarowała księżna Bedford; muszą być rożki, biszkopty i bita śmietana; trzeba nauczyć służbę, jak się robi małe tartinki, jak się kraje ogórek na płatki ledwie-ledwie. Ona sama będzie miała kluczyk do puszek z herbatą, będzie starannie odmierzała ilości Earl Grey i Oolong.

To, że się jest w Afryce, zdecydowała, nie może być powodem, żeby zapomnieć o cywilizacji. Trzeba za wszelką cenę zachowywać przyzwoitość. Grace nie aprobeuje mojej, jak to nazywa, „potwornej góry bagażu”, ale Grace nie rozumie zobowiązań kobiety z towarzystwa. Dlatego też Grace nie będzie panią wielkiej, na pięciu tysiącach akrów, plantacji ani hrabiną Treverton, której obowiązkiem jest żyć na wysokim poziomie. Grace zabrała do Afryki tylko dwa kufry - jeden z garderobą i książkami, drugi z apteczką.

Rose zaczęła w myślach chodzić po pokojach nowego domu, takich jak Valentine je opisywał, oglądać te politurowane boazerie, kamienne kolumny, belkowane stropy, kominek duży niczym scena w teatrze. Zobaczyła pokój muzyczny, w którym będzie grała na fortepianie jadącym teraz w ostatnim wozie. Nogi od fortepianu odjęto, żeby oddzielnie wysłać je z Londynu. Zobaczyła pokój bilardowy z dywanem Savonnerie w rodzaju tych pięknych dywanów rodziny królewskiej. Zobaczyła jadalnię z kryształowym żyrandolem, teraz pieczołowicie zapakowanym w pierwszym wozie.

Ale gdy na skrzydłach fantazji dotarła do drzwi sypialni, zatrzymała się jak wryta.

Grace, siedząc przy Rose, nie zauważyła, że ona nagle sztywnieje i jej uśmiech zmienia się w wąską kreskę zaciśniętych warg. Nie wiedziała o tym łomotaniu serca, świeżym niepokoju. Rose tego nie zdradzała, bo to było coś, o czym nikt nigdy nie powinien wiedzieć.

O mężu Rose pomyślała z dreszczem. Przewidywała, jak Valentine zareaguje na dziecko. Będzie udawał, że nic się nie stało, że mała Mona nawet się nie urodziła. I będzie patrzył na nią, Rose, tym dobrze znanym głodnym wzrokiem, a potem zacznie znowu żądać.

Jakże szalenie cieszyła się w zeszłym roku, słysząc od doktora, że jest w ciąży. Valentine stosownie natychmiast wyprowadził się do osobnej sypialni i mogła się rozkoszować przez siedem miesięcy wolnością. Gdyby urodziła chłopca, Valentine byłby zaspokojony.

Ale teraz wznowi wysiłki, żeby na świat przyszedł dziedzic. Drżała, myśląc o tym.

Rose dostała się Valentine'owi dziewicza, nieświadoma, jak mężczyźni postępują z kobietami. Nocą poślubną była strasznie zgorziona i to obrzydzenie się w niej zakorzeniło. Doszło do tego, że leżała w łóżku spięta, prawie bez tchu nasłuchując kroków męża. A on przychodził po ciemku i traktował ją jak zwierzę. Ale nauczyła się wyłączać. Ilekroć wyczuwała, że to znów będzie jego noc, piła przed pójściem spać laudanum i wycofywała się w fantazję, gdy on robił swoje. Nigdy o tym nie mówili, nawet w decydujących chwilach, Rose jednak kiedyś chciała zwierzyć się Grace. Potem się rozmyśliła, przypominając sobie, że szwagierka, chociaż jest lekarką, nadal pozostaje panną, więc nie zna się na tych sprawach. Ostatecznie zrezygnowana przyjęła, że zawsze tak się to odbywa pomiędzy wszystkimi mężami i żonami.

Nagle przed nimi zrobił się jakiś ruch, Afrykanie na przedzie wykrzykiwali w podnieceniu, Cze Cze przybiegł - pierwszy bieg w jego życiu, co do tego Grace nie miała wątpliwości - i oznajmił, że już są nad rzeką Chanią. Serce Grace podskoczyło. Chania! Najdalsza granica terytorium Kikuju! Na drugim brzegu tej rzeki jest plantacja jej brata.

Wszyscy już się śpieszyli, nawet zwierzęta, jak gdyby czując, że kończy się ich długa wędrówka. Mężczyźni popychali i podtrzymywali wozy w przeprawie przez wodę, płytką w tych ostatnich dniach pory bezdeszczowej, na porośle trawą zbocze drugiego brzegu - już ziemię Valentine'a.

Rose się ożywiła. Uśmiechała się, ściskając rękę szwagierki. Grace nieomal szalała z radości. Wreszcie koniec! Po tygodniach na morzu, i w pociągach, i w wozach, po nocach wśród dokuczliwych owadów, w namiotach, cel ich podróży już tu, za tym wzniesieniem! Należyty dom, prawdziwe łóżko, angielskie śniadania, obiady, kolacje... Ale nie tylko. To także koniec jej błędzenia po świecie, dotarła do tego miejsca, gdzie ona i Jeremy zamierzali rozpocząć wspólne życie. Może on, jeżeli żyje, na co miała słabą nadzieję, w końcu odnajdzie ją tutaj.

Gdy ukazała się przybita do pnia kasztanowca tabliczka: POSIADŁOŚĆ TREVERTONA, wszyscy wiwatowali. Nawet stary Fitzpatrick, stateczny kamerdyner, podrzucił swój hełm w powietrze. Dziecko zaczęło płakać; wozy, kołyszac się, skrzypiały, Afrykanie popędzali woły.

Dobrnęli na wzniesienie i roztoczył się przed nimi widok zapierający dech. W koronie z mgły wznosiła się majestatyczna góra

Kenya. Tak jak Valentine ją opisał! Ale tam, na południowym zachodzie, przy skraju wytrzebionej puszczy na łagodnie krągłym wzgórzu, skąd, jak napisał, „widać z domu tę górę i dolinę”...

Wszyscy ucichli. Zimny wiatr świstał z ośnieżonych szczytów, szarpiąc spódnice i kapelusze, trzaskał o płócienną budę wozu. W tej trzaskającej ciszy, gdy wszyscy trwali zagapieni, dał się słyszeć płacz małej Mony.

Grace mrugała, nie wierzyła własnym oczom. A Rose szepnęła: -Przecież... tu nic nie ma! Żadnego domu, żadnych budynków... w ogóle nic.

### **Rozdział 3**

Cześć!

Wszyscy się odwrócili do Valentine'a na koniu. Był w wysokich butach, bryczesach, białej koszuli z podwiniętymi rękawami, raczej rozchełstanej, i bez nakrycia głowy.

Jak gdyby nie było zimno, zirytowała się w duchu Grace, jak gdyby nie zbierało się na deszcz.

- Przyjechałaś! - wykrzyknął, zeskakując z konia. Podszedł do żony. Uściskał ją i mocno pocałował w usta. - Witaj w domu, kochanie. - Wyciągnął ręce do Grace. - Och, jest nasza błogosławiona lekareczka!

Ale Grace nie dała się objąć.

- Valentine - zapytała ostro - gdzie jest ten dom?

- No, tam! Nie widzisz! - Z rozmachem wskazał wzgórze, niedawno ogołoczone z drzew i zarośli. - Przynajmniej tam będzie. Nie nachmurzaj się tak deszczowo.

- Deszcz zaraz lunie, Val, i jesteśmy zmęczone i głodne. Czy to znaczy, że ten dom jeszcze nawet nie jest w budowie?

- W Afryce wszystko idzie powoli, staruszko. Wkrótce sama się przekonasz. Mamy tu obozowisko nad rzeką.

- Valentine, nie możesz wymagać, żebyśmy...

- Proszę - powiedział, biorąc ją za rękę. - Pozwól, że ci przedstawię mojego najbliższego sąsiada. Świetnie gra w polo. Sir James Donald. James, to moja siostra, Grace Treverton.

Sir James, który podjechał konno z Valentine'em, ubrany był praktycznie: w zgrzebne spodnie, kurtkę safari i hełm. Gdy zsiadł z konia, Grace zauważyła, że jest trochę kulawy.

Sir James uśmiechnął się, zanim do niej podszedł. Uśmiechnął się nieśmiało, prawie ze skrepowaniem. Z pewnością niewiele star-

szy od niej, nie mógł mieć więcej niż trzydzieści parę lat. Zdumiała się, bo pierwszy podał jej rękę, coś, na co angielski dżentelmen nigdy nie pozwala sobie wobec damy, a zagaił głosem człowieka wykształconego:

- Val mówił mi, że pani jest doktorem.

- Tak - odrzekła defensywnie. Na co on:

- To cudownie, do licha! Rozpaczliwie potrzebni są nam tutaj lekarze.

I nagle zobaczyła, że jest bardzo przystojny. Przez chwilę milczeli, patrząc sobie w oczy, jeszcze ściskając sobie ręce. Potem Valentine powiedział:

- Pokażę wam teraz nasze nowe gospodarstwo.

Grace patrzyła, jak sir James wraca do swego wierzchowca - wysoki, smukły, wyprostowany niemal sztywno, jak gdyby chciał zrekompensować to, że kuleje.

Lady Rose została przy wozie, wyraźnie zagubiona. Mąż ją zawołał.

- Valentine - zapytała lęklonie - nie chcesz, kochany, zobaczyć dziecka?

Po jego urodziwej twarzy przemknęło coś, jakby cień, powiedział jednak wylewnie:

- Rose, chodź z nami! Rozejrzyj się po twoim nowym domu! Pani Pembroke wsiadła za lady Rose do wozu zaprzęzonego

w kuce i zajęła miejsce między nią a jej szwagierką. Grace odsunęła pled z twarzyczki Mony. Dziecko było dziwnie ciche.

Jeden z Afrykanów Valentine'a zawiózł je tym wozem na wzgórze, które łagodnie wznosiło się w puszczy.

Wysiadając na czerwoną ziemię, Grace znów zapytała brata, dlaczego domu jeszcze nie ma.

- Mało jest rąk do pracy, musiałem ustalić pierwszeństwo. Ważniejsze było zasadzenie moich flanc przed porą deszczową niż budowa domu. W istocie ta szkółka to pierwsza sprawa. Kiedy praca na polach się skończy, każę tym ludziom zabrać się do budowania.

- Dlaczego napisałeś, że dom jest ukończony?

- Dlatego, że chciałem tu mieć moją żonę. Gdybym napisał, że musi przez rok jeszcze mieszkać w namiocie, przecież by nie przyjechała.

Na szczycie wzgórza Grace doznała wstrząsu. Puszczy nie było: rozciągała się wspaniała otwarta przestrzeń. Po tygodniach przedzierania się przez zarośla Grace z zapartym tchem patrzyła na

bezmiar nieba. Poczula się tak, jakby unosiła się w powietrzu. Dolina poniżej ginęła w dali u stóp góry Kenya, wszystkie drzewa i paprocie wycięto.

Valentine przeczesał palcami swe czarne gęste włosy.

- Co o tym myślisz, staruszko? Gdzie okiem sięgnąć, będą akry i akry bujnych zielonych kawowców, wystrojonych w białe kwiecie jak orszak ślubny. Potem nic, tylko zrywać czerwone jagody.

Grace to zaimponowało. Brat dokazał małego cudu na tym bezdrożu za rogiem świata. Puszcza urywała się przy skraju świeżo zaoranych DÓł, na których w paradnym szyku pod eskortą schludnych drzewek bananowych maszerowały wielkie proste szeregi dołów, ginąc z oczu hen daleko we mgle na koń-'cu doliny. Duże te doły, myślała zadziwiona Grace, głębokie chyba po kolana i takie szerokie, że zmieściłby się człowiek.

- Na każdym akrze będzie sześćset krzewów kawowych - wyjaśniał Valentine z dumą. - A akrów jest pięć tysięcy! Grace, za trzy, cztery lata będziemy mieli pierwsze zbiory. Te drzewa bananowe są po to, żeby rzucać cień... Kawa potrzebuje cienia, wiesz. Sadzę też importowane drzewka dzakarandy, będą wytaczać granicę. - Zatoczył ręką szeroki łuk. - Za kilka lat okryją się kwieciem koloru lawendy. Wyobrażasz to sobie? Ten widok z frontowej części domu!

- Tam - wskazał ogromną równinę - jest szkółka. Nawadniana wodą z rzeki przez wykopaną bruzdę. Ci ludzie teraz wrywają z ziemi słabe sadzonki. W tym cały sekret dobrych zbiorów, Grace. Niektórzy plantatorzy popełniają błąd, zostawiają te słabe na następny rok, czekają, żeby się wzmocniły, a właściwy sposób to wyrwać je i posiać nowe. Świat jeszcze nie wie, Grace, ale kiedyś będzie wielkie zapotrzebowanie na kawę Nairobi, na kawę z plantacji Trevertona!

- Skąd tyle wiesz o uprawie kawy, Val?

- Pomocni byli księża z misji, w której kupiłem nasiona. Poza tym są w Nairobi przyzwoici faceci, którzy nie szcędzą poufnych rad. I mnóstwo nauczyła mnie Karen.

- Karen?

-Baronowa von Blixen. Ona ma plantację kawy niedaleko Ngong. Tutaj uprawia się odmianę z brązowymi czubkami. Najlepsze na świecie nasiona arabskie. Zasadziłem je rok temu, kiedy przyjechałem z Niemieckiej Afryki Wschodniej. - Valentine podniósł wzrok na perłowszare niebo. - Deszcze się zaczął i przesadzimy te fance.

Grace w urzeczeniu patrzyła, jak pułk Afrykanek, przyodzianych w miękkie brązowe skóry, objuczonych niemowlętami przywieszonymi do pleców, pochyła się, nie zginając nóg i ubija ziemię w dołach gołymi rękami.

- Dlaczego tu pracują głównie kobiety i dzieci, Val? Dlaczego jest tak mało mężczyzn?

- Ci tam na polach to jedyni pracownicy. Reszta na pewno siedzi gdzieś pod drzewem nad rzeką i pije piwo. Cholernie trudno zapędzić ich do pracy. I trzeba ich wciąż pilnować. Wystarczy, żebym się odwrócił, od razu dają nogę do buszu. Rozumiesz, w myśl tradycji Kikuju, rolnictwem zajmują się wyłącznie kobiety. Dogłądanie plonów jest poniżej męskiej godności. Mężczyźni są wojownikami: ich praca to walka.

- Jeszcze walczą?

- Położyliśmy temu kres. Kikuju i Masajowie wciąż byli w stanie wojny, nawzajem napadali na swoje wioski, kradli trzody i kobiety. Zabraliśmy im dzidy i tarcze, więc teraz po prostu nie robią nic.

- No, zmusić ich do pracy nie możecie.

- Właśnie możemy.

Grace usłyszała w Anglii, że jest Ustawa o Pracy Tubylców, gdy arcybiskup Canterbury publicznie potępił praktyczne zastosowanie tej ustawy, nazywając je nowoczesnym niewolnictwem. Mężczyzn Kikuju, dawniej wojowników, teraz próżniaków bez zatrudnienia, zmuszano do pracy na farmach białych przybyszów. Uzasadniano to tym, że trzeba im dać jakieś zajęcie i że ich plemię korzysta z żywności, odzieży i opieki lekarskiej, jakie za swoją pracę otrzymują.

- Wojna z Niemcami prawie nas wykończyła, Grace. Brytyjską Afrykę Wschodnią, jeżeli nie znajdziemy źródła dochodu, czeka pewnego rodzaju bankructwo. A dochód tutaj może przynosić tylko rolnictwo i eksport. Biały rolnik nie zdoła nic zdziałać samodzielnie, więc musimy pracować wszyscy razem... Europejczycy i tubylcy, i wtedy każdy odniesie korzyść. Będę walczył, żeby ten nowy kraj ruszył z miejsca. Przyjechałem tutaj nie po to, by mi się nie powiodło. Ja i tacy jak ja, jak sir James, cholernie się borykamy, ale wyciągniemy Afrykę Wschodnią z epoki lodowcowej, wprowadzimy ją w erę nowożytną. I powlecziemy za sobą jej ludność siłą, kopniakami, wrzaskiem, jeżeli nie da się inaczej.

Grace ogarnęła wzrokiem ten wytrzebiony obszar poniżej te niezliczone rzędy dołów czekających na sadzonki i powiedziała:



- Tubylców tu jest więcej, niż się spodziewałam. Z pisma Ministerstwa Ziemi zrozumiałam, że kupiliśmy ziemię niezaludnioną.

- Bo tak było.

- Więc skąd te wszystkie kobiety i dzieci? - Zza rzeki

Grace odwróciła się i spojrzała we wskazanym przez Valentine'a kierunku. Na drugim brzegu rzeki wśród cedrów i drzew oliwnych wypatrzyła polanki, małe działki z okrągłymi chatami krytymi strzechą i warzywnymi ogródkami tubylców.

- Jednakże - powiedział Valentine - to ziemia rowmez nasza. Rozciąga się dosyć daleko w tamtą stronę.

- Ludzie mieszkają na twojej ziemi?

- Dzicy lokatorzy. Taki system obmyśliło ministerstwo. Atryka nie mogą mieć swoje *szembe*, to znaczy spłachetki pod uprawę, na naszych ziemiach w zamian za pracę dla nas. My o nich dbamy, rozstrzygamy ich spory, wzywamy lekarza, kiedy trzeba, żywimy ich i ubieramy, a oni uprawiają nam pola.

- To brzmi bardzo feudalnie.

- W istocie to właśnie jest feudalizm.

- Ale... - Grace zmarszczyła brwi. - Czyż oni nie byli tutaj, zanim kupiłeś tę ziemię?

- Niczego im się nie ukradło, jeżeli to masz na myś. Rząd Jego Królewskiej Mości wysunął ich przywódcy propozycję nie do odrzucenia Uczynił go naczelnikiem... Kikuju nie mają naczelników, dał mu wszelaką władzę.

Rewanżując się, on sprzedał tę ziemię za paciorki i drut miedziany. To legalne. Odcisnął kciuk na akcie sprzedaży.

- Przypuszczam, że rozumiał, co robi?

- Nie racz mnie, staruszeko, „intelektem” dzikusów. Ci ludzie są iak dzieci. Nigdy przedtem nie widzieli koła. Ci tam na dole taszczyli kłody na głowach. Więc postarałem się dla nich o taczki, wyjaśniłem, żeby na taczkach kładli kłody. Następnego dnia .patrzę kłody leżą na taczkach, owszem, a taczki oni niosą na głowach! I nie mają pojęcia, co to jest własność, nie mają pojęcia, co może dawać ziemia. Ta ziemia się marnowała. Ktos musiał wkroczyć, żeby coś z nią zrobić. Gdyby nie my, Anglicy, weszliby Niemcy albo Arabowie. Lepiej, że my się zajmujemy tymi ludźmi, a nie Szwaby czy mahometańscy handlarze niewolników.

Odszedł od niej w stronę góry Kenya, trzymając się pod boki, jak gdyby chciał to oznajmić nie jej, tylko tej górze.

- Tak - powiedział jakoś niezwykle spokojnie. - Ja z tą ziemią

coś zrobię. - Jego czarne oczy pały, gdy tak stał w podmuchach wiatru targającego mu włosy, wdzierającego się pod koszulę. Wyglądał tak, jakby samej Afryce rzucał wyzwanie: niech no tylko Afryka spróbuje go pokonać! Grace wyczuła w bracie coś ledwie trzymanego na uwiesi, energię prawie nieopanowaną, manię prześladowczą i obłąd, który należy nieustannie powściągać. Wiedziała, że dziwna moc nim kieruje, siła, która go rzuciła z nudnej, ciężkiej od ustaw starej Anglii na ten nietknięty żadnym prawem, nieujarzmiony ciemny ląd. Przyjechał, żeby dokonać podboju, zamierzał przegarnąć dłońią ten pierwotny raj i pozostawić swój ślad.

- Teraz rozumiesz, prawda?! - wykrzyknął w podmuch wiatru. - Rozumiesz, Grace, dlaczego tu zostałem! Dlaczego nie mogłem wrócić do Anglii, kiedy zwolnili mnie z wojska! - Zacisnął pięści.

„Feudalnie”, powiedziała Grace przed chwilą. To mu się podobało. Lord Treverton, rzeczywiście pan na swoich włościach, nie tak jak w Bella Hill, gdzie wieśniacy, służalczo zdejmujący czapki, mieszkają w średniej wielkości gospodarstwach rolnych i patrzą na jego duży dom jak na gwiazdkowy pudding. Buntował się przeciwko nudziarstwu tradycji, spraw raz na zawsze załatwionych i wieczystej jednostajności hrabstwa Suffolk, w którym ludzie sięgali wyobraźnią nie dalej niż do pory podwieczorku. Gdy przyjechał do Brytyjskiej Afryki Wschodniej na wojnę z Niemcami, nagle poczuł, że żyje. Rozglądał się wokoło i widział, co musi zrobić, gdzie jest jego miejsce. Usłyszał głos przeznaczenia; miał we krwi cel. Jak gdyby Afryka, śpiąca niezdarna olbrzymka, czekała, żeby ją zbudzić i pchnąć do wydajnego życia, jak gdyby czekała właśnie na niego i jemu podobnych.

Drżał w podmuchach wiatru nie z zimna, tylko z wrażenia wobec swojej wizji. Podniósł oczy ku złowieszczym chmurom, wyciągnął rękę tak, jakby trzymał w niej pałasz. Wydawało mu się, że pędzi na rumaku do boju. Jest w zbroi, wiedzie za sobą wielotysięczne zastępy. Ocknął się w nim odwieczny duch walki. W mózgu mu rozbrzmiewało bezgłośnie wołanie pradziadów Trevertonów. „Podbij - nakazywali. - Podporządkuj...”.

Odwrócił się raptownie i spojrzał na Grace, przypominając sobie o niej. Po chwili z twarzą rozjaśnioną serdecznym uśmiechem - powiedział:

- Chodź, pokażę ci twój mały kawałek Afryki.

Ze szczytu wzgórza przez puszcę biegł wyrąbany szlak na skarpe nadrzeczną. Valentine poprowadził tam siostrę i stanął

z nią na krawędzi w trawie, nieopodal miejsca, gdzie już wyładowywano rzeczy z wozów. Wskazał płaski brzeg rzeki Chania w dole.

- Twoja ziemia - powiedział, zataczając ręką łuk. - Zaczyna się tam za tą kępą gumowców i opada nad rzekę. Trzydzieści akrów odłożonych dla ciebie i Boga.

Rozszerzonymi oczami Grace patrzyła na cedry, na jaskrawo kwitnące lwie paszcze, na czerwono-granatowe i żółte storczyki. To raj, myślała. I to jest moje.

Jeremy, wreszcie dotarłam, szeptało coś w jej sercu, tu jest miejsce, o którym marzyliśmy. Zbuduję tu misję według naszych planów i nigdy stąd nie wyjadę, bo jeżeli jeszcze żyjesz, może Bog da, że znajdziesz mnie tu kiedyś.

- Czy tam w dole to wszystko jest twoje? - zapytała, wskazując obszar o sto stóp poniżej.

- Tak, i zaczekaj, aż usłyszysz, co ja planuję!

-Ale... tam mieszkają ludzie. - Naliczyła siedem chat wokół starego figowca.

- Wyniosą się. Rodzina naczelnika Madengeja. Jego trzy żony i babka. Właściwie to nie ich strona rzeki. Bo rozumiesz, cały ten obszar został wydzielony jako strefa buforowa pomiędzy Kikuju i Masajami, żeby przestali się bić. Poniekąd ziemia niczyja. Żadnemu z tych plemion nie wolno się na niej osiedlić.

- Ale białym wolno?

- No, oczywiście. Ta osada... Przed laty, zdaje się, wybuchła jakaś epidemia na tamtym brzegu rzeki, gdzie mieszka plemię. Ta grupa oderwała się i uciekła na ten brzeg przed złymi duchami czy czymś takim. Madengej mi obiecał, że przepędzi ich za rzekę z powrotem.

Valentine odwrócił się i spojrzał na Rose. Stała na wzgórzu jak posąg pośrodku poręby, jak gdyby czekała, żeby wokół niej wybudowano dom. Wołając ją, ruszył w jej stronę.

- Valentine mi mówił, że tam jest pani ziemia.

Grace podniosła wzrok. Sir James podszedł do niej. Zdjął hełm, na jego potarganych ciemnobrązowych włosach lśniły krople kapiącego chwilami deszczu.

- Tak - powiedziała. - Zamierzam zbudować szpital.

- Żeby wnieść między pogan Słowo Boże? Uśmiechnęła się.

- W zdrowym ciele, sir Jamesie, zdrowy duch.

- Proszę, bez „sir”. Jesteśmy w Afryce.

Właśnie, pomyślała. W Afryce. Gdzie dżentelmen pierwszy podaje paniom rękę, a hrabia chodzi w rozchełstanej koszuli.

- Wykroila pani sobie nielichą pajdę pracy - mówił sir James. Stał przy niej, patrząc w szeroki wąwóz. - Tych ludzi nekają pasożyty, malaria, influenza, frambezja i mnóstwo chorób, dla których nawet nie wymyśliliśmy nazw.

- Będę robiła, co tylko będę mogła. Przywiozłam książki lekarskie i pełne wyposażenie.

- Muszę panią ostrzec, oni tu mają swoich znachorów, nie lubią wtrącania się *ozungu*.

- *Ozungu*?

- Czyli białych. Tamta rodzina, na przykład, tam w chatach przy figowcu. To rodzina potężnej znachorki, która faktycznie rządzi klanem zza rzeki.

- Słyszałam, że jest jakiś naczelnik.

- Owszem jest, ale ta znachorka to babka jego żony, Oczero, rzeczywista władza w tych stronach.

- Dziękuję za te informacje. - Grace uznała, że on ma interesującą twarz. - Val pisał o panu w swoich listach. O pana ranczu osiem mil stąd na północ. Ufam, że się zaprzyjaźnimy.

- Nie żywię co do tego wątpliwości.

Nagły podmuch wiatru znad rzeki zerwał Grace hełm tropikalny z głowy. Sir James pochwycił hełm i podał jej.

Zauważył przy tym błysk złota na jej lewej ręce.

- Pani brat mi nie mówił, że jest pani zaręczona.

Spojrzała na ten studencki pierścionek, który dostała od Jere-my'ego w tamten wieczór, zanim statek został storpedowany. Uratowana z lodowatych odmętów, ocknęła się z zapaleniem płuc w wojskowym szpitalu w Kairze.

Podporucznik Jeremy Mannings, jak się dowiedziała, był na liście zaginionych.

Nigdy nie miała stracić nadziei, że kiedyś go odnajdzie. Przeżyła na statku miłość krótką, ale żarliwą, taki romans wojenny, w którego minutach mieszczą się całe lata. Nie chciała uwierzyć, że on nie żyje. Nikt, nawet Valentine czy Rose, nie wiedział o tym, że w ubiegłym roku zostawiła wiadomość dla niego, poczynając od Egiptu, gdzie powierzyła list Ministerstwu Kolonii, i następnie we Włoszech, we Francji, w Anglii, jak długa i szeroka. Po przybyciu do Afryki czyniła to dalej w Port Saidzie, Suezie, Mombasie i na koniec w hotelu Norfolk w Nairobi. Te listy, jak rzucane okruchy chleba, miały go doprowadzić do niej - jeżeli jakoś przetrwał, został uratowany i żyje w tej chwili, szuka jej...

- Mój narzeczony zaginał na morzu w czasie wojny - powiedziała cicho.

Sir James zobaczył niezręczny trzepot jej rąk, wysiłek, żeby ukryć, chronić ten pierścionek, i powstrzymał się od posłużenia jej pociechą. „Moja siostra jest lekarką - powiedział mu Valentine -ale nie jest taka męska jak niejedna z tych sawantek". James był teraz pełen niedowierzania. Chyba ta łagodna młoda kobieta o miłych, delikatnych rysach twarzy i ujmującym uśmiechu nie jest tą, która pisała do brata takie długie śmiałe listy. Nakreślając z rozmachem plany swego szpitala, wydawała się nieomal Amazonką. Sir James nie bardzo mógł ją sobie wyobrazić, ale z pewnością nie spodziewał się, że to będzie ponętna panna o czarownych oczach.

Na szczycie wzgórza, tarmoszony coraz gwałtowniejszym wiatrem, lord Treverton podszedł do żony, patrząc na nią badawczo. Dlaczego, niech to diabli, ona mu nie odpowiedziała?

- Rose - powtórzył głośniejsze.

Wpatrywała się w niezwykłą kępę figowców u stóp tylnego zbocza wzgórza. Nie pasuje do otaczającej je puszczy kasztanowców i cedrów. Wśród nich chyba jest przesieka, osłonięta polanka, być może miejsce, gdzie można czuć się bezpiecznie.

Ten nowy świat przerażał Rose. Taki pierwotny, taki dziki. Gdzie są te panie, które miały ją odwiedzać? Gdzie są domy?

Valentine pisał, że ranczo Donalda jest odległe o osiem mil. Wyobrażała sobie wiejską drogę, przyjemne niedzielne przejażdżki. A tu po prostu bezdroże, tylko piaszczysty szlak przecina krainę nagich dzikusów i groźnych zwierząt. Rose bała się Afrykanów. Nigdy dotąd nie spotkała człowieka tego koloru. W pociągu stroniła od uśmiechniętych służących kolejowych; w Nairobi wyręczała się szwagierką, ilekroć potrzebowała czegoś od hotelowego personelu. Ale lady Rose przecież bardzo chciała być użyteczna w tej nowej krainie. Chciała rozpaczliwie, żeby Valentine był z niej dumny. Wątpiła i niezaradna, gardziła swoją niemocą, daremnie pragnąc iść przez życie przebojem tak jak Grace. W czasie wojny lękliwie napomykała, że mogłaby wstąpić do Oddziału Pomocy Ochotniczej i pielęgnować rannych żołnierzy. Ale Valentine się nie zgodził. Więc tylko zwijała bandażę w salonie i dziergała na drutach szaliki dla żołnierzy w okopach.

Przyjechała na Czarny Łąd z nadzieją, że życie afrykańskie przyda jej powagi, że trudy osadnictwa wyrobiją w jej miękkiej powłoce kręgosłup ze stali. Kiedyś myślała, że małżeństwo z Valenti-ne'em zabarwi jej przezroczyłość, a tymczasem wydawało się, że tylko płowieje w blaskach jego chwały. Potem myślała: będę pionierką. Podobało jej się to słowo, dźwięczało jak żelazny dzwon.

Oznaczało kobietę, która wnosi cywilizację do buszu, kobietę, która ustala kryteria i przewodzi. Pokładała też nadzieję w macierzyństwie - samo to słowo brzmiało tak nieugięte, tak doniośle. W Brytyjskiej Afryce Wschodniej ona będzie wreszcie konkretną osobą, ludzie nie będą wpatrywali się w nią jak w powietrze.

- Rose? - Valentine podszedł jeszcze bliżej.

Valentine, tak bardzo cię kocham! Tak bardzo chcę móc sprawić, żebyś był ze mnie dumny. Przykro mi, że to dziecko nie jest chłopcem.

- Kochanie? Źle się czujesz?

Będzie znów się starał mieć syna. Na myśl o tym zadrzała. Ich wzajemna miłość jest taka piękna, czy Valentine musi ją psuć tą paskudną sprawą sypialnianą?

- Te figowce - wymamrotała. - Nie ścinaj ich, proszę cię, najdroższy.

- Dlaczego?

- One wydają się... jakieś wyjątkowe.

- Dobrze, są twoje.

Przyjrzał się jej. Błada i chuda, wygląda tak, jakby mogła ulecieć z wiatrem. Ale przypomniał sobie, jakie ciężkie chwile przeżywała w pociągu.

- Kochanie - powiedział i przysunął się, żeby ją osłonić - jeszcze nie jesteś zdrowa. Musisz odzyskać siły. Poczekaj, aż zobaczysz obóz. Mamy należytego kucharza i zawsze przebieramy się do kolacji. I dom będzie cudowny, zobaczysz. Kiedy tylko przesadzimy flance, rozpoczniemy budowę.

Położył jej rękę na ramieniu, zeszywniała pod jego dotknięciem.

A więc tak, pomyślał ponuro. Znowu to się zacznie. Samotne noce w łóżku, szaleńcze pożądanie własnej żony. I branie jej z oczami zamkniętymi, żeby nie widzieć wyrazu jej twarzy. Potem Rose leży jak postrzelona sarna, niemo czyni mu wyrzuty swoim zgwałconym ciałem, wywołuje w nim niezasłużone poczucie winy. Dawniej myślały że żona z czasem się opamięta, nauczy się cieszyć współżyciem. Rose jednak najwyraźniej za każdym razem nie lubiła tego coraz bardziej; pojęcia nie miał, co zrobić.

- Chodź, kochanie - powiedział - przyłączmy się do nich. Rose skierowała się najpierw do pani Pembroke i wzięła od niej

dziecko. Trzymając Monę w objęciach pomiędzy gronostajową mufką i futrzanym płaszczem, poszła za mężem na porośniętą trawą zbocz, gdzie stała Grace z sir Jamesem.

Stąd widać było o sto stóp niżej kępę chat na szerokim płaskim brzegu rzeki. Mała dziewczynka pasła stadko kóz, kobieta w ciąży doiła krowę. Inne kobiety pracowały na niedużych zagonach warzyw. Jakaż to urocza scena, pomyślała Rose.

- Nigdy nie zgadniecie, co ja tam planuję. To będzie boisko do gry w polo.

- Och, Val! - Grace się roześmiała. - Ty nie spocznesz, dopóki nie zmienisz Afryki w drugą Anglię!

- Czy tam jest miejsce na boisko polo? - zapytał sir James.

- Te chaty trzeba usunąć, rzecz jasna, i wykopać ten figowiec. Umilkli słuchając, jak na liściach wokoło zaczyna szeleścić lekki

deszcz. Wyobrażali sobie wielką plantację kawy, która zapełni dolinę, wyobrażali sobie szpital, który Grace wybuduje w dole nad rzeką. Lady Rose, trzymając dziecko w suchym ciepłym gronostajów, patrzyła na tubylczą wioskę.

Z jednej z chat wyszła młoda kobieta w skórach i wielkim naszyjniku z paciorków. Przeszła przez ogrodzone obejście, teraz było widać przywieszoną na jej plecach niemowlę. Zatrzymała się nagle, jak gdyby poczuła, że Rose na nią patrzy, i spojrzała w górę. Wysoko na wzgórzu stało białe zjawisko patrzące w dół.

Wpatrywały się tak w siebie, zdawało się, bardzo długo.

#### **Rozdział 4**

Wchodząc do chaty, młoda kobieta powiedziała z szacunkiem:

- *Ne ni-e Oczera*, to ja, Oczera. - i podała babce tykwę pełną piwa z trzciny cukrowej.

Przed wypiciem babka ułała na polepę kilka kropli piwa dla przodków. Potem powiedziała:

- Dzisiaj opowiem ci o czasach, kiedy kobiety rządziły światem, a mężczyźni byli ich niewolnikami.

Siedziały w wodnistym świetle z otworu drzwiowego - okien nie było w tej okrągłej chacie ulepionej z mułu i krowiego łajna - i słuchały, jak deszcz bębni w papirusową strzechę. Zgodnie z tradycją Kikuju Oczera przekazywała spuściznę po przodkach najstarszej córce swojego syna i robiła to od wielu już dni. Uczyła przy tym wnuczkę czynić czary i leczyć różne przypadłości, bo była nie tylko skarbnicą i strażniczką dziejów plemienia, ale też znachorką klanu i położną. Kiedyś ta dziewczyna, młoda żona nosząca na plecach swoje pierwsze dziecko, miała być jej następczynią.

Gdy babka mówiła w zadymionej chacie, tak jak mówiły przed nią babki wszystkich poprzednich pokoleń, młoda Oczera słuchała niecierpliwie. Chciała o coś zapytać, a przecież nie do pomyslenia byłoby przerwać osobie starszej. Chciała zapytać, co to za biały duch jest na wzgórzu.

Babka głosem suchym ze starości skandowała, kiwając się, aż wielkie pętle z paciorków z obu stron jej ogolonej głowy cicho grzechotały. Od czasu do czasu pochylała się do przodu, żeby zamieszać zupę w garnku na ogniu.

- Teraz nazywamy naszych mężów „pan i władca”, zwyczajem Kikuju - powiedziała wnuczce. - Jesteśmy własnością mężczyzn.



Jak ze swoim dobytkiem, oni mogą z nami robić, co chcą. Ale zawsze pamiętaj, córko mojego syna, że nasz lud zwie się Dziećmi Mambi, Pierwszej Kobiety, i że dziewięć klanów Kikuju zwie się od imion dziewięciu Córek Mambi. To ma nam przypominać, że my, kobiety, byłyśmy kiedyś potężne i że był czas zamierchły, kiedy myśmy rządziły, a mężczyźni lękali się nas.

Słuchając i zapamiętując każde słowo, młoda Oczera szybko, zręcznie wyplatała koszyk. Jej mąż, Madengej, przyniósł włóknistą korę krzewu *mogio* i pośpiesznie odszedł, ponieważ zajmowanie się wyplataniem koszyków jest dla mężczyzny tabu.

Młoda Oczera chlubiła się swoim mężem. Niedawno biali ogłosili go jednym z nowych „naczelników”. Kikuju dotychczas naczelników nie miewali - władze nad klanami sprawowały rady starszych - ale *ozungu* z jakiegoś powodu uznali, że do rządzenia każdym klanem trzeba mianować naczelnika Kikuju. Wybrali Madengeja, bo kiedyś był słynnym wojownikiem i stoczył wiele bitew z Masaja-mi. Dawno temu, zanim biały człowiek powiedział, że Kikuju i Masajowie już nie mogą ze sobą walczyć.

- W tym zamierchłym czasie - prawiała babka - kobiety rządziły Dziećmi Mambi, aż pewnego dnia mężczyźni im pozazdrościli. Spotkali się potajemnie w puszczy, żeby się naradzić, w jaki sposób obalić panowanie kobiet. Kobiety są chytre, niełatwo je pokonać. Mężczyźni o tym wiedzieli, ale przypomnieli sobie, że w pewnym okresie kobieta nie jest twarda, a to wtedy, gdy jest ciężarna. Więc mężczyźni postanowili, że ich przewrót się uda, jeżeli podniosą bunt wtedy, gdy większość kobiet będzie w ciąży.

Młoda Oczera słyszała to już niejedynym razem. Mężczyźni uknuli spisek, postanowili zapłodnić wszystkie kobiety plemienia i w kilka miesięcy później, gdy wiele ich żon, sióstr i córek było w zaawansowanej ciąży, przypuścili atak. Triumfalnie odrzucili odwieczne prawa matriarchatu, zapanowali nad ujarzmionymi kobietami.

Jeśli w sercu staruszki wzbierało rozgoryczenie przy rozpamiętywaniu tej haniebnej historii, to tego nie zdradzała, przestrzegając plemiennych zasad obyczajowości i etykiety. Kobietom Kikuju od dzieciństwa wpajano, że mają być nieśmiałe, uległe i że nie wolno im się skarżyć.

Tak też wychowana młoda Oczera nigdy nie kwestionowała roztropności męża, który zdecydował się pracować u białego, ani braci, którzy woleli uciec ze swymi włóczyniami i tarczami na *szembe* bydła innych białych. Co więcej, zony nielicznych Kikuju pracujących u tego białego budziły zazdrość w wiosce, bo ich mężowie

przynosili do domu worki mąki i cukru oraz bardzo pożądaną tkaninę zwaną *emerykene*. Dzięki Madengejowi obie Oczery były bogate i posiadały więcej kóz niż wszystkie inne kobiety z klanu.

Oczera strasznie tęskniła do męża teraz, gdy pracował jako „brygadzysta” na *szembe* białego *buany*. Zakochała się w Madenge-ju Kabiru dlatego, że grał pięknie na flecie. W porze dojrzewania prosa trzeba od plonu odstraszać ptaki, więc młodzi mężczyźni chodzili po polach, grając na trzciniowych fletach. Madengej, wysoki jak na Kikuju, bo miał przodków Masajów, urodziwy w swojej *szuka*, z zaplecionymi długimi włosami, wędrował od wioski do wioski i zachwycał ludzi melodyjną muzyką. Ale jego flet ucichł, praca u białego trzymała go z dala od domu.

- Już pora - powiedziała starsza Oczera, mieszając w garnku zupę bananową - żebyś usłyszała opowieść o swojej prapraprababce, wielkiej pani Ojrimu, o tym, jak biali pojмали ją w niewolę.

Kikuju nie mieli pisma w żadnej formie, toteż ich historia była tradycją przekazywaną z ust do ust. Każde dziecko, ledwie zaczynało mówić, uczyli imion szeregu pokoleń i przepytywali. Młoda Oczera знаła dzieje swojego rodu wstecz aż do Pierwszej Kobiety.

- Najwcześniejsze pokolenie nazywało się Pokoleniem Ndemi - recytowała - bo było nierządne i staczało wojny. Jego potomstwo nazywało się Pokoleniem Madedi, bo mieszkało w jaskini, a jego potomstwo Pokoleniem Meajna, bo tańczyło pieśni Kikuju. Potem było Pokolenie Maengi, zwane tak, bo wędrowało...

Lat nie oznaczali liczbami, tylko każdy rok określali opisowo, więc gdy babka powiedziała, że pani Ojrimu żyła w czasie Miuraj-me Uo Ngai, trzęsącej się choroby niebiańskiego pochodzenia, Oczera mogła uplasować tę swoją praprapra w roku, gdy wybuchła epidemia malarii, pięć pokoleń wstecz.

Z zapartym tchem, zadziwiona słuchała opowieści o bohaterstwie Ojrimu. Ukradli nieszczęsną mężowi i w kajdanach zabrali na „wielkie pole wody, gdzie pływały olbrzymie chaty”, a ona uciekła od białych handlarzy niewolników i wróciła na Ziemię Kikuju, walcząc po drodze z lwami, żywiąc się gotowanymi szypułkami-pędów bananowych. To Ojrimu pierwsza powiedziała Dzieciom Mambi o plemieniu ludzi mających skórę koloru rzepy, i tak słowo *ozungu* zaczęło znaczyć „biały człowiek”, ponieważ w tamtych czasach było określeniem tego, co „dziwne i niewytłumaczalne”.

Młoda Oczera pamiętała, jak po raz pierwszy zobaczyła białego. To zdarzyło się dwa dni temu, gdy jeszcze była w ciąży ze swoim synem. Biały człowiek wkroczył do wioski, kobiety uciekły prze-

straszone. Oczera wbiegła do chaty babki. Ale Madengej wcale się nie bał. Wystąpił naprzód i splunął na ziemię powitalnie. Kobiety patrzyły z kryjówek, jak ci dwaj załatwiają jakąś dziwną sprawę: Madengej przyjmuje paciorki i *emerykene* i w zamian przyciska kciuk do czegoś, co wydaje się dużym białym liściem. Później przy ognisku, pijąc piwo z trzciny cukrowej, Madengej opowiedział Oczere i jeszcze dwóm swoim żonom o czymś zwanym „sprzedaż ziemi” i o „akcie”, na którym zrobił kciukiem znak.

Biali byli dla Oczery niepojęci. Od tamtego czasu widziała ich tylko parę razy - usuwali puszcę ze wzgórza nad rzeką - ale dzisiaj zobaczyła, że przybyło ich więcej, i to ją przeraziło. Zobaczyła też patrzące w dół na nią zjawisko w bieli. Słuchając teraz zakończenia niezwyklej opowieści o Ojrimu, zaczęła się zastanawiać: może to wcale nie był duch, może to biała kobieta.

Gdy opowiadanie się skończyło, wykrzyknęła radośnie:

- Ji... och!

Ale starsza Oczera ze smutkiem ją uciszyła.

- Niestety, porwali Ojrimu po raz drugi i zabrali na pole wody, co się rozciąga do krańca ziemi, i ona już nigdy nie wróciła do Kikuju.

Młoda zaniemówiła. -To musiało być straszne dla biednej Ojrimu! Jaki dziwny los ją czekał po tamtej stronie wielkiej wody?

Czując, że niemowlę kręci się jej na plecach, przestała wyplatać koszyk. Zajęła synka z pleców i przytuliła do piersi. W myśl tradycji Kikuju dusze przodków żyją dalej w dzieciach, więc syn pierworodny zawsze zostaje nazwany imieniem swego dziadka. Tak też babka i jej najstarsza wnuczka nosiły to samo imię, Oczera. Znaczyło ono „Ta, Która Odwiedza Ludzi” i było przekazywane co drugie pokolenie od pierwszej Oczery, która odwiedzała ludzi, będąc znachorką klanu.

Stara już uśmiechnięta patrzyła na karmiącą młodą matkę. Nie wątpiła, że przodkowie są zadowoleni: oto młoda Kikuju poznaje sekrety klanu i gromadzi wiedzę, bo jest bystra, rozumna i pełna szacunku. Najstarszy syn dobrze wychował swoją córkę, wzorowa z niej żona. Utrzymuje porządek w chacie Madengeja, uprawia piękny ogródek, jest zawsze pogodna i nigdy nie odzywa się niezagadnięta. Wszyscy lubią tę miłą Oczere; matki wskazują ją córkom jako przykład do naśladowania. W czasie obrzezania, mówią, gdy miała szesnaście lat i wszystkie kobiety klanu się temu przyglądały, nawet nie drgnęła pod nożem. Nic więc dziwnego, że urodziwy dzielny Madengej Kabiru zwrócił się do jej babki, żeby mu ją sprze-

dała. Sześćdziesiąt kóz zapłacił za nią, ludzie wciąż jeszcze wspominają tę cenę.

Serce babki wezbrało dumą. Młoda Oczerza zaszła w ciążę prawie od razu. Z pewnością ta wnuczka urodzi dużo dzieci dla uwiecznienia przodków. Smutna jest rodzina Kikuju mająca mniej dzieci niż czworo, bo wtedy ktoś z dziadków nie uzyska nieśmiertelności.

Milcząc, starsza Oczerza zamyśliła się. Deszcz bębnił o strzechę, w chacie zrobiło się duszno od dymu, zapachów mokrej ziemi, gotowanych bananów i kóz. Te dwie kobiety znalazły się poza czasem. Były żywym obrazem swoich antenatek, bo Kikuju zawsze przestrzegali tradycji, obyczajów i praw ustanowionych przez Ngai, ich boga, mieszkającego na górze Kenya, i ze wstrętem odnosili się do zmian. Przy bosych nogach staruszki stała tykwa ubóstwienia, wydrażona, wysuszona i napełniona czarodziejskimi symbolami tak dawno temu, że już nikt nie wiedział, po której to pra pra pra. Reprezentowała moc Oczerzy. Służyła do odczytywania przyszłości, leczenia chorych i porozumiewania się z przodkami. Kiedyś starsza Oczerza miała tę tykwę przekazać młodszej i w ten sposób żyć dalej, tak jak jej babka żyła teraz w niej.

Deszcz padał, staruszka myślała o klanie za rzeką.

Czterdzieści żniw temu straszna klątwa zawisała nad Dziećmi Mambi. Najpierw była susza, potem nastąpił głód, a potem choroba przemiotła się po Kikuju i Masajach, zabijając jednego na każdym trzech. Starsza Oczerza mieszkała wówczas z mężem i jego innymi żonami w dużej osadzie za rzeką. Nie mogła uratować klanu przed tą chorobą, ale przodkowie do niej przemówili, powiedzieli, że uratuje swoją małą rodzinę, jeśli przeniesie się z nią na drugi brzeg rzeki, tam gdzie ziemię błogosławi Ngai i gdzie żadnych złych duchów choroby nie ma.

W wiosce ludzie szydzili z szaleństwa takiej przeprowadzki. Im więcej nas, tym bezpieczniej, argumentowali, ale Oczerza była już wdową; jej mąż powalony chorobą musiał odejść do przodków, więc odwróciła się od wioski, którą, jak wiedziała, bóg przeklął, i zabrała współwdowy i dzieci na nową ziemię. Tutaj znalazła **magamo**, uświęcony figowiec, i nabrała pewności, że słuszne miała widzenia. Podczas gdy inne plemiona wspominają tamten rok jako **Ngaa Nir**, Rok Wielkiego Głodu (biali nazwali to epidemią ospy w roku 1898), ci, którzy przeżyli w starej wiosce i ich potomkowie uważają go za Rok, Gdy Pani Oczerza Przeniosła Się Za Rzekę.

Właśnie o nich myślała teraz. Była tam jej siostra, biedna bezdzietna Geete, co znaczy „Jałowa”, utrzymująca się z garncarstwa.

I była Neheiro, na pewno już w przededniu porodu. Kobiety Kikuju nie uznawały przygotowań przed porodem, bo to nie tylko przynosi pecha, ale też jest stratą czasu, jeżeli dziecko urodzi się martwe, Oczera jednak miała swój nóż położniczy naostrzony i gotowy.

I na koniec pomyślała o Kassie, swoim bracie, jednym z plemiennej starszyny. Dostała wiadomość, że Kassa uciekł na północ w stronę góry Kenya i został zatrudniony na *szembe* bydła u białych. Kassa teraz rachował krowy, Oczera wielce się tym trapiła. Czuła, że jakieś zgubne zmiany wkrótce zaskoczą Dzieci Mambi. Zmiany już nastąpiły, ale raczej nieokreślone, niewyraźne. Życie plemienne z pewnością płynie tak samo jak w czasach przodków. Tyle że niektóre kobiety noszą swoje niemowlęta w *emerykene*, a stary Kemeu zgodził się wierzyć w Boga białych i nazywa się obecnie Salomon. Ale pa ogół dawne obyczaje nadal ściśle są przestrzegane.

Oczera wróciła myślą do siebie.

Jednak widać zmianę tutaj, w jej małej rodzinie. Madengej ma być wojownikiem, ale już nie prowadzi wypadów na Masajów, bo biali zabronili Kikuju nosić włócznie. Oczera tęsknie przypominała sobie dawne czasy, gdy Masajowie porywali z Ziemi Kikuju bydło i kobiety. Niektóre z tych kobiet nie protestowały, wojownicy ma-sajscy słyną z tego, że są wspaniałymi kochankami.

Serce Oczery stwardniało. Ona wiedziała, że biali wprowadzą zmiany, wiedziała na długo przed przybyciem pierwszego z nich na Ziemię Kikuju. .

Było to wiele żniw temu. Młoda Oczera jeszcze się nie urodziła. Starsza we śnie odwiedziła Ngai, Boga Jasności, który zabrał ją do swego królestwa na szczycie góry i pokazał przyszłe wydarzenia. Gdy wyjawiała je klanowi, wszyscy doznali wstrząsu i złękli się, bo mówiła, że przyjdą jacyś zza Wielkiej Wody, skóra ich będzie jasna jak płowa żaba, a odzież jak skrzydła motyla. Owi *ozungu* będą mieli dzidy, z których wylatuje ogień, i będą jechali przez te ziemie ogromną żelazną stonogą.

Zwołano nadzwyczajne posiedzenie rady, żeby rozważyć proroctwo Oczery, po czym zdecydowano: niech Dzieci Mambi nie wojują z tymi przybyszami, niech traktują ich grzecznie i przyglądają się im podejrzliwie.

Wkrótce biali rzeczywiście przybyli i Dzieci Mambi zobaczyły, że są spokojni, nie żywią złych zamiarów, chcą tylko przedostać się przez Ziemię Kikuju. Niejeden członek klanu przypuszczał, że *ozungu* szukają stałej ojczyzny i niewiele minie żniw, gdy ich już na Ziemi Kikuju nie będzie i wszelki słuch po nich zaginie.

Oczera uspokajała swoje strapione serce przysłowiem: „Świat jest jak ul. Wszyscy wchodzimy tym samym wejściem, ale mieszkamy w innych komórkach”.

Grzmot wyrwał starszą i młodszą Oczere z zadumy. Młoda wyrzała poprzez deszcz na chatę swojego męża, odległą o dwa rzuty włócznią, i nagle znów poczuła ten straszny ból, pragnienie jak głód nienasycony: leżeć w objęciach Madengeja, czuć ciepło ciała tego wojownika, czerpać pociechę z jego gromkiego śmiechu. Ale to tabu dla męża kłaść się z żoną karmiącą dziecko. Musi być cierpliwa. Podniosła koszyk i dalej go wyplatała, myśląc o swoim zagonie kukurydzy, o deszczu i o przyszłości, gdy będzie siedziała w takiej chacie jak ta i przekazywała wiedzę swojej wnuczce.

Jak na ironię myśl, wybiegając w przyszłość, nagle zawróciła do terażniejszości. Ni stąd, ni zowąd Oczera znów myślała o białej kobiecie na wzgórzu, jak gdyby była jakaś mistyczna łączność między nimi dwiema.

## **Rozdział 5**

Słyszając szmer, Grace przypuszczała, że to znowu deszcz.

W swoim namiocie rozpakowywała i układała rzeczy, gdy jej brat i sir James w namiocie-jadalni pili „pod zachód słońca”, chociaż już dawno po krótkim zmierzchu zapadł mrok nocy. Zaczęła przygotowywać się do kolacji, włożyła marynarski mundur i zatrzymała się. Spojrzała na Krzyż Zasługi w aksamitnym puzderku, odznaczenie, którym wynagrodzono jej męstwo na wojnie - marna rekompensata, pomyślała, za życie Jeremy'ego.

Gdy zza ściany namiotu doleciał ten syczący szmer, podeszła do płóciennej klapy i wyjrzała. Ale zobaczyła tylko gęstą mgłę, deszcz nie padał. Popatrzyła wokoło na obozowisko, na widmowe kształty namiotów i rozmazane światła latarni, nasłuchując. Odkąd słońce zaszło, w ożywionej puszczy odzywały się ptaki, cykały świerszcze, rechotały żabki drzewne. Uprzytomniła sobie, że odgłos, który uznała za deszcz, jest rzeczywiście płaczem, i to w sąsiednim namiocie.

Włożyła gruby marynarski płaszcz i po kładkach, już położonych w przewidywaniu błota, pobiegła do namiotu bratowej.

- Rose? Źle się czujesz?

Rose, przy toalecie, siedziała z głową pochyloną, twarzą ukrytą w rękach.

- Co się stało? Dlaczego płaczesz?

Rose wyprostowała się na krześle i delikatnie otarła oczy koronkową chusteczką.

- To takie straszne, Grace. Te obozy, odkąd wysiadliśmy z pociągu w Tłuka. Myślałam, że już się skończyły. Tak bardzo serce mi się wyrywało do normalnego domu.

Grace rozejrzała się po tym namiocie. Był urządzony wytworniej niż jej namiot. Toaletka z lustrem w pozłacanej ramie, na łoż-

ku atlasowe poduszki. Nawet prześcieradła nie były po prostu białe, tylko staromodnie cieniowane, różowe i niebieskie jak cyranka - w kolorach Trevertonów. Zobaczyła, że Valentine zadał sobie sporo trudu, żeby sprawić żonie przyjemność. Potem zauważyła, że nie ma pokojówki Rose.

- Gdzie jest Fanny?

- W swoim namiocie. Mówi, że chce wrócić do Anglii. - Rose zniżyła głos. - Każ mu wyjść.

Grace popatrzyła na Afrykanina, który stał przy klapie namiotu, trzymając butelkę z gorącą wodą i lniany ręcznik. Miał na głowie turecki fez, a długa biała *kenzu* spływała do jego bosych stóp.

- Co masz mu do zarzucenia, Rose?

- On mnie przeraża. Afrykanin przedstawił się:

- Na imię mi Joseph, *memseeb*, i jestem chrześcijaninem.

- Proszę, zostaw nas same - powiedziała Grace.

- *Buana lordi* przykazał, żebym służył tej *memseeb*.

- Wyjaśnię to lordowi Trevertonowi. Możesz odejść, Joseph.

Po odejściu Afrykanina Rose, patrząc na szwagierkę, błagalnie szepnęła:

- Grace, musisz zrobić coś dla mnie!

Grace przyjrzała się jej. Policzki o barwie kości słoniowej teraz płonęły, wargi drżały. Pasma włosów srebrzonych księżycową poświatą wymknęły się spod grzebieni i obramowywały owalną twarzyczkę.

- Co chcesz, żebym zrobiła? - zapytała.

- Chodzi o... Valentine'a. Rozumiesz, ja nie mogę... nie jestem gotowa do... - Rose odwróciła się i na oślep sięgnęła po oprawioną w srebro szczotkę. - Jesteś lekarką, Grace. On ciebie wysłucha. Powiedz mu, że jeszcze za wcześnie po dziecku...

Grace milczała. Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Pomóż mi, Grace. Nie mogę się z tym zmierzyć. Jeszcze nie. Najpierw muszę się przyzwyczaić do... - machnęła rękami - do tego wszystkiego.

-Dobrze. Porozmawiam z nim. Nie martw się tym, Rose. I chodźmy już, panowie czekają.

Wchodząc z mroku do namiotu-jadalni, obie zatrzymały się olśnione.

- Valentine! - wykrzyknęła Grace. - Skąd to wzięłeś, na Boga?

- Trochę się ryzykowało, staruszko, na tej wojnie i w ogóle. Czasami poręczniej jest być śmierząco bogatym - powiedział lord Tre-



verton w wykrochmalonej białej koszuli i czarnym smokingu. Pocałował siostrę w policzek, promiennie uśmiechnął się do żony. -No, kochanie, co powiesz?

Rose patrzyła na krzesła chippendale, na obrus z belgijskiej koronki, srebrne lichtarze i porcelanową zastawę. Gramofon grał walca, kryształ i kieliszki do szampana iskrzyły się w świetle lampy, powietrze było wonne od dzikiego jaśminu.

- Och, Valentine - szepnęła bez tchu. - Jest prześlicznie!

- Pozwólcie, że wam przedstawię naszego gościa - powiedział, wskazując mężczyznę, którego jeszcze nie znali.

Był to oficer okręgowy Briggs, zażywny, po sześćdziesiątce, w wyprasowanym mundurze khaki, w wypucowanym do połysku pasie koalicyjnym.

Valentine nalał aperitif, wzniesli toast za Brytyjską Afrykę Wschodnią, po czym usiedli do stołu.

- Miałam nadzieję, że poznam pana żonę, sir James - zagaiła Grace, siadając obok Donalda, wyglądającego znakomicie w dobrze skrojonym białym smokingu.

- Lucille bardzo by chciała być tutaj. Już od miesięcy nie widziała białych kobiet. Ale niestety w swoim stanie nie może wyjeżdżać z rancza. Spodziewa się naszego trzeciego dziecka już za parę tygodni.

- Słowo daję - powiedział oficer okręgowy Briggs, zanim usiadł naprzeciw nich. - Co za błogosławiony widok, takie dwie panie. Wszyscy biali mężczyźni z okręgu będą tu hurmem ściągać, żeby na panie popatrzeć!

Lady Rose roześmiała się i potrząsnęła głową. Opaska ze sztrasów na jej włosach zamigotała, pojedyncze pióro rybołowa zachwiało się w powietrzu. Zona Valentine'a miała na sobie, według najświeższej mody powojennej, wąską suknię, kreację Poiret ze śmiałym dekoltem karo i długie sznury pereł.

Kolację złożoną z ośmiu dań podawali milcząco Afrykanie w długich białych kenzu. Cicho przynosili srebrne półmiski z tylnej części namiotu.

- Nie jest tak dobrze, jak chciałem - powiedział Valentine, nalewając szampana. - Z powodu wojny mamy tutaj w protektoracie okropne braki.

Oficer okręgowy Briggs zaczerpnął łyżką zupy, jak gdyby to miał być jego ostatni posiłek w życiu.

- Cholerni Niemcy! Gnali za nami niczym psy za lisem. Na opuszczonych farmach wszystko gniło, zbiory niezebrane, kolej wysa-

dzona w powietrze i żadnego medycznego zaopatrzenia. Utraciliśmy pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy, pani doktor. To nie tak jak w Europie, chociaż wam źle się żyło.

- Ja w czasie wojny nie byłam w Europie, panie Briggs - powiedziała Grace spokojnie. - Służyłam na statkach szpitalnych na Morzu Śródziemnym.

Nagle zaległa cisza, tylko odgłosy puszczy dolatywały z zimnej mgły. Po chwili sir James zmienił temat.

- Mamy tylko nadzieję, że spadną deszcze. Przechodzimy kryzys, nie stać nas na klęskę głodu w dodatku.

- Przecież deszcz padał - powiedziała Rose.

- Mówi pani o tym kapaniu dziś po południu? - zapytał Briggs. - To była kropla w wiadrze! Jeżeli dalej tak będzie, możemy się pożegnać ze wszystkimi tutejszymi farmami. W Afryce Wschodniej, lady Rose, kiedy mówimy: deszcz, myślimy o prawdziwym deszczu.'

- Rozumieją panie - wyjaśnił sir James - my tu nie mamy pór roku, są tylko okresy mokre i okresy suche. W Europie sieje się i zbiera. W Brytyjskiej Afryce Wschodniej sieje się i niekoniecznie zbiera.

- Pan mnóstwo wie o tym kraju, sir James. Długo pan jest tutaj?

- Tu się urodziłem. W Mombasie na wybrzeżu. Moja matka była misjonarką, ojciec był poniekąd poszukiwaczem przygód. Tak od siebie różni jak noc i dzień. Historia ich zaręczyn stała się legendą nieomal.

Grace patrzyła na niego. Miał mocny profil, duży prosty nos, zapadnięte kanciaste policzki.

- To wydaje się romantyczne - powiedziała.

- Ojciec podróżował. Poznał Stanleya. Zdarzyło mu się być na pogrzebie Davida Livingstone'a. Coś z tych dwóch przeszło na niego. Zaczął marzyć, że otworzy Czarny Łąd.

- I otworzył?

Sir James sięgnął po kieliszek szampana.

- Pod pewnym względem tak. Był jednym z pierwszych białych, którzy wkroczyli tutaj. Ponad trzydzieści lat temu. Tubylcy na jego widok uciekali przerażeni. Nigdy jeszcze nie widzieli człowieka nie ciemnoskórego.

- I jak pana ojciec sobie z tym radził?

- Sprytnie. W roku tysiąc dziewięćset drugim wybrał się na safari w tej okolicy. Miejscowi Kikuju zagrodzili mu drogę. Zgodzili się go puścić tylko pod warunkiem, że przyniesie deszcz.

Odpowiedział im przez tłumacza, że uważa to za umiarkowaną cenę, i wycofał się do swojego obozu, żeby poczekać. Wkrótce spadły deszcze; całą zasługę przypisali jemu.

Grace się roześmiała.

- Bywał pan z nim na takich wyprawach?

- W dzieciństwie nie. Zanadto zabiegał o nieśmiertelność, żeby obarczać się dzieciakiem. Twierdził, że to on odkrył Wielką Stromą Dolinę, tylko ta chwała okryła kogoś innego. Marzył o tym, by jakieś wspaniałe miejsce nazwano jego nazwiskiem, ale sława wciąż go omijała. Więc został myśliwym. Wtedy już zabierał mnie na safari.

Lady Rose zapytała:

- Sir James, dlaczego to się nazywa „safari”? Co to znaczy. - W języku suahili wędrówka.

Gdy podawano kotlety z gazeli, Grace zastanawiała się nad siedzącym przy niej mężczyzną. Intrygował ją, reprezentował coś tajemniczego, ciekawego.

- Nigdy pan nie wyjeżdżał z Afryki Wschodniej, sir James.' Uśmiechnął się do niej po swojemu, nieśmiało, jak gdyby skrepowany.

- Proszę, niech pani mówi do mnie po prostu James - zaproponował ponownie.

Przypomniało się jej, co napisał Valentine w jednym ze swoich listów: „James Donald, który ma ranczo przy szlaku do Nanyuki, otrzymał tytuł szlachecki za wojenne zasługi”.

- Wyjechałem tylko raz. Do Anglii - odpowiedział na jej pytanie - W roku tysiąc dziewięćset czwartym, kiedy miałem szesnaście lat. Ojciec umarł, opiekował się mną wuj w Londynie. Szesc lat tam byłem, ale musiałem tu wrócić. Anglia jest dla mnie zbyt oswojona, zbyt bezpieczna, zbyt obliczalna.

- I jak to świetnie, że on wrócił - powiedział Briggs, kromką chleba wycierając swój talerz. - Z taką znajomością buszu i tubylców był bezcenny w kampanii przeciw Niemcom.

- Och, proszę, tylko bez żadnych wojennych wspominków - odezwał się nagle Valentine.

Briggs zaoponował:

- Zawsze warto opowiedzieć, jak człowiek uratował człowiekowi życie.

Grace znów sobie przypomniała, co Valentine napisał w innym liście: „Zamierzam kupić ziemię niedaleko rancza Jamesa. To facet, którego poznałem w czasie kampanii”.

Grace nic nie wiedziała o uczestnictwie brata we wschodnio-afrykańskiej fazie wojny. Valentine-oficer przyjechał do Afryki z generałem Smutsem, pokochał tę krainę i zdecydował się tu osiedlić. Teraz, wyczuwając chwilowe zakłopotanie przy stole, pojęła, że początkiem przyjaźni Valentine'a z sir Jamesem musiał być jakiś akt męstwa i poświęcenia. Ponieważ żaden z nich nie chciał o tym mówić, mogła tylko zgadywać, dlaczego tak brata zirytowało poruszenie tego tematu. Czy dlatego, że on woli nie pamiętać o monumentalnym długu, jaki ma wobec sir Jamesa?

- Więc pani jest lekarką, panno Treverton - zwrócił się do niej Bnggs. - Będzie tu pani ciągle bardzo zajęta, to mogę powiedzieć. Brat nam mówił, że chce pani założyć jakąś misję. Ale chyba dosyć już misji mamy w okręgu. Ani w żąb nie rozumiem, czemu wszyscy tak się pałą do edukowania tych dzikusów.

Grace uśmiechnęła się chłodno i odwróciła głowę do sir Jamesa.

- Przyjmuję, że pan bardzo dobrze zna krajowców na tym obszarze. Może będzie pan mógł mnie oświecić, jak pozyskać ich zaufanie.

Valentine odpowiedział za przyjaciela:

- Nikt nie zna Kikuju tak jak James. Jego ojciec został zaszczycony, braterstwem krwi z plemieniem wodza Koinaudz. Był świadkiem tajemnych obrzędów. Nazywali go **Buana Mkubua**, co znaczy: „Wielki Szef”. Nawet mają przezwisko dla Jamesa.

- Jakie?

- **Marandżeru**. To znaczy „Uczciwy”. Nie ma wątpliwości co do jego wyglądu oraz charakteru. - Valentine dał znak jednemu ze służących, żeby zabrał talerze. - Więc krajowcy znają go tak dobrze, jak on ich.

- Czy ci tutejsi są życzliwi?

- Nie sprawiają nam żadnych kłopotów - powiedział sir James. - Kiedyś Kikuju byli bardzo bojowi, ale my, Anglicy, położyliśmy temu kres.

- Tę włóczęnię tam - Valentine wskazał włóczęnię na ścianie namiotu - dał mi Madengej, naczelnik klanu. Jest u mnie brygadziwą.

- Rzeczywiście są nastawieni pokojowo? Sir James przechylił głowę.

- Bo ja wiem. Na oko jak najbardziej akceptują nasze panowanie. Ale nigdy nie wiadomo, co Afrykanin sobie myśli. Kiedy tu przybyli tacy jak mój ojciec, te tubylcze plemiona wydawały się pozostałością z epoki kamiennej. Nie mieli alfabetu, nie znali koła

uprawiali ziemię prymitywnie, nie inaczej niż od stuleci ich przodkowie. Zdumiewające, nigdy nie wpadli na pomysł, żeby zrobić jakąkolwiek lampę, nawet najprostszą, jakiej używali starożytni Egipcjanie. Teraz misjonarze usiłują ich pośpiesznie wprowadzić w dwudziesty wiek. Afrykanin uczy się czytać i pisać, chodzi w butach, posługiwać się nożem i widelcem. Wymaga się od niego, żeby myślał, postępował jak Brytyjczycy, którzy mają za sobą dwa tysiące lat rozwoju. Kto wie, co z tego wyniknie? Może za pięćdziesiąt lat będziemy żałować, że przepchnęliśmy Afrykanów przez taką wyżymaczkę nauczania. Może kiedyś miliony Afrykanów, wykształconych, nagle będą miały dosyć rządów garstki białych i wybuchnie straszna wojna, poleje się mnóstwo krwi.

Sir James umilkł, obracając kieliszek z szampanem na koronkowym obrusie.

- Czy też może to nastąpi wcześniej.

Wszyscy patrzyli na ten kręcący się kieliszek, migotliwy w blasku świec, na falujące za szkłem bladożółte wino.

- Do tego nigdy nie dojdzie - raptownie powiedział Valentine i skinął, żeby podano deser.

Służący przynieśli patery z owocami i blok sera. Oficer okręgowy Briggs uraczył się pierwszy, mówiąc:

- Osobliwa zgraja, te dzikusy. Mają zupełnie inne niż my pojęcie o bólu i o śmierci. Nic ich nie trapi. Od urodzenia uczą się me okazywać słabości. I tak cholernie potulnie godzą się ze wszystkim. Z chorobą, śmiercią, głodem... to dla nich *szaunja mungu*, wola

Boga.

- Oni wierzą w jednego Boga? - zapytała Grace, zwracając się do sir Jamesa.

- Kikuju są bardzo pobożni. Oddają czesc Ngai, stworzycielowi świata. Bóg Ngai mieszka na górze Kenya i nie bardzo się rozm od niektórych wersji Jehowy.

- Błuznierstwo - szepnął Valentine. Sir James uśmiechnął się.

- Kikuju to monoteiści. Z niewielu swoich wierzeń muszą zrezygnować, żeby stać się chrześcijanami, a zyskują na tym wiele. Dlatego misjonarze odnoszą takie sukcesy.

- Kikuju to chyba naród prosty.

- Przeciwnie, i tu właśnie niejedni biali mylą się co do nich. Kikuju są skomplikowani w sposobie myślenia, w strukturze swojego społeczeństwa. Samo wyliczenie ich wszystkich tabu zajęłoby długie godziny.

- Więc nie wyliczajmy - powiedział Valentine i sięgnął po trzecią butelkę szampana. Oczy mu pałały, często spoglądał na lady Rose.

- James, mówił mi pan dziś po południu, że tutaj jest znachor-ka Oczera. Czy ona ma władzę?

-Boże święty, nie. Kobiety Kikuju nie są przywódczyniami. Mężczyźni raczej nie uważają ich za istoty ludzkie. One są własnością mężczyzn. Ojcowie je sprzedają, mężowie kupują. Słowo „mąż” w języku Kikuju znaczy „właściciel”. Słowo „mężczyzna”, czyli *marame*, znaczy „potężny”, „przedmiot wielkiej chwały”, „pan i władca”, a kobieta w języku Kikuju to *make*, co znaczy „osoba podległa”, „krzyk daremny” i „spłoszona”. *Make* znaczy również „tchórz” i „przedmiot nic niewart”.

- To straszne!

- Uważajcie - powiedział Valentine. - Tylko patrzeć, jak moja siostra będzie próbowała zrobić z nich wszystkich sufrażystki.

- Kobiety Kikuju nie uwierzą, że ich los jest straszny. Poczytują sobie za zaszczyt służyć mężczyznom.

- To lekcja, staruszek - powiedział Valentine. - Przydałoby ci się trochę nauki. - Położył ręce na stole. - A teraz, moje panie, ufam, że nam wybaczycie, jeżeli kawę wypijemy tutaj? Niestety, panowie nie mają dokąd wyjść na cygaro.

- Ojej - powiedziała lady Rose. - Chyba nie będziecie palić. Uścisnął jej rękę.

- Nie jesteśmy dzicy, kochanie. W Afryce trzeba być gotowym do poświęceń. Obejdziemy się bez cygar.

Ze swego miejsca po drugiej stronie stołu Grace zobaczyła, jak Rose reaguje na dotknięcie Valentine'a. Zobaczyła te rozszerzone źrenice, czerwone policzki. Gdy Valentine się odsunął, Rose położyła mu dłoń na ręce i było w jej oczach pożądanie.

- Najdroższy - zapytała z lekką zadyszka wskutek szampana -nie sądzisz, że mogłybyśmy pojechać do Nyeri i mieszkać w tym cudownym hoteliku?

- Pod Białym Nosorożcem? Za skarby świata, kochanie. Tam ściany są tak cienkie, że słyhać, co facet w sąsiednim pokoju myśli.

- Ale zrozum, ja bym o wiele bardziej wolała tam mieszkać, dopóki nie zbuduje się Bella Dwa.

- Kochanie, to wykluczone. Z tych małpisonów nie można spuszczać oka ani na chwilę, bo nie będą pracować.

Wystarczy, żebym się odwrócił, oni już uciekają do lasu i piją piwo.

Wyraz powątpiewania zniknął z twarzy lady Rose, gdy wniesiono srebrny samowar do kawy i rozstawiono filiżanki z kostnej porcelany. Uśmiechnęła się z uznaniem do służącego w białych rękawiczkach, który tytułował ją memseeb. Stół wyglądał nienagannie, właściwe łyżeczki leżały na właściwych miejscach, z gramofonu rozbrzmiewała muzyka Debussy'ego. Zapominając o ostrzeżeniu, że na tej wysokości powinna pić ostrożnie, Rose wypila za dużo szampana i kręciło jej się w głowie. Ale nie przejmowała się tym. Czuła rozkoszne ciepło i podniecenie. Daleka od swoich sypialnia-nych obaw, miała nadzieję, że Valentine odwiedzi ją tej nocy w namiocie.

Mąż właśnie mówił:

- Czy wiesz, że słowo „kawa” pochodzi od arabskiego kuaue, a to pierwotnie znaczyło „wino”?

Tymczasem sir James zwrócił się do Grace z pytaniem:

- Kiedy pani przyjedzie na ranczo? Lucille chce jak najprędzej panią poznać.

- W każdej dogodnej dla państwa chwili. Od razu zabiorę się do budowy mojego domu nad rzeką.

-Zobaczymy, jaka będzie pogoda. Może przyjadę po panią w przyszłym tygodniu?

- Chętnie bym przyjęła to dziecko na świat, jeżeli pan mnie wezwie.

- Tego może pani być pewna! - Spojrzał na Grace przeciągle, z namysłem. - Żałuję, że muszę stąd wyjechać już o świcie. Poznanie kogoś nowego w tych stronach to zawsze wielka przyjemność. Ale muszę pomartwić się o kilka moich krów, chorują mi, nie wiem, na co.

- Nie ma tutaj weterynarza?

- Jest w Nairobi. Nie widziałem go od tygodni. Jedyne na takim dużym obszarze, więc ciągle w drodze. Będę musiał pobrać próbki krwi i wysłać do Nairobi do zbadania pod mikroskopem.

- Przywiozłam mikroskop. Więc gdyby... Sir James zapatrzył się w nią.

- Pani ma mikroskop? Moja kochana! - Ujął jej dłoń. - Jest pani darem z nieba! Mogę go na parę dni pożyczyć?

- Oczywiście - odpowiedziała, patrząc na opaloną mocną rękę, zakrywającą jej palce i pierścionek Jeremy'ego.

Wycie rozdarło noc, puszcza eksplodowała kakofonią pisków i krzyków.

- Co to było, do diabła? - Valentine zerwał się na równe nogi.

Jeszcze jedno niesamowite wycie sprawiło, że towarzystwo w namiocie-jadalni nagle otrzeźwiało. Valentine wybiegł, Briggs i James ruszyli za nim. Grace i Rose zostały przy stole. Słyszały szczekanie psów, wrzaski Afrykanów i słabo płacz niemowlęcia.

- Mona - powiedziała Grace. Wstała i podeszła do klapy namiotu. Ale gdy wyjrzała, zobaczyła, że to poruszenie jest na drugim końcu obozowiska, daleko od kwatery Mony i niani.

Mrużąc oczy, patrzyła tam poprzez mgłę. Mężczyźni biegali, zapalali latarnie. A psy... psy ujadają szaleńczo, aż krew ścinała się w żyłach. -Co się stało? - zapytała Rose.

- Nie wiem... - Grace zobaczyła, jak Valentine nasrożony idzie do swojego namiotu. Po chwili stamtąd, wyszedł niosąc bat. - Valentine! - zawołała.

Zignorował ją.

Usiłowała zobaczyć poprzez mgłę, zrozumieć, co się dzieje. Psy szalały, wrzaskliwe uspokajanie ich nie skutkowało. W tym całym hałasie głos lorda Trevertona, chociaż nie donośny, zabrzmiał stanowczo, rozkazująco.

Grace wyszła z namiotu. Głosy ucichły i teraz tylko skomlały psy. Szła we mgle drżąca z zimna, poprzedzana obłoczkami pary swojego oddechu. Usłyszała trzask w powietrzu jak wystrzał, rozpoznała odgłos bata.

Przyśpieszyła kroku, nie wiedząc, że lady Rose biegnie za nią. Okrążyła namiot zaopatrzenia i zatrzymała się.

Mężczyźni - Afrykanie w szortach khaki, służący w *kemu* i ci trzej biali - stali kołem, a pośrodku był przywiązany do drzewa chłopiec Kikuju z pośladkami wystawionymi na razy opadającego bata. Nawet nie drgnął, nie jęczał, gdy krwawe pręgi znaczyły mu się na czarnej skórze.

Grace patrzyła ze zgrozą.

Valentine miał twarz kamienną, zamierzając się znów batem. Widziała, jak mięśnie mu się napinają pod wieczorową koszulą, mokrą teraz od mgły i potu. Smoking zdjął do bicia. Bat opadał bezlitośnie. Chłopiec obejmował drzewo tak nieruchomy, jakby był wyrzeźbiony w tym czarnym pniu. Valentine szerzej rozstawił nogi, znowu podniósł rękę i przelotnie łuna latarni rozświetliła mu oczy, dziwną w nich pasję i wprost przerażającą siłę.

Gdy bat opadł, Grace krzyknęła.

Valentine nie przyjął jej krzyku do wiadomości.

*Kiboko* podnosił się, opadał, jeszcze jedna i jeszcze jedna czerwona pręga.



- Valentine! Przestań! - Chwyła go za przedramię, ale strząsnął jej rękę. Sir James ją przytrzymał. Rozgniewała się na niego. - Jak pan może zgadzać się na to?!

Odpowiedział Briggs.

- Ten chłopak miał pilnować psiarni. Ale upił się i zasnął. Lampart się dostał, porwał psa.

- Ale... tylko psa!

- Nieistotne. A gdyby on tak miał strzec pani czy piastunki z dzieckiem? Co wtedy? Należy mu dać nauczkę. Bez dyscypliny równie dobrze można by od razu się spakować i wrócić do Angin.

Ostatnie uderzenie trzasnęło, Valentine zwinął bat. Biorąc swój smoking od sir Jamesa, powiedział siostrze:

- Tak trzeba, Grace. Wszyscy zginiemy w tym zapomnianym przez Boga kraju, jeżeli nie będziemy mieli prawa i porządku. Nie akceptujesz tego, nie dla ciebie Afryka. .

Gdy odszedł, jeden ze służących podbiegł do chłopca z miednicą i ręcznikami, gromada się rozeszła.

- Brutalność i okrucieństwo nigdy nie są konieczne - powie- Ale to jedyne język, jaki oni rozumieją - wyjaśnił sir James. -

Dla nich dobroć to słabość, a słabością pogardzają. Brat pani okazał siłę, postąpił po męsku i dlatego będą go szanować.

Grace odwróciła się gniewnie. Dopiero wtedy ze zdumieniem zobaczyła postać we mgle przy namiocie zaopatrzenia.

Lady Rose stała jak wryta, oczy jej były plamami na bladej twarzy.

- Wracaj do namiotu, Rose - powiedziała Grace, biorąc ją pod ramię. - Dygoczesz. .

Ciepło szampana już uszło. Rose miała znow policzki chłodnego koloru kości słoniowej.

- Grace, pamiętaj, co obiecałaś - szepnęła. - On nie może mnie dotknąć. Valentine nie może zbliżyć się do mnie.

## ***Rozdział 6***

Co uczyniły Dzieci Mambi, że Ngai się rozgniewał? Pan Jasności wstrzymał deszcz, susza była na Ziemi Kikuju, zagrażał głód, który sprowadza złe duchy choroby.

Tego dnia, niezwykle o tej porze upalnego, młoda Oczerza, pracując w puszczy bardzo się pociła. Nie pracowała sama. O rzut włócznią dalej starsza Oczerza tak samo pochylona zbierała lecznicze zioła i korzenie przy dźwiękach muzyki, jaką wydzwaniały niezliczone paciorki jej naszyjników i bransolety z miedzi na rękach i kostkach.

Obie zrywały też liście kasztanów i korę głogowców - liście do tamowania krwi, korę, bo to lek na dolegliwości żołądkowe. Starsza Oczerza już nauczyła wnuczkę rozpoznawać czarodziejskie rośliny, zbierać, przygotowywać i stosować ich liście i korę. Wszystko odbywało się zupełnie tak samo jak w czasach przodków, gdy chodziły po tej puszczy ówczesne znachorki. Babka wyjaśniła młodej Oczerze, że ziemia jest Wielką Matką i to, co z niej pochodzi, jest dobre: pożywienie, woda, leki, nawet miedź służąca ku ozdobie. Matkę trzeba czcić i dlatego obie Oczerzy, pracując, skandowały uświęcone zaklęcia.

Na pozór babka była pełna spokoju. Stara Afrykanka o ruchach wdzięcznych, skromnie przyodziana w miękkie kozie skóry, z głową ogoloną, połyskliwą w prażącym słońcu, zwinnie, szybko brązowymi palcami przebierała liście i gałązki, zrywała, odrzucała, odróżniając jednym spojrzeniem mądrych starych oczu lek skuteczny od niekoniecznie skutecznego. Jej uświęcone zaklęcia brzmiały jak piosenka, niefrasobliwe nucenie, aż mogłoby komuś postronnemu się wydawać, że ta kobieta nie ma żadnych trosk i nic jej nie leży na sercu.

Ale w rzeczywistości starsza Oczerza rozmyślała o niejednej trapiącej ją sprawie, badała i selekcyonowała zagadnienia nie inaczej niż jej palce sunęły po roślinach. Jak wyleczyć bezpłodność Gaczy-ku? Według jakiego przepisu przyrządzić dla Endżoro napój wzbudzający miłość? I trzeba poczynić przygotowania przed rychłymi już obrzędami wtajemniczenia; trzeba urządzić uroczystość przywołania deszczu. W dobrych czasach Bóg Jasności słyszy podziękowania i pochwały, w złych czasach udeptywana jest ścieżka do chaty znachorki.

Właśnie dzisiaj rano pani Niagudi, garncarka klanu, przyszła z ubolewaniem, że jej garnki tłuką się, nie wiadomo dlaczego. Oczerza wyciągnęła swój Worek Pytań i rzuciła kije wróżebne do stóp tej kobiety. Odczytała z nich, że zostało pogwałcone tabu: do garncarki Niagudi przyszedł mężczyzna. Garncarstwo to praca wyłącznie kobiet, bo Pierwsza Kobieta nazywała się Mambi, co znaczy „Ta, Która Wyrabia Garnki”. Od początku do końca wykonywaniem gliny, lepieniem, suszeniem, wypalaniem garnków, a ostatnio sprzedają ich i kupnem zajmują się tylko kobiety. Prawo Kikuju zabrania mężczyźnie dotykać jakichkolwiek rzeczy związanych z tą pracą, a także być obecnym w jakiegokolwiek chwili przy jej wykonywaniu. Tajemnicza tłukliwość garnków Niagudi może jedynie oznaczać, że mężczyzna rozmyślnie czy też nierozmyślnie wtargnął na to miejsce tabu. Teraz trzeba złożyć kozę w ofierze pod uświęconym figowcem, a garncarnię obrzędowo oczyścić.

Najbardziej jednak ciążyła Oczerze myśl o suszy. Co jest przyczyną? Jak przebłagać Ngai, żeby zesłał deszcz? Popatrzyła na ubogą zawartość koszyka: troszkę zeschniętych liści, żdzbla trawy suchej jak słoma. Ich działanie lecznicze będzie słabe, więc choroba znów uderzy w Kikuju. Grunt pod jej bosymi stopami był spieczony i pokryty kurzem. Wielka Matka rozpaczliwie pragnęła wody. W wiosce kukurydza na zagonach zwiędła i uschła, zapasy ziarna zmieniły się w proszek, z gałęzi smutno opadały liście.

Podnosząc wzrok na pasmo wzgórz nad rzeką, znów pomyślała, że roboty tam nie ustają. Wielkie metalowe potwory obalają drzewa, wrywają pniaki: woły ciągną wielkie metalowe szpony, które ranią ziemię; biały na koniu pokazuje bat synom Mambi, a oni pod niebem bez deszczu harują jak kobiety! Oczerza nieomal słyszała płacz przodków.

Przyszło jej na myśl, że może nad Kikuju zawisła *tseha*.

*Tseha* znaczy „zło” albo „grzeszna sprawa”. Jest to klątwa, która kala ziemię i powietrze. *Tseha* może ściągnąć na człowieka

chorobę i śmierć, może zniszczyć zbiory, wyjałować krowy i owce, kobiety straszyć złymi snami. W puszczy roi się od wszelkich duchów. Dzieci Mambi umieją uważać na siebie, żeby nie obrażać duszków drzew czy ducha w rzece. Wiedzą, że diabły przywierają do czarnej opończy nocy i że dobre objawienia Ngai wlatują na skrzydłach poranka. Czary są wszędzie, w każdym liściu, każdej gałęzi, w krzyku ptaka-tkacza, we mgłach zasłaniających Boga Jasności. Ponieważ jest ten drugi świat, Świat Niewidzialny, i ponieważ ma swoje prawa i kary, Dzieci Mambi baczą, by jego praw przestrzegać. Nigdy nie wykopuje się ostatniej bulwy z ziemi ani nie wyczerpuje się studni do dna, nie łamie się złośliwie drzewa, nie przewraca kamienia. A już jeśli się wykroczy przeciwko królestwu duchów, trzeba przeprosić, udobruchać duchy darami. Ale gdy ktoś przez niedbalstwo nie przeprosi należycie za swoje wykroczenie, **tseha** sprawi, że kara spadnie na Dzieci Mambi. Tylko co teraz ściągnęło tę „złą rzecz“?

**Tseha** to najpotężniejsza siła na ziemi, Kikuju zawsze o tym wiedzieli. Rzucanie klątwy na członka klanu jest gorsze niż morderstwo. Ludzi, którzy popełnili **tsehe**, pali się na stosie, a ci, którzy są ofiarami **tsehy**, raczej nie mogą mieć nadziei. Starsza Oczera widziała, jak ktoś w jej rodzinie postradał zmysły, gdy siostrzeniec zazdroszczący mu dużego stada kóz rzucił na niego **tsehe**. Będąc małą dziewczynką widziała, jak czarownik skomplikowanym obrzędem usiłował uwolnić tego nieszczęśnika od klątwy. Ale daremnie. **Tseha** jest potężniejsza niż ludzkie leczenie. Rzadko daje się klątwę odczarować. Dlatego Dzieci Mambi nie przeklinają bez zastanowienia.

Po niezbyt owocnym poszukiwaniu leków obie Oczery nazbierały chrustu, związały suche patyki w ogromne pęki i przymocowały je sobie do pleców paskami skóry, których końce zasupłały na czołach. Ładunki były ciężkie, babka i wnuczka zginały się pod nimi tak, że twarze pochylały nad ziemią. Stara szła pierwsza, z wprawą nabytą w ciągu siedemdziesięciu lat, równoważąc ciężar. Człapały piaszczystym szlakiem do wioski odległej o wiele, wiele rzutów włócznią. Biali nazywali tę odległość: pięć mil.

W drodze młoda Oczera myślała o swoim mężu. Czy Madengej przyjdzie dziś na noc? Ostatnio pokazał się u niej wtedy, gdy urodziła. Według prawa Kikuju mąż nie może zobaczyć noworodka, dopóki nie da żonie kozy. Madengej przyszedł taki wysoki i smukły w swym czerwonym kocu zawiązanym na ramieniu. Już nie chodził z włócznią, bo prawo białych zabroniło tego wojownikom. Zamiast włóczni miał laskę, z którą wyglądał godnie.

W czasie codziennej pracy - przynoszenia wody z dalekich sadzawek w wyschniętym korycie rzeki, zbierania drobnej cebuli i uschniętych kaczanów kukurydzy, dojenja kóz, obrabiania skór, zamiatania w chatach i naprawiania strzechy - Oczera wypatrywała męża wysoko na wzgórzach. Często siedział w cieniu drzewa i rozmawiał z innymi Kikuju, czasami słyszała, jak śmieje się z tym białym. Gdy przychodził do wioski, przebywał w swojej kawalerskiej chacie, gdzie kobiety nie miały prawa wstępu, i zadziwiał braci i krewniaków opowieściami o ozungu.

Oczera była coraz bardziej ciekawa tych obcych. Nieraz przerywała pracę, żeby popatrzeć na dziwną ozungu, dla której wznoszono tajemniczą budowlę na brzegu rzeki - tylko cztery słupy ze strzechą. I nie mogła się nadziwić strojowi tej białej. Całe ciało zakryte przed powietrzem, owiązane jak dziecko w płótnie na plecach matki, tyle że czarna spódnica zwisa luźno i wlecze się po piachu. Niezyciowa odzież na takie gorące dni, myślała Oczera, obietta Kikuju.

Ozungu wydawała rozkazy byłym wojownikom, którzy budowali jej chatę i mówili do niej memseeb dektari - „pani doktor”.

Oczera zastanawiała się, do jakiej grupy wieku należy ta dektari. Jej, Oczery, grupa nazywała się Kitsingitsja, bo została wtajemniczona w roku Puchnącej Choroby, którą biali nazywali influen-zą, panującej w roku 1910.

Przypuszczała, że dektari jest mniej więcej jej rówieśnicą, więc może ją obrzezano w tym samym roku. Jeśli tak, to one są siostrami krwi.

Ta memseeb intrygowała Oczere również tym, że najwyraźniej była jedną z żon białego, a jeszcze nie miała dzieci. Cała wioska mówiła, że buana lordi musi być bardzo bogaty, skoro oczyszcza taką ogromną szembe i ma co najmniej siedem żon. Ci Kikuju nie wiedzieli, że doliczają siostrę lorda Trevertona oraz pannę służącą lady Treverton, nianię Mony, dwie pokojówki, szwaczkę i kucharkę, sprowadzone z Anglii. Tyle żon, wydziwiali Afrykanie, a tylko jedno wśród nich toto, jedno dziecko. I żadna z tych kobiet nie ma brzucha! Czy te żony są bezpłodne? Więc dlaczego on ich nie odsprzeda ich ojcom? Takie bezużyteczne stworzenia, chyba był jakiś zły urok. Buana lordi powinien znaleźć innego czarownika.

Coś jednak zdumiewało Oczere jeszcze bardziej w tym nowym buana. Wiedziała, że pomiędzy plemionami ozungu toczyła się przez osiem zniw wielka wojna. Buana lordi wrócił z wojny, żeby zbudować płócienne chaty i popędzić metalowe potwory do wyraż-

bania puszczy. A teraz przybyły jego żony, najpewniej to kobiety pojmane w czasie wojennych napadów. Ale... gdzie te zabrane stada? Jakiż wojownik wraca z wojny bez bydła nieprzyjaciela?

W końcu Oczerza przestała dumać o białych i powróciła myślą do męża.

Czym go zwabić, żeby przyszedł do niej? Chociaż zbiory są nędzne, a kozy chude, przygotowałyby dla niego ucztę. Dałaby mu resztę swojego dobrego piwa, byłaby uległa, wcale by się nie żaliła. Gdyby tylko on przyszedł... Chciała poprosić babkę o napój miłosny i nic mężowi nie mówiąc, dać mu do wypicia, ale wiedziała, że staruszka ma ważniejsze sprawy na głowie.

Będzie złożenie ofiary pod poświęconym figowcem i błaganie

o deszcz.

Przypomniała sobie ostatni raz, gdy to się odbywało, bo wybrano ją, by uczestniczyła w uroczystości. Tylko czysti i bez winy mogą w niej uczestniczyć: starcy po wyzbyciu się doczesnych pragnień, zajęci tylko sprawami duchowymi; kobiety niezdolne już do rodzenia, więc niewzbudzające żądz; i dzieci poniżej lat ośmiu, bo mają dusze niewinne i nie są skalane grzechem.

Owa uroczystość miała miejsce pod tym właśnie figowcem, który był sercem małej wioski Oczerzy. Drzewo, uznane za prastare, już okazało, że jest błogosławione, ocaliło rodzinę przed chorobą

1 głodem w Roku Przeprowadzki Oczerzy Za Rzekę. Młoda Oczerza nie wątpiła, że teraz też obrzędem deszczowym ubłaga się przodków, mieszkających w czcigodnym figowcu, by zesłali deszcz.

Doszła z babką do rzeki i poczłapały po mokrym dnie koryta na północny brzeg. Na brzegu, wychodząc spośród drzew, starsza Oczerza krzyknęła. Ogromny żelazny potwór z człowiekiem na grzbiecie tratował chatę młodej żony Madengeja.

Starsza Oczerza zaczęła wrzeszczeć do człowieka na potworze, ale ten Masaj w szortach khaki zbył starą lekceważąco, tylko młodej przyjrzał się z zainteresowaniem. Gdy żelazne bydło charczało, bekało i miażdżyło chatę swymi dziwnymi nogami, babka stanęła przed nim tak, że Masaj musiał to zwierzę zatrzymać, uciszając jego ryk.

- Co robisz? - zapytała.

Odpowiedział najpierw w języku Masajów, potem w suahili i w końcu po angielsku, lecz z tego wszystkiego obie Oczerzy nic nie zrozumiały. Ostatecznie więc rzekł tylko:

- Madengej. - i wskazał wzgórze.

Stał tam rosły, urodziwy wojownik i patrzył w dół. Obok niego stała i też patrzyła biała *memseeb*.

## **Rozdział 7**

Jeżeli *memseeb dektari* wybaczy - powiedział brygadzysta ffikuju -kanciasty dom to nieszczęście. Złe duchy mieszkają w kątach. Tylko okrągły dom jest bezpieczny. .

Grace spojrzała na porębę, gdzie wreszcie po siedmiu miesiącach zaczęło się budowanie jej domku, i powiedziała cierpliwie: - Wszystko w porządku, Samuel. Ja wolę kanciasty dom Samuel Ohajro odszedł, potrząsając głową.

Chociaż był Kikuju ochrzczonego i jednym z niewielu, którzy ubierali się jak Europejczycy i mówili po angielsku, wprost głupiał wobec poczynań bia-

<sup>ty</sup>CÓŻ za chodzące paradoksy, pomyślała Grace, ci nawróceni Afrykanie. Na pozór całkowicie zeuropeizowani, ale umysłem i duchem nadal wrośnięci w przesady Kikuju.

Patrząc na gołe zaczątki swojego małego domu, poczuła dreszcz podniecenia. W marcu, gdy się wprowadziła do namiotu w obozowisku Valentine'a, nie przypuszczała, że tak długo będzie czekać na własny dom. Ale jakoś wszystko się sprzysięgło, żeby opozmac budowę. Z powodu suszy pola kawowe Valentine'a wymagały wzmożonej pracy, Kikuju mieli częste wielodniowe święta i okresy upijania się piwem, a jeśli już pracowali, to w ślamazarnym tempie nie do zdzierzenia dla Brytyjczyków. Wreszcie jednak postawili jej małą przychodnię - na czterech słupach dach kryty strzechą - dużą kwadratową chatę z mułu dla pacjentów pod obserwacją. Teraz można było zacząć budowę domu dla mej.

Narysowała prosty plan dla robotników i codziennie przychodziła do obozowiska, żeby ich kontrolować. W rezultacie poranną ciszę nad rzeką zamęcały nieustannie zgrzyty i łaskoty piłowania i przybijania, gdy obrabiali belki, kładli fundament, dopasowywali

drzwi. Na wzgórzu już stał parter domu Bella Dwa, i teraz tamta ekipa budowała w dzień i w nocy, prawie bez przerwy, pierwsze piętro. Hałas z obu tych terenów budowy był wielki, aż się wydawało, że te dwa zespoły współzawodniczą ze sobą, który pracuje głośniej.

Spojrzała na piaszczysty szlak biegnący ze wzgórza. Sir James miał przyjechać po nią swoją nową ciężarówką wczesnym rankiem, a dochodziła już siódma.

Grace wybierała się do Nairobi, żeby poznać naczelnego lekarza okręgowego i porozmawiać z nim o możliwościach kształcenia Afrykanów w zakresie racjonalnego odżywiania i higieny. Siedem miesięcy temu, po przyjeździe z Rose i jej niemowlęciem, wyruszyła w towarzystwie tłumacza do chat miejscowych ludzi. To, co zobaczyła - kiepski stan zdrowia, zwyczaj sypiania z kozami, niezliczone pchły - zgorszyło ją i przeraziło. Przywiozła do Brytyjskiej Afryki Wschodniej kufer pełen lekarstw, bandaży i instrumentów chirurgicznych, ale co z tego? Zdała sobie sprawę, że na niewiele to się zda wobec takiego niedożywienia, chorób endemicznych i na ogół strasznych warunków, w jakich ci ludzie żyją.

Tutaj, zdecydowała, zacznie się moja praca wśród Kikuju, nie w przychodni z depresorami do oglądania gardła i z termometrami, tylko w tych obejściach i przy tych ogniskach. Afrykanów trzeba nauczyć, że to sposób ich życia, a nie złe duchy, jest przyczyną chorób i cierpień.

Chociaż pismem od naczelnego lekarza okręgowego zawiadomiono ją, że za mało mają wyszkolonego personelu, by jej kogoś przysłać, czyli będzie zdana na siebie, chciała spróbować w Nairobi osobiście postarać się o pomoc.

Usłyszała teraz warkot silnika. Tuman kurzu wzbijał się za ciężarówką sir Jamesa. Z tyłu siedziało czterech Afrykanów; mieli wycinać szlak, przeprowadzać ciężarówkę przez bagna i przeszkody, i pilnować jej na ulicach Nairobi, wciąż jeszcze miasta bezprawia.

Siadając obok sir Jamesa w szoferce, zobaczyła tę młodą Afrykankę, wnuczkę znachorki. Stała na skraju nowego wyřębu, patrząc na nią.

Konie pędziły po wzgórzu wściekłym galopem, tętent był jak grzmoty, pochyleni jeźdźcy wysoko unosili się w strzemionach, zręcznie popuszczając i ściągając wodze. Lord Treverton jechał



prawie na przedzie, elegancki, w czarnym cylindrze, szkarłatnej kurtce z Savile Row i białych bryczesach. Powietrze w ten chłodny poranek miało ostry smak; trawę, żółką na kolor herbatnika, pokrywała rozmigotany kobiercem rosa. Skronie Valentine'owi pulsowały, czuł, że żyje, czuł się niepokonany.

Brygadier Norich-Hastings, gospodarz polowania, jechał pierwszy za sforą czterdziestu psów. Przy nim galopował łowczy, Kikuju imieniem Kipenia, który, chociaż ubrany w czerwoną koszulę i czarną aksamitną czapkę, stopy w strzemionach miał bosc. Wyuczony przez swego pana odwiecznych „okrzyków” myślistwa panował nad psami wrzaskiem i dęciem w miedziany róg. Trzech pomocników pilnowało, żeby psy się nie rozbiegały. Ci, również Afrykanie w prestiżowym myśliwskim umundurowaniu, jechali tak samo bez butów. Za nimi goście brygadiera Norich-Hastingsa, „elegancki świat” Brytyjskiej Afryki Wschodniej, pędzili po równinie Athi niedaleko Nairobi jak po angielskich błoniach.

Doprawdy, to polowanie odbywało się jak najbardziej tradycyjnie: byli starsi stajenni i chłopcy stajenni, byli naganiacze i psiarczyki - z tą tylko różnicą, że celem był nie lis, tylko szakal.

Zaczął się o brzasku od zbiórki na frontowym trawniku brygadiera Norich-Hastingsa, gdzie podano herbatę i bułki. Na rozkaz pana puszczone psy, żeby szukały zwierzyny. Psy dały głos, gdy wywęszyły szakala; Norich-Hastings zawołał:

— Lisa bierz

I śmietanka towarzyska Brytyjskiej Afryki Wschodniej pogalopowała za sforą, niektórzy przeklinając tę o jedną za dużo butelkę szampana wypitą poprzedniej nocy, ale wszyscy w doskonałym nastroju, pewni swojej wyższości nad wszelkim stworzeniem.

Valentine na Excaliburze, importowanym arabskim ogierze, jechał za gospodarzem. Za nim jego ekscelencja gubernator, a za gubernatorem hrabia Duszyński, polski emigrant. Rose nie była na polowaniu. Tym razem nie było jej nawet w Nairobi. Poprosiła męża, żeby ją zostawił w domu, gdzie nie odczuje tak bardzo - powiedziała - okropnego wrześniowego upału. Valentine chciał ją zabrać ze sobą, ale się nie upierał. W Anglii Rose też nie lubiła polowań, zawsze współczuła biednemu lisowi. Jej ogromna sympatia do zwierząt zaczynała się rozciągać na sieroty puszczy, małe hyraksy i małpy, które oswajała i trzymała w domu.

Konie i kuce biegly coraz prędezej. Podniecenie wzrastało; tym bardziej że dołączał się dreszczyk ryzyka. Nie dawniej niż w poprzednią niedzielę psy zagoniły na drzewo warczącego lamparta

*i* gospodarz, który zawsze miał przy sobie rewolwer, musiał go zastrzelić. I chociaż tu nie było takich jak w Suffolk żywoptów czy zdradzieckich strumieni do przeskakiwania, to jednak afrykańskie polowanie na lisa mogło być niebezpieczne. Tego roku w maju koń pułkownika Maysheda potknął się w niewidocznej jamie i, padając na głowę, pułkownik poniósł śmierć.

Dochodziła już godzina dziewiąta, słońce wschodziło, na spieczonej żółtej równinie robiło się gorąco. Wskutek braku deszczu protektorat zmienił się w ponurą opuszczoną przez Boga krainę płowiejących szkieletów, zagłodzonego bydła i uschłych plonów. Ale to polowanie było dobre, towarzystwo wesołe i dowcipne, a na końcu czekało wszystkich wspólnie wielkie śniadanie.

Raptownie psy się zatrzymały i cofnęły. Gdy konie stanęły dęba, rżąc wśród zdezorientowanej sfory, jeźdźcy ujrzeni, jak z suchego buszu wyłania się duży struś. Zatrzepotał skrzydłami i ruszył ku psom, które nadal cofały się ze skomleniem. Kipenia i brygadier usiłovali je uspokoić, ale struś swym udawanym atakiem już je skutecznie zastraszył.

- Patrzcie! - wykrzyknęła lady Anne Bolson. Z buszu wyszło niezdarnie stadko strusiątek. Mąż lady Anne, wicehrabia, sięgnął pod kurtkę, wyciągnął kieszonkowego kodaka i pośpiesznie pstryknął zdjęcie.

Po chwili ukazała się strusia mama. Rodzice otoczyli dzieci, po czym cała rodzina ruszyła krótkim galopem, pozostawiając za sobą kłębiące się psy i roześmianych jeźdźców. Polowanie się skończyło.

Na werandzie domu brygadiera Norich-Hastingsa, właściciela dużej plantacji sizalu, czekały zastawione stoły. Porcelana i kryształ, biel obrusów jaśniały dla wyczerpanych, ale zadowolonych gości jak latarnie przystani dla rozbitków. Afrykańscy służący Norich-Hastingsów pod nadzorem lady Margaret, pani domu, stali usłużnie w długich białych *kenzu* przepasanych szkarłatnymi szarfami. Gdy goście, ocierając czoła i śmiejąc się z incydentu z rodziną strusi, weszli na werandę, ci Afrykanie natychmiast zaczęli podsuwać im krzesła, podawać serwetki, nalewać herbatę. Potem przynieśli srebrne tace, załadowane pokrojonymi *popo* i bananami, wazy z parującą owsianką, półmiski pełne jajek sadzonych na kruchym bekonie. I potoczyły się przy stołach pełne ożywienia rozmowy.

- W zeszłym tygodniu natarł na mnie bawół - wybił się tubalny głos kapitana Drapera z pułku Królewskich Strzelców Afrykańskich. - Jeden z moich Okemba powiedział mi, że to znaczy, że mo-

ja żona ma kochanka. Odpowiedziałem: no to wściekle niebezpiecznie jest w Tygodniu Wyścigów w Nairobi wyjechać na safari, bo chyba w całym tym kraju roi się od szalejących bawołów.

Wszyscy przy jego stole ryknęli śmiechem. Przy sąsiednim rozmawiano poważniej.

- Cały ten nacisk, żeby dać Azjatom prawo głosowania! I z jaką cholerną zawziętością oni żądają prawa do zasiedlenia gor! Ja twierdzę, że nasz protektorat to biały syn Korony, a nie wnuk Azji. Oni mają Indie. Niech tam wróca, jeżeli im się me podoba stan rzeczy tutaj. Według mnie Brytyjska Afryka Wschodnia to właśnie to miejsce, gdzie muszą panować angielskie ideały i tradycje, angielski sposób życia. Więc powiadam, zachowajmy te góry dla nas, białych.

Valentine tylko na pół słuchał. Tętno po szalonej jeździe wciąż jeszcze miał przyśpieszone, prawie nie mógł usiedzieć spokojnie. Chciał już wyruszyć w dziewięćdziesięciomilową podróż do domu. Śpieszył się ze swoją niespodzianką do Rose. Ta część ludności, o jakiej mówiono, wcale go nie interesowała. Byli to sprowadzeni w roku 1896 do budowy połączenia kolejowego z Ugandą robotnicy z Indii którzy później zostali w Kenii, przedzierzgając się w sklepikarzy i urzędników biurowych. Ci Azjaci nalegali, żeby rząd Jego Królewskiej Mości przyznał im w protektoracie prawo głosowania na równi z białymi oraz prawo osiedlania się na wyżynie, najlepszym obszarze Afryki Wschodniej rozciągającym się od Nairobi daleko za posiadłość Trevertona. Garstka Europejczyków nie chciała do tego dopuścić.

- Jedyne wyjście to domagać się statusu kolonu - powiedział młody człowiek w miękkim filcowym kapeluszu subtropikalnym z urzędową odznaką na podniesionym z jednej strony rondzie. -Lord Delamere ma rację. Gdybyśmy stali się kolonią, bylibyśmy formalnie przyłączeni do Wielkiej Brytanii i to by uprawniało Koronę do dysponowania tą ziemią według swojego uznania. Jako protektorat jesteśmy właściwie sierotami. Ale z nami jako kolonią trzeba by się było liczyć.

Valentine sięgnął po marmoladę i posmarował nią grubo swoją grzanekę. Świeże masło, śmietana i ser też były na tym stole, a nawet kawa Nairobi i herbata Darjeeling! Tam, w powojennej Anglii, jeszcze wszystko racjonowano: tutaj, w protektoracie, ceny bardzo podskoczyły, towaru importowanego było mało, a przeciętni rolnicy borykali się, żeby przetrwać z dnia na dzień. Ale plantacja sizalu brygadiera Norich-Ha-

stingsa przynosiła dochody, więc ten emerytowany generał mógł sobie pozwolić na szczodrobliwą gościnność. Valentine żałował, że sir James tu z nim nie przyjechał. Przydałaby się przyjacielowi taka chwila wytchnienia, możliwość uraczenia się przyzwoitym jadłem. Życie na farmie Donaldów w Klima Simba było proste i trudne. Lucille musiała zajmować się dwoma małymi synkami i niemowlęciem, sama wytwarzać drożdże, smażyć dzemy na sprzedaż, bo przydawało się kilka dodatkowych rupii, łątać i cerować garderobę, nadającą się, zdaniem Valentine'a, już tylko do wyrzucenia. Tymczasem jej mąż, cały dzień w siodle! dokonywał przeglądu swojej dużej trzody, staczał coraz trudniejsze bitwy o zaopatrzenie w wodę, doglądał preparowania rozczywnu owadobójczego, zawsze potrzebnego ze względu na choroby roznoszone przez pchły, i pilnował, żeby jego ludzie nie uciekali i nie upijali się piwem, tylko pracowali. Sir James nie był bogaty jak na kryteria lorda Trevertona, ale był najuczciwszym i najbardziej pracowitym człowiekiem, jakiego Valentine kiedykolwiek w życiu spotkał. Śmierć nie przyszła po Jamesa w tym upiornym momencie niedaleko granicy Niemieckiej Afryki Wschodniej i lekarze wojskowi nazwali cudem fakt, że przeżył, ale gdyby poległ, Afryka Wschodnia poniosłaby dotkliwą stratę. Tytuł szlachecki Jamesa Donalda, będący nagrodą za jego wprost nadludzkie męstwo, wydawał się Valentine'owi czymś stanowczo za skromnym.

- Facet był kapitanem drużyny Eldoret - doleciał głos Norich-Hastingsa. - Cały dzień trwał ten mecz krykietowy z Kisumu. On wylosował pierwszeństwo, wybrał bijak i wszedł, żeby zacząć grę. W porze podwieczorku jeszcze biegał.

Tej opowieści Valentine słuchał i śmiał się jak wszyscy. Był w doskonałym humorze, również i z powodu wizyty, którą miał po południu złożyć doktorowi Hare'owi w Nairobi. Doktor Hare zgodził się udzielić mu prywatnej konsultacji w swoim gabinecie przyjęć, chociaż była niedziela. Z pewnością jakoś rozwiąże problem z Rose..! Poczęstował się ostrą potrawką z nerek i jajecznicą, i prawie nie słuchając ogólnej rozmowy o uprawie kawy, przypomniał sobie, że to właściwie z jego winy nastąpił we współżyciu seksualnym z żoną taki kryzys. Ostatecznie, uznał, może nie być łatwo damie tak delikatnej i tak wychowanej jak Rose zrezygnować z wygodnego życia i błyszczenia w salonach po to, by zamieszkać w namiocie w buszu! Odmiennie od Grace, wyraźnie zachwyconej każdym afrykańskim wyzwaniem, Rose boi się w Afryce wszystkiego. I brak tu pań jej pokroju, które

by ją podtrzymywały na duchu. Lucille Donald niewiele ma czasu na towarzyskie herbatki, zresztą one tak różnią się od siebie jak noc i dzień. Hieny w kurniku czy przepis na domowy klej z kopyt bawolich nie obchodzą Rose. A Lucille wcale nie interesuje się modą, długością sukien ani doniesieniami, gdzie rodzina królewska spędza wakacje. Wydaje się jednak, że Rose przystosowuje się dosyć dobrze, chociaż przeważnie jest sama. On całymi dniami pilnuje plantacji, żeby odpowiednio się zajmowano młodziutkami drzewkami kawowymi, a Grace uwija się, starając ściągnąć miejscowych Afrykanów do swojej przychodni. Teraz, gdy wszyscy się śmieli rozbawieni jakąś anegdotą, Valentine pojął, że Rose nawet ceni sobie swoją samotność.

- Mam pięćset akrów kawy do zebrania - powiedział ktoś z Limuru - ale bez deszczu jagody są małe, za dużo ich się nie nadaje, kawa z takich ziarenek kiepsko wygląda. - Zwrócił się do Valentine'a. - A jak pana plony?

- Raczej nie najgorsze.

Nikt przy jego stole się nie zdziwił. Fakt, że lord Treverton to szczęściarz i wciąż dobrze mu się powodzi, był szeroko omawiany we Afryce Wschodniej. Chyba wszystko, czego on dotknie, zamienia się w złoto.

- Słyszałem, że pan zbudował zaporę na Chanii.

- Tak. W marcu, kiedy się zapowiadało, że deszczów nie będzie, wykopałem bruzdę, żeby nawadniać pola.

- Musiała zdumiewać Murzynków taka manipulacja z rzeką. Oni, wie pan, nigdy nie wybiegają myślą naprzód, nie mają pojęcia o jutrze. Uprawiają akurat tyle, ile mogą zjeść dzisiaj, nigdy się nie zastanowią, co będą jedli w razie suszy. Wszystko dla nich to *szon ja mangu*.

- Cholerni tubylcy - wtrącił się mężczyzna opalony na czerwono, z krzaczastą jasną brodą. - Nie uda się ich zapędzić do pracy za żadne pieniądze. Tylko siedzą na czarnych tyłkach i czekają, żeby im dawać *emerykene*, cukier i olej. Nawet im przez myśl nie przejdzie, że człowiek musi na to zapracować!

- Można małpę wyciągnąć z dżungli - powiedział ten z Limuru - ale niemożliwością jest wyciągnąć dżunglę z małpy. Valentine, mieszając cukier w herbacie, zerknął na zegarek. Niecierpliwie przebierał pod stołem swymi długimi nogami.

- Podobało się panu polowanie, milordzie?

Podniósł wzrok na uśmiechniętą lady Margaret. Przypominała mu pekińczyka, ale z pewnością usposobienie miała miłsze niż pekińczyk.

- I jak się czuje hrabina, pana urocza małżonka? - dorzuciła drugie pytanie, zanim zdążył jej odpowiedzieć na pierwsze. - Chcemy częściej widywać lady Rose w Nairobi.

To właśnie są chwile, kiedy Rose się ożywia - uświadomił sobie Valentine - w Nairobi. Był wspaniały bal w Klubie Muthaiga wydany na cześć króla Szwecji, a potem paradna ceremonia sadzenia roślin przed Domem Gubernatora, w czasie której Rose ofiarowała sadzonkę swoich drogocennych róż. W Nairobi Rose wesoła, pełna życia budziła ogólny podziw; na pewno przyjeżdżałaby tu często, gdyby nie tak długa podróż ze Prowincji Środkowej, telepanie się wozem, co noc postój w namiocie.

- Koniecznie niech pan jej podziękuję za tę herbatę - powiedziała lady Margaret. - Ogromnie pobudzająca mieszanka.

Rose przywiozła z Anglii swoją mieszankę herbaty cejlońskiej i mysore, specjalność jej rodziny od pokoleń. Gdy ten zapas się wyczerpał, Rose nie zamówiła dostawy u londyńskiego pośrednika, tylko kazała pewnej firmie w Nairobi zamiast cejlońskiej domieszać afrykańską herbatę uprawianą w chłodniejszych rejonach nad Jeziorem Wiktorii, mającą niezwykle miły aromat. Powiedziała o tym, będąc ostatnim razem w Nairobi na uroczystej kolacji z okazji urodzin króla i lady Margaret bardzo się tym zainteresowała. Rose więc przysłała jej teraz paczkę swojej herbaty.

- Czy hrabina nie będzie mi miała za złe - zapytała lady Margaret - jeżeli sama zamówię tę mieszankę? Myślę, że w ogóle przestanę pić lady londonderry. - Już chciał coś powiedzieć, ale pośpiesznie mówiła dalej: - Mam w zamian prezencik dla lady Rose. W końcu dostałam zamówiony surowy jedwab belgijski do haftu. Zamówiłam go rok temu bez mała! I to jest ta najdelikatniejsza zieleń, wiem, że idealnie się wpasuje w jej gobelin.

W kwietniu, chcąc zrobić Rose przyjemność, przerwać jedno-stajność życia w obozowisku, Valentine zabrał ją na safari odbywające się na zboczach pobliskiej góry Kenya. Żeby ta wyprawa była dla niej możliwie jak najmniej uciążliwa, nieśli ją Afrykanie w hamaku między dwiema żerdziami. Rezultat był taki, że Rose pokochała puszcę deszczową. Wróciła na plantację oczarowana, z dokładnym obrazem tej zielonej bujnej roślinności w pamięci. Od razu wyjęła z cedrowej komody sztukę irlandzkiego płótna, z kufra igły i przedze, i zaczęła haftować coś, co się zapowiadało na okazały gobelin. Jeszcze było to tylko zaczątkiem, ale już sobie wyobrażała, jak zmyślnie i pięknie odtworzy puszcę deszczową na płótnie - te odcienie soczystej zieleni pocętkowane dzikimi kwiatami, ja-

skrawopomarańczowymi, żółtymi i niebieskimi, te długie sznury winorośli zwisające z wilgotnych rosochatych drzew, mech szmaragdowy, olbrzymie paprocie i palmy o liściach jak uszy słoni. Nawet tę niskoosiadłą górską mgłę można rozsnuć cienkimi jedwabnymi nićmi perłowoniebieskimi, a z boku zostawić miejsce dla czającego się złocistookiego lamparta.

Tym zapełniała czas. Jedynym jej zajęciem było haftowanie gobelinu. Osłonięta przed tropikalnym słońcem w altanie, którą Valentine kazał dla niej zbudować na polance wśród eukaliptusów, siedziała haftując, przy czym zwykle towarzyszyły jej ulubione małpy, papugi i pani Pembroke z Moną.

- Czy możemy panu zaproponować nocleg, milordzie? - zapytała lady Margaret.

Wobec wielkich przestrzeni między domami sąsiadów i niedostatku prawie nieistniejących hoteli, uciążliwość podróży po Brytyjskiej Afryce Wschodniej sprawiła, że weszło w zwyczaj udzielanie noclegu zarówno obcym, jak przyjaciółom.

Ale Valentine się śpieszył. Jeszcze dwie sprawy miał do załatwienia w Nairobi: wizytę u doktora Hare'a i niespodziankę dla Rose przed wyruszeniem na północ do domu.

## **Rozdział 8**

Jest jedna prawdopodobna przyczyna niechęci pana małżonki, milordzie. - Doktor Hare stuknął wiecznym piórem o blat biurka. - Och... kobieta odczuwa w czasie stosunku ból. Czy lady Rose się uskarża?

Valentine z twarzą bez wyrazu patrzył na doktora. Ból? Nie pomyślał o tym. Czy to możliwe? Czy dlatego ona ucieka przed jego objęciami? Czy rzeczywiście czuje ból? Odchylił się w fotelu, nawet nie zauważając, że razi go w oczy ukośna smuga wspaniałego niedzielnego słońca, która rozjaśnia zagracony gabinet doktora Ha-re'a. Grace nic mu nie mówiła o bólach Rose. Oględnie napomknęła tylko o trudach urodzenia Mony w wagonie kolejowym bez odpowiednich udogodnień.

Valentine poczuł nagle przypływ nadziei. Czy to może być wytłumaczeniem? Czy może być takie proste? To, że Rose boi się bólu? Bo jeśli tak, jeśli chodzi tylko o ból fizyczny, a nie - jak już się lękał - o coś, co by zagrażało ich małżeństwu, chyba da się temu zaradzić!

- Dlaczego ból, panie doktorze? Doktor wzruszył ramionami.

- Zeby znać powód, musiałbym małżonkę zbadać.

Valentine zastanowił się nad tym. Nawet jemu było niełatwo przyjść do tego lekarza. Jak mógłby nakłonić Rose, żeby dała się zbadać obcemu? Wybrał doktora Hare'a, bo wszyscy lekarze we Afryce Wschodniej należeli do „towarzystwa”, więc zawsze istniało duże ryzyko plotek, a ten dopiero co przyjechał z Ameryki, był nowy, jeszcze nie gadatliwy.

- Urodziła siedem miesięcy temu - powiedział Valentine. Nie pozwolił sobie pamiętać, że niechęć Rose zaczęła się na długo przed



narodzinami Mony: nie kojarzył swojej sytuacji z przysłowiem: tonący brzytwy się chwyta.

- To mógłby być powód. - Doktor przyglądał się hrabiemu. Widział na jego twarzy wyraźny lęk i strapienie. W ciągu dwudziestu lat praktyki lekarskiej przeprowadzał wiele takich poufnych konsultacji. Wszystkie były podobne, jak wciąż te same rozdziały podręcznika: żona obojętna na zakusy seksualne, czy nawet oporna, mąż w bagnie samokrytycyzmu i nagłego zwątpienia o swojej męskości

Idiotyzm, chciał powiedzieć doktor Hare. Kobiety w dzisiejszych czasach! Z tą gadaniną o kontroli urodzeń i o prawie do głosowania! Dlaczego tak zawzięcie negują swój jedyny cel na tym padole -rodzenie potomstwa? Taki szum podnoszą koło tego, chociaż właśnie po to zostały stworzone!

- Czy mógłby pan jakoś jej pomóc? - zapytał Valentine, modląc się, żeby odpowiedź była prosta.

Doktor zaczął bazgrać receptę. Chciał powiedzieć hrabiemu, co by zrobił, gdyby to była jego żona. Korzystałby ze swoich małżeńskich uprawnień, ignorując jej protesty. Ale powiedział tylko:

- Przepisuję łagodny bromek. To ją rozluźni, większość tych przypadków wynika z napięcia w... hm... miednicy. Zwykle doza czy dwie skutkują. - Wydarł kartkę z bloczku i wręczył Valenti-ne'owi.

Valentine wyszedł przed budynek z blachy falistej i desek nakładanych poprzecznie dla ochrony przed deszczem i zatrzymał się, żeby osłonić oczy w jaskrawym blasku tropikalnego słońca. Odetchnął głęboko. Miał ochotę krzyknąć z radości.

Upajał się jedyną w swoim rodzaju świetlistością Afryki, iluminacją wyostrzającą kontury, szczegóły, kolory. Na tej wysokości powietrze było kryształowo czyste, nieskalane żadnymi zanieczyszczeniami przemysłowymi, i nawet spalin, które wykaszliwały nieliczne automobile na piaszczystych ulicach Nairobi, wcale się nieczuło.

Valentine zachwycił się tą świetlistością od pierwszej chwili, gdy przyjechał z Dwudziestym Piątym Pułkiem Fizylierów, by pokonać Niemców w pobliżu ich granicy. Od razu zdał sobie sprawę, że jest nie tylko jasna, ale i lekka, bez żadnej wagi. Światło może mieć konsystencję jak każdy przedmiot. Blask słońca w Anglii, na przykład, obciążają dymy i nadrzeczne opary, mgła i słone powietrze z morza. A tutaj w Brytyjskiej Afryce Wschodniej słoneczny blask jakże jest niepokalany i lotny, nieważki! Jakże precyzyjnie

ukazują się w nim kształty materii! Nawet najbardziej przyziemny widok nabiera chwały. Posiwiiali poszukiwacze minerałów i ich kościste osły, zmatowiali od kurzu czarni Afrykanie mitrzący w południe, prozaiczne stare domy z drewna i z blachy, pociemniałe od deszczów, pokryte warstwą brudu - wszystko to wydawało się skąpane w niewytłumaczalnym splendorze.

Valentine Treverton kochał Nairobi. Raz oślepiiony jasnością tego niemowlęcego miasta w słońcu, wiedział, że już nigdy nie mógłby mieszkać w Anglii.

Ale Nairobi miało nie tylko swoją jasność. Miało w sobie życie -przecież oddychało, tętniło - i wspaniałą przyszłość, Valentine o tym nie wątpił. Chociaż po wojnie odesłano wojsko Króla do kraju i skończyło się czteroletnie ożywienie, na wybrzeże Wschodniej Afryki napłynęła nowa fala świeżej ludności. Były to gromady weteranów wojennych w drodze na wyżynę z nadaniami ziemi otrzymanymi od rządu Jego Królewskiej Mości, w myśl nowego Planu Osadnictwa Wojskowego; byli Burowie z Afryki Południowej w swoich krytych budami wozach i długich karawanach mułów; kombinatorzy o latających oczach i kombinatorzy naiwni, jedni i drudzy przygnani taką samą chęcią szybkiego zbiccia majątku; Hindusi w turbanach ze swymi śniadymi żonami na czele defilady dzieci; biali osadnicy przybywający, żeby zacząć nowe życie; paradni młodzi administratorzy w wyprasowanych czystych mundurach i dużych korkowych hełmach, z przodu zdobnych w połyskliwe oznaki, z tyłu wydłużonych jak ogony wydr. I wreszcie pośród nich wszystkich, nie mając zdawałoby się nic do roboty poza siedzeniem w kucki i gapieniem się, pogodni, z twarzami bez wyrazu Afrykanie, którzy tutaj żyli, zanim tym obcym bodaj przyszło na myśl tu przyjechać.

Nairobi było brutalnym miastem, gdzie prawie każdy mężczyzna nosił broń palną, wciąż rozlegały się strzały, a zatłoczony brudny hinduski bazar stanowił źródło epidemii. Było miastem nieokrzesanym, z wozami ciągniętymi przez woły, z jeźdźcami na koniach, rikszami i od czasu do czasu przejeżdżającym modelem T. I było jedynym miastem, do którego hrabia Valentine Treverton czuł się rzeczywiście przynależny.

Wyjął z kieszeni koszuli obcięte na dwóch końcach cygaro i zapalił. Zastanawiając się, czy któraś *dake le doue*, drogeria, jest otwarta w niedzielę, patrzył, jak na ulicy zbiera się kolumna safari. Jedna z tych staroświeckich wypraw, powoli zastępowanych przez automobile i mających wkrótce stać się tylko wspomnieniem w Afryce Wschodniej. Stu tubylców właśnie otrzymywało ładunki

do dźwigania. Za niecałą godzinę ta kolumna wysunie się z Nairobi niczym czarna stonoga. Na tyłach wyruszy zawodowy biały myśliwy, wiodąc za sobą spoconych milionerów, swoich klientów. Tragarze będą nieśli ładunki na głowach, bo wzięcie ich na plecy byłoby upokarzające, na plecach noszą rzeczy kobiety. Jest ograniczenie wagi tych ciężarów - 60 funtów. Jest nawet ograniczenie wagi dla osłów - 120 funtów. Ale dla kobiety afrykańskiej ograniczenia nie ma. Afrykanka uniesie każdy ciężar.

Valentine odwrócił się i poszedł w kierunku Hotelu Króla Edwarda. Zdumiewające, pomyślał, jeszcze piętnaście lat temu w miejscu tej ulicy były moczary, a przedtem płynęła jakaś nieważna rzeczka i bytowało trochę rozrzuconych Masajów. Nairobi urodziło się w kilka lat zaledwie po narodzinach Valentine'a, nie wątpił, że on i to miasto będą się starzeć razem.

Miranda West odłożyła łyżkę, wytarła ręce o fartuch, podeszła do okna i wyjrzała. Lord Treverton powiedział, że wstąpi dzisiaj przed odjazdem na północ na swoją plantację.

W kuchni swojego małego hotelu przygotowywała niedzielny podwieczorek, co zwykle jej zabierało prawie całe popołudnie, ponieważ wkładała w te przygotowania mnóstwo starań. Cieszyła się dobrą sławą sięgającą aż Ugandy i wielu osadników przebywało wozami długie mile, żeby usiąść przy którymś z jej stolików. Wiedziała, że dzisiaj znów zrobi się tłoczno, trzeba będzie podawać na werandzie i nawet na ulicy. Jeżeli hrabia nie przyjdzie zaraz, słaba jest nadzieja na chwilę odosobnienia. A Miranda West żyła tylko po to. .

Ambicji i marzeń o Afryce Wschodniej było tyle, ilu imigrantów, którzy z nimi przybywali. Każdy miał jakiś plan. Zrobić pieniądze na uprawie ziemi, zrobić pieniądze na górnictwie, zrobić pieniądze na kości słoniowej, zrobić pieniądze na oddawaniu jakichś szczególnych usług - zawsze chodziło o pieniądze. Nie kończyła się pomysłowość i różnorodność tych planów. Na przykład irlandzcy bliźniacy Paddy i Sam zbili błyskawicznie majątek, hodując strusie, żeby zaspokoić zapotrzebowanie na ich pióra w Anglii i Ameryce. Ale potem, tak po prostu, rozpowszechnił się automobil, kobiety nie mogły nim jeździć w wielkich kapeluszach z piórami, modne stały się przylegające do głowy czapki, więc Paddy i Sam musieli swoje nic już niewarte ptaki wypuścić na wolność. Ralph Sneed wy-

chwalał się pod niebiosa, opowiadając, jaką to kopalnią złota będzie jego plantacja migdałów. Wydał wszystkie oszczędności na kupno i zasadzenie drzewek migdałowych i dopiero potem dowiedział się, że ponieważ w Afryce nie ma pór roku, te drzewa przez cały rok kwitną i nie wydają owoców. Wyjechał z powrotem do Afryki Południowej zawstydzony i bez grosza przy duszy. No i w końcu był mężem samej Mirandy, nieudacznik Jack West, którego ostatnio widziano, gdy ze śpiworem, jedną zmianą ubrania i flaszką chininy wybrał się nad Jezioro Wiktorii, żeby, jak powiedział, znaleźć szkielety hipopotamów, po czym w stanie sproszkowanym sprzedawać je z fenomenalnym zyskiem rolnikom jako nawóz sztuczny. Było to przed sześciu laty i od tamtego czasu nikt Jacka nie widział. . Tak więc wszyscy w Nairobi mieli plany. Miranda West planowała - dotychczas - wykorzystywanie nostalgii emigrantów.

W roku 1913 Miranda Pemberton odpisała na ogłoszenie zamieszczone w jednej z gazet Manchesteru. Dżentelmen zamieszkały w Brytyjskiej Afryce Wschodniej pragnął poznać w celu matrymonialnym dobrze sytuowaną panią, która by mu pomogła w różnych „spekulacjach bardzo obiecujących pod względem finansowym”. Miranda, kucharka i dziewczyna do wszystkiego u pewnego skapiradła w Lancashire w Anglii, od razu wystosowała ofertę na eleganckim papierze listowym skradzionym z biurka chlebobawczynie. Ujęła sobie pięć lat i potroiła wysokość swego konta w banku. Dżentelmen w Brytyjskiej Afryce Wschodniej, poszukiwacz złota, niejaki Jack West, wybrał jej list spośród sześćdziesięciu i opłacił jej podróż z Anglii.

Czekał na nią w porcie Mombasa, gdzie po początkowym wstrząsie - był od niej niższy i młodszy - zdecydowali się pobrać, żeby spróbować szczęścia.

Ale im się nie powiodło. Mirandę przeraził widok hołociarskiego Nairobi i namiotu, w którym świeżo poślubiony małżonek ją ulokował. Jack poczuł się oszukany, gdy świeżo poślubiona przekazała mu swoje skromne zasoby.

Borykali się przez kilka miesięcy, usiłując zarabiać na życie kupowaniem produktów od miejscowych Afrykanów i sprzedawaniem ich za wyższą cenę bogaczom ekwipującym się na łowieckie safari, aż w środku którejś nocy Jack zabrał się i zniknął z resztą wspólnych pieniędzy i pseudonefrytowymi kolczykami Mirandy.

Bardzo szczęśliwym trafem Miranda usłyszała, że pewien Szkot nazwiskiem Kinney potrzebuje Europejki „do pomocy” w jego pen-

sjonacie przy stacji kolejowej, i chociaż „pomoc” rzeczywiście oznaczała wykonywanie całej pracy, był to przynajmniej dach nad głową i było dziesięć rupii miesięcznie. Atut Mirandy stanowiła biel jej skóry i dlatego Kinney ją zatrudnił. Prowadził pensjonat dla średniej klasy imigrantów, którzy szukali perspektyw albo czekali na akty własności gruntów z Ministerstwa Ziemi. Żony tych pensjonariuszy wołały białą pokojówkę od dziewczyn afrykańskich i wkrótce Miranda, gdy ujawniła, że świetnie piecze bułki i przyrządza angielskie desery, za które stęsknieni do ojczyzny osadnicy hojnie płacą, stała się niezbędna.

W mieście, gdzie liczba mężczyzn, przeważnie kawalerów, znacznie przewyższała liczbę kobiet i każdą nowo przybyłą, nawet niemłodą i nieładną, natychmiast któryś porwał, Miranda zaczęła się wydawać poniekąd osobliwością. Zamężna, ale mąż stale nieobecny, przyjazna, lubi w męskiej kompanii napić się whisky i po-żartować, ale delikatnie odstrasza zalotników.

W końcu stary Kinney poczuł słabość do Mirandy i z wolna dawał jej coraz więcej władzy w pensjonacie. Tam, gdzie widziała marnotrawstwo, ukrócała je. Pokrywała niedobory budżetu, nieznacznie ograniczała w miarę możliwości wydatki i ośmieliła się podwoić cenę pokoi. Biali będą płacić za angielską schludność, oświadczyła i postarała się, żeby tak było. Wartość pensjonatu wzrosła.

Potem wybuchła wojna. Kinney zgłosił się do Wschodnioafrykańskich Strzelców Konnych i szybko dał się zabić. Ze zdumieniem Miranda przyjęła wiadomość, że nie mając rodziny ani bliskich przyjaciół, zapisał swój pensjonat jej. Zaciągnęła kredyt w banku i przeobraziła dom w należyty hotel. Prawie w tym samym czasie wojska przybywające z Anglii zmieniły Nairobi w obóz wojskowy. Wojskowi tłumnie przychodzili do hotelu Mirandy, dosyć szumnie zwanego Hotelem Króla Edwarda, żeby pałaszować jej angielskie bułki i rozmawiać w ojczystym języku.

Wojna minęła, a Miranda nadal nie miała o swoim mężu żadnych wieści. Z natury sprytna oportunistka panowała nad sytuacją i wiedziała, jak zapewnić sobie przetrwanie.

Kobieta potrzebuje opieki, ale Mirandzie już nie zależało na małżeństwie. Wypatrzyła przystojnego lorda Trevertona w mundurze Królewskich Fizylierów i zdecydowała, że on będzie jej następną ambicją. Nie zamierzała do końca życia harować w tym hotelu, pocić się w kuchni, usiłując spełniać zachcianki kapryśnych żon osadników, które przyjechały do protektoratu z głowa-

mi nabitymi kompleksem wyższości. Miranda zamierzała omotać lorda, w nim znaleźć podporę i opiekę. Taka ambicja byłaby nie do pomyślenia w Anglii, gdzie warstwy społeczne niezmiennie miały każda swoje piętro za zamkniętymi na klucz drzwiami. Ale w Brytyjskiej Afryce Wschodniej dla osób odważnych i niezłomnie zdecydowanych były drabiny. Przede wszystkim Miranda pomyślała o stosownym przebraniu. Wdowa to brzmi szacownie. Potrafiła ten tytuł włożyć jak kapelusz i nosić go tak, że żadnych pytań nie zadawano. W Nairobi roiło się od fałszywych rodowodów. Pułkownik Waldheim, niemiecki mleczarz, nigdy nie powąchał prochu. Profesor Frederick, dyrektor tutejszej szkoły, nigdy nawet nie rozpoczął wyższych studiów. Wdowieństwo pani West było tylko nieszkodliwą maskaradą. Tytuły przybierano z chwilą stąpnienia na stały ląd w Mombasie, porcie, w którym wszyscy poszukiwacze nowego życia odrzucali dawną tożsamość i ograniczenia klasowe. Miranda West, już nie pokojówka w pokrytym sadzą Manchesterze, stała się dystyngowaną wdową po pionierze zmarłym nad Jeziorem Wiktorii; trzymała swoje nazwisko jak najdalej od rubryki plotek z „East African Standard”, a siebie od łóżek mężczyzn. Nie spuszczać wyrachowanego oka z lorda Trevertona, miała nadzieję, że Jack West nigdy nie wróci. Zobaczyła teraz, jak hrabia wchodzi do hinduskiej drogerii po drugiej stronie ulicy. Coś ją ścisnęło w gardle. Lord Treverton to najpiękniejszy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek widziała. Jakże inny niż ci farmerzy i kowboje w hełmach i wygniecionych khaki, wygląda jak młody bóg w dobrze skrojonych bryczesach, białej jedwabnej koszuli i w kapeluszu z opaską ze skóry lamparciej.

Musiała się pośpieszyć. Obiecane mu herbatniki Devonshire wsunęła do piecyka pomiędzy tacę kornwalijskiego chrustu już brązowiejącego złościście i tacę różnych ciasteczek też gotowych do wyjęcia. Wiedziała, że te herbatniki są dla lady Rose. Valentine Treverton nigdy nie wyjeżdżał z Nairobi bez jakichś smacznych słodczy dla żony. Makaroniki, które hrabina też lubiła, stygły na półce.

Zajęła się znów wczorajszą śmietaną z podgrzanego mleka, ściągnęła łyżką żółty kozuch. Nie po to, by dać hrabiemu w podróż. Śmietana nie wytrzyma podróży dziewięćdziesięciomilowej. Przygotowała tę śmietaną w nadziei, że on zatrzyma się na parę minut i zje kilka polanych nią wytrawnych sucharków. Najlepsza droga do serca mężczyzny...

Goście zaczęli przychodzić do sali jadalnej, gdzie stoliki schludnie i gustownie były nakryte białymi obrusami i na każdym stał czajniczek Brown Betty. Miranda przywiązywała dużą wagę do takich szczegółów, w pełni docenianych przez emigrantów - budyń z właściwą ilością melasy, biszkopt osypany lekko cukrem pudrem. Krążyła pogłoska, że Miranda West była kiedyś kucharką u słynnej markizy znanej ze swojej kuchni. Kłamstwo, ale to nie sprawiało różnicy. Czy nauczyła się od kuchmistrza francuskiej arystokratki, czy z przepisów wydartych z londyńskiej gazety, jej angielskie ciastka miały smak wprost niesamowity. I ta czystość w jej jadalni! Oczywiście, zasługiwała na wielkie uznanie. Mogła to potwierdzić każda *memseeb*, która musiała sprzątać po afrykańskiej służącej.

Miranda przykryła śmietaną. Idąc do pokoju kredensowego, gdzie chłopiec kuchenny odkrawał skórę chleba do małych kanapek, zobaczyła, że Valentine już wyszedł z drogerii i chowa do kieszeni jakąś małą kopertę. Zaraz przyjdzie tutaj. Zerwała z siebie fartuch, pobiegła z kuchni po tylnych schodach na górę do swojego mieszkania. Uczesała się drżącą z podniecenia ręką.

\* \* \*

Valentine przystanął i rozejrzał się. Przed hinduskim sklepem bławatnym jego Afrykanie obładowywali osły już prawie gotowe do wędrówki na północ. Ostatni osioł stał z przypasaną dużą paką: nogi fortepianu Rose wreszcie przysłało statkiem z Londynu. To pierwsza niespodzianka dla niej. Drugą miała być puszka doskonałych wypieków Mirandy West, które Rose uważała za równe ciastkom podawanym w Ascot. A na myśl o trzeciej niespodziance, kopcercie w kieszeni koszuli, Valentine chciał natychmiast dosiąść Excalibura i pogalopować do domu. Łyzeczka tego białego proszku dosypana do wieczornej czekolady lady Rose - powiedział doktor Hare - powinna podzielać. Za szeregiem swoich osłów Valentine zobaczył ciężarówkę, jedną z tych nowych ciężarówek **Chevrolet**, o które trudno było w protektoracie. Ta należała do sir Jamesa. Sprowadzona zaledwie przed dwoma miesiącami, wcale już nie wyglądała na nową, sfatygowana i poobijana. Przeciwno automobilom w Brytyjskiej Afryce Wschodniej wysuwano argument, że nie przetrwają długo, ale za posiadaniem ich przemawiało to, że nie imają się ich muchy tse-tse ani zaraza pyska i racic. Sir James chlubił się tym swoim nabytkiem. Valentine lubił się z nim przekomarzać, pytać, dlaczego fabryka automobilów nazywa się „**chevre lait**”, czyli kozie mleko.

A teraz z hinduskiego sklepu wyszła Grace. Valentine nie zdziwił się na widok siostry. Grace coraz więcej czasu spędzała z rodziną Donaldów, zwłaszcza z sir Jamesem. Bo po pierwsze był mikroskop, który chętnie mu pożyczala do wykrywania chorób bydła. Poza tym zaprzyjaźniła się z Lucille Donald. Obie zapisały się do Ligi Kobiet Wschodnioafrykańskich i uczestniczyły w takich ak-q'ach, jak rozdawanie głodującym Afrykanom worków kukurydzy. Valentine wiedział, co Grace dzisiaj robi w mieście: ma się spotkać z naczelnym lekarzem, żeby jeszcze raz domagać się mianowania drugiego lekarza okręgowego na obszarze Nyeri. Grace macza palce w każdej możliwej sprawie; prowadzi kampanię na rzecz prawa głosu dla kobiet w Brytyjskiej Afryce Wschodniej, popiera lorda Delamere'a, który złożył petycję Jego Królewskiej Mości o przyznanie protektoratowi statusu kolonii, zbiera wszelką żywność i odzież, jaką osadnicy, sami już umęczeni suszą i kryzysem gospodarczym, mogą dać Afrykanom, mającym się jeszcze gorzej. Dawniej Valentine by nie uwierzył, że jego siostra jest aż tak pracowita i kompetentna. Ostatnio ujrzał ją w nowym świetle: zaczął ją rzeczywiście podziwiać.

Po kim Grace, zastanawiał się, ma taki kręgosłup? Pomyślał

O matce ich dwojga, hrabinie Mildred, której ogromny biust stanowił przeciwwagę jej ogromnej ruchliwości. Jak lokomotywa sunęła po Bella Hill, była siłą rządzącą w rodzinie i jej śmierć pozostawiła w tych starych murach próżnię. Grace wrodziła się w matkę - teraz Valentine to pojął. Jakoś mu się to podobało.

Ale też trochę go szokował wygląd Grace w kostiumie własnego projektu. Doprawdy, taki strój wywołuje uniesienie brwi. Spódnica khaki, a raczej skromnie udające spódnice szerokie spodnie do konnej jazdy, dopasowana biała kurtka, hełm szerszy niż ramiona

i na hełmie długi biały welon, który opada na plecach aż do pasa. Wprost niewiarygodne, że ta kobieta była kiedyś płochliwą panną „na wydaniu”. W Londynie, jednaście lat temu, przedstawiono ją na królewskim dworze przez ciotkę, hrabinę Longford, damę dworu królowej. Grace wtedy, uroczysta jak jej biała suknia z długim trenem, wytworna i wstydliva, nieśmiało przyjęła ramię młodego oficera gwardii, który rycersko uniósł koniec jej trenu czubkiem swojej szpady. W dwa lata później na studiach medycznych krajała trupy!

Grace tak się już opatrzyła w Nairobi, jakby urodziła się w tym mieście. Osiem dni podróży z plantacji jej nie zmogło, polubiła busz i życie obozowe. I zawsze bez kłopotu znajdowała nocleg przy piaszczy-



stym szlaku z Nyeri do Nairobi. Z dwoma Kikuju i trzema mułami zatrzymywała się na odosobnionych farmach. Goszczono ją ochoczo, bo była lekarką i miała przy sobie swoją lekarską torbę. Nie dawniej niż w zeszłym miesiącu na pewnej farmie, odległej od szlaku o całe mile, dokonała wycięcia wyrostka robaczkowego na kuchennym stole. Jednego tylko Valentine nie mógł w siostrze zrozumieć, ona ani trochę nie interesuje się mężczyznami. Patrzył teraz, jak podchodzi do Grace, żeby się z nią przywitać, szykowny przystojny oficer z pułku Królewskich Strzelców Afrykańskich. Grace jak zawsze jest grzeczna i życzliwa, ale rozmowę ucina. Jedyny mężczyzna, z którym rzeczywiście chętnie rozmawia, to sir James.

Jeden z handlarzy herbaty w Nairobi świetnie zarabiał na nazwisku Treverton. Gdy rozeszła się wiadomość, że lady Rose zamówiła dla siebie specjalną mieszankę i że lady Margaret Norich-Hastings również tę mieszankę zamawia, inne panie, które stac było na taki luksus, poszły za ich przykładem. Podobnie jak popularna mieszanka Earl Grey wzięła nazwę od mieszanki spreparowanej przez sir Johna Greya w roku 1720, teraz popularna w protektoracie stała się herbata Countess Treverton. Staranny napis na małej tabliczce w oknie Hotelu Króla Edwarda obwieszczał, że tu podaje się tę mieszankę.

Valentine, zdejmując kapelusz, wszedł do sali jadalnej. Wszystkie głowy się odwróciły. Lokal Mirandy West upodobałi sobie osadnicy klasy średniej. Część sali była wydzielona dla dzieci i podawano tam kanapki z bananami i śmietaną, długi stoł był dla farmerów niezonatych, którzy wstępowali tu na ciasto ze smalcem, na pierogi z jajkiem i boczkiem. Ale arystokracja bywała w Klubie Muthaiga albo w Hotelu Norfolk.

- Milordzie - powiedziała Miranda, posuwiście idąc hrabiemu na spotkanie. Była w swojej najlepszej sukni, pod szyją przypięła kiść bzu. - Jak pan się dziś czuje?

- Jakbym stał na szczycie świata, Mirando! Mam ochotę wykupić wszystkie pani wypieki. W takim dobrym jestem humorze!

Napawała się jego widokiem. On chyba nigdy nie może być uczesany; czarny kędzior opada na czoło, zachwycająco mu z tym do twarzy.

- Mam trochę specjalnej śmietany, milordzie, jeżeli pan zechce

- Dzisiaj nie mogę, Mirando, czas nagli. Pani wie, jak to jest. Poza domem już od tygodnia z górą i jeszcze prawie tydzień drogi powrotnej. Kto pilnuje, żeby moi tubylcy pracowali, kiedy mnie me ma? Na pewno będę musiał przez dwa dni zgarniać ich z puszczy.

Miranda usiłowała nie okazać rozczarowania. Ale była realistką. Nie łudziła się, że lord Treverton widzi w niej cokolwiek innego niż płatną służącą, którą rzeczywiście jest. Pomimo to miała plan. W całej Afryce Wschodniej wiadomo, że małżeństwo hrabiego nie układa się szczęśliwie, ludzie szepczą, że Treverton rozpaczliwie chce mieć syna, a jego żona nie może urodzić chłopca. Miranda West postanowiła dać mu tego upragnionego potomka. W zamian on będzie się nią opiekował do końca jej życia.

Hrabia bez ceregieli wejdzie do kuchni, taki jest ludzki. Lord Treverton nie potrzebuje przybierać póz, być snobem. Korona mu z głowy nie spadnie, bo to arystokrata do szpiku kości, gentleman w każdym calu. Wielki człowiek i z pewnością umie utrzymywać kochankę w wielkim stylu, myślała Miranda, prowadząc lorda Trevertona przez salę jak księżna, z czołem wysoko podniesionym, gdy goście się gapili. Wystarczy jedna noc i dam mu syna. Wielu lordów w Anglii ma kochanki i nieślubne dzieci; Treverton nie będzie różnił się od innych.

- Niech mi pan da znać, kiedy pan otworzy swój nowy dom - powiedziała, gdy już wręczyła mu pudło z ciastkami i puszkę herbatników. - Zrobię mój najlepszy czarny tort kornwalijski na tę uroczystość.

- Mam nadzieję, że w grudniu. Tubylcy pracują już na drugim piętrze i taras wykładany płytami już jest gotowy.

- W grudniu! - wykrzyknęła. - Nigdy pan nie kosztował takiego tortu gwiazdkowego jak mój. Z masą marcepanową i z lukrem na wierzchu! - Odwróciła się do stołu, wybrała z tacy kilka trójkątnych ciasteczek, zawinęła je w papier i dała paczkę Valenti-ne'owi. - Dla pana córeczki, Mony, czy tak?

- Będę pamiętał o pani przed naszym przyjęciem, Mirando. Projektuję huczne otwarcie. Nasz pierwszy wieczór w tym dużym domu. Zaprosimy co najmniej sto osób, więc niech pani zacznie piec teraz.

- Wypiszę nazwę pana nowego domu na każdym torcie.

- Bella Dwa - powiedział. - DWA. Pewien Suahili w Mombasie wykuwa dla mnie tę nazwę w kamieniu, który będzie nad bramą. Obiecał ukończyć to na Boże Narodzenie.

W końcu Valentine zjadł jedną chrupankę ze śmietaną, a potem drugą i trzecią. Lubił Mirandę West i zastanawiał się, dlaczego nie wyszła ponownie za mąż. Przecież nie z braku okazji. I nie z powodu wieku. Podczas gdy wszędzie indziej na świecie niezamężną kobietę po trzydziestce uważa się za starą pannę, w Brytyjskiej

Afryce Wschodniej taki wiek to prawie atut, gwarancja, że dama już „zahartowana”, więc nie będzie, szlochając, wrywać się z powrotem do Anglii. I aparycja też nie może być przyczyną. Miranda jest ładna - osądził Valentine - jak kwiat ogrodowy, z tymi rudymi włosami, powabną okrągłą twarzą, cerą nietkniętą przez tropikalne słońce. I prowadzi najlepszą kuchnię w Afryce Wschodniej. Mirandę West wkrótce porwie jakiś szczęściarz, co do tego Valentine nie miał wątpliwości.

Ostatecznie wyszedł z Hotelu Króla Edwarda. Spieszył się, by wyruszyć w podróż do domu. Gdy dosiadał swego arabskiego ogiera, Miranda West patrzyła z okna.

## **Rozdział 9**

Gepardzica przysiadła, położyła uszy po sobie, lekko machała ogonem z boku na bok. Złociste oczy wlepiała w okno. W szarosinym pierwszym świetle dnia widać było podniesioną ramę okienną, trzepoczącą firankę. Za oknem w bezpiecznej ciemności swego domku spała Grace.

Z warknięciem gepardzica napięła mięśnie. Wskoczyła na parapet, zatrzymała się, po czym cicho zeskoczyła do pokoju. I znów się zatrzymała, węsząc, słuchając miarowego oddechu dolatującego z łóżka. Ogonem machała tam i z powrotem, tam i z powrotem. W czarnym mroku nocy, jeszcze zamkniętym w tych ścianach, chociaż na zewnątrz niebo zaczynało jaśnieć, wypatrzyła kanciaste kształty stolików i krzeseł. Czują zapachy skór zwierzęcych na podłodze, żywności w puszkach, ludzkiej istoty w łóżku.

Słuchając, patrząc, ogromna kocica czekała. Kocie ścięgna zaciskały się pod żółtym czarno cętkowanym futrem. Miała nieduży łeb na grubej szyi, krótką grzywę opadającą pomiędzy uszy, wygięty grzbiet, łopatki i kości biodrowe sterczące. Była młoda. I była głodna.

Nagle skoczyła. Zatoczyła w powietrzu doskonały łuk i warcząc gruchnęła na łóżko.

Grace krzyknęła. Potem powiedziała:

- Ach, Saba. - i objęła kocicę za szyję.

Saba polizała swoją panią, zeskoczyła na podłogę i mruczeniem dopominała się śniadania.

- Chyba jeszcze nie czas wstawać. - Grace westchnęła. - Śniło mi się... - Leżała na wznak, zapatrzona w strzechę nad sobą, zaniepokojona. Ten sen był erotyczny, sen o sir Jamesie.

Nie pierwszy raz sir James śnił się Grace, ale po raz pierwszy tak niepokojąco. I tak realnie. Żywo pamiętała szczegóły - kochali

się w obozowisku pod gołym rozgwieżdżonym niebem - jeszcze czuła, jak jej ciało reaguje. To ją przeraziło, to sprzeniewierzenie się Jeremy'emu, który zawsze powinien żyć w jej sercu, i Lucille, zonie sir Jamesa, z którą się przyjaźniła. Obrazowość tego snu była natarczywa, ale bardziej martwiły ją skutki na jawie: takie pożądanie, taka niewysłowiona potrzeba.

Nie mogę, myślała, zmuszając się, żeby usiąść i wdychać chłodne zaranne powietrze. Nie mogę do tego dopuszczać. On jest znajomym, niczym więcej.

Umyła się i ubrała. Myła się, starając nie szafować wodą *w dibi*, czterogalonowym bębnie po parafinie. Dawno już Valentine zbudował tamę na rzece, utworzył nieduży zbiornik, z którego zarówno okoliczni Kikuju, jak on korzystali w czasie suszy. Ale i tak wody ubywało. Jeżeli deszcz nie spadnie wkrótce...

Z początku Grace się zdumiewała, że na równiku może być temperatura tak niska. Podczas gdy w Nairobi panował upał, o dziewięćdziesiąt mil dalej na północ trzeba było ciepło się ubierać. To dlatego, wyjaśnił jej sir James, że znajdują się na znacznej wysokości, otoczeni kręgiem gór o zaśnieżonych szczytach i puszcach deszczowych. W Środkowej Prowincji jest wilgotniej i chłodniej niż gdziekolwiek indziej w protektoracie, „latem” wiszą gęste mgły i są zwykle dwie pory deszczowe na rok z rześzystymi całodziennymi ulewami. Przynajmniej sir James tak powiedział. Grace jeszcze nie widziała tu prawdziwego deszczu, susza nieprzerwanie nękała Wschodnią Afrykę. Dziwiła też Europejkę zawsze jednakowa długość dnia. Nie ma coraz krótszych dni zimowych ani wydłużających się dni lata. Przez cały rok noc zapada niezmiennie: dwanaście godzin światła dziennego, dwanaście godzin ciemności.

Grace umyła się mydłem domowego wyrobu, włożyła świeżą bieliznę i odzież. Życie w buszu oznaczało nieustanną bitwę o czystość osobistą i schludność wyglądu. Zwłaszcza przy braku wody. Tyle kobiet wyraźnie zaniechało walki. Pokazywały się w Nairobi jakieś wymięte, w strojach kiedyś białych, teraz szarych, i w hełmach tropikalnych pokrytych grubą warstwą czerwonego kurzu. Grace co wieczór szorowała hełm, prała i prasowała bluzki, lo był obrzęd zabierający jej dużo czasu, ale trzymała się swoich kryteriów. W rezultacie wyróżniała się, wyglądała tak porządnie, że wszyscy jej zazdrościli, zadbana jak na podwieczorku w Devon.

Co nie znaczy, żeby Grace miała wolny czas na takie zabiegi. Wobec tylu braków w protektoracie ona też, jak inne osadniczki, uciekła się do wytwarzania samodzielnie potrzebnych produktów. Od Lucille

Donald nauczyła się robić masło w starych butelkach po przyprawie indyjskiej, świece z sadła baraniego za pomocą pompki rowerowej i kartoflane drożdże na sposób Kikuju. Przedsiębiorcza Lucille zademonstrowała jej nawet, jak dobrze stare listki herbaty służą do polerowania szkła i drewna. Poza wykonywaniem tych pracochłonnych zadań Grace podlewała i pielęła swój mały warzywnik, wyganiała antylopy i hieny ze swojej ziemi, nadzorowała służącego imieniem Mario, usiłując wpoić w niego brytyjskie poczucie czystości i ładu, i wreszcie wędrowała po wioskach Kikuju w nadziei, że pozyska sobie życzliwość i zaufanie Afrykanów. Starła się też wygospodarować chwile dla siebie, żeby pisać dziennik, czytać „Timesa” sprzed sześciu miesięcy i wysyłać regularnie listy do przyjaciół w Anglii, do Stowarzyszenia Misyjnego Suffolk, do rządu. Już sobie uświadomiła, że najcenniejszą dla niej korzyścią, odniesioną na studiach medycznych, jest umiejętność zajmowania się kilkoma sprawami naraz.

Dzień wstawał ożywiony gwarem ptaków. Drozdy i rudziki napełniały powietrze piosenkami, skowronki i gajówki-pokrzewki uznały, że już trzeba powitać słońce, dziwna kukulka o czerwonej piersi przysiadła na gałęzi i powtarzała: mysz-daj-chmiel, w kółko i w kółko. To z powodu ptaków Grace nazwała swój dom Domkiem Ptasiej Pieśni.

Wybrała miejsce na budowę z taką samą rozważą, z jaką rozpoczynała każde przedsięwzięcie. Wiedząc, że teren położony niżej może grozić niebezpieczeństwem malarii, a mieszkanie na wzgórzu oznacza konieczność dowożenia wody z rzeki pod górę, wybrała przy skraju swoich trzydziestu akrów wciąż jeszcze gęstej puszczy miejsce, gdzie szeroki płaski brzeg rzeki prawie niedostrzegalnie się wznosił. Na tym łagodnym, dobrze nawodnionym zboczu, łatwo dostępnym znad Chanii, zbudowała bungalow, który wyglądał jak skrzyżowanie chaty afrykańskiej i domku w Suffolk. Był długi, niski, pokryty strzechą, cały otoczony werandą. Frontowy mały trawnik obramowywały stokrotki, maki i szałwia. W domku miała kilka mebli, przywiezionych z Anglii: ładny stary kredens, łóżko z baldachimem, stół kuchenny i dwa fotele Morris, które postawiła przed ogromnym kamiennym kominkiem. Podłogę, czyli twardo ubitą ziemię, skrapianą płynem Jeyesa dla odstraszenia pcheł i białych mrówek, przykrywały skóry zebr i antylop. Na ścianie nad kominkiem wisiała skóra lamparta. Zastrześlił go Valentine pewny, że to ten kocur porywa jego ogary.

Krzesła wokół stołu były właściwie skrzynkami. Na takiej skrzynce, siedząc teraz przy śniadaniu, Grace uczyła się z podręcz-

nika gramatyki Kikuju. Za nią stała szafa apteczna - wyraźnie oznaczone etykietkami puszdki, butelki i pudełka czekały na półkach, niewiele jednak z nich dotychczas miała okazję użyć.

Prowadziła spokojne życie, ponieważ rozwścieczająco spokojne. Przecież przyjechała do Wschodniej Afryki nie po to, by wypiekać chleb i robić mydło. Przyjechała, by leczyć, nauczać, wnosić światło w mrok epoki kamiennej. Ale żeby leczyć, trzeba mieć pacjentów, żeby nauczać, trzeba mieć uczniów, żeby rozjaśnić ciemność, trzeba mieć olej do lampy.

Dlaczego krajowcy trzymają się z daleka?

- Pracują przecież u mojego brata chętnie, więc dlaczego nie chcą przychodzić do mojej przychodni? - zapytała kiedyś sir Jamesa.

- Valentine jest **buana** - wyjaśnił. - To oni rozumieją. W dodatku zaskarbił sobie ich szacunek tym, że ich bije. Ale ty, Grace, dla Kikuju nie jesteś kobietą, która się wykazała. Nie masz męża, nie masz dzieci. W ich oczach, jaki z ciebie pożytek?

- Do misji w Nyeri chodzą.

- Owszem, bo dostają tam nowe imiona. Afrykanin widzi, że władzę w tym kraju mają ludzie o imionach takich jak George czy Joseph. Dowiaduje się, że też może się tak nazywać, jeżeli pójdzie do chrześcijan i da się ochrzcić. Tubylcy stoją w ogonku do imion **ozungu**, bo bardzo pragną być równi białym. A ty, Grace, nie mówisz kazań, nie udzielasz chrztu. Nie masz krzyża na swoim dachu i nie nadajesz nowych imion. Więc po co by przychodzili do ciebie?

To właśnie miała być w misji domena Jeremy'ego: kazania i chrzest. On i ona tworzyliby zespół - kaznodzieja i lekarz. Grace pojęła, że bez Jeremy'ego nic nie działa.

- Usłuchaj mojej najlepszej rady - powiedział James. - Zjednaj sobie naczelnika Madengeja. Z chwilą kiedy go zjednasz, wszystko się ułoży.

Madengej! Człowiek ledwie o jeden szczebel ewolucyjny wyżej niż zwierzęta puszczy. Wojownik, który na zmieniający się świat patrzy z pogardą, siedząc w cieniu, podczas gdy jego kobiety harują, aż im grzbiety pękają w skwarze słońca.

- Gdybym potrafiła pozyskać Madengeja - powiedziała Grace - chyba byłabym też zdolna do przywołania deszczu! James roześmiał się wtedy, opalona skóra wokół oczu zmarszczyła mu się drobniutko. On ma piękny głos, pomyślała Grace. Pełen ogłady, szlachetny, taki głos, jaki chce się słyszeć w teatrze szekspirowskim.

James...

Saba to prezent od niego. Znalazł ją w czasie polowania na gepardy, które zabijały jego bydło. Kula z jego strzelby uczyniła z niej sierotę, więc ją przywiózł, żeby była domową kotką.

Mrużąc oczy nad stronicą gramatyki Kikuju, Grace zdała sobie sprawę, że zamiast się uczyć, znowu błądzi myślami. Czy wszystkie myśli muszą prowadzić do Jamesa, zastanowiła się. Czy zawsze tak będzie? Z Jeremym było inaczej. Poznali się w sali operacyjnej na szpitalnym statku i pokochali się prawie od pierwszego wejrzenia. Wojna nie pozwalała na przewlekanie romantyczności, zalotów. Marzyć o Jeremym Grace nie zdążyła, już po paru dniach układali plany wspólnej przyszłości.

Ale w końcu, zadała sobie Grace pytanie, czy dobrze znałam Je-remy'ego? Na statku rozmawialiśmy i rozmawiali, ale o czym?

Zmarszczyła brwi, usiłując sobie przypomnieć. Nawet rysy jego twarzy przysnuły się mgłą w jej pamięci. A każde słowo sir Jamesa pamiętała doskonale, w każdej chwili mogła mieć przed oczami tę interesującą twarz. I wiedziała o sir Jamesie o wiele więcej niż kiedykolwiek o Jeremym Manningsie.

Po raz pierwszy Grace zawitała do Kilima Simba, na ranczo Donaldów odległe o osiem mil na północ, w maju.

Przyjęła wtedy na świat ich córeczkę, Gretchen. Sir James przyjechał po nią wozem ciągniętym przez somalijskiego kuca, towarzyszyli mu synowie, Ralph i Geoffrey. Grace odkryła w tamten poranek, że puszcza Nyeri kończy się tuż za posiadłością Trevertonów i stopniowo ustępuje ogromnym połaciom sawanny, która rozciąga się jak pszeniczne morze do stóp góry Kenya. Tę niekończącą się równinę koloru lwa cętkowały drzewa o szerokich liściach i krzaki iglaste; powietrze było suche jak kurz, niebo nad sawanną bardziej niebieskie. Przy piaszczystym szlaku pasły się stadka bydła krajowców doglądane przez młodych mężczyzn, którzy opierali się na długich kijach i mieli włosy natłuszczone, zaplecione ciasno w setki warkoczyków i narzucone na siebie *szuki*, koce zasupłane na jednym ramieniu, a z przekłutych płatków ich uszu zwisały drewniane walcowate klocki. Wysoko krążyły sępy i jastrzębie, piętra ołowianych chmur wznosiły się wokół szczytów zachłannej starej góry, która nie chciała zesłać deszczu. I panowała wszechwładna cisza...'

James siedział przy Grace i batem muskał kuca po uszach. Grace często spoglądała na niego. Zahartowany, szczupły, był bardzo pociągający. Zawsze opalony. Stworzony na podobieństwo pionierskich prototypów z głębi Australii, z amerykańskiego Dzikiego



Zachodu. Tak afrykański jak ci wojownicy oparci na swoich kijach, ale pełen delikatności nieznanego bojomu sercu Afrykanina.

Kilima Simba, jak James wyjaśnił, znaczy: „Wzgórze Lwa”; simba - lew, -kilima - małe wzgórze w języku suahili. Wiele takich nazw suahili jest w Afryce Wschodniej, a najsłynniejsza z nich to nazwa najwyższej góry na tym kontynencie „Małe Wzgórze Ndżaro”.

Ranczo Donaldów, jeszcze bardziej odludne niż plantacja Valentine'a, która przynajmniej rozciągała się niedaleko miasteczka Nyeri, było pośrodku żółtej sawanny, ośmiu tysięcy akrów spieczonej trawy bez wody. Sir James miał tam wielką trzodę bydła, krzyżówki Ayrshire i Beran, i trzysta importowanych merynosów.

To, że Lucille w tym samotnym ranczerskim domu jest spragniona towarzystwa białych kobiet, stało się widoczne, gdy tylko Grace zsiadła z wozu. Lucille - w istocie, lady Donald, odkąd jej mąż otrzymał tytuł szlachecki - czekała przy otwartych drzwiach frontowych, chociaż miała już takie bóle, że trzymała się za brzuch.

Sir James przychodził i wychodził przez całe popołudnie, nadzorując niezliczone prace na ranczo, podczas gdy Grace zajmowała się jego żoną. Czteroletni Ralph i siedmioletni Geoffrey bawili się z psami w ogrodzie i przybiegli hałaśliwie do domu dopiero na kolację: szynkę z puszki, chleb kukurydziany i konserwowaną galaretkę. Potem przyszedł James, umył się, przebrał i pozostawał przy łóżku żony, dopóki o północy nie pojawiła się na świecie mała Gretchen. Grace, biorąc noworodka w nadstawione ręce, pomyślała: to będzie najserdeczniejsza przyjaciółka Mony. Lucille zasnęła z Gretchen, wtuloną w zgięcie jej łokcia jak pod skrzydło. Grace i James przeszli do przytulnego saloniku, gdzie w tę zimną noc płonął na maleńkim kominku ogień z sosnowych polan. Rozmawiali tamtej nocy o wielu sprawach: o spóźniających się deszczach, o chwiejnej gospodarce protektoratu, o trudnościach krajowców. James prosił, żeby Grace mu opowiedziała o swoich studiach medycznych, o wojnie, o planach na przyszłość w Brytyjskiej Afryce Wschodniej. On z kolei opowiadał o swoim chłopięctwie w Mombasie, o safari z ojcem w niezbadanych rejonach, o wstrząsie, jakim była dla niego, gdy miał szesnaście lat, konieczność wyjazdu do Anglii i o tym, jak pragnął wrócić wprost chory z tęsknoty.

W ciepłej zażyłości przy ogniu, pośród zimnej afrykańskiej nocy i ciszy za zamkniętymi okiennicami, Grace chciała Jamesa zapytać o jego kalectwo, o tę wojenną ranę i okoliczności, w jakich ocalał życie jej bratu. Ale przypomniała sobie noc, w którą statek szpitalny

zatonął, godziny na morzu, gdy słyszała, jak tonący w ciemnościach daremnie wzywają pomocy. Pojęła, że nikomu by nie zdołała opowiedzieć tego epizodu, więc sir James na pewno też woli nie wyciągać swych wojennych przeżyć. Niemniej zastanawiała się nad tym, nad nim i ową straszną, ciężką próbą, jaką przeszli on i Valentine w pobliżu granicy Tanganiki.

Patrzyła teraz na podręcznik w blasku porannego słońca. Ciepłe bułki śniadaniowe wystygły, lekcji języka Kikuju nie odrobiła. Zwykle Grace Treverton nie pozwalała swoim myślom błądzić. Dzięki zdyscyplinowaniu kobieta może odnosić sukcesy w świecie mężczyzn.

Ona jest tutaj, w dzikim zakątku Afryki, i zamierza zaprzyjaźnić się z wojowniczym plemieniem, które zaledwie wczoraj odłożyło swoje włócznie, więc powinna skoncentrować się na lekcji ich języka. A jednak siedzi beczynn timer i tylko marzy o kimś, kto nigdy nie mógłby być dla niej niczym więcej niż znajomym.

Uczyła się rzeczowników Kikuju drugiej klasy. „Lew - wyjaśniała gramatyka - stanowi wyjątek. Należy do klasy poniżej ludzi, ale powyżej zwierząt. Kikuju obawiają się, że gdyby podsłuchał, jak określa się go rzeczownikiem trzeciej klasy, obraziłby się i zabiłby śmiałka, który się ważył tak go poniżyć”.

Grace westchnęła, przewracając stronicę. Cóż za język paradoksów! Skomplikowany do ostateczności, jeśli chodzi o czasy - jest chyba pięć czasów przyszłych i zagadka czasów przeszłych, przy której są niczym czasy przeszłe angielskie. Jednocześnie Kikuju to język przewyższający wszystkie inne języki swoją prostotą. Tylko trzy słowa oznaczają kolory: jasny, ciemny, czerwono-brązowy. Jeśli się chce powiedzieć, że coś jest niebieskie, mówi się „kolor nieba”. A systemem liczb rządzą tylko czary i przesady, nic dziwnego, że ludzie Jamesa nie potrafią policzyć jego krów. Pracować Kikuju nie mogą dłużej niż sześć dni pod rząd, praca siódmego dnia, tradycyjnego dnia odpoczynku, jest tabu; kto tego nie przestrzega, ściąga na siebie *tsehę*. Ponadto Kikuju, wierząc, że poronienia zdarzają się najpewniej w siódmym miesiącu ciąży, bardzo się boją siódemki. Nigdy nie sieją siedmiu nasion, może być albo sześć albo osiem, i nigdy nie zatrzymują się po siódmym kroku, podchodzą zawsze o krok dalej. Nawet słowa „siedem” nigdy nie wymawiają. To wszystko powiedział sir James. Dobrym sposobem, żeby zrozumieć psychikę Kikuju, jest nauczenie się ich języka.

Znowu James.

Grace zamknęła podręcznik i wstała od stołu. Przed wyjściem z domu przejrzała się w lustrze.

Spódnica-spodnie wywoływała w protektoracie komentarze. Kobieta w spodniach! Ale niejedna z pań już uznała praktyczność tak rozdzielonej spódnicy i zamówiła podobną dla siebie. Grace popatrzyła na swoją twarz. Rysy ma regularne, włosy gęste i ładne, cerę chroni przed słońcem. Co James myśli, patrząc na nią?

W końcu wpięła w kołnierzyk turkusową broszkę, którą dostała w prezencie od amerykańskiej lekarki, niejkiej Samantha Hargrave.

Słynna ze swojej walki w Ameryce o zakaz patentowania lekarstw, doktor Hargrave, odwiedzając w londyńskim szpitalu wojskowym ofiary wojny, poznała Grace, jeszcze rekonwalescentkę po ciężkich przejściach na morzu.

Rozmawiały długo, ta doświadczona pięćdziesięciosiedmioletnia pani doktor i młoda lekarka, dyplomowana zaledwie trzy lata przedtem. Doktor Hargrave zdjęła z szyi wisiorek, turkus wielkości plasterka cytryny, i podarowała go Grace. Na szczęście - powiedziała. Ten kamień teraz jest bardzo niebieski; gdy szczęśliwe działanie się wyczerpie, kolor przygaśnie i trzeba wtedy przekazać broszkę komuś innemu.

Dziwne żyłki pośrodku turkusa przypominały dwa węże oplatające drzewo, powszechny symbol medycyny, albo kobietę z wyciągniętymi rękami. Grace w chwili kiedy ten kamień dotknął jej dłoni, ujrzała coś przelotnie, jak gdyby nie swoimi oczami, widok dziobu statku i dalekiego miasta kopuł i kolumn z marmuru. Zastanawiała się, czy jakoś nie otarł się o nią duch tamtej dawnej właścicielki turkusu.

Wyszła na werandę, napawając się rzeźkością świtu. Co dzień budziła się z uczuciem, że jest blisko słońca. Bliżej Boga, mógłby ktoś powiedzieć. Dzisiaj w ostrym, czystym, październikowym powietrzu czuła wilgoć, może obietnicę deszczu. Na wprost za drzewami kamforowymi i wysokimi cedrami widziała górę Kenya, gdzie mieszkał prastary bóg Kikuju. Znow skąpił deszczu, przygarniając do siebie czarne chmury. Co jakiś czas jedna z tych chmur odrywała się i sunęła po niebie, wyglądało na to, że zaraz deszcz zacznie padać, ale chmura się rozwiewała, znikła. Za każdym razem nadzieje wzrastały; Afrykanie i Europejczycy wyczekująco podnosili twarze ku przestworzom, zjednoczeni rozpaczliwą myślą: deszcz.

Długa pora deszczowa powinna zacząć się w marcu, wcale jednak się nie zaczęła. Teraz wznoszono modły o krótką porę deszczową, następującą zwykle w listopadzie. Grace patrzyła na tę poszar-

paną górę, jak gdyby tam rzeczywiście był popędliwy starzec, który na złość zwleka z udzieleniem błogosławieństwa. Oto wróg. Góra Kenya. Symbol wszystkich chorób i ciemnoty w protektoracie. Ta góra trzyma swój lud w niewoli przesądu. Grace wiedziała, że jeśli chce lud Kikuju ocalić, będzie musiała walczyć z tą górą. Czekając, żeby przyszedł Mario, Grace pieściła wzrokiem swoją małą *szembe*. Na drzewach rozświetlone ptaki-tkacze wisiały jak tłuste cytryny, a szpaki koloru niebieskiej macicy perłowej bawiły się z małymi mysioszarymi ptaszkami o główkach i dziobkach szkarłatnych. W powietrzu słodkowonnym od dzikich jaśminów snuł się dym z afrykańskich ognisk. Na wzgórzu wciąż jeszcze trwały prace przy budowie dużego domu. W ciszy słychać było stamtąd łoskot młotków, szcęknięcie dłut.

Grace zapięła sweter i nagle zauważyła, że czegoś na werandzie brak. Cztery krzesła stoją, ale nie ma na nich poduszek. Znowu! Niewątpliwie robota przyjaciół Saby. Nocą przychodziły młode gepardy i robiły szkody, ściągały pranie ze sznura, porywały poduszki z werandy. Słomianka zniknęła spod drzwi parę tygodni temu i znalazła się później na drzewie.

Zycie w Domku Ptasiej Pieśni wymagało nieustannego czuwania, żeby utrzymać ład w myśl swoich kryteriów. Grace zdawała sobie sprawę, że łatwo byłoby poddać się, rozluźnić przepisy cywilizacji, pozwolić zwierzętom zawładnąć domem, użyć strzechy białym mrówkom, zaniedbać odzież zmieniającą się w strzępy, nie czesać się, zwolnić się od wieczornej kąpieli. Niektórzy osadnicy na pustkowiu tak robili. Epoka kamienna, to Grace wiedziała, była odległa tylko o długość szczotki czy widelca.

Przyszedł Mario. Niósł z domku ciepły garnek, przez ramię miał przewieszony worek ziarna i cebule na sznurku. Ten bystry młody Kikuju otrzymał wykształcenie u włoskich księży w Misji Katolickiej. Nawrócili go na chrześcijaństwo i nadali mu, zgodnie z rozpowszechnionym zwyczajem, imię księdza, który go chrzczył. Po dojściu do wieku męskiego i obrzędzie obrzezania Mario wyruszył na poszukiwanie pracy u białych, podobnie jak robiło to wielu Afrykanów teraz, gdy już nie było klasy wojowników. Ci poszukujący zatrudnienia zawsze kierowali się najpierw na ranczo, bo pasanie bydła Kikuju cenili sobie od stuleci jako szacowne zajęcie, godne mężczyzny. Jamesowi nigdy nie brakowało kowbojów. Ale od pracy na plantacjach, takiej jak zasiewy czy sadzenie i zbiory, uchylali się, uważając, że to praca kobiet, a więc poniżająca. Do zespołu, który budował dom Valentine'a, Mario nie mógł się przyłączyć, ponieważ

pochodził z innego klanu, toteż ostatecznie najęła go Grace. Płaciła mu niedużo, tylko dwie rupie miesięcznie, ale miał u niej dobre utrzymanie i sypiał w okrągłej lepiance za domem.

Ten młody Kikuju o imieniu katolickiego księdza mówił po angielsku z akcentem włoskim. W szortach khaki i koszuli wyglądał jak poborowi krajowcy z Pułku Królewskich Strzelców Afrykańskich.

- Gotowe, *memseeb dektari* - powiedział i pokazał garnek.

W tym garnku przez całą noc dusiły się karłowate warzywa z mączką kukurydzianą. Bez mięsa, bo Kikuju nie jadali dziczyzny, a Grace nie mogła użyć żadnej ze swoich kóz. Drobiu też mężczyźni by nie tknęli, kuraki to jedzenie tylko dla kobiet. Ale Grace poprzedniego wieczoru, wrzuciła do tej potrawy zardzewiałą końską podkowę, tradycyjny środek zapobiegający anemii.

Zacząła dożywiać mieszkańców wioski miesiąc temu, gdy zabrakło im ziarna, a warzywa na zagonach zawiodły. Teraz głodowali - Kikuju z reguły nie czynili żadnych przygotowań na przyszłość. Uprawiali akurat tyle, żeby mieć co jeść i co wymienić wierząc, że dzień jutrzejszy sam zadba o siebie. Dlatego też nigdy im nie przyszło na myśl zbudować zapory na rzece, zapewnić sobie dostawy wody w czasie suszy i nawet teraz, gdy mogli korzystać ze zbiornika, nie próbowali znaleźć praktycznego sposobu doprowadzenia wody do swoich nieszczęsnych *szembe*. Co dzień rano chodziły nad ten sztuczny staw utrudzone kobiety i dziewczynki, napełniały tykwy i dźwigały wodę do wioski zgięte we dwoje. Wykopanie bruzdy od rzeki dla zaoszczędzenia im tego mokołu oznaczałoby zmiany, a zmiana była tabu.

Grace i Mario ruszyli ścieżką sprzed domu. Z prawej strony sączyła się rzeka, z lewej wznosiło się zbocze porośnięte trawą, bez żadnych już śladów puszczy. Ze ścieżki, patrząc w górę, Grace widziała dach Bella Dwa.

Od przybycia Grace i Rose do Afryki minęło osiem miesięcy, Valentine już obsesyjnie chciał mieć dom ukończony na Boże Narodzenie. W dzień i w nocy przynaglał swoich Afrykanów, po terenie budowy chodził z batem, wrzeszczał, dawał kopniaki, zrywał do pracy każdego, kto na chwilę przysiadł. Na tym ześrodkował swoje życie: Bella Dwa musi być gotowy na czas wielkiej uroczystości, mającej uświetnić oficjalne otwarcie jego siedziby. Rzeczywiście, musi to być wielkie wydarzenie. Wszyscy będą mieszkać nadal w obozowisku, aż do tego wspaniałego wieczoru, gdy na bajeczną ucztę przyjadą goście, ponad dwieście osób z całego protektoratu.

Będzie muzyka i bal, a później, po ulokowaniu wszystkich przyjezdnych wygodnie w namiotach i prowizorycznych chatach wokół, poprowadzi swoją żonę po raz pierwszy do nowej małżeńskiej sypialni na piętrze.

Polanę za południowym skrajem trzydziestu akrów Grace, na której przedtem mieszkał Madengej z rodziną, Valentine przeobraził w boisko polo. Madengej kazał swoim kobietom przenieść się za rzekę do reszty klanu, ale dwie nie usłuchały: starsza Oczero, szanowana babka jednej z jego żon, i młoda Oczero, wnuczka i uczennica tej znachorki. Ich dwie chaty wciąż jeszcze stały tam, gdzie pierwotnie było siedem.

Kilka tygodni przedtem Grace słyszała dziwną rozmowę Ma-dengeja z babką żony. Starsza Oczero grzecznie zawiadomiła młodego naczelnika, że ktoś burzy chaty, a on z szacunkiem jej wyjaśnił dlaczego, i kazał przyłączyć się do tamtych za rzeką. Babka cicho, prawie lękliwie przypomniała mu, że to miejsce ze swoim prastarym figowcem jest uświęcone, na co młody wojownik nieśmiało, wprost z kurtuazją poprosił, by zastosowała się do jego życzenia. Cudaczna wydawała się ta wymiana zdań. Najwyraźniej spór dwojga wysoko postawionych. Wszystkich starszych Kikuju otaczano taką czcią, że nawet wypowiedanie ich imion było tabu, tym bardziej więc szacunek należał się znachorce, której głosem przemawiali przodkowie. Ale posłuch należał się też młodym wojownikom, a zwłaszcza takiemu, który został naczelnikiem i miał pozycję prawie *ozungu*. W rezultacie żadne z nich nie ustąpiło. Oczero wróciła do swojej chaty na stałe, a Madengej odszedł dumnie z twarzą jak maska.

Valentine jednak przysiągł sobie, że przeprowadzi wszystkie plany, toteż postanowił w razie konieczności wyrzucić tę starą Kikuju siłą.

Gdy Grace i Mario przedarli się z szelestem przez kępę bambusów na ścieżkę biegnącą do wioski za rzeką, zatrzymał ich raptownie widok Madengeja. On ich nie widział, idąc pewnym krokiem w stronę plantacji.

Grace wstrzymała oddech. Oto jej przeciwnik, ten, którego powinna zjednać, bo od niego zależy jej sukces czy też porażka w Afryce. Bała się go.

A był to najpiękniejszy człowiek, jakiego kiedykolwiek spotkała.

Madengej miał szerokie krągłe ramiona, był bardzo wysoki, zadziwiająco smukły w pasie i w biodrach. Jego *szuka z emerykene*,

zawiązana na ramieniu, odchyłała się przy każdym kroku, ukazując sprężyste boki i kształtne pośladki. Włosy na sposób Masajów zaplatał w dwa rzędy warkoczyków z przodu i z tyłu, i powlekał je czerwoną ochrą. Takie uczesanie wymagało wielu godzin pracy i świadczyło o próżności. Na jego twarzy również malowało się bezgraniczne zarozumiałstwo. O pochodzeniu masajskim mężczyzny świadczyły wysoko sklepione kości policzkowe, wąski nos i zuchwale wysunięta szczeka. Ze swym wyniosłym sposobem bycia Madengej patrzył na świat nie tyle pogardliwie, ile tak, jakby me zawracał sobie głowy błahostkami życia.

Grace przyjrzała mu się, gdy szedł krokiem płynnym, wymachując długimi rękami, gibki i pełen wdzięku.

Uświadomiła sobie, że nadal wstrzymuje oddech.

Kikuju nie lubią prostych szlaków, czują się bezpieczniej na krętych. Podobnie jest z ich sposobem myślenia. Nigdy nie stwierdzają faktu wprost, tylko napomykają o nim, omawiają go okrężnie i niech rozmówca sam wyciągnie wnioski. Boją się wypowiedzi bez ogródek jak zatrutej strzały. Grace i Mario musieli iść do wioski ścieżką zygzakowatą, bo krótszej na przełaj nie było.

Ścieżka biegła równoległe do odwiecznego szlaku zwierząt, gdzie świeże tropy olbrzymich dzików i antylop wskazywały, że spragnione wody zwierzęta zapuszczają się nad zbiornik Valenti-ne'a. W czasie suszy wiele zwierzyny śmiało wychodziło z puszczy, teraz też wśród trzciny i bambusów pojawiły się nowe ptaki: grzebieniaste żurawie, bociany i gęsi egipskie. Mario mówił, że w nocy widział nawet nosorożca pchającego się z trzaskiem przez busz

Wchodząc między jałowce i drzewa mimozy, Grace zobaczyła na gałęzi dwie papugi: płomiennoczerwoną i żółtą, i doznała wrażenia, że jest w krainie, która ma duszę. W Suffolk nigdy nie czuła, że świat wokół niej tętni. Tutaj krajobraz oddycha, ziemia grzeje jakimś żywym ciepłem, rośliny zdają się szeptać. W powietrzu jest nadzieja, oczekiwanie...

Wejście do wioski było ukryte wśród drzew i winorośli dla zmylenia złych duchów, żeby trzymały się z daleka. Za tą naturalną łukowatą bramą rozciągała się polana, na której stało może ze trzydzieści okrągłych chat, ulepionych z krowiego łajna i krytych strzechą. Spirale niebieskiego dymu snuły się ze spiczastych strzech, dowodząc, że mieszkają tu ludzie. Ogień gotowania musi palić się w dzień i w nocy; jeżeli w którejś chacie zgaśnie, oznacza to nieszczęście i tę chatę trzeba zburzyć. Wioska była prymitywna, nieładna, bo Kikuju nie znali sztuki architektury, rzeźby czy wy-

rzynania rysunków. Choć hiszpańska influenza i brak zbiorów osłabiły klan, panowała w wiosce krzątanina jak w mrowisku. Wszystkie mieszkanki pracowały: najmniejsze dziewczynki pasły kozy, mężatki tłukły nędzne garstki prosa, stare babki, siedząc z nogami wyciągniętymi w słonecznym blasku, wyplatały koszyki. Scena ta stanowiła ilustrację porzekadła, że nikt nigdy nie widział kobiety Kikuju beczynnej.

W skórzanych fartuchach, brudnych i zatłuszczonych, wprost sztywnych, pobrzękując paciorkami i miedzianymi kólkami na rękach, kobiety garbowały koźle skóry, mieszały ubogą strawę pichącą się na ogniu i lepily prymitywne garnki - koła garncarskiego nie znały, glinę wypalały na słońcu. Poza kilkoma młodymi z kępkami wełnistych włosów na głowach, co oznaczało, że są niezamężne, wszystkie miały głowy ogolone, połyskliwe jak brunatne kule bilardowe.

Nie było teraz w wiosce mężczyzn. Oni albo pracowali na wzgórzu za rzeką u Valentine'a, albo popijali piwo gdzieś w cieniu drzew. Sir James kiedyś powiedział: „Te kobiety harują, ci mężczyźni zbijają baki”.

Trzy dziewczynki, widząc Grace, upuściły to, co robiły, i z wahaniem ruszyły ku niej. Wypadało mieć pchły, bo to przydawało godności, świadczyło, że się posiada kozy. Im więcej pcheł, tym więcej kóz, czyli bogactwo, wysoka pozycja w plemienu. Toteż strzepywanie pcheł uważano za straszne pogwałcenie etykiety. Ale Grace nie przejmowała się etykietą Kikuju. Gdy te małe do niej podeszły i zobaczyła ich twarzyczki tak zapchlone, że aż czarne, strzepała pchły dłonią.

Przed rozdaniem żywności Grace musiała uczynić zadość protokołowi. Wszystkie kobiety uśmiechały się do niej, nieśmiało czekając, żeby wystąpiła stara Oczera. Tej czcigodnej osoby prawie nie było widać pod sznurkami muszelek ślimaków i opaskami z paciorków. Podeszła dostojnie, z uśmiechem, który odsłaniał braki w uzębieniu po wyrwaniu jej za młodu siekaczy, żeby była piękna. Podała Grace tykwę z zielonkawą mieszanką zsiadłego mleka i szpinaku. Grace wypila to wiedząc, że tej rodziny nie stać na taki poczęstunek, ale odmowa poczytana by została za obrazę. Oczera powiedziała:

**-Muejge** - długie przewlekłe słowo Kikuju, które znaczy: „wszystko jest dobrze, przyjdź i odejdź w spokoju”, powitanie i pożegnanie, początek i koniec każdej rozmowy tych ludzi. Powiedziała to spokojnie, a przecież z namaszczeniem, jako najstarsza, naj-



bardziej szanowana kobieta w wiosce. Nie patrzyła prosto na Grace, to byłoby niegrzeczne.

Potoczyła się rozmowa tak kręta jak wioskowe ścieżki, padła aluzja do suszy, wzmianka okrężnie sugerująca, że jest głód. Grace brnęła przez to dzielnie, od czasu do czasu z pomocą Mana. Nie mogła bez żadnych wstępów powiedzieć, że przyniosła jedzenie, już wiedziała, że wszelka spontaniczność jest w oczach Kikuju wysoce niestosowna. Starła się powściągnąć niecierpliwość. Te dzieci głodują, ręce i nogi mają jak patyki, wzdęte brzuszki. Zwracają się w stronę garnka jak kwiaty w stronę słońca.

Wreszcie Oczerza dała do zrozumienia, że można podnieść pokrywkę i jeśli trochę tego jadła wyjmie się z garnka, ona nie będzie miała nic przeciwko temu. Nawet dzieci nie podbiegły z pospiechem Matki podeszły jeszcze wolniej, tłumiły chichot rękami, nieprzywykłe do obecności białych, i pilnowały, żeby posiłek był spożywany grzecznie i bez rozgardiaszu. Żadna z dorosłych nie stanęła w kolejce, dopóki dzieci nie zjadły. Potem Mario, w myśl polecenia Grace dał worek ziarna Oczerze. Przyjęła sześćdziesięciofuntowy worek i lekko biorąc go na ramię, rzuciła Mariowi spojrzenie pełne pogardy: co z niego za mężczyzna, sam dźwiga ciężary!

Grace, oficjalnie już powitana, mogła swobodnie chodzić po wiosce. Najpierw skierowała się do chat kobiet będących jej pacjentkami. Wiedziała, że niewiele wskóra, bo powaliła je hiszpanka, na którą nie ma lekarstwa. Pozostawało jej tylko porozmawiać z nimi, zbadać tętno, temperaturę i zapewnić im opiekę. W chatach było ciemno i duszno, zadymione powietrze przenikał smród koziego moczu, bo kozy zawsze na noc zaganiano do chat, wszechwładnie królowały pchły. Grace klękała przy każdej z kobiet, badała je tak jak mogła i starała się szeptem dodać im otuchy. Oczy jej łzawiły w tym smrodliwym powietrzu, ale też były to łzy bezradności. Gdyby tylko te kobiety przyszły do jej kliniki, położyłaby je na czystych posłaniach, ocierałaby rozgorączkowane i spocone wilgotną gąbką i należycie by je odżywiała.

Jedna kobieta leżała przed swoją chatą - to znaczyło, że wkrótce umrze. .

Grace uklękła przy niej, dotknęła suchego czoła. Zgon nastąpi za godzinę, za dwie godziny najpóźniej. Skąd one to wiedzą, te kobiety wioskowe? Kikuju mają niesamowitą zdolność przewidywania śmierci. Chyba zawsze się orientują, kiedy śmierć przyjdzie, zawsze zdążą osobę umierającą wynieść z chaty. To tabu dopuścić do śmierci w chacie; a także *tseha* dotknąć trupa, więc umierających

wynosi się, dopóki żyją. Potem się ich zostawia, czeka się na hieny, które ich uprzątną. Kikuju nie grzebią swoich zmarłych.

Grace nie była taka głupia, żeby spróbować pomóc tej kobiecie. Kiedyś swoją interwencją wywołała tyle krzyku w klanie, że zamknęła sobie drogę do wioski na długie dni.

- Przynajmniej przenieśmy ją w cień - powiedziała. Ale Mario pamiętał o plemiennym tabu. - Mario! - szepnęła. - Weź ją za nogi, ja wezmę za ręce. Położymy ją tam pod drzewem.

Nie ruszył się.

- Do licha, Mario. Pomyśl o Panu Jezusie. O miłosiernym Samarytaninie.

Czarna twarz mu zmiękła, nie mógł się zdecydować. W końcu jednak przypomniał sobie, że te Kikuju są niskiego stanu, wciąż jeszcze nie chrześcijanki, a więc godne pogardy, i popisał się odwagą, zwłaszcza wobec starej znachorki, sam przenosząc umierającą i kładąc ją w cieniu.

Przed inną chatą młoda matka ssła czubek główki swego niemowlęcia. Ponieważ to dziecko dostawało za mało płynów, mózg jego się skurczył i „miękkie miejsce”, czyli ciemiączko się zapadło. Młoda matka wiedziała dosyć, by uznać to za zły znak, ale w niewłaściwy sposób usiłowała to naprawić.

- Powiedz jej, że dziecko potrzebuje wody - poleciła Grace Mariowi. - Powiedz, żeby dawała mu więcej mleka, więcej płynu.

Mario przetłumaczył, młoda kobieta uśmiechnęła się i przytaknęła, jak gdyby rozumiała, po czym znów przytknęła usta do główki niemowlęcia.

Grace wyprostowała się rozglądając wokoło. Jej garnek był pusty, one wszystkie znów pracowały. Ziarnem, które im dała, karmiły kozy. Te zwierzęta to dla Kikuju miara bogactwa i uprzywilejowania. Właścicielka trzydziestu kóz może szydzić z posiadającej tylko pięć. Starsza Oczera podobno ma ponad dwieście kóz, co czyni ją prawie królową. Ale ziarno zostało przyniesione nie dla kóz tylko dla ludzi. '

- Zupełnie jak Anglicy - mruknęła pod nosem - którzy najpierw ratują swoje złoto, a dopiero później życie.

- **Memseeb?**

- Chodźmy teraz do Gaczyku. Chyba niedługo zaczniesz rodzić. Ale zanim doszła do sąsiedniej chaty, ktoś zawołał:

- Grace!

Odwróciła się. To był sir James.

## ***Rozdział 10***

James Donald musiał zdjąć swój filcowy kapelusz z podwójnym denkiem i pochylić się, żeby przejść przez altanę, tworzącą się u wejścia do wioski.

- Cześć! - zawołał do Grace, machając plikiem kopert.

Serce jej załomotało. Sen wrócił. Obóz pod gwiazdami, jego twarde objęcia, jego usta.

- Poczta - powiedział sir James z uśmiechem. - Wpadłem na pomysł, żeby ci przywieźć. - Był w topornych butach z cholewami, wojskowych szortach khaki i sportowej koszuli rozchylonej, trójkątnie odsłaniającej opalony tors. -

Oczywiście wiedziałem, gdzie cię zastanę.

Grace czuła, jak policzki jej płoną. Miała nadzieję, że tego nie widać pod osłoną dużego hełmu. Za Jamesem przysłała Lucille w zakurzonym miękkim kapeluszu z opuszczonym rondem i opaską ze skóry zebry. Niosła na ramieniu płócienną torbę i chyba miała brwi zmarszczone. Czy to niezadowolenie, zastanowiła się Grace Czy może dezaprobata? Ale Lucille nagle się uśmiechnęła.

- Witaj Grace - powiedziała - ja też coś przyniosłam dla ciebie.

Podając Grace listy, James ją obserwował. Zawsze to samo pośpieszne przerzucanie kopert, ręce skwapliwe, oczy pełne nadziei, a potem wyraźne rozczarowanie, palce zaciśnięte na tych kopertach, już zapomnianych. Jak gdyby wśród nich czegoś szukała, pomyślał. Listu? Od kogo?

- Jak ci idzie, Grace? - zapytał. Grace rozejrzała się po wiosce. Wszędzie praca ustała, kobiety się gapily. To dlatego, że wkroczył mężczyzna.

- Nie wiem, co robić, James. Wydaje mi się, że do niczego z nimi nie dojdę. Pozwalają mi przychodzić, badać je, kiedy przynoszę

jedzenie, ale nie chcą brać moich lekarstw, nie chcą, żebym je leczyła. W ich pojęciu leki to tylko te okropne trucizny, które gotuje Oczera.

James, mrużąc oczy, spojrział przez polanę na straszną starą znachorkę, patrzącą na niego zagadkowo.

-Potężna starucha - powiedział. - Jej nigdy nie pozyskasz. Spróbuj raczej przekonać do siebie Madengeja.

Grace nie powiedziała Jamesowi, że modli się, by nie stanąć z tym młodym naczelnikiem twarzą w twarz. Zmieniła temat.

- Misje mają zagwarantowane od rządu trzysta funtów rocznie, jeżeli podejmują się pracować z krajowcami. Jak dotąd, lekarz okręgowy nie uznał, że ja na to zasługuję, bo w mojej klinice jest wciąż pusto. Przyszedł raz ze mną do tej wioski, ale odbywała się tu wtedy jakaś ceremonia i nie chcieli mnie wpuścić. Nie zrobiłam na nim wrażenia. Powiedział, że muszę okazać większe zaangażowanie, żeby otrzymać te trzysta funtów. A ja potrzebuję pieniędzy, James.

Martwiła się. Odziedziczonych pieniędzy miała coraz mniej. Nie chciała w swojej działalności być zależna wyłącznie od funduszy ze Stowarzyszenia Misyjnego w Suffolk.

- Chciałbym ci pomóc - powiedział James - ale w takim stanie rzeczy przekroczylibyśmy nasze konto, jak wszyscy inni.

Uśmiechnęła się.

- Coś wymyślę. Przejechałeś osiem mil, żeby tylko przywieźć mi pocztę?

- Zwróciłem ci mikroskop. Już jest u ciebie w domu.

- Przydał się?

Twarz mu spochmurniała, z czym był jeszcze przystojniejszy.

-Poniekąd. Potwierdził moje najgorsze obawy. To gorączka przywleczona ze wschodniego wybrzeża. Oddzieliłem chore sztuki, resztę stada oblewam płynem odkażającym. Na domiar złego następny dół z wodą wysechł. - Popatrzył w górę. - Jeżeli wkrótce nie będzie deszczu, nic tylko położyć się i umrzeć.

Słuchali przez chwilę brzękania dzwonek kóz. Potem Lucille powtórzyła:

- Grace, przywiozłam ci prezent.

- Och, nie powinnaś... - Głos Grace przebrzmiał, gdy ta książka znalazła się w jej rękach.

- Przekład Biblii na język Kikuju.

Grace zapatrzyła się w czarną skórzaną okładkę i pozłacany wytłoczony tytuł.

- Dziękuję - powiedziała niepewnie. - Ale nie wiem, czy to będzie pomocne.

- Głoś Słowo Boże, Grace. Tym ich pozyskasz.

- Madengej nie chce mieć nic wspólnego z chrześcijaństwem. Nie wpuści kaznodziejów do wioski.

Nagle wrzask rozdarł spokój poranka. Grace się odwróciła. Wrzask dolatywał z chaty Gaczyku. Pobiegli tam, ona pierwsza, za nią James i Lucille. Mario został, bo to była chata położnicy, tabu dla mężczyzn.

Grace podeszła do młodej kobiety. Wzrok jej się oswoił z ciemnością i zobaczyła, że wielki brzuch jest rozedrgany kurczami.

- Dobrze jest - powiedziała kojąco w języku Kikuju. - Dziecko się rodzi.

Wyszła z chaty i zapytała o *masyejritsie*, położną, którą w tym przypadku była stara Oczero. Ale znachorka się nie ruszyła.

- Gaczyku zaraz będzie rodzić! - zawołała Grace. - Potrzebuje twojej pomocy! Mario, przetłumacz jej. \_

Zanim Mario zdążył się odezwać, Oczero uciszyła go podniesieniem ręki. Gardząc młodym Kikuju, który nie był wojownikiem i wyrzekł się Pana Jasności dla chrześcijańskiego Boga, nie raczyła przemówić do niego. Zwróciła się do sir Jamesa. Wiedziała, że ten biały rozumie jej język i jest godny szacunku.

- Kłopot z dzieckiem Gaczyku - powiedziała. - Nie chce wyjść. Trzy dni Gaczyku rodzi, a ono nie chce wyjść. *Tseha*. Przodkowie zarządzili, żeby się nie urodziło.

Gdy sir James przetłumaczył, Grace wykrzyknęła:

- To niemożliwe! Chyba nie zostawicie Gaczyku tak po prostu na śmierć? Oczero coś powiedziała. James znów przetłumaczył.

-Wola Boga.

- Ależ to potworne! Musimy coś zrobić.

- Tak oczywiście. Tylko że to naprawdę ryzykowne. Kiedy duchy przodków zdecydują, że ktoś ma umrzeć, sprzeciw jest najgorszym tabu. One wierzą, że na Gaczyku ciąży klątwa, a klątwy Kikuju nic nie oddali. ,

- Ja nie boję się żadnych klątw. Mario, biegnij szybko do domu i przynieś torbę z instrumentami położniczymi. Są wyjąłowane.

Mario się wahał.

-Idź już. Spojrzał na sir Jamesa, który powiedział:

- Zrób, chłopcze, co pani mówi.

- Tak, *buana*.

- I eter! - zawołała Grace za Mariem. - I moje zapasowe prześcieradła!

Weszła z powrotem do chaty. Dotychczas badała mieszkanki wioski tylko pobieżnie: dotykała czoła, sprawdzała tętno. Kobiety Kikuju były skromne, wzdrygały się pod wzrokiem obcej. Ale ponieważ Gaczyku w swoim stanie nie mogła protestować, dało się położyć ręce na jej wzdętym brzuchu, ustalić ułożenie dziecka. Było poprzeczne.

Należało sięgnąć w głąb i odwrócić dziecko ręką.

Podnosząc skórzany fartuch Gaczyku, Grace osłupiała, pełna zgrozy.

Wyprostowała się. Miała wrażenie, że mroczne ściany wałą się na nią. Wyskoczyła chwiejnie z chaty.

- Boże! - szepnęła, gdy James ujął ją pod ramię, żeby nie upadła.

- Co się stało?

- Czegoś takiego nigdy nie widziałam. Gaczyku jest... zdeformowana.

Ku jej zdumieniu James powiedział:

- Tak, ale to nie wada wrodzona.

- Jak to?

- Ty nie wiesz o wtajemniczeniu?

- O wtajemniczeniu...

- Przez to ich młodzież przechodzi, kiedy dorasta. Chłopcy zostają obrzezani, a dziewczęta...

Patrzyła na niego ze zgrozą.

- Co jej zrobili?

- Wszystkie podlotki czeka podobna operacja. Oznacza, że wstępują do plemienia. Jest ponadto sprawdzianem odwagi i wytrzymałości na ból. Jeżeli dziewczyna uchyla się albo krzyczy, wyrzucają ją z klanu jako przeklętą.

Grace przyłożyła dłoń do czoła. Potem poczuła, że James mocno ściska jej przedramię. Jakoś zdołała się uspokoić.

- Nic dziwnego, że ona nie może urodzić. W żaden sposób z tym...

- Mnóstwo kobiet Kikuju przy porodzie umiera z powodu takiego okaleczenia. Misjonarze usiłują wyplenić ten zwyczaj, ale Afrykanie robią to od stuleci.

- Muszę zaraz ją ratować, James. A nie mam czasu. Czy ty i Lucille mi pomożecie?

- Ale co można zrobić?

- Cesarskie cięcie. Zoperuję ją, wyciągnę dziecko prosto z brzucha - Jego ręka opadła. - Powiedziałeś, że będziesz mi pomagał.

- Są granice naszej interwencji, Grace. Cały klan postawisz pod bronią, jeżeli poważysz się na coś tak drastycznego.

- Spróbuję.

Lucille oznajmiła:

- Ja ci pomogę, Grace. - Zrzuciła płócienną torbę z ramienia.

- Popelniasz wielki błąd - powiedział James.

- Niech któraś z nich znajdzie mi męża tej kobiety. Postaram się o jego pozwolenie. Wtedy klan mnie nie ukrzyżuje.

James przysunął się gniewnie.

- Nie wtrącaj się, Grace!

- Nie będę stać bezczynnie i patrzeć, jak ona umiera, do diabła!

- Dobrze, przypuścimy, że jej mąż ci pozwoli. Jeżeli po operacji Gaczyku umrze, on cię zabije, Grace. I uwierz mi, władze w żaden sposób nie zdołają temu przeszkodzić.

- Ale jeśli nic nie zrobię, ona umrze na pewno!

- Do ciebie nikt nie będzie miał o to pretensji. Zostawisz ją, klan da ci spokojnie odejść. W przeciwnym razie nigdy me pozyskasz ich zaufania i w twojej przychodni zawsze będzie pusto. Patrzyła na niego spode łba.

- Proszę, zapytaj, kto jest jej mężem. Ja go przekonam, James, zapytaj, do kogo należy Gaczyku.

Zapytał Oczerę i gdy padła odpowiedź, Grace nie potrzebowała przetłumaczenia. Mężem Gaczyku, drugiej swojej żony, był naczelnik klanu.

Madengej.

\* \* \*

Grace chciała przenieść Gaczyku do swojej kliniki, gdzie miała należyty stół operacyjny i dobre światło, ale Oczerę me pozwoliła położnicy zabrać, a czas naglił. Trzeba więc było zdecydować się na operację w chacie. Pomagało Grace doświadczenie z wojny - operowało się na statku, pod bombami, światła migotały, jedynym asystentem był znękany chorobą morską korespondent wojenny James stał przed chatą, gdy Grace i Lucille pracowały wewnątrz. Tajemniczy telegraf w buszu rozniósł wiadomość o tym, co się dzieje, i zaczęły już licznie ściągać kobiety z sąsiednich wiosek. Tak samo dowiedział się Madengej. Wkroczył teraz w łuk wioskowego wejścia. Gromada kobiet i dzieci jak morze rozstała się przed młodym naczelnikiem, po czym zwarła się znów, ledwie przeszedł. Nie przy-

śpieszył kroku, wyraz twarzy miał obojętny. James jednak się sprężył. Madengej nie taki, jak ci spokojni Kikuju, którzy uczą się w szkółkach misyjnych.

Powitanie stało się zwykłym skomplikowanym rytuałem, długim wyliczaniem przodków i zbiorów, jak gdyby byli przyjaciółmi i mieli mnóstwo wolnego czasu. Z chaty dolatywały regularnie jęki i wrzaski Gaczyku, ale Madengej niczym nie okazywał, że je słyszy. W końcu usiadł w kucki i gestem zachęcił Jamesa, by zrobił to samo. Kobiety patrzyły i słuchały, jak ich naczelnik i biały *buana* stopniowo zmierzają do sedna sprawy.

- Siedzisz przed chatą jednej mojej pani - powiedział Madengej.

- Tak jest - odrzekł James w języku Kikuju. Pot mu spływał na plecy między łopatkami.

- Ktoś przebywa w chacie z moją kobietą.

Niech cię diabli, pomyślał James, cholernie dobrze wiesz, co tam się robi.

- Matka matki pierwszej żony mówi, że przodkowie rzucili *tse-he* na drugą żonę. Może *memseeb dektari* tego nie wie.

James nabrał na dłoń trochę ziemi i przepuścił przez palce. Musiał demonstrować nonszalancję. Madengej podsuwa Grace wyjście, tak żeby oboje mogli zachować twarz, ale Grace na pewno nie ustąpi.

Siedzieli dalej w ciszy, nieprzerywanej nawet brzękaniem dzwonek kóz. Słońce już prażyło. Kobiety nie odrywały oczu od Madengeja siedzącego jak posąg i od Jamesa, któremu tętno łomotało w uszach. Tam w chacie jest Lucille...

- Moja ulubiona żona - powiedział Madengej.

James zaskoczony podniósł wzrok i napotkał spojrzenie tego zuchwałego wojownika. Potem Madengej odwrócił oczy, jak gdyby zakłopotany swoim wzruszeniem i powiedział cicho:

- Martwi mnie *tseha* na Gaczyku. James poczuł iskierkę nadziei.

- Może Oczera nie zrozumiała przodków - zaryzykował. - Może nie ma *tsehy*.

Ale Madengej potrząsnął głową. Od miłości do drugiej żony silniejszy był lęk przed czarownicą.

- *Memseeb dektari* musi przestać.

Boże, pomyślał James, i on chce, żebym ja ją powstrzymał.

- Nie mam władzy nad nią - powiedział. Naczelnik popatrzył na niego z pogardą.

- *Buana* nie rządzi swoją kobietą?



- *Memseeb* nie jest moja. Ją ma *buana lordi*.

Madengej zastanowił się nad tym. Potem odwrócił się, rzucił w gromadę rozkaz jak szczeknięcie i od razu rozległ się tupot bosych stóp w biegu. Jamesowi powiedział:

- Drugiej żony nie wolno dotykać. Jest na niej *tseha*.

- *Tseha* Kikuju nie może szkodzić *memseeb dektari*.

- *Tseha* szkodzi wszystkim, *buana*. Ty to wiesz. *Tseha* Kikuju może zabić *memseeb*.

James przełknął ślinę. Na rozkaz Madengeja zaraz przybiegną wojownicy, którzy pracują przy budowie domu lorda Trevertona. Napięcie się wzmaga, nieomal trzeszczy w powietrzu. Zdaje się, że Grace nacisnęła spust... .

Nagle Madengej wstał. Kobiety się cofnęły. James wstał także, wysoki jak ten naczelnik. Stanęli oko w oko.

- Madengej, przysięgam ci na Ngai, że *memseeb* tylko usiłuje ratować życie twojej żony i dziecka. Jeżeli każesz jej wyjść, Gaczyku umrze.

- Przodkowie mówią, że musi umrzeć. Ale jeżeli umrze pod ręką *memseeb*, nie będzie śmierć godna, więc się zemszczę.

- A jeśli Gaczyku nie umrze?

- Ona umrze.

- Leki *memseeb* mają wielką moc. Może większą niż moc Oczery.

Madengej zmrużył oczy. Minął Jamesa i wszedł do chaty. Wszyscy James i kobiety, wstrzymali oddech. Sama chata stała w dziwnej ciszy. James zmarszczył brwi. Nie słysząc głosu Grace ani Lucille. Nawet Gaczyku ucichła. Co się stało? Wreszcie naczelnik wyszedł z chaty i powiedział do tłumu:

- Kobieta, którą mam, nie żyje.

- Co? - James odwrócił się i wszedł do chaty. Osłupiał.

Lucille trzymała nad głową śpiącej Gaczyku rożek z eterem, a Grace klęcząc u jej kolan, już zrobiła nacięcie.

Prześcieradła nasiąkły krwią.

- Zasłaniasz światło - powiedziała Grace.

James się przesunął. Widział krew nieraz, w czasie wojny patrzył, jak chirurdzy wojskowi operują rannych, kiedyś był nawet przy porodzie, ale wszystko to nie przygotowało go na taki widok. Ręce Grace fruwały. Gumowe rękawiczki trzaskały, gdy brała instrument po instrumencie, używała go i upuszczała, chwytiała ręczniki, gąbki, krajała i zszywała. Duszne gorące powietrze przesycił odurzająco eter. Lucille spokojnie odmierzała krople narkozy ka-

piące na twarz Gaczyku, a Grace pracowała zapamiętane, aż jej bluza była mokra od potu. Jamesowi wydawało się, że mijają długie godziny, operacja jednak odbyła się bardzo szybko. Z konieczności. Gdy dziecko znalazło się w rękach Lucille, Grace musiała zatamować krew, utrzymać Gaczyku przy życiu. James w urzeczeniu patrzył na błyskawiczną pracę ich obu tak ze sobą zgranych, jakby robiły to pospół już setki razy. Głowy pochylone nad młodą położnicą, dłonie w ciągłym ruchu, pieczołowite, scalające. Brzuch został zeszyty, Lucille budziła Gaczyku klepaniem po twarzy i dopiero wtedy sobie uświadomił, że stoi przyciśnięty do ściany lepianki i plecy go bolą.

Grace w końcu się odwróciła. Miała w oczach łzy, nie wiedział, czemu.

- James - szepnęła.

Podszedł, pomógł jej się wyprostować.

- Będzie żyła?

Grace przytaknęła i oparła się o niego. Owiał go zapach jodiny i lizolu. Drżała w jego ramionach. Ale wzięła się w karby i wyszła z chaty w blask słońca. Gapiąca się gromada zaszemrała ze zgrozą: tabu ponad wszelkie tabu! Na jej odzieży jest cudza krew.

- Masz córkę - oznajmiła Grace Madengejowi - i twoja żona żyje.

Madengej odwrócił się od niej.

- Słuchaj, co ci mówię! - krzyknęła. Odwrócił się do niej.

- Kłamiesz!

- Wejdz tam i zobacz.

Spojrzał szybko na chatę, a potem znów na nią. Teraz nie był grzeczny, nie popisывał się układnością. Musiał okazać swoją wyższość nad tą wtrącającą się *ozungu*, kobietą bez męża, który oczywiście powinien ją zbić. Wzrostem sięgała mu do ramion. Patrzył na nią z wysoka, grożąc jej swoją siłą. Chciałby złamać tę *memseeb*, tak jak jego ojciec w czasach wielkich wypraw wojennych ujarzmił porwane kobiety masajskie.

Ku jego wściekłości patrzyła mu w oczy spokojnie.

W chacie Lucille umyła nowo narodzoną i owinęła kocykiem. Gdy chciała z dzieckiem wyjść, James ją powstrzymał.

- Nie mogę córki pokazać ojcu? Kiedy Madengej zobaczy...

- On ją zabije. Trzeba czekać, aż sam tu wejdzie. Taki jest zwyczaj Kikuju.

Więc Lucille położyła noworodka na piersi śpiącej Gaczyku.

Wyszli z chaty oboje. Akurat wtedy do wioski wkroczyli gęsiego mężczyźni, niejeden z młotem albo z piłą. James poczuł mrowienie w karku.

- Boże - szepnął - trzeba jakoś wezwać Policję Okręgową.

W gromadzie nastąpiło poruszenie. Kobiety rozstępowały się przed Oczera, która szła na środek kręgu. Szła powoli, wlepiając jadowity wzrok w *dektari*.

- Ta chata jest przeklęta! - wykrzyknęła. - Jest skalana, musi się spalić!

- Co? - zapytała Grace. - Chyba wy nie...

- Tu jest *tsehal* Przynieś ogień! - poleciła Oczera mężowi jej wnuczki. - Chata musi się spalić razem z ciałami twojej zmarłej żony i dziecka. A potem masz zabić te dwie *memseeb*, bo to przez me takie świętokradztwo! . .

- Zaczekaj! - wrzasnął James. - Ta kobieta i dziecko żyją! Idź tam i sama zobacz, pani Oczero. Zobaczysz, że nie kłamię.

- Jak mogą żyć? To dziecko nie mogło wyjść na świat. Namaca-łam to własnymi rękami.

- Ja wyjęłam dziecko - powiedziała Grace.

- Nikt nie ma takiej mocy.

- Medycyna białych mą. Posłuchaj!

Wszyscy odwrócili się w stronę chaty. Dolatywało stamtąd kwilenie. Płacz noworodka.

- Ale Gaczyku umarła! - powiedział Madengej. - Na własne oczy widziałem. Jej brzuch był rozcięty!

- Nie umarła. Po prostu śpi. Idź do niej. Ona się obudzi. Twoja ulubiona kobieta, Madengej.

Zawahał się.

- Nie masz mocy przywracania zmarłych do życia. Ale Grace powiedziała:

- Mam i zrobiłam to.

- Nawet Ngai nie ma takiej mocy - powiedział, jednak ostrożnym tonem.

Teraz przemówiła Lucille głosem jak dzwon.

- Nasz Bóg ma tę moc! Nasz Pan umarł i wrócił!

Madengej rozważył to. Wyraz twarzy miał podejrzliwy. Potem zwrócił się do Maria.

- Ty czcisz białego boga, ropucho. Czy oni mówią prawdę. Czy przywraca zmarłych do życia?

- Księża w misji tak mnie nauczyl. Madengej zwrócił się do Grace.

- Pokaż to!

- Wejź do chaty, zobacz na własne oczy.

Ale młody naczelnik nie dał się nabrać. Wiedział, że samo jego wkroczenie do chaty oznaczałoby, że znachorstwo białych uważa za lepsze od znachorstwa swoich ludzi.

- Zabijemy kogoś - powiedział - i ty przywrócisz go do życia.

I przed podnieconą publicznością skinął na Maria, żeby wystąpił. Gdy Mario nie usłuchał, dwaj mężczyźni doskoczyli do niego i powalili go na ziemię.

- Zabijcie go - rozkazał Madengej.

Jeden z nich podniósł młot. Grace krzyknęła:

- Stój! Ja to zrobię. -Ty?

- Przecież to moje leki chcesz sprawdzić. To ja zesłałam na Gaczyku sen jak śmierć, a potem dałam jej znowu życie.

Chcesz dowodu mojej mocy, Madengej?

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Potem on kiwnął głową. Grace weszła do chaty po butelkę z eterem i maskę.

Mario trząsał się ze strachu i łypał białkami.

- Nie bój się - powiedziała po angielsku z uspokajającym uśmiechem. - Tylko zaśniesz, potem cię obudzę.

- Boję się, *memseeb dektari*. Lucille próbowała go uspokoić.

- Mario, pokładaj ufność w Bogu. Bóg ciebie nie opuści. - I na dodatkową pociechę wsunęła mu w rękę Biblię.

W wiosce zaległa dziwna cisza. Grace uklękła przy głowie leżącego Maria, odkorkowała butelkę, położyła mu maskę na nosie i ustach i zaczęła powoli ją nasączać. Gdy wzbił się ostry zapach, wszyscy cofnęli się zaleknieni.

Patrzyli, jak oczy Maria się zamykają, jak on cały wiotczeje i Biblia wypada mu z rąk. W końcu Grace, odsuwając się, stwierdziła:

- Śpi. Tak samo, jak spała Gaczyku.

Madengej przyglądał się leżącemu. Wydał rozkaz, przyniesiono rozżarzone drewnienko. Zanim Grace zdążyła zaprotestować, przytknął je do szyi Maria i przypalił skórę. Mario nawet nie drgnął.

W tłumie zawrzało, Madengej kazał przynieść nóż.

- Nie - powiedziała Grace. - Już nic nie rób. Masz dowód, jakiego chciałeś. On nie czuje bólu. Śpi mocniej niż w nocy.

- Teraz go obudź - zażądał Madengej.

Grace przygryzła wargę. Przy usypianiu ręka jej tak drżała, że mogła kapnąć kilka kropli ponad pożądaną miarę...

- Dlaczego on się nie budzi?

- Obudzi się na pewno.

Mijały minuty. Mario leżał bez ruchu.

- Nie widzę wracania do życia.

- Ożyje. . Grace pochyliła się nad Mariem, przyłożyła ucho do jego

piersi. Serce biło wolno i słabo. Zaaplikowała mu za dużo? Czy może na Afrykanów z jakiegoś powodu działają mniejsze dawki?

Madengej kazał przynieść pochodnię. Oczera uśmiechała się

triumfalnie. - Zaczekaj - powiedział James. - To wymaga czasu. On musi przewędrować przez świat duchów, zanim wróci na ten świat.

Madengej zastanowił się nad tym. Gdy przyniesiono jasno płonąca dużą pochodnię, wziął ją w prawą rękę i/trzymał w pogotowiu.

Mario leżał nadal nieruchomo. James przyklęknął obok Grace.

- Ocknie się? - zapytał szeptem po angielsku.

- Nie wiem. Może ci ludzie są uczuleni na narkozę...

- Obudź go, już! - wrzasnął Madengej. Grace poklepała uspiętego po policzku.

- Mario! - powiedziała.

- Patrzcie, jakie są leki białych! - zawołała Oczera. Publiczność poparła ją dudniąc.

Z chaty doleciał płacz noworodka. Gdy Madengej odwrócił się w tamtą stronę, znachorka zawołała:

- Sztuczka! To zły duch płacze, żeby cię zwabić w *tsehę*. Twoje dziecko nie żyje, synu!

- Jego dziecko żyje!

- A ten chłopiec u twoich nóg?

Grace spojrzała na twarz Maria. Błagam, zbudź się, pomyślała. Otwórz oczy. Pokaż im naszą moc.

James ujął chłopca za ramiona, potrząsnął nim. Oczy Maria

nadal były zamknięte.

- Boże drogi - szepnęła Grace. - Co ja zrobiłam?

- No, Mario. - James mocno trzepnął go w policzek. - Zbudź się! Czas drzemki minął!

Z obrzydzeniem Madengej odwrócił się i podszedł do chaty, wysoko trzymając pochodnię.

Grace zerwała się na równe nogi.

- Nie! - wrzasnęła. - Twoja żona żyje! Wejdz tam, sam zobacz.

- Kłamiesz. Twoje leki nie mają mocy. Przodkowie zesłali na nas *tsehę*.

Grace zareagowała bezwiednie. Wyciągnęła rękę, uderzeniem odrzuciła pochodnię daleko od chaty. Madengej patrzył na nią osłupiały. Kobieta uderzyła mężczyznę, naczelnika...

- *Memseeb dektari* - dał się słyszeć słaby głos.

Wszystkie oczy skierowały się na Maria. Głowa mu się przetaczała po ziemi z boku na bok.

- Brawo, chłopcze - powiedział James, jeszcze nim lekko potrząsając. - Już obudź się. Pokaż tym ludziom, że nie kłamiemy.

Mario zatrzepotał powiekami, ześrodkował wzrok na Madenge-ju. Potem nagle poturlał się i zwymiotował w piach.

- Widzisz?! - wykrzyknęła Grace. - Ja nie kłamałam. Moje leki są mocniejsze niż wasze.

Młody naczelnik patrzył to na nią, to na znachorkę. Po raz pierwszy jego urodziwa twarz wyrażała niepewność.

Gdy w końcu ruszył, żeby wejść do chaty, Oczera rzuciła się ku niemu i zastąpiła mu drogę.

- Synu, nie słuchaj tej *ozungu*. To będzie *tseha*

- Ich bóg ma wielką moc, więc moja nowa córka żyje i nie ma *tsehy*.

Oczera wolno wyprostowała swój stary grzbiet i ramiona, i z godnością zeszła mu z drogi. Wkroczył do chaty.

Wszyscy patrzyli i czekali.

Wreszcie młody naczelnik wyszedł. Oburącz trzymał golaska, nowo narodzoną córeczkę.

- Ona żyje! - zawołał, podnosząc ją wysoko. - I moja pani żyje także! Wróciła ze śmierci!

Tłum wiwatował w języku Kikuju.

Madengej podszedł do Grace. Na jego twarzy znów malowała się duma. Dał noworodka do potrzymania najbliższej stojącej kobiecie, pochylił się i podniósł z ziemi zakurzoną Biblię. Wążąc tę książkę w rękach, powiedział:

- Naucz mnie o waszym Bogu.

A starsza Oczera, znachorka, wycofała się w cienie chat.

## ***Rozdział 11***

Dom był gotowy.

Wstając od porannej pracy przy gobelinie, Rose nie posiadała się z podniecenia. Dziś jest piękny dzień, bo już jutro przeprowadzka do nowego domu. . , Nucila, składając ramę gobelinu, nucila, gdy dała ją afrykańskiej służącej, która zwykle ją za nią nosiła. Pani Pembroke, niania wsadziła dziesięciomiesięczną Monę do wózka i otuliła pledzikiem. Orszak zamykali dwaj mali chłopcy Afrykanie, jeden noszący koszyk z jedzeniem i parasolkę *memseeb*, drugi zajmujący się jej małą i dwiema papugami. Sama Rose wzięła torbę z przedzą, ruszając pierwsza z powrotem do obozu.

Na polance rozbrzmiewała muzyka: chrzęst suchych sztywnych gałęzi eukaliptusów, szum wiatru w wysokich krzakach i furkot, nawoływanie, śpiew, gwar ptaków, śmigających spośród zieleni w górze jak barwne jaskrawe błyski. Zazwyczaj Rose niechętnie wracała z tej swojej osłoniętej, zacisznej polany, gdzie Valentine jej wybudował ładną białą altankę, ale dzisiaj nie ociągała się wcale.

Valentine tak bardzo lubi ceremonie! Dom jest gotowy od tygodnia, meble na swoich miejscach, firanki zawieszane, dywany leżą, zapach nowej farby odświeża grudniowe powietrze. Ale on się uparł żeby było uroczyste otwarcie. Służba przez cały tydzień odbywała próby: uśmiechnięci Afrykanie w długich białych *kenzu* i szkarłatnych kurtkach przećwiczyli ustawianie się szeregiem z obu stron schodków przed frontowymi drzwiami: Mają też rozwinąć tam czerwony chodnik! Najpierw wejdą ona, Rose, z bukietem kwiatów, i Valentine u jej boku, potem Grace i Donaldowie, a później kolejno wszyscy goście zgromadzeni na kolistym podjeździe, żeby patrzeć i oklaskiwać.

Rose wprost nie mogła się tego doczekać. Suknię już dwa tygodnie temu przysłano z salonu *haute couture* Doeullet w Paryżu, fason najmodniejszy, sama królowa pokazała się w takiej sukni. Dwieście zaproszonych osób wybałuszy oczy, gdy ona, Rose, przyjedzie umajonym wozem, zaprzężonym w kuca, i wejdzie na schodki.

Jeszcze nie widziała wnętrza domu, wprost szalała z ciekawości. Właśnie dlatego zakochała się w Valentine.

Zalecając się do niej, Valentine wykazywał nadzwyczajny zmysł dramatyczny, cudowne zdolności zaskakiwania, pomysłowość w przygotowywaniu niespodzianek.

Spojrzała teraz przez ramię i upomniała panią Pembroke:

- Nianiu, proszę iść prędzej. Taka z niani guzdrała.

- Przepraszam, milady - odpowiedziała niemłoda pani Pembroke, manewrując wózkiem Mony między nierównościami ścieżki.

Pomimo wstrząsów na wybojach Mona nie zgłaszała żadnych pretensji, siedziała prosto, wielkimi oczami chłoneła widok puszczy wokoło. Była spokojnym stworzonkiem, nigdy nie grymaszącym, ku niemalej uldze pani Pembroke, i ładnym w dodatku, w fal-baniastej sukieneczce i kapelusiku-budce. I jest inteligentna, pomyślała jej niania. Mona już mówi prawie całymi zdaniem i zaczyna chodzić bez pomocy. Co nie znaczy, że jej rodzice to zauważają. Lady Rose, jeżeli zwraca uwagę na córeczkę, to jakoś bardzo dziecinnie, bawi się Moną jak lalką. A milord - no, po nim nikt by nie poznał, że ma dziecko!

Tyle jeszcze należało zrobić. Chociaż największe kufry Rose przeniesiono do domu, czekały na rozpakowanie drobiazgi osobiste, przybory toaletowe, kosmetyki, bielizna nocna. I róże, oczywiście, trzeba przesadzić! I muszę zadbać o fryzurę, przypomniała sobie Rose. Grace ofiarowała się ją uczesać na wzór fotografii w amerykańskim czasopiśmie. Ostatni krzyk mody - krótkie włosy, miękkie fale.

- Pani Pembroke, niechże się niania pośpieszy - powiedziała Rose znowu. Była w blad różowej tiulowej sukni z dekoltem łódką i szerokim rozkloszowanym kołnierzem, zdającym się unosić wokół ramion. Włosy koloru księżycowej poświaty, które miały wkrótce być obcięte i ukarbowane, teraz wymykały się spod spiętrzonego upięcia na czubku głowy i obramowywały twarz pasemkami. W smugach blasku słońca Rose wyglądała jak leśny duszek, przezroczysty, efemeryczny.

Ta dziwna gromadka wyszła zza drzew na wytrzebione wzniesienie nad wyschlą rzeką, skąd widać było w dole Domek Ptasiej



Pieśni, prymitywną klinikę, prowadzącą tam wydeptaną ścieżkę i dalej polanę z jedną jedyną chatą w cieniu starego figowca.

Rose zobaczyła szwagierkę.

- Grace! - zawołała i pomachała ręką.

Ale Grace nie dosłyszała. W przychodni pod strzechą, przypominającej łożo z baldachimem, miała pacjentów: kobiety w ciąży, chore niemowlęta, mężczyzn z bólem zębów. Po niezwyklej operacji dwa miesiące temu sława Grace jak pożar lasu rozprzestrzeniła się na Ziemi Kikuju. Teraz co dzień rano Afrykanie tłoczyli się do *memseeb dektari*. Lucille Donald przyjeżdżała trzy razy w tygodniu, żeby uczyć dzieci Biblii.

Wszystko idzie wspaniale! Rose czuła się tak, jakby skrzydła jej urosły u ramion. Zapomniała o szoku, jakiego doznała w marcu, przyjeżdżając na ponure pustkowiu. Chociaż deszcze nie spadły i wszystkich martwiła rozpacзлиwa sytuacja gospodarza, Rose nie widziała powodu, żeby nie cieszyć się życiem.

Patrząc w dół ze wzniesienia, zwolniła kroku. Własnym oczom nie mogła uwierzyć. One znowu to robią, ta stara i jej wnuczka. Odbudowują chatę po raz... który? Chyba czwarty. Valentine kazał wszystkie chaty zburzyć i rodzina Madengeja przeniosła się za rzekę. Tylko znachorka i jej młoda czeladniczka uparcie pozostają, odbudowują chatę, którą za każdym razem przewraca traktor. To rzeczywiście tajemnicze!

Pamiętała, jak ostatnim razem te dwie przyszły do obozu. Babka na przedzie z głową wysoko podniesioną jak cesarzowa wdowa, wystrojona we wszystkie swoje paciorki, miedziane ozdoby i muszelki. Za nią młoda, trzymająca synka na biodrze. A jakie były grzeczne! Kłaniały się, uśmiechały nieśmiało, mówiły cicho, prawie niedosłyszalnie. Mario, posługacz Grace, tłumaczył. One nie chcą urazić chcą tylko, żeby *buana* wiedział, że nie wiadomo dlaczego ich chata raz po raz się wali, a one chciałyby, żeby stała, bo w mej mieszkają i muszą mieszkać - ich świętym obowiązkiem jest służyć przodkom, którzy żyją w tym figowcu.

To była ich czwarta wizyta! Swoją wytrwałością te dwie kobiety Kikuju imponowały Rose. Za każdym razem przychodziły pokornie, dawały kozy i paciorki w prezencie, zapewniały Valentine'a, że nikogo nie oskarżają, nie chcą sprawiać kłopotu, chcą tylko przypomnieć duchom w wietrze, że ta chata stoi na uświęconym miejscu i nie powinno się pozwolić na jej usunięcie.

Ciekawostka, te dwie Kikuju, myślała Rose. Podobne do siebie, prawie identyczne, poza tym, że babka jest mniejsza i ciemniejsza,

jak w końcu wszystkie kobiety Kikuju na starość. Obie mają w sobie jakąś spokojną godność; nawet Murzyniátko na biodrze matki zawsze siedziało cicho, jakby wyczuwało powagę sytuacji. Valentine za każdym razem upominał je, że ta ziemia jest jego, kupiona zgodnie z prawem od naczelnika Madengeja, i dawał im na odczepne worki ziarna oraz drogocenną torbę cukru.

Ale teraz one znowu budują chatę, znachorka i jej wnuczka, cierpliwie, w milczeniu. Patrząc tam, Rose zastanawiała się, czy wiedzą, że Valentine kazał usunąć ten figowiec razem z korzeniami już jutro, żeby otworzyć swoje nowe boisko polo.

Dalej, nad rzeką, za namiotami obozowiska stał symbol niewzruszonego optymizmu Valentine'a - nowusieńka prasa sprowadzona z Indii Zachodnich. Miała być potrzebna dopiero przy pierwszym zbiorze kawy, czyli za dwa, trzy lata, ale już stała gotowa, czekając na moment, gdy zaczną spod miękkiej czerwonej skórki pierwszych jagód wyciskać ziarnka.

Gdy pani Pembroke kładła Monę w namiocie dzieciennym -była to pora przedpołudniowej drzemki dziecka - Rose poszła do prowizorycznej oranżerii po sadzonki, które przywiozła z Anglii.

Te róże nie tylko nie zmarniały, ale właśnie kwitły. A przejechały taki kawał świata z Suffolk w serce afrykańskiej suszy. Umieściła je w taczkach i poprowadziła ogrodnika Kikuju ścieżką w stronę domu.

Tam gdzie piaszczysta droga zmieniała się w aleję wjazdową, była duża okazała brama z kamiennym łukiem, na którym widniała przy herbie Trevertonów nazwa posiadłości.

Rose uśmiechnęła się. Przypomniła sobie wyraz twarzy Valentine'a, gdy przed miesiącem przywieziono łuk.

Kamieniarz Suahili w Mombasie włożył w tę pracę wiele zamięłowania i trudu. Litery były idealnie wyrównane, w rogach dodatkowe zakrętasz. Osiągnięcie artystyczne, wszyscy się z tym zgodzili, i na pewno więcej warte niż Valentine zapłacił. Tylko że wkradł się jeden błąd. W nazwie.

„Bella Dwa” - zamówił Valentine ku pamięci Bella Hill, siedziby rodu w Anglii. Zaznaczył:

- Dwa to znaczy „drugi dom” tu, w Afryce. Rozumiesz?

Kamieniarz zapewnił, że rozumie doskonale, po czym zasiadł do czteromiesięcznej pracy, żeby to przekreślić.

Ten wyraz twarzy Valentine'a... I zaraz wszyscy parsknęli śmiechem. Sir James szybko postarał się w miarę możliwości uratować sytuację.

- Bardzo sprytnie, Val. Jak wpadłeś na taki pomysł?

Wykuty raz na zawsze został napis BELLATU. To znaczy, w języku Kikuju, jak sir James pośpieszył wyjaśnić, „w całej pełni Bella”.

Valentine kazał obsadzić aleję wjazdową olbrzymimi krzewami gwiazd betlejemskich, żeby zbliżanie się do domu było bardzo efektowne. Uszczuplając i tak coraz mniejsze zapasy wody, podlewano te krzewy, więc kwitły pięknie na przyjęcie gości. Płatki jak jęzory ognia buchały z każdej gałęzi, pokrywały jałową ziemię szkarłatnym kobiercem. Tą aleją goście mieli przyjść nazajutrz ze swoich kwater w licznych namiotach i prowizorycznych chatkach, które Valentine kazał postawić na pobliskim polu. Była tam cała osada czy też miasteczko szałasów, mające zniknąć po odjeździe gości za kilka dni tak pełnych gwaru, śmiechu, zabaw, polowań i szampana **bez** miary, jak każde wielodniowe przyjęcie w protektoracie. Zaproszeni przyjeżdżali z daleka, więc zabierali w długą drogę swoją służbę i zwierzęta.

Rose odparła pokusę, żeby zajrzeć ukradkiem do domu. Valentine, zawsze efekciarz, kazał zasłonić szczelnie wszystkie okna, toteż wewnątrz pozostawało wciąż jeszcze zapieczętowanym sekretem. Nawet nie pozwolił żonie zobaczyć kolorów farb, którymi malowano ściany.

Na zewnątrz dom **był** wspaniały, zupełnie inny niż projektowane **bez** polotu rezydencje w Anglii.

Bellatu, zbudowany z kamienia polnego, dwupiętrowy, z przyczółkami, cały otoczony werandą, mówił swoim wyglądem o tropikalnych luksusach i przyjemnym życiu. Reprezentował nowy reformatorski styl, stworzony specjalnie dla Afryki Wschodniej, i świadczył o tym, że coś się zaczyna. Wysokie francuskie okna jadalni w tylnej części domu wychodziły na wielopoziomowy, wyłożony płytami taras. Na klombach kwitły świeżo zasadzone rośliny. Rose wiedziała, że Valentine musiał na to wydać mnóstwo pieniędzy w czasie tej suszy. Ale swoich róż nie zamierzała zasadzić tutaj. Róże mają być od frontu.

W czerwcu na specjalnej uroczystości w Nairobi lady Rose podarowała kilka ze swoich krzewów różanych miastu. Orkiestra wtedy grała, potem był bankiet, hałaśliwe obławanie.

I wśród tych róż postawiono tabliczkę:

ROSA GALLICA OFFICINALIS

Te róże pochodzące z ogrodów Bella Hill w Suffolk w Anglii, jak wiadomo, zostały tam po raz pierwszy zasadzone po wojnie Dwóch Róż, gdy Henryk Tudor w roku 1485 nadał wiernemu żołnierzowi włości w nagrodę

za walkę o sprawę Lancasterów. Na cześć swojego króla ów żołnierz, stając się hrabią Trever's Town, zasadził przed swoją nową siedzibą czerwone róże, symbol rodu Lancasterów.

Lady Rose, hrabina Treverton, przywiozła te sadzonki do Brytyjskiej Wschodniej Afryki w lutym 1919 roku.

Właśnie na takich fetach Rose, tak jak jej kwiaty, rozkwitała -gdy był przepych i ceremoniał, gdy podawano właściwe potrawy, gdy przestrzegano właściwego protokołu i gdy nadskakiwali jej ludzie *comme U faut*.

Na wielką galę w związku z otwarciem nowego domu Valentine zaprosił samą śmietankę wschodnioafrykańskiego towarzystwa. Niektórzy przyjadą aż z Ugandy, z Sudanu, z Wybrzeża, nawet z Tanganiki, teraz brytyjskiej, po zabranii jej Niemcom. Będą oficerowie króla w eleganckich mundurach, podający ramię damom; utytułowane osobistości, ludzie bogaci, wysoko postawieni w protektoracie, jak również niebogaci i bez pozycji, ale nie mniej interesujący: biały myśliwy opromieniony legendą, bracia, „którzy zapuścili się w głąb Kongo, słynny pisarz i dwie aktorki filmowe. To ma być wydarzenie roku, czy może nawet dekady, a ona, Rose, wreszcie znajdując w tym obcym kraju swoje miejsce, będzie nad tym wszystkim królowała.

Spieszyła się teraz. Grzebała w ziemi gołymi rękami. Dom! - myślała Wreszcie należyty dom! Już nie namioty, już nie owady i jaszczurki! Prawdziwe łóżko w prawdziwej sypialni. Jedna sypialnia dla niej, druga dla Valentine'a. W ciągu ubiegłych miesięcy Valentine zaczął respektować jej życzenia. Ta nieprzyjemna sprawa poszła w niepamięć. Nie zbliżał się do jej łóżka i prawdopodobnie nigdy się nie zbliży.

Zasadziła różany krzaczek.

Traktor sunął w stronę figowca.

„Zetnijcie to cholerne drzewo - powiedział *buana* - to pozbedziemy się tyah dokuczliwych kobiet”.

Dwaj silni Afrykanie już przepiłowali prastary pień. Traktor miał zwalić figowiec, żeby mogli potem pień wykopać z ziemi. *Buana lordi* kazał tę pracę ukończyć dziś po południu. *Ozungu* już przyjeżdżają wozami, automobilami i konno, on chce mieć zaraz gotowe boisko polo.

\* \* \*

Duch rzeki się gniewał. Właśnie dlatego młoda Oczero i jej babka powędrowały tak daleko. Wstały przed świtem, wtargnęły w niezna-

ne ostępy i przemierzyły wiele rzutów włócznią, żeby dotrzeć do górskich zboczy, gdzie jeszcze sączyło się kilka strumyków. Były teraz w krainie dzikich zwierząt. Były gośćmi, nie chciały obrazić ani duchów zwierzęcych, ani innych mieszkających w tych skałach i drzewach tak odległych od swojskiego figowca, więc śpiewały idąc i po drodze zostawiały dary: kukurydzianą mąkę i piwo z kukurydzy.

Duch rzeki się gniewał, bo na jego gardle *buana* zbudował ścianę udusił go, wskutek czego woda zawróciła, wezbrała i utworzyła staw tam, gdzie nigdy przedtem stawu nie było. To dla ludzi, żeby przetrwali suszę, powiedział *buana*. Gdy inne klany umierają z pragnienia, rodzina naczelnika Madengeja ma wodę. Ale to niedobrze, powiedziała znachorka swojej uczennicy. Dzieciom Mambi nie wolno dla zaspokojenia swoich samolubnych potrzeb obrażać duchów przyrody. Rzeka jest zduszona i dlatego na Ziemię Kikuju spadła *tseha*.

Przyniosły duże tykwy. Siedziały cierpliwie, gdy każda tykwa kolejno się napełniała. Młoda Oczerza ze smutkiem myślała o swoim mężu. Po narodzinach córki Gaczyku Madengej poszedł do misji białych i tam słuchał opowieści o cudownym Bogu imieniem Jezus, który umarł i zmartwychwstał, i który obiecał, że tak samo wróci do życia każdy, kto będzie Go wielbił. W misji Madengej dał się oczarować. Widział rzecz zwaną „rower” i zapragnął ją mieć. Jechał „otomobelem”, i to go zachwycało. Dostał talizmany zwane monety” i zobaczył, że są więcej warte niż kozy.

Pokazali mu, jak mówić” znakami narysowanymi na papierze i powiedzieli, że ta umiejętność daje człowiekowi wszelką moc pod słońcem W wiosce białych przewróciło się Madengejowi w głowie; zobaczył możliwości *ozungu* posiadającego strzelbę, buty i puszki z jedzeniem. Madengej wrócił do rodziny nad rzeką zupełnie odmieniony.

- Białe ma lepsze zwyczaje, pani moja - powiedział młodej Oczerze tamtej nocy, kiedy porzucił ją na zawsze.

Przyszedł do chaty ubrany jak biały, bo księża w misji go pouczyli, że nagość jest przedmiotem obrazy dla Boga Jezusa.

- To są nowe czasy - wyjaśnił. - Świat się zmienia. Ngai na swojej górze umarł: teraz jest nowy bóg. Czy Dzieci Mambi me zginą za to, że nie wielbią tego nowego boga? Pamiętasz przysłowie: ładna dziewczyna omija dom biedaka? Chcesz, żeby inne plemiona świata omijały drzwi Kikuju?

Oczerza, milcząc, słuchała z szacunkiem. Wylewanie łez - łez wstydu nie za siebie - odłożyła na później, żeby nie zhańbić się pła-

czem w obecności męża. Mały Kabiru, ich synek, raczkował nieświadom, że następuje wspaniałe pożegnanie.  
- Zrobili mnie naczelnikiem, pani moja, i mam obowiązek opiekować się naszym ludem. Pamiętasz przysłowie: trzoda z kulawym pasterzem nigdy nie dojdzie do dobrego pastwiska. Nauczę się czytania białych i złożę się w ofierze Bogu Jezusowi. Księża w misji pokazali mi obraz złego boga zwanego Szatanem. Jego skóra jest ciemna jak skóra Kikuju. Pokazali mi, że czarne jest złe, a ja nie chcę być zły. Obmyli mi czoło i nazwali mnie Salomon, to jest moje nowe imię. Jestem teraz jak biały, jestem równy białemu. I ten mój syn tutaj, który się nazywa Kabiru po pradziadku, pójdzie do misji

i też będzie obmyty i dostanie nowe imię, i w ten sposób będzie równy białemu.

Madengej odszedł z synkiem na sześć wędrówek słońca i gdy z nim wrócił, oznajmił:

- Teraz on ma na imię David i jest chrześcijaninem. Biali będą go traktować jak brata. A potem powiedział:

- Bóg Jezus mówi, że ja popełniam grzech, bo mam więcej niż jedną żonę. Ty mi się sprzeciwiłaś, pani moja, nie przeniosłaś się za rzekę, chociaż ci kazałem. Przeto nie jesteś już moją żoną. Będę teraz żyć jak człowiek chrześcijański z Gączyku i z moją córką, którą Jezus przywrócił do życia. I ja, kiedy czas na mnie przyjdzie umrzeć, też wrócę do życia. Jezus to obiecuje.

Później Oczerą, przyciskając Kabiru do piersi, lamentowała, jak gdyby Madengej umarł. Dla kobiety Kikuju największym nieszczęściem było odtrącenie przez męża, bo klan ją wtedy wyrzucał i już nie miała rodziny. Oczerą opłakiwała nie tylko utratę ukochanego, ale i pustkę swego łona w przyszłości. Tuliła Kabiru i szlochała, obmywała go łzami, jak gdyby to mogło zmyć z niego chrzest białych. W końcu jednak, ponieważ tak chciał mężczyzna, którego kochała, zaczęła syna nazywać David. I po piątym zwaleniu chat nie odbudowała swojej. Wprowadziła się do chaty babki i mieszkali tam we troje bardzo się kochając, i będąc sobie nawzajem pociechą.

\* \* \*

Po południu w powietrzu było dużo dymu z palącego się drewna, a ludzie *buany* już wyrwali pniak po olbrzymim figowcu. Ciszę rzeki zakłócały zgrzyty łańcuchów i warkot traktora.

Oczerą i jej babka, wychodząc zza drzew, zobaczyły, jak te prastare korzenie, niczym sękaty palce ręki podniesionej w proteście, wysuwają się z ziemi pod tumanem piachu i kurzu. Zatrzymały się

i patrzyły. Dziesięciu mężczyzn holowało pniak i zakopywało wyrwę w ziemi. Z uświęconego potężnego drzewa i jego wielkich rozłożystych konarów zostały tylko sterty świeżo porąbanych polan. Starsza Oczera powoli zdjęła sobie tykwy z pleców.

- Córko - powiedziała - zabierz mnie teraz do puszczy. Czas mi umrzeć.

Młoda Oczera zapatrzyła się na nią.

- Jesteś chora, babko? . Znachorka odpowiedziała spokojnie, chociaż głosem drżącym ze zmęczenia i starości, takim, jakiego nigdy dotąd jej wnuczka nie słyszała.

- Dom przodków zniszczyli. Święte miejsce skalali. Wielka *tse-ha* jest tutaj. Mój czas na świecie się skończył. Zabierz mnie teraz, wnuczko.

Ręka, którą wyciągnęła, nie drżała. Młoda Oczera postawiła swoje tykwy na ziemi, przełożyła Davida na drugie biodro i wzięła babkę za rękę. Odwróciły się od Kikuju ubranych jak biali, rąbiących i spalających święte drzewo, i powróciły do puszczy.

Szły w milczeniu. Tylko mały David, który miał czternaście miesięcy i nie wiedział, jaka straszna stała się katastrofa, gruchał i gaworzył. Młoda Oczera odpychała myśl, że babka wkrótce umrze, a przecież wiedziała, że tak będzie.

Doszły na bezludzie. Znachorka usiadła na ziemi zasłanej gałązkami i suchymi liśćmi, po raz pierwszy słaba jak zgrzybiała staruszka. Młoda Oczera dziwiła się, że tak nagle babka się zestarzała. Zmęczone kości strzykały, ręce i nogi były sztywne, a przecież tak niedawno, niosąc tykwy, babka miała ruchy nift mniej zwinne i sprężyste niż wnuczka młodsza o pięćdziesiąt lat.

Stara Oczera wyprostowała nogi przed sobą.

- Wkrótce będę zabrana przez Pana Jasności - powiedziała cicho - i wrócę do naszych Pierwszych Rodziców, Kikuju i Mambi.

Młoda Oczera położyła Davida na zeschniętych liściach, usiadła naprzeciw staruszki i czekała. Działo się coś strasznego, prawie niepojętego, coś, czego nie ogarniała umysłem, a przecież wierzyła, że kiedyś to zrozumie.

- Smutek jest na Ziemi Kikuju - powiedziała w końcu starsza Oczera, oddychając z trudem. - Czas przyszedł i stare sposoby minęły. Teraz wiem, że urodziłam się, żeby zobaczyć zachód słońca Kikuju. Dzieci Mambi odwrócą się od Ngai, od swoich przodków, od praw plemiennych. Stare sposoby umrą w zapomnieniu. I Maden-

gej nigdy do ciebie nie wróci, córko. Biały człowiek rzucił na niego urok. Ale ten mężczyzna, który cię miał, nie będzie szczęśliwy w swoim nowym życiu, bo jest przysłowie: nóż raz zaostrowany zrani właściciela. Nie jego to wina, bo jest przysłowie: serce karmi się tym, co lubi.

Umilkła. Słońce zaczęło uchodzić z puszczy, pozostawiając długie cienie jak węże wyciągające się ku tym dwóm Kikuju.

- Wiesz, córko, że żyjemy w naszym potomstwie. Mężczyzna musi mieć wiele żon, żeby mieć wiele dzieci, bo tylko tak nasi przodkowie mogą żyć wiecznie. Ale biały człowiek nas naucza, że to jest źle. Już mężczyźni Kikuju porzucają swoje żony. Za mało będzie dzieci na przyjęcie dusz zmarłych dziadków, więc duchy przodków zaczną się tułać po ziemi, bezdomne. Wkrótce już nie będzie drzew figowych i nikt nie zostanie, żeby się porozumiewać z naszymi praojcami i pramatkami. Duchy przodków zginą.

Rozdygotaną ręką znachorka zdjęła z nadgarstka bransoletę z rzes słonia, więc mającą wielką czarowną moc, i dała wnuczce. Gdy znów przemówiła, głos jej był jeszcze słabszy, oddech urywany. Zdawało się, że życie ucieka z jej starych kości, tak samo jak opuszczało korzenie umierającego figowca.

- Zjedź teraz przysięgę, córko. A potem odejść ode mnie.

W puszczy zapadał groźny mrok. Żaden Kikuju nie chodził po puszczy nocą. Czyhały w niej liczne niebezpieczeństwa: dzikie zwierzęta i złe duchy. Ale młoda Oczera chciała trwać przy babce do jej śmierci.

- Nie zostawię ciebie dla nich, dopóki żyjesz - powiedziała zdławionym głosem. Hieny już przyszły i krążyły w pobliżu.

Starsza Oczera potrząsnęła głową.

- Wszystko mi jedno, czy ich ucztą stanę się za życia. Hieny trzeba szanować, córko. Nie będę krzyczała. Musisz odejść, ale przedtem przysięga.

Oczera się bała. Zjedzenie przysięgi to najpotężniejszy z czarów Kikuju: wiąże danym słowem duszę przysięgającego. Niedotrzymanie takiej przysięgi powoduje natychmiastową straszną śmierć.

- Przysięgniesz mi teraz, wnuczko, na tę ziemię, która jest naszą matką, że będziesz strzegła starych sposobów i że zachowasz je po wsze czasy. - Staruszka wzięła garść piachu i wyciągnęła dłoń, drugą ręką czyniąc nad nią mistyczne znaki, przymknęła oczy i powiedziała: - Kiedyś Dzieci Mambi obrócą się przeciwko białemu człowiekowi i wypędzą go z Ziemi Kikuju. Gdy ten czas przyjdzie,



Kikuju będą chcieli przywrócić sposoby ojców. Ale kto tutaj zostanie, żeby ich nauczyć?

- Ja - wyszeptła młoda Oczero. Znachorka wsypała piach w ręce wnuczki.

- Przysięgnij na tę ziemię, naszą Wielką Matkę, że będziesz zachowywać sposoby plemienne i będziesz zawsze porozumiewać się z przodkami.

Oczero podniosła ręce do ust, zgarnęła trochę piachu językiem.

Przełykając, powiedziała:

- Przysięgnij także, Oczero, że będziesz leczyć naszych ludzi z choroby i będziesz odprawiać obrzędy i czary naszych matek.

Znowu Oczero zjadła trochę piasku i złożyła przysięgę.

- i obiecaj mi, córko mojej duszy... - Staruszce zabrakło tchu. Wydawało się, że całe jej ciało maleje, kurczy się przed oczami wnuczki. - Obiecuj, że zemścisz się na tym białym na wzgórzu.

Oczero zjadła przysięgę, obiecała zemścić się na *ozungu* i patrzyła, jak jej babka umiera.

## *Rozdział 12*

Szła sama przez nocną puszcę bez lęku, bo wiedziała, że duch babki idzie przed nią. Szła krokiem zdecydowanym, ślepa na kształty łąbów i kadłubów wokoło, głucha na śmiechy hien pożywiających się ludzkim mięsem. Przedzierała się wśród drzew i krzaków, tuląc Davida do swego młodego biodra, pełna odwagi i determinacji, jak gdyby silna wola starej Oczery krążyła jej w żyłach. Z każdym ominiętym drzewem zostawało za nią coś z jej nieśmiałości i pokory, z każdym przestąpionym kamieniem, z każdą gałązką złamaną w przejściu zostawały jej młodociane obawy i niepewność coraz dalej i dalej.

Idąc, Oczera rosła duchem i postawą. Powtarzała sobie słowa starszej Oczery, żeby je pamiętać aż do śmierci.

W końcu wyszła z puszczy na polanę, gdzie już nie było uświęconego drzewa, tylko stała jedna samotna chata w księżycowej poświacie. Trzymając swoje dziecko, jedyne i, jak wiedziała, ostatnie, młoda Oczera, teraz znachorka klanu, skierowała wzrok w stronę wielkiego kamiennego domu na wzgórzu.

\* \* \*

- Słowo daję, to raczej jak koronacja, no nie? - powiedział jego ekscelencja gubernator, który będąc najwyżej postawiony w protektoracie, stał najbliżej frontowych schodów.

Podniecenie Wzrastało, wprost namacalne w nocnym powietrzu. Pochodnie płonęły wzdłuż zakręcającej alei wjazdowej aż do piaszczystej drogi, którą wciąż jeszcze przybywali spóźnieni. Ale większość gości już się zgromadziła. Szeptano z ożywieniem. Doprawdy, Treverton zorganizował wszystko wspaniale. Kieliszki z winem iskrzyły się w poświacie, różowy dżin lał się w wysokie pucharki.

Wszyscy niecierpliwie oczekiwali przybycia hrabiego i jego małżonki, żeby można już było zobaczyć wnętrze tego wspaniałego domu i zasiąść do biesiady.

- Podobno wszystko jest oświetlone żarówkami. Treverton zainstalował jakiś generator. Pierwsza elektryczność w prowincji. O ile wiem, jutro będzie poło - powiedział Hardy Acres, prezes najważniejszego banku w Nairobi, w którym prawie wszyscy obecni byli zadłużeni.

- Jeżeli pogoda się utrzyma - dodał mężczyzna stojący przy nim.

Twarze podniosły się ku nocnemu niebu. Księżyc świecił, migotały gwiazdy. A przecież, zastanowił się ten i ów, czyż powietrze nie jest dziś jakoś szczególnie wilgotne? I wcale nie ma wiatru. Wystarczy jeden porządny podmuch, żeby chmury nadciągnęły znad góry Kenya i przyniosły... deszcz.

- No! - rozległ się czyjś głos. - Otóż i oni!

Valentine Treverton już wiedział, że w Brytyjskiej Afryce Wschodniej można dobry gust zastąpić efekciarstwem bezkarnie, bo na tym między innymi polega czar życia w protektoracie. Tak jak inni uległ działaniu równikowego słońca: jego styl stał się ostentacją, a pojęcie o wystawności zaczęło graniczyć z parodią. Wszyscy to akceptowali i lubili. Zerwała się więc burza oklasków, gdy na zakręcie alei ukazały się kuce z arabskimi kitkami i dzwoneczkami, ciągnąc wóz cały we wstążkach i kwiatach. Na koźle siedział Afrykanin w liberii z herbem Trevertonów i w zielonym pilśniowym cylindrze. Wschodnioafrykańskim osadnikom zawsze podobało się dobre widowisko.

Lady Rose wyglądała olśniewająco, gdy zsiadła z wozu, trzymając bukiet - coś niesłychanego! - białych lilii. Skąd Treverton te lilie wytrzasnął? W czasie takiej suszy! A włosy hrabiny! Kobiety już postanawiały obciąć swoje staroświeckie koki w stylu fin de siecle'u, narzuconym przez amerykańskiego ilustratora Charlesa Gibsona, i zrobić sobie taką ondulację nowoczesnej kobiety wyzwolonej - to może być gorszące w Europie, ale przecież nie tutaj, skoro lady Rose to lansuje. Tren długiej, naszywanej koralikami sukni włókł się za nią. Wchodząc po schodkach, uśmiechała się i skłaniała głowę, lśniącą w blasku pochodni jak wypolerowana platyna. Valentine dumny i godny szedł u jej boku, zdecydowanie najprzystojniejszy ze wszystkich obecnych mężczyzn. Doktor Grace Treverton szła za nimi, ubrana bardziej konserwatywnie niż jej bratowa. Przy niej pani Pembroke niosła dziesięciomiesięczną Monę. Za Grace szli sir James i lady Do-

nald, najserdeczniejsi przyjaciele Trevertonów i najbardziej honorowani goście.

Drzwi otworzyli dwaj uśmiechnięci służący. Valentine wprowadził żonę po raz pierwszy do nowego domu.

Było w każdym calu tak bajecznie, jak Rose sobie wyobrażała, a nawet jeszcze bajeczniej! Valentine wszędzie porozmieszczał dla niej niespodzianki: w wysokiej serwantce wystawił porcelanę Spode, prawie przez rok przetrzymywaną w skrzyni, w salonie cudowny duży zegar z wahadłem, a w uroczystej jadalni zawiesił portret jej rodziców, który sprowadził w tajemnicy przed nią. Ale największą niespodzianką była ścięta w puszczy Aberdare choinka pośrodku saloniku, jaśniejąca zapalonymi świeczkami, obwieszona mnóstwem błyskotek i pierników. U podstawy choinki leżały zasy sztucznego śniegu.

Rose była zachwycona.

-Valentine, najdroższy! - wykrzyknęła i rzuciła się mężowi w objęcia.

Gdy się pocałowali, wszyscy bili brawo, tylko służący Kikuju, w których plemienu nikt nikogo nie całował, nie rozumieli, dlaczego *memseeb* i *buana* stykają się ustami.

Miranda West przyjechała z Nairobi poprzedniego dnia i zabrała się do pracy w kuchni już o świcie. Teraz pilnowała, żeby podawano należycie jej kulinarne arcydzieła. Ponieważ dwustu osób nie dałoby się posadzić przy jednym stole, były bufety. Gości obsługiwali Afrykanie w szkarłatnych zanzibarskich kamizelkach haftowanych złotem, w długich białych *kenzu* i w rękawiczkach. Torty z frytek Mirandy podawali do pieczonej gazeli, do tęczowych pstrągów z coraz mniej zasobnego sztucznego jeziora Valentine'a, do drobiu pieczonego w miodzie i do szynki z Rift Valley. Rożki z lanego ciasta jadło się z masłem i dżemem, gotowany łosoś Mirandy leżał na domowym kołaczku, nawet poncze były jej dziełem; w wazach ze rżniętego szkła, stanowiących komplet z Jakimi samymi chochlami i szklankami, płonęło czerwone wino jej słynnych koktajli. Znakomitość tego wszystkiego wywoływała westchnienia błogości i smutku, gdy smak wytęsknionej Anglii przypominał emigrantom, że porzucili ojczyznę, zdając się na nowy, jakże niepewny los.

Byli nawet muzykanci: skrzypkowie i akordeonista, którzy grali kolędy. Bellatu jaśniał w nocnym mroku na swoim wyniosłym wzgórzu jak królestwo z bajki, raz na sto lat czarodziejsko pełne życia. W promieniu wielu mil tubylcy, którzy w ciemnych zadymionych chatach, stłoczeni ze swymi dziećmi i kozami, bali się ciemno-

ści, słuchali niepojętego gwaru, śmiechów i muzyki *ozungu*. Na pobliskim zboczach samotny słoń trąbił, jak gdyby chciał przypomnieć uczującym, gdzie rzeczywiście się znajdują.

Goście rozeszli się po werandzie, po trawnikach, kilkoro nawet zapuściło się ukradkiem w głąb domu, żeby zajrzeć do pokoi sypialnych. Valentine nie odstępował Rose. Byli czarowną parą, wydawało się, że niosą czar i błogosławieństwo każdemu, kogo dotkną. W ciągu ubiegłego roku legendą stała się w protektoracie szczęśliwa ręka Trevertona: gdy plony wszystkich marniały z braku wody, jego drzewka rosły mocne i zielone. On nawet miał jakieś podstępne podejście do Afrykanów. Słuchali go jak wierni poddani, nigdy chyba nie uciekali ani nie marudzili w pracy. Goście oblegali hrabiego i jego piękną żonę, żeby otrzeć się o to trevertonowskie szczęście.

Grace wymknęła się na taras, stanęła przy strzyżonym żywopłocie i patrzyła w dół na rzekę Chania. Wkrótce dołączył do niej sir James.

- Twój brat przeszedł sam siebie - powiedział. - O tej nocy ludzie będą plotkować przez lata.

Roześmiała się, popijając szampana.

- Jakim cudem stać Valentine'a na to wszystko? - zapytał. Milczała. Wiedziała, że jej brat bardzo nadszarpuje dochody

z dzierżaw Bella Hill, i modliła się, żeby rozsądek nie za późno kazał mu się opamiętać. Posiadłość w Suffolk nie jest studnią bez dna.

Minęli ich trzej mężczyźni w białych smokingach, jak widma wysuwające się z księżycowej poświaty.

- Kiedy jestem na safari - mówił jeden z nich - wolę spać pod gołym niebem. Niebo to dobry dach wtedy, gdy nie przecieka.

James podniósł kieliszek z brandy i uśmiechnął się do Grace. Złapała się w jego uśmiech, w zmarszczki przy kącikach oczu.

Jeden z tych trzech mężczyzn, gdy znikali za rogiem żywopłotu, powiedział trochę bełkotliwie:

- Podobno jest jakiś potwornie wielki słoń w okolicach Jeziora Rudolfa. - I przez chwilę dolatywała coraz cichsza rozmowa o polowaniach na słonie.

James zamyślił się. Patrzył gdzieś w dal, kieliszek trzymał przy ustach, ale nie pił.

- Coś niedobrze? - zapytała Grace.

- Tak tylko mi się przypomniało... - Postawił kieliszek na krawędzi marmurowej wazy. - Mój ojciec polował na kość słoniową.

Kiedy podrosłem, zabrał mnie na safari. Pamiętam, skończyłem szesnaście lat i pojechaliśmy nad Jezioro Rudolfa. - Nie patrzył na nią. Głos miał też daleki. - To było w roku tysiąc dziewięćset czwartym. Tropiliśmy starego słonia, ranionego pierwszym strzałem ojca. Siedziałem w obozie, ojciec wyszedł i natknął się na tego słonia. Słoń natarł, sztucer po pierwszym strzale się zaciął. Więc ojciec musiał uciekać przed tym olbrzymim słoniskiem. Służący przybiegł po mnie i opowiadał, że ojciec rzucił się w bok, ale słoń go dopadł. Odwrócił się, spróbował przebóść go kłami. Kiedy tam dobiegłem, ojciec zdołał przeczołgać się pod podbródkiem tej bestii poza zasięg kłów, ale słoń walił go kolanami. Kilka moich strzałów zabiło słonia, ale ojciec już nie żył. Długi był powrót stamtąd, kilkaset mil, i tylko ja i tragarze tubylcy. Przez całą drogę się zamartwiałem, jak powiedzieć matce. Ale kiedy dotarłem do Mombasy, dowiedziałem się, że umarła na gorączkę malaryczną. Teraz spojrział na Grace i twarz mu złagodniała. - To wtedy wyjechałem do krewnych w Anglii. Wróciłem po latach, dwudziestodwuletni, żonaty młody człowiek. Kupiłem ziemię w Kilima Simba, sprowadziłem krowy z Ayrshire, żeby je krzyżować z tutejszymi bykami Bezan. Od tamtej pory nie mam ochoty polować.

Przyglądał jej się przez chwilę, po czym zapytał:

- Jesteś tu rzeczywiście szczęśliwa, prawda, Grace? -Tak.

- Cieszę się. Ludzie, którzy nie kochają Wschodniej Afryki, nie mają prawa być tutaj. To jedyny świat, jaki znam. Tu się urodziłem i tu umrę. Ci inni - machnął ręką w stronę hałasów - ci, którzy przyjechali, żeby szybko zbić majątek, którzy wykorzystują tę ziemię i tubylców... to przestępcy. Kto tej ziemi nie kocha, powinien wrócić do kraju.

- Mój kraj teraz jest tutaj - powiedziała cicho, spokojnie. James uśmiechnął się i zacytował:

*Tu, gdzie nie sięgną krzywdy szpony, na tej słonecznej wielkiej ziemi znajdę bliźniego i, dłoń w dłoni, razem zło odpokutujemy.*

Umilkł. Wydawało się, że jeszcze coś chce powiedzieć, gdy nagle usłyszeli głos:

- Ach, jesteście!

Odwrócili się i zobaczyli żonę Jamesa, która weszła na taras balkonowymi drzwiami.

I znów, jak już nieraz, Grace doznała wrażenia, że widzi na twarzy Lucille cień dezaprobaty, czy może żalu. Ale zawsze, tak jak i teraz, ten cień szybko zmieniał się w uśmiech.

- Tam chyba zrobiło się trochę za hucznie - powiedziała z uśmiechem Lucille. - Ktoś tańczy szkockiego skakanego. James roześmiał się.

- Wyobrażacie sobie tych wesołków, jak będą wstawać rankiem na polo?

-Mój brat dopilnuje, żeby wstali! Ćwiczył swoje kuce przez miesiąc. Powinniśmy zobaczyć niezły mecz. Będziesz stawiał, kto wygra, James?

- Niestety - powiedziała Lucille - nas tu już nie będzie. Wyjedziemy z samego rana.

- Wyjedziecie?

- Lucille chce pojechać do misji metodystów w Karatinie na nabożeństwo gwiazdkowe.

- Przecież przyjechał ksiądz Mario z misji katolickiej. Odprawi piękną mszę na frontowym trawniku.

Uśmiech Lucille zhardział.

- Nie dla mnie nabożeństwo katolickie. Już i tak jest źle, że jeżdżę do Karatiny tylko cztery razy w roku. Wiesz, Grace, mądrzej byłoby napisać do tego twojego Towarzystwa Misyjnego, żeby przysłali pastora, a nie pielęgniarki, o które prosisz.

- Ale pielęgniarki są mi potrzebne, Lucille. Rozpaczliwie. Jakoś nie mogę żadnej Kikuju nakłonić do dotykania chorych.

-Masz niewłaściwe podejście. Pastor odwiódłby te poganki od ich obrzydliwych praktyk i uczynił z nich chrześcijanki. Wtedy byś znalazła wszelką pomoc, jakiej potrzebujesz.

Grace zapatrzyła się na nią. James powiedział.

- Posłuchajcie. Grają „Cichą noc”.

Gdy podochoceni goście się zmięgli, mrok napełniły dźwięki skrzypiec. Wkrótce w zupełnej ciszy ta kolęda, rozbrzmiewając tak daleko od stron ojczystych, niosła się do równikowych gwiazd. Parę chmur, zdawałoby się, wiedzionych ciekawością, wyrwało się spośród szczytów góry Keni i niczym kłęby dymu sunęło po niebie.

Grace stała pomiędzy Jamesem i Lucille. Wszyscy troje patrzyli, jak w rześmiałych pokojach Bellatu wielką, bardzo różnorodną rodzinę jednoczy swojska kolęda. Do chóralnego śpiewu dołączało się coraz więcej głosów. Służący Afrykanie stali z twarzą-

mi bez wyrazu, gdy *ozungu*, przed chwilą tak hałaśliwie rozbawieni, teraz poważni, mieli smutek w oczach i postawy pełne szacunku.

Miranda West wyszła z kuchni. W głębi saloniku zobaczyła lorda Trevertona, który stojąc przy choince, przewodził chórowi swoim barytonem. Pomyślała, że nadchodzi nowy rok 1920 i niesie jej obietnicę. Jest tylko jeden sposób, żeby zdobyć hrabiego. Trzeba dać mu to, czego pragnie najbardziej: syna.

Valentine, tak się złożyło, myślał o tym samym, ale inaczej. Trzymał Rose za rękę, gdy śpiewali „Cichą noc”, i zastanawiał się nad nieskutecznością bromku doktora Hare'a i nową taktyką, jaką zamierzał zastosować tej nocy. Proszek dosypywany do wieczornej czekolady Rose działał tylko usypiająco. On nie chciał posiadać jej sennej i biernej. Chciał, żeby reagowała, żeby kochała się z nim. To bytowanie w namiotach, doszedł do wniosku, psuje wszystko. I delikatność Rose, jej poczucie przyzwoitości... Ale dziś po raz pierwszy, myślał, będziemy rzeczywiście w sypialni, zaczniemy życie małżeńskie jak należy pod baldachimem łoża Trevertonów.

Lucille, u boku męża na tarasie, w zbyt parnym nocnym powietrzu, starała się z głębi serca przepędzić śpiewem rozgoryczenie i gniew. Lady Donald już dziesięć lat mieszkała w protektoracie. I ta żona hodowcy bydła, matka oddana swoim dzieciom, miała straszny sekret: nie cierpiała Brytyjskiej Wschodniej Afryki, przeklinała dzień, w którym wyjechała z Anglii.

- *Memseeb* - doleciał natarczywy szept zza żywopłotu. - *Mem-seebl*

Grace odwróciła się. To był Mario, przerażony, wielkooki w ciemnościach.

- Prędko proszę iść, *memseeb!* Coś złego się stało!

- Gdzie? Co?

- Naczelnik Madengej. Proszę prędko, *memseeb!* Grace spojrzała na Jamesa. James powiedział do Lucille.

- Zostań tu, kochanie. Ja pójdę z Grace.

Poszli za Mariem serpentyną z terenu Bellatu na skraj lasu nad rzeką. Mario prowadził ich do Domku Ptasiej Pieśni.

- Co się dzieje, Mario? - zapytała Grace, gdy przeszli za jej dom. - Gdzie, jest naczelnik Madengej?

- Tam z tyłu, *memseeb*.

Dalej za węglem domku i za furtką małego warzywnika Grace i James zatrzymali się jak wryci. W mroku widać było kogoś leżącego wśród kukurydzy i fasoli.



- Mario, przynieś latarkę - poleciała Grace, podbiegając do Mandengeja

Młody naczelnik leżał na wznak; wyglądał tak, jakby spał. Daremnie jednak usiłowała wyczuć jego tętno. I skórę miał zimną. James przyklęknął z drugiej jego strony.

- Co z nim? Co mu się stało?

- Nie wiem - Przesunęła wzrokiem po Madengeju. Nie zobaczyła krwi, żadnych obrażeń. Ale było za ciemno.

Księżyc teraz przysłaniały czarne chmury.

Mario wrócił z latarką elektryczną. Skierowała promień światła na twarz Madengeja. Ręka jej znieruchomiała.

- Rany boskie - powiedział sir James.

Piękną twarz śpiącego na pół zakrywała biała maska Grace przesunęła światło latarki. W prawej ręce Madengeja tkwiła pusta butelka po eterze.

-Ranyboskie - szepnął znowu James. - Jak do tego doszło?

Kto mu to zrobił?

Grace nagle zziębnięta, drętwą patrzyła na te oczy, zamknięte we śnie wiekuistym. Nie było żadnych oznak świadczących o przemocy; ubranie niepogniecione, włosy zaplecione w warkoczyki, obwisłe nad czołem na sposób wojowników masajskich, niepotargane. Rzeczywiście, Madengej wyglądał tak, jakby położył się w ogrodzie, żeby spokojnie uciąć sobie drzemkę.

- Chyba nikt. On zrobił to sam - odpowiedziała Grace.

- Niemożliwe. Kikuju nie popełniają samobójstw.

- Nie myślał o samobójstwie. Nie miał zamiaru umrzeć. Był pewny, że się obudzi tak jak Mario.

- Panie Wszchemogący - mruknął James z niedowierzaniem. -Chciał poznać sekret mocy białych!

-Jest Boże Narodzenie - powiedziała Grace zdławionym głosem. - Urodziny jego nowego boga. On wierzyły - Rozpłakała się.

James podstąpił do niej, pociągnął ją, żeby wstała z klęczek i wziął w objęcia. Gdy płakała na jego ramieniu, nadciągało znad góry Kenya coraz więcej chmur, które zapełniły niebo, aż wcale nie było gwiazd w czerni nocy.

- To moja wina! Tylko moja!

James trzymał ją mocno.

- To nie jest twoja wina, Grace. Nie ponosisz odpowiedzialności za naiwność Afrykanów.

Płakała jeszcze przez chwilę, potem odsunęła się od mego, otarła łzy z policzków. U jej stóp leżały zwłoki pięknego, dumne-

go kiedyś wodza, któremu biały człowiek zabrał włócznię. Drżąc w schronieniu, jakim były ramiona Jamesa, i patrząc na ten ciemny żalony kształt wśród warzyw, pojęła, że stało się coś do głębi znamiennego. Z chwilą dzielnej śmierci Madengeja odszedł ostatni prawdziwy afrykański wojownik. I nie tylko...

- Myślisz, że będą kłopoty? - zapytała, gdy ruszyli z powrotem do domu.

James sądził, że nie będą. Nie było przestępstwa, nie ma powodu do porachunków z klanem. Madengeja po cichu się pochowa, na jego miejsce zostanie mianowany nowy naczelnik.

Gdy weszli do domu, Hardy Acres, korpulentny bankier przebrany za Świętego Mikołaja, właśnie rozdawał prezenty z ogromnego worka. Grace przemknęła się do brata, który siedział jak król, przewodnicząc szafowaniu swoją hojnością. Na każdej paczusce była etykieta z imieniem i nazwiskiem: dla pań perfumy, koronkowe chusteczki, srebrne grzebienie; dla panów noże myśliwskie, jedwabne apaszki i portfele z krokodylowej skóry.

Grace podeszła do brata od tyłu i zaczęła szeptem:

- Valentine, zdarzył się wypadek...

- Nie teraz, staruszek - zbył ją wesoło.

- Nie dosłyszałaś. Powiedziałam, że zdarzył się wypadek.

- Jesteś lekarką, zajmij się tym.

Otrzymywano też prezenty komiczne, które wywoływały wybuchy gromkiego śmiechu. I nagle rozległ się ogłuszający huk. Wszyscy ucichli. Trzasnął piorun.

- Słowo daję - zaczął pan Acres - myślicie; że...

- Val - powiedziała Grace, korzystając z chwilowej ciszy - musisz pójść ze mną. Naczelnik Madengej...

- Gdzie on jest? Zaproszony był tutaj, wiesz.

- Dobry Boże! - powiedział sir James. - Czy zaprosiłaś również jego żonę?

Grace, jak wszyscy inni, skierowała wzrok na drzwi frontowe. Cisza była pełna napięcia, dwieście par oczu gapiło się w osłupieniu.

U wejścia pod kryształowym żyrandolem stała Oczera jak posąg, jak gdyby nie weszła, tylko się zmaterializowała.

Patrzyła na morze białych twarzy przed sobą i stała tak - egzotyczna postać na tle mahoniowych półek na kapelusze i mosiężnego stojaka na parasole. Ubrana była w strój szczególnie uroczysty.

Silna, smukła miała na sobie suknię skórzaną i skórzane fartuchy. Naszyjniki z paciorków na piersiach i ramionach, jeden

nad drugim, sięgały po szyję i podbródek, az się wydawało ze podtrzymują głowę. Wielkie koła nanizanych paciorków sterczały nie tylko z płatków, ale również z przekłutych czubków i boków uszu. Ręce do łokci i nogi od kostek do kolan były wspaniale zdobne w bransolety z paciorków i z miedzi oraz ze skory na-szywanej muszelkami ślimaków. Sznury paciorków krzyżowały się na czole, miedziane opaski lśniły na ogolonej czarnej czaszce; ieden rzemyk z trzema paciorkami zwisał między oczami, dotykając nasady nosa. Oczy wielkie i skośne nad wydatnymi kośćmi policzkowymi patrzyły na oniemiały tłum zagadkowo.

Dochodząc do siebie po wstrząsie na widok Oczery, Valentine wstał i zapytał:

- Co ona tu robi, do diabła? Oczera wystąpiła o krok, tłum się rozdzielił. Dopiero wtedy Grace zobaczyła małego Davida, synka Madengeja, nagiego, w samym tylko naszyjniku, kurczowo uczeponego ręki matki.

Valentine skinął na służących, żeby wyprowadzili Oczere, ale nawet nie drgnęli. Chociaż mieli imiona chrześcijańskie, mówili po angielsku i usługiwali w rękawiczkach, to jednak byli Kikuju, bali się znachorek.

-Czego chcesz?-zapytał ją Valentine.

Ruszyła ku niemu, po czym w odległości paru kroków zatrzymała się i utkwiała w nim wzrok.

Oczy ich się spotkały. Lord Treverton powoli usiadł.

Przecież, pomyślał, to nie ta sama wstydliva nieśmiała dziewczyna, która przychodziła do obozu uniżenie wciąż się .kłaniając przynosząc dary! Zmrużył oczy i rozejrzał się. Gdzie jest jej babka?

I już nie pokornym szeptem Oczera przemówiła, tylko tonem dumnego wyzwania. Przemówiła w języku Kikuju, zrozumiałym dla niewielu obecnych. Tłumaczył sir James.

-Skalałeś uświęconą ziemię - powiedziała. - Zwaliliś dom przodków. Popeliłeś nieczystość wobec Pana Jasności.

Będiesz ukarany.

Valentine zbaraniał.

- O czym, do diabła, ona mówi? Oczera oznajmiła.

- Wzywam Duchy Wiatru. . Podniosła uświęconą tykwę wróżebną, którą miała uwieszoną przy pasie. W tykwie były czarowne amulety zebrane przez bezimienną pra-pra-pra przed stuleciami. Gdy potrząsnęła tykwą, grzechot zabrzmiał w całym domu.

- Przodkowie zsyłają *tsehę* na to grzeszne miejsce. - Odwracając się, grzechocząc tykwą kolejno w stronę każdego kąta, mówiła: -Duchy zła mieszkajcie tam. I tam. - Podniosła tykwę nad głowę. -I pod twoim dachem. Dopóki ta ziemia nie zostanie zwrócona Dzieciom Mambi, kameleon będzie nawiedzał ten nieczysty dom.

- Kameleon! - powiedział Valentine, poruszając się w fotelu niecierpliwie. Jeżeli służba się nie ruszy, na Boga, myślał, sam ją stąd wyrzucę.

James wyjaśnił:

- Kameleon to dla Kikuju symbol najgorszego pecha. Zaproszeniem kameleona do twojego domu ona ci życzy...

- Dopóki ta ziemia nie zostanie zwrócona Dzieciom Mambi -powiedziała Oczera zabójczo - twoje dzieci będą spijać rosę.

- A cóż to, do cholery, znaczy?

- Idiom Kikuju. Spijać rosę, to znaczy zniknąć.

- Dobrze - powiedział Valentine, wstając. - To się ciągnie już dostatecznie długo. Precz z mojego domu!

- *Tseha!* - wrzasnęła Oczera. - Klątwa na ciebie i twoje potomstwo, dopóki ta ziemia nie zostanie zwrócona Dzieciom Mambi!

- Powiedziałem: precz stąd! - Valentine rozejrzał się. - Gdzie, do diabła, jest Madengej? Myślałem, że ci ludzie trzymają swoje kobiety w karbach! Wy tam! - zwrócił się do dwóch przestraszonych Afrykanów. - Wyprowadźcie tę kobietę!

Ale oni zdrętwieli ze strachu. Zamierzali już nazajutrz być jak najdalej od tego domu, na którym jest *tseha*.

- Dobrze więc! - wrzasnął Valentine. Podszedł do Oczery i wyciągnął rękę, żeby ją chwycić za ramię. W tej samej chwili zagrzmiało straszliwie, aż dom się zatrzęsł, i zaraz potem dał się słyszeć szum deszczu.

- Hej! - zawołał ktoś z gości. - Deszcz pada!

Wszyscy pośpieszyli do drzwi i okien. Wychodzili przed dom w ulewę, twarze i ręce podnosili pod strugi. Chwała Ci, Boże wody! Rzucali się sobie na szyję, śmieli się uradowani.

- No - powiedział Valentine triumfalnie. Stanął twarzą w twarz z Oczera. Nogi rozsunał, wziął się pod boki. - Jeżeli to ma być twoja klątwa, bardzo proszę. - Ze śmiechem, wyniośle, odwrócił się, podał ramię żonie i poprowadził ją na werandę do zmokniętych gości.

Zostali tylko sir James, Grace i mała Mona w swoim wysokim foteliku. Oczera popatrzyła na nich troje przeciągle, zanim się odwróciła, trzymając mocno Davida.

- Zaczekaj - powiedziała Grace. - Muszę ci coś powiedzieć. O Madengeju. .

Oczera znów przystanąła, wlepiła w tę białą wzrok pełen jadu.

- Mój mąż nie żyje - powiedziała w języku Kikuju. I chociaż nie dodała „ty go zabiłaś”, mówiły to jej oczy.

Nie miało więc być meczu polo ani wyczynów myśliwskich. Teren, na którym stały namioty dla gości, zaczynał się zmieniać w grząskie bagno, podróż powrotna, jeśli w ogóle możliwa, zapowiadała się okropnie, ale nikt się tym nie przejmował. Wreszcie padał wymodlony deszcz, i to takimi potokami, tak nieprzerwanie, że wszyscy nabrali pewności: plony i inwestycje ocaleją.

Grace wróciła do Domku Ptasiej Pieśni. Ciało Madengeja już powlokły gdzieś dzikie zwierzęta. Pogrzeb - pomyślała ze smutkiem - chyba taki, jakiego on by sobie życzył. Wkrótce zasnęła z Sabą, chrapiącą wielką gepardzicą, przyciśniętą do jej pleców. Sir James i Lucille zostali ulokowani w jednym z pokoi gościnnych w dużym domu, tak samo gubernator oraz lord i lady Delamere, podczas gdy dwieście innych osób musiało niewygodnie, ale radośnie nocować na wilgotnych posłaniach w przeciekających namiotach. Tylko jedna osoba nie mogła się pogodzić z uwięzieniem tego wieczoru. Lady Rose, siedząc przed toaletką i szcزتkując swe świeżo obcięte włosy, głęboko się nad czymś zastanawiała.

Po stosownej zabawie w deszczu Rose i Valentine powiedzieli gościom dobranoc i wycofali się na pierwsze piętro, gdzie czekała ich gorąca kąpiel. Rose znowu miała przyjemną niespodziankę. Jak ładnie Valentine umeblował i ozdobił górną połowę domu. Wanny z kranami, woda zimna i ciepła, wewnętrzna kanalizacja, porcelanowe klozety. Na cedrowych posadzkach tureckie dywany, na ścianach obrazy olejne i fotografie. I wszędzie domowa przytulność, zwłaszcza teraz, w czasie tej gwałtownej burzy. A jednak.

Coś dziwnie dręczyło Rose. Valentine kąpał się, śpiewał za kłębami pary. Przedtem wprowadził ją do tej sypialni i powiedział, że zaraz przyjdzie. Tutaj Rose znalazła swoje rzeczy wypakowane z kufrów, wszystko już powieszona w szafach, schowane do szuflad, kosmetyki rozłożone na toaletce. Wyraźnie więc to jest jej sypialnia. A gdzie sypialnia Valentine'a?

Wreszcie wyszedł z łazienki. Był w jedwabnej piżamie z monogramem i w szlafroku, wilgotne czarne włosy kręciły mu się nad czołem.

- Wesołych Świąt, kochanie - powiedział, stając za nią. - Dobrze się bawiłaś?

Patrzyła na jego odbicie w lustrze. Przez swój satynowy peniuar czuła ciepło jego ciała. Jakież on przystojny, jaki doskonały. Pozwól, żeby mnie objął, zanim pójdę spać.

- Valentine, było cudownie. Jeszcze lepiej, niż sobie wyobrażałam. Tylko, och, ta ulewa zepsuła dalsze świętowanie. Tak się cieszyłam, że jutro będzie obiad na trawniku. I pani West miała zrobić wspaniałą kolację.

Lekko położył jej ręce na ramionach.

- Deszcz jest bardzo potrzebny, moja kochana. Teraz bydlę Jamesa nie wyzdycha i nasza kawa nas nie zawiedzie, i pan Acres nie będzie musiał prawie wszystkich hipotek w protektoracie pozbawić prawa wykupu.

Przesunął się, ukląkł u jej boku.

- Mam dla ciebie prezent - powiedział.

Oczy jej migotały. Szampan na tej wysokości geograficznej...

Wręczył jej pudełeczko w ozdobnym gwiazdkowym opakowaniu. Rozdarła papier, otworzyła je i wykrzyknęła na widok naszyjnika ze szmaragdów i nefrytów.

- Cztery kontynenty się na to złożyły - powiedział. - Podoba ci się?

Zarzuciła mu ręce na szyję.

- Valentine, najdroższy! To prześliczne! Ale ja jeszcze nie zapakowałam prezentu dla ciebie. Chciałam ci go dać jutro rano.

- Może zaczekać. - Objął ją w talii. - Jesteś szczęśliwa? Wtuliła twarz w jego szyję.

- Jak nigdy dotąd! Ten dom jest idealny, Valentine. Dziękuję.

Miał ochotę krzyczeć z radości. Wszystko idzie zgodnie z planem. Po długich miesiącach ciężkiej pracy, popędzania tubylców batem, uciążliwych podróży do Nairobi, tęsknoty do żony, pożądania jej...

Poszukał ustami ust Rose.

Pocałował ją delikatnie, powściągliwie, gdy tuliła się do niego, ukontentowana. Ale roznamiętnił się, usta już miał łączywe i wtedy się odsunęła ze śmiechem.

- To był taki dzień, kochanie. Jestem bardzo zmęczona.

- Więc chodźmy do łóżka.

Odciągnął kapę na małżeńskim łóżu, złożył kołdrę w nogach i pochylił się, żeby zdjąć Rose nocne pantofle. Usiadła na łóżku, wzdychając ospale. Czyż to możliwe, pomyślała, że znalazłam i po-

ślubiłam właśnie takiego mężczyznę, o jakim zawsze marzyłam. Tyle w nim kurtuazji, to taki gentleman, rycerz...

Valentine zdjął szlafrok i przerzucił przez krzesło.

- Co ty robisz, kochanie? - zapytała.

- Wiem, zwykle po męczącym dniu przesiaduję długo w noc - powiedział, podchodząc i przerzucając kapek na drugą połowę łóżka. - Ale dziś zrobię wyjątek. .

Siedziała wyprostowana, zakryta prześcieradłem po szyję. Nie miała pojęcia, że on zwykle przesiaduje w nocy; w ciągu ubiegłych dziesięciu miesięcy rzadko widywali się wieczorem. Jej pytanie znaczyło: dlaczego kładziesz się w moim łóżku? - Naprawdę jestem zmęczona - powiedziała ostrożnie. - Nie wolałbyś pójść do swojej sypialni?

Roześmiał się.

- Kochanie, przecież to jest moja sypialnia. Zapatrzyła się w niego.

Stał przy łóżku i patrzył na nią.

- Kiedy mieszkaliśmy w namiotach, wygodniej było sypiać oddzielnie. Ale teraz mieszkamy w naszym domu, kochanie. I jesteśmy małżeństwem.

- Och - westchnęła.

- Będzie dobrze - powiedział łagodnie - zobaczysz. Tylko musimy znów się do siebie przyzwyczaić. Jak gdybyśmy wrócili do Bella Hill

Bella Hill! Cofając się, Rose opadła na poduszki. W Bella Hill on ją znieważał i poniżał, a ona go nienawidziła. Ale dziesięć miesięcy w Afryce Wschodniej wymazało tamte czasy z pamięci. Chyba on nie zamierza... Chyba Grace mu wyjaśniła, że...

- Co ci jest? - spytał Valentine. Wyciągnął do niej rękę. Wzdrygnęła się. Zagrzmiało od strony gór i gdzieś blisko trzasnął piorun.

- Myślałam, że będę miała swój pokój dla siebie.

Teraz Valentine zobaczył na jej twarzy lęk, zobaczył, że zeszywniała. Znów uderzył piorun, dom się zatrzęsł. Jezu, pomyślał Valentine, tylko nie to na nowo. Już nie!

- Rose, musisz akceptować fakt, że jestem twoim mężem, a nie oddanym ci kuzynem czy bratem. Mam prawo spać z tobą. Zaczęła drżeć. Oczy jej się rozszerzyły, przerażone jak oczy ga-zeli, jak gdyby on miał ją zastrzelić. Widział taki wzrok gazeli na wielu safari, nie zasługiwał na to we własnym łóżku.

- Niech to diabli, Rose - powiedział, chwytając ją za rękę.

- Nie! - krzyknęła.

- Rose, co na Boga...
- Nie! Błagam... - W oczach stanęły jej łzy.
- Och, na litość boską.
- Zostaw mnie!

Błyskawica rozświetliła pokój. Rose odkręciła się, upiornie blada, czuł pod palcami lodowatość jej skóry. I znowu huknęło jeszcze bliżej. Powietrze było naładowane elektrycznością, jak gdyby burza wtargnęła do tej sypialni.

Wzrastał jego gniew, wzrastało rozna-miętnienie.

- Już nie będę się z tym godził! - wykrzyknął. - To już dziesięć miesięcy, odkąd dziecko się urodziło! I nic przecież ci nie dolega!

Wyrwała mu się i spróbowała uciec, ale pociągnął ją z powrotem na łóżko. Jedną ręką przytrzymując jej nadgarstki, drugą wściekle zerwał peniuar, śliską satynę z jej białego ciała. Krzyczała znowu.

- Krzycz - warknął. - Niech nasi cholerni przyjaciele wiedzą. Myślisz, że się przejmuję? - Szamotała się pod nim, usiłowała się wyrwać. Uwolniła rękę, wpiła mu paznokcie w szyję. - Chcę tego, co moje - powiedział. - I jeżeli mi nie dasz, sam to wezmę w każdy możliwy sposób.

Błyskawica rozdarła niebo nad górą Kenya, rzucając przelotny ostry blask na poszarpany szczyt wyniosłego domu Ngai. Ściany i fundamenty Bellatu trzęsły się, wichura smagała drzewa w puszczy, wysokie eukaliptusy na polance Rose. Burza spadła na plantację Trevertona jak kara - zmyła glebę, zatopiła delikatne sadzonki kawy, nową rzekę rozbełtała tak, że szalejąca powódź przerwała tamę i rozlała się daleko za wysokie brzegi.

Oczera, znachorka Kikuju, siedziała w chacie, mającej być jej domem przez następne siedemdziesiąt lat, i patrzyła na okna siedziby białego na wzgórzu. W jednym z okien pierwszego piętra zgasło światło.



**CZĘŚĆ DRUGA**  
**ROK 1920**

### ***Rozdział 13***

No - powiedziała Audrey Fox, badając, czy mydło w garnku ostygło i wyschło. - Jesteśmy ustawowo kolonią, już nie protektoratem! A jednak nie bardzo mi się podoba ta jej nazwa Ki-nia. To znaczy w języku tubylców struś, prawda? Swoją górę nazwali Kinia dlatego, że przypomina strusia? Ja bym wołała tak jak przedtem: Brytyjska Afryka Wschodnia. Zresztą to było po angielsku, a my jesteśmy Anglikami. Kenia jest nazwą afrykańską.

Mary Jane Simpson, trzymając swego wiercącego się syna, żeby Grace mogła zbadać mu ucho, przyznała pani Fox rację, po czym wrzasnęła:

- Lawrence! Mówię po raz ostatni, zostaw tego kota!

Były w kuchni Lucille Donald w Kilima Simba - pięć kobiet i horda hałaśliwych dzieci. Gdy Audrey Fox usiadła i zabrała się do toczenia kul z mydła, które przez cały poranek gotowała z sadła baraniego i popiołu liści bananów, Cissy Price sprawdziła pieluszki dwóch najmłodszych raczkujących w kojcu. Mona miała suchą, ale Gretchen mokrą. Po zrobieniu miejsca na zastawionym Bóg wie czym kuchennym stole Cissy położyła tam Gretchen i zaczęła ją przewijać. Chociaż ten dzień czerwcowy był chłodny, w kuchni zrobiło się gorąco, twarze zgrzanych pięciu kobiet płonęły.

- To pomoże. - Grace zanurzyła w oleju sezamowym wacik i włożyła go chłopcu w ucho. - Na przyszłość, Mary Jane, uważaj, gdzie on wtyka głowę. Ten kraj jest niebezpieczny dla uszu.

Sięgnęła po następne dziecko, przy czym nie zdołała się powstrzymać od szybkiego zerknięcia w okno. Sir James jeszcze me wyszedł z obory. . .

Rano James powiedział, że ma dla niej niespodziankę, chce jej pokazać coś szczególnego, i prosił, żeby zaczekała chwilę, zanim

wyruszy w drogę powrotną do domu. Ale przybiegł jeden z jego ludzi z wiadomością, że krowa źle się cieli; James popędził do obory, gdy ona się zastanawiała nad tą jego niespodzianką.

- To, że jesteśmy kolonią, przyniesie nam korzyść - powiedziała Lucille. Ugniatała ciasto na chleb i nakładała je w brytfanny. Wieczorem goście, wyjeżdżając, dostaną po bochenku świeżo upieczonego chleba. Ona z kolei, tak jak każda z nich, dostanie od Audrey Fox mydło domowego wyrobu, a także trochę bawełny, którą Mary Jane przywiozła ze swojej owczej farmy na wymianę za mydło, chleb i pomoc lekarską. Grace przyjechała z apteczką. Następny podszedł mały Ronald Fox z kleszczami w palcach nóg.

- Kiedyś - wspominała Lucille, sprawdzając temperaturę piecyka - domowym lekarzem był chłopak kuchenny. We wszystkich nagłych wypadkach musieliśmy zdawać się na niego. Kleszcze wyciągał świetnie.

- Prędzej bym umarła - oświadczyła młoda Cissy, która mieszkała na obszarze Nanyuki zaledwie od miesiąca i już żałowała, że nie jest w Anglii. Jej mąż, tak jak mężowie Audrey i Mary Jane, dostał przydział ziemi w ramach Planu Osadnictwa Wojskowego. Porwany swoją wizją, przywiózł rodzinę krytym wozem na bezdroże i teraz borykali się, wyskrobując utrzymanie, z odpornej ziemi. Zebrania w domu tych czy innych przyjaciół były jedyną możliwością rozrywki, towarzystwa i okazji do wymiany plonów czy produktów, których mieli za dużo, np rzeczy bardzo im potrzebne.

Cissy przewinęła Gretchen i wsadziła ją z powrotem do kojca, gdzie te dwie maleńkie dziewczynki, jedna szesnasto-, druga trzy-łastomiesięczna, spokojnie się bawiły.

- Co zrobić w razie prawdziwego wypadku? - zapytała Cissy. - Modlić się - odpowiedziała Lucille, wsuwając brytfanny z chlebem do piecyka.

Grace zajęta nogą Rolanda prawie nie słuchała tej rozmowy. Wydawało jej się, że one wszystkie mówią jednocześnie. Dzieciaki piszczwały, wrzeszczały; był hałas, jak gdyby strzelano z karabinów w całym domu. Istny szpital wariatów, a Grace rozpaczliwie musiała zebrać myśli.

Problemy kłębiły się jej w głowie.

Ubiegły czerwcowy tydzień wypełniły ceremonie i obchody w związku z nadaniem Kenii statusu kolonii. Valentine i Rose jako księżęta krwi przewodniczyli w Nairobi na uroczystościach, uwiecznionych odsłonięciem spiżowego pomnika króla Jerzego V,

który to pomnik ufundował dla kolonii lord Treverton. Był to też tydzień wyścigów, polowań, przyjęć i przemówień. W Nairobi Valentine i jego żona zatrzymali się w hotelu Norfolk, jedynym odpowiednim, by gościć każdego, kto jest kimś.

Ale pokoje mieli oddzielne. Postarali się to wytłumaczyć kłamstwem. Rose dostaje w nocy ataków astmy, nie chce mężowi zakłócać snu. Przyjmowano to, potakując z mrużeniem. Telegraf buszu uniemożliwił zatajenie czegokolwiek w Afryce Wschodniej. Gdy Rose dowiedziała się, że po gwiazdkowej gali w Bellatu zaszła w ciążę, wiadomość o tym w ciągu tygodnia dotarła aż do Tanganiki. I gdy w trzy miesiące później poroniła, wszyscy wiedzieli nawet to, że jej niedoszłe dziecko było chłopcem. Od tamtego czasu krążyła pogłoska, że hrabia i hrabina sypią osobno - powody rozstrzygano już szeptem.

- Powiedz mu, Grace. - Jeszcze leżąc w łóżku po poronieniu, Rose poprosiła szwagierkę. - Powiedz Valentine'owi, że on już nigdy nie może mnie dotknąć. - Tę prośbę Grace słyszała przedtem, ale tym razem Rose postawiła sprawę zdumiewająco jasno i szczerze. - Dla mnie ten obowiązek jest obrzydliwy. Teraz wiem, dlaczego sypialnię małżeńską nazywają sypialnią pana. Dziękuj Bogu, Grace, że nie jesteś zamężna.

Cóż Grace mogła odpowiedzieć? Ze Bogu bynajmniej za to nie dziękuje? Że pragnie takiej intymnej zażyłości z mężczyzną? Ze fantazjuje o dzieleniu łóża z sir Jamesem? Rose by tego nie zrozumiała.

Bandażując paluch Rolanda, Grace znowu ukradkiem zerknęła w okno.

- Jak tam w klinice? - zapytała ją Audrey Fox.

Gdy Roland został odprawiony z opatrunkiem i upomnieniem, że zawsze musi chodzić w pantoflach, Grace zaczęła porządkować swoją apteczkę. Dzisiaj nie miała tyle pracy, ile bywało w czasie innych jej wizyt. Tylko buteleczka aspiryny na comiesięczne kurcze Cissy, szybkie obejrzenie gardła dwunastolatka Henry'ego, które było zaczerwienione, jak zdecydowała, od wrzasków, a nie wskutek choroby, płyn na posiekane ręce Lucille, rutynowe sprawdzenie ciąży Mary Jane i zbadanie paru pomniejszych dolegliwości dzieci. Na tym koniec. Powinna już jechać do domu. Ale James prosił, żeby zaczekała. Ma dla niej niespodziankę, powiedział.

- W klinice wszystko dobrze, dziękuję - odpowiedziała, wkładając instrumenty do odkaźnika.

Nieraz się zastanawiała, czy te kobiety kiedykolwiek zauważają, że jest przed nimi zamknięta i nigdy nie uczestniczy w zwy-

klych kobiecych zwierzeniach. Siedziały w kuchni i rozmawiały: -menstruacja, niemowlęta, problemy sypialniane, sekrety małżeńskie, dziwne sny, wycucia i przecucia - piły herbatę, przekrzykiwały się, porównując przebieg odry czy koklusu swoich dzieci. A Grace wtedy zabierała głos prawie wyłącznie z punktu widzenia lekarki. Nigdy nie mówiła o swoim życiu osobistym, o tym, co czuje i myśli. Może one nie spodziewały się tego od niej, może widziały w niej raczej lekarza i doradcę niż jeszcze jedną kobietę. Czy może odgrywał rolę fakt, że jest niezamężna i bezdzietna.

Ale mogłabym wam niejedno opowiedzieć, myślała Grace, wycierając instrumenty i wkładając je do torby. Mogłabym wam opowiedzieć o żołnierzach na okrętach wojennych i o ich zwierzeniach, o propozycjach, jakie mi czynili, o bardzo nieposzlakowanych oficerach, którzy nocą pukali do drzwi mojej kajuty. Mogłabym wam opowiedzieć o moich marzeniach i potrzebach serca i osamotnieniu. I o tej miłości teraz, która rośnie we mnie jak niechciane dziecko... o miłości do kogoś, kogo nigdy nie będę mogła mieć.

Ale czy to miłość to uczucie do Jamesa Donalda? Rozwiązać tę zagadkę Grace usiłowała w dzień i w nocy. Pragnienie, żeby jej dotykał, uporczywe myśli o nim, cokolwiek robiła, łomot serca, ilekroć zjawiał się niespodziewanie... czy to jest miłość? Czy może tylko skutek samotności, sprawa niezaspokojonych naturalnych popędów? Jeśli tak, jeśli ona jest po prostu sfrustrowaną starą panną, to przecież chętnie by przyjmowała umizgi mężczyzn, okazujących jej zainteresowanie. Niektórzy potrafią czarować, w niektórych mogłaby nawet się zakochać. A jednak myśli tylko o Jamesie.

Popatrzyła na pierścionek, który nosiła na lewej ręce. Wszystkie kobiety go widziały, ale nigdy nie poczuła się zmuszona do wyjaśnień. Niech się zastanawiają, pomyślała. Przynajmniej ten pierścionek dowodzi, że swego czasu chciał mnie jakiś mężczyzna.

Zatrzymała wzrok na swojej ręce, oszołomiona. Skąd nagle wniosek, że ten pierścionek to moja flaga, coś, czym mogę machać przed oczami ludziom, którzy się nade mną litują? Czy dlatego wciąż jeszcze go noszę?

- A jak tam plantacja twojego brata, Grace? - zapytała Mary Jane. Jej mąż miał wytwórnię bekonu.

Grace lewą ręką zasłoniła prawą i przymknęła oczy. Czy może noszę go jak zbroję, chroniącą mnie przed prawdą, że James i bez tego nigdy nie spojrzy na mnie inaczej niż na przyjaciółkę domu?

- Grace?

Podniosła wzrok. Oto brzemienna Mary Jane z twarzą spuchniętą przyodziana w chałat wyblakły, sprany w czasie poprzednich sześciu ciąży. Przez chwilę, nie wiadomo dlaczego, nie lubiła Mary Jane.

- Na plantacji wszystko doskonale - odpowiedziała.

- Słyszałam, że ta ulewa w Boże Narodzenie zniszczyła większość plonów. . .

- Tak, ale Valentine kupił nowe sadzonki i od razu je zasadził. Plantacja jest nawet w lepszym stanie, niż się spodziewał.

- To mnie dziwi - powiedziała Lucille, dorzucając drwa do kuchennego pieca - zważywszy klątwę, którą ta znachorka rzuciła

naBellatu. . .

- Och, Lucille! - wykrzyknęła Cissy. - Ty chyba me wierzysz

w takie rzeczy!

Ale Lucille bez uśmiechu powiedziała.

-Ta kobieta jest narzędziem szatana. Zapamiętajcie moje słowa.

Grace zobaczyła w myśli okrągłą lepiankę stojącą na południowym skraju boiska polo. Przez dziewięć miesięcy, odkąd Valentine kazał usunąć chaty i rodzina Madengeja przeniosła się za rzekę, ta młoda znachorka staczała zdumiewającą walkę. Gdy po gwiazdkowym otwarciu Bellatu odbudowała swoją chatę znowu, Valentine zwrócił się do władz, żeby tę Kikuju jakoś zmitygowały. Oficer Briggs i dwaj *askari* eskortowali Oczere na drugi brzeg rzeki, po czym jej chatę spalili. Nazajutrz Oczera była z powrotem i już ją odbudowywała. Rozjątrzony Valentine kazał postawić wysokie łańcuchowe ogrodzenie wokół boiska polo tak, że wdowa po Madenge-ju została odcięta. W końcu uznał, że najlepiej ignorować tę niepożądaną obecność, przecież nie będzie się zniżał do rozgrywek z afrykańską znachorką.

Grace ze swojej strony nie mogła ignorować Oczery Madengej. Chociaż mała klinika przyciągała coraz więcej pacjentów, Oczera nie przestawała uprawiać lecznictwa za pomocą czarów, czy raczej, zdaniem Grace, sztuczek magicznych. Chociaż sporo ludzi, pamiętając że naczelnik Madengej zaakceptował białą lekarkę, przychodziło ze swymi schorzeniami do Grace, to jednak większość uparcie się trzymała znachorki. Grace zaczęła rozmowy z władzami o urzędowym wyjęciu lecznictwa plemiennego spod prawa.

Kuchenne drzwi otworzyły się raptownie i wbiegli dwaj rozczochrani chłopcy. .

- Mamo, jest nowa jałówka! - wrzeszczeli i brudnymi rękami porwali ciastka owocowe z tacy.

- Zachowujcie się jak trzeba - upomniała ich Lucille. - Nie widzicie, kto jest tutaj?
- Serwus, ciociu Grace - przywitani się ośmioletni Geoffrey i pięcioletni Ralph, wpychając ciastka do ust. Poszurali nogami nieśmiało wśród pań, potem nagle wrzasnęli: - Hurra! - i popędzili w głąb domu.
- Ci chłopcy to dzikusy - powiedziała Lucille. - Odetchnę, kiedy już będzie można wysłać ich do europejskiej szkoły w Nairobi. Nieraz mnie martwią. Ale nie mogę zajmować się nimi należycie. Nie mogę wszystkiego robić naraz.
- To tylko chłopcy - powiedziała Cissy.

Lucille opadła na krzesło i ręką białą od mąki zgarnęła włosy z twarzy.

-James wychodzi przed wschodem słońca i wraca, kiedy oni śpią. A ja mam przez cały dzień Gretchen i pieluszki, i całe gospodarstwo domowe na głowie. Warzywa tu nie chcą rosnąć, w studni jest za dużo sody, a woda gruntowa jest dobra dla bydła, nie dla plonów. Więc muszę jeździć wozem po warzywa na najbliższe targowisko tubylców, gdzie oszukują mnie, aż się kurzy.

Siedziały wszystkie, milcząc. Dla tych trzech żon farmerów jej wypowiedź była też wypowiedzią w ich imieniu. Po chwili Lucille zapytała:

- Czy wiecie, co ja robiłam w Anglii?

Pochyliły się ku niej. Ludzie rzadko mówili o swojej przeszłości, o tym, co robili, zanim przyjechali do Afryki Wschodniej, jak gdyby przed czasami Kenii nie było żadnego życia.

- Miałam sklepik w Warrington. - Głos Lucille złagodniał, wyraz twarzy stał się tęskny. - Sprzedawałam wstążki i przędzę. Nie zbijałam na tym majątku, ale to mi dawało wygodne, przyzwoite utrzymanie. Mieszkałyśmy, matka i ja, nad sklepem. Chodziłam z chłopcem, urzędnikiem z huty żelaza. Życie było spokojne, pewność jutra. Co niedziela nabożeństwo w kościele, proboszcz na podwieczorku. Tom grał trochę w totalizatora.

Grace już wiedziała, jak życie Lucille się zmieniło, gdy do sklepiku wkroczył James Donald. Lucille zakochała się po same uszy

i niewiele myśląc, spakowała się, żeby z nim wyjechać do Afryki. Ilekroć o tym mówiła, zawsze w jej głosie brzmiała nuta żalu.

Czy James o tym wie? - zastanowiła się Grace. I czy zdaje sobie sprawę, jak bardzo zmęczona jest jego żona ostatnio? - rozmyślała, patrząc na zgarbione ramiona i obwisłe ręce Lucille.

- Jednakże - Lucille wstała z krzesła i znów stanęła przy gorą-

cym piecu - życie na roli jest uczciwym chrześcijańskim życiem. I dobry Pan Bóg nam błogosławi.

Te słowa przypomniały Grace o jeszcze jednej trosce, o hscie, który miała w kieszeni. .

Dostała ten list w ubiegłym tygodniu. Towarzystwo Misyjne w Suffolk zawiadomiło, że zawiesza pomoc finansową dla jej kliniki do czasu przeprowadzenia formalnej inspekcji.

Kuchenne drzwi znów się otworzyły i wszedł sir James. Zdjął swój kapelusz z dużym rondem, typowe nakrycie głowy osadnika na odludziu, tupnął, żeby z butów strząsnąć błoto, i powiedział:

- Witam panie. - Spojrzał na Grace, uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Jesteś tu. Miałem nadzieję, że nie odjechałaś.

Coś chcę ci po-kd.zd.ć

Zimny wiatr był orzeźwiający. Grace, wychodząc z Jamesem, odetchnęła głęboko. Za niewieloma drzewami, osłaniającymi dom i budynki gospodarcze, rozciągała się aż do dalekich błękitnych gór niezmierna sawanna, zielona teraz po długiej porze deszczów. Bydło pasło się na ogromnych szlakach nowej trawy. Parobcy zaczęli już sianokosy i pracując, śpiewali. Niebo było olśniewająco niebieskie, tylko nad poszarpanym szczytem góry Kenya wisiały strzępki białych obłoków. Grace poczuła się podniesiona na duchu.

Szła u boku Jamesa i żałowała, że nie może tak iść każdego dnia w swoim życiu. .

- Chłopcy oznajmili o narodzinach cielęcia - powiedziała.

- To jedna z naszych dojnych krów. Zwykle trzeba pomagać im przy cieleniu. Dzisiejsze cielę pchało się na świat tylnymi nogami, ale dało się obrócić i odebraliśmy je szczęśliwie. Bogu dzięki, mam najlepszego dozorcę bydła w całym protektoracie.

- Więc nie słyszałeś? Jesteśmy już kolonią.

Roześmiał się.

- Tak, zapomniałem. Nigdy nie nadażam. Wciąż mi się zdaje, że królem jeszcze jest Edward.

Gdy przechodzili z domu do mleczarni przez pełne krzątany podwórze, parobcy głośno witali Grace. Wszyscy ją znali, stała się kimś swojskim w Kilima Simba. Nieraz, odwiedzając Lucille albo przywożąc mikroskop Jamesowi, leczyła przypadłości tych ludzi. Na farmie Donaldów panował wielki ruch. Z lewej strony woły człapały w wodzie, z prawej ustawiano krowy rzędem, żeby im wsadzić na łby kabłąki przed dojeniem. Cielęta hasały w małych zagrodach, na ich pastwisku rozkładano siano, a trzech Afrykanie uspokajali płochliwego byka Guernsey. Kilima Simba była jedną



z największych hodowli bydła w Kenii, dostarczała wiele wołowiny i produktów mlecznych Afryki Wschodniej. A jednak, jak tylu innych farmerów, James Donald wciąż miał niedobory na swoim koncie w banku.

- Uważaj, jak idziesz - powiedział James, ujmując Grace za łokieć.

- Co chcesz mi pokazać?

- Zobaczysz!

- Jesteś bardzo tajemniczy.

- Bo to ma być niespodzianka. Coś, nad czym długo pracowałem. Nie chciałem ci powiedzieć, dopóki nie skończę. Myślę, że będziesz zadowolona.

Przeszli za mleczarnię, gdzie ładowano do ciężarówek Jamesa bańki z mlekiem, żeby je zawieźć na targowisko w Nyeri i w Kara-tinie.

- To tutaj - powiedział, otwierając jedno z tylnych drzwi mleczarni. - Ślisko. Bądź ostrożna.

W małym kamiennym budynku było chłodno i ciemno. James poprowadził ją do przeciwległych drzwi.

Weszli do przybudówki; była to szopa z bali, kryta dachem z blachy falistej. Przez dwa okna napływało z blaskiem słońca świeże powietrze. Na uklepanej ziemi leżał stary dywan. Grace stanęła pośrodku tej izby sześć na sześć stóp i oniemiała.

- Zrobiłem ci niespodziankę? - zapytał James -Tak...

Przy dwóch ścianach od podłogi po dach wznosiły się półki. Pod trzecią był stół roboczy. Wszędzie stały puszki, pudełka, butelki i książki. Stół jak w aptece wypełniały stojaki z probówkami, słoiki chemikaliów, a wśród nich na poczesnym miejscu lśnił nowy mikroskop.

- Co o tym myślisz? - zapytał James. W tej ciasnej izdebce, niewiele większej od szafy, stojąc przy Grace, prawie jej dotykał.

Grace odwróciła wzrok.

- Ładnie się spisałeś.

- Dużo czasu mi to zabrało. - Przesunął dłonią po gładkim blacie stołu, muskając sprzęt laboratoryjny z uszanowaniem jak relikwie. - Miałem piekielne trudności, żeby mi to wszystko przysłali. Możesz mi wierzyć albo nie, ale sporo tego pochodzi z Ugandy. Oni tam są dosyć zaawansowani w badaniach naukowych.

- To jest cudowne - powiedziała Grace cicho, myśląc o tych wszystkich okazjach w ciągu czternastu miesięcy, gdy James przy-

sylał do niej któregoś ze swoich ludzi z prośbą o pożyczenie mikroskopu. Wszystko wtedy rzucała, dosiadała konia i przyjeżdżała do Kilima Simba. James czekał na nią, serdecznie się uśmiechał i dziękował wylewnie. Później spędzali miłą godzinę razem, pochyleni nad płytkami, rozpoznając chorobę nękającą jego bydło, a potem godzinę jeszcze miłszą, pijąc brandy przy ogniu buzującym na palenisku kominka. Przecież ona żyła dla tych godzin.

- Świat staje się nowoczesny, Grace - mówił dalej. - Czasy staroświeckich hodowli bydła już się skończyły. Obecnie trzeba hodowlę prowadzić z mikroskopem i strzykawką. Przecież me mogłem wciąż pożyczać mikroskopu od ciebie.

- Mnie to nie robiło żadnej różnicy.

- Wiem. Byłaś cudowna z tym pożyczaniem. Ale teraz, kiedy mam swoje laboratorium, nie będę ci już zawracał głowy.

Grace milczała. Stała tyłem do niego, patrząc przez okno, jak kilku parobków nacina uszy świeżo szczepionym krowom. James stał tak blisko, że czuła ciepło jego ciała.

- Grace - zapytał cicho - coś niedobrze?

- Nie - odpowiedziała zbyt pośpiesznie. - No, owszem. - Co takiego?

- Coś, z czym jednak mogę sobie poradzić.

Wziął ją za ramiona i odwrócił. Poza tamtą krótką chwilą, gdy płakała w jego objęciach nad zwłokami biednego Madengeja i przedtem w porodowej chacie Gaczyku po cesarskim cięciu, nigdy nie była przy nim tak blisko. y .

- Jesteś bardzo skryta - powiedział z łagodnym uśmiechem. - Nie mówisz nikomu o swoich kłopotach. Myślisz, że ci z tym do- Mówię wszystko swojemu dziennikowi. Kiedyś, kiedy mnie już nie będzie, ktoś obcy to przeczyta i niewiele zrozumie.

- Powiedz mi, co cię martwi, Grace.'

- Własnych zmartwień masz dosyć.

- Więc nie potrzebujesz przyjaciół?

Jeszcze trzymał ręce na jej ramionach i chciała, żeby tak było zawsze.

- Dobrze - powiedziała, sięgając do kieszeni spódnicy. - Wiesz, że pisałam do Towarzystwa tam, w kraju, prosiłam o przysłanie mi wykwalifikowanych ludzi do pomocy. To jest organizacja, która zbiera datki w parafiach w okolicy Bella Hill i co miesiąc wspomaga mnie czekiem na niedużą sumę. Te czeki plus trzysta funtów rocznie od rządu i moje prywatne dochody ze spadku umożliwiają

mi prowadzenie kliniki. Ale z powodu jakichś finansowych zawłości, niefortunnych inwestycji mojego ojca dochody ze spadku przestały wpływać. Martwiłam się, jak sobie poradzę, a tu w dodatku jeszcze przyszło to pismo. James przeczytał list, marszcząc czoło.

- Nie dadzą ci pieniędzy, dopóki nie przyjadą na inspekcję twojej kliniki? Po co, do diabła? Myślą, że ich oszukujesz?

Grace odwróciła się, wyciągnęła spod stołu stołek i usiadła.

- Pewni misjonarze w naszym okręgu skarżą się, że nie prowadzę placówki tak jak trzeba. Bez duchownego, bez nabożeństw i bez nawracania tubylców. Któryś z nich pewnie napisał o tym do Towarzystwa i teraz przyjedzie delegacja, żeby sprawdzić, czy zasługuję na miłosierdzie. James, jeżeli oni wycofają swoje poparcie, rząd uzna to za dowód, że nie prowadzę należytej misji, i przestanie mi dawać te trzysta funtów. Stracę wszystko!

- Nie dojdzie do tego.

- Skąd wiesz? Och, jakie boje staczam z tymi kołtuńskimi pedałami! Oni mierzą swój sukces liczbą dusz, które zbawili! Upominają mnie, że nie wystarczy leczyć Afrykanów, uczyć ich higieny, dbałości o zdrowie, powinnam jednocześnie głosić Ewangelię! Dosłownie osłupieli, kiedy im powiedziałam, że nie chcę deprecjonować boga Kikuju

i że dla mnie Ngai to po prostu inna nazwa Boga Wszechmocnego!

James patrzył na nią. Oczy jej błyszczały, policzki pociemniały karmazynowo, ciemnoblond włosy, od niedawna krótkie i podwinięte nowomodnie a la paż, wysuwały się spod hełmu. Musiał się uśmiechnąć.

- Rzeczywiście, Grace, wprowadziłaś ich w osłupienie! Spojrzała w jego uśmiechnięte oczy i potrząsnęła głową.

- Tak, do licha! - powiedziała ze śmiechem, którego nie zdołała powstrzymać. - I to mnie cieszyło!

Śmieli się razem. Ku swemu zdumieniu nagle poczuła się już o wiele lepiej.

- To dobrze, że masz swoje laboratorium, James - powiedziała wreszcie szczerze. - Będziesz tu czynił cuda.

Prawdopodobnie znajdziesz jakąś nową bakterię i nazwą ją twoim nazwiskiem.

- Wolałbym nie znaleźć! - James podał jej ramię. - Spodziewam się - dodał spokojniej - że przyjedziesz, żeby mi pokazać, jak się tym wszystkim posługiwać.

- Jeżeli jeszcze będę tutaj.

Gdy wyszli z przybudówki w chłodny mrok mleczarni, James powiedział:

- Na pewno tu jeszcze będziesz, Grace. I na pewno ci się powiedzie. Masz w Kenii dużo przyjaciół.
- Nie cierpię prosić.
- Chyba możesz zwrócić się o pomoc do Valentine ar
- W żadnym razie. To ostatni człowiek pod słońcem, któremu przyznałabym się, że jestem bezradna. Dopiero bym się nasłuchiwała
- Jesteś bardzo niezależna, co, Grace? Chcesz robie wszystko na własną rękę. Nikt ci nie jest potrzebny. Przynajmniej takie lubisz sprawiać wrażenie. Uważaj, woda.

Grace pośliznęła się na mokrym betonie i straciła równowagę. James ją przytrzymał. Trwali tak przez chwilę, ona w mocnym splocie jego ręki. Potem ją puścił i znowu się śmieli.

Ale później, gdy przyjaciółki Lucille ładowały na wozy swoje dzieci i otrzymany w wymianie towar, James długo stał przy końcu alei wjazdowej i patrzył, jak Grace w hełmie odbijającym blask przedwieczornego słońca, z torbą lekarską przytroczoną do siodła, odjeżdża konno piaszczystym szlakiem w stronę Nyeri

Myślał o czymś, co chciał jej także pokazać, i rad był teraz ze się rozmyślił. To było coś ze starego numeru „Timesa”, starego da- , tą! ale nowego tu, w Kenii, gdzie gazety europejskie widywano rzadko i to nieaktualne od tygodni. Ta gazeta była już w wielu stęsknionych do ojczyzny rękach i miała z Kilima Simba zostać przekazana na inne rancza w okręgu Nanyuki, po czym w końcu za góry Aberdare do osadników w Rift. James wyciągnął z tylnej kieszeni spodni stronicę, którą zachował dla siebie. Świętokradztwo wydzierać coś z gazety, niszczyć ją w jakikolwiek sposób, w myśl niepisanego prawa należało „Timesa” szanować, dopóki się nie rozsypie po ostatnim czytaniu. Ale tę stronicę ogłoszeń osobistych James wydarł, poczytując sobie za honor i powinność ukrycie iei przed oczami ciekawych. . . Chodziło o jedno małe ogłoszenie w połowie ostatniej kolumny. W maleńkiej ramce wiadomość:

*Jeremy Mannings.*

*Możesz mnie znaleźć w okręgu Nyeri,*

*Kenia, Wschodnia Afryka.*

*Grace Treverton*

James stał przy bramie i jeszcze patrzył, chociaż Grace dawno zniknęła mu z oczu i niebo zszarzało.

## ***Rozdział 14***

Valentine, śmiejąc się, cisnął karty. Zgarnął wygraną, podszedł do schodów hotelowej werandy i rozrzucił te pieniądze między riksarzy czekających w rzędzie riksza na ulicy. Gdy wrócił do baru hotelu Norfolk, gdzie mu gratulowano i poklepywano po plecach, zamówił trunki dla wszystkich w barze, a także szampana dla gości w sali restauracyjnej. Była to jego ostatnia noc w Nairobi, po tygodniu oblewania nowo powstałej kolonii. Nazajutrz on i Rose mieli wyruszyć, milcząc, w podróż powrotną do Bellatu.

Rose spała teraz w swoim pokoju hotelowym. „Astma milady” służyła za wytłumaczenie. Pod szerokim uśmiechem Valentine ukrywał udrekę, której nikt z jego przyjaciół nie powinien widzieć - żal wzgardzonego przez ukochaną żonę, ból nie do znieczulenia żadną ilością alkoholu.

Ale Valentine się starał. Dżin lał się strumieniem, rachunek rósł. Lord Treverton miał kredyt wszędzie w Afryce Wschodniej. Był tak bezmiernie bogaty. Zresztą wydawanie pieniędzy dobrze mu robiło. Płacąc, czuł się mniej bezsilny.

Głowę miał mocną. Nigdy nie chwiał się ani nie przewracał, nigdy nie wymiotował ani nie tracił kontroli nad sobą. Tylko z każdym kieliszkiem był coraz weselszy i bardziej szczodroliwy. Dlatego też w pół godziny później, idąc ulicą do hotelu Mirandy West, pozdrawiał wszystkich, których mijał, dawał rupie czarnym dzieciom i usiłował się zastanawiać, czym zrobić przyjemność Mirandzie.

Ta kobieta okazała się w ciągu ubiegłych miesięcy prawdziwym przyjacielem. Jej pierwszej powiedział o poronieniu Rose. Zawsze słuchała go uważnie, nigdy nie osądzała, nie udzielała mu

rad, w ogóle mało mówiła. Jedyna - o tym nie wątpił - w całej Afryce Wschodniej osoba mająca taką błogosławioną zaletę! I jeszcze inne cechy Mirandy lubił. Na przykład ona - w przeciwieństwie do wszystkich innych - o nic nie prosiła. Ofiarował się pokryć koszt nowych mebli w hallu, powiedziała, że to jej niepotrzebne. Chciał szepnąć słówko w Ministerstwie Ziemi, żeby mogła korzystnie kupić pewną parcelę graniczącą z terenem jej hotelu, powiedziała: nie, dziękuję. Kobieta, która stoi mocno na swoich dwóch nogach i nie biegnie do ludzi z błaganiem o pomoc. Pod tym względem Miranda bardzo przypomina Grace. I jeszcze jedno mu się w niej podobało: ani nie flirtowała z nim, ani nie udawała nieśmiałej, nie próbowała żadnych kobiecych gier. Miranda, myślał, jest uczciwa, prostolinijna i nie ma czasu na tę lekką szermierkę seksualną, uprawianą chyba na każdym towarzyskim zebraniu. Jej nie zależy na zaciągnięciu mnie do łóżka, to na pewno, i też w odróżnieniu od innych kobiet nie oczekuje komplementów, nadszkiepcowania. Miranda West to kobieta, przy której człowiek dobrze się czuje, zwyczajna, prosta. Chciał jej za to podziękować przed wyjazdem z Nairobi.

W słabo oświetlonym hallu było pusto, w zamkniętej sali jadalnej za szybą drzwi zupełnie ciemno. Afrykanin, zamiatający schody na półpiętrze, powiedział:

- Pójdę zawołać *memseeb, buana*.

- Nie trzeba. Zaskoczę ją.

Miranda wcale nie była zaskoczona, zobaczyła go na ulicy przez okno swojego mieszkania. Tylko ona okiem szczególnie byстрыm, jeśli chodzi o hrabiego, potrafiła dostrzec, że jego kroki są troszeczkę nierówne. A więc...

Valentine przychodzi do niej pijany.

- Lord Treverton! - powiedziała, otwierając drzwi. - Jakaż miła niespodzianka!

- Ufam, że pani nie przeszkadzam.

- Ależ skąd! Proszę, niech pan wejdzie. Napije się pan czegoś?

- Co to był za tydzień, Mirando! - powiedział, zapadając się w leniwiec jak u siebie, chociaż rzadko odwiedzał ją w mieszkaniu. Przyjął od niej whisky, wypił jednym haustem. - Szkoda, że nie doprowadzili linii kolejowej do Nyeri. Nie cierpię tej długiej jazdy. - Jazda miała trwać osiem dni z obozowaniem co noc, żeby wyprząc woły, i z pełnym wyrzutem milczeniem Rose, doprowadzającym go do szału.

- Kiedyś tam będzie pociąg, milordzie. - Ponownie napełniła mu szklanę.

Opierając stopy na taborecie, wyciągnął swe długie nogi przed siebie i zapatrzył się w szklanę. Dobrze się już natrudził, żeby tam dociągnięto linię kolejową. Gospodarka kolonii zaczyna kwitnąć, dobrobyt tuż-tuż, a jednak - i to pomimo jego wpływu na Radę Ustawodawczą, powiązań z ministrem kolonii - czoło toru kolejowego uparcie pozostaje w Thika. Koniecznie pociąg musi dojeżdżać do jego posiadłości.

W czasie krótkiej przerwy pomiędzy dwoma okresami deszczu Valentine zdążył wielkim kosztem wyrwać zatopione sadzonki i zastąpić je nowymi. Potem, gdy zaczęły się deszcze marcowe, te rośliny już po piętnastu dniach pokryły się pięknym białym kwieciem, pachnącym podobnie jak kwiat pomarańczy. Nie trzeba było kilku lat, żeby zebrać plon kawy, ale dwa, trzy, cztery lata mogło zabrać zbudowanie linii kolejowej. Transport pociągami umożliwiłby uzyskiwanie wyższych cen i lepszą dystrybucję ziarna. A tak Valentine, zdany na transport wozami, miał być na rynku w Nairobi ostatni, gdy całe zapotrzebowanie już zaspokoi konkurencja.

- Spodziewałam się, że pan przyjdzie dziś wieczorem - powiedziała Miranda, podchodząc do mahoniowego kredensiku, na którym było mnóstwo serwetek, bibelotów i fotografii rodziny królewskiej. - Specjalnie to odłożyłam. - Przyniosła ozdobną puszkę. - Pierniki z rumem dla lady Treverton.

Valentine patrzył na tę pękatą puszkę z podrabianego fajansu Wedgwood. Pomyślał o staraniu, z jakim pierniki zostały upieczone, i zdziwił się, jak na Boga Miranda znajduje wśród swoich rozlicznych zajęć czas, żeby przygotować takie dary. Nagle ogarnęła go czułość. Wdowa West to bardzo zacna kobieta. Jej mąż z pewnością nie żyje. Dobrowolnie żaden mężczyzna nie przebywałby od niej z daleka.

Miranda West usiadła w fotelu naprzeciw niego i złożyła ręce na kolanach.

- Zmieniła pani uczesanie - zauważył.

- Trzy miesiące temu. Nowa moda.

Twarz mu się zasepiła. Wszystkie kobiety w Kenii już obcinają włosy za przykładem Rose. Suknie nabierają linii prostych - gdzież te wcięcia, te zaokrąglenia! - i są coraz krótsze. Białe damy ostatecznie mają w kolonii prawo głosu i jedna po drugiej zaczynają palić papierosy. Nowa kobieta! Czy po to wygrało się wojnę z Niemcami?

Poczuł przygnębienie. Hrabia Treverton, który rzadko tracił swój wrodzony optymizm i nigdy się nad sobą nie litował, którego

rzeczywiście tylko raz od przybycia do Afryki Wschodniej ogarnęła prawdziwa rozpacz - tamtej nocy po niezapomnianym zniewoleniu Rose - teraz poddał się melancholii. Przełykając whisky, westchnął.

- Do czego ten świat zmierza, Mirando?

Odpowiedziała współczującym uśmiechem. Usłyszała w jego głosie dobrze znaną nutę, zobaczyła na twarzy wyraz, jaki widywała na twarzach wielu samotnych mężczyzn. Znów napełniła mu szklankę.

- Mirando, o co chodzi kobietom? Może mi pani powiedzieć?

- Wiem tylko, o co chodzi mnie, milordzie. Nie wszystkim kobietom chodzi o to samo.

- Ja chcę mieć syna - powiedział cicho. - Tylko na tym zawsze mi zależało. Mam ten potwornie wielki dom i pięć tysięcy akrów. Komu to wszystko przekażę? Potrzebny jest spadkobierca. Ale moja żona... lekarze twierdzą, że już nie może mieć dzieci;

Miranda wiedziała, że to kłamstwo. Że zgodnie z telegrafem buszu lady Rose nie tyle "Już nie może", co nie chce mieć dzieci. Valentine nagle spojrzał na nią.

- A pani, Mirando, potrzebny mężczyzna. Nie powinna pani być sama.

- Mam hotel, mnóstwo roboty. I jest personel, są goście. Nigdy nie jestem sama.

- Ale nocą, Mirando. Kiedy w hotelu wszystko już zrobione i goście poutykani w łóżkach. Nie odczuwa pani braku mężczyzny?

Spuściła wzrok na swoje ręce.

- Czasami.

- Jest pani tematem wielu domysłów.

- Czyżby?

- W Afryce Wschodniej nie ma mężczyzny, który może powiedzieć, że blisko panią zna.

- I zamierzam ten stan rzeczy utrzymać.

- Dlaczego? Czy dlatego, że jest pani zamężna?

- Och, nie. Jack nie żyje. Z całą pewnością.

- Więc dlaczego? Bóg świadkiem, przecież ma pani w czym wybierać.

- Muszę dbać o swoją reputację, pan wie, że kobieta samotna nie może sobie pozwalać na przygody miłosne.

- Nie mówię o przygodach - powiedział spokojnie - mówię o kimś... jednym.

- A kogo mogłabym wybrać? Ten hotel przynosi mi ładne do-



chody. Czy znalazłabym mężczyznę, któremu nie chodziłoby o moje pieniądze?

- Są w Kenii tacy, którzy pani pieniędzy nie potrzebują.

- To prawda. Ale ja do żadnego nic nie czuję. Żeby się oddać mężczyźnie, musiałabym żywić do niego uczucie.

Przyglądał się jej swymi czarnymi oczami. Jest taka jak Rose, pomyślał. Nie z wyglądu, 'nie pod żadnym namacalnym względem, ale tak samo jak Rose strzeże swojej cnoty.

Pojmując to, nagle zaczął jej pożądać. Whisky wreszcie uderzyła mu do głowy. Myśli się kłębiły, w pokoju było gorąco. I cierpienie, które od sześciu miesięcy nosił w sercu, ustępowało.

- Jednak ktoś panią interesuje, prawda? - zapytał łagodnie. Zawahała się.

-Kto to jest?

Odpowiedziała jego oczom wzrokiem równie żarliwym. Już tak blisko celu, tak blisko...

- Jest ktoś, Mirando? Przytaknęła niemo. -Kto?

- Na pewno pan wie - wyszeptała. Wstał i zachwiał się nad nią.

- Mirando, chcę to usłyszeć. Chcę, żebyś powiedziała imię tego jedyne, z którym poszłabyś do łóżka.

W głowie jej się zakręciło, policzki płonęły.

- Pan dobrze wie, kto to jest - szepnęła. - To... ty... Valentine pociągnął ją z fotela i przycisnął usta do jej ust.

- Nie mów mi, że nie, Mirando - powiedział zdławionym głosem. Całował ją w usta, w szyję. Rozpiął jej bluzkę, pocałował poniżej krtani. Zsuwając rękę na jej pierś, szepnął: - Mirando, nie odmawiaj mi!

Uległa w jego objęciach, wymamrotała:

- Nigdy, Valentine. Nigdy.

## **Rozdział 15**

*Czuje się jak wiewiórka na kręcącym się kółku, pisała Grace w swoim dzienniku. Raz po raz lecę te same dolegliwości, często u tych samych ludzi. Przychodzą do mnie z gorączką, z katarem, z malarią, z liszajem obrączkowym i z ranami, które się nie goją. Uważają moje proste lekarstwa, sole epsom i chininę, za cudy, ale mnie to nie cieszy. Powinnam przede wszystkim nauczyć ich innego sposobu życia. Te straszne chaty bez żadnej wentylacji, to sypianie z kozami, to picie wody, w której oni się myją i przez którą przeprowadzają swoje zwierzęta! I te biedne małe dzieci niepilnowane, poparzone przy gotowaniu! Przychodzą do mnie, ja ich lecę, a oni wracają do swoich brudnych domów i dalej żyją tak niehigienicznie, że po tygodniu widzę ich znowu, tych samych ludzi z tymi samymi dolegliwościami. Albo też w niejednym przypadku umierają wskutek swoich nieustępujących chorób. Jakoś w żaden sposób nie mogę sprawić, by zrozumieli, że nie wystarczy przyjść na leczenie, kiedy coś dolega, trzeba przede wszystkim poprawić warunki życia, usunąć przyczyny choroby.*

Grace odłożyła pióro i pomasowała sobie kark. Siedziała przy stole w świetle syczącej lampy naftowej. Na zewnątrz tkliwy afrykański mrok brał w objęcia rzekę. Powietrze przesyciła woń jaśminu; samotna sowa huknęła żałobnie.

Grace była sama w swoim domku. Mario poszedł do wioski na plemienne tańce, Saba wyruszyła na nocny żer.

Patrząc w cienie snujące się po kątach, Grace pomyślała o stercie cerowania, o bandażach, które trzeba zwinać, o listach, które od dawna trzeba napisać do przyjaciół w Anglii. Ale czy teraz, o dziesiątej wieczorem?

Pracowała od świtu i już za kilka godzin miała rozpocząć następny długi dzień.

Wzięła pióro i pisała dalej:

*Rozpaczliwie potrzebuję pomocy. Potrzebuję nauczycieli. Nie mogę leczyć afrykańskiego niedożywienia i chorób wywołanych przez pasożyty, jeżeli Afrykanie nie zmienią warunków życia. Zdana tylko na własne siły, jestem prawie bezradna: niemożliwością dla mnie jest dotrzeć do nich wszystkich. Muszę pozostawać tutaj, zajmować się ludźmi, którzy przychodzą do kliniki.*

*Gdybyż tylko nie było w pobliżu tej znachorki! Oczera to moje nieszczęście, główna przeszkoda na drodze. Oczera broni starych obyczajów i tradycji. A ci ludzie jej słuchają, bo budzi w nich lęk i szacunek. Dopiero wtedy, gdy nie zdoła im pomóc, przychodzą do mnie. Ale zawsze zaczynają od niej. Twardo udeptana ścieżka prowadzi do jej chaty. Śpieszą do niej po lubczyki, po amulety przeciwko chorobie. I ona dopełnia pradawnych obrzędów religijnych Kikiju. Ci ludzie wierzą, że jest ogniwem, które bezpośrednio łączy ich z Bogiem i z przodkami. Dopóki Oczereze wolno będzie praktykować te bzdurne przesady, niedaleko posunę się naprzód wśród miejscowych ludzi.*

*Bardzo żałuję, że Valentine nie zdołał przenieść jej za rzekę. Żałuję, że już się przy tym nie upiera. Wciąż wracała na to miejsce, więc Val zrezygnował, uznał, że szkoda jego nerwów. Nawet się przyzwyczaił do widoku tej chaty za południowymi bramkami boiska polo, dla mnie jednak ta chata jest szyderstwem, nieustannie przypomina mi moją bezradność!*

*Prosiłam Lucille Donald, żeby znów przyjeżdżała. Lucille przestała tu uczyć Biblii, bo jak powiedziała, nie uśmiecha jej się jazda z Kilima Simba i z powrotem, odkąd deszcze zmyły szlak. Ale szlak dawno już wysechł, a Lucille nie przyjeżdża. Mówi, że ma za dużo pracy na swojej farmie, żeby przyjeżdżać taki kawał drogi i próbować wpajać Biblię tym zaledwie kilkorgu dzieciom, którym chce się przyjść na lekcję. Zresztą nie Biblia im jest potrzebna. Powiedziałam to Lucille - to, że te dzieci powinny uczyć się czegoś bardziej użytecznego: czytania, pisania, dbania o zdrowie i bezpieczeństwo - i pokłóciliśmy się wtedy w kwietniu. Od tamtego czasu Lucille tu się nie pokazuje. Teraz rozumiem, jak bardzo ją dotknęłam mówiąc, że w mojej misji chrześcijaństwo będzie na drugim miejscu!*

*Ale może to trzeba zmienić. Delegacja Towarzystwa Misyjnego przyjedzie z Anglii w przyszłym tygodniu, więc powinnam się przy-*

*gotować na tę inspekcję. Nie chcę utracić wszystkiego, o co mi w mojej pracy chodzi. Nie pozwolę się zmusić do zrezygnowania z moich marzeń. Ale mam pewien plan, który chyba podziała. Tylko że wymaga współpracy Lucille...*

Grace zamknęła dziennik, schowała go z powrotem do szuflady i podeszła do drzwi frontowych. Zanim je otworzyła, otulite się szczelniej szalem. Tuż za werandą gęstniała zimna ciemność. Cmy i cesarskie motyle latały wokół parafinowej latarni u belki stropu. Z prawej strony puszcza rozbrzmiewała dudnieniem bębnów afrykańskich, z lewej dolatywały z Bellatu dźwięki fortepianu: Rose grała znowu, usiłując zappełnić ciszę w ścianach domu.

Nagle Grace drgnęła.

Coś sunęło w ciemności coraz bliżej.

Sięgając po strzelbę wiszącą przy drzwiach, wyteżyła wzrok. Wypatrzyła ludzką postać. Kulejącego mężczyznę. James!

- Dobry wieczór! - zawołał. Widzę, że jeszcze się nie położyłaś. Zacisnęła szal na piersiach. Nigdy dotąd nie odwiedzał jej o tak późnej porze.

- Ja tylko na chwilę - powiedział, podchodząc. - Wiem, że jest późno, ale wracam z wizyty u oficera okręgowego w Nyeri i wstąpiłem po drodze, żeby porozmawiać z Valentine'em. Cóż, kiedy pojechał na safari. Ze wzgórza zobaczyłem światło tutaj. Proszę. - Dał jej parę kuropatw. - To dla ciebie.

- Dziękuję. Wejdz.

Gdy James taki wysoki i zdrożony wypełnił sobą maleńki salonik, nagle domek wydał się jej bardzo mały i kobiecy.

- Napijesz się herbaty? - zapytała.

Wahał się. Zapalając wszystkie lampy zauważyła, że jest jakiś nieswój/Postawiła czajnik na ogniu, wsypała trzy łyżeczki herbaty do porcelanowego imbryczka.

- To nowa mieszanka hrabiny Treverton. Bardzo droga, ale Rose daje mi ją całymi paczkami. Usiądź, James.

- Czy na pewno nie sprawiam ci kłopotu?

Usiadła w drugim fotelu, złożyła ręce na kolanach. James nie tylko jest nieswój - pomyślała - najwyraźniej ma jakieś zmartwienie.

- Nie zamierzałam położyć się spać - odpowiedziała. - Muszę dziś jeszcze niejedno zrobić. Czy ta wizyta u oficera okręgowego była urzędowa?

- Tak. Dowiedziałem się, że pewni faceci z północnego pogranicza przemycają tędy bydło z obszaru objętego kwarantanną. Jeżeli ich nie złapią, zaraza bydłem błyskawicznie się rozprzestrzeni. Całą moją trzodę diabli wezmą! W każdym razie patrole już wyruszyły. Myślę, że ich złapią. Och, byłbym zapomniiał. - Podał jej skórzany juk. - To od jego żony. Z wyrazami wdzięczności za wyrwanie zęba, tak powiedziała.

Grace otworzyła juk, zaciekawiona jak dziecko pod gwiazdkową choinką.

- Boże ją błogosław! - wykrzyknęła, wyciągając puszkę różnych herbatników, pudding śliwkowy i słoiki z dżemem, imbirem i miodem.

Ustawiła dary, zwróciła juk.

- James - zapytała, znów przejęta jego wyraźnym zatroskaniem. - Coś się stało?

Patrzył na zimne cienie w kominku zamyślony.

- Kilku moich ludzi zachorowało na dyzenterię - odpowiedział po chwili. - Zabrakło mi tranu. Nie wiem, czy...

Wstała i podeszła do szafki z medykamentami. Przyniosła butelkę i postawiła ją na stoliku pomiędzy dwoma fotelami.

- Chętnie ci służę wszystkim, co mam, James.

- Dziękuję - powiedział i umilkł.

Przez kilka minut słuchali odgłosów nocy. Grace się zastanawiała nad prawdziwym powodem jego wizyty. W końcu zapytał:

- Jak idzie w klinice?

- Radzimy sobie. Tylko z nauką jest problem. Wiele już listów napisałam, żeby przysłano pielęgniarki i nauczycieli do pracy w wioskach. Zamiast tego przyjedzie inspekcja. Ale wiesz, James - pochyliła się ku niemu - mam plan.

Dobrze byłoby, gdyby Lucille mi pomogła, kiedy ta delegacja będzie tutaj. Może by poprowadziła lekcję przy nich.

Opowieści z Biblii, coś w tym rodzaju. To by z pewnością zrobiło dobre wrażenie. Jak myślisz? Mogę Lucille poprosić?

Spojrzał jej prosto w oczy i już знаła odpowiedź.

- Lucille ci nie pomoże.

- Dlaczego?

- Dlatego, że to ona wysłała do Towarzystwa Misyjnego skargę na ciebie.

Grace zapatrzyła się w niego. Odwrócił wzrok.

- Dowiedziałem się dziś rano. Powiedziała mi.

Wydawało się, że noc się zakrada, żeby wniknąć przez okna do domku. Oleandry przy werandzie szeleściły, z daleka dolatywał nerwowy chichot hien nad padliną. Wreszcie czajnik zaczął gwizdać. Grace wstała, poszła do kuchni, wlała połowę wrzącej wody do imbryczka i znieruchomiała. Po chwili odstawiła czajnik i wróciła do saloniku.

- Dlaczego, James? - zapytała cicho. - Dlaczego ona to zrobiła/

- Niestety, naprawdę nie wiem. To był dla mnie szok, tak jak dla ciebie teraz. Nie potrafię sobie wytłumaczyć, co opętało Lucille. - Popatrzył na Grace ze smutkiem. - Dziesięć lat temu, kiedyśmy się pobrali i wiozłem ją do Afryki Wschodniej, cieszyła się, że będzie tu mieszkać. Ale widzisz, zawsze była bardzo zżyta z matką. Jej ojciec umarł dawno, prawie go nie pamięta, nie ma braci ani sióstr. Kiedy ją poznałem, mieszkała z matką nad niedużym sklepem i odnosiły się do siebie bardzo serdecznie. Nasz wyjazd wywołał urazę. Rozstały się w złym nastroju. Pani Rogers nie chciała, żeby jej córka była żoną osadnika.

James wyjął z kieszeni koszuli fajkę. Starannie dopełnił obrzędu nabicia i zapalenia, po czym mówił dalej.

- Więc zdecydowaliśmy, że najlepiej będzie sprowadzić matkę Lucille tutaj, gdy tylko się osiedlimy. Afryka Wschodnia może być rajem dla emerytów, jeżeli zapewni się im należyty wygodny dom i dobre warunki.

Zaczęliśmy oszczędzać i planować. Pani Rogers miała zamieszkać u nas w Kilima Simba. Chyba to marzenie sprawiało, że Lucille łatwiej znosiła wstrząs tego nowego tutejszego życia. Bo to był dla niej wstrząs. Z początku, po przyjeździe na ranczo, płakała całymi dniami. Ale potem się uspokoiła, korespondowała z matką, posyłała jej broszurki o protektoracie aż matka zapaliła się do tego projektu. To właśnie teraz, w tym roku, pani Rogers miała przenieść się do nas.

- i co?

- Umarła nagle, niespodziewanie. Miała zaledwie pięćdziesiąt lat. Lucille odchodziła od zmysłów. To się stało dwa lata temu, jeszcze w czasie wojny, więc Lucille w żaden sposób nie mogła pojechać na pogrzeb. Przypuszczam, że właśnie wtedy zaczęła się zmieniać.

- Zmieniać się? Jak to?

- Nieznacznie, tak nieznacznie, że widzę to dopiero teraz, w re-trospekcji. Wyciągnęła starą rodzinną Biblię i czytała ją co wieczór. Potem związała się z metodystami w Karatinie. Kiedy usłyszała, że siostra Valentine'a przyjedzie, żeby założyć misję, była uszczęśliwiona.

-Rozumiem - powiedziała Grace wstając i szybko poszła do kuchni.

Gdy już naląła herbatę i podała Jamesowi filiżankę, zapytała spokojnie:

- Czy ona ci mówiła, co napisała w tym liście do Towarzystwa?

- Nie. - James z namysłem mieszał cukier w herbacie, patrzył na kolisty ruch łyżeczki. - Myślę teraz, że było błędem przywiezienie Lucille do Afryki Wschodniej. Ja miałem dwadzieścia dwa lata, ona dziewiętnaście. I była raczej romantyczką. Kiedy w końcu dotarliśmy do Kilima Simba, zaniemówiła z rozczarowania.

- Mnóstwo żon... i mężów także... przeżywa taki wstrząs.

- Powinienem to przewidzieć. Ja się tutaj urodziłem, dorastałem, powinienem był widzieć różnicę pomiędzy tutejszym życiem i światem, w którym ona się wychowywała. - James postawił filiżankę i stanął przed kominkiem. Zwykle spokojny, teraz gwałtownie gestykulował, prawie nie panując nad napiętymi mięśniami. - Grace, gdybyś wiedziała, jak strasznie mi przykro.

- A ja myślałam, że Lucille mnie lubi - powiedziała Grace cicho.

- Ależ lubi cię, lubi. - Już spokojniej dodał: - Oboje cię lubimy.

Nie zdołała spojrzeć na niego. Za nic by sobie nie pozwoliła poddać się, rozkleić w jego obecności. Raptem poczuła gniew i zarazem smutek niezależnie od wstrząsu wobec sprzeniewierzenia się przyjaciółki.

- Co ja zrobię, kiedy ta delegacja przyjedzie?

- Chciałbym ci pomóc. Potrząsnęła głową.

-Niestety, nic nie możesz zrobić. Ubzdurałam sobie, że ich oszukam. A przecież ludzie w Suffolk łożą na to, co w ich przekonaniu jest szerzeniem chrześcijaństwa. Mają prawo wiedzieć, na co idą ich pieniądze. - Wstała z fotela i wyprostowała ramiona. -Po prostu muszę znaleźć jakiś sposób, żeby ich uspokoić czy też przekonać o celowości moich wysiłków. Albo może nawet sposób, żeby obywać się bez nich. Nie wiem.

James podszedł do niej. Napotkał jej wzrok i przytrzymał.

- Grace, powiedz, że to nie nadszarpnie naszej przyjaźni.

- Nigdy nic jej nie nadszarpnie, James - odpowiedziała zdławionym głosem.

- Nadal będziesz nas odwiedzać na ranczo? Jednak się zawahała.

Odwrócił się, uderzył pięścią w dłoń drugiej ręki.

- Jak się to wszystko zabagnało! Myślałem, że ona jest szczęśli-

wa. Wydawała się szczęśliwa. - W napięciu zaczął chodzić po maleńkim pokoiku. - Tak dobrze prowadzi gospodarstwo i wychowuje dzieci. W ciągu tych dziesięciu lat nigdy się nie uskarżała. - Zatrzymał się przed Grace udręczony. - Lucille jest zagna, pojęcia nie mam co bym bez niej robił. Ale... dzisiaj wyszedłem z siebie, kiedy mi powiedziała o tym liście. Wrzeszczałem. Nie przebierałem w słowach. Mówiłem rzeczy, których naprawdę nie myślałem, tylko - Zniżył głos. - Grace, jesteś dla mnie jedną z największych wartości w tym kraju. Mogę myśleć tylko o tym, że Lucille jakoś zburzyła naszą przyjaźń.

Białe mrówki szemrały wśród włókien strzechy nad ich głowami, jaszczurki pomykały po ścianach i deskach. Cały domek żył tak samo jak ogród przy domku i puszcza za ogrodem. Oboje zasłuchali się w ten chór życia wokoło, patrząc sobie w oczy, zatraceni, schwytani w sidła bliskości. Po chwili James powiedział:

- Już późno. Powinnaś się położyć, Grace.

- Chyba nie pojedziesz do domu teraz! Nie jest bezpiecznie.

- Rose zaproponowała mi nocleg.

Chciała powiedzieć: zostań tu, u mnie. Ale zamiast tego wzięła latarkę z haka i dała mu ją, mówiąc cicho:

- Na ścieżce stąd do ich domu też niebezpiecznie w nocy. James, proszę cię, uważaj. .

Otworzyła drzwi. James wyszedł na werandę. Wkładając kapelusz, odwrócił się do niej. Oczy miał w cieniu szerokiego ronda.

- Jedno ci przyrzekam, Grace. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby ci pomóc.



## **Rozdział 16**

Peony siedziała z twarzą ukrytą w dłoniach, jej zgarbione szczupłe ramiona trzęsły się od szlochów.

- Nie wiem, co zrobię! - zawodziła. - Zabiję się.

- Och, przestań. - Miranda podała jej kieliszek brandy. - Masz. Wypij i uspokój się. Płaczem niczego nie rozwiążesz.

Pokojówka podniosła zapuchniętą twarz.

- Nie rozwiążę! Jak można to rozwiązać?

- Są sposoby.

Oczy dziewczynie się rozszerzyły.

- Och, pszepani! Tego bym nigdy nie zrobiła.

Miranda usiadła przy biurku i zaczęła bębnić czubkiem palca w zielony bibularz. €o za dzień! Najpierw ujawnienie tych kradzieży w kuchni, paskudny kłopot z wykryciem, który to z chłopców kuchennych tak kradnie. Potem gorączka powalająca jednego z gości i panika wśród innych. A teraz to!

Peony, blada młoda dziewczyna, przyplęnęła z Anglii ze swoim narzeczonym, który w Mombasie szybko umarł na ostrą odmianę malarii. Miranda przyjęła ją do pracy. Od ośmiu miesięcy Peony wesoło i promiennie pełniła obowiązki hotelowej pokojówki, odkładając pieniądze na bilet powrotny do Anglii.

- Długo już? - zapytała Miranda.

- Dwa miesiące mniej więcej.

- A ojciec? Czy wie o tym? Peony odpowiedziała z rozpaczą:

- A skąd, pszepani. Dawno odjechał. Ja... nawet... nawet nie wiem, jak się nazywa.

Miranda potrząsnęła głową zdegustowana. Te dziewczyny! Wprost króliki, niektóre z nich. Przyjeżdżają do Kenii i bez żadne-

go umiaru szaleją na widok tyłu mężczyzn. Zona pewnego osadnika w Okręgu Limuru prowadzi, można by powiedzieć, przedsiębiorstwo aborcyjne, bardzo intratne.

Wstała od biurka i podeszła do okna. Ilekroć patrzyła na ulicę, wydawało jej się, że w Nairobi jest coraz większy ruch. Czy to jej imaginacja, czy rzeczywiście za każdym razem pojawia się pięć nowych samochodów, stu nowych mężczyzn szuka przygód, sto nowych kobiet szuka bogatych mężów? Zaczynała nie cierpieć Kenn. Valentine nie pokazał się u niej od tamtej jedynej ich nocy. Po drugiej stronie ulicy zatrzymał się wóz duńskich farmerów. Będą przez cały dzień kupować, handlować, odbierać pocztę, po czym wrócą na swoje oporne akry gdzieś na zadupiu. Boże miłosierny, pomyślała Miranda, dlaczego mają takie dumne miny? Coż tak czcigodnego jest w oraniu piachu, z którego nic nie rośnie poza malarią i śpiączką?

Nawet kartki nie dostała od Valentine'a, odkąd on wczesnym rankiem wysunął się z jej łóżka, żeby pojechać z żoną z powrotem na plantację. I przez ten cały czas nie wstąpił do niej ani razu, chociaż bywał w Nairobi. Sama go przecież widziała.

Gdy Peony rozplakała się znowu, Miranda poczuła jeszcze większą zawziętość. Jakże przewrotne jest czasem życie! Oto ta dziewczyna histeryzuje, bo zaszła w ciążę po jednym wysokoku z jakimś anonimowym chłopakiem, a ona, Miranda, rozpaczliwie pragnie mieć dziecko i nie może.

Patrzyła w dół, na ulicę. Zona jednego z tych Burów paradytuje ze swoim wielkim brzuchem. Czasy się zmieniają. Ukrywanie ciąży to już sprawa przeszłości. Wojna zdmuchnęła dawne konwenanse, dawną modę. Teraz są specjalne suknie ciążowe i kobiety butnie obnoszą swoje brzuchy.

Tylko nie ja, myślała Miranda pełna urazy do tej młodej farmerskiej żony! A to ja powinnam chodzić ulicą tak właśnie! Pogłoski by krążyły, że to jest dziecko hrabiego; on by ją ulokował w jakimś zacisznym miejscu, może by kupił dla niej dom w Parklands, gdzie mogłaby żyć jak królowa, podczas gdy ktoś inny prowadziłby jej hotel i wpłacał zyski na jej konto w banku. Ale żeby to się urzeczywistniło, ona musi mieć dziecko, a w tym celu konieczne jest ponowne zbliżenie z Valentine'em.

Ręce jej opadły. Nic z tego. Valentine nie wróci. Sprawa oczywista. Był wtedy pijany. Gdy otrzeźwiał i pojął, co zrobił, pluł sobie w brodę.

- Ja nie chcę takiej operacji! - zawołała Peony. - Wychowali mnie na katoliczkę!

Miranda odwróciła się. Spojrzała na nią ze wzgardą.

- Szkoda, że o tym nie pomyślałaś, zanim uległaś swojej słabości. Jeżeli nie chcesz się go pozbyć, to czy chcesz je zatrzymać?

Oczy Peony zrobiły się okrągłe jak monety.

- Nie, nie pszepani! Co ja bym zrobiła z takim niemowlakiem'? Nie jest tak, żebym kochała tego chłopca, co z nim spałam. On nic dla mnie nie znaczy. Nie chcę tego dziecka. Ale nie mogłabym go zabić.

- Więc jaki masz wybór? Peony skrzyła róg fartucha.

- Myślałam, że może ktoś je adoptuje. Miranda zapatrzyła się w nią.

Mała i żałosna Peony siedziała w dużym fotelu. Przez tkaninę taniej sukienki przeświecały zarysy kościstych ramion. Ale jest zdrowa, wiadomo - pomyślała Miranda. - Więc i dziecko będzie zdrowe...

Zmrużyła oczy, już świtał pomysł.

- Mówisz, że ten chłopak nie wie?

- Och, nie wie, pszepani! I już nigdy go nie zobaczę, żeby mu powiedzieć.

- Czy w ogóle ktoś wie?

Peony milcząco potrząsnęła głową. Miranda uśmiechnęła się.

- Więc ja ci pomogę.

- Och, dziękuję...

- Ale musisz mi dać słowo, że zachowasz to w sekrecie. Otóż zrobimy tak...

Rose napisała kartkę: „Makaroniki pani West, jeden tuzin I proszę o tort Bristol”.

Tylko w ten sposób komunikowali się ze sobą: albo pisali do siebie kartki, albo rozmawiali za pośrednictwem pani Pembroke, niani. Tę kartkę Valentine znalazł w swojej garderobie przed wyjazdem do Nairobi. Rose już wyszła z domu, oczywiście na polankę wśród eukaliptusów.

Valentine najchętniej by skłamał, że nie zobaczył tej kartki albo że pani West już nie wypieka ciast, ale wiedział, że kłamstwa go nie uratują. Powinien wreszcie postąpić, jak przystało na człowieka honoru. Nie może unikać Mirandy West wiecznie, musi stanąć przed nią, choćby to było nieprzyjemne, by pogrzebać tamtą sprawę.

Miranda posuwając z rękami wyciągniętymi wyszła z kuchni i ku jego zdumieniu powitała go serdecznie.

- Był pan bardzo zajęty, milordzie - powiedziała i przywołała gestem jednego z chłopców nakrywających stoliki. - Dwa piwa - poleciła w języku suahili, po czym znów zwróciła się do Valentine'a. - Z pewnością miał pan mnóstwo pracy z tym pieleniem, zabezpieczaniem i podcinaniem kawy na pięciu tysiącach akrów. Tyle o tym słyszę od innych plantatorów.

Valentine rozejrzył się. Sala jadalna to miejsce raczej publiczne. Ale pusto tu teraz w porze między obiadem i podwieczorkiem. Personel pracuje cicho w drugim końcu sali.

- Przepraszam, że tak długo się nie pokazywałem, Mirando. Po prostu nie wiedziałem, co pani powiedzieć.

- W porządku - pośpieszyła go uspokoić. - Naprawdę wszystko w porządku.

- Normalnie nie jestem taki, czuję się łajdakiem. Nie chciałem, żeby to się stało. Za dużo dżinu w barze Norfolk, pani rozumie.

- Rozumiem, oczywiście.

- No cóż. - Położył dłonie płasko na stoliku, pełen bezmiernej ulgi. - Muszę przyznać, Mirando, że z pani dobry przyjaciel! Parsknęła śmiechem.

- A myślał pan, że co ja zrobię? Ostatecznie nie jestem niedojrzałą dziewczyną prosto ze statku. I przecież ufam pana dyskrecji. Muszę myśleć o swojej reputacji, ostatecznie...

- Ma pani moje słowo honoru.

- ...i mieć pana reputację na względzie.

- No tak.

- Zwłaszcza teraz.

- Teraz?

Dwa piwa zostały podane. Miranda przelała je z butelek do szklanych kufli i milczała, dopóki chłopiec nie odszedł z powrotem do kuchni.

- To naprawdę zbieg okoliczności - powiedziała po chwili - że pan tu dzisiaj wstąpił, milordzie. Właśnie chciałam wyjść, szukać pana.

Spojrzał na nią ostrożnie.

- Szukać mnie? Upiła trochę piwa.

- Och, niestety, podał zimne. Zaczęłam trzymać na lodzie dla Amerykanów. Amerykanie piją piwo z lodu, wiedział pan o tym?

- Mirando, dlaczego pani chciała mnie szukać? Chyba wie pani, że to, co się stało tamtej nocy, nie może się powtórzyć.

- No chyba. Jestem rada, że pan wstąpił, bo mam panu coś do powiedzenia.

- Co mianowicie?

- Jestem w ciąży. -Co?!

W drzwiach kuchni stanął kelner. Miranda machnęła do niego ręką i zniknął.

- Proszę, milordzie, musimy być dyskretni.

- Pani w ciąży - powiedział Valentine. -Tak.

- Jest pani tego pewna? Westchnęła.

-Tak.

- Dlaczego mi to pani mówi?

- Dlatego, że to pana dziecko.

- Moje?

- Z pewnością nikogo innego. Zapatrzył się w nią.

- Dobry Boże - powiedział, wstał, przeszedł parę kroków i odwrócił się. - Co pani zamierza z tym zrobić?

- Zrobić? Jak to? Zamierzam je urodzić, rzecz jasna.

- Jest kobieta w Limuru. Niejaka pani Bates... Miranda potrząsnęła głową.

- W żadnym razie bym tego nie zrobiła. Pan by mógł? Wiedząc, że jest to pana rodzone dziecko? I bardzo możliwe, że to chłopiec. Moja rodzina jest znana z tego, że rodzą się w niej chłopcy.

Umilkła, żeby pełne tego znaczenie do niego dotarło.

- Niczego od pana nie żądam - powiedziała. - Nie jestem taka. Sama będę się nim opiekować, wychowywać go, jakby był wyłącznie mój. Nikt się nie dowie, że pan jest ojcem. Tylko uznałam, że powinien pan wiedzieć. Po prostu.

Valentine patrzył na nią zamyślony. Odwzajemniła się spojrzeniem szczerym, uczciwym.

Pomyślał o swoim ojcu, starym lordzie. Mówiło się o jakiejś kobiecie w Londynie i małym chłopczyku. Ojciec ich ulokował w mieszkaniu na Bedford Square.

Chłopiec. Syn...

Wrócił do stolika i usiadł.

- Przepraszam, Mirando - powiedział poważnie i żarliwie. - Nie miałem zamiaru doprowadzić do tego.
- Ja też nie, ale tak się stało. Od lat dbam o swoją reputację. A teraz wszystko na nic z powodu jednej chwili słabości.
- To była moja wina.
- Zawsze trzeba dwojga.
- Będę pomagał, oczywiście.
- Nie proszę o to.
- Niemniej... - Myśl Valentine'a popędziła. Wyobraził sobie członków swego klubu, gdy wejdzie do sali, porozumiewawcze spojrzenia, przerwanie rozmów w pół słowa, tę ciszę. Wiedział, że cała kolonia mówi o nim i Rose, snuje domysły o ich małżeńskich trudnościach. Hrabiemu Trevertonowi nie udaje się spłodzić dziedzica.
- Kiedy dziecko przyjdzie na świat? - zapytał.
- W marcu.
- Dobrze więc - powiedział, sięgając do kieszeni po portfel. - To na początek.

## *Rozdział 17*

Najgorsza pora roku nastąpiła w Kenii - przeddeszczowa, gdy trawa była sucha, pola ogołoczone z plonów i wydawało się, że cały ten kraj uschnie, przeklęty przez Boga.

Tak jak ja, pomyślała Grace, jeżeli nie będę dziś ostrożna.

Delegacja już przyjechała. Zatrzymała się w hotelu Pod Białym Nosorożcem w Nyeri i wkrótce miała przybyć do Domku Ptasiej Pieśni, żeby rozpocząć inspekcję. Czując się winny tej sytuacji, James chciał pomóc swoją obecnością, ale Grace się nie zgodziła. Musi stawić czoła tym ludziom sama.

Był świeży wczesny ranek, gdy szła ścieżką na mały ogrodzony teren swojej kliniki. Nocna mgła jeszcze wiła się nad ziemią, rosa iskrzyła się na liściach jak kwiaty ze szkła. Wzleciał ponad drzewa rajski muchołów z czerwonym ogonkiem, połyskliwym w blasku wczesnego słońca. W poprzek ścieżki przeleciała żółna rdzawobrzowa jak cynamon. Powietrze tętniło śpiewem i świergotaniem. Na drugim brzegu rzeki wisiał nisko nad drzewami dym z ognisk Kikuju.

Misja Grace składała się z trzech budynków: otwartej przychodni pod strzechą na czterech słupach, szkoły, którą stanowiły ławki z kłód naprzeciw drzewa oliwnego z przybitą szkolną tablicą, oraz lepianka dla pacjentów ciężko chorych czy też po doznaniu poważnych obrażeń. Cichy układowy tłum już czekał na Grace; kobiety z niemowlętami na plecach, starzy przykucnięci na piachu, zajęci niekończącą się grą w kamyki.

Gdy delegacja: trzech mężczyzn i dwie kobiety wreszcie zeszła ścieżką z plantacji na wzgórzu, Grace pracowała jak zwykle.

Jeszcze ich nie znała, nastąpiły więc prezentacje. Na czele grupy stał wielebny Sanky, któremu towarzyszyła żona, Ida. Z początku żadne pytania nie padły; oni tylko patrzyli, jak Grace z pomocą

Maria kolejno przyjmuje chorych. Poparzonym, co normalne, dzieciom aplikowała manganum potasu, robiła opatrunki i czysto zabandażowane odprawiała je, upominając matki, że niebezpieczne są ogniska w chatach. Mężczyźni z wolem nie mogli nic na to wole poradzić. Ciężki przypadek elefantiasis skierowała do szpitala katolickiego w Nyeri. Potem przyszedł mężczyzna z ręką skaleczoną przed trzema dniami i wskutek zaniedbania z zakażeniem. Wielu pacjentów miało dolegliwości, które leczyła już kilka razy. Powtarzało się to w warunkach urągających wszelkiej higienie. Chociaż powtarzała im raz po raz, że w chacie powinno być czysto, kozy trzeba trzymać poza chatą i myć się regularnie, nosić sandały, odpędzać muchy od twarzy, nigdy tych rad nikt nie usłuchał. Pan Sanky i jego towarzystwo patrzyli w milczeniu, bazgrząc w notesach. Chodzili, oglądali wyposażenie na stole - laryngoskop, młoteczek do badania refleksu, strzykawkę do zastrzyków podskórnych, przyrząd do przyciskania języka, kleszcze i skalpele - czytali etykiety na butelkach, rzucali okiem na wykresy i słuchali.

Starzec z rankami na całym ciele podniósł rwytes, gdy Grace sięgnęła po strzykawkę. Mario przetłumaczył:

- On mówi, że już dostał zastrzyki, *memseeb*. Wczoraj w misji katolickiej.

- Rozumiem - powiedziała Grace, napełniając strzykawkę z butelki opatrzonej etykietką „Neosalvarsan”. - Ale czy dostał ten właśnie zastrzyk?

Po szybkiej rozmowie Mario powiedział:

- Ten dostał także, *memseeb*.

- Dobrze. Mario, proszę go przytrzymać.

Stary protestował, ale wbiła mu igłę w przedramię. -Doprawdy - powiedział pan Sanky, gdy stary, głośno się uskarżając, odszedł - co to miało znaczyć?

Grace zaglądała w jamę ustną następnej pacjentki.

- Ten człowiek ma frambeżę. Potrzebny był zastrzyk neosal-yarsanu.

- Ale on pani mówił, że już dostał.

- Ci ludzie śmiertelnie się boją zastrzyków, panie Sanky. - Grace sięgnęła po szczypcę. - Zawsze kłamią i upierają się, że już dostali.

-Ale skąd pewność, że on kłamał? - zapytał pan Sanky, patrząc, jak Grace wyciąga z ust kobiety Kikuju zepsuty ząb.

- Upierał się, że dostał już zastrzyk na zakażenie od chmury, a czegoś takiego nie ma.



- Pani to wymyśliła?

- Mario, proszę, powiedz jej, niech tym wypłucze usta i wypluje.

- Grace umyła ręce w misce z mydlinami i wyjaśniła panu Sanky: -To sposób, żeby sprawdzić, czy oni mówią prawdę. Gdyby ten mi powiedział, że nie dostał zastrzyku na zakażenie od chmury, mogłabym przyjąć, że również nie kłamie o zastrzyku neosalvarsanu. Niektórzy z nich żarliwie mnie zapewniają, że dostali zastrzyki czekolady.

Pastor wymienił spojrzenie z żoną. Ktoś inny z wydelegowanych zapytał:

- Przed chwilą dała pani tej kobiecie wyrwany ząb. Dlaczego?

- Inaczej ona by myślała, że jej ząb posłuży mi do rzucenia na nią złych czarów.

- Pani doktor - zapytała druga z dwóch kobiet z delegacji

- dlaczego tu morfina jest czerwona? To nie kolor morfiny. Co więcej - wskazała fiołki na stole - te wszystkie rozczynty powinny być bezbarwne, a jednak są różnych kolorów. Dlaczego?

Grace wzięła niemowlę z rąk matki i zaczęła mu opatrywać oparzoną nóżkę.

- Odkryłam, że w przekonaniu tych ludzi wszystkie bezbarwne płyny to tylko woda, więc te leki nie będą działać. Kiedy je zabarwiam, oni wierzą, że są skuteczne, bo mają jakąś moc. Tak samo jeżeli lekarstwo jest gorzkie; bardziej mu ufają. Pod tym względem Afrykanin nie różni się od Anglika, który leczy się u lekarza na Harley Street.

- Pani doktor, czy pani potrafi zająć się wszystkimi dolegliwościami, z którymi ludzie do pani przychodzą?

- Wieloma. Opieram się dosyć mocno na zasadzie „na zewnątrz wazelina, do wewnątrz chinina”. W większości przypadków to mi pomaga. Resztę wysyłam do szpitala katolickiego.

Tym razem wszyscy pięcioro wymienili spojrzenia. Pan Sanky zapytał:

- Czy mogłaby pani teraz poświęcić nam trochę czasu?

- Oczywiście. - Oddała niemowlę z zabandażowaną nóżką matce, ostrzegając ją, że trzeba dziecko trzymać z daleka od ognia, chociaż wiedziała, że ta przestroga nie zda się na nic. Potem umyła ręce, kazała Mariowi uważać na tych, którzy jeszcze czekali, i pilnować, żeby niczego nie ukradli.

- To ci ludzie panią okradają? - zapytała pani Sanky, gdy szli ścieżką nad rzekę. Delegacja chciała zwiedzić pobliską wioskę.

- Owszem, zdarza się.

- Chyba nie mają żadnych zasad moralnych.
  - Przeciwnie, Kikuju to naród bardzo moralny, mają swój rygorystyczny kodeks i stosują kary. Tylko uważają, że nie czyni źle ten, kto kradnie białym.
  - Jak dotąd - powiedziała pani Sanky, idąc obok Grace - w pani konsultacjach lekarskich, które widzieliśmy, było sporo kłamstw, oszukaństwa i zabobonu... z pani strony.
  - To jedyny sposób porozumiewania się z nimi. Inaczej oni nie rozumieją.
  - Kto tutaj mieszka? - Ida Sanky wskazała samotną chatę przy skraju boiska polo.
  - Miejscowa znachorka imieniem Oczero.
  - Myślałam, że znachorów wyjęto spod prawa.
  - Tak jest. Oczerę skazano by na grzywnę albo więzienie, gdyby ją przyłapano na praktykowaniu lecznictwa plemiennego. Ludzie przychodzą do niej potajemnie.
  - Jeżeli pani wie o takiej praktyce, pani doktor, ufam, że zawiadomiła pani władze.
- Grace zatrzymała się na brzegu rzeki przed wąskim drewnianym mostkiem, który Valentine wybudował dla mieszkańców wioski.
- Zrobiłam to, pani Sanky. Proszę mi wierzyć, staram się unieszkodliwić tę kobietę. Ona jest największą przeszkodą w mojej walce o oświecenie Afrykanów.
  - Nie może pani z nią porozmawiać? Przemówić jej do rozumu?
  - Oczero nie chce mieć ze mną do czynienia.
  - Przecież widzi, że pani metody są lepsze.
  - Wprost przeciwnie, czeka, żeby Brytyjczycy się spakowali i wyjechali z Kenii.
  - Trochę o nich czytałem - powiedział młody człowiek należący do delegacji. - Czy to prawda, że żony śpią z przyjaciółmi mężów?
  - Jest to bardzo stary plemienny obyczaj, głęboko zakorzeniony w systemie podziału na grupy według wieku. I robią to jawnie, w zależności od uznania żony i aprobaty męża.
  - Poróbstwo, innymi słowy. Grace odwróciła się do pastora.
  - Nie, nie poróbstwo. Obyczajowość seksualna Kikuju jest inna niż nasza. Na przykład, w ich języku nie ma słowa znaczącego gwałt. Ich podejście do spraw seksu może nam się wydawać swobodne, ale oni mają wiele bardzo rygorystycznych tabu.

- Pani doktor - powiedział pan Sanky - pani przywiązanie do tych ludzi nie ulega dla nas wątpliwości i nie jesteśmy ślepi na to, czego pani usiłuje tu dokonać. Jednak odnosimy wrażenie, że zabiera się pani do tego niewłaściwie.
- Jak to?
- Przyjmowała pani pacjentów bez jednego słowa o Bogu, bez wyjaśnienia, że to Bóg daje pani moc. Wcale pani nie próbowała komukolwiek z nich wskazać drogi do Jezusa, chociaż sposobności było dostatecznie dużo.
- Ja nie jestem kaznodzieją, panie pastorze.
- Właśnie, i to jest zasadnicza trudność. Pomija pani ich potrzeby duchowe, więc oni trwają przy swoich grzesznych praktykach. Ta ich operacja, na przykład, chirurgiczne okaleczenie młodych dziewcząt. Czy pani pomaga, pani doktor, misjom tu w Kenii, które usiłują położyć temu kres?
- Żeby leczyć tych ludzi, panie Sanky, muszę zaskarbiać sobie ich zaufanie i życzliwość. Jeżeli zacznę prawić im kazania, potępiać ich plemienne tradycje, nie będą do mnie przychodzić. Misja katolicka odstąpiła mnóstwo Afrykanów, bo księża ścinali uświęcone figowce.
- Chyba pani nie rozgrzesza oddawania czci drzewom. -Nie, ale...
- Pani doktor - powiedział najstarszy z delegacji - głównym celem placówki lekarskiej tutaj jest misja ewangeliczna. Chcieliśmy założyć klinikę nie po to, by leczyć ciała tych ludzi, tylko po to, by wskazać im drogę do Jezusa.
- Powtarzam, że nie jestem kaznodzieją.
- Więc kaznodzieja jest pani potrzebny.
- Oczywiście, bardzo proszę, przyślijcie mi kaznodzieję - powiedziała Grace. - Ale przyślijcie też pielęgniarki i sanitariuszy!
- Wyraźnie radzi pani sobie zupełnie dobrze sama - powiedziała pani Sanky. - Po co pani tylu pomocników?
- Żeby nauczyć Afrykanów samopomocy.
- Samopomocy? - zapytał pastor. Grace mówiła szybko i żarliwie:
- Naprawdę moim celem jest przeszkolenie Afrykanów, żeby potrafili dbać o siebie. Gdybym tylko mogła mieć zespół w wiosce, kogoś, kto by pokazywał Kikuju zdrowsze sposoby życia, liczba moich pacjentów ogromnie by się obniżyła. Gdybym mogła Kikuju nauczyć, tak jak nauczyłam Maria, podstaw pierwszej pomocy i leczenia...

- Pani mówi o autonomii dla tych ludzi. -Tak.

- Więc jak oni by się nawrócili? Gdyby potrafili radzić sobie sami, nie mieliby po co przychodzić do chrześcijańskich lekarzy i ewangelizacja byłaby niemożliwa.

Grace patrzyła na tych pięcioro: mężczyzn w marynarkach zapiętych na wszystkie guziki i w krawatach, kobiety w gorsetach, tak bardzo tu nie na miejscu. Wyglądali, jak gdyby mieli spędzić popołudnie w Wimbledon, a nie wędrować w afrykańskim buszu. Nagle przypomniał jej się Jeremy. Kiedyś wieczorem rozmawiali, spacerując po pokładzie statku. „Przede wszystkim, kochanie -mówił Jeremy - zbudujemy szpital. Na pacjentów dochodzących trudno mieć wpływ, ale pacjenci w łózkach to słuchacze zniewoleni, znacznie więcej wchłoną duchowej nauki". To dziwne. Nigdy dotąd o tym nie pomyślała. O nacisku, jaki Jeremy kładł na ten aspekt ich projektowanej misji, na nawracanie. Rozważając to, nieomal widziała Jeremy'ego stojącego w grupie delegatów.

A ci delegaci reprezentują pieniądze, comiesięczną dotację Towarzystwa Misyjnego w Suffolk. To ostatnia deska ratunku - tych pięcioro wyraźnie niezadowolonych z jej metod. Do Valentine'a nie sposób zwrócić się o pomoc teraz, gdy Miranda West chodzi po Nairobi w sukniach ciężowych i cała Afryka Wschodnia szepcze, czyje to dziecko.

Grace nie miała zamiaru być utrzymanką brata, jak jego kochanka.

- Chętnie przyjmę tu kaznodzieję - powiedziała spokojnie. - Jego pomoc powitam wdzięcznym sercem.

Pastor uśmiechnął się.

-Doskonale rozumiemy, co pani tu przechodzi, pani doktor. Z pewnością nie jest pani łatwo. I ponieważ od półtora roku jest pani tak odcięta, nic dziwnego, że linia pani pracy odchyła się w niewłaściwą stronę. Mam już kogoś na myśli. On teraz pracuje w Ugandzie. Wielebny Thomas Masters. Ze wszech miar się nadaje. Niech pani zaraz każe swoim ludziom zbudować dla niego dom, a ja go przyślę najbliższym pociągiem.

- Czy on przywiezie personel medyczny?

- Pan Masters będzie chciał przedtem ustalić medyczne potrzeby.

- Czy nie ja powinnam je ustalić?

- Od tej chwili, pani doktor, misją będzie kierował pan Masters. Wszystkie decyzje to już jego sprawa.

Grace patrzyła na pana Sanky'ego.

- Będzie kierował! Ależ... to jest moja misja.

- Zbudowana za nasze pieniądze, pani doktor. Czas, żebyśmy zajęli się jej nadzorowaniem. - Pan Sanky rozejrzał się po nieuregulowanej rzece, po nietrzebionej puszczy i strzechach widocznych zza drzew i zobaczył krainę w sam raz dla takich jak wielebny Thomas Masters, surowy i nieprzyjemny człowiek nieugiętej prawości, który już w czterech afrykańskich krajach zmusił Szatana do ucieczki.

## **Rozdział 18**

Od trzech dni już nie było deszczu i wydawało się, że Nairobi z dnia na dzień rozkwitło kolorami. Idąc ulicą do Hotelu Króla Edwarda, Miranda West mijala ściany pokryte płataniną szkarłatnych i różowych bugenwilli i prywatne ogrody pełne świeżego przepychu pelargonii, goździków i fuksji. Drzewa wzdłuż błotnistych ulic Nairobi przystroiły się w lawendowe pęki jacarandy, w czerwone kwiecie nandi i białe skrzypu. Było Boże Narodzenie, świat napojony krótkimi grudniowymi deszczami głosił życie i nowe dojrzewanie. Krągła postać Mirandy West, wesoło w przejściu machającej ręką do znajomych, też była celebrowaniem narodzin. Miranda w szóstym miesiącu obnosiła swoją ciążę bez skrepowania.

W hotelu wstąpiła do kuchni po tacę z talerzem zupy i kanapkami, po czym poszła na górę do swego mieszkania. Wyciągnęła spod sukni poduszkę, włożyła szlafrok i gdy upewniła się, że nikt jej nie zobaczy, ruszyła z tacą po prywatnych schodach na poddasze.

Peony, siedząc na łóżku, czytała jakieś czasopismo.

- Jak się czujemy dzisiaj? - zapytała Miranda i postawiła tacę. W pokoju z tapetą w kwiatki, z dywanem i zasłonami były meble

i inne rzeczy: fotel na biegunach, książki, gramofon - takie, o jakie Peony poprosiła. Komfort w miarę możliwości Mirandy, ale nie dawało się ukryć, że to jest więzienie, i Peony zaczynała się mecierpliwić.

- Gwiazdka za dwa dni - powiedziała - a mnie tu brak wszystkiego.

- Nie będzie ci brak. Przyniosę ci gęś i pudding gwiazdkowy. I mam dla ciebie prezent.

Peony spojrzała na tacę z kanapkami i jęknęła:

- Co? Znowu szynka w cieście?

- Goście płacą mi bardzo dużo za moją szynkę w cieście.

- Ja wolę maślanki z dżemem.

Miranda opanowała irytację. Wiedziała, że dziewczynie niełatwo tak siedzieć w zamknięciu przez całą dobę, nie widując nikogo oprócz niej. Ale to przecież się opłaci.

- Jeszcze tylko trzy miesiące, moja droga, i będziesz na statku do Anglii z pieniędzmi w kieszeni - przypomniała.

Peony spojrzała na nią rozdrażniona.

- Ale czy na pewno ci ludzie się nie domyślą? Ci, co chcą adoptować to dziecko?

- Zaręczam ci, że nie.

- A to czemu wcale do mnie nie przychodzą? Ja bym myślała, że chcą zobaczyć matkę.

- Już ci powiedziałam: zależy im na zachowaniu swojej tożsamości w sekrecie.

- A no niech tam. Byleby dotrzymali umowy.

Miranda usiadła na krawędzi łóżka i pogładziła dziewczynę po ręce.

- Nie obawiaj się. Kiedy tylko dostarczę im dziecko, dostaniesz bilet do Anglii.

- I te pięćset funtów?

- Gotówką. A teraz zbadajmy nasz stan. Osuwając się na łóżku na wznak, Peony zapytała:

- Dlaczego pani zawsze mówi „nasz”, „my”?

- Tak mówią pielęgniarki. Czyż nie jestem twoją pielęgniarką? Peony spojrzała na Mirandę podejrzliwie.

- Ale pani wezwie prawdziwego doktora, kiedy będę rodzić?

- Już ci to powiedziałam. Ci państwo wskazali mi jednego. Wezwę go, kiedy tylko zaczną się bóle. No, mów, jak się czujesz?

Co dzień tak było. Miranda przychodziła, mierzyła calówką brzuch Peony, obmacywała go i zadawała takie pytania jak: „Czy masz apetyt? Czy coś ci dolega, boli cię coś? Jakie to uczucie mieć w sobie dziecko?”. Teraz po zmierzeniu brzucha Miranda znów stwierdziła, że musi powiększyć swoją poduszkę.

- Już nie masz porannych mdłości?

- Pięć dni już nie. Chyba się skończyły.

W pierwszych miesiącach Peony rozpaczliwie chorowała, zgięta nad miednicą, zwracała wszystko, cokolwiek zjadła, więc Miranda w ciągu tych tygodni mówiła, że nie chce śniadań ani obiadów i skarżyła się każdemu, kto chciał słuchać, że rano choruje.

- Ale teraz plecy mnie bołą - powiedziała Peony.

- W którym miejscu?

- Tutaj. I wciąż biegam do klozetu.

Miranda, uśmiechając się, zanotowała to sobie w pamięci. - Spałaś dobrze?

- Dosyć. Nie może pani postarać się o rybę? Strasznie mi się chce ryb.

- Jakich?

Peony wzruszyła ramionami.

- Ryb, po prostu. To chyba przez ciążę zachciwa się dziwnych rzeczy... Tak w ogóle ja ryb nie cierpię.

Miranda wstała.

- Będziesz miała najlepsze ryby, jakie można dostać za pieniądze. I co jeszcze?

- Jakiś magazyn nowszy niż sprzed pół roku.

- To już chcesz cudu. Ale zobaczę, co się da zrobić.

- I nie podoba mi się tak tu siedzieć, pani wie. Ani trochę mi się nie podoba. Zwariuję, jak stąd nie wyjdę.

Z ręką na klamce Miranda zatrzymała się przy drzwiach.

- Wiesz, że to niemożliwe.

- Tylko się przejść! Czy w ciąży nie powinno się mieć ruchu?

- Ci państwo nie chcą, żeby cię widziano.

- A kto by wiedział? Błagam, pszepani. Niech mnie pani puści tylko na trochę. Ja nic nie zrobię, przyrzekam.

- Peony, ustaliłyśmy to wszystko w sierpniu. Zgodziłaś się przyjąć ich wszystkie warunki. Jeżeli na jeden krok wyjdiesz z tego pokoju, umowa zostanie zerwana i będziesz zdana na siebie, w ciąży, bez grosza. Zrozumiano?

Peony bawiła się pasmem swoich włosów. Miranda z uśmiechem, łagodnie dodała:

- To ci się opłaci, zobaczysz. Tylko masz się stąd nie ruszać. Dziewczyna sięgnęła wreszcie po kanapkę i zaczęła jeść. - Dobrze. - powiedziała - Nigdzie się nie ruszę. Miranda wyszła i przekręciła klucz w zamku.

\* \* \*

*Poranne mdłości minęły, ale mam teraz nieoczekiwane szalony apetyt na ryby, pisała Miranda do swojej siostry w Londynie. Plecy mnie bolą, często chodzę do łazienki. Ale to już tylko trzy miesiące, a potem przyszłość zapewniona. Lord Treverton buduje dla mnie piękny dom w Parklands. Przeniecę się tam, kiedy tylko dziecko się urodzi. Przyjedziesz do nas na stałe. Będziemy miały jedwabne życie.*



Złożyła ten arkusz papieru i wsunęła w kopertę, dołączając fotografię, do której pozowała dumnie w swoim chałacie na ciężę. Było już późno: zastanowiła się, czy jeszcze dziś popracować nad powiększeniem poduszki, gdy zza drzwi doleciały jakieś odgłosy. Zamarła. Do jej mieszkania nad kuchnią prowadziły prywatne schody; do tej części domu oddzielonej od hotelu nie miał dostępu nikt z hotelowych gości. Spojrzała na zegar. Północ.

Zaczęła nasłuchiwać. Ktoś jest za drzwiami.

Peony! Wykradła się, jakoś poradziła sobie z zamkiem.

Zeby zaskoczyć i pochwycić dziewczynę, Miranda jednym krokiem podbiegła do drzwi i otworzyła je na oścież.

Doznała wstrząsu.

- Serwus, kotku - powiedział Jack West. Cofnęła się.

- Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha. Własnego męża nie poznajesz?

- Jack! - szepnęła. - Myślałam, że nie żyjesz.

- Tak właśnie chciałem. Nie zaprosisz mnie do pokoju?

Rudy, krępy mężczyzna w przepoconym khaki i z długą brodą opadającą na pierś przeszedł obok niej. Rozejrzał się po mieszkaniu.

- Dobrze się urządziłaś, Mirando. Rzeczywiście dobrze. Szybko zamknęła drzwi.

- Co ty tu robisz?

Odwrócił się. Uniósł swe krzaczaste brwi koloru pomarańczy, niby to zdziwiony.

- Co ja tu robię! No, jestem twoim mężem, kotku. Czy nie mam prawa być tutaj?

- Nie! Skoro mnie porzuciłeś.

- Porzuciłem! Powiedziałem, że jadę nad Jezioro Wiktorii polować na hipopotamy.

- Siedem lat temu. I nie dawałeś znaku życia.

- No, teraz daję. Nie poczęstujesz mnie szklaneczką?

Miranda usiłowała zebrać rozpedzone myśli. Dziewczyna w kryjówce na górze; poduszka z tasiemkami, lord Treverton. Nalała dla Jacka whisky.

- Gdzie przez ten cały czas byłeś? - zapytała.

Rozpierał się w tym samym fotelu, w którym przed sześcioma miesiącami siedział hrabia, opierał na podnóżku brudne buciory.

- To tu, to tam, hipopotamy nie wypaliły, ale udało mi się trochę zarobić na wojnie zwiadami dla Niemców, szpiegowałem Anglików. Potem trochę kłusowałem, kość słoniowa w Sudanie.

- Dlaczego wróciłeś do Nairobi?
- Dlatego, że usłyszałem o znalezieniu złota w rzece Nyanza. Zamierzam to wykorzystać.

Miranda zapytała ostrożnie:

- Więc nie zostaniesz tutaj?
- Nie teraz, kiedy złoto można znaleźć tam. - Jednym haustem wypił whisky i nadstawił szklanę do ponownego napełnienia. - Nad Jeziorem Wiktorii natrafili na rafy kwarcu pod wapniem. Mówią, że zupełnie takie jak te, w których jest złoto w Rodezji. Czy wiesz, jak złoto stoi ostatnio? Cztery funty za uncję.
- Więc dlaczego jesteś tu, a nie tam? Wypił drugą szklanę i przyjął trzecią.
- Potrzebny mi sprzęt. Obliczam, że wystarczy pięć zahartowanych mułów i dwóch grzecznych tubylców. Plus wyposażenie. Po to jestem w Nairobi. - Z policzkami rozpłomienionymi po wypiciu trzeciej szklanki w zamyśleniu przeczesał palcami brodę. - Ale, widzisz, brak mi na to wszystko pieniędzy. Więc kiedy usłyszałem, że moja żona ma dochodowy hotel w mieście, no...

Miranda odwróciła się raptownie i podeszła do małego sejtu, który stał przy łóżku.

- Ile potrzebujesz? - zapytała.
- Ej, ej - powiedział Jack West, wstając z fotela. - Tak ci się śpieszy? Przecież się nie wykwipuję o tej porze. Interes to tylko część mojej wizytki i może poczekać do rana.

Miranda poczuła dreszcz. Odwróciła się.

- Jack my już nie jesteśmy małżeństwem - oświadczyła.
- Pewnie, że jesteśmy. - Ruszył ku niej. - I do licha, wyładniałaś w czasie mojej nieobecności.

Cofnęła się przed nim. Spróbowała się zastanowić. Moje plany, takie kruche, takie ryzykowne... Jack mógłby wszystko zepsuć.

- Kiedy wyjedziesz nad Nyanzę? - zapytała.
- Jutro. Kiedy tylko skompletuję wyposażenie. Ale teraz chcę się dokopać czegoś innego. .

Stała nieruchomo, pozwoliła, żeby podszedł bliżej. Wiedziała, że poszukiwanie złota w Kenii może trwać lata całe. Kiedy tylko on wyjedzie z miasta, trzeba wystąpić o należyty rozwód, co powinna zrobić już dawno temu. Nikt nie musi wiedzieć, że Jack wrócił, że się z nim widziała, że on nadal żyje. Zjednam go, pomyślała, i wyprawię w drogę... Podszedł dość blisko, by czuć whisky w jego oddechu. Gdy sięgnął po nią, nie stawiała oporu. Dała się dotykać. Myślała o wszystkim, co miała do stracenia. Zamknęła oczy.

## **Rozdział 19**

Grace była zdesperowana.

W ciągu sześciu dni w Nairobi, szukając źródeł pomocy finansowej, osiągnęła bardzo mało. Chociaż Wschodnioafrykańska Liga Kobiet zadeklarowała poparcie, a gubernator i inni zainteresowani obiecali się dokładać, większość z nich jednomyślnie uważała, że siostra jednego z najbogatszych ludzi w Afryce Wschodniej nie potrzebuje ich pomocy. Widok pysznego kamiennego domu, który lord Treverton zbudował dla swojej kochanki i bękarta świadczy, że stać go na utrzymywanie również i siostry w podobnym stylu. Gdybyż tylko oni wiedzieli! Już zwróciła się do Valentine'a i spotkała się z jego odmową.

A niełatwo było Grace się do niego zwrócić. Gniewał ją jego romans z Mirandą. Biedna Rose, żyjąca w takim odosobnieniu, jednak usłyszała te pogłoski i przybiegła którejs nocy do Domku Ptasiej Pieśni. Rozhisteryzowana, wyrzucała sobie, że sama zawiniła, bo nie jest dobrą żoną i potrafi urodzić tylko dziewczynkę albo poronić. Grace dała bratowej środek uspokajający i odprowadziła ją do domu. Valentine'a nie było. Wyjechał do Nairobi, oczywiście do tej kobiety.

Grace podniosła wzrok na zaciągnięte chmurami niebo. Był marzec przed długą porą deszczową. Wiedziała, że powinna wrócić na północ, zanim drogi się zmieniają w bagna i jeziora, ale przedtem musiała znaleźć jakiś sposób, żeby odzyskać swoją misję.

Wielebny Thomas Masters z Ugandy okazał się człowiekiem obrzydliwym.

Od razu zaczął zbawiać dusze, lać wodę, udzielając chrztów, i wysłuchiwać świadectw analfabetów. Nadawał Afrykanom imiona *ozungu* i obiecywał im życie wieczne w zamian za wypowiedze-

nie kilku słów w języku, którego nie rozumieli. Przychodzili do niego, bo chcieli nabrać czarownej mocy, jaką w ich pojęciu miało „białe” imię, i w rezultacie wioska zaludniała się Thomasami, Johnami i Rachelami. Powtarzali, jakby przedrzeźniając słowa jego modlitwy i wierzyli, że dorównują białym.

Pastor przejął kontrolę nad pieniędzmi przysyłanymi przez Towarzystwo Misyjne i żądał od Grace zapotrzebowania na piśmie przed wszelkimi zakupami. Musiała wyliczać się z każdego cala bandaży, z każdego szwu. Ilekroć uznał, że jest marnotrawna, ograniczał zaopatrzenie.

Przez binokle na długim cienkim nosie wielebny Thomas Masters znajdował niekończące się uchybienia Grace. Zwłaszcza w sprawie Oczery. Oświadczył, że nie rozumie, dlaczego już dawno nie zajęła się tym problemem.

- Niech jej pani nie ignoruje - powiedział. - Niech jej pani wskaże drogę do Jezusa. Ta znachorka odrzeknie się swoich czarów, gdy tylko wkroczy na drogę prawości, a reszta tubylców pójdzie za nią.

Jednakże Grace - ze względu na finansowe poparcie Towarzystwa Misyjnego - tolerowała wszystko, dopóki kiedyś wieczorem pan Masters nie zakwestionował jej przyjaźni z Jamesem Donaldem, mężczyzną żonatym.

James odwiedził Grace późno po południu, przywożąc parę ustrzelonych kuropatw oraz masło i ser ze swojej mleczarni. Siedzieli i gawędzili, gdy słońce już dawno zaszło. Pastor podszedł do drzwi domku, żeby z Grace porozmawiać, i na widok sir Jamesa siedzącego w jej saloniku stanął jak wryty. Później nastąpiło kazanie o pozorach i powinnościach życia chrześcijanki, o obowiązku świecenia przykładem Afrykanom. Grace na to powiedziała, żeby pan pastor pilnował swojego nosa. Wiedziała, że wielebny Thomas Masters tę wymianę zdań podał do wiadomości Towarzystwa Misyjnego. . ,

Właśnie wtedy zdecydowała się zwrócić o pomoc do Valentine a. Zastała brata na północnej połaci plantacji. Z wyżyn swojego konia, Excalibura, nadzorował z batem w ręce pielienia i zabezpieczania sadzonek. Chciał prześcignąć czas przed porą deszczową. Gdy mówiła do niego, był rozwścieczająco zdawkowy. Patrzył, jak Afrykanie pracują i raz po raz jej przerywał upominając ich podniesionym głosem. Miał bruzdy na twarzy wskutek braku snu, oczy mu pałały obsesyjnym pragnieniem, żeby jego plantacja stała się najbogatsza w całej Kenii.

- Mów prędzej, Grace - ponaglał ją niecierpliwie. - Deszcz spadnie lada dzień. Zabierasz mi cenny czas.

Gdy wyniszczyła, po co przysłała, powiedział:

- Dałem ci dwa lata. I proszę, jesteś w Kenii już od dwóch lat. Przegrałaś.

- Nie przegrałam. Tylko potrzebuję twojej pomocy.

- Zaklinałaś się, że mnie nie potrzebujesz. Przyrzekłaś, że nie będziesz mi zawracać głowy tym twoim projektem.

Ohajro! - zawołał. - Sprowadź tu więcej nawozu! I powiedz im, żeby tym razem rozrzuć porządnie!

- Valentine...

- Leczysz ich, Grace, dobrze. Nie mam nic przeciwko temu, ale kształcenie ich to zupełnie inna sprawa. Co by było, gdyby jci faceci nagle się zdecydowali rządzić wszystkim sami? Wykształci się ich dostatecznie i zechcą wszystko przejąć. Wtedy będziemy mogli tylko spakować się i wrócić do Anglii. O to ci chodzi?

Rozgniewała się. Palnęła mu coś o Mirandzie i dziecku, przypominały o biednej Rose i Monie, dwuletniej, niekochanej, wykazały, że zabagnił sobie życie, ale wiedziała, że tylko by doszło do szpetnej awantury, którą jeszcze bardziej zraziłaby brata. Zdecydowała się więc na ryzykowną podróż do Nairobi, chociaż zbliżały się deszcze i drogi wkrótce miały stać się nie tylko nieprzejezdne, ale wręcz niebezpieczne: niejedną już wóz i automobil zniknął w świeżo powstałym grzęzawisku i ani pasażerów, ani woźnicy czy kierowcy nigdy nie odnaleziono.

Przyjaciele w Nairobi byli jej ostatnią nadzieją. Musiała pozbyć się wolebnego Thomasa Mastersa.

Ale teraz nawet przyjaciele nie mogli jej posłużyć dostateczną pomocą. Pozostawało jedynie zasięgnięcie pożyczki w banku, tylko że nie miała pojęcia, jak będzie spłacać.

Popatrzyła na przejeżdżający z warkotem zakurzony model T, po czym przeszła na drugą stronę ulicy do banku Hardy'ego Acres.

Miranda pochyliła się nad fajansową miednicą i wymiotowała.

Chwyła się krawędzi stołu, cała się trzęsąc, i opadła na fotel, wyczerpana. Tępo zapatrzyła się w okno, w szyby, które zmywał lekki deszcz. Nie doznawała żadnych uczuć - ani się nie cieszyła z tych deszczów zapowiadających następny rok dobrobytu w Kenii, ani się nie martwiła o podłogi w swoim hotelu, wkrótce już czarne od nanoszonego błota. Nie myślała o niczym. Jej najgorsze obawy się potwierdziły.

Zaszła w ciążę.

Miranda zaczęła to podejrzewać w lutym, gdy sobie uprzytomniła, że nie miała okresu. Jednak chwytła się fałszywej nadziei, coraz niklejszej w każdy poranek mdłości, aż ta nadzieja ostatecznie się rozwiła ponad wszelką wątpliwość. Wypytywanie Peony przez tyle tygodni nauczyło Mirandę dosyć, by rozpoznała swój własny stan. Przeniosła bezmyślny wzrok z okna na biurko, na zmięty list, który otrzymała poprzedniego dnia - wspólnik Jacka, poszukiwacz złota, zawiadamiał o śmierci jej męża w wypadku ze zranionym nosorożcem. Z listu wzrok jej się przesunął na powłóczkę poduszki, wypchaną szmatami do wielkości brzucha kobiety w dziewiątym miesiącu ciąży. I w końcu podniosła oczy na sufit, bo tam na poddaszu Peony przeczekiwała ostatnie godziny przed rozwiązaniem. Miranda nie widziała wyboru.' Jedyne wyjście to udać się do pani Bates w Limuru. Brudny proceder tej pani był w Kenii tajemnicą poliszynela. Miranda mogła podać nazwiska trzech kobiet, uwolnionych od skutków swoich błędów w kuchni pani Bates. Ale wyłoniło się zagadnienie, kiedy to zrobić. Ta jejmość z Limuru nie zechce przerwać ciąży dłuższej niż czteromiesięczna, a tu już jest czwarty miesiąc. Trzeba tam jechać jak najszybciej. Ale kiedy? Peony urodzi lada dzień. Nie można jej zostawić. Miranda skłamała, mówiąc dziewczynie, że ma lekarza na wezwanie. Zamierzała sama przyjąć poród. Bezwzględnie w tajemnicy. Potem wziąć dziecko, wyrzucić swoją poduszkę i wsadzić Peony do pierwszego pociągu jadącego na wybrzeże.

Ale teraz ta nowa komplikacja.

Miranda spojrzała na zegarek. Dochodzi piąta, a ona od rana nie zajrzała do Peony.

Biedziła się, szukając odpowiedzi, kiedy pojechać do pani Bates. Co będzie, jeżeli Peony pomyliły się daty i dziecko przyjdzie na świat dopiero za kilka tygodni? Urodzę dziecko lorda Treverto-na i nadal będę w ciąży?

Spojrzała na tacę przygotowaną dla Peony. Przy talerzu leżał magazyn pełen romantycznych opowieści i plotek o amerykańskich gwiazdach filmowych. Na ostatniej stronie były drobne ogłoszenia sprzedaży „rzeczy, na które trudno natrafić”. Podawano adresy skrytek pocztowych i obiecywano za przesłaną z góry gotówkę szybkie, dyskretne dostarczenie „damskich regulatorów” gwarantowanych.

Wstała ze znużeniem i wzięła tacę.

Miranda pojęcia nie miała o położnictwie, ale uznała, że poród nie może być sprawą zbyt skomplikowaną, skoro jest procesem prostym i naturalnym. Znalazła książkę „Poród w domu”, bezużyteczną, jak się okazało, bo wydaną przed dwudziestu laty na przełomie stuleci i napisaną tak oględnie, że chyba jedyną poradą techniczną było: „Przed wszystkim gwoli skromności trzeba postawić wokół rodzącej matki parawan”. Tak więc zdała się na swój instynkt. W szafce nocnej Peony miała stertę świeżo upranych prześcieradeł i ręczników, mydło, butelkę wody destylowanej, miednicę do mycia i serwetki z agrałkami na później. Wszystko będzie dobrze - powiedziała sobie, otwierając drzwi poddasza - dziecko się urodzi jutro, pojutrze, Peony szczęśliwie znajdzie się w pociągu, a ja skoczę do pani Bates. Ale gdy weszła do pokoiku, krzyknęła i upuściła tacę. Prędko zamknęła drzwi na klucz. Podbiegła do łóżka, ujęła Peony za nadgarstek. Po chwili wyczuła tętno. Bardzo słabe.

- Peony? - wyjąkała. - Peony?

Patrzyła na nieruchomą twarz, przeraźliwie białą. I na krew wsiąkającą w sukienkę Peony, w materac i spływającą po jej nogach. Usiłowała się uspokoić. Dziewczyna jeszcze żyje. Pośpiesznie rozebrała Peony, podłożyła pod nią świeże prześcieradło i próbowała zatamować krew.

Co się stało?

Nagle zaczęła się trząść. Pojęcia nie miała, co zrobić. Zbadła brzuch dziewczyny. Dziecko żyje, porusza się. Potem zobaczyła skurcz i jeszcze więcej krwi.

Poderwała się, zbiegła po schodach z poddasza do kuchni, gdzie pomywacz odwrócił się do niej i wybałuszył oczy.

- *Dektari* - powiedziała, odciągając go na bok. Wszyscy w kuchni przerwali pracę i zagapili się na nią. - Prędko!

- *Dektari Hare*?

- Pierwszy lepszy doktor! Pośpiesz się! Powiedz mu, że to kwestia życia i śmierci!

\* \*\*

Gabinet pana Acresy był po prostu klatką na zapleczu małego banku, poza tym składającego się tylko z kawałka podłogi, kontuaru z kratą i jednego okienka, za którym kasjer, młody Hindus, liczył pieniądze.

- Pani doktor! - powiedział pan Acres, wstając i obciągając na sobie kamizelkę. - Z pewnością nie chciałem, żeby pani przyje-

chała tu w taką pogodę. To mogło poczekać, dopóki nie skończą się deszcze.

- Nie rozumiem.

- Sprowadziła panią moja wiadomość?

- Jaka wiadomość?

- No, co za zbieg okoliczności. - Podstawił jej krzesło i usiadł za biurkiem. - Wysłałem pismo do oficera okręgowego w Nyeri z prośbą, żeby przekazał pani. Chodzi o pani konto.

Patrzyła zaintrygowana.

- Jakie konto?

Przerzucił kilka papierów na biurku, odchrząknął i wyciągnął jakąś księgę.

- Założono konto na pani nazwisko, pani doktor Treverton. - Pochylił się ku niej i otworzył tę książkę. - Proszę, widzi pani? Tutaj jest wpłacona suma, pięćset funtów. Może pani wystawiać na nią czeki, kiedy tylko pani chce, pod warunkiem że w ciągu dwunastu miesięcy nie przekroczy pani konta.

Grace zmrużyła oczy nad równymi kolumnami cyfr, nad linijką z wydrukowanymi literami jej nazwiska.

- Nie rozumiem.

- Tak, no... przypuszczałem, że to będzie dla pani niespodzianka. Widzi pani, to konto otworzył ktoś, kto będzie co rok wpłacał pięćset funtów do pani dyspozycji.

Wlepiała w niego oczy.

- Nie rozumiem. Kto?

- Tego nie wolno mi wyjawiać, pani doktor. Tożsamość ofiarodawcy ma pozostać niewiadoma dla pani.

Grace patrzyła na niego. Deszcz pluskał o blachę falistą dachu tego małego banku, aż ten plusk rozbrzmiewał wewnątrz. W jednym miejscu dach zaczął przeciekać. Natychmiast przyszedł młody kasjer, Azjata, i podstawił wiadro.

- Panie Acres, nie wiem, co powiedzieć.

- Wyobrażam sobie. Pięćset funtów to mnóstwo pieniędzy.

- I pan mi nie może zdradzić, kto to?

- Jednym z warunków jest anonimowość. Gdyby ta informacja jakoś przeniknęła, ofiarodawca zamknąłby konto. Nie mogę pani nawet zdradzić, czy ten fundusz pochodzi z Kenii.

Grace nadal wpatrywała się w swoje nazwisko i te niezwykle cyfry na stronicy księgi.

I nagle zabrzmiał jej w uszach głos: „Jedno ci przyrzekam, Grace, zrobię wszystko, żeby ci pomóc”.



- Przecież jego na to nie stać.

Pan Acres spojrział znad oprawki okularów.

- Pani coś powiedziała, pani doktor?

Grace potrząsnęła głową. James chce anonimowości i oczywiście ona to uszanuje. I gdy tylko wyprawi pana Mastersa najbliższym pociągiem do Mombasy, pojedzie do Kilima Simba, żeby powiedzieć Jamesowi, jakie spotkało ją szczęście.

- *Memseeb dektari! Memseeb dektari!* - wbiegając do banku, wrzasnął zmoknięty kuchcik.

Hardy Acres zerwał się na równe nogi.

- Co to ma być?

Azjata próbował zatrzymać chłopca, ale nie zdołał. Kuchcik podbiegł do Grace.

- *Dektari!* - wysapał. - *Memseeb* wzywa zaraz. Mówi to sprawa życia i śmierci. *Hereke, hereke!*

- Co się stało?

- Chodźmy. Coś źle!

- Kto cię przysłał?

- *Memseeb* West!

Grace wymieniła spojrzenie z bankierem.

- Powiedz pani West - zwróciła się do chłopca - że przedtem muszę wstąpić po moją lekarską torbę. Zatrzymałam się na Government Road u państwa Millford.

\* \* \*

Gdy w końcu Grace, upuszczając parasolkę i zrzucając płaszcz nieprzemakalny, wbiegła na poddasze, Miranda chodziła tam i z powrotem przy łóżku, na którym leżał, jak się na pierwszy rzut oka wydawało, trup. Już w chwili zamknięcia za sobą drzwi i przejścia przez pokój, Grace wyćwiczonym spojrzeniem ogarnęła dwa ważne szczegóły: dziewczyna na łóżku rodzi, wdowa West nagle już nie jest w ciąży.

Usiadła na krawędzi łóżka, otworzyła torbę, wyciągnęła stetoskop.

- Co się stało? - zapytała po wysłuchaniu piersi i brzucha Peony.

- Zaczęła rodzić dziś rano...

- Teraz jest wieczór. Dlaczego nie wezwała pani lekarza przedtem?

Miranda milczała jak głaz.

Grace popatrzyła na nią gniewnie i dalej badała Peony.

Stwierdziła przypadek najgorszy z możliwych: łożysko się rozrywa, biedaczka umiera z upływu krwi. Za późno już na szpital, na operację. Szczęściem będzie, jeżeli da się uratować dziecko. O to trzeba walczyć.

- Spóźniłyśmy się z ratowaniem tej dziewczyny - powiedziała, prędko się przygotowując do wyciągnięcia dziecka. - Ale może dziecko da się uratować. - Podniosła wzrok na Mirandę. - O to pani chodziło? O to dziecko?

Miranda przełknęła ślinę i przytaknęła.

Valentine, pomyślała Grace, pośpiesznie odwijając wyjałowione instrumenty. Ty głupcze!

Noc narastała, długa i czarna. Cienie obu kobiet majaczyły na ścianach, chwiały się w blasku latarni. Deszcz nieustannie bębnił o szyby okien, gdy Nairobi zapadło w grobową ciszę. Grace pracowała szybko, wprost migają w jej rękach instrumenty, prześcieradła, ręczniki. Musiała odplątać z szyjki dziecka pępowinę. Tamować krew, spływającą tak nieustannie jak ten deszcz. Miranda asystowała. Siedziały, głowa przy głowie, i robiły wszystko, bo Peony nie mogła im pomagać.

Dziewczyna umarła, zanim noworodek po raz pierwszy zapłakał.

- To chłopiec - powiedziała Grace. Miranda spadła z łóżka zemdlona.

## ***Rozdział 20***

Oficer okręgowy Briggs był wyraźnie skrepowany.

- To... ee... nadzwyczajnie, milordzie - powiedział, tendencyjnie unikając wzroku Valentine'a - zawiła sprawa.

Siedzieli przy porannej herbacie na werandzie Bellatu w blasku słońca, które wyjrzało, gdy deszcz ustał. Ale już chmury się zbierały, żeby chlusnąć następną błogosławioną ulewą na pięć tysięcy akrów kawy Trevertona.

- Najwidoczniej... ee... to się stało cztery dni temu - powiedział Briggs. - Jeden z kuchcików mówił, że pani West wysłała go po lekarza. Ta dziewczyna, niejaka Peony Jones, przyjechała z Anglii chyba prawie piętnaście miesięcy temu i pracowała w hotelu pani West jako pokojówka. Pana siostra potwierdziła, co się stało tamtej nocy. Nazajutrz rano wypełniła formularz w komisariacie policji.

Valentine siedział z twarzą kamienną, z filiżanką herbaty zapomnianą w ręce.

Briggs wiercił się w wiklinowym fotelu, żałując, że to na niego spadło załatwienie tej paskudnej sprawy.

-Więc... ee... jak mówiłem, samochód pani West znaleziono na szosie do Limuru niedaleko farmy Batesów. Doktor Treverton powiedziała, że nic jej o tym nie wiadomo. W swoim sprawozdaniu stwierdza, że wyszła natychmiast po przyjściu na świat dziecka tej Jones. Najwidoczniej pani West pojechała do Limuru tej samej nocy, kiedy ta pokojówka umarła. Nie znamy celu jej podróży. - Briggs zerknął na nieruchomo patrzącego Valentine'a i ciągnął: - Była z niemowlęciem, prawdopodobnie tym, które przyjęła pana siostra na poddaszu. Ono jeszcze było w objęciach pani West, kiedy ją znaleziono. Utonęła z nim w błocie. Samochód ugrzązł i pani West usiłowała pójść dalej pieszo w tym deszczu. I nie zdołała.

Valentine przeniósł wzrok na rzędy zielonych krzewów kawy upstrzonych białymi kwiatami. Za plantacją wznosiła się góra Kenya spowita w majestat i tajemniczość.

-Ale... ee... rzeczywiście niezrozumiałe w tym wszystkim -ciągnął Briggs - jest to, że... to niemowlę było prawie czarne. Lekarz okręgowy wywnioskował, że dziewczyna współżyła seksualnie z Afrykaninem.

Valentine nawet nie mrugnął. Wyglądał tak, jakby był zahipnotyzowany.

- I jeszcze jedno, milordzie. Lekarz okręgowy stwierdził, że pani West w chwili śmierci była brzemienna... mniej więcej w czwartym miesiącu.

Ostatecznie Valentine spojrzął na oficera okręgowego.

- Dlaczego pan mi to wszystko mówi? Nie mam nic wspólnego ze sprawami pani West.

Briggs popatrzył na niego, a potem odwrócił wzrok i zarumienił się. Na oślep sięgnął po kapelusz i laskę, wstał, zaczął coś mówić, urwał i zbiegł po schodkach z werandy.

\* \* \*

Deszcz padał zaledwie od tygodnia, a kasztany już się pieniały wspaniale różowym kwieciem, aloesy wśród skał kwitły kępami jaskrawej czerwieni. Ptactwo wodne śpiewało swoje gamy, ptak deszczowy dołączył piosenkę jak gdyby wygrywaną na flecie.

Rose nuciła razem z przyrodą, gdy siedziała pod ścianą altany, haftując gobelin. Wyglądała w blad różowym swetrze, brunatnej wełnianej spódnicy i zielonym szaliku tak, jakby również i ją przyniósł deszcz. Nie była na polance sama. Pani Pembroke siedziała z Moną i oglądały książkę z obrazkami. Przy koszyku piknikowym czekała mała Afrykanka, gotowa w każdej chwili podać gorące ciastka i czekoladę. Trzech niewidocznych zza eukaliptusów Kiku-ju stało na straży. Były też ukochane zwierzęta Rose. Czarnolica małpka zwinięta w kłębek leżała na jej kolanach, a nieopodal stała uwiązana przy słupku Daphne, osierocona dzika koza, którą Rose przygarneła jako koźlatko nie większe niż kot.

Napięte na grubej ramie białe płótno stało się dla Rose całym życiem. Dotychczas zaznaczyła tylko zarysy i możliwości, sporządziła szkic narysowany przędzą. Z jednej strony zaczynała się ma-terializować góra Kenya, poszarpany szczyt z kawałkiem obłoku z perłowej waty, zbocza do pokrycia perską wełną, mozaikowym ścięciem florenckim. Ogromna puszcza deszczowa z linami winoro-

śli i gęstym poszyciem powstanie z jedwabiu z francuskich supełków; Rose widziała to w wyobraźni - puszcę kompletną, oddychającą, żywą. Pozostawała tylko jedna luka - prawie pośrodku, między dwoma sękatymi drzewami - co do której wciąż nie mogła się zdecydować. Całość obrazu była wyważona, każdy fragment miał swój temat, każdy temat miał swoje miejsce. Poza tą właśnie tajemniczą pustką. Przyglądanie się tej luce, próby zapełnienia jej tym czy owym spełzały na niczym. Ta jedna jedyna cząstka gobelinu Rose nie dawała się zapełnić.

Pani Pembroke taktownie chrząknęła. Rose podniosła oczy i ku swemu zdumieniu zobaczyła wychodzącego zza mokrych drzew Valentine'a.

Strżając wilgoć z ramion, wszedł po stopniach do altany i powiedział:

- Chciałbym zostać sam z żoną, jeśli można prosić.

Żadna się nie ruszyła. Rose patrzyła na niego oszołomiona, usiłowała wyczuć jego nastrój. Po chwili skinęła głową do niani, która wtedy z Moną i afrykańską dziewczynką wyszła z altany.

Valentine przykląkł na jednym kolanie obok Rose.

- Przeszkadzam ci? - zapytał cicho.

- Nigdy dotąd tu nie przychodziłeś, Valentine.

Spojrzał na płótno. Kropkowane różnymi kolorami przedzy zarysy nic mu nie mówiły. Jednak pochwalił gobelin.

Potem zapytał:

- Rose, czy jesteś tutaj szczęśliwa?

Widziała jego twarz na poziomie swojej twarzy, jego oczy, jakże łagodne.

- Tak - szepnęła. - Jestem tu bardzo szczęśliwa, Valentine.

- Wiesz, że tylko na tym zawsze mi zależy, prawda? Żebyś była szczęśliwa.

- Chyba wiem.

- Tamta noc po gwiazdkowym przyjęciu, Rose. To, co ja ci zrobiłem...

Położyła mu koniuszki palców na ustach.

- Nie powinniśmy mówić o tym. Już nigdy.

- Rose, muszę z tobą porozmawiać. Przytaknęła.

- Słyszałam o pani West, Valentine. I przykro mi było to słyszeć. Patrzył na nią teraz nie łagodnie, tylko z bólem.

Zacisnął dłoń

na oparciu jej fotela.

- Kocham cię, Rose - powiedział zdławionym głosem. - Wierzysz mi?

- Tak, Valentine.
- Chyba za późno się spodziewać, że ty mnie będziesz kochała ale...
- Przecież ja cię kocham, Valentine.

Zapatrzył się w jej bladoniebieskie oczy i zobaczył, że ona nie kłamie.

- Muszę mieć syna - powiedział spokojnie. - Musisz to zrozumieć. Potrzebny mi jest syn, który odziedziczy to, co buduję.

- Mona nie wystarczy?

- Oczywiście, że nie, kochanie. Wiesz o tym.

- Chcesz, żebym ja ci dała syna - powiedziała Rose. -Tak.

- Valentine, to mnie przeraża.

- Nie skrzywdzę ciebie, Rose. Nie dopuszczę, żeby stała ci się jakakolwiek krzywda. Poza tobą nie mam gdzie się zwrócić. - Pochylił głowę. - Jeżeli zrobisz to dla mnie, masz moje słowo. Daj mi syna, Rose, a ja już nigdy się do ciebie nie zbliżę.

Przyłożyła mu chłodną smukłą dłoń do policzka. Oczy miała pełne łez. Valentine wraca do niej. Znowu jest dla niej do kochania.

- Więc zrobię to - powiedziała.

\* \* \*

12 sierpnia 1922 roku urodził się Arthur Currie Treverton. Rose dotrzymała swej części umowy. A Valentine dotrzymał swojej.

**CZEŚĆ TRZECIA**  
**ROK 1929**

## ***Rozdział 2 1***

Mona już zdecydowała się, że ucieknie. Musiała tylko wybrać odpowiednią chwilę.

Poważnymi oczami wodziła po zabłoconych ulicach Paryża, jadąc limuzyną na dworzec. Widziała, jak przechodnie na chodnikach odwracają się, by popatrzeć na okazały sznur połyskliwych piercearrow. Jechała z matką pierwszym z tych samochodów, w drugim siedziały Sati, hinduska *ajah* Mony, sekretarka lady Rose i mała afrykańska dziewczynka imieniem Ndžeri. W trzecim i czwartym były liczne kufry Rose, nagromadzone paryskie zakupy oraz dwie pokojówki. Z firankami zasuniętymi, by ukryć pasażerki przed wzrokiem gawiedzi, te pierce-arrow lśniące czernią budziły sensację, gdy tak sunęły powoli po Place de la Concorde.

Mona czuła ciężar w sercu. Przez osiem tygodni spędzonych w Paryżu - przeważnie w hotelu Jerzego V, bo Rose denerwowały miejskie hałasy i tłumy - ani rusz nie mogła odwiedzić matki od dalszej podróży do Suffolk. Teraz były już w drodze na dworzec, żeby pociągiem-promem pojechać do Anglii, gdzie Mona miała zostać.

Co za potworne miasto: te pokraczne budynki, nagie posągi, niegustowne mosty na zimnej płaskiej rzece. Pierwsze wrażenie, jakie zrobił Paryż, przeraziło Monę. Nigdy nie widziała takich tłumów, nie słyszała takiego harmideru. I nieba prawie nie widać pomiędzy dachami. Przypominało jej to ule w wioskach plemienia Okemba. Wszystkim w Paryżu się śpieszy. Ludzie pędzą po chodnikach, kołnierze mają podniesione, twarze czerwone i mizerne. Z tych betonowych ścieżek wybiegają na asfaltowe drogi, znikają w kamiennych murach. Tutaj nie ma buszu, tu jest miasto, zaplanowane i porządne. Muzyka jazzowa bucha z okien i sieni, rozdokazywane młode Amerykanki, tak zwane



chłopczyce, siedzą przy kawiarnianych stolikach na ulicy i pyszną się tym, że palą papierosy i że mają jedwabne pończochy koloru dymu. Mona pragnęła wrócić do domu, do Bellatu i misji cioci Grace. Pragnęła znów biegać swobodnie, zrzucić te okropne sukienki, które mama jej kupiła w tak zwanym salonie. I znów być z przyjaciółmi - z Gretchen Donald i Ralphem, czternastoletnim, takim przystojnym, że naprawdę się w nim zakochała. Dlaczego, dlaczego ona nie może wrócić do Kenii?

- Mamusiu... - zaczęła tytułem próby.

Rose czytała powieść F. Scotta Fitzgeralda. Nie podniosła wzroku.

- Słucham, kotku.

- Czy nie można by tego trochę odwlec? Tylko dopóki nie będę starsza?

Matka roześmiała się pobłaźliwie.

- Spodoba ci się na pensji, kochanie. Mnie się podobało.

- Ale czy ja muszę uczyć się w Anglii? Nie mogę pojechać na pensję do Nairobi?

- Już ci wyjaśniłam, kochanie. Pensja w Nairobi nie jest dla ciebie. Jesteś hrabianką, musisz mieć odpowiednie wykształcenie, licujące z twoją pozycją.

- Ale Gretchen i Ralph uczą się w Nairobi!

Rose odłożyła książkę i uśmiechnęła się do córki. Biedactwo! Ma dziesięć lat, trudno wymagać, żeby zrozumiała.

- Ty, Mono, wyrośniesz na wielką damę. Gretchen Donald wyjdzie za jakiegoś farmera. Na tym polega różnica.

- Aleja nie chcę być damą! Chcę mieszkać w Bellatu i uprawiać kawę! - Monie zbierało się na płacz. Znała prawdziwy powód tego wygnania do Anglii. Rodzice jej nie kochają. - Przrzekam, że będę już zawsze grzeczna, mamusiu! I zawsze posłuszna, i będę uważać na lekcjach, i już nigdy nie rozgniewam ciebie i tatusia.

Rose patrzyła na nią ze zdumieniem.

- No, Mono, kochaneczko, kto ci takimi głupstwami nabił łepetynę? Pensja dla panienek przecież nie jest „karą”.

Powinnaś cieszyć się, że tam jedziesz.

Podniosła rękę i przez sekundę Mona myślała, że mama ją pogłaszcze. Ale mama tylko poprawiła woalkę na kapeluszu. Znów wzięła książkę. Znów odsunęła się od niej.

Mona omal nie zaczęła chlipać. Nie przypominała sobie, żeby matka czy ojciec kiedykolwiek ją objęli, popieścili. Jak daleko sięgała pamięcią wstecz, była pod opieką szeregu kolejnych bon; które szybko albo wyjeżdżały z powrotem do Anglii, albo w Kenii wycho-

dziły za mąż. Potem nastąpiły guwernantki, rotacja młodych kobiet tak samo szybko znudzonych odosobnieniem Bellatu. Dlatego Rose w końcu zrezygnowała i przyjęła na nowo Sati, pierwszą *aje* Mony. Niańki hinduskie i afrykańskie już akceptowano w Kenii, w miarę jak coraz trudniej było zatrzymać służące Angielki. Trevertonowie należeli do ostatnich, którzy się temu opierali. Teraz Mona miała stale do towarzystwa młodą kobietę z Bombaju w jaskrawo kolorowych sari wonnych od mocnych korzennych perfum. I tylko ta Hinduska okazywała dziewczynce serdeczność.

Gdy zajęły przed dworzec, ludzie się zatrzymywali, żeby popatrzeć na tajemniczą elegancką panią wysiadającą z limuzyny. Tych osiem tygodni w Paryżu było pierwszym od ponad dziesięciu lat kontaktem Rose ze światem mody, ale natychmiast przyswoiła sobie najnowszy styl. Czarny pilśniowy kapelusz-dzwon nasunięty głęboko na czoło i brwi eksponował oczy uczernione nadmiarem tuszu i nadawał jej jakąś prowokacyjną zagadkowość. W obszernym czarnym płaszczu Chanel z postawionym kołnierzem z lisa zasłaniającym dolną część twarzy była uderzająco podobna do Poh Negri, popularnego filmowego wampa.

Mona widziała, że wszyscy uważają mamę za gwiazdę filmową. W paryskich sklepach ludzie podchodzili do lady Rose z prośbą o autograf. Teraz czuła się żałośnie widoczna, stojąc przy matce i patrząc na przenoszenie kufrów i paczek z limuzyn na wózek bagażowy. Gdy z drugiej limuzyny wysiadły Sati i Ndžeri, francuski tłumek zaszemrał.

Pomimo modnej sukienki z obniżoną talią i lakierków zapinanych na paski dziewięcioletnia Ndžeri wywołała sensację swoją ogoloną głową i pętlami, paciorków Kikuju zwisającymi z jej przedziurawionych uszu. Dołączyły do nich pokojówki Rose, obie Afrykanki w czarnych mundurkach i jej sekretarka, panna Shendan, również w kapeluszu-dzwonie, z twarzą przysłoniętą postawionym kołnierzem. Otaczając ochronnym kręgiem swoją panią, razem pośpieszyły za wózkiem bagażowym do pociągu.

Nastąpił moment zamieszania, zanim wsiadły. Na peronie robiły się zatory, całowano się i ściskano, machano rękami pożegnalnie. Mona pod naporem płaszczów futrzanych i wartkiej francuszczyzny przywarła do matki, panna Sheridan zaczęła szukać konduktora, żeby im pomógł.

Ndžeri, też przestraszona tłokiem przy pociągu, trzymała się lady Rose. Widząc to, Mona poczuła do tej małej Afrykanki jeszcze większą niechęć.

Ndzeri przyciągnęła uwagę lady Rose, gdy pewnego dnia w ubiegłym roku zapuściła się na polankę wśród eukaliptusów i stała tam nieruchomo, lekliwie niczym gazela, wpatrując się w *memseeb* siedzącą w altanie. Mona z dziecięcą zazdrością patrzyła, jak matka zachwycona tą dziewczynką w łachmanach nie inaczej niż zbłąkanymi zwierzątkami, których widok ją wzruszał, zwabiła Ndzeri do altany makaronikiem. Nazajutrz dziewczynka znów przyszła, ze swoim bratem. Zazdrość Mony zmieniła się w gniew: mama dała słodycze im obojgu.

David, jedenastoletni syn znachorki Oczery, potem już nie przyszedł, ale Ndzeri przychodziła codziennie i wprost urzekała Rose łaknieniem uwagi, czcią i bojaźnią wobec *memseeb*.

Planując podróż do Europy, Rose poprosiła Grace, żeby uzyskała zgodę Gaczyku na zabranie Ndzeri. „Do towarzystwa dla Mony” - powiedziała Rose. Ale Mona знаła prawdę. Karen von Blixen budziła sensację, podróżując po Europie z małym chłopcem afrykańskim wśród towarzyszących jej osób. Lady Rose też chciała budzić sensację. Mona, zgola nierozpieszczana przez matkę, z rozpaczliwą urazą przyjęła wtargnięcie Ndzeri. W istocie czuła urazę do wszystkich afrykańskich dzieci, którymi zajmowała się jej ciocia Grace w szkole misyjnej i które, ponieważ były biedne, często dostawały starą garderobę od miłośniernej lady Rose. Ale najbardziej Mona nie lubiła Davida, przyrodniego brata Ndzeri. Uważała, że jest arogancki. Kiedyś nad rzeką oświadczył jej bezczelnie, że to jego ziemia, jak mówi mu jego matka, i że kiedyś wszyscy biali wyniosą się z Kenii.

Właśnie dlatego Mona nie mogła pojechać na pensję w Anglii. Musiała wrócić do Kenii, pokazać Davidowi Madengejowi, że ta ziemia jest jej.

Tak więc zamierzała uciec przy pierwszej sposobności, jaka się nadarzy.

Samochody w ślimaczym tempie sunęły po żwirze alei wjazdowej do okazałej rezydencji, gdzie szeregiem przy wejściu stała służba: lokaje w liberii, jednakowo ubrane pokojówki, stary Fitzpatrick, kamerdyner, który na własne żądanie wrócił z Kenii w 1919 roku, w trzy miesiące po przyjeździe do Afryki. W podmuchach marcowego wiatru spódnice trzepotały jak chorągiewki. Milczący dwudziestoosobowy personel dyskretnie przyglądał się nowo przybyłym. Nigdy przedtem nie widziano tu Afrykanek i była też śniada piękność w cytrynowożółtych jedwabiach, zupełnie jak z Baśni

Tysiąca i Jednej Nocy. Ze swojej strony Sati, *ajah*, rozglądała się bez wrażenia, nieraz już widziała brytyjskie rezydencje. Ale dwie pokojówki Kikuju z głowami ogolonymi, niezdarne w pantoflach i uniformach, gapiły się i rozdziawiały usta na widok tego trzypiętrowego domu, baszt, wieżyczek i niezliczonych okien.

- Moja droga Rose! - wychodząc na podjazd, powiedział Harold. Ujął jej dłonie w rękawiczkach, wlepił wzrok w te tajemne oczy, ledwie widoczne pomiędzy woalką i kołnierzem z lisa. - To ty, Rose, prawda?

Harold utył. Nie bardzo był podobny do swego starszego brata Valentine'a, który mając lat czterdzieści jeden, zachowywał sylwetkę sportowca i tylko trochę posiwiiał na skroniach.

- Chyba nie musiałaś przywozić ze sobą całej Afryki! - spróbował zażartować, a potem powiedział: - Chodźmy.

Edith tak czeka  
na ciebie.

Wytworny hotel Jerzego V w Paryżu, wspaniały hotelowy hall i żyrandole przejmowały Monę czcią. A już ten dom! To jak pałac! -pomyślała dziewczynka z zapartym tchem, wchodząc w półmrok korytarza, gdzie z obu stron stały średniowieczne zbroje, na ścianach wisiały stare gobeliny i portrety ponuro zadumanych ludzi dawno zmarłych. Bellatu wydaje się małym wiejskim domkiem. Wiedziała, że to tutaj byłby jej dom rodzinny, gdyby ojciec przed jedenastu laty nie pokochał Afryki Wschodniej.

Edith Treverton czekała w salonie z jakąś panią i dwiema dziewczynkami. Powitała bratową przesadnie entuzjastycznie i przedstawiła swoich gości: lady Ester i jej córkę hrabiankę Melanie van Allen. Druga dziewczynka, Charlotte, była córką Edith, siostrą stryjeczną Mony.

- Rose, jak miło znów cię zobaczyć po tych wszystkich latach! -wykrzyknęła Edith, całując powietrze w okolicy policzka Rose. -Naprawdę wszyscy myśleliśmy, że ty i Valentine zaraz wrócicie do Anglii statkiem powrotnym! Jak wytrzymujesz życie w dżungli?

Mona siedziała nieśmiało na krześle wyściełanym brokatem i ukradkiem patrzyła na dziewczynki, obie trochę starsze od niej, bardzo szykowne w najmodniejszych sukienkach z obniżoną talią. Ciotka Edith i stryj Harold niezbyt jej imponowali. Stryj niczym nie przypominał ojca ani cioci Grace, przecież swego rodzeństwa.

Dorośli rozmawiali, dzieci siedziały grzecznie milcząc. Charlotte i Melanie popijały herbatę nadzwyczaj wytwornie. Dobre wychowanie, jak Mona zaraz się dowiedziała, odbierały na pensji Farnwortha, tej właśnie, na którą nazajutrz miała być zapisana!

- Charlotte cię tam wprowadzi - powiedziała Edith. - Ma trzynaście lat, więc oczywiście inne koleżanki. Ale jesteście kuzynkami.

Charlotte wymieniła ze swą przyjaciółką porozumiewawcze spojrzenie pełne rozbawienia, a Mona zapragnęła zniknąć, wtopić się w brokatowe oparcie krzesła.

- Wiesz, Rose - powiedział Harold, marszcząc brwi na widok małej Afrykanki krążącej w pobliżu drzwi. - Nie spodziewałem się, że przywieziesz Murzyniátko. Co my z nią zrobimy?

- Ona sypia pod drzwiami Mony. Edith spojrzała na męża.

- Może byłoby lepiej ulokować ją w którejś służbowce. Twój list był tak niejasny, Rose, nie mieliśmy pojęcia, czego się spodziewać.

Rozmowa stała się zanadto już dorosła i nudna - kto umarł, kto wyjechał, kto z kim się ożenił i jakie ma dzieci. Każdą wiadomość z Suffolk spowijały sformułowania niezrozumiałe i nieciekawe, toteż gdy Charlotte i Melanie szeptały i chichotały, Mona patrzyła w okno i zastanawiała się, czy w Kenii nastąpiła od dawna oczekiwana pora deszczów.

Kolację, usłyszała z przerażeniem, miały jeść oddzielnie - mama ze stryjcem Haroldem, ciocią Edith i lady Ester, a ona z tymi trzynastoletnimi.

- Ale mamusiu - protestowała, wprowadzona do dużej, zimnej i wilgotnej sypialni - przecież my zawsze jemy razem. Dlaczego tutaj muszę jeść w pokoju dziecięcym?

Rose, zniecierpliwiona, wyłożyła z walizki rzeczy córki.

- Dlatego, Mono, że tutaj jest taki zwyczaj. Właśnie taki, jak należy.

- Myślałam, że w Bellatu jest jak należy.

Rose westchnęła i cień przemknął po jej twarzy.

- Niestety, przez te lata trochę zaniedbaliśmy tam wszystko. Jakoś tego nie zauważałam. Afryka tak działa na ludzi. Musimy to naprawić. I dlatego, Mono, będziesz się kształcić na pensji Farn-wortha. Wyjdiesz stamtąd już jako bardzo dobrze wychowana panna.

Monę ogarnęła rozpacz.

- Kiedy stamtąd wyjdę?

- Wtedy, gdy ukończysz osiemnaście lat.

- Ale to strasznie długo! Zginę tak daleko od Kenii!

- Bzdura. Będziesz przyjeżdżała do domu na każde wakacje. I szybko znajdziesz sobie przyjaciółki wśród tych miłych pensjonarek.

Mona się rozplakała. Rose podeszła, usiadła przy niej na łóżku.

- No, przestań, Mona. Cóż to zapłacz bez powodu.

Lekko objęła córkę ramieniem. To objęcie było jak mgiełka. Mona, owiana zapachem jej perfum, zapragnęła boleśnie poczuć ciepło matczynego ramienia.

- Słuchaj, maczku - powiedziała Rose spokojnie - po powrocie do domu dalej będę haftować gobelin. Może mi poradzisz, czym zapełnić na nim to puste miejsce. Od dziesięciu lat łamię sobie głowę, co tam powinno być. Ty zdecyduj. Co powiesz na to?

Mona chlipnęła, przełknęła łzy i odsunęła się od matki. Nic z tego. Po prostu nie sposób sprawić, by rodzice zrozumieli ten ból w sercu, tę mękę wygnania, to, że ona zna prawdę: nie kochają jej, rzeczywiście chcą jej się pozbyć. Gdybym tylko była ładna albo inteligentna, pomyślała, wtedy by mnie kochali.

A gdybym nagle zniknęła, zobaczyliby, że bardzo smutno im beze mnie.

\* \* \*

- Jakie to uczucie tak żyć pośród dzikich golasów? - zapytała Melanie van Allen, śmiała krótkowłosa dziewczynka z grzywką, spod której patrzyła zaczepnie.

- Oni nie są goli - powiedziała Mona, przegarniając widelcem jedzenie na talerzu.

Siedziały we trzy przy stole w tak zwanym pokoju dzieciennym. Podawał im lokaj. Ndżeri, cicha i posepna, jadła przy mniejszym stoliku w kącie.

- Kiedyś czytałam - powiedziała Charlotte - że to są ludożercy i nie wierzą w Boga.

- Wierzą w Boga - powiedziała Mona.

- Tak, teraz kiedy się ich nawraca.

- Rzeczywiście bawisz się z nią? - zapytała Melanie, wskazując Afrykankę.

- Nie. Mama ją zabrała dla mnie do towarzystwa.

- Nie masz żadnych białych przyjaciół?

- Jest Gretchen Donald. I Geoffrey, i Ralph, jej bracia. Mieszkają na ranczo Kilima Simba.

Charlotte szepnęła coś do Melanie i obie zachichotały.

- Ralph jest bardzo przystojny. - Mona uniosła podbródek. Melanie z błyskiem w oczach pochyliła się nad stołem ku niej.

- Strzelasz do lwów i tygrysów?

- Mój ojciec strzela. Ale nie ma tygrysów w Afryce.

- Oczywiście, że są! Niewiele wiesz o swoim kraju, prawda? Mona przymknęła oczy i schroniła się w obraz Bellatu. Ujrzała

złocisty słoneczny blask i kwiaty, ujrzała Arthura, swojego braciszka, z kolanami wciąż podrapanymi, i na niebieskim tle nieba sylwetki ojca w siodle i jego ogiera. Słyszała owacje na boisku nad rzeką, gdzie odbywały się mecze polo. Wdychała aromat upieczonego byka, zawsze w Nowy Rok rozdzielanego między Afrykanów zatrudnionych na plantacji. I czuła ciepło słońca na gołych przedramionach, czerwony piach pod stopami, górski wiatr rozwiewający jej włosy. Przypomniła jej się smak ciastek z prosa Salomona i piwo, które z trzciny cukrowej warzy Meme Gaczyku. Myśli jej były wirem języków angielskiego, suahili i Kikuju. Sercem wyrывała się od tego nienawistnego stołu do domku cioci Grace, żeby tam zwijać bandażę i ostrzyć igły. Tęsknie pomyślała o Ralphie Donaldzie, odważnym, zuchwałym bracie Gretchen, który dorastał wolny jak antylopa i urzekał ją swoimi opowieściami o buszu.

- Mówiąc szczerze, masz okropne maniery. Mona spojrzała na Charlotte.

- Zadałam ci pytanie. Czy jesteś głucha? - Charlotte zwróciła się do Melanie z ubolewaniem: - Moja kuzynka, więc ja muszę ją wprowadzić na pensję. Co one tam pomyślały o niej. O mnie?

Melanie parsknęła śmiechem.

- Trudy Greystone założyła się ze mną, że twoja kuzynka przyjedzie w spódniczce z trawy i z kością przewleczoną przez nos.

Podbródek zatrzęsł się Monie.

- Kenia nie jest taka.

- Więc jaka jest? Czy mieszkasz w szałasie?

- Mamy wspinały dom.

- Bellatu - powiedziała Charlotte. - Właściwie co ta nazwa znaczy?

- Znaczy... - Mona zmarszczyła brwi. Wiedziała, że to ma coś wspólnego z tym domem tutaj, z Bella Hill. Te nazwy jakoś się wiążą. I rzeczywiście, ten tu przepyszny pałac należy bardziej do niej, Mony, niż do Charlotte. Ciotka, stryj i kuzynka są tutaj tylko gośćmi, dozorcami, tak kiedyś powiedziała mama. Ale to było dla Mony zbyt skomplikowane.

- No cóż - powiedziała Charlotte z westchnieniem męczennicy - nauczysz się dobrych manier na pensji. Już tam się o to postarają!

Mona zastała Ndzeri śpiącą na łóżku polowym pod drzwiami. Zbudziła ją, szepcząc:

- Wstawaj! Uciekniemy! Ndżeri przetarła oczy.
- Co się stało, *memseeb mdogo*? - zapytała sennie. Na polecenie Rose zwracała się do Mony: „mała pani”.
- Wstawaj! Uciekniemy. -

Mona była w amazonce: kurtce z czerwonego aksamitu i białych bryczesach. Ten strój wydawał jej się odpowiedniejszy do ucieczki niż sukienka. Potrzebne rzeczy miała w tobołku z po-włoczki: grzebień, szczotkę, ręcznik do twarzy, na pół pełną torbę cukierków i trochę ubrania.

- Gdzie uciekniemy, *memseeb mdogol* - zapytała Ndżeri i dygocząc, wstała z łóżka.
  - Daleko. Żeby nas długo nie mogli znaleźć, żeby myśleli, że umarłam. I kiedy mnie znajdą, już nigdy nie będą chcieli wysłać mnie z Kenii.
  - Ale ja nie chcę uciekać.
  - Zrobisz, co ci każe. Słyszałaś, jak mój stryj cię nazwał. Murzy-niątko. Wiesz, co to znaczy? Ndżeri potrząsnęła głową.
  - To znaczy głupia. Nie będziesz głupia, prawda?
  - Ale ja nie chcę uciekać!
  - Ucisz się i chodź. Najpierw pójdziemy do kuchni, weźmiemy wołowinę i mąkę kukurydzianą. Wyruszamy na długi czas, potrzebne nam zapasy jedzenia.
- Ndżeri poszła za nią ciemnym korytarzem, bojąc się cieni i dziwnych płaskich ludzi na ścianach. Mona miała latarkę elektryczną, która rzucała smugę światła na dywan przed nimi. Odgłos kroków tłumiła ta gruba tkanina; dom spał w nocnej ciszy.
- Światło latarki przemiotło po czymś na ścianie, przy zakręcie korytarza. Przystając, Mona skierowała tam latarkę i zagapiła się na dobrze znaną twarz patrzącą z portretu.
- No - wyszeptła bez tchu - to ciocia Grace! Taka ładna! Ndżeri spojrzała, zaintrygowana. Rozpoznała *memseeb dektari*.
  - Prawda, że dziwnie się ubrała? - powiedziała Mona. I nagle pojęła, że to nie jest jej ciotka, tylko kobieta bardzo do Grace podobna.
- Spuściła rękę z latarką i poszła dalej, nie wiedząc, że to jest portret jej babki Mildred, matki Valentine'a, Grace i Harolda i że ona sama uderzająco przypomina babcie.
- Za zakrętem korytarza stanęła jak wryta.
- Ktoś idzie - syknęła.



Ndzeri z rozpędu wpadła na nią. Pozbierały się niezdarnie i dały nura do wnęki.

Szczękając zębami ze strachu i z zimna, patrzyły wielkookie, jak do jednych z zamkniętych drzwi podchodzi okazała postać w szlafroku. Stryj Harold. Zastukał i wszedł, zamknął drzwi za sobą.

Z tamtego pokoju doleciały głosy. Mona doczołgała się pod drzwi i przyłożyła ucho do drewna. Usłyszała głos stryja, a potem matki.

- Przepraszam, Rose, że cię niepokoję o tej porze - mówił Harold - to bardzo ważna sprawa, z którą nie mogłem czekać do rana. Od razu powiem, o co chodzi. Musisz powiedzieć Valentine'owi, żeby przestał szastać pieniędzmi.

- O czym ty mówisz?

- Nie odpisuje mi na listy. Następny list dostanie od naszego radcy prawnego, możesz mu to powiedzieć w moim imieniu. Rose, proszę, odłóż tę przedzę, spójrz na mnie.

Zaszemrały niedosłyszalne słowa, a potem Harold huknął.

- Przy tym tempie Valentine'a nic nie zostanie z Bella Hill! On sprzedaje ziemię na lewo i prawo. Już nie ma prawie połowy tego, co było przed dziesięciu laty.

- Ale Bella Hill jest jego, Haroldzie - powiedziała łagodnie Rose. - Wolno mu ze swoją posiadłością robić, co zechce. Ostatecznie, ten dom nie jest twój.

- Rose, doceniam to, że brat pozwala nam mieszkać tutaj. Ale nie będę biernie patrzył, jak rujnuje dziedzictwo i siedzibę rodu. Musisz mu powiedzieć, żeby ograniczył wydatki.

- Och, Harold, masz urojenia.

- Rose, on do tej plantacji kawy wciąż dokłada. Od samego początku.

Mona usłyszała śmiech matki.

- Co za nonsens! Mamy przyjęcia co tydzień, gości na całe weekendy. Raczej nie zubożeliśmy, Haroldzie!

Stryj prychnął.

-1 jeszcze coś - powiedział. - Masz, przeczytaj. To list od Grace. Pisze, żebyś natychmiast wróciła do domu. Coś z twoim synkiem.

- Biedny mały Arthur. Nie można poradzić na to, że taki z niego niezdara. Wiesz, ciągle z czegoś spada, uderza się w głowę, ściera łokcie. To doprowadza Valentine'a do wściekłości.

- Rose, sprawa jest poważna. Przeczytaj ten list.

- Haroldzie, teraz jestem przeraźliwie zmęczona.

- I jeszcze jedno, Rose. Nie możesz jutro zapisać Mony do Farn-wortha.
  - A niby dlaczego?
  - Dlatego, że to wydatek, na który Valentine'a nie stać. Nie pozwolę mu sprzedać już ani kawałka ziemi Bella Hill po to, by jego córka była w tak kosztownej szkole.
  - Oczywiście, że nas stać na oddanie Mony do Farnwortha.
  - Rose, żyjecie w zamku na lodzie. Czy Valentine ci nie mówi o waszych finansach? Plantacja utrzymuje się z przekroczeń konta i z odsetek ze sprzedaży Bella Hill! Jeszcze tylko trochę czasu, a wszystko się zawali!
  - Mona pójdzie do tej szkoły i na tym koniec.
  - Obawiam się, że nie, Rose. Żeby była na tej pensji, musi mieć sponsora tu w Anglii, ponoszącego za nią odpowiedzialność. To jeden z przepisów. A ja wycofuję zobowiązanie do opieki nad nią. Musisz zabrać Monę najbliższym statkiem z powrotem do Kenii. Jeśli chodzi o mnie, sprawa jest zamknięta.
  - Więc znajdę dla niej innego sponsora.
  - Kogo? Z twojej rodziny, Rose, już nikt nie został. Bądźże rozsądna, trzymaj to dziecko w Kenii, gdzie możesz być blisko niej. Wiem, że siostrzenica lady Ashbury jest na europejskiej pensji w Nairobi i że to budzi wielkie uznanie. Zobaczysz, Rose. Tak będzie najlepiej.
- Po drugiej stronie drzwi dwie dziewczynki popatrzyły na siebie. Potem Mona osunęła się na ścianę, uśmiechnięta. Wróci do domu.

## Rozdział 2 2

### *Dektari! Dektari!*

Grace podniosła wzrok, gdy Mario ukazał się zza ogrodzenia. Z tupotem wbiegł po schodkach nowej kliniki krytej strzechą, minął pacjentów czekających na werandzie i zdyszany wykrztusił:

- *Memseeb dektari!* Proszę prędko!

Grace rzadko widywała go tak podnieconego.

- Co się stało? - zapytała, podając pielęgniarce dziecko, które badała.

- Moja siostra! Umiera!

Wzięła torbę lekarską i hełm i ruszyła za nim przez teren misji, gdzie stało sześć krytych strzechą budynków. Pędzili wśród sznurów z wietrzącymi się szpitalnymi materacami i prześcieradłami, obok zagrody kóz i owiec, minęli chaty zamieszkałe przez dziesięcioro pracowników, aż znaleźli się za ogrodzeniem, które oddzielało misję Grace Treverton od boiska polo Valentine'a. Za chatą Oczery przeszli po wąskim drewnianym moście na drugi brzeg rzeki. Kobiety zbierały z pól dojrzałą fasolę. Przestały pracować i patrzyły, jak *memseeb* w rozwianej białej spódnicy biegnie z dobrze znaną czarną torbą pod pachą.

Mario poprowadził swoją panią dalej wąskimi miedzami przy akrach kukurydzy już zdobnej w kaczany i wyższej niż oni, przy spłachetkach słodkich kartofli i dyń. Przebyli jedną wioskę, potem drugą w takim tempie, że Grace nie mogła złapać tchu i przyciskała rękę do serca.

Wreszcie dotarli do wioski Maria, przycupniętej w kotlinie nad rzeką Chania, skupiska okrągłych lepianek ze stożkowatymi dachami z papirusu, z których unosiły się spirale sinego dymu. Gdy tam przyszli, nikt nie pracował, ludzie stali w dziwnej ciszy.

Grace przepchnęła się wśród nich i ku swemu zdumieniu zobaczyła jednego z księży z misji katolickiej. Ten młody ksiądz, Guido, wyjmował coś z plecaka przytroczonego do roweru.

Twarz miał posepnie gniewną pod szerokim rondem kapelusza, czarną sutannę zakurzoną i przepoconą.' On też przybył tu z pośpiechem.

- Była znów potajemna inicjacja, pani doktor - powiedział.

A potem Grace zobaczyła, co on wyjmuje z plecaka; przygotowuje się do opatrzenia chorej sakramentami.

- Boże drogi - szepnęła i poszła za nim.

Kilku ze starszyny zastąpiło wejście do tej chaty. Matki i ciotki podnosiły ręce i wrzeszczały, żeby *ozungu* się nie wtrącałi.

- Kto tam jest przy niej? - zapytała Grace księdza.

- Oczera Madengej, znachorka.

- Jak ksiądz się o tym dowiedział?

- Od Maria. Wioska jest prawie cała katolicka. Ta dziewczyna ma na imię Teresa, uczy się w naszej szkole. *Kuende!*

- zwrócił się do zawziętych starców. - Musicie mnie wpuścić! Teresa należy do Pana!

Grace przyglądała się zastygłym twarzom tych mężczyzn i kobiet, praworzędnych Kikuju, którzy normalnie szanowali autorytet księży. Ale sytuacja teraz nie była normalna.

Misjonarze od dawna usiłowali wypłenić zwyczaj obrzezania dziewcząt polegający na mechanicznym usunięciu łechtaczki. Praktyka ta została w Kenii urzędowo zdelegalizowana i każdemu przyłapanemu na uczestnictwie w tym obrzędzie groziła kara grzywny albo więzienie. Pozornie inicjacje ustały. Ale w rzeczywistości potajemnie dokonywano ich nadal. Grace wiedziała, że takich barbarzyńskich obrzędów dopełnia się w ukrytych miejscach, niedostępnych dla miejscowej policji.

- Proszę, pozwólcie mi ją zobaczyć - powiedziała w języku Kikuju. - Może będę mogła pomóc.

- *Tseha!* - wykrzyknęła jedna ze starszek, zapewne babka Teresy.

Ksiądz Guido u boku Grace zachnął się nerwowo. Wszyscy mieszkańcy wioski otaczali ich dwoje zwartym kręgiem: powietrze było naładowane wrogością.

- Kiedy odbyła się inicjacja? - zapytała Grace księdza.

- Nie wiem, pani doktor. Wiem tylko, że poddali jej dwanaście dziewcząt i że Teresa umiera na zakażenie.

Grace zaapelowała do starszyny.

- Powinniście nas wpuścić!

Ale to nie odniosło skutku. Pomimo swego chrześcijańskiego oświecenia ci ludzie pozostawali na uwięzi starych obyczajów. Chodzili co niedziela do kościoła w misji księdza Guido, po czym w puszczy dopełniali odwiecznych barbarzyńskich obrzędów.

- Czy mam wezwać oficera okręgowego? - zapytała Grace. -Wszyscy znajdziecie się w więzieniu! I on zabierze wam kozy, spali doszczętnie wasze domy! Tego chcecie?

Starsi słuchali obojętnie. Z rękami założonymi na piersiach tarasowali dostęp do chaty.

- Złe czynicie! - wykrzyknął ksiądz Guido. - Dopuszczacie się ohydy w obliczu Boga!

W końcu odezwał się jeden ze starszych.

- Czy Biblia nam nie mówi, że Pan Jezus był obrzezany?

- Doprawdy tak! Ale nigdzie nie mówi, że obrzezana była Jego Matka, Maryja!

Kilka par oczu zamrugało. Jedna ze starych ciotek zerknęła przez ramię.

- Czyż was nie nauczamy, że stare zwyczaje są złe? Czy nie przyjęliście miłości Jezusa Chrystusa, czy nie przyrzekliście, że będziecie przestrzegać praw Chrystusowych? - Ksiądz Guido podniósł rozdygotany palec ku niebu. Głos jego rozbrzmiewał nad ich głowami. - Zostaniecie wyrzuceni z Niebios za to, coście uczynili! Będziecie palić się w ogniu piekielnym Szatana za swoje niegodziwe grzechy.

Grace zobaczyła, że kamienne twarze zaczynają mięknąć. Mario wystąpił naprzód i szybko w języku Kikuju poprosił swoich krewnych, żeby wpuścili świątobliwego księdza i *memseeb* do chaty Teresy.

Nastąpiła chwila ciszy, gdy siedmiu starszych Kikuju wytrzymało wzrok dwojga białych, po czym sędziwa babka odeszła na bok.

Ksiądz Guido i Grace weszli do chaty. Teresa leżała na posłaniu ze świeżych liści; w mroku brzęczały muchy i ostro pachniały obrzędowe zioła. Przy Teresie klęczała Oczera. - Ksiądz Guido ukląkł z drugiej strony posłania, otworzył swą niewielką torbę, wyjął jedwabną stułę, buteleczkę z wodą święconą, żeby udzielić Ostatniego Namaszczenia.

Grace pochyliła się nad dziewczyną, żeby ją zbadać.

Rana została opatrzona w sposób, jak Grace było wiadomo, obrzędowy, ściśle w myśl przepisu przekazywanego z pokolenia

na pokolenie. Goić miały lecznicze liście namoczone w antyseptycznym oleju, przywiązane między nogami Teresy. Ten kompres niewątpliwie ostatnio zmieniła specjalnie mianowana „pielęgniarka”, która potem musiała zużyte liście spalić w tajemnej kryjówce, gdzie nikt nie mógłby trafić przypadkowo. Ponadto Teresę karmiono, co Grace również wiedziała, specjalną potrawą, jak nakazywała religia, podawaną na liściu banana.

Cała procedura wtajemniczenia w kobiecość była sprawą świętą i bardzo niewielu białym zdarzyło się kiedykolwiek tę ceremonię widzieć. Dla Kikuju znaczyła nie mniej niż dla katolików msza odprawiana przy ołtarzu. Ale też była okrutna i nieludzka, pociągała za sobą straszny ból, cierpienie i upływ krwi, pozostawiała deformację, stwarzającą dla obrzezanej problemy w późniejszym życiu, takie jak utrudnienie porodu. Doktor Treverton dawno przyłączyła się do misjonarzy w walce o zniesienie inicjacji.

W słabym świetle, które przenikało do chaty, Grace widziała, że siostra Maria jest bardzo ładna, mniej więcej szesnastoletnia, o rysach delikatnych i jakoś wzruszająco niewinna. Oczy jej były otwarte. Grace łagodnie zamknęła, ta dziewczyna już nie żyła.

Gdy ksiądz Guido uroczyście szeptał modlitwy, Grace zwiesiła głowę, czuła piekące łzy.

Nie modliła się, zaciskała pięści w bezsilnym gniewie. Teresa to już czwarta w jej praktyce zmarła wskutek zatrucia krwi nożem znachorki dokonującej operacji wtajemniczenia. Słyszała też o innych dziewczętach, które podobnie umierały, a być może, ich infekcje wyleczyłby europejski lekarz wezwany w porę. Podniosła wzrok i napotkała spojrzenie Oczery. Przez chwilę powietrze w chacie było naelektryzowane. Wydawało się, że w tych ścianach z mułu zderzają się energie dwóch współzawodniczek - Oczery i Grace.

Potem Grace powiedziała w języku Kikuju: - Dopilnuję, żeby twoja zła działalność się skończyła. Znam czarną magię, jaką stosujesz. Słyszałam od moich pacjentek. Dość długo ci pobłażałam. To przez ciebie i takie jak ty to dziecko umarło.

Trzęsła się z gniewu, a znachorka wpatrywała się w nią i twarz miała nieodgadnioną. Oczera wciąż jeszcze była piękna, z głową ogoloną, ze sznurami paciorków, bransoletami z miedzi na całych długich rękach, wysoka, smukła i gibka w swoich miękkich skórkach. Będąc anachronizmem wśród Kikuju nawróconych na chrześcijaństwo, Oczera istniała jak duch z ich odzie-

dziczonej po przodkach przeszłości. Wpatrywała się w Grace Treverton butnie i dumnie. A potem wyszła z chaty.

\* \* \*

Gdy Grace wróciła do swojej misji, przed budynkiem, w którym mieściła się przychodnia, tam i z powrotem spacerował Valentine. Widząc to, co miał w ręce, i czym wymachiwał przed przerażonym małym chłopczykiem przycupniętym na schodkach werandy, domyśliła się, dlaczego przyszedł.

- Popatrz! - wrzasnął Valentine i rzucił jej ten przedmiot. Obiło się to o jej pierś i upadło na ziemię. Jedna z lalek Mony. Podniosła lalkę. - Znów go przyłapałem, kiedy tak się bawił!

- Och, Valentine - Grace westchnęła. - Przecież on ma siedem lat zaledwie. - Przeszła obok brata i przysiadła przy Arthurze, który, jak zobaczyła, znów dostał od ojca lanie.

- Nie pozwolę, żebyś go rozpieszczała! Ty i Rose robicie z niego niewieściucha!

Grace objęła Arthura. Malec wybuchnął płaczem.

- Biedaczku - szepnęła, głaszcząc go po włosach.

- Do licha, Grace! Słuchaj, co mówię! Spojrzała na brata spode łba.

- Nie, to ty słuchaj mnie, Valentine Treverton! Widzę dziecko rzeczywiście złamane i nie będę słuchała, jak się wydzierasz nad śmiesznymi błahostkami. Jeszcze jedna dziewczyna umarła przy inicjacji, nie mogłam jej uratować. Co załatwisz w sprawie tych praktyk, Valentine? To są twoi ludzie. Powinieneś się przejąć!

- A cóż mnie obchodzi zgraja czarnuchów? Moją jedyną troską jest mój syn! Nie dam mu bawić się lalkami.

- Właśnie - powiedziała powoli. - Ty nie przejmujesz się tym, co robią Afrykanie. I bardziej niż swoim synem przejmujesz się samym sobą.

Z ciemnym rumieńcem, rozplomieniającym mu szyję i twarz, popatrzył na nią groźnie, odwrócił się i odszedł.

W swojej chłodnej przychodni pod strzechą Grace pocieszała Arthura. Miał na karku i ramionach siniaki.

- Dzień dobry - zabrzmiał czyjś łagodny głos, czyjaś sylwetka przysłoniła otwarte drzwi.

Podniosła wzrok. Serce jej podskoczyło.

- James. Wróciłeś.

- Wczoraj wieczorem i od razu przyjechałem do ciebie... Hej, co się tu dzieje?

- Znowu Valentine. James wszedł.
  - Serwus, Arthur - powiedział.
  - Serwus, wujaszku.
  - Mojemu bratu się zdaje, że zastraszeniem zrobi ze swego syna mężczyznę. - Grace powiedziała to spokojnie, zdławiając gniew, żeby nie przerazić Arthura. - Już ja położę kres tym metodom wychowawczym, jeżeli będzie trzeba... Przeszanie boleć, Arthur. Nie dostałeś zbyt mocno.
  - Pisałeś o tym do Rose?
  - Powinna przyjechać już lada chwila. Jej list był raczej niejasny... znasz ją.
  - Więc Mona jest na pensji w Anglii?
  - Tak. Na tej samej, którą ukończyła Rose.
  - Będzie ci brakowało Mony, prawda?
- Grace pocałowała bratankę w głowę i zsadziła go z kolan. Arthur był mały jak na swój wiek, miał marzycielskie usposobienie
- Idź się pobawić - powiedziała czule. - Idź już, kochanie.
  - Dokąd? - zapytał oszołomiony, podnosząc na nią wielkie niebieskie oczy.
  - Dokąd tylko chcesz, Arthur.
- Przez chwilę udawał, że się zastanawia. Potem zapytał:
- Czy mogę iść do niemowląt?
- Uśmiechnęła się i odprawiła go klepieniem. Valentine zabronił mu chodzić do chaty położnic, ale postanowiła ignorować zakazy brata.
- James! - powiedziała, gdy wychodzili z przychodni. - Cudowną niespodziankę sprawiłeś mi tą wizytą. r
- Patrząc na kasztanowate w blasku słońca błyski jego włosów, poczuła dobrze znaną gorączkę miłości i zaraz ból, który właściwie nigdy nie ustępował. Ilekroć on wyjeżdżał, wydawało się jej, że jakaś część jej samej przebywa przy nim daleko. Wracał i znowu stanowiła całość.
- Brakowało mi ciebie - powiedziała.
- Szli ścieżką do jej domu, mijając kryte strzechą chaty, które postawiła z biegiem lat. W jednej z nich miała małą klinikę położniczą, gdzie Arthur często przesiadywał przy noworodkach.
- Na werandzie domku zapytała:
- Jakie wiadomości z Ugandy?



- Takie jak zawsze. Śpiączka, ostra odmiana malarii. Nic nowego, niestety. A co tutaj, Grace? Jak ci szło w misji przez te cztery miesiące?

Weszła do pokoju, wróciła z dwiema szklankami lemoniady. Dając jedną Jamesowi, sprostowała:

- Nie było ciebie pięć miesięcy. Mamy nowy kurnik i nową tablicę szkolną.

Roześmiał się.

- Więc wznoszę toast. Niech żyją kury i oświata! Wypili.

James znad szklanki przyjrzał się Grace. Wyglądała jak zwykle schludnie i świeżo. Pomimo wymogów pracy w klinice i w szkole, którą prowadziła, jej białe bluzki i spódnice zawsze były czyste, a krótkie włosy uczesane. Jest nawet jeszcze piękniejsza, pomyślał niż wtedy, gdy ostatnio ją widziałem.

- Coś cię martwi? - zapytał.

- Znowu odbyła się inicjacja. Siostra Maria umarła. - Grace usiadła w wiklinowym fotelu. - Muszę być wobec tych ludzi bardziej stanowcza, James. Muszę się uprzeć, przekonać ich, że te stare obyczaje im szkodzą. To jest dwudziesty wiek. Nowoczesna medycyna osiąga szczyty nieznane w historii. Obecnie czynimy cuda. A jednak oni, kiedy się boją o siebie, biegną do plemiennej znachorki.

- Tradycyjne leczenie, Grace, nie jest tak zupełnie złe.

- Owszem, jest. Czarnoksiężstwo, wyraźnie i po prostu. Kto wie, co ta kobieta dodaje do swoich preparatów! - Machnęła ręką w stronę boiska polo Valentine'a i chaty za boiskiem.

Domostwo Oczery teraz, po tylu latach, było tak swojską częścią krajobrazu, że już nie wywoływało żadnych komentarzy. Co więcej, wiele farm Europejczyków urozmaicały chaty „dzikich osadników” - małe splachetki Afrykanów, którzy wyszli z rezerwatu i woleli pracować u białych, mieszkać na ich ziemi jako dzierżawcy. Toteż obecność Oczery przy skraju boiska polo już nie była niczym osobliwym. Grace wiedziała, że młoda znachorka prowadzi życie dziwne i tajemnicze, cicho zajmując się swymi sprawami sprzed wieków jak cień na samej granicy zasięgu wzroku. Ale Grace wiedziała również, co Oczera robi. Pacjenci jej mówili.

Ta wdowa po Madengeju prowadziła ludzi na poszukiwanie duchów, gdy tylko wybuchały jakieś epidemie, nadzorowała ceremonię zasiewów przed porą deszczów, wytwarzała amulety dla dzieci, żeby żyły bezpiecznie, przyjmowała porody, ważyła płyny miłosne,

rozmawiała z duchami zmarłych i odczytywała przyszłość. A także dzierżyła nóż w czasie inicjacji dziewcząt, podejrzewała Grace.

- Myślę - powiedziała spokojnie - że komisarz okręgowy podchodzi do tego niewłaściwie. Samo zdelegalizowanie czegoś nie sprawi, że to coś zniknie. Raczej musimy wyjąć spod prawa winnych takiego barbarzyństwa. Trzeba usunąć Oczerę i jej podobne, wtedy te praktyki siłą rzeczy ustaną.

- Jak chciałabyś się jej pozbyć? Valentine próbował bez rezultatu.

- Nie wiem. Pojadę do Nairobi i namówię misje, żeby bardziej zjednoczyły swoje wysiłki. Należy wykazać Afrykanom, że tradycyjne leczenie tylko szkodzi, więc powinni się zwracać do białych lekarzy.

James zapalił fajkę.

- Obawiam się, że nie podzielam twego zdania, Grace. Nadal utrzymuję, że w leczeniu tradycyjnym jest wiele dobrego. Pamiętam, jak moi ludzie chorowali na czerwonkę, a mnie zabrakło soli epsom i rycyny. To właśnie stare lekarstwo Kikuju, z rabarbaru, ich ocaliło.

Potrząsnęła głową.

- Nie wzięliśmy rozmazu, James. Nie zrobiliśmy mikroskopowej analizy. Nie wiemy na pewno, czy to była czerwonka, czy nawet ameba.

- Nie wszystko musi być rozpoznawane przez nowoczesną medycynę, Grace. Wiesz, jest coś takiego jak nadmierna jednostronność.

- Nie mówiłbyś tak, gdybyś widział dzisiaj tę biedną dziewczynę. Zza rogu chaty szkolnej wybiegła gromadka chłopców, śmiejąc

się i oglądając za siebie. Gdy zobaczyli Grace na werandzie, stanęli na baczność, nagle bardzo poważni.

- *Dzembo, memseeb dektari* - powiedzieli i pomaszzerowali jak mali czarni żołnierze.

- Boże miłosierny! - Grace wstała z fotela. - Co oni zmalowali. Na tyłach podłużnej chaty szkolnej znalazła leżącą na ziemi,

umazaną mułem dziewczynkę. Pomogła jej się podnieść, strzepała piach z jej sukienki.

- No już, już, Ondziru. Nic ci nie jest, prawda? Dziewczynka, powstrzymując łzy, potrząsnęła głową.

- Chcesz pójść do domu?

Dziewczynka potrząsnęła głową energiczniej.

- Więc dobrze. Idź do *memseeb* Pamelii i powiedz, że ja proszę, by dała ci cukierka.

Ondżiru wymamrotała nieśmiało:

-*Asente sene* - odwróciła się i wbiegła do szkoły, gdzie panna Pamela jadła podwieczorek w przerwie między lekcjami.

-Twoja uczennica? - zapytał James, gdy szli z powrotem do Domku Ptasiej Pieśni. - Nie wiedziałem, że masz w szkole dziewczynki.

- To moja pierwsza i boję się, że okropnie jej tutaj. Wiesz, jak walczyłam, żeby ściągnąć dziewczynki do mojej szkoły. Trzy miesiące temu przyszła kobieta z wioski w górze rzeki i zgłosiła swoją córkę.

- To wymaga odwagi.

- Właśnie! Ta kobieta jest wdową z dziewięciorgiem dzieci. Ma bardzo ciężkie życie i powiedziała mi, że chce dla Ondżiru czegoś lepszego. Pierwsza Afrykanka, od której usłyszałam takie zdanie. Oczywiście, cieszę się, że mam uczennicę, ale chłopcy jej żyć nie dają. Dokuczają jej, że nigdy nie wyjdzie za męża, że będzie *tseha*, bo robi to, co jest sprawą mężczyzn. A jednak ona przychodzi codziennie z jeszcze większą determinacją. I uczy się dobrze. Myślę, że również i to chłopcy mają jej za złe.

Dochodzili już do werandy.

-Trzeba się zająć losem Afrykanek - powiedziała Grace. -Wiesz, James, dwa miesiące temu była tutaj inwazja szarańczy i mężczyźni mieli o to pretensję do kobiet. Mówili, że Bóg zesłał szarańczę za karę, bo kobiety noszą krótkie spódnice. - Odwróciła się do niego. - James, ważyłam wyrywkowo ciężary, jakie te kobiety dźwigają. Jedna niosła aż sto osiemdziesiąt funtów. I liczba urodzeń jest bardzo wysoka. Widuje się tyle kobiet, które mają ośmioro czy dziesięcioro dzieci i same pracują na swoich poletkach, bo ich mężowie poszli do pracy u białych. Młodzi Afrykanie teraz, kiedy zaczynają się kształcić, nie chcą pozostawać na farmach. Chcą pracować w miastach. Do domu tylko wpadają z wizytą, zapładniają żony i znikają. I stanowczo sobie nie życzą, żeby ich żony i córki się kształciły.

James patrzył na nią, na jej twarz z biegiem lat zbrązowiałą, na zmarszczki przy oczach i linię podbródka świadczącą o zdecydowaniu. Tak często tę twarz widywał w wyobraźni i w snach.

- Grace, pójdziemy na spacer?

Afrykanie, którzy u niej pracowali, chodzili już nie w koźlich skórkach i *szuka*, tylko w spodniach i koszulach, a kobiety w sukienkach europejskich. Przestali golić głowy, mieli krótko ścięte włosy. Kilka Afrykanek paradowało z drewnianymi kółkami w płatkach

uszu i pobrzękiwało paciorkami i miedzianymi bransoletami, ale na ogół jedyną ich ozdobą był krzyżyk na łańcuszku.

Grace zatrzymała się za szopą, żeby obejrzeć rzędy filtrów do wody przygotowywanych dla ludzi w wiosce. Każdy filtr składał się z dwóch krągłych glinianych garnków, przy czym mniejszy był osadzony w otworze większego. Pokazała Jamesowi sposób filtrowania.

- W mniejszym garnku jest warstwa czystego piasku, czystego żwiru i na dnie tłuczonej cegły. Wlana do niego woda ścieka przez te warstwy do większego garnka już bez zanieczyszczeń, a zwłaszcza bez robaków. Staram się, żeby taki filtr był w każdej chacie i żeby zrozumieli, jak ważna jest czystość wody.

- Chyba warto byłoby napisać o tym w twojej książce.

Grace się roześmiała. James od dawna ją namawiał, żeby napisała podręcznik dla paramedycznej służby zdrowia pracującej w terenie.

- A kiedy ja miałabym czas na pisanie książek?

Mijali właśnie sznur, na którym wietrzyły się materace z tkaniny *emerykene* wypchane suszonymi kłosami kukurydzy. Były, tak jak filtry, wynalazkiem Grace.

Wkrótce potem ścieżką pod górę weszli na wzniesienie i roztoczył się przed nimi widok niczym panoramiczne malowidło -na przestrzeni pięciu tysięcy akrów soczyście zielone rzędy krzaków kawy ciężkich od dojrzałych jagód. Krajobraz wznosił się pagórkami i opadał falisty jak spokojne morze; gęstą zieleń przerywały pasy czerwonej ziemi i wysokie drzewa jacarandy buchające fioletowym kwieciem. Był już maj, długa pora deszczów się skończyła, kobiety i dzieci sunęły wzdłuż rzędów zieleni, zrywając jagody i wrzucając je do worków. Na skrajach pól czekały ciężarówki, mężczyźni przewozili jagody do suszarni i suszarek mechanicznych nad rzeką. W dali strzegła granicy tego rozległego widoku góra Kenya, ciemna, ostra na tle bezchmurnego nieba, ośnieżonymi szczytami błyszcząc w słońcu. Na wprost niej za doliną wzbijał się ku niebu Bellatu wśród teras i trawników ogrodu.

Na podjeździe stało kilka połyskliwych samochodów. Grace rozpoznała samochód brygadiera Norich-Hastingsa. Inne, poza dwoma oldsmobile'ami Valentine'a, należały do wciąż podejmowanych w Bellatu gości.

Tam nigdy nie było cicho. Teraz, gdy w Kenii samochody się rozpowszechniły i szosa, chociaż nadal piaszczysta i w czasie deszczów nieprzejezdna, biegła do samej posiadłości - a pociąg dojeżdż-

dział do miasteczka Nyeri - odległość z Nairobi przebywało się w jeden dzień. Dom Valentine'a stał się ośrodkiem życia towarzyskiego Kenii. Przyjęcia, polowania, mecze polo przyciągały wschodnio-afrykańską socjetę. Wokół Bellatu urosła legenda. Tym, którzy tylko przelotnie widzieli ten dom z daleka, wydawało się, że jego mieszkańcy muszą być wiecznie młodzi i piękni, że wciąż elegancko bawią się i piją szampana, a ich gośćmi są wyłącznie bogacze i arystokraci. Lata dwudzieste były dekadą dobrobytu dla kenijskiego osadnika gentlemana. Kawę Trevertona importowano już wszędzie na świecie, zapotrzebowanie rosło. Brat Grace panował jak król - i nigdy nie pozostawał sam.

Grace zapatrzyła się na Bellatu, słysząc stamtąd dolatujące z wiatrem śmiechy i muzykę.

Czuła urazę do Valentine'a o tyranizowanie Arthura, z którego próbował przemocą zrobić mężczyznę. Już niejedną raz zbił syna, gdy go przyłapał na zabawie lalkami Mony. A przecież niezdarność i upadki chłopca nie miały na celu, jak Valentine dowodził, zwrócenia na siebie uwagi, tylko być może wynikały z jakichś zaburzeń nerwowych. Grace prosiła brata, żeby wysłał Arthura do specjalistów, ale Valentine kazał jej pilnować własnego nosa. Jego syn z pewnością nie jest słaby czy upośledzony, wszelkie przejawy słabości czy zmowieściałości już on ze swojego syna wybije.

Kiedy Valentine się zmienił? - zastanawiała się Grace. To następowało stopniowo. Chyba zaczęło się od tej strasznej sprawy z Mirandą West i posuwało się później po narodzinach Arthura... Wszyscy w Nairobi wiedzą, że Valentine utrzymuje w domu zbudowanym dla Mirandy pewną Afrykankę. To piękna kobieta z plemienia Meru, ubiera się kosztownie i jeździ swoim samochodem.

James przeszedł obok Grace\* i zmrużył oczy w słonecznym blasku. Patrzyła na niego, gdy szczupły, sprężysty sięgnął po kawałek kory eukaliptusa i zaczął ten pasek rozdzielać, pogrążony w zadumie. Jego częste wyjazdy do Ugandy ze względu na Lucille, która ogromnie polubiła ten afrykański kraj w głębi lądu, były dla Grace bardziej nużące niż dni pełne ciężkiej pracy. Wprost boleśnie tęskniła do niego. Gdy był w odległości tylu mil, na terytorium tak niebezpiecznym, traciła apetyt, nocą rzucała się i przewracała z boku na bok w łóżku, daremnie usiłując zasnąć. Natomiast gdy był u siebie w Kilima Simba, uspokojna wiedziała, że on tam jest, nie dalej niż o kilka mil od niej. I wciąż oczekiwała jego niezapowiedzianych odwiedzin. Te odwiedziny trzymały ją przy życiu, od dziesięciu lat dawały jej energię do przetrwania dni niepowodzeń i poczucia da-

remności. Wychodziła z kliniki, a James stał zakurzony, spocony po długiej jeździe, zwykle mając dla niej jakiś prezent - coś z mleczarni czy dziczyznę. Spędzał u niej trochę czasu; siedzieli na werandzie i rozmawiali jak dwoje starych przyjaciół, którymi byli: mówili o swoich kłopotach, oboje gotowi pomagać czy radzić, śmieli się, bardzo sobie bliscy, chociaż się nie dotykali, albo długo milczeli, gdy Afryka zapadała w sen nocy. A potem po odejściu Jamesa Grace, leżąc w łóżku, pragnęła go tak bardzo, że nie mogła zasnąć.

- Grace - powiedział James teraz - muszę ci coś powiedzieć. Spojrzała mu w oczy.

- Podjęliśmy decyzję, Lucille i ja. Przeniesiemy się do Ugandy. Na stałe.

### *Rozdział 23*

Wpatrywała się w niego. Po chwili raptownie odwróciła wzrok.

- Przykro mi - powiedział. - Zdecydowaliśmy w czasie tego ostatniego pobytu.

- Kiedy się przeniesiecie?

- Gdy tylko załatwię transport naszych rzeczy. Lucille tam została. Jest w Entebbe, doprowadza do porządku nasz nowy dom.

Grace przeszła parę kroków i oparła się o pień eukaliptusa, żeby nie stracić równowagi. Wydawało się, że cień drzewa ją wchłania, że wokoło jest ciemno, jak gdyby słońce zasłoniły chmury.

- Co z ranczem, co z dziećmi? - zapytała w końcu.

- Ranczo będzie prowadził Sven Thorsen. Pracuje u mnie od dwóch lat i potrafi sam zarządzać. Zostawiam z nim Geoffreya. To już siedemnastoletni chłopak, zapalony hodowca bydła. A Ralph i Gretchen przenoszą się z nami.

- Co będziecie robić w Ugandzie?

- Lucille zgłosiła się do tamtejszej szkockiej misji. Chce poświęcić się pracy misyjnej.

- A ty?

- Zaproponowano mi stanowisko w administracji w Entebbe.

Odwróciła się i spojrzała na niego. Stał w blasku słońca, mężczyzna opalony, szczupły po latach twardego życia pod gołym niebem.

- Będiesz pracował w biurze? - zapytała.

- Grace, mam czterdzieści jeden lat i nie młodnieję. Lucille uznała, że powinienem zwolnić tempo. I na ranczo już nie jestem tak potrzebny, jak dawniej. Ono właściwie prowadzi się gamo, i to wcale nie najgorzej. Sven wszystkiego dopilnuje.

Grace wiedziała, że Donaldom dobrze się powodzi, czasy zaciągania kredytów i wiązania końca z końcem mają już daleko za sobą. Wcale się nie zdziwiła, gdy w ubiegłym roku Hardy Acres ją zawiadomił o podwyższeniu sumy deponowanej co rok na jej nazwisko.

- Będzie mi ciebie brakowało - powiedziała.

- I mnie ciebie. - Podeszedł do niej, stanął blisko i spojrzał w jej żarliwe oczy. - To była niełatwa decyzja. Ale ty wiesz, jak Lucille się męczyła.

- Wiem.

- W Ugandzie jest inną kobietą. Tam rzeczywiście jest szczęśliwa. Nie mogę jej tego nie dać.

- Nie możesz.

Zmysły miała osaczone. Jego zapach, widok jego szorstkiej kurtki safari, głos władczy, a zarazem pogodny i czuły, jego powalająca bliskość. James zawsze był dla niej, chociaż nie kochankiem, kimś do kochania; był jej tajemną namiętnością, lepszą przecież niż pustka z braku namiętności. Marzenia o nim sprawiały, że w nocy czuła się mniej samotna. Swoją spokojną rzetelną siłą wspierał ją w chwilach bezsilności i klęski: dzielił z nią też jej triumfy.

Miłości fizycznej, jakiej boleśnie pragnęła, nie mogło być - zdawała sobie z tego sprawę - ale były przelotne muśnięcia ręki i objęcia osłaniające pod drzewem wśród deszczu, i powitalne, i w każdą z tych dziesięciu wigilii Nowego Roku.

Dawno temu Grace zdjęła pierścioneł zaręczynowy Jeremy'ego Manningsa. Do swego serca przyjęła Jamesa Donalda i trzymała go tam, potajemnego druha swojej duszy. Ale teraz otworzyły się jakieś straszne drzwi, on już wychodził. Po raz pierwszy Grace uświadomiła sobie, ile ma lat. Nagle jej wiek stał się ważny. W przyszłym roku skończy czterdzieści.

- Będzie mi ciebie brakowało - powtórzyła.

- Przyjadę jutro pożegnać się.

Jutro? - pomyślała. Zaświtało prawdziwe znaczenie samotności. Zobaczyła, jak wyciągają się przed nią noce niczym szereg małych stacji kolejowych, pustych, bez światła, bez życia. Zobaczyła siebie w przyszłości, siedzącą na tej werandzie, przyzwoitą, skromną, zapatrzoną w ciemność za misją, którą zbudowała, i za boiskiem polo, tam gdzie w swojej chatce inna samotna kobieta - Oczera - siedzi nad garnkiem i miesza, miesza.

Grace odsunęła się od Jamesa.



- Pożegnaj się ze mną teraz. Nie wiem, James, co powiem ci jutro. Położył jej ręce na ramionach. Zacisnął palce. Pochylił głowę, żeby ją pocałować.

- Ciociu Grace! Ciociu Grace!

Odwrócili się oboje. Pająkowata mała postać pędziła alejką od bramy, przy której stał jeden z samochodów Treverto-na z drzwiczkami otwartymi. To leciał jakiś elf mający niemożliwie krótką czuprynkę i przyodziany w cudzoziemskie łąszki niby to dorosłej pani. Doskoczył wielkim susem i objął Grace w pól.

- Och, ciociu! - piszczała Mona. - Jak ja się za tobą stęskniłam! Zbyt szybko radość nałożyła się na rozpacz. Grace przyklękła

i rozpaczliwie przytuliła bratanicę. Dziewczynka od razu zaczęła opowiadać o statkach i pociągach, o Francji i o okropnych krewnych.

- Nie płacz, ciociu - przerwała. - Ja wróciłam i już nigdy nie wyjadę z Kenii!

- Mona - zapytała Grace zdławionym głosem - co ty tu robisz? Dlaczego nie jesteś na pensji?

- Stryj Harold powiedział, że nie mogę tam być! Ciociu, dobrze się czujesz? Dlaczego płaczesz?

- Po prostu tak się cieszę, że cię widzę, kochanie. Popatrz na siebie. Młoda dama, co się zowie.

- Miałam dziesięć lat, kiedy wyjechałam, teraz mam dziesięć i dwie trzecie. W Anglii było okropnie, ciociu. Szaleję ze szczęścia, że wróciłam.

Nadchodziła Rose, Grace wstała z klęczek i podeszła do bratowej.

- Rose, witaj w domu - powiedziała.

- Cudownie jest wrócić. - Rose wzięła Grace pod rękę. Podeszły na skraj wzniesienia i spojrzały w dół na wzburzoną rzekę. Strome brzegi porastały gęstą zielenią buchającą wszystkimi kolorami dzikich kwiatów. - Jakże brak mi było tych widoków! I chcę jak najprędzej zabrać się do mojego gobelinu.

Grace, odrętwiała, poruszając się jak przemęczona próbami aktorka, patrzyła na małą Ndžeri. Dziewczynka nieśmiało wysiadła z samochodu i stanęła przy Rose, zdawałoby się, przerażona. Budziła w Grace dojmującą czułość. To ona była tym dzieckiem wyciągniętym z łona Gaczyku.

- Ndžeri - Grace pochyliła się nad nią - nie chcesz pójść do domu, do swojej mamy?

Dziewczynka cofnęła się i potrząsnęła głową.

- Chyba za bardzo się do mnie przywiązała - powiedziała Rose, głaszcząc ją ze śmiechem. - Prawda, Ndžeri? Trzeba było widzieć, jakie względy okazywano jej w Europie. I ona mi bardzo pomaga. Lubi całymi godzinami szcztokować mi włosy. Ndžeri może pójść do domu później. Chce zostać ze mną, pomagać przy sortowaniu mojej nowej przędzy. Mona obserwowała. Przełknęła zazdrość i żal, sięgnęła po rękę ciotki.

Grace wlepiła oczy w bratową. To wszystko zbyt nierzeczywiste. Oto Rose po ośmiu miesiącach nieobecności zachowuje się tak, jakby przyjechała na podwieczorek. Dlaczego nie pyta o Arthura? o Valentine'a? I dlaczego Mona wróciła, zamiast zostać na pensji w Anglii? Świat wokół Grace zakołował. Za dużo tego - ten powrót Rose i Mony, to rozstanie z Jamesem.

- Ciociu - zapytała Mona, ciągnąc ją za rękę - płaczesz z mojego powodu?

Grace spojrzała na bratanicę.

- Cieszę się, że wróciłaś - powiedziała - i smutno mi, bo wuj James wyjeżdża. On i ciocia Lucille będą mieszkać w Ugandzie.

Mona podniosła wzrok na Jamesa, oczy jej zrobiły się okrągłe.

- Gretchen i Ralph też wyjadą?

- Niestety, tak - odpowiedział James. Wtedy Mona też posmutniała.

Grace przyklękła, ujęła jej twarz w dłonie.

- Nie martw się, Mono - powiedziała cicho. - Ty i ja nadal mamy siebie nawzajem. - I pomyślała: może będziesz musiała zamieszkać u mnie. To wszystko jest zbyt dziwne. Twoja matka staje się jeszcze mniej obecna, mniej realna niż kiedykolwiek przedtem. Ja będę ci matkowała, Mono. Będziesz tą córką, której nigdy nie urodzę. Dziecko moje kochane, w tobie jest pustka bez miłości, tak jak teraz we mnie. Jesteśmy sobie potrzebne.

- Gdzie Valentine? - nagle zapytała Rose.

-Mówię ci, Treverton, trzeba Londyn zmusić, żeby słuchał! - Brygadier Norich-Hastings postawił szklanę i podszedł do okna, za którego szybkami, oprawnymi w ołów, pysznił się wspaniały widok dalekiej góry Kenya. - Musimy wydelegować kogoś spośród nas, żeby osobiście przedstawił naszą sprawę rządowi Jego Królewskiej Mości.

- Hugh ma rację - powiedział Hardy Acres z wygodnej głębi wolterowskiego fotela.

Valentine, za swoim biurkiem, siedział na krześle odchylonym w tył i nogi opierał na blacie. Kręcił szklanką, patrząc, jak whisky w niej faluje kuliście.

Czwarty mężczyzna w gabinecie Valentine'a, Malcolm Jemmings, był hodowcą bydła z doliny Rift i właścicielem ponad stu tysięcy akrów doskonałej ziemi środkowej prowincji, więc ze względu na własne interesy zajmował się polityką tej kolonii. Zabrał głos dopiero teraz.

-Afryka Południowa wysunęła koncepcję. Powinniśmy wziąć z niej przykład i utworzyć unię białych. Powiedzmy, Uganda, Kenia i Tanganika. Może nawet Rodezja Północna. Trzeba przydać siły panowaniu białych, przypomnieć tubylcom, kto naprawdę tu rządzi.

- Cholernie żałuję, że to zostało wydrukowane - powiedział Acres, rzucając gazetę kenijską na podłogę.

Przyjaciele wiedzieli, o czym on mówi. Ostatnio w Londynie lord Passfield, nowy minister kolonii, opublikował raport. Wycofał poparcie dla żądań białych osadników w Kenii, przy czym stwierdził: „Celem Wielkiej Brytanii jest powołanie w kolonii urzędu reprezentującego elektorat złożony ze wszystkich warstw ludności uprawnionej do skutecznego, należytego głosowania” i dodał, że jest to raczej niemożliwe w kraju, gdzie prawo do głosowania ma niecały jeden procent ludności!

- Jeżeli tubylcy to przeczytają - powiedział Acres - zaczną się kłopoty.

- Kłopoty już się zaczęły - stwierdził brygadier ponuro. - Passfield zabronił gubernatorowi ograniczać zebrania Centralnego Związku Kikuju. Przecież, niech to diabli, on zachęca ich do rewolucji! Teraz oni żądają przydziałów ziemi na wyżynie. Zanim się człowiek obejrzy, tubylcy dostaną pozwolenie na uprawę kawy!

Trzej goście spojrzeli wyczekująco na gospodarza. Wydawało się, że Valentine ich nawet nie słucha. Ciemnymi oczami patrzył pośpnie na fotografię w srebrnej ramce, która stała na biurku.

Myślał o Arthurze. Nie powinien bić go tak mocno, ale chłopiec nieraz doprowadza go do wściekłości. Skąd u tego smarkacza takie fanaberie? Jest już maj, a Arthur nawet nie tknął prezentów, które dostał od ojca na Gwiazdkę - ołowianych żołnierzyków i miniaturowej armatki, strzelby, myśliwskiego noża.

Biorąc z biurka fotografię, Valentine przyjrzał się jej. Poczul ból w sercu na widok niewinnej anielskiej twarzy Arthura, miłego

uśmiešku, szortów khaki jakoś nigdy nie zapiętych porządnie. Mój synu, krzyknął w duchu udręczony. Dla ciebie żyję, dla ciebie zbudowałem ten dom. Przecież nie chcę zrobić ci krzywdy. Chcę tylko, żebyś wyrósł na mężczyznę.

- Treverton? - pytająco powiedział Hardy Acres.

Naprawię to, synku. Przykro mi, że cię biłem. Przyrzekam, że już nigdy...

- Valentine - zapytał Malcolm Jemmings - jesteś z nami? Valentine spojrział na nich.

- Przepraszam. - Postawił fotografię, wstał i podszedł do barku na kółkach. - Ja nie obawiam się buntu. Wszyscy moi ludzie chcą tylko siedzieć pod drzewami i pić piwo.

- Więc jesteś ślepy, Treverton - powiedział Jemmings.

Valentine zignorował afront. Nadal myślał o Arthurze, zastanawiał się, czy może już czas zabrać chłopca na pierwsze w życiu safari.

- Przyjechaliśmy, żeby zasięgnąć twojej opinii w tej sprawie -upomniął go brygadier Norich-Hastings. - Wypowiedz się, Valentine. .

- Moi ludzie nigdy przedtem nie mieli tak dobrze - powiedział Valentine z roztargnieniem. - Daję im tyle *emerykene* i rowerów, ile tylko chcą. Są potulni jak owce. I tacy pozostaną, jeżeli będę nadal traktował ich odpowiednio.

Goście wymienili spojrzenia, brygadier znów go upomniął:

- Valentine, otwórz oczy! Niektórzy z tubylców zaczynają burczeć, że wyżyna jest prawowicie ich własnością i że dobrowolnie z niej nie zrezygnują.

Valentine nalał sobie whisky, popatrzył na szklankę w zadumie, wypił i zwrócił się do gości:

- Kogo byście wysłali do Londynu?

- Myśleliśmy, że ty byś się nadawał.

- Ja!

- Ostatecznie masz miejsce w Izbie Lordów. Nazwisko nie bez znaczenia. I jesteś dobrym mówcą. Ciebie będą słuchali.

Valentine potarł się po podbródku. Perspektywa wyjazdu do\*Anglii wcale mu się nie uśmiechała. Ostatnim razem był tam na wystawie w 1924 roku, gdy reprezentował kawę Nairobi, obecnie znaną jako kawa kenijska. I Rose napisała w liście z Suffolk, że w Anglii jest jeszcze zimniej, jeszcze bardziej deszczowo i odstrę-czająco niż dawniej.

- No? Co ty na to?

-Może... - Mógłby zabrać ze sobą Arthura. Wyrwać chłopca spod babskiego wpływu Rose i Grace.

- Niewiele mamy czasu. Sytuacja jest z dnia na dzień coraz poważniejsza. Jeżeli chcemy trzymać się swojej ziemi, potrzebne nam poparcie rządu Jego Królewskiej Mości.

- Słowo daję - Hardy Acres zerwał się na równe nogi - czy to nie twój samochód? Ten, który wysłałeś na stację? Valentine podszedł do okna i wyrżał. Cadillac podjeżdżał przed dom. Pusty, siedział w nim tylko szofer Afrykanin. Oslaniając oczy w blasku słońca, Valentine wyszedł na werandę. Włosy targał mu ostry wiatr, przelatujący nad pięcioma tysiącami akrów bujnych krzaków kawy. W tym właśnie miejscu on stał dziesięć lat temu i przedstawiał żonie i siostrze swoje marzenia. To, co rozciągało się przed nim teraz, było właśnie ową jego wizją, wymarzoną tamtego dawno minionego dnia.

- Gdzie jest *memseeb*? - zapytał szofera.

- Poszła z *memseeb dektari*. - Szofer wskazał wzniesienie.

- Cześć! Witaj w domu! - zawołał Valentine, zdejmując kapelusz, machając nim do Rose i Grace. Rose pomachała ręką.

- Niemądry ten Harold - powiedziała do szwagierki. - Te jego urojenia.

- Co przez to rozumiesz?

- Popatrz na Bellatu. Oczywiście, my mamy pieniądze!

Grace zaintrygowana patrzyła, jak Rose, stąpając z wdziękiem, schodzi ścieżką w dół do Valentine'a, który na powitanie całuje ją w policzek.

- Brak mi było ciebie - powiedzieli oboje jednocześnie. Potem ktoś mały wybiegł z chaty położnic.

- Mama! - wołał Arthur, przebierając pulchnymi łydkami. Valentine spojrział na niego.

- Co ty tam robiłeś! - wrzasnął tak, że głos jego rozbrzmiał aż na drugim brzegu rzeki. - Zabroniłem ci tam chodzić! Arthur zatrzymał się jak wryty. Ojciec zbiegł do niego po zboczu.

- Umyślnie mi się sprzeciwiasz - powiedział. Wziął Arthura za kołnierz i potrząsnął nim. Ze wzgórza przyglądali się temu Grace i James. Widząc, jak Arthur nagle pada na ziemię, wierzga i wije się, Grace krzyknęła i zbiegła do niego.

Gdy Rose i James przyszli za nią, już zdołała wetknąć patyk między zaciśnięte zęby Arthura. Chłopiec skręcał się i obracał w piachu,

oczy miał wywrócone, dziwne odgłosy dobywały się z jego krtani. Dorośli gapili się ze zgrozą. Cichutko podeszła do nich Mona.

Skończyło się to równie szybko, jak się zaczęło. Grace spróbowała podnieść nieprzytomnego chłopca, ale Valentine ją wyreczył. Tuląc syna w objęciach, poszedł za siostrą do przychodni, gdzie Grace dokładnie zbadała Arthura.

W końcu orzekła:

- Epilepsja.

- Nie! - wrzasnął Valentine. - Nie!

- Już ci mówiłam, żebyś zabrał go do specjalisty - powiedziała. - Teraz musisz coś zrobić.

- Mój syn jest zdrowy!

- Do licha, Valentine, nie jest! I jeżeli ty z nim nie pojedziesz, ja to zrobię.

Groźnie patrząc na siostrę, zmierzył się z jej upartą wolą. fotelem trochę zgarbił ramiona.

- Są specjaliści w Europie - powiedziała Grace już łagodniej - ludzie, którzy prowadzą badania nad takim stanem.

- Nad obłędem, chcesz powiedzieć.

- Epilepsja nie ma z obłędem nic wspólnego. Nie ma nic wspólnego z władzami umysłowymi. I to nie powód do wstydu. Juliusz Cezar chorował na epilepsję. I Aleksander Wielki.

Valentine ze złością spojrzał na Rose.

- To pochodzi z twojej rodziny - wycodził, przyprawiając ich wszystkich o wstrząs.

Podniósł zwiotczącego syna, mocno go objął. Przycisnął usta do czupryny koloru grejpfruta, mokrej od potu. Arthur jest taki mały, taki wątki, pomyślał. Mój syn. Jedyny, jakiego mam i będę miał w życiu. Gdy Rose wyciągnęła ręce, żeby wziąć chłopca, cofnął

się przed nią. .

- Nie dotykaj go - powiedział i zwrócił się do Grace. - nabiorę go do Anglii. Zabiorę go do wszystkich specjalistów w Londynie. Pojadę z nim na Kontynent, jeżeli będę musiał. Wydam ostatnie nawet grosze...-Głosmu się załamał.

Patrzyli, jak Valentine schodzi po schodkach werandy i idzie ścieżką do domu, niosąc Arthura jak lalkę z obwisłymi kończynami. Rose poszła inną ścieżką, tą prowadzącą na jej polankę wśród eukaliptusów. Szła tak szybko, aż się wydawało, że leci nad ziemią. Mała Ndžeri kłusowała za nią jak szczeniak, podczas gdy Mona krążyła w cieniu werandy niepewna, co zrobić. Potem ona też ruszyła za matką.

Znowu w blasku słońca Grace odgarnęła włosy z twarzy i odetchnęła głęboko, rozglądając się po budynkach krytych strzechą, które były jej misją. James stanął przy niej.

- Będiesz dawała sobie radę? - zapytał.

Oburącz ujął jej dłoń i uściśnął.

- Zostanę na razie, Grace. Dopóki Valentine z chłopcem nie wyjedzie do Anglii.

Potrząsnęła głową.

- Nie, James. Ty już tu nie należysz. Twoje życie jest daleko na zachodzie, tam gdzie czekają na ciebie Lucille i wasze dzieci. Oni cię potrzebują bardziej niż my.

- Chcę, Grace, żebyś zawsze pamiętała - powiedział cicho - że jeśli kiedykolwiek będę ci potrzebny, wystarczy mnie zawiadomić i zaraz przyjadę. Przrzekasz, że mnie zawiadomisz?

Odwróciła twarz do zachodzącego słońca i przytaknęła.

- Teraz się pożegnajmy, James. Czas, żebyś już wyruszył w tę podróż. Długa droga jest do Ugandy.

## Rozdział 24

Cała ta ziemia, synu, ta wokół ciebie i jeszcze dalej, należy do Dzieci Mambi, do nikogo innego. David siedział i słuchał, gdy matka mówiła, przygotowując dla nich wieczorny posiłek. Dwa pulchne słodkie kartofle, owinięte liśćmi banana, miękły nad parą; ziarna prosa pękały we wrzącej wodzie, gęstniejąc w kleik. Chociaż wiele kobiet za rzeką przyjęło europejski zwyczaj jadania trzech posiłków dziennie, Oczera nadal przestrzegала starej tradycji i zasiadała tylko do pożywnej kolacji pod wieczór. .

- Dzieci Mambi dały się oszukać *ozungu* - mówiła - i zrzekły się swojej ziemi. Biały człowiek nie rozumie naszych zwyczajów. Zobaczył puszcę, gdzie nie było żadnych chat, więc wziął ją sobie, skoro, jak uznał, nikt tam nie mieszka. Nie wiedział, że tam mieszkają przodkowie i że puszcza ma być kiedyś wytrzebiona, zęby tam były chaty dzieci naszych dzieci. Biały człowiek nie myśli ani o przeszłości, ani o przyszłości, widzi jedynie to, co jest dzisiaj. David z uwielbieniem wpatrywał się w matkę. To była najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek widział. Teraz, gdy zbliżał się do progu męskości i wkrótce czekało go wtajemniczenie, połączone z obrzezaniem, zaczynał się orientować, jak mężczyźni patrzą na nią. I kobiety także. Mężczyźni patrzyli głodnym wzrokiem. Pożądali jej i nierzadko proponowali małżeństwo. A kobiety patrzyły z zazdrością, skrycie podziwiała wolność Oczery żyjącej bez mężczyzny, bez pana. Ale wszyscy przy tym odnosili się do znachorki z bojaźnią i szacunkiem. Chociaż nie miała męża, a dziecko miała tylko jedno - co w innych okolicznościach stanowiłoby powody do litowania się nad nią - w klanie czczono ją, bo stała na straży odwiecznych obyczajów.



David widywał od lat, jak do tej chaty przychodzili ważni ludzie, jego dzieciństwo było długą kroniką odwiedzin. Naczelnicy i starszyzna zasięgali rady u jego matki, kobiety przynosiły jej swoje tajemnice i płaciły za amulety i wywary, a mężczyźni oferowali swoją męskość. Mała chata Oczery i Davida słyszała o nieszczęściach i radościach Dzieci Mambi z wielu ust przez wiele księżyców. David był dumny ze swojej matki, życie by oddał za nią. Ale zbyt dużo jeszcze nie rozumiał. Miał jedenaście lat, śpieszyło mu się do osiągnięcia wieku męskiego i tym samym chyba mądrości. Chciał, żeby matka mówiła szybciej, więcej, żeby rzucała światło na ciemne tajemnice dręczące jego młodą duszę.

David znajdował się na skraju - jeszcze za bardzo po stronie dzieciństwa, za mało po stronie dojrzałości. Ale dziecko w nim pragnęło być mężczyzną i lękało się, że to nigdy nie nastąpi. Był w nim również Kikuju, który tęsknie, z zawiścią patrzył na bogactwa białych - na te rowery, telegraf, strzelby. David Kabiru Maden-gej marzył o posiadaniu takich rzeczy, takiej władzy, o dopuszczeniu do tego elitarnego korpusu. Dawno temu, zgodnie z decyzją ojca, został ochrzczony. A więc należał do Pana Jezusa, tak mówili *ozungu*. A przecież nie był ich prawdziwym bratem, chociaż to obiecywali; nie był im równy. Dlatego czuł do nich urazę.

- Nie kochaj *ozungu* - często mu powtarzała matka. - Nie szanuj ich. Nie uznawaj ich praw. Ale również, mój synu, nie lekceważ ich, tylko zawsze pamiętaj przysłowie, które mówi: mądry człowiek staje przed bawołem ostrożnie.

- Teraz zjemy - powiedziała w końcu Oczera, chochlą nakładając kleik z prosa na bananowe liście. - A ty mi wymienisz wszystkich przodków, począwszy od Pierwszych Rodziców. Potem pójdziemy do puszczy na tajemne zebranie. Ma przyjść ktoś wielki, żeby przemówić do Dzieci Mambi. Będziesz słuchał, Davidzie Kabiru, i zapamiętywał jego słowa, tak jak zapamiętałeś imiona wszystkich przodków.

\* \* \*

Ondziru została w szkole po lekcjach, żeby pomagać *memseeb* Pameh, nauczycielce, przy sprzątaniu. Nie z miłości do *memseeb* ani me w poczuciu obowiązku wobec szkoły; ta dziewięcioletnia dziewczynka zawsze korzystała z każdego pretekstu, byle tylko nie wracać do wioski z chłopcami, bo przez całą drogę dokuczaliby jej niemiłosiernie. Nie bała się ich. Ondziru nie bała się niczego oprócz kameleonów, których lękali się wszyscy Kikuju. Chodziło o to, że jej matka

ciężko pracowała, żeby być szanowana, więc bardzo się martwiła, widząc jej sukienki podarte albo zabłocone przez dokuczliwych chłopaków. .

Po sprzątaniu Ondżiru powiedziała nauczycielce *kua hen*, do widzenia, i wyszła z chaty szkolnej. Słońce chyliło się ku zachodowi Musiała się pośpieszyć, by wrócić do domu przed zapadnięciem zmroku. Ale w bramie pod napisem: MISJA GRACE TREVERTON zatrzymała się. Przed nią rozciągała się połać bujnej trawy, nieszczęsnej w swojej bezużyteczności. Żadne zwierzęta tu się nie pasły, żadnych plonów nie uprawiano. A przecież o tę trawę dbali ogrodnicy i sprawdzał ich pracę *buana* z batem. Kiedyś Ondżiru widziała, jak galopują po tej trawie biali na koniach, wymachując wielkimi kijami, a *memseeb* w jasnych sukniach i kapeluszach, siedzące pod drzewami oliwnymi i kamforowymi wokoło, wykrzykują niczym żony wojowników.

Ale nie na boisko polo Ondżiru teraz patrzyła, tylko na chatę za boiskiem. Dwie osoby tam, ledwie widoczne w resztkę światła dnia, kończyły wieczorny posiłek.

Ondżiru wiedziała, kto to. Jej matka często chodziła do znachorki, gdy dzieci chorowały. I raz ta wdowa po legendarnym naczelniku Madengeju przysłała do wioski, mówiła ludziom o przodkach, a potem na jej cześć rodzina Ondżiru raczyła wszystkich piwem. Urzeczona dziewczynka dużo o niej słyszała. *Ozungu zakazali* znachorce stosować odwieczne sztuki, ale ona dalej robi swoje. Jej opór wzbudził w całym klanie zbożny szacunek. Jej syn o dwóch imionach, David Kabiru, ostatnio zaczął chodzić do szkoły *memseeb dektari*. Chwali się, że matka chce, by się nauczył zwyczajów białego człowieka, przygotowując się na dzień, gdy Dzieci Mambi zażądadają oddania Ziemi Kikuju, przecież ich własnej.

Ondżiru zobaczyła, że ci dwoje wybierają się do puszczy. Dosłyszała, jak Oczera z powagą mówi coś do Davida. Wyczuła, że to coś ważnego. Zaciekawiona, zdecydowała się pójść za nimi.

Droga była długa, czaiły się złe duchy, złociste oczy mrugały w zaroślach. Ondżiru zdawała sobie sprawę, że jej mama będzie się o nią niepokoić, a przecież nie mogła się nie poddać powabowi tej tajemniczości.

Ostatecznie znachorka wprowadziła chłopca na polanę, gdzie w ciszy, ku zdziwieniu Ondżiru, siedziało wielu mężczyzn, a wśród nich kilku z jej wioski. Przeważnie byli przyodziani w *szuka* i koce i mieli laski zamiast włóczni. Nieliczni przyszli ubrani po europejsku, najwidoczniej prosto z pracy w którejś z misji.

W takim zgromadzeniu nie mogło być kobiet, a przecież żaden z tych mężczyzn nie zaprotestował przeciwko obecności znachorki. Posadzili ją między sobą, podali jej tykwę z piwem. Jak gdyby była mężczyzną, pomyślała Ondżiru, wybałuszając oczy.

Coraz więcej mężczyzn przychodziło; wylaniali się raptem z mroków. Ognia nie rozpalili, polanę zalewała księżycowa poświata. A księżyc był w pełni, pora załatwiania ważnych spraw. Zebrani siedzieli na ziemi, na głazach, na zwalonych pniach, popijali piwo z trzciny cukrowej, niektórzy żuli łydźki liści *miree*, inni przekazywali sobie butelkę *koloby*. Ondżiru wiedziała, co to jest *koloba*: ten trunek białych mężczyźni Kikuju cenili tym bardziej, że dla nich był zakazany. Dlatego też nazywali go „kolorowa krata”.

Przejawiali typową afrykańską cierpliwość. Żaden z nich nie miał zegarka; żaden nie przejmował się mijaniem czasu. Ondżiru jednak nie wiedziała, że na polanę przywiodła ich ciekawość; z ust do ust przeleciała wiadomość o przybyciu w ten wieczór słynnego Jomo. Miał on przemówić, przedstawić cele Centralnego Związku Kikuju. Za drzewami stało kilku mężczyzn na czatach. I żeby wykluczyć ewentualnych rządowych donosicieli, każdy ze zgromadzonych miał złożyć uświęconą przysięgę, że zachowa tajemnicę. Zebranie było nielegalne.

Nagle dziwny odgłos wdarł się w ciszę puszczy. Brzmiało to jak burczenie w brzuchu słonia z początku daleko, a potem coraz bliżej i głośniejsze, aż niejeden z czekających poderwał się do ucieczki. Ale to ów Jomo przyjechał swoim angielskim motocyklem.

Ci nieliczni, którzy już słyszeli jego przemówienia, uspokoili bojaźliwych, oznajmiając:

- Jomo Kamau.

Wysoki, potężnie zbudowany Kikuju, mający głos mocny, wzrok bystry i, jak wszyscy zauważyli, ozdobny plemienny pas na sobie, zwany *makibi o kiniata*, wszedł w sam środek kręgu.

Siedzieli oczarowani, gdy zaczął mówić o losie Afrykanów, o potrzebie zjednoczenia się, o potrzebie wykształcenia. Oczera i jej syn też słuchali i słuchała dziewczynka Ondżiru.

- W dawnym układzie społeczeństwa afrykańskiego - mówił Jomo Kamau - chociaż podobno wiele zła się z nim kojarzy, człowiek był człowiekiem i jako taki miał prawa człowieka i wolność, czyli mógł zgodnie ze swoją wolą i uznaniem obierać kierunek, jaki odpowiadał jego celom i celom jego rodaków. Natomiast obecnie Afrykanin, jakkolwiek ma pozycję, jest jak koń, który musi iść w kierunku narzuconym przez jeźdźca... Afrykanin podniesie się

na wyższy poziom tylko wtedy, gdy będzie mógł swobodnie się wypowiadać i organizować gospodarczo, politycznie i społecznie, a także uczestniczyć w rządzeniu swoim własnym krajem.

Gdy umilkł, zaległa cisza. Rozejrzał się po twarzach słuchaczy, zatrzymując przelotnie spojrzenie na pięknej młodej znachorce w starodawnym stroju.

- Możecie tutaj mówić, co myślicie - powiedział. Niejaki Miarajgo z wioski Ondżiru zapytał:

- Co ty nam opowiadasz? Mamy wypędzić białych z Ziemi Kikuju?

- Nie o rewolucji, tylko o równości opowiadam, bracie. Kto z nas czuje się równy swojemu białemu panu i władcy?

Inny z zebranych, Tymothy Mindżaji, powiedział: - *Ozungu* dają nam tak dużo! Zanim przybyli, żyliśmy w ciemnościach i grzechu. Teraz mamy Jezusa. Jesteśmy nowocześni w oczach świata. Niejeden mu przytaknął.

- Ale co mamy w zamian? - zapytał Jomo. - My daliśmy im ziemię, a oni nam dali Boga. Czy to sprawiedliwa wymiana?

- *Buana* jest dla nas dobry - powiedział Miarajgo. - Nasze dzieci są teraz zdrowsze, moi synowie uczą się czytać i pisać, moje żony gotują z mnóstwem oleju i cukru. Zanim *buana* przybył, tego nie mieliśmy.

- Ale byliśmy mężczyznomi. Możecie to powiedzieć o sobie teraz?

Popatrzyli porozumiewawczo jedni na drugich. Ktoś ze starszyny wstał groźnie, z wysoka spojrzął na młodego Kamau i odszedł w mrok, kilku zerwało się i ruszyło za starcem. Ci, którzy zostali, patrzyli na parweniusza podejrzliwie.

- My to miliony ludzi, oni to tylko tysiące! - huknął Jomo. - A jednak oni nad nami panują!

- Czyż garstka starszych nie rządzi wszystkimi Kikuju? - przeciwstawił się któryś.

Jomo przeszył go wzrokiem.

- Czy tysiące hien rządzi milionem lwów? - Z kieszeni na biodrze wyciągnął gazetę i machnął nią jak maczugą. - Czytajcie! - wykrzyknął. - Czytajcie słowa samego białego człowieka. Oto przyznaje, że jeden procent ludności naszego kraju ustanawia wszystkie prawa. A ten jeden procent to przecież są obcy! Mają przodków w innych krajach.

Słuchacze zaszemrali.

- Zabrali nam włócznie i nasze dzwonki wojenne! - wrzasnął. -Z naszych mężczyzn zrobili kobiety! I teraz usiłują znieść uświęcone wtajemniczenie dziewcząt! Zamiast tego uczą dziewczęta czytać i pisać, a więc z naszych kobiet robią mężczyzn. *Ozungu* wywracają Kikuju na opak! Powoli sprowadzają zagładę na Dzieci Mambi. A wy jesteście jak owce, całujecie rękę, która wbyła sztylet! Zbudźcie się, Synowie Mambi! Działajcie teraz, zanim będzie za późno! Przypomnijcie sobie przysłowie: tych, co mówią „ja to będę robić”, prześcigną ci, co mówią „ja to robię”.

Przeszedł przez krąg i stanął przed jednym ze starszych siedzących na ziemi. Starzec, owinięty kocem, miał laskę i zawieszony na szyi mały metalowy pojemniczek.

- *Mzi* - zapytał Jomo już nie tak głośno i raczej z szacunkiem -co to jest, ten twój naszyjnik?

Starzec był ostrożny.

- Ty wiesz, co to jest - odrzekł. - Sam taki nosisz.

- A jakże! - wykrzyknął Jomo. - To jest *kajpende*, dowód tożsamości, który *ozungu* każą nam mieć przy sobie. Ale większość z was nie ma. ubrań z kieszeniami, więc musicie nosić wasze dowody na szyjach, jak psy!

Słuchacze zdrętwieli. Zimno się zrobiło wszystkim, gdy oczy *mzi* napotkały oczy tego podżegacza. Po chwili dostojny starzec wstał i powiedział cicho, z nienawiścią:

- Biały człowiek przybył i wyprowadził nas z ciemności. Pokazał nam większy świat, o którym nic nie wiedzieliśmy. Dał nam lekarstwa i Boga, szosy i książki. Nauczył nas lepszych zwyczajów. Ten *kajpende*, który noszę, mówi ludziom, kto ja jestem. Nie wstydzę się go. I nie muszę ciebie słuchać.

Odwrócił się pełen godności i opuścił polanę tak, jakby wychodził ze swojej sali tronowej. Inni starsi też wstali i wraz z nim odeszli. Ale młodszy się nie ruszyli. Do nich zwrócił się teraz Jomo.

- Siedem lat minęło od masakry naszych w Nairobi po uwięzieniu Harry'ego Thuku. Nadal trzymają go w więzieniu za to, że działał w sprawie *juhuru*, niepodległości. Sto pięćdziesiąt naszych nieuzbrojonych mężczyzn i kobiet zastrzelili na ulicy jak zwierzęta. Czy dalej będziemy na to pozwalać?

Kolejno każdemu z siedzących kręgiem patrzył w oczy, przeciągle, magnetycznie, dopóki nie spuszczała wzroku.

- Powiem wam - oświadczył pełen spokojnej siły - że jeśli któryś z was pracuje u białych, to nie jest Afrykaninem. Słyszycie mnie?

- *Ej* - odpowiedziało kilku. - Tak.
- Czy nasza męskość nie jest warta więcej niż cukier i olej?
- *Ej* - odpowiedzieli trochę głośniej.
- Czy nadal będziemy jeździć wagonami kolejowymi trzeciej klasy, kiedy biali jeżdżą pierwszą? Czy będziemy się godzić z poniżającym nas wymaganiem przepustek, żeby powędrować z jednej wioski do drugiej? Czy będziemy przyzwalać na rozporządzenia, które nam zakazują palić w obecności białych, każą zdejmować przed nimi czapki, stać na baczność? Czy jednak zaczniemy żyć jak mężczyźni?
- *Ej!* - wykrzyknęli.

Ondżiru czuła, jak jej młode serce łomocze. Charyzmatyczny Jomo Kamau czarował głosem. Niewiele rozumiała z jego słów, ale słuchała rozgrzana mocą, z jaką mówił. Szeroko otwartymi oczami patrzyła, jak jeszcze kilku z kręgu niechętnych temu radykałowi i obawiających się policji wstaje i odchodzi. Widziała lękliwe zerknięcia pozostałych: siedzieli, wierząc się w podnieceniu. Niektórzy szeptem wyrażali poparcie dla mówcy, inni milczeli. To było tak, jakby on kijem poruszał żar prawie wygasłego ogniska. Stare zimne już węgielki usuwały się na bok, te jeszcze ciepłe słabo się tliły, a te nowe gorące czerwieniały, buchały płomieniem w sam środek ogniska. Właśnie tych młodych Ondżiru tak widziała - chłopaków w szortach khaki, którzy nauczyli się czytać i pisać, ale nigdy nie mieli ani szylinga w kieszeni. To ci niezadowoleni młodzi rozplómieli się pod chuchnięciem Jomo Kamau.

Ku zdumieniu Ondżiru znachorka powoli wstała i ruszyła do niego. Wszyscy ucichli. Podeszła, wymieniła z nim wyrazy szacunku. Potem głośno Oczera, wdowa po legendarnym Madengeju, powiedziała:

- Mam widzenie, synu Mambi. Przodkowie pokazali mi twoją przyszłość. Ty poprowadzisz ten lud z powrotem do dawnego życia. Uwolnisz nas od jarzma *ozungu*. Wejrzałam w twoje dni jutrzejsze i zobaczyłam, czym kiedyś będziesz. Ty będziesz lampą Kenii, będziesz *Kenia taa*.

Oczy mu zamigotały, coś przemknęło po jego twarzy. Po chwili uśmiechnął się, przytaknął i patrzył, jak ona odchodzi. Oczera wróciła na swoje miejsce. Ujęła syna za rękę.

- Zapamiętasz tę noc i tego człowieka, Davidzie. Ondżiru to podsłuchiwała. Też miała pamiętać.

## *Rozdział 25*

Huknął grzmot. W Domku Ptasiej Pieśni zrobiło się na chwilę olśniewająco biało od błyskawicy. Grace wzięła list Rose, zaczęła czytać:

*Kochana Grace.*

*Pogoda tutaj jest przeraźliwie straszna i zwariuję, zamknięta w czterech ścianach. Bella Hill to taka mroczna siedziba. Kiedy Valentine jest w domu (często i na długo jeździ do Londynu, bo przemawia w Parlamencie w imieniu białych Kenii), on i Harold tak zajadle się kłócą, że tylko to mogę robić, by zachować zdrowe zmysły.*

*Ale cudownie mi wychodzi to haftowanie! W jednym z wiejskich sklepików znalazłam przepiękny odcień czerwieni. Przyda mi się na płatki moich hibiskusów. Czy ja ci już pisałam, że zdecydowałam się umieścić na gobelinie hibiskusy? Nie wiem, czy one rosną na zboczach góry Kenya, ale jakoś wydają mi się stosowne. Co myślisz o wprowadzeniu odmian haftu węgierskiego na niebo? Nie byłoby przeladowane? Wciąż jeszcze będę się nad tym pustym miejscem. Ani rusz nie wiem, czym je zappełnić. Góra idzie mi dobrze; niektóre z drzew już mają wykończoną do ostatnich szczegółów korę. Teraz zajmę się lampartem, który będzie czaić się za paprociami. Niewątpliwie ten fragment zabierze mi rok czy nawet dwa lata życia! Tylko co, na Boga, umieścić w tym pustym miejscu?*

*Odpowiadając na twoje dwa ostatnie listy, jeszcze nic nie ma do doniesienia o stanie Arthura. Nie musisz mnie łajać, Grace. To, że o nim nie piszę, nie znaczy, że się nim nie przejmuję. Pewien specjalista na Harley Street miał czelność powiedzieć Valentine'owi, żeby zabrał Arthura do freudowskiego psychoanalityka! Jakąż to wywołało awanturę.*

*Dlaczego listopad w Anglii jest zawsze taki ponury? Czy w Kenii zaczęły się deszcze? Modlę się o to. Moje róże i ostróżki bardzo ich potrzebują. Dostałam list dzisiaj z pocztą poranną od Lucille Donald z Ugandy. Píše tylko o swojej dobroczynności.*

*Chyba nie będziemy w domu na Gwiazdkę. Nawet jeżeli wyjedziemy z Anglii, statkiem płynie się sześć tygodni. Moje serce jest w Kenii z wami wszystkimi.*

*Serdecznie Cię pozdrawiam, Rose*

Grace westchnęła i odłożyła ten list. Był napisany na cienkim papierze różowym i pawio-niebieskim, w kolorach Trevertonów. Poniżej nadrukowanego herbu: lwa i gryfa, całe stronicę wypełniało ozdobne pismo Rośe. Pisanina o niczym, pomyślała.

Spojrzała na spód strzechy, gdy grzmoty dudniły od strony góry Kenya. Wiatr szeleścił tym suchym papirusem i trzaskały drwa na palenisku kominka. Siedziała sama. Mario poszedł na noc do swojej przybudówki, Mona spała w niedawno dobudowanym pokoju. Po wyjeździe Valentine'a i Rose wielki dom został zamknięty.

Lepiej nie myśleć o pustym Bellatu. Przypomina tylko pustkę w sercu.

Odrywając myśl od cieni, które napierały, Grace spróbowała się skoncentrować na problemach ostatnio wymagających rozwiązania. Miała kłopot z serum do szczepienia ospy, przysłanym z Anglii: nie działało, bo źle zniosło podróż - szczepienie okazało się rytuałem bezskutecznym. Martwiły ją też trudności z wprowadzeniem w życie „projektu pieluszkowego” - daremnie wyprawiała pielęgniarki do buszu, żeby uczyły Afrykanki sporządzać pieluszki i, co ważniejsze, używać ich dla swoich niemowląt. Martwiły ją dzieci wciąż poparzone opiiem podczas gotowania, dzieci odwodnione i konieczność sprawdzania, czy filtry do wody wszędzie są używane. Znow były przypadki czerwonki, pasożyty stawały się coraz większym zamiast coraz mniejszym problemem. Niedożywienie wzrastało w miarę nieustannie dużego przyrostu ludności; noworodki umierały na tężec, przychodząc na świat w warunkach urągających wszelkiej higienie. Ta lista wydawała się nieskończona.

Grace usiłowała pokonać dwie niezmiennie przeszkody: ciemnotę Afrykanów i uporczywe ich zaufanie do lekarzy plemiennych. Wiedziała, że pierwszą z tych przeszkód mogą w końcu usunąć książki szkolne i nauczyciele, ale pokonanie drugiej jest o wiele trudniejsze. Chociaż misje wywierały nacisk na ludzi, żeby nie



zwracali się do miejscowych znachorów, skutek był tylko taki, że leczenie tradycyjne odbywało się bardziej skrycie. W niejedną bezsenłą noc Grace, wdychając na werandzie świeże powietrze, widziała w księżycowej poświacie sylwetki wchodzących ukradkiem do chaty Oczery.

To jest jej wróg. Oczere trzeba unieszkodliwić.

Sięgnęła po list, który dostała od Jamesa. Grzmiało coraz bliżej. Lada chwila burza się rozszaleje. Czy Mona się nie obudzi? - pomyślała. James napisał:

*Mamy tutaj w Ugandzie te same problemy, co wy. Wioski są daleko od siebie, głęboko w dżungli, więc lekarze misyjni nie mogą dotrzeć do wszystkich. Ci ludzie umierają z najprostszych powodów! Biegunka, odwodnienie, niedożywienie, infekcje - można by temu zapobiegać, można by to leczyć, gdyby tylko dało się w jakiś sposób oświecić Afrykanów w podstawowych sprawach zdrowia. Tyle już razy, Grace, przyjeżdżałem do wiosek, widziałem niepotrzebne cierpienie i myślałem: gdyby był jakiś przewodnik, do którego moglibyśmy się odwoływać, przeznaczony nie tylko dla personelu niemedycznego, takiego jak Lucille i ja, ale i dla samych krajowców. Ty powinnaś napisać taką książkę. Modlimy się, żebyś kiedyś to zrobiła.*

Oczy jej się zamglily, gdy odłożyła ten list. Książka. Zamiast lekarza. Z przystępnymi wyjaśnieniami i rysunkami.

Tak James sobie tę książkę wyobraża. Długo patrzyła w ogień, rozmyślając o tym, słuchając, jak burza szaleje coraz bliżej.

\* \* \*

- Ani trochę nie boisz się błyskawic, prawda? - zapytała Mona.

David miał obojętną minę. Wolałby uciec do chaty, gdzie spała matka, ale wtedy wydałby się tchórzem, a przecież musiał pokazać córce *buany*, że jest nieustraszony.

Ona rzuciła mu wyzwanie.

Przypadkiem spotkali się w to popołudnie nad rzeką, Mona oznajmiła, że wróciła do Kenii na zawsze. David sprostował, że z pewnością nie na długo. I pokłócili się, czyja to ziemia, David podpierając się autorytetem matki, Mona autorytetem ojca. Z kłótni wyłoniło się to wyzwanie: spotkają się o północy w miejscu tabu. Kto będzie odważniejszy, do tego prawowicie należy ta ziemia.

Tak więc David, żeby wykazać Monie swoją odwagę, był tutaj w środku nocy, przycupnięty pod plecioną ścianą ambulatorium.

Zimny wiatr smagał go przez cienką koszulę, błyskawice rozrywały niebo, oświetlały niskie czarne chmury niosące deszcz. David, jak każdy Kikuju, nie lubił burzy. Wiedział, że ten deszcz nie jest normalny. Takie gniewne burze zdarzają się bardzo rzadko i wtedy Dzieci Mambi muszą się zastanowić, czy bóg się na nich nie rozgniewał - nie ten bóg Jezus *ozungu*, któremu śpiewają pieśni w niedzielę i którego chwala w dobrych czasach, tylko Ngai, pradawny bóg Kikuju. Do Ngai powracali, ilekroć ogarniał ich pierwotny lęk.

Wiatr targał krótkie czarne włosy Mony. Kombinezon khaki, włożony na bluzkę z długimi rękawami, rozdymał się wokół niej. Położyła się do łóżka ubrana, była zakryta kołdrą po sam podbródek, gdy ciocia Grace przyszła pocałować ją na dobranoc.

- Zobaczymy, jaki odważny z ciebie wojownik. Wyzywam cię, żebyś tam wszedł. - To mówiąc, Mona wskazała drzwi chaty operacyjnej.

Przy tej małej chacie, nie większej niż chata matki Davida, nie było werandy. David pchnął dłonią drewniane drzwi, które ustąpiły ze skrzypnięciem, i w tej samej chwili błyskawica oświetliła deski podłogi, rząd szafek, elektryczne lampy zwisające z belek i prymitywny stół operacyjny.

Tutaj panowała największa czystość, tak dalece bez insektów i gryzoniów, jak to jest możliwe w takich chatach. Tutaj Grace operowała przypadki, których nie kierowała do dużego szpitala w Nairobi, dokonywała zabiegów i koniecznych operacji natychmiastowych. David nigdy dotąd nie wchodził do tej chaty, otaczanej przez pracowników misji czcią i bojaźnią, bo to właśnie tu *memseeb dek-tari* czyniła potężne czary. Nie wątpił, że wchodząc teraz, pogwałci tabu.

- Prędzej! - szepnęła Mona tuż za nim. - Wyzywam cię! David przełknął ślinę. W ustach mu zaschło, serce waliło. Wokoło ryczała burza. Wydawało się, że od grzmotów ziemia się trzęsie. W przelotnych rześzystych jasnościach błyskawic teren misji wyglądał niesamowicie. Drzewa pod chłostą wichury, nawet pnie, chwiały się w gorączce. Wielki świst rozgłośnie dolatywał z góry Kenya, jak gdyby Ngai dyszał furia. David zdretniał, przerażony.

- Wejdz! - wrzasnęła Mona. - Czy może jesteś tchóYzem?! - Ale słowa, porywane z jej ust, ułatywały z wiatrem. Zaciskając pięści przy bokach, drżąc całym szczupłym ciałem ze strachu i z zimna, David przymknął oczy, zrobił krok naprzód.

- Dalej... do środka!

Chata zatrzęsała się, gdy piorun huknął i wiatr zawirował. Strzecha się oderwała i podniosła. Kurz opadł tumanem gryzącym dzieci w oczy. Na czarnym niebie pojawiły się języki ognia. Niedaleko w puszczy drzewo trafione piorunem zaczęło się palić.

Oboje krzyczeli.

Teraz ściany chaty się zatrzęsnęły, wiatr wdzierał się przez trzciny i papirusy. Spojrzeli w górę. Dach płonął.

Podlecieli do drzwi, ale na próżno usiłowali je otworzyć. Mocno się zacięły.

Byli w pułapce.

Czując dym, Grace przerwała pisanie dziennika i podeszła do okna.

Trzy chaty stały w płomieniach.

- Boże drogi - wyszeptła. - Mario, Mario! - Wybiegła frontowymi drzwiami za dom do przybudówki, skąd służący już wychodził, dopinając na sobie szorty.

Zaczęli przybiegać do palących się chat zaspani pracownicy misji. Gdy Mario ruszył do chaty operacyjnej, Grace zawołała:

- Nie! Zostaw wyposażenie. Ratuj pacjentów!

Poszli prosto do podłużnej chaty szpitalnej i zobaczyli, że dwie pielęgniarki już wyprowadzają z niej ludzi. Paliły się dwie ściany i dach.

Wiatr niósł iskry od chaty do chaty, aż pożar ogarnął wszystkie. Płomienie buchały w niebo, pracownicy misji borykali się z noszami i fotelami na kółkach, wytaszczali sprzęty. Grace usiłowała nadzorować ten chaos, przekrzykiwać ryki wichury i ognia. Ale personel był w panice. Mężczyźni rzucali się do płonących chat i nie mogli się z nich wydostać, próbując ratować stoły i krzesła. Pojemniki z tlenem eksplodowały. W piekielnym hałasie słyhać było brzęk tłukącego się szkła. Ludzie biegali tu i tam, wymachiwali rękami, wrzeszczeli, a Grace łapała ich, wydawała rozkazy, starała się kierować bezpieczną ewakuacją chorych.

- *Memseeb!* - wrzasnął Mario, ciągnąc ją za nocną koszulę. - Tam!

Odwróciła się. Jej dom płonął. Mona!

- Mario, gdzie jest Mona? Widziałeś ją?

Pobiegł do domku, ale odrzucił go stamtąd wybuch płomieni. Grace podniosła go na nogi i zaciągnęła w bezpieczne miejsce. Sama pobiegła w tamtą stronę, wołając Monę. Gdy mijała chatę operacyjną na pół gorejącą, doleciały do niej jakieś głosy.

Podbiegła do drzwi, przyłożyła ucho. Dym dobywał się przez szpary w deskach. Dach był stożkiem ognia. Grace nasłuchiwała. Dosłyszała słabe głosy dzieci.

- Mona! - Spróbowała otworzyć drzwi.

Mężczyźni przybiegli z bananowymi liśćmi. Zdławili nimi płomienie, które od góry lizały ściany. Ktoś rzucił garść piachu. Grace napała na drzwi. Jeden z Afrykanów odciągnął ją i pchnął drzwi całym ciałem, ale bez skutku.

Chata zaczęła się rozpadać. Krzyki dzieci ucichły.

Wkrótce teren misji był ognistym piekłem i Afrykanie zaczęli się wycofywać, zaleknieni.

Grace krzyczała, waląc w drzwi. Leciał na nią rój iskier i sadzy, żar przypiekał jej twarz i płuca.

- Mona! - krzyczała.

Wreszcie drzwi się otworzyły i buchnął dym. Osłoniła twarz, opadła na kolana i sięgnęła ręką do chaty. Namacała czyjaś kończynę, chwyciła mocno i szarpnęła z całej siły. Wyciągnęła tak Davida i w tej samej chwili osunął się kawał płonącego papirusu. Uderzył ją w głowę, ale nie przestawała Davida ciągnąć, dopóki nie znalazł się poza zasięgiem ognia. Potem, walcząc z żarem i dymem, pośpieszyła po Monę.

I akurat wtedy lunął deszcz.

Lunął z pęczniejących chmur na to piekło. Płomienie się kurczyły, wielki syk rozbrzmiewał w powietrzu. Burza ze swymi grzmotami przesunęła się dalej. Ulewa zmieniła się w płynącą z nieba rzekę.

. Potykając się w długiej nocnej koszuli, Grace z trudem człapała po błocie. Ściany chaty przedtem w ogniu, teraz namokłe, zgrubiały. Rzuciła się poprzez obłok pary i tłący się papirus i ślizgając się, osuwając, szukała Mony.

Afrykanie odeszli, zniknęli w potopie.

Mona leżała tam, gdzie upadła przywalona szafką z instrumentami. Teraz, na domiar złego, pod naporem nawałnicy spadł na nią dach, zanim Grace zdołała ująć ją, żeby wyciągnąć. Gorączkowo zaczęła rozrywać mokrą strzechę.

Mona leżała nieruchomo, jej blade przedramię sterczało nienaturalnie zgięte.

Deszcz zalewał Grace bezlitośnie, oblepiał włosami twarz. Usiłowała podnieść szafkę, ale nie mogła. Wołała o pomoc, ale wiatr

napełniał otwarte usta deszczem. Widziała przed sobą tylko to, co najbliżej. Deszcz był jak mur. I szybko przeistaczał zwęgloną podłogę chaty w jezioro. Niewiele brakowało, żeby Mona spaliła się żywcem, teraz groziło jej utonięcie.

- Na pomoc! - krzyczała Grace. - Niech ktoś przyjdzie, Mario! Rozejrzała się, zdesperowana. Na terenie misji nie było nikogo.

Czarne resztki chat i szpitalnych sprzętów syczały pod strugami wody.

- Na pomoc! - wrzasnęła. - Gdzie są wszyscy?

Zobaczyła, że jakaś postać wyłania się z płachty deszczu i powoli się zbliża.

- Proszę, pomóż mi - wyszlochała. - Moja brataniczka jest przygnieciona. Może jeszcze żyje.

Oczera patrzyła na nią. Twarz miała jak z kamienia.

- Do diabła! - krzyknęła Grace. - Nie stój tak! Pomóż podnieść tę szafkę!

Znachorka powiedziała tylko jedno słowo:

- *Tseha*.

- Żadna cholerna *tsehal* - wrzasnęła Grace, wpijając palce w szafkę, łamiąc paznokcie. - To burza, nic poza tym! Pomóż!

Oczera się nie ruszyła. Stała w ulewnym deszczu. Jej skórzana suknia przemokła, deszcz spływał z огоłonej głowy. Grace zerwała się.

- Do diabła! - wrzasnęła. - Pomóż mi ratować to dziecko! Kamienne oczy się poruszyły. Znachorka spojrzała na tę żalosną

rękę, sterczącą spod szafki. Poziom wody podnosił się wokół zmartwiałej Mony.

- Ja ci uratowałam syna! - wrzasnęła Grace.

Oczera odwróciła głowę. Gdy zobaczyła Davida, który w błocie już odzyskiwał przytomność, wyraz jej twarzy się zmienił. Przeniosła wzrok z chłopca na białą kobietę, a potem na szafkę. Bez słowa pochyliła się, mocno ujęła szafkę z jednej strony, Grace chwyciła z drugiej i obie razem, dysząc, wyężdżając siły, zdołały odciągnąć ten ciężki mebel.

Grace uklękła, delikatnie odwróciła Monę. Zgarnęła włosy i błoto ze śmiertelnie bladej twarzyczki.

- Mona? - zapytała. - Mona, kochanie? Słyszysz mnie? Wyczuła tętno na szyi dziewczynki. Przyłożyła policzek do jej szarych ust i wykrzyła słabiutki oddech. Mona żyje. Ale ledwo, ledwo.

Spróbowała się zastanowić. Usiadła z bratanicą w objęciach i rozejrzała się. Gdzie są wszyscy?

Jak gdyby czytając jej myśli, Oczera powiedziała: - Oni cię opuścili. Lękają się *tsehy*. Lękają się kary Ngai. Grace nie przyjęła tego do wiadomości. Przytulając nieprzytomną dziewczynkę, gorączkowo szukała wzrokiem jakiegoś schronienia. Chaty już nie były chatami, jej dom stał się skorupą, w którą wiatr chlustał potokami wody. Wysilała umysł, ale nie mogła myśleć jasno. Siedziała w błocie i tylko osłaniała twarz Mony przed deszczem.

Moje instrumenty, moje lekarstwa, moje opatrunki... Wszystko przepadło.

Nagle pomyślała o Bellatu. O sypialniach tam i suchych łózkach. W którejś z łazienek powinny być jakieś leki.

Bandażę można zrobić z prześcieradeł.

Spróbowała wstać. Ale w głowie jej się kręciło wskutek uderzenia. Do prawego oka kapnęła krew. Dostać się do Bellatu. Ale ta droga, na pewno nie do przebycia!

Poprzez deszcz zobaczyła swoją ciężarówkę, tonącą po stopień szoferki w błocie. Szosa do Nyeri też będzie jednym długim bagnem. Wiedziała, że nikt by nie zdołał przejechać.

Przyciskając do siebie Monę, jeszcze raz próbowała wstać. Pośliznęła się i upadła. Wtedy zobaczyła paskudną ranę na nodze Mony. Spróbowała zbadać jej tętno.

Tracę ją!

Za trzecim razem udało jej się utrzymać na nogach. Potykając się, ruszyła pod strugami deszczu w kierunku Bellatu.

Mona była martwym ciężarem. Wydawało się, że burzliwy świat się przechyla, ziemia usuwa się spod nóg. \*

Grace się rozszłochała. Brnęła w błocie po kolana, wciąż nadeptywała obręb swojej nocnej koszuli w strugach deszczu, który siekał jej plecy. Mona była coraz cięższa. A trzeba dojść do domu, inaczej obie utoniemy tutaj, same w tym błocie.

Dwie czarne ręce połyskliwie mokre wyciągnęły się i nagle już nie było ciężaru. Oczera łatwo uniosła Monę i odeszła. Grace patrzyła za nią.

Zobaczyła, że David idzie za matką: szli na boisko polo. - Zaczekajcie - szepnęła. W głowie jej kołowało. Zziębnięta, przemoknięta i zdrętwiała Grace chwiejnie poczłapała za afrykańską znaczorką, wracającą do swojej chaty.

## Rozdział 2 6

Grace otworzyła oczy. Niewiele było do zobaczenia - tylko mroczne, zadymione wnętrza chaty afrykańskiej. Spróbowała się poruszyć. Wszystkie stawy i mięśnie ją bolały. W głowie miała mgłę, nie mogła sobie przypomnieć, gdzie jest i co się stało.

Leżała nieruchomo i słuchała stukania deszczu w strzechę. Zaczęła rozpoznawać zapachy swojskie i obce zarazem. Ktoś mówi. Śpiewa? Znow spróbowała się poruszyć. Wszystko w chacie się zakołysało. Poczowała mdłości.

Jestem sama. Żadnych gwałtownych ruchów.

Z wolna rozjaśniło jej się w głowie, myśli się koordynowały. Ten deszcz. Była burza. I pożar... Mona!

Grace raptownie usiadła. Wnętrze chaty się przechyliło. Teraz zobaczyła w mroku słabą lunę z rozgrzanych kamieni na ognisku, zarysy trzech postaci - jednej siedzącej, dwóch leżących. Gdy wzrok jej się oswoił, rozpoznała twarz Oczery, rysy jak z miedzi, wyraz głębokiego skupienia. Na posłaniu z bananowych liści spał nakryty koźlą skórą David. Dalej w głębi leżała Mona, upiornie blada.

Grace otworzyła usta. Wargi i język jej zaschły, z trudem zaczęła.

- Mona...

Ale znachorka przerwała ruchem ręki.

- Nie jesteś zdrowa - powiedziała. - Twoja głowa ciężko zraniona. Połóż się.

- Muszę zająć się Moną.

- Zadbaj o nią. Żyje. Teraz śpi.

- Ale... krwawiła.

Oczera wstała ze swego miejsca przy ogniu i podeszła do dziewczynki. Ściągnęła z niej skórzaną derkę, żeby pokazać skaleczoną nogę.

Grace patrzyła. Udo Mony było czyste, skaleczenie zakrywał opatrunek z trawy i liści, przywiązany rzemykiem. - To wymagało zszycia... - wyjąkała. W głowie jej się mąciło. Patrząc, jak Oczerza wyciąga rękę, dopiero teraz zobaczyła

na krągłej ścianie chaty wiszące tykwy i skórzane woreczki. Oczerza wzięła jeden z woreczków, coś z niego sypnęła sobie na brązową dłoń i pokazała. Były to żelazne igły różnej wielkości, pasemka owczych ścięgien i włókien kory. - Rana jest zamknięta - powiedziała Oczerza. Z powrotem włożyła wszystko do woreczka, zawiesiła woreczek na ścianie.

Grace patrzyła, ale oczy jej się rozbiegały. Jak gdyby cofała się w jakimś długim tunelu, obraz młodej znachorki zamazywał się przed nią. Znowu usłyszała ten śpiewny głos i pojęła, że to jej własny. Dlaczego śpiewam? Nie, nie śpiewam... jęcę.

Opadła na posłanie z bananowych liści. Wydawało jej się, że nie ma w sobie ani trochę siły. Moi pacjenci, pomyślała. Gdzie są wszyscy? Mario... Przyłożyła rękę do rozciętej głowy, na skroni wymacała liść. Zamknęła oczy i straciła przytomność.

\* \* \*

Oczerza kucnęła przy dziewczynce. Szepcząc zaklęcia, zdjęła z jej nogi opatrunek, obejrzała ranę. Wściekle czerwone nabrzmienie świadczyło, że do ciała wtargnęły złe duchy, więc z woreczka u pasa wyjęła parę listków, włożyła je do ust, żuła przez chwilę, a potem przyłożyła do rany zeszytej włóknem kory. Na nich przywiązała nowe suche liście. Z kolei obejrzała oparzone plecy dziewczynki. Soku aloesowego w tykwie zostało akurat dosyć na jeden kompres, powinna już wysłać Davida po świeży sok. Ale gdzie jest David?

Spojrzała w otwór wejściowy. Wciąż jeszcze padał ulewny deszcz. Padał nieustannie, cały świat był szary, pełen wody.

Przykryła dziewczynkę znowu ciepłymi koźlimi skórąmi i odwróciła się do *memseeb*, nadal nieprzytomnej. Zaczęła jej się przyglądać. Nigdy przedtem nie widziała białej kobiety tak z bliska, nigdy przedtem żadnej nie dotknęła. Zapatrzyła się na tę twarz dziwnie bezbarwną, na brązowe włosy wątłe jak świeże szyjki słupków rośliny; ujęła ręce, zdumiona, że nie ma na nich zrogowaceń. Ta *ozungu* jest jak nowo narodzone jagnię, białe i miękkie. Aż dziw, że takie kobiety mogą przetrwać na Ziemi Kikuju. A przecież mogą i z każdym dniem przybywa ich coraz więcej, w hełmach szerszych niż ramiona, w odzieży zasłaniającej całkowicie ich cienką skórę.



Co sprawia, że przybywają? Dlaczego są tutaj?

Siedząc przy śpiącej *memseeb*, znachorka dotknęła jej chłodnego suchego czoła. Tętno życia w szyi *memseeb*, czyli energia jej ducha odziedziczonego po przodkach, jest mocne. Ona ma zdrowie. Będzie żyć. Ale będzie na pół ślepa. Nic się nie da poradzić na to, że *memseeb* traci wzrok.

David wszedł, strząsnął z siebie deszcz i przysiadł przy ogniu. Ukradkiem zerknął na dziewczynkę śpiącą na jego pośłaniu. Żałował, że nie umarła.

Oczera, wrzucając do wrzątku w garnku na kamieniach trochę kory i korzeni, kazała synowi pójść nad rzekę i zerwać trzy lilie „koloru języka kozy”. Ale niech nie idzie do wioski na drugim brzegu, ostrzegła, bo rzeka wzbiera. Złe duchy by go złapały, wciągnęły pod wodę. Uściskała Davida, wdzięczna bogu Ngai za ocalenie mu życia, i patrzyła, jak on wychodzi znowu w deszcz.

Gdy wróciła do przygotowania naparu, zobaczyła, że *memseeb* jest już przytomna.

- Co z Moną? - zapytała Grace.

Znachorka kiwnęła głową na znak, że wszystko dobrze.

Grace spróbowała usiąść. Ku swemu zdumieniu była czysta, w suchej koszuli. Widocznie znachorka ją umyła.

W chacie panował zadymiony mrok. Światło dnia wpadało przez otwór wejściowy bardzo blade, płachty ulewy rozwieszały się nieprzerwanie. Grace usiłowała się zorientować, mrugając bezradnie. Właśnie wtedy pojęła, że wzrok ją zawodzi. Czytając na twarzy *memseeb*, Oczera wyjaśniła:

- Uderzyło cię w głowę. Tutaj - wskazała swoją skroń.

Teraz Grace poczuła okład z liści na czole z prawej strony. Nie pamiętała uderzenia. Podniosła rękę przed prawym okiem. Nie widziała jej.

- Nie mogłam ci ocalić wzroku - powiedziała Oczera. Grace zapytała zdumiona:

- Skąd wiedziałaś, że na to oko nie widzę?

- To stara wiedza. Kiedy w głowę się uderzy tu, wzrok gaśnie. - Oczera wzięła pustą tykwę, napełniła naparem i podała Grace. - Co to jest?

- To wzmocni. Pij.

Grace spojrzała na gorący płyn. Aromat wzlatającej pary nie był nieprzyjemny, ale nie dowierzała znachorce.

- Co to jest? - powtórzyła pytanie.

Oczera nie odpowiedziała. Odwróciła się od *memseeb* i podeszła do dziewczynki, która zaczynała się wiercić.

Obejmując Monę ra-

mieniem, przytknęła do jej zeschniętych warg tykwę. Mona piła z zamkniętymi oczami, cała zwiotczała. Grace poderwała się, żeby zaprotestować. Chciała odepchnąć znachorkę od bratanicy, zająć się Moną sama. Ale znowu poczuła mdłości. Odstawiła swoją tykwę na polepę i położyła się.

Myślała o tym oku. Wiedziała, że ciosem w skroń można oderwać siatkówkę, takie właśnie zranienie oślepiło admirała Nelsona. I to jest nieuleczalne. Ale skąd o tym wie ta Afrykanka?

Usiłowała zwalczyć dziwną słabość, niemożność podniesienia się z prymitywnego posłania. Muszę wezwać pomoc. Muszę wysłać wiadomość... Myślała o swoim personelu, o pacjentach, o Mariu. Przypomniała sobie Domek Ptasiej Pieśni taki, jak ostatnio go widziała: osmalony, wypatroszony, zalewany deszczem. Wszystko w ruinie.

Wśluchiwała się w deszcz. Był jak kołysanka. Patrzyła na znachorkę, która cierpliwie poila na pół przytomną Monę. Ostry zapach naparu przesycił powietrze. Wydawał się nawet swymi oparami pokrzepiać. Co jest w tej herbatce? Grace sięgnęła z posłania, ale drżącą ręką przewróciła tykwę, czarny napar się rozlał, wsiąkał w polepę.

Oczera pracowała powoli i cicho. Obróciła Monę, sprawdziła jeszcze raz opatrunki, po czym owinęła ją koźlimi skórami. Wróciła do ogniska, podniosła przewróconą tykwę, napełniła ponownie i usiadła przy *memseeb*. Tym razem objęła mocnym ramieniem Grace usiłującą usiąść i podtrzymała ją. A Grace z tykwy przyłożonej do ust wypila napar.

- Boli cię? - zapytała Oczera.

- Tak. Głowa. Strasznie...

Wszedł David. Położył trzy Me, usiadł pod ścianą i patrzył. Oczera odeszła od *memseeb* do kwiatów. Oderwała korzenie i liście, wrzuciła płatki do wrzątku i zaczęła je mieszać w czasie gotowania. Grace bezradnie obserwowała prosty proces przyrządzania wywaru. W głowie jej tętniło. Znow czuła się bardzo chora.

Gdy nowy napój wystygł, Oczera wróciła do Grace, pomogła usiąść, podniosła tykwę do jej ust. Ale Grace odsunęła głowę.

- Lilie wodne? - zapytała słabo. - Tego nie mogę wypić.

- To od bólu głowy.

- Ale... może być trucizną.

- Nie jest trucizną.

Grace spojrzała na tę ciemną twarz, oddaloną tylko o kilka cali ód jej twarzy. Oczy Oczery były jak brązowe kamyki znalezione

na dnie rzeki. Nic nie dawało się z nich odczytać. Spojrzała znów na różowawą herbatkę. Wypiła.

- Jak się czujesz? - zapytała Oczera w jakiś czas później, zaczynając gotować kleik z prosa.

- Czuję się lepiej - odpowiedziała Grace szczerze. Ból głowy ustępował, siły chyba powracały.

Już mogła się skoncentrować, zebrać myśli. Spojrzała na chłopca posepnie siedzącego pod ścianą i zastanowiła się, co on i Mona robili w chacie operacyjnej. Zapytała Oczere, czy nie dałoby się zawiadomić ludzi, gdzie jest.

Oczera mieszała kleik, bransolety z paciorków pobrzękiwały na jej rękach.

- Deszcz bardzo zły. Mój syn nie może iść. Kiedy deszcz ustanie, spróbujemy.

Grace wyobraziła sobie świat za ścianą lepianki - widywała już takie burze. Rzeka wezbrana, wzburzona, wszystkie szlaki i szosy jak wstęgi błota. Ludzie utknęli tam, gdzie byli, a spośród tych nieszczęsnych, których burza zaskoczyła w drodze, niejeden utonął.

Gdy dostała tykwę kleiku, stwierdziła, że ma apetyt, i jadła z przyjemnością. Oczera najpierw nakarmiła na pół przytomną Monę, potem zjadła trochę kleiku sama. David spałaszował swoją porcję, po czym zwinął się w kłębek i odwrócony do ściany, zasnął.

\* \* \*

Grace obudziła się pierwsza. Popatrzyła w górę na spód strzechy, posłuchała nieustannego pluskania deszczu. Z wysiłkiem powoli usiadła.

Oczera spała obok Davida, nakrywając go ramieniem tak skulona, że leżał jak w łyżce. Grace zwalczyła zawrót głowy i zdołała zsunąć się z liściastego pośłania. Podeszła do Mony, zbadała jej tętno.

Usiadła przy bratanicy, wpadając w popłoch. Mona ma wysoką gorączkę. Zdjęła opatrunek z uda dziewczynki i zapatrzyła się ze zdumieniem w równiutko zszytą skórę. Było zaczerwienienie, ale nieropiejące. Następnie^badała oparzone plecy. Blizna miała pozostać, ale dzięki szybkiej pomocy Oczery nie wdało się zakażenie.

Więc Mona ma gorączkę z jakiejś innej przyczyny; może to być wszystko: zimny deszcz, wywary znachorki, użądlenie owada - tyle insektów jest w tej chacie.

Trzeba jak najprędzej zaaplikować Monie coś na obniżenie temperatury. Bez termometru Grace wiedziała tylko, że dziewczynka ma gorączkę niebezpiecznie wysoką. Wstała i podeszła

do otworu wejściowego. W dużym domu w łazience Rose jest aspiryna. Cóż, kiedy deszcz jak mur oddziela chatę Oczery od wzgórza. Ścieżka do Bellatu na pewno zniknęła wśród bagna.

Słyszając za sobą szelest, Grace się odwróciła. Zobaczyła, że Afrykanka nie śpi i sięga po skórzany woreczek. Oczera, jak gdyby jej nie widziała stojącej u wejścia, wyjęła z woreczka korzenie i zaczęła je zgniatać kamieniem na kamieniu. Tę miazgę wymieszała w tykwie napełnionej wodą deszczową, po czym podeszła do Mony. Zanim przytknęła tykwę do ust dziewczynki, Grace zaprotestowała:

- Nie!

Oczera to zignorowała.

Powieki Mony zatrzepotały, usta się otworzyły, przyjęły trochę płynu.

Grace podbiegła do Oczery i chwyciła tykwę.

- Co jej dajesz?

- Akację - odpowiedziała znachorka. - Wyciągnie z niej ogień.

- Skąd wiesz, że jej nie zabije? Skąd ja mogę wiedzieć, że to nie od twoich leków ona choruje?

Oczera skierowała na Grace zimne wrogie spojrzenie. Sięgnęła po tykwę.

- Od moich leków ona nie choruje. Siedzą w niej złe duchy choroby.

- Bzdura. Nie ma czegoś takiego jak złe duchy. -Są.

- Pokaż mi je.

- Ich nie widać.

- Mówię ci, że nie ma czegoś takiego. Mona jest chora, bo dostały się do jej organizmu jakieś bakterie. Małeńkie stworzonka, które nazywamy „mikrobami”, sprawiają, że jest chora.

- Pokaż mi te mikroby.

- Za małe, żeby były widoczne;.. - Grace zamruwała. Dała sobie odebrać tykwę i patrzyła, jak Mona pije na pół we śnie.

Gdy tykwa była już pusta, Oczera utłukła jeszcze trochę korzeni akacji, wymieszała je w zimnej deszczowej wodzie i podniosła kozłą skórę, którą Mona była okryta. Namoczoną miękką irchą natarła rozgorączkowane dziecko od stóp do głów.

Siedziały naprzeciw siebie przy ogniu, Grace otulona kozłą skórą w zimnym przeciągu, Oczera zajęta znowu mieszaniem kleiku. Za otworem wejściowym boisko polo zmieniało się w jezioro. Grace

patrzyła tam i patrzyła na śpiącego syna Oczery i ina Monę rzucającą się w gorączce. W końcu przeniosła wzrok na znachorkę.

Nigdy przedtem nie była tak blisko Oczery, nigdy dobrze jej się nie przyjrzała. Dopiero teraz zobaczyła, że ta Kikuju jest rzeczywiście piękna i nie pozostawiają na niej śladu ani mijające lata, ani ciężkie warunki życia. W oczach ma wyraz godności. I o dziwo, współczucia.

Zwinne brązowe ręce dorzucały do kleiku kawałki warzyw. Miedziane bransolety połyskiwały w łunie ognia, płatki uszu rozciągnięte, bo obciążone kółkami z paciorków, ocierały się o ciemnobrązowe ramiona. Oczera mieszka w tej chacie samotnie od dziewięciu lat, stroni od gromadnego życia w bezpiecznej wiosce, żeby trwać na spłachetku pozornie zwyczajnej ziemi, gdzie do towarzystwa ma tylko małego chłopca. Jak ona może to znieść? - zastanowiła się Grace. Jest jeszcze młoda, z pewnością wzbudza pożądanie w mężczyznach z plemienia. Jak ona może rezygnować z tylu rzeczy dla walki przeciw daremnej, staczanej bez niczyjej pomocy?

„Jesteś zdana na siebie, zabrzmiał Grace w uszach głos Valentine'a. Ja nie będę ci pomagał w twojej misji. Sama dokonałaś wyboru, przyjechałaś do Afryki, żeby zająć się zgrają tubylców, którzy ostatecznie wcale ciebie nie docenią. Nie zgadzam się z tym, co robisz. Pomocy ode mnie nie uzyskasz”.

Pomyślała o swoim domku i snujących się tam cieniach, jedynych jej towarzyszach.

Oczera podniosła wzrok. Ich oczy się spotkały. Grace zadrżała, otuliła się szczelniej koźlą skórą. We wzroku znachorki zobaczyła niewypowiedziane pytanie, obojętną ciekawość i zdała sobie sprawę, że patrzy w odbicie własnego pytającego wzroku.

W końcu Oczera zapytała cicho:

- Dlaczego przybyłaś?
- Przybyłam?
- Na Ziemię Kikuju. Czy dlatego, że twój mąż przybył?
- Ja nie mam męża. Oczera zmarszczyła brwi.
- Ten zwany *buana lordi*...
- To mój brat.
- Więc należysz do niego?
- Do nikogo nie należę.

Oczera wybałuszyła oczy. To było pojęcie zupełnie jej obce. Rozmawiały w języku Kikuju, który nie obejmował określenia „stara

panna". W plemienu Kikuju tylko bardzo młode dziewczęta jeszcze pozostawały niezamężne. Wszystkie kobiety należały do swoich mężów.

- I ty do nikogo nie należysz - powiedziała Grace.

- To prawda. - Oczera była w swoim plemienu osobliwością. Gdyby nie była przy tym znachorką i wdową po wielkim Madenge-ju, wyrzucono by ją poza nawias. Popatrzyła na Monę i zapytała: -Twoja córka?

- Córka mojego brata. Afrykanka szeroko otworzyła oczy.

- Nie masz swoich dzieci? Grace potrząsnęła głową.

Kleik bulgotał, bambusowa rama chaty grzechotała w przeciągu. Oczera zadumała się frasobliwie.

- Znałam twój męża - łagodnie powiedziała Grace. - Szanowałam go.

- Ty go zabiłaś. -Nie.

- Nie swoją ręką. - Głos Oczery był pełen zawziętości. - Najpierw otrułaś jego głowę,

- Nie ja odciągnęłam Madengeja od zwyczajów Kikuju. Nie jesteśmy wszyscy tacy sami, my *ozungu*, tak jak nie wszyscy Kikuju są tacy sami. Ja się sprzeciwiałam ścięciu tego uświęconego figowca. Mówiłam bratu, żeby go zostawił.

Oczera to rozważyła. Potem spojrzała na Monę, zaczynając się budzić i podeszła do niej. Razem z Grace obejrzała oparzenie i zranione udo, po czym zaaplikowała jakiś sok z tykwy.

- Co to jest? - zapytała Grace.

- Krew agawy.

Grace śledziła sprawne ruchy długich hebanowych palców. W klinice, gdyby nie zastosowała jodyny albo hipermanganu, wywiązałoby się poważne zakażenie. Tutaj nie ma tych bakteriobójczych środków, a jednak obrażenia Mony goją się ładnie.

Rozejrzała się po chacie, po tykwach i skórzanych woreczkach, zawieszonych na krągłej ścianie, po amuletach i sznurkach ziół i korzeni, po pasach nabijanych muszelkami ślimaków i naszyjnikach chyba sprzed setek lat.

Usiłowała doszukać się tego czarno-księstwa, o które przedtem zawsze znachorkę podejrzewała.

- Pani Oczero - powiedziała, używając formy grzecznościowej Kikuju - przekleśłeś mojego brata i jego potomstwo.

Dlaczego teraz leczysz jego córkę?

Oczera objęła Monę ramieniem i podsunęła jej do picia tykwę z zimną herbatką miętową.

- To, co tu robie, wcale nie zmieni *tsehy*. Przyszłość tego dziecka jest bardzo zła. Widzę ją.

Grace patrzyła na białą twarz Mony, roztrzępote powieki, blade wargi pijące odruchowo. Co rzeczywiście czeka tę małą w przyszłości, zastanowiła się nagle. Rodzice Mony wcale nie są rodzicami, niewiele miłości jest dla niej w dużym kamiennym domu. I dziedzictwo Trevertonów przejdzie na Arthura. Co Monie przyniosą następne lata?

Spróbowała sobie wyobrazić tego podlotka, młodą kobietę, żonę i matkę, ale żadnych obrazów nie było. Gdzie Mona skończy szkołę? Za kogo wyjdzie za mąż? Gdzie będzie mieszkać? Jak jej się powiedzie w drodze przez ten świat? Nigdy dotąd o tym nie myślała, teraz ją to zaniepokoiło.

Tak by chciała zabrać Monę daleko od tej ciemnej znachorki, utulić ją kołysaniem, przywrócić do życia. Ja ci dałam narodziny, pomyślała, gdy Mona znów zapadła w spokojny sen. W pociągu z Mombasy, kiedyomal nie utraciłam was obu. Twoja matka nie miała siły, żeby cię wydać na świat, to ja swoją wolą dałam ci życie. Należysz do mnie.

- Ratuję córkę twojego brata - powiedziała Oczera - bo ty wyratowałeś mojego syna.

Grace spojrzała na Davida, który stał u wejścia i patrzył na płachtę deszczu. Ten wysoki chudy chłopiec, pomyślała, chyba będzie kiedyś tak urodziwy jak jego ojciec.

- Nie powinniśmy być wrogami, ty i ja - powiedziała żarliwie. - Czyż nie ma przysłowia, że krokodyl i ptak podobnie wykluły się z jajka?

Znachorka popatrzyła na *memseeb* przeciągle, z namysłem. Po czym rozwiązała rzemyk, przytrzymujący na jej czole opatrunek. Czując lekkie dotknięcie palców Oczery i wiedząc bez sprawdzania, że rana się goi, Grace szukała słów, które by wyraziły to, co tak nieoczekiwanie wezbrało w jej sercu.

- Obie służymy Dzieciom Mambi - powiedziała cicho, gdy Oczera przemywała ranę sokiem z agawy, uważnie, żeby nie kapnął do uszkodzonego oka. - Obie służymy życiu.

- To nie jest twoja ziemia. Twój przodekowie tu nie mieszkają.

- Nie, ale moje serce tu mieszka.

Razem w milczeniu wypity tykwę piwa z trzciny cukrowej, wzajemnie ją sobie przekazując, razem wsłuchiwały się w deszcz i patrzyły, jak gęstnieje kleik. Wkrótce do miarowego pluskania desz-

czu dołączyły się inne odgłosy: rżenie osłów, okrzyki ludzi, warkot samochodu. Grace rozpoznała dolatujący z coraz mniejszej odległości głos Maria.

Chciała wstać, ale Oczera ją powstrzymała.

- Dwadzieścia zbiorów temu - powiedziała - z brzucha Gaczyku wyciągnęłaś Ndžeri. Gaczyku była ulubioną żoną mojego męża. Ndžeri była radością dla jego oczu.

Grace czekała.

- Tamta *tseha*, której się lękaliśmy, nie spadła. Ndžeri, siostra mojego syna, jest już dziewczyną i będzie chlubą naszego rodu.

- *Memseeb!* - wołał Mario przed chatą i słyhać było jego człapanie w błocie. - Jesteś tam, *memseeb?*

- Pani Oczera - powiedziała Grace cicho. - Nigdy nie zdołam podziękować ci dostatecznie za to, co zrobiłaś. Ocaliłaś życie mojej małej bratanicy. Jestem twoją dłużniczką na zawsze.

Oczy ich jeszcze raz się spotkały.

- Żegnaj, *memseeb dektari* - powiedziała Oczera.



## Rozdział 27

Cieżarowy Chevrolet pędził piaszczystą szosą, wzbijał żwir i kamienie, zostawiając za sobą długi, czerwony tuman kurzu. James Donald mocno zaciskał ręce na kierownicy, aż mu kłykcie zbieleły, wypatrywał wybojów, lawirował, ale nie zwalniał. Gdy ciężarówka ze zgrzytem hamulców i skrzypieniem podwozia zjeżdżała ze wzgórza, kobiety pracujące na polach prostowały grzbiety, a mężczyźni, którzy wznosili nowe kamienne budynki na terenie misji Grace Treverton, osłaniali oczy i wydziwiali, że tym *ozungu* zawsze jest bardzo pilno.

W końcu ciężarówka zatrzymała się gwałtownie, a spod kół trysnął piach i gruz. Zanim silnik ucichł, James wyskoczył z szoferki i puścił się biegiem. Kilku Afrykanów poznało go i witało, machając rękami, ale nie zwrócił na nich uwagi. Długie nogi niosły go przez ruchliwy teren budowy na werandę już odremontowanego Domku Ptasiej Pieśni. Bez tchu zapytał zaskoczonego Maria:

- Gdzie jest *memseeb*?

I zanim usłyszał pełną odpowiedź: „Jest w wiosce, *buana*” - szybko zbiegł ze schodków z powrotem i pośpieszył nad rzekę.

Jego buty z cholewami dudniły na drewnianym mostku. Spocony w prażącym blasku słońca nie zwolnił kroku, nawet gdy dotarł do wioski. Ludzie się odwracali i gapili na białego, który raptem wbiegając między nich, pytał natarczywie *osnem-seeb dektari*.

Zastał ją otoczoną kręgiem kobiet. Pokazywała im, jak wstawiać w łupki zwichnięte lub złamane kończyny. Przepchnął się do niej.

- James!

- Grace, Bogu dzięki, znalazłem cię! - Sięgnął po jej rękę. -Co...

- Chodź ze mną! Nagły wypadek! - Wyciągnął ją spośród kobiet i biegł z nią, trzymając ją mocno.

Spadł jej hełm z głowy.

- James, zaczekaj.

Ale musiała biec z nim dalej.

- Moja torba tam została - powiedziała zdyszana.

Nie odpowiedział. Pod łukowatym sklepieniem z gałęzi drzew biegli już ścieżką w puszczy.

- James, co się stało? Kiedy przyjechałeś do Kenii? Niespodziewanie skręcił ze ścieżki w zarośla, nadal trzymając ją mocno za rękę. Przedzierali się przez gąszcza, przez plataninę poszycia. Ptaki podfrwały spłoszone, małpy utyskiwały w górze.

- James! - wykrzyknęła. - Powiedz mi...

Raptownie się zatrzymał i odwrócił, porwał ją w objęcia i przycisnął usta do jej ust.

- Grace - szeptał, w zapamiętaniu całując jej twarz, szyję, włosy. - Myślałem, że cię na zawsze utraciłem. Mówili, że nie żyjesz. Mówili, że zginęłaś w pożarze. Od razu przyjechałem.

Całowali się, głodni swoich pocałunków. Oplatała mu rękami szyję, przytulała się do niego.

- Jechałem prawie bez przerwy z Entebbe - powiedział. -W Nairobi dowiedziałem się, że żyjesz.

- Oczera...

- Boże drogi, myślałem, że cię utraciłem. - Wtulał twarz w jej włosy. Przyciskał ją do siebie tak, że ledwie mogła oddychać.

Osunęli się na ziemię w tej samotni kwiatów leśnych, bambusów i cedrów.

Przykrył ją swym twardym ciałem. Widziała między gałęziami niebieskie afrykańskie niebo. Puszcza wirowała wokół nich, gdy szepnął:

- Nie powinienem był odjechać. I ani słowo więcej nie padło.

Leżeli w jej łóżku, rozbudzeni, i rozmawiali. Prawie świtało; wkrótce misja miała zatętnić ruchem, rozbrzmiewać stukaniem młotków, szczękaniem dłut, śpiewem dzieci w szkole pod gołym niebem. Przedtem kochali się już powoli, żeby przedłużyć godziny nocy, rozkoszować się każdą minutą.

- Byłem w buszu, kiedy dostałem tę wiadomość - powiedział James. Grace leżała w zgięciu jego ramienia. Mówiąc, głaskał ją

po włosach. - Przez całą tę długą drogę myślałem, że jadę na pogrzeb.

- W pierwszych dniach po pożarze byłam u Oczery. Burza nas odcięła.

- Nigdy ciebie nie opuszczę, Grace.

Uśmiechnęła się smutno i położyła rękę na jego nagiej piersi. Choćby nic jej nie czekało w przyszłości, przecież miała tę noc.

- Nie, James. Musisz tam wrócić. Twoje życie jest przy Lucille i przy waszych dzieciach. Nie mamy prawa.

- Prawo daje nam nasza miłość.

- I jak byśmy żyli?

- Wrócę do Kilima Simba. - Ale mówiąc to, James słyszał, jak głucho to brzmi. Z bólem w sercu przyciągnął ją do siebie. - Grace, kocham cię od dziewięciu lat. Nieraz torturą dla mnie była twoja bliskość. Przypuszczałem, że w Ugandzie będzie mi łatwiej. Ale odkąd się tam przenieśliśmy, dzień w dzień o tobie myślałem.

- I ja myślałam o tobie. Zawsze będę cię kochała, James. Życiem i duszą jestem twoja.

Uniósł się na łokciu i patrzył na nią. Rysował sobie w pamięci każdy szczegół jej twarzy, włosów na poduszce, linii obojczyka. Z tym obrazem miał pojechać z powrotem do dżungli w Ugandzie.

- Napiszę tę książkę - powiedziała Grace - ten podręcznik lekarski dla personelu w terenie. Zadedukuję ją tobie, James. - Dotknęła jego policzka. Zmarszczki na jego twarzy były teraz głębsze, skóra bardziej opalona. Wiedziała, że nigdy nie będzie bardziej urodziwy, niż jest w tej chwili.

James pocałował ją. I znów zaczęli - po raz ostatni.

CZEŚĆ CZWARTA  
**ROK 1937**

## *Rozdział 28*

O świcie David Madengej przeciągnął się na posłaniu. Rozejrzył się po chacie, matka jeszcze spała. Pomyślał *ojugeli*, którego trochę zostało z kolacji.

Był głodny. Wydawało mu się ostatnio, że jest głodny bezustannie, nie tyle posiłków, co innych rzeczy. Łaknął wolności koniecznej, żeby zmienić sposób życia, łaknął szansy, żeby zdobyć tę ognistą, nietykalną Ondżiru.

Dziewiętnastoletni David Kabiru Madengej miał ogromny apetyt. Wysoki, sprężysty, kipiał niespożytą energią, prawie nad tym nie panując. Co dzień o świcie, gdy wstawał i wychodził z kawalerskiej chaty, którą sobie wybudował, doznawał wrażenia, że wszystko w ciągu nocy jeszcze bardziej zmałało. Dzisiaj też jego oczom, zmrużonym w opalizującym blasku, rzeka ukazała się jakaś mniejsza, z brzegiem węższym niż wczoraj. Jak gdyby łodzinne okolice zacieśniały się wokół niego, chciał wyrwać się z tego maleńkiego dusznego światka, uciec w szeroki świat, gdzie mógłby oddychać, gdzie mógłby być mężczyzną.

Ondżiru.

Prawie nie sypiał, wciąż o niej myślał, palił się do niej. Jakiż, to urok rzucono na niego, że tak go trawi pożądanie? Ale wiedział, że nie pod wpływem czarów jest głodny tej dziewczyny: to sprawia onajako taka.

Można było nie uznać Ondżiru za piękność. Z twarzą okrągłą, pospolitą była jednak ponętnie zbudowana, wysoka, piersi miała duże, sterczące i mocne nogi. Ale to duch Ondżiru rozplómił Davida, ogień w jej oczach, żar w jej głosie, duch niepotulny, niepokorny nawet w obecności mężczyzn. Zwłaszcza w obecności mężczyzn! Ondżiru zakłóciła niejedno spokojne zebranie polityczne

w cieniu figowców, wypowiadając się głośno i zuchwale, podżegając mężczyzn, żeby krewko zaczęli działać zamiast - jak ona to ujęła - mówić słowa, słowa i słowa. Obrażała ich, oczywiście. Mężczyźni nie lubili Ondżiru, bo ukończyła szkołę, umiała czytać i pisać, i chociaż by tego nie przyznali, wiedziała o polityce kolonialnej więcej niż niektórzy z nich. Była wyrzutkiem w klanie z powodu swej wyzywającej postawy wobec Brytyjczyków i krnąbrnych dążeń do podniesienia statusu Afrykanek. Ondżiru gorszyła młodych przyjaciół Davida; czuli się przy niej nieswojo. Śmieli się zdenerwować, gdy przechodziła, i czynili sprośne uwagi. David jednak widział, że wielu z nich patrzy na nią pożądliwie.

Ondżiru była dla jego serca radością i klątwą zarazem. Myśl o niej uskrzydlała jego ducha, ale też i przygniatała brzemieniem. Coraz częściej zastanawiał się nad *ngueko*, starym obyczajem, który jeszcze utrzymywał się w wioskach, chociaż coraz częściej od niego odstępowano pod naciskiem misjonarzy.

*Ngueko* znaczy w języku Kikuju „pieszczoty”. Jest to forma obrzędowego zbliżenia seksualnego dwojga młodych przed ślubem. Chłopcy i dziewczęta zbierali się na tańce i zabawę, wybierano sobie partnerów i pary wchodziły do chat. Sam na sam chłopak rozbierał się całkowicie, dziewczyna obnażała się do pasa, pozostając w skórzanym fartuchu, przewiązanym między nogami gwoli skromności. Kładli się oboje przodem do siebie na posłaniu, splatali nogi, czule głaskali się i całowali po piersiach i prowadzili zalotną rozmowę, dopóki nie zasnęli. Pieszczot *ngueko* nie mógł uwieńczyć stosunek seksualny i przestrzegano tego tabu. Ani też dziewczynie nie wolno było dotknąć męskiego członka, a chłopcu ściągnąć z niej fartucha. Chłopiec, który by pogwałcił tabu i zapłodnił dziewczynę, musiałby zapłacić jej ojcu grzywnę w wysokości dziewięciu kóz, a ta dziewczyna stałaby się uczcią dla wszystkich mężczyzn w jej grupie wiekowej.

Ostatnio David, zamiast spać w nocy, myślał o Ondżiru. Wyobrażał sobie, że ona przychodzi nieoczekiwanie do jego *dyngajre*, kawalerskiej chaty, przynosząc jedzenie i piwo z trzciny cukrowej.

i kładą się oboje twarzą w twarz jak obyczaj wymaga, i pieszczą się. W jego marzeniach robili to już przez okres dostatecznie długi, by dozwolone mu było wetknąć penis między jej uda i doznać ulgi bez niedozwolonego wniknięcia w nią. To mu w wyobraźni wystarczało. Zadowalał się samym *orugejn ue niondo*, „ciepłem jej piersi”, co oznaczało miłość na sposób Kikuju.

Gdyby Ondżiru była taka, jak inne dziewczęta w wioskach, David zwróciłby się do jej ojca, zaproponował cenę i kupił ją. I spro-

wadziłby ją zza rzeki, zbudowałby chatę przy chacie matki i odwiedzałby ją do woli. Ale Ondziru nie była taka, jak one wszystkie. Pierwszą trudność stanowiło jej wykształcenie. Jedyna wykształcona wśród dziewczyn, jakie on znał, chociaż wiedział, że nie jedyna w Kenii i że liczba tych wykształconych wzrasta. Ale dlatego Ondziru jest tabu, nie nadaje się na żonę i gdyby ją kupił, przyjaciele by się go odrzekli. Drugą trudność stwarzała jego matka. Oczera nie aprobowała Ondziru, która ukończyła szkołę razem z chłopcami, ubierała się po europejsku i zabierała głos w towarzystwie mężczyzn. Najbardziej jednak martwiło Davida to, że Ondziru po prostu nie zauważała jego istnienia. Teraz matka wyszła z chaty, pozdrowiła go i z garnkiem skierowała się nad rzekę, żeby przynieść wody. Patrzył na nią, pełen dumy.

Oczera stawiała opór siłom zmiany i „europeizacji”. Ponieważ żyła samotnie bez męża i na przekór zakazowi białego człowieka uprawiała leczenie plemienne, z biegiem lat urastała w oczach Kikuju do postaci mistycznej, aż stała się dla nich żywą legendą.

Ni stąd, ni zowąd nasunęła się Davidowi myśl o Ndżeri.

Jakże różni się ta przyrodnia siostra od dwóch najważniejszych kobiet w jego życiu! Ubiera się po europejsku, tak jak Ondziru, bo donasza stare rzeczy żony *buany lordiego*, ale nie ma w sobie bojowego ducha. Siedemnastoletnia jak Ondziru, jest na modłę Kikuju potulna i cierpliwa, ale nie znosi wszystkiego, co odwieczne, i hańbi się uwielbieniem *ozungu*.

David wiedział, że Ndżeri rozpaczliwie chce być biała. Gardzi swoją czarną skórą, wierzy w kłamstwa Małych o niższości czarnej rasy. Trzyma się *memseeb Mkubua*, jak gdyby jej życie od tego zależało, całymi dniami przesiaduje u stóp *memseeb* na polance wśród eukaliptusów. Gdziekolwiek *memseeb* się ruszy, Ndżeri podąża za nią, niezmiennie od czasu podróży do Anglii osiem lat temu. David myślał o siostrze ze wstydem. Raniła mu serce inaczej niż Ondziru. Któregoś dnia natknął się na nią na brzegu rzeki, gdy aż do krwi szorowała się pumeksem. Usiłowała tak zeszkrobać czerń.

Poranek się ożywił, już plotkowały ptaki i małpy. David siłą woli odepchnął myśli o trzech kobietach swojego życia i przypomniał sobie, że czeka go ważne zebranie.

To zebranie Związku Młodych Kikuju, organizacji politycznej założonej dwa lata temu przez niego i jego przyjaciół, zwołał po otrzymaniu niespodziewanej odpowiedzi na swój list wysłany do redakcji „Timesa” w Anglii. Miało cel dwojaki: chciał puścić

w obieg swój projekt petycji do rządu o uniwersytet dla Afrykanów i pokazać braciom list, który dostał od Kenyatty. Jomo Kenyatta zasłynął w całej Kenii, jego nazwisko zaczęło oznaczać moc. Był na studiach w Anglii i regularnie pisywał artykuły dla „Timesa”, gazety trafiającej w ręce gorącokrwistych młodych Kikuju w środkowej prowincji. W swych artykułach wyjaśniał Anglikom zwyczaje plemienne i odkrywał afrykańskie tajemnice, usiłując przemówić do mas brytyjskich na rzecz niepodległości czarnych. W Anglii uchodził za „agitatora”. Dla kenijskiej młodzieży już stawał się symbolem walki.

Wszyscy wiedzieli, że swego czasu nazywał się Jomo Kamau, ale dlaczego przybrał nowe nazwisko, i to właśnie takie, nie było wiadomo i różne krążyły domysły. Na ogół przypuszczano, że nazwał się Kenyatta ze względu na ozdobny pas, *kiniata*; który nosił. David jednak znał prawdę. Dobrze pamiętał tamten wieczór, gdy matka zabrała go do puszczy, gdzie do potajemnie zebranych przemawiał młody Jomo Kamau, i proroctwo matki przepowiadającej temu mówcy, że będzie kiedyś „lampą Kenii”.

Teraz tamto zebranie wydawało się Davidowi blade w porównaniu z zebraniem, które ostatnio odbywały się w Kenii wszędzie. Wyłaniał się nacjonalizm; świtała coraz szerzej afrykańska samoświadomość. Iskry, które Kenyatta wykrzesał tamtej nocy przed ośmiu laty, padły na chrust i już tak się tliło, że Brytyjczycy nie mogli tego ognia zdeptać; jak kolonia długa i szeroka, wśród wszystkich plemion, od Luo nad Jeziorem Wiktorii aż do Suahili na wybrzeżu.

David założył Związek Młodych Kikuju, bo uznał wraz z przyjaciółmi, że Wierni Patrioci Kikuju to organizacja umiarkowana, a do Centralnego Stowarzyszenia Kikuju przyjmowano tylko starszych. Młodzi szukali ujścia dla swoich nastrojów i potrzebowali rzecznika. Na przywódcę wybrali Davida Kabiru z trzech powodów. Nosił nazwisko Madengej, które dla każdego Kikuju znaczyło władza, był doskonałym mówcą i nie bał się wygłaszać swojego zdania. I przede wszystkim dał się poznać jako najbardziej wykształcony i najinteligentniejszy ze swoich rówieśników.

Cztery lata temu przeszedł ze szkoły podstawowej Grace Treverton do szkoły średniej dla chłopców w Nyeri, założonej przez Miejscową Radę Krajowców. Rada ta powstała, gdy rodziny stanowczo przeciwne misjonarzom, usiłującym wypłenić zwyczaj obrzezania dziewcząt, i nowemu zarządzeniu, by nikogo z Afrykanów po plemiennym wtajemniczeniu nie przyjmowano do szkół misji,



zjednoczyły się w wysiłku zbudowania własnej szkoły. David ukończył szkółkę Grace celująco. *Memseeb dektari*, wcześniej zauważając jego inteligencję i pojętność, sama mu udzielała dodatkowych lekcji i przy różnych okazjach dawała książki. David czytał chciwie i wszystko zapamiętywał.

W szkole średniej od początku tak wyprzedzał innych uczniów, że dyrektor napisał dla Davida Madengeja specjalny program, który chłopiec opanował wspaniale ku zadziwieniu nauczycieli. Wyniki jego ostatnich egzaminów były lepsze niż niejednego ucznia w przodującej europejskiej Szkole Księcia Walii. Teraz ze swym pięknym świadectwem maturalnym złożył podanie na prestiżowy Uniwersytet Makerere w Ugandzie i niecierpliwie wyczekiwał odpowiedzi.

W Ugandzie zamierzał studiować rolnictwo. Matka mu przyrzekła, że ziemia Trevertona będzie kiedyś należeć do niego, więc chciał być przygotowany.

Ale niełatwo było czekać. David śpieszył się do działania, do wspinaczki po wyższe osiągnięcia. Gdy tak, chlubnie ukończył szkołę średnią, bystry, pełen pomysłów i żądy wiedzy, okazało się, że nie ma dla niego żadnej posady. Nieliczni Afrykanie, zatrudnieni w urzędach i noszący odznaki białych, utorowali sobie tę drogę „grzecznosciami” i służalczą. David Madengej był po prostu jeszcze jednym wykształconym „czarnym”. Dopiero *memseeb* Grace postarała się dla niego o pracę i harował teraz za dwanaście szylingów miesięcznie w kantorze u jej brata - drewnianym szałasie niedaleko szop w górze rzeki, gdzie odbierano kawę. Przez kilkanaście godzin na dobę siedział przy stole i odfajkowywał pozycje w księdze. Prowadził zapis produkcji i karty pracy Afrykanów. Nie miał przerwy obiadowej, więc obiad, który przynosił zapakowany w liść banana, jadł pracując. Nigdy nie powierzano mu pieniędzy i musiał wstawać z szacunkiem, ilekroć do kantoru wchodził jakiś biały.

David nie chciał wziąć tej pracy, ale matka go zachęcała, żeby się zgodził. Przypomniała mu przysłowie Kikuju: „Dobrze odżywiony jest lew, który przygląda się stadom”.

Myśląc o tym, David usłyszał warkot ciężarówek za wzniesieniem. Z akrow po stronie południowej zwożono zbiory do szop, z których hałasy maszyn przetwórczych ogłuszały go przez cały dzień. Czerwone jagody kawy z trzech czwartych miliona drzewek zrywały i rękami krwawiącymi od zrywania wrzucały do worków dalej za wzniesieniem zgięte we dwoje kobiety i dzieci Kikuju.

Podniósł głowę ku niebieskiemu niebu i pomyślał: to jest moja ziemia...

Ale pragnął nie tylko ziemi. Pragnął przywrócenia męstwa jemu i jego rodakom.

- Nie jesteśmy równi białym! - wykrzykiwał na ostatnim politycznym zebraniu urodziwy, czarny w blasku latarki, wykapany obraz swego ojca. - W Nairobi nie wszędzie wolno nam chodzić. Biali rządzą tym miastem, zakazują nam przekraczać River Road. Jeżeli białego mijamy bez odkrycia głowy, ma on prawo kopnąć nas butem w tyłek. Są napisy na sklepach i jadłodajniach „Psom i Afrykanom wstęp wzbroniony”. Nie możemy nosić obuwia ani długich spodni, tylko musimy biegać boso i w szortach, jak mali chłopcy, bo nam mówią „niech wam się nie zachciewa rzeczy, na które was nie stać”. Biali mężczyźni biorą sobie nasze kobiety, czynią z nich kochanki i prostytutki, ale jeśli Afrykanin uściśnie rękę białej kobiecie nawet w przyjaźni i za jej zgodą, oznacza to dla niego wyrok więzienia! Także w zaświatach nie jesteśmy białym równi, bo czyż nie zostajemy pochowani na oddzielnych cmentarzach? I właśnie wtedy, gdy rozgrzał swych młodych słuchaczy, popełnił fatalny błąd.

- Już pora - wrzasnął - odebrać przewodnictwo nieudolnym, bezużytecznym naczelnikom i przekazać je wykształconym młodym!

I właśnie wtedy wkroczył naczelnik John Muczajne, jedyny człowiek w Kenii budzący w nim lęk, i rozgromił zebranie.

David nienawidził Johna Muczajne. Ten człowiek tuczył się na współpracy z rządzącymi imperialistami. Siedział na dwóch stołkach: prostaczków ugłaskiwał obietnicami paru szos, szkołą tu i ówdzie, białym przymilał się lizusostwem, i pomiędzy tymi dwoma stołkami spiętrzał bogactwa uzyskiwane z obu stron. John Muczajne, członek starszyny Kikuju, pochodził z okręgu Karatina, miał dziewiętnaście żon, pięćset sztuk bydła, dom zbudowany z kamienia i automobil. Ten tak zwany przez białych „greczny czarnuch” stał się jako naczelnik okręgu Nyeri jednym z najpotężniejszych ludzi w kolonii. Mógł wpakować Davida Madengeja do więzienia, narazić go na przesłuchania i tortury.

Ale David nie był głupcem. Zanim zwołał to dzisiejsze zebranie Związku Młodych Kikuju, upewnił się, że naczelnik John Muczajne jest w Nairobi u Głównego Komisarza do spraw Krajowców.

Idąc do chaty matki, żeby wziąć stamtąd tykwę koziego mleka, David zatrzymał się na widok dwóch koni galopujących po boisku polo *buany lordiego*. Gdy się zbliżyły, rozpoznał jeźdźców. Ogarnęło go zdumienie. *Buana* Geoffrey nie był w posiadłości Trevertonow

obcy, ale *memseeb* Mona przebywała daleko w szkole w Nairobi. David nie widział jej przez trzy lata. Zapatrzył się teraz w nią, tę dziewczynkę, która go wyzwalała, żeby wszedł do chaty operacyjnej.

- Spasuj, Mona! - wołał Geoffrey, wywijając młotkiem do polo. - Ustąp mistrzowi!

Galopując przed nim, powściągnęła swego konia tak raptownie, że spłoszyła jego kuca. Zamierzyła się młotkiem, wybiła piłkę w powietrze i popędziła przez boisko ku bramkom z północnej strony. Geoffrey galopował tuż za nią. Robili mnóstwo hałasu, wzbijali mnóstwo grud trawy, walcząc o piłkę. To był ten koniec boiska, który graniczył z ziemią Grace Treverton. Za ogrodzeniem biegła nowa droga do wysokich wrót misji. A za wrotami wylaniały się spośród drzew budynki z blaszanymi dachami. W jednym z tych kamiennych bungalowów dobrze przeszkolony personel Grace, pracując w dwóch salach operacyjnych i dogładając pacjentów w stu łózkach, słyszał okrzyki na boisku i plaśnięcia wybijanej piłki.

Wkrótce Geoffrey zawrócił swego kuca w stronę bramki. Mona pogalopowała za nim z młotkiem gotowym do odbicia. Śmieli się, zdyszani, i wrzaskliwie, dobrodusznie sobie urągali, pełni jednak wzajemnego uznania dla swoich umiejętności. Geoffrey Donald, dwudziestopięcioletni najlepszy zawodnik w drużynie, wygrywał, ale Mona miała tylko osiemnaście lat i grała dopiero od roku. Czyniła błyskawiczne postępy, była wschodzącą gwiazdą polo wśród pań i teraz te tygodnie po maturze poświęcała na trening przed wielkimi zawodami, które miały się odbyć w Tygodniu Wyścigów w Nairobi.

Dojechali do południowego skraju boiska, gdzie zza ogrodzenia patrzył na nich David Madeftej. Mona przymierzała się do piłki, gdy kuc Geoffreya raptownie skręcił w lewo i zaskoczony tym jej arab stanął dęba. Wyleciała z siodła, upadła na wznak na trawę.

Od razu Geoffrey znalazł się przy niej.

- Mona? - Objął ją ramieniem. - Mona?

Powieki jej zatrzepotały. Po chwili odetchnęła i roześmiała się.

- Nic ci nie jest?

- Nic... chyba. Tylko dech mi zaparło. Ale nic się nie stało. Pomógł jej wstać. Oparła się o niego, czując lekki zawrót głowy.

- Na pewno? - zapytał i gdy uniosła podbródek, żeby przytaknąć, pocałował ją.

To było tak znienacka. Pierwszy w życiu pocałunek. Monie nigdy nawet się nie śniło, że tym pierwszym całującym będzie Geoffrey Donald. Zdumiona, nie zaprotestowała. Pocałunek trwał długo, on ją objął, przyciągnął do siebie. Ale gdy dotknął jej zamkniętych ust językiem, nagle się odsunęła.

- Geoffrey! - powiedziała ze śmiechem.

- Kocham cię, Mona. Wyjdź za mnie. -Geoff...

- Wiesz, że oni tego się spodziewają. Od lat jest milczące porozumienie pomiędzy naszymi rodzinami, że my się pobierzemy.

Już w popłochu Mona wyrwała się z jego objęć i zaczęła strzepywać trawę ze swoich bryczesów. Tak, wiedziała o „milczącym porozumieniu” i nigdy się nad tym nie zastanawiała. Wiedziała też, że rodzice nie pozwolą jej wyjść za byle kogo. Jest córką lorda, jest lady Moną Treverton. Geoffrey Donald nadaje się na jej męża, ponieważ ma duży majątek i ojca, który za męstwo w czasie wojny dostał tytuł szlachecki. Ale co z małżeństwem z miłości? Nie mogliby jej zapytać, czego ona chce?

Gdyby jednak zapytali, nie potrafiłaby odpowiedzieć.

Przez sześć lat uczyła się na pensji z internatem w Nairobi. Gdy spędzała w domu wakacje, spotykała się z chłopcami tylko w liczonym towarzystwie zjeżdżającym się do Bellatu. Po prostu nie miała okazji, żeby z którymś szczególnie się zaprzyjaźnić czy też żeby po pensjonarsku się zadurzyć. Geoffrey Donald, nieskomplikowany i nieokrzesany ranczer-myśliwy, pracował w Kilima Simba, a potem zniknął, kiedy mu się podobało, na długie miesiące safari. Do Mony, ilekroć ją spotkał, odnosił się grzecznie i obojętnie, bo niewątpliwie widział w niej jeszcze jedną trusią, same oczy i kolana, siedzącą z tortem na talerzyku w zeszywniałej ręce jak nieproszony gość. Aż raptem w zeszłym roku to się zmieniło. Geoffrey przyjechał na przyjęcie, które rodzice Mony wydali w jej siedemnaste urodziny, chcąc nie tyle jej sprawić przyjemność, co pod tym pretekstem zaprosić do Bellatu sto osób. I nagle zaczął patrzeć na nią tak, jakby jej nigdy przedtem nie widział. Potem, ku swemu zdumieniu, Mona na pensji dostała od niego dwa listy; jeden z Sudanu, gdzie przeprowadzał kontrolę bydła, a drugi z Tanganiki, gdzie polował na lwy nad rzeką Serengetti. W końcu, gdy wróciła do domu już na zawsze, kilka tygodni temu, Geoffrey zjawił się trochę staranniej niż zwykle uczesany i odprasowany, i teraz był prawie wciąż gościem w posiadłości Trevertona.

Monie to pochlebiało. Niewiele okazywano jej względów. Geoffrey jest przystojny - chociaż nie tak jak jego ojciec, sir James -i szalenie interesujący. Prowadzi romantyczne życie pełne przygód, ma bardzo dochodową hodowlę bydła, na ogół wszyscy go podziwiają. Cóż, kiedy nie jestem w nim zakochana, stwierdziła Mona.

- Słowo daję - powiedział Geoffrey. - Któż to jest?

Mona spojrzała przez bramkę na Davida Madengeja, który stał między dwiema chatami za ogrodzeniem boiska.

- Nikt - odpowiedziała. - Jeden z ludzi mojego ojca.

- Posepny jakiś ten tubyl. Nie powiem, żebym chciał być pod taką obserwacją.

- Daj spokój, Geoffrey. Wróćmy już do domu. Ale Geoffrey nie ruszył się z miejsca.

- Ręczę, że zgorszył go nasz pocałunek. Oni się nie całują, wiesz. Nie wiedzą, co ich omija!

Mona poczuła się nieswojo. David stał w mgiełce wczesnego poranka. Długonogi, z nagim torsem, przypominał jej wojowników, których widywała w Nairobi. Rzecz dziwna, jego szorty khaki wydawały się jej kpina - ale z kogo, z niego czy z niej samej, nie wiedziała.

- Zgorszy go jeszcze raz, dobrze? - zaproponował Geoffrey.

- **Nie** - powiedziała Mona zbyt szybko. A potem: - Dobrze. -I impulsywnie zarzuciła Geoffreyowi ręce na szyję.

Nie wiedzą, co ich omija. Niespodziewanie przypomniała sobie popołudnie sprzed paru tygodni w domku ciotki.

Grace zaprzyjaźniła się z dwojgiem archeologów bez grosza i usiłowała zebrać pieniądze na sfinansowanie ich prac wykopaliskowych w Kenii. Przy podwieczorku, na który ich zaprosiła, doktor Louis Leakey z całym znawstwem i otwartością mówił o Afrykanach.

- Uważają, że to hańba dla męża nie dawać zaspokojenia seksualnego żonie. Przed zaślubinami instruuje się młodego człowieka dokładnie, co ma robić, a jego przyszłą żonę matka uczy najlepszych pozycji i wszystkiego, co konieczne, żeby życie seksualne było podniecające i sprawiało przyjemność.

Wątpię, czy Davida Madengeja nasz pocałunek gorszy, pomyślała Mona. Po czym dorzuciła w myśli: Chłodny ten pocałunek, wcale nie podniecający.

Geoffrey odsunął głowę, alą nadal trzymał Monę w objęciach. Spojrzał jej w oczy i zapytał:

- Wyjdiesz za mnie, prawda?

Znów poczuła rozdrażnienie. Czy to tym w jego pojęciu jest romans? Przypadkowym zetknięciem ust na boisku polo? I zaraz się zastanowiła: Ale właściwie o co mi chodzi?

Mona nie знаła podniecenia seksualnego, nigdy nie kochała się, jak jej koleżanki, w gwiazdorch filmowych, nie rozkoszowała się marzeniami o miłości, nie przebiegał jej „prąd pod jego dotknięciem”. W głębi duszy, może nawet z pewnym zniecierpliwieniem, zachowywała do spraw seksu dystans, co zaczynało ją martwić.

Właściwie zaczynało ją to przerażać. Czy będzie taka jak jej matka?

- Co ty na to, kochanie?

- Geoffrey... nie wiem, co powiedzieć. - Jego bliskość byłą dziwna. Poniekąd przyprawiała ją o zawrót głowy, poniekąd nieprzyjemnie drażniła.

Zawrót głowy Mona czuła nie dlatego, że Geoffrey był mężczyzną, tylko dlatego, że był istotą ludzką. Nie przywykła do kontaktów fizycznych z ludźmi. Ojciec nigdy jej nie przytulał, matka czyniła to bardzo rzadko. Pozostawali tylko brat, Arthur, i ciocia Grace, jedyni, których bliskość Mona kiedykolwiek odczuwała. I teraz nagle obejmował ją Geoffrey. Nie wiedziała, czyjej się to podoba.

- Potrzebuję czasu - powiedziała dojmująco świadoma, że stajenni zabierają ich wierzchowce, że inni wklepują rozrzucone grudy na boisku i że patrzy na nią David Madengej.

Nagle ogarnęła ją niechęć do tego chłopca, który przed laty kłócił się z nią, czyja naprawdę jest ta ziemia, który spode łba żałośnie zerkał, gdy leżała na jego posłaniu w chacie jego matki, wracając do zdrowia po pożarze. Ni stąd, ni zowąd David przedstawiał sobą wszystkie problemy Mony. Symbolizował źródło jej niedoli. Przecież nie musiał popisywać się w tamtą noc w chacie operacyjnej, tak że w rezultacie doznała fatalnych obrażeń i teraz ze swymi szpetnymi bliznami nie może się pokazywać w kostiumie kąpielowym i pewnie zrazi nimi każdego kochanka, jakiegokolwiek w życiu będzie miała. To on jest przyczyną jej zgrzyoty, David Madengej, zawsze z głową zadartą wysoko, chociaż z pewnością nie ma nic na tym świecie, z czego mógłby być dumny.

Odeszła gwałtownie od Geoffreya, wzięła się pod boki i zawołała:

- Na co się gapisz? Geoffrey odwrócił się.

- On tu jeszcze jest? Zaraz go odprawię.

- Nie. Ja to załatwię. To jeden z naszych, - Podeszła do ogrodzenia.

- Chciałeś z nami porozmawiać? - zapytała.
- Nie - odrzekł David spokojnie.
- Nie i co dalej? - zapytał Geoffrey, podchodząc. - Okaż trochę szacunku, chłopcze.
- Nie, *memseeb Mdogo*. Mona uniosła podbródek.
- Czy nie powinieneś wrócić do pracy?

Przytrzymał jej wzrok na chwilę i coś zimnego, groźnego przeszło między nimi. Potem powiedział.

- Powiniennem, *memseeb Mdogo*. - I ruszył się, żeby odejść.
- Cholernie bezczelny, słowo daję - mruknął Geoffrey. - Wygląda na rozrabiacza, gdyby mnie kto pytał. Muszę porozmawiać z twoim ojcem. Takiego lepiej nie zatrudniać.

Odchodząc z nim od ogrodzenia, Mona obejrzała się przez ramię. Zobaczyła, że David znowu stoi i patrzy na nich. Poczula dreszcz. Jest coś w jego oczach...

Mocno ujęła Geoffreya za rękę.

David patrzył, jak ci dwoje odchodzą. Myślał o gruncie, który Mona deptała. To właśnie miejsce matka pokazywała mu wiele razy. Dawno temu stał tam uświęcony figowiec. W głębi serca David teraz złożył przodkom przysięgę: kiedyś nowy figowiec będzie rósł tu, gdzie dzisiaj chodzą *ozungu*.

## Rozdział 29

Ondżiru nie miała lustra. Gdyby miała, mogłaby sprawdzić, czy płatki uszu goją się jak trzeba.

Niektóre jej rówieśnice pod naciskiem misjonarzy, przeciwnych wszelkiemu okaleczaniu ciała, już zaczynały odwracać się od pradawnego obyczaju przekłuwania płatków uszu. Ale ją napawały dumą te świeże ranki. Stanowiły spuściznę po prababkach i pokazywały światu jej wytrzymałość na ból.

Przekłuwanie uszu było straszną, ciężką próbą. W dzieciństwie pierwsze dwie dziurki *ndugure* wywiercano boleśnie w chrząstkach na czubkach uszu. Większe otwory w dolnych częściach ucha robiono dziewczynie prawie dorosłej.

Leżącej na wznak na ziemi znachor, jeśli nie znachorka, przebijał uszy zaostrzonymi patykami. Musiała te patyki mieć w uszach przez trzy tygodnie, cierpliwie wytrzymując ból, przy czym prawie nie sypiała, bo trudno jej było się położyć. Patyki właśnie zostały wyjęte, strupy posmarowała Oczera Madengej, znachorka z nad rzeki, gojącą maścią. Uszy jeszcze bolały, niegotowe do przystrojenia w kółka miedziane i paciorki.

Ale to błahostka w porównaniu z większą próbą, która czekała Ondżiru.

Ukradkiem miało się odbyć wtajemniczenie. Pierwsze od dawna obrzezanie dziewcząt, dające im przynależność do plemienia, toteż dziewczęta w wieku od dwunastu do szesnastu lat sprowadzono z całego okręgu. Już niemożliwe było obrzędowe ich przygotowywanie przez kilka tygodni, żeby je wzmocnić i natchnąć odwagą do przyjęcia okaleczeń bez drgnienia - takie obrzędy zostały zakazane, i naruszenie zakazu, gdyby coś wyszło na jaw, uczuliłoby władze przed samą inicjacją. Ondżiru jednak poddała się osobistemu przygotowaniu na własną rękę.



Na ogół dziewczyny, które znała, bały się okropnie tej operacji; na wiele z nich presję musieli wywierać rodzice, bracia. Ale Ondżiru wprost nie mogła się doczekać odwiecznego wtajemniczenia, sercem radosnym otwierała się na próbę bólu i krwi.

Teraz jednak, gdy była już gotowa wyjść z chaty, w której mieszkała z dwiema niezamężnymi siostrami, myślała o czymś bardziej aktualnym. O zebraniu Związku Młodych Kikuju, które zwołał w ostatniej chwili David Madengej i na którym koniecznie chciała być.

Co nie znaczy, żeby ci mężczyźni chcieli, aby tam była. Kobiet nigdy nie dopuszczano na zgromadzenia polityczne i jeśli już swoim mężczyznom przynosiły posiłek, czy to młode czy stare, musiały siedzieć cicho i słuchać z szacunkiem, niewidoczne, owej ważnej debaty. Ondżiru, wprost przeciwnie, zamierzała wziąć w zebraniu czynny udział.

David Madengej ją irytował. Na myśl o nim gniewnie wciągnęła swoją jedyną sukienkę przez głowę i zapięła krzywo guziki.

To głupek, bałwan, galareta. Krewka Ondżiru nie pojmowała, jak taki mądry, wykształcony chłopak może być tak ślamazarny, tak ślepy... tak słaby. Ona, gdyby była nim, z jego dostojnym nazwiskiem, świetnym świadectwem szkolnym i tygodniową kwotą dwunastu szylingów - albo nawet nie nim, tylko po prostu mężczyzną - wiedziałaby, że może przesuwać góry. Mówiąc do widzenia matce pracującej na ich małym poletku, zastanawiała się rozjątrzona, dlaczego mężczyźni nie korzystają z mocy, jaką mają? Gdyby kobiety miały tę moc, świat byłby inny!

Tą samą ścieżką Ondżiru chodziła przed ośmiu laty tam i z powrotem do misji i z misji Grace Treverton. W tamtych czasach chłopcy okrutnie jej dokuczali, próbowali ją odstraszyć od nauki. Teraz wiedziała, że jej obecność w klasie pozbawiała ich pewności, że górują nad dziewczynami. Mężczyźni są pewni swojej przewagi, dopóki kobiety wciąż rodzą dzieci i pozostają niepiśmienne. Kobieta wykształcona i niezależna przeraża ich, wprawia w popłoch, jakby byli stadem czującym zapach lwa. Ondżiru zdawała sobie sprawę, że podważa w mężczyznach tę spokojną pewność. Robiła to celowo, żeby ich pobudzić do czynu.

I właśnie dlatego tak ją drażnił David Madengej. On tylko gada, nic nie robi. Czy myśli, że kogokolwiek nabierze, zwołując to zebranie, gdy wiadomo, że naczelnik John Muczajne jest w Nairobi? Oczywiście, David chce uniknąć aresztowania; wszyscy słyszeli okropności o traktowaniu afrykańskich agitatorów w więzieniu. Ale Ondżiru nie czuła szacunku do chłopca, który wstaje i wygła-

sza piękne przemowy, gdy jest bezpiecznie, a potem milknie i wycofuje się, ledwie zobaczy policję. Minęła kilku chłopców na piaszczystej szosie, młodych Kikuju, jej rówieśników. Okutani w koce, paśli swoje kozy i gapili się na nią - na Ondżiru, dziwadło.

Z głową zadartą szła dumnie, wypinając piersi. Kołysała biodrami, bosymi stopami uderzała piach, silnymi długimi rękami wymachiwała bardzo pewna siebie.

Siedemnastoletnia Ondżiru była świadoma, kim jest i do czego zmierza w życiu. Prawie wszystko to zawdzięczała swojej matce, która pozostawiona przez męża sama z dziewięciorgiem dzieci na nędznej *szembe*, miała dość wyobraźni i odwagi, by usiłować zmienić przyszłość. Wybrała spośród córek właśnie Ondżiru i wpoila w nią, że kobieta nie powinna nigdy być własnością mężczyzny. Za sprawą matki Ondżiru po ukończeniu szkoły podstawowej Grace znalazła się między pierwszymi zapisanymi do nowej szkoły dla dziewcząt afrykańskich w Nyeri, jednej z tych niewielu jeszcze w prowincji szkół wyższych zwanych *kiriri* od tej części chaty, gdzie sypiają dziewczyny Kikuju. Ondżiri niedawno ukończyła tę szklbę i miała wkrótce pojechać do Krajowego Szpitala Obywatelskiego w Nairobi na całkowicie nowe kursy pielęgniarские dla Afrykanek.

Tłum na zebraniu był spory. David wyznaczył miejsce знамени - miejsce ściętego uświęconego figowca na skraju miasteczka Nyeri. Zeby jeszcze bardziej zawładnąć sercami i namiętnościami słuchaczy, wszedł na ogromny pniak, który katolicy księża zostawili, ścinając to drzewo. Żaden z obecnych Kikuju nie przeoczył znaczenia kryjącego się w tym geście młodego Madengeja.

Gdy Ondżiru przyszła, David już przemawiał. Przepchnęła się przez rzędy ustawionych rowerów, będących najwyżej cenionym dobytkiem Afrykanów, i zaczęła słuchać.

- Kiedy biali tu przybyli - mówił David - myśleliśmy, że to tylko na jakiś czas. Wydawali się wędrowcami, którzy szukają dla siebie ojczyzny. Z litości pozwoliliśmy im zostać i gościnnie dopuściliśmy ich do udziału w obfitościach Ziemi Kikuju. Ale ci biali zrobili się chciwi i teraz wiemy, że oni są tutaj na stałe.

Po pierwsze, obłożyli nas podatkiem od chat, czymś nieznanym w naszym sposobie życia. I przyjmowali tę opłatę tylko w monetach, których myśmy nie mieli, więc żeby dostać te dziwne pieniądze, musieliśmy pójść do pracy. Na naszej własnej ziemi. Następnie ustanowili upokarzający system *kajpende*, zmusili nas, żebyśmy nosili dowody tożsamości na szyjach, takie same oznaki, jakie oni

zawieszają na szyjach swoim psom! I w końcu usiłują rozerwać naszą jedność plemienną, ogłaszają, że bezprawne są nasze drogocenne odwieczne obyczaje: leczenie krajoje i obrzezanie dziewcząt.

Kiedy się uskarżamy, biały nam powiada, że robi to dla naszego dobra, jak gdybyśmy byli dziećmi! Powiada, *ie* nas uczy wartości pracy zdyscyplinowanej i dobrodziejstwa nowoczesnych sposobów europejskich. A naprawdę uczy nas postępować samolubnie, odwracać się do naszych rodzin i przodków plecami!

Tłum zafalował, przytakując.

- *Ej, ej.*

Ondżiru widziała, że podczas gdy młodzi przeważnie słuchają beznamiętnego przemówienia Davida, wielu starszych w kocach sfałdowanych na chudych ciałach i z wysokimi laskami stoi z boku. Wbrew sobie zaczęła nabierać przekonania do racji Davida.

- Biały wprowadził Boga i kościoły na Ziemię Kikuju i ogłosił z ambony równość. Ale ja nie widzę, żeby Afrykanie i Europejczycy pracowali razem. Biali dbają nie o nas, tylko o szerzenie kolonializmu w Afryce. Zatrudniają nas za głodowe płace i nie wolno nam przebywać w ich obecności, kiedy jedzą, chyba że jesteśmy ich służącymi. Mówię wam, bracia, jakikolwiek układ wielorasowy w Kenii byłby jak jedność jeźdźca z jego koniem. Dla nich jedność się kończy, gdy tylko koń doniesie jeźdźca do celu!

Tłum szeptał, głowy kiwały się energicznie.

- Bracia moi - ciągnął David - słyszymy, że Brytyjczycy wciąż teraz protestują przeciwko złemu traktowaniu Żydów w Niemczech. Ale ja was pytam, czy Żydów w Niemczech traktuje się gorzej niż Afrykanów we wszystkich koloniach na tym lądzie?

- Nie! - wykrzyknęli.

- Zaczekaj! - wrzasnął jeden ze starszych z boku. - Mylisz się w tym, co mówisz, Davidzie Madengej! Biały przyniósł nam miłość Pana Jezusa i za to powinniśmy być wieczyście wdzięczni!

- A Karol Marks nam powiedział, że religia jest środkiem otepiania mas! - odkrzyknął David. - Masz ducha i męskość, *mzi*, otepione przez tego Pana Jezusa!

Tłum zbiorowo się zachłysnął, zgorszony. David mówił dalej głosem grzmiącym nad głowami oszołomionych słuchaczy.

- Dzisiaj biali wykopują złoto tam, gdzie ono jest zagrzebane nad Jeziorem Wiktorii, zabierają je do Europy i zagrzebują znowu! Używają złota do ozdabiania swoich żon. My chcemy zdobić nasze żony... i ta ziemia, w której kryje się złoto, należy do nas!

- Ale czego byś chciał od nas?! - krzyczeli przyjaciele Davida. - Jak my możemy zmienić to, co już jest? Nie mamy żadnej mocy przeciwko Brytyjczykom.

- Musimy być jak ten moskit dający znać o swojej obecności. Musimy wysuwać żądania, wołać o lepsze szkoły i uniwersytet dla Afrykanów, tu w Kenii. Musimy postępować nieśpiesznie, najpierw się wykształcić i wykazać w oczach naszych kolonialnych panów. Musimy pamiętać przysłowie: torbę sznurkową zaczyna się splatać od jej dna...

- Przysłowia! - wybił się czyjś głos na tyłach tłumu. Wszystkie głowy się odwróciły, bo był to głos kobiety. - Dobry jesteś w opowiadaniu o naszych problemach, Madengej! - wykrzykiwała Ondzi-ru. - Ale nie podajesz nam żadnych rozwiązań, tylko powtarzasz nic niewarte przysłowia!

David zmarszczył brwi. Ondziru ma rozjątrający zwyczaj niepokazywania się wtedy, gdy jest potrzebna, i pokazywania się wtedy, gdy jest absolutnie zbyteczna! Ta dziewczyna potrzebuje męża, który by ją trzymał w ryzach. Zignorował ją.

- Napisałem petycję - powiedział do zebranych, podnosząc arkusz papieru - żeby rząd otworzył dla nas uniwersytet w Nairobi. Puszczam ją w obieg. Podpiszcie się pod nią wszyscy, a potem...

- A potem Brytyjczycy wytrą sobie nią tyłki!

Wszyscy znów odwrócili się do Ondziru. Teraz ona, rozpychając się łokciami, ruszyła do Davida. Zdumieni mężczyźni rozstępowali się przed nią.

- Pytam cię po raz drugi, Madengej. Jakie rozwiązania nam dajesz poza przysłowiami i papierem?

Z wysoka spojrzął na nią groźnie.

- Zwyciężymy dzięki jedności i słowom mądrze mówionym.

- Dzięki jedności i sile! - wykrzyknęła.

David poczuł, że krew w nim kipi. Jednocześnie ogarnęły go gniew i pożądanie. Przyszedł mu na myśl tylko jeden sposób rozprawienia się z tą dziewczyną, ale nie czas po temu i przecież nie tu, gdzie patrzy tysiąc oczu...

- Rozpocznijmy pokojową walkę o wolność - powiedział.

- Nie można mówić „pokojowa walka”, Madengej. Te dwa słowa są sprzeczne, jedno drugie wyklucza.

- Pokojowym oporem okazemy wyższość nad białymi, tak jak robi to Gandhi w Indiach.

Ondziru splunęła w piach.

- Czy lew pokojowym oporem okazuje wyższość nad szakalem?

- Odwróciła się do tłumu i podniosła ręce. - Brytyjczycy nie rozumieją pokojowych rokowań, bo sami ukradli naszą ziemię siłą. Przemoc to jedyny język, jaki rozumieją!

Tłum zafalował niczym morze. Połowa ich chciała natychmiast porwać za maczugi i włócznie, druga połowa rozglądała się lękliwie, czy nie ma w pobliżu donosicieli i policji. Jak na ironię pierwszą stanowili starzy, ostrożność przejawiali młodzi.

Ondżiru weszła na ten sam ogromny pniak, stanęła przy Davidzie i chwyciła go za przedramię. Syknęła mu prosto w ucho:

- Byłam tamtej nocy w puszczy, kiedy pierwszy raz mówił do was Jomo Kenyatta. Zapomniałeś, co mówił? Ja nie zapomniałam!

David szeroko otworzył oczy. Wpatrywał się w nią osłupiały. Boleśnie wpijała mu palce w bicepsy. Wzrokiem z tak bliska przewiercała mu, zdawałoby się, mózg aż do podświadomości. Teraz. Zapragnął posiąść ją teraz.

- Zebranie skończone - zabrzmiał władczy gruby głos. - Wracajcie do domu, wszyscy!

Ondżiru i David spojrzeli w dół. Naczelnik John Muczajne rozdzielał tłum laską ze srebrną gałką. Towarzyszyli mu *askari*, żołnierze.

- Davidzie Madengej, zejdź stamtąd! - rozkazał. - Idź do domu, zapomnij o tych głupstwach.

David patrzył na naczelnika. Kątem oka widział, jak tłum zaczyna się rozchodzić. Wiedział, że przyjaciele czekają, by nimi pokierował. Czuł jędrną pierś Ondżiru przyciśniętą do jego gołych pleców.

Powiedział:

- Ja żadnej ustawy nie naruszam, *mzi*.

- Już ci mówiłem, synu, żebyś nie wygłaszał takich przemówień, a ty mi się sprzeciwiasz. Idź do domu spokojnie, to nie będę tego roztrząsał.

- Zebraliśmy się tutaj w ważnej sprawie. Naczelnik cmoknął i potrząsnął głową.

- Jesteś młody, ponosi cię, Davidzie Kabiru, tak samo jak twojego ojca przed laty. Słuchaj przysłowia, które mówi: kop z pośpiechem, a naruszysz bulwę słodkiego kartofla i najlepsza część zostanie w ziemi, kop powoli, a zbierzesz całość.

David zeskoczył z pniaka i stanął oko w oko z naczelnikiem. Tworzyli dziwny żywy obraz: urodziwy umięśniony młodzieniec w samych szortach khaki i ten siwy grubas w długiej białej *kenzu* i skórze lamparta przerzuconej przez ramię.

- Przysłowia - zapytał David - to wszystko, co nam dajesz? Tłum zdrętwiał. Ondżiru zapało dech.

Muczajne zmrużył oczy.

- Powiedziałem, idź już do domu, chłopcze, bo inaczej popadniesz w prawdziwy kłopot.

David pomyślał o dziewczynie stojącej za nim, o jej butnym czarnym wzroku. Okrzepl w sobie i odparł:

- Wszyscy już jesteśmy w kłopotcie, **mzi**, kiedy mamy takich naczelników jak ty.

Wydawało się, że cała Afryka ucichła, że cały ten kontynent odwrócił zgorzone oblicze od chłopca, który oto rzuca wyzwanie władzy naczelnika mającego za sobą Imperium Brytyjskie. Żadne jednak z przerażonych oczu w ten sierpniowy poranek na skraju miasteczka Nyeri nie zobaczyły łęku Davida Madengeja. On wiedział, co ryzykuje, słyszał o „wypadkach”, jakie się zdarzają w więzieniu przeciwnikom Muczajne. Musiał jednak ocalić twarz w obecności tej dziewczyny, musiał przeciwstawić się naczelnikowi, jak gdyby był wojownikiem w dawnych czasach i polował na lwa. Nikt ze świadków nie mógł widzieć, że strach szarpie Davidowi wnętrzości i zaciska gardło. Oni widzieli tylko nagłe, nieoczekiwane narodziny koniecznego nowego bohatera.

John Muczajne kipiał wściekłością. Sekundy mijały, gdy rozważał sytuację. Ci nowicjusze polityczni stawali się coraz większym dla niego utrapieniem, jak ten agitator za morzem, Jomo Kenyat-ta; zagrażali jego wygodnemu układowi z Brytyjczykami. Stary John Muczajne nienawidził świeżo wykształconego pokolenia. Oni byli inteligentni, potrafili świetnie przemawiać, podczas gdy on, który nigdy nie chodził do szkoły, nie umiał choćby czytać i pisać.

-Masz mi coś do powiedzenia, chłopcze? - zapytał cicho, ostrzegawczo.

Tysiąc uszu się nadstawiło, żeby usłyszeć odpowiedź Davida Madengeja. Ondżiru, stojąca na pniaku ponad nimi jak czarna statua wolności, chciała się odezwać, ale nawet ona wiedziała, że przy naczelniku lepiej milczeć.

David się pocił.

- Mam coś do powiedzenia - rzekł, zagłuszając łomotanie swego serca. - Mówię, że Brytyjczycy, którzy mianowali naczelników spośród Kikuju, czynili to dla swojej wygody, nie myśląc, że powinni wybierać ludzi kompetentnych i gotowych pomagać narodowi. Mówię, że naczelnicy mianowani przez białych nie są dostateczną reprezentacją plemienną w rządzie, nie są wyrazicielami plemiennej

tradycji, występują przeciw sposobom życia Kikuju i zależy im tylko na zachowaniu istniejącego stanu rzeczy. Muczajne zacisnął szczękę.

- Więc mówisz o swoim ojcu, naczelniku Madengeju.

- Tak. To przez jego głupotę i głupotę naszych ojców jesteśmy teraz bez ziemi. Oni nie mieli prawa sprzedać naszej spuścizny białemu.

Nawet gdyby David rzeczywiście uderzył naczelnika, zniewaga nie byłaby większa, bo John Muczajne, który przeżył ponad sto zbiorów, więc był z pokolenia ojca Davida, również sprzedał swoją ziemię białemu w zamian za odznakę, jaką teraz nosił.

- Twój bezczelny jęzor zawiedzie cię do więzienia, chłopcze. -I Muczajne zniżył głos tak, żeby tylko David to słyszał. - Jeżeli wsadzę cię za kraty, nigdy już światła dnia nie zobaczysz.

David powstrzymał dreszcz. Odwrócił się do tłumu i z mocą powiedział:

- Patrzcie na swojego naczelnika, jak usiłuje biegać z *impalą* i polować z lwem!

Muczajne skinął na żołnierzy. Wystąpili naprzód. Rozpłomieniony David, napotyając pałający wzrok Ondziru, wrzasnął:

- Nasi naczelnicy są jak psy! Szczekają, kiedy psy szczekają, ale pokazują sztuczki, kiedy chcą, by ich brytyjscy panowie dali im jeść! - Dwaj żołnierze ujęli go pod ręce, więc podniósł głos jeszcze bardziej: - Naczelnik Muczajne to Judasz Iskariota! - Aresztujcie go.

David szamotał się z żołnierzami, którzy go trzymali.

- Słuchajcie, co mówię! - krzyknął do zaleźnionego i wzburzonego tłumu. Kilku mężczyzn brało z ziemi kamienie, starsi podnosili swoje laski, nagle zdając sobie sprawę, że brak im włóczni z dawnych czasów. - Dlaczego chcemy stać się tacy jak Europejczycy? - krzyczał David. - Ilu widzieliście Europejczyków, którzy by chcieli stać się tacy jak Kikuju?

- *Ej!*- wrzasnął tłum.

Muczajne podniesieniem laski ze srebrną gałką nakazał ciszę i otworzył usta, żeby przemówić. Ale oto znowu dał się słyszeć głos Davida:

- Pamiętajcie, bracia, człowiek, który nie kocha swojego kraju, nie kocha swojej matki i ojca swojego i swoich rodaków. A człowiek, który nie kocha matki, ojca i rodaków, nie potrafi kochać Boga!

Srebrna gałka laski opadła na głowę Davida. Grzmotnęła głośno, paskudnie w powietrzu przedpołudnia. Głowa Davidowi się za-

chwiała, ale natychmiast ocknął się i spojrzał na Muczajne jadowicie. Przez jedną zimną chwilę patrzyli na siebie spode łba. Potem naczelnik skinął na żołnierzy, żeby Davida zabrali.

Tłum jednak się rozprężył. Poruszenie zaczęło się na tyłach i falowało do przodu, aż naczelnik znów musiał nakazać spokój Tym razem, gdy go usłuchali, rozstąpili się, robiąc przejście pośrodku dla tej, która spowodowała to poruszenie.

Dla Oczery, matki Davida.

Niejeden w tłumie dostrzegł przelotne drżenie Muczajne na jej widok. Nie było tajemnicą, że John Muczajne często odwiedza znachorkę w nocy, żeby omawiać z nią poważne plemienne tabu Tak jak wszyscy w okręgu bali się naczelnika Muczajne, sam naczelnik Muczajne bał się Oczery.

David skierował na matkę zamglone oczy, usiłując ją widzieć wyraźnie poprzez krew spływającą z rany na głowie. Wydawała mu się omal nierzeczywista, jak gdyby była duchem jakiejś praprababki wywołanym z mgieł. Stała w miękkiej skórzanej sukni i fartuchach. W ciężko nawarstwionych naszyjnikach z paciorków i w bransoletach, w obrzędowych pasach z naszytymi amuletami. Gładko ogoloną głowę trzymała wysoko, patrząc z daleka na swojego syna. Mówiła do niego wzrokiem; tego przekazu nikt inny nie mógłby odczytać.

Więc David wiedział od razu, że matka nie uchroni go od więzienia i pewnych tortur.

- Biała niesprawiedliwość będzie kuźnią, w której wykują twoje męstwo, synu - powiedziała mu kiedyś i oczy jej powtórzyły to teraz. - Najpierw poznaj cierpienie, potem będziesz miał siłę i odwagę, żeby odzyskać naszą ziemię. Naczelnik Muczajne w końcu pojął, że Oczera się nie wtrąci. Warknął rozkaz do swoich *askari* i pośpiesznie odszedł z aresztowanym, zostawiając za sobą gawiedź w rozterce i matkę pełną miłości, dumy i bólu. A na ogromnym pniaku po figowcu - zapomnianą, przeobrażoną siedemnastoletnią Ondżiru, która z rękami przyciśniętymi do piersi patrzyła, jak David Madengej odchodzi, i widziała w swoim życiu nowy cel.



### *Rozdział 3 0*

Arthur Treverton modlił się, żeby nie dostać ataku.

Dzisiejsza parada miała być największa ze wszystkich, jakie kiedykolwiek odbywały się w Kenii, i on miał być najważniejszą osobą. Wyobrażał sobie ten piętnastolatek, jak oczy całej kolonii wlepią się w niego, gdy właśnie on oficjalnie rozpocznie tydzień obchodów. Po raz pierwszy w życiu będzie mógł się wykazać.

Czerwoną wstęgę zawieszono w poprzek głównej ulicy Nairobi. W wyznaczonej chwili Arthur, jadący konno na czele defilady, miał niebrukowaną jezdnię pogalopować z podniesioną szablą i w obecności setek widzów przeciąć wstęgę, zaznaczając tym urzędowe przemianowanie ulicy Centralnej na aleję Lorda Trevertona.

Arthur był zdenerwowany i podniecony. Trybuny wzniesione z obu stron ulicy, pomiędzy Hotelem Stanleya i Urzędem Pocztowym, wypełniali miejscowi i przyjezdni dygnitarze. Jego matka, lady Rose, już siedziała pod specjalnym baldachimem, królewska, pogodnie uśmiechnięta. Obok niej ojciec, hrabia Valentine Treverton, siedział poniżej portretu króla. Arthur wiedział, że ojciec krytycznie i chłodno go obserwuje. Zawsze myślał o swoim ojcu z lękiem i uwielbieniem.

Ale jeszcze bardziej niż zadowolić ojca Arthur pragnął popisać się przed Alice Hopkins, której - ponieważ posiadała drugie pod względem wielkości ranczo w Kenii - także dostało się miejsce na zaszczytnej trybunie.

Alice Hopkins, teraz dwudziestodwuletnia, nie odznaczała się ani urodą, ani wdziękiem, ale była poniekąd legendą w Afryce Wschodniej. Sama po nagłej śmierci rodziców przed sześciu laty, gdy miała lat zaledwie szesnaście, przejęła zarządzanie ranczem obejmującym obszar dziewięćdziesiąt tysięcy akrów. Wszyscy wów

czas mówili, że ta dziewczyna w żadnym razie nie zdoła poradzić sobie z tak ogromnym majątkiem i snuli bardzo śmiałe domysły, kto będzie szczęśliwym nabywcą tego szmatu ziemi. Valentine Treverton, często wymieniany wśród owych ewentualnych szczęściarzy, należał do tych wielu, którym ostatecznie młoda Alice bardzo zaimponowała swoją walką o zachowanie rancza i pracą przy pomocy jedynie kilku wiernych Afrykanów i młodszego od niej o pięć lat brata Tima. Pomimo ogromnych trudności ocalała owce i sizal nie zadłużyła się, nie poszła na lep czułych słówek rojących się wokół niej łowców posagu i teraz, mając dwadzieścia dwa lata, była zarówno majątna, jak i niezależna.

Zapłaciła za to tylko swoją kobiecością.

Właśnie ta twarda i uparta Alice Hopkins, której usta już zapomniały, jak to jest się uśmiechać, Alice w bryczesach khaki, zgrzebnej koszuli i dużym kapeluszu z oklapłym rondem ocieniającym jej opaloną twarz, stanowiła dla Arthura Trevertona w to sierpniowe popołudnie najważniejszą publiczność, bo oddzielała go od swego siedemnastoletniego brata, Tima. Arthur kochał Tima Hopkinsa rozpaczliwie.

Sceną parady był teren hotelu Norfolk. Pod drzewami czekały stoły zastawione szampanem i mnóstwem przekąsek, rozbrzmiewała muzyka gramofonu. Krzatali się tam przeważnie młodzi, którzy mieli jechać na zbudowanych przez siebie platformach. Pośpiesznie w ostatniej chwili poprawiali swoje kostiumy, sprawdzali silniki samochodów, podnieceniem rozgrzewali chłodne sierpniowe powietrze.

- Czy dobrze wyglądam, Mono? - zapytał Arthur siostrę, przesuając dłońmi po nieskazitelnych spodniach pożyczonego stroju myśliwskiego.

- Szalowo. - Mona go uściskała.

To cudownie, pomyślała, że Hardy Acres junior pożyczył Arthurowi ten pełny myśliwski ekwipunek, Arthur, odkąd się w to ubrał, wydaje się o dwie stopy wyższy. Mona chciała, żeby brat dobrze się spisał. Otwarcie parady znaczy dla niego tak wiele.

Arthur nie miał pojęcia, że to dzięki siostrze przypada mu zaszczyt przecięcia wstęgi. Mona usłyszała, że takie wyróżnienie ma spotkać siostrzeńca burmistrza i zobaczyła, jak twarz Arthura posepnieje z zazdrości, wszczęła więc potajemnie kampanię, by przekonać ojca. Przywilej otwarcia alei Lorda Trevertona powinien jednak przypaść jednemu z Trevertonow. Valentine w końcu ustąpił, me żeby się z nią zgadzał czy żeby się nią przejmował, ale dlatego,

że była bardzo męcząca, jeżeli na coś się uwzięła. Mona umiała postępować z ojcem. Chcąc postawić na swoim, nie wykorzystywała jego ojcowskiej miłości, jak mogłyby to robić inne córki, bo wiedziała, że tej miłości w nim nie ma, tylko napierała, dopóki nie poddawał się dla świętego spokoju.

W końcu więc ojciec przyznał, że chociaż myśl o oglądaniu syna galopującego ulicą Centralną i wymachującego szablą mu się nie podoba, to przynajmniej Arthur raz wreszcie zagra rolę męską.

Arthur nic o tym nie wiedział. Mona osłaniała go przed bolesną realnością życia i w miarę możliwości przed dezaprobatą rozczarowanego nim ojca. Wiedział tylko, że obchody rozpocznie on, dziedzic Treverton, a nie bratanek gubernatora. Decyzja zapadła cztery tygodnie temu i od tamtego czasu Arthur był jak odmieniony.

- Dobrze wypadnę? - pytał, poprawiając kołnierzyk. - Dobrze?

- Będiesz cudowny - odpowiedziała siostra.

- A jeżeli dostanę ataku?

- Nie dostaniesz! Nie miałeś już od roku. Och, Arthur, będziesz wspaniały. Taka jestem z ciebie dumna.

Promieniał. Nie przypominał sobie, żeby ktoś był z niego ostatnio dumny. Czy może w ogóle kiedykolwiek.

Uwielbiał siostrę: zawsze potrafiła dodać mu pewności siebie. Cieszył się, gdy wróciła ze szkoły do domu już na stałe. W głębi duszy żywił nadzieję, że ona nie wyjdzie za Geoffreya Donalda, bo wtedy przeniosłaby się do Kilima Simba i znowu zostałby w Bellatu zupełnie sam.

-Zrobisz coś dla mnie? - zapytał cicho, rozglądając się po wszystkich, już gotowych ustawić się do defilady.

- Przecież wiesz, że tak. - Mona zrobiłaby dla braciszka wszystko. Ostatecznie mieli tylko siebie, skoro matka prowadziła jakieś własne życie na polance wśród eukaliptusów, a ojciec bywał w domu rzadko. Ona też się cieszyła, że wróciła już na dobre, i nie miała zamiaru wyjść za Geoffreya Donalda. - Co chcesz, żebym zrobiła?

Wyciągnął spod rękawa kopertę i wetknął siostrze w rękę.

- Daj to Timowi.

Wsunęła kopertę pod stanik swego kostiumu bajadery. Była pośredniczką, rada, że Arthur w końcu ma przyjaciela, chociaż różnie szeptano o tej przyjaźni.

- Całus na szczęście - powiedziała i cmoknęła go w policzek. Zatrzymała się jeszcze, żeby spojrzeć na niego, na tę wrażliwą chłopięcą twarz pod czapką myśliwską. Pomyślała, że już wciąż będzie się nim opiekować. Potem uściskała go i ruszyła na poszukiwanie Tima Hopkinsa.

Tematem parady było otwarcie się Afryki przed Białym Człowiekiem. Chociaż Anglicy zawitali na wybrzeże Kenii przed stu laty z górą, wybrano jako datę „położenia podwalin” tylko o pięćdziesiąt lat wcześniejszy rok 1887, kiedy to powstała pierwsza prawdziwa osada misjonarzy w Mombasie. Geoffrey Donald, który miał jechać na jednej platformie z Moną przebrany za Vasco da Gamę, słynął w sposób jedyny w swoim rodzaju z tego, że wśród tych pierwszych misjonarzy była jego babka, a jego ojciec, sir James, syn misjonarki i podróżnika, miał szczególny zaszczyt być jednym z pierwszych białych urodzonych w Kenii.

W elżbietańskim obcisłym kubraku i wywatowanej kurtce, jak z portretu Vasco da Gamy, podróżnika portugalskiego, Geoffrey obszedł dookoła platformę z makietą miasta Malindi z papier-mache w obramowaniu z palm kokosowych. Wszystko w porządku, stwierdził. Żałował, że na dzisiejszej uroczystości nie ma ojca. Ta parada rozpoczynała tydzień świętowania, ze wszech miar wypadało, żeby sir James był obecny i cieszył się uprzywilejowaniem i uznaniem, jakie mu się należały. Ale w Ugandzie znów wybuchła epidemia ostrej odmiany malarii rodzice Geoffreya w dżungli nieśli pomoc dotkniętym nią plemionom.

Skończył inspekcję platformy zadowolony, że jest najładniejsza ze wszystkich i zaprezentuje doskonale historyczne spotkanie Vasco da Gamy z sułtanem Malindi w roku 1498. Upewnił się, że ciężarówka może przeciągnąć tę masywną platformę przez ulicę Rządową i znowu zaczął w tłumie szukać Mony.

Zobaczył ją na drugim końcu trawnika roześmianą, stojącą z Timem Hopkinsem. Ściągnął usta. Dlaczego Mona traci czas na tego Tima, który, jak wiadomo, świata nie widzi poza jej bratem?

Ale irytacja mu minęła, gdy przyjrzał się Monie w kostiumie żony sułtana.

Pod okryciem z jaskraworóżowego jedwabiu, spowijającym ją od stop do głowy, wypatrzył haremową spódnicę tak przezroczyście, że rysowały się jej nogi. Wypatrzył też obcisły stanik podobny do tych, jakie nosiły Azjatki w Nairobi - obrzeżony złotem, wydekoltowany aż po przepoń. Zarazem twarz Mony była rzeczywiście skromnie zasłonięta, różowy jedwab tak spływał z jej głowy, że widać było spod niego tylko dłonie i stopy. Z niejakim zgorszeniem Geoffrey uznał ten kostium za strój bardzo śmiały i prowokacyjny.

Tim Hopkins w staromodnym ubraniu safari i wiktoriańskim hełmie przedstawiał sobą sławnego odkrywcę, sir Henry'ego Mortona Stanleya. Na platformie ozdobionej drzewami i winoroślą

z dżungli miał się zaprodukować z doktorem Livingstone'em - czyli Hardym Acressem juniorem - w historycznym żywym obrazie ku pamięci tego dnia w 1871 roku, gdy wielki podróżnik znalazł „zaginionego” doktora.

Przychodząc po Monę, Geoffrey starał się uniknąć rozmowy z urodziwym młodym Timem, przy którym czuł się zdecydowanie nieswojo. Ale to było nieuniknione. Ledwie podszedł, Tim zwrócił na niego swój jasny uśmiech i zagaił:

- Właśnie mówimy o tych z twierdzy Jezusa, Geoff.

- Tak? Chodź już, Mona. Parada zaraz się zacznie.

- Geoff, popatrz na nich! - Mona wskazała platformę z drewnianą makieta przybrzeżnego fortu. Żywy obraz miał przedstawiać rok, w którym na Portugalczyków spadła plaga, i przebierańcy wspinający się na tę platformę doprawdy sprawiali wrażenie, że będą grać swoje role dosyć realistycznie.

- Trochę za dużo szampana wypili w nocy - powiedział Tim. - Wszyscy mają kaca!

Geoffrey wziął Monę pod rękę.

- Twój brat jest już prawie gotów do wjazdu. Powinniśmy być na platformie.

- Jeszcze nie dosiadł konia. - Mona odsunęła się, uśmiechem pokrywając rozdrażnienie. Zaborczością Geoffreya była setnie znudzona. - I muszę znaleźć ciocię Grace. Ma kolczyki do mojego kostiumu. Nie zapominaj, że jestem główną żoną sułtana! - Odwracając się tak, żeby Geoffrey nie zobaczył, wetknęła za stanik złożoną kartkę, liścik od Tima; który miała dać bratu po paradzie. - Do widzenia na platformie, Geoffrey.

Grace z hotelowej werandy patrzyła niespokojnie na komisariat policji po drugiej stronie ulicy.

Chyba coś się dzieje. Jakiś niezwykły tam ruch. Za dużo policjantów. ..

Było z nią na werandzie niemało osób - ci, którzy nie dostali miejsc na trybunach, woleli, siedząc wygodnie i popijając dzin, widzieć tylko, jak defilada wyrusza, niż oglądać całą paradę, stojąc na ulicy. Grace zapatrzona w komisariat słyszała urywki rozmów.

- Słowo daję, wkroczenie Włochów do Etiopii to najlepsza rzecz, jaka mogła nam się zdarzyć - doleciał głos znajomego hodowcy bydła. - Robię pieniądze na prawo i lewo, dostarczam armii włoskiej wołowinę. Zapytajcie Geoffreya Donalda. Jego ranczo kwitnie jak nigdy od lat.

- Nam wszystkim przynosi to pewne korzyści - powiedział jego

towarzysz. - Oby tylko ci makaroniarze nie zdecydowali się pchać dalej i wkroczyć do Kenii.

- Nie ma obawy, Charlie.

- W Europie pichci się wojna. Zapamiętajcie moje słowa. Grace spojrzała na tych dwóch nie na żarty przerażona.

Pichci

się wojna?

- Jeżeli czegoś nie mogę znieść - doleciał inny głos z drugiego końca werandy - to wykształconego tubylca, który przyjeżdża z Nairobi w garniturze i krzykliwym krawacie, mówi sądową angielszczyzną i myśli, że zjadł wszystkie rozumy.

Grace znów wpatrywała się w kryty blachą dach komisariatu. Był tam w areszcie David Madengej. Słyszac o jego aresztowaniu w zeszłym tygodniu zdenerwowała się, bo wiedziała, jak bardzo naczelnik Muczajne nie cierpi tego chłopca i jak w więzieniu traktuje się „szczególnych aresztantów”. Lubiła syna Oczery, obserwowała go, gdy wyrastał na wspaniałego wykształconego młodego człowieka. On sobie nigdy nie pozwalał na przyjaźń z nią, ale wytworzył się między nimi ostrożny szacunek. Grace, ilekroć go widziała, nie mogła nie myśleć o tamtej nocy pierwszego gwiazdkowego przyjęcia w Bellatu, od której już minęło prawie osiemnaście lat, i o tragicznej śmierci naczelnika Madengeja. Jest bardzo podobny do swojego ojca, pomyślała teraz.

Przed komisariat podjechała ciężarówka, wsiedli na nią policjanci z karabinami. Gdy szybko odjechała, Grace poczuła jeszcze większy niepokój.

Czyżby przewidywano zamieszki? Frontowymi drzwiami wyszedł z komisariatu oficer, wkładając czapkę, wydając rozkazy komuś wewnątrz. Gdy zbliżał się do hotelu, Grace przywołała go.

- Dzień dobry, pani doktor. - Podszedł do werandy.

- Może mi pan powiedzieć, co się dzieje, panie poruczniku?

- Co się dzieje?

- Policja dzisiaj jest jakaś szczególnie czynna. Chyba to nie .ze względu na paradę!

Uśmiechnął się.

- Och, pani doktor, nie ma czym się przejmować. To tylko mała sprawa za miastem. Coś, w co wglądamy.

- Jaka sprawa?

- Dostaliśmy wiadomość, że pod Nairobi zbierają się Kikuju. Przybywają podobno zewsząd. Niektórzy nawet z północy, z Nyeri i Nanyuki. Jedziemy tam tylko, żeby mieć na nich oko.

Grace zrobiło się zimno. Kikuju przybywają nawet z Nyeri.

- Jak pan myśli, o co im chodzi?

- Bóg raczy wiedzieć. Ale zapewniam panią, że nie ma się czym przejmować, pani doktor. Dopilnujemy ich, nie przeszkodzą w paradzie. Do widzenia.

Patrząc, jak ten policjant odchodzi, Grace nie mogła się oprzeć wrażeniu, że on pod uśmiechem i pozorną swobodą bycia kryje wielkie zdenerwowanie.

- Jesteś, ciociu! - usłyszała za sobą.'

Jej bratanica posuwiście, w obłoku różowego jedwabiu, wbiegła na werandę. Oczy nad kwefem miała uśmiechnięte. Głowy mężczyzn się za nią odwracały.

- Powinnaś pojechać do Hotelu Stanleya, ciociu. Parada już za chwilę.

Grace spojrzała na zegarek. Przyjechała do hotelu Norfolk z Moną i Arthurem, chcąc im pomóc w przygotowaniach. Jej miejsce na trybunie czekało i rzeczywiście już był czas, żeby pojechała tam swoim samochodem tylnymi uliczkami, jeżeli chce zobaczyć, jak Arthur będzie przecinał wstęgę w alei Lorda Trevertona.

- Co się stało, ciociu? Jesteś nachmurzona. Jeżeli martwisz się o Arthura, to się nie martw. On jest taki kochany. Trzeba ci go widzieć w siodle. I ten strój cudownie mu przydaje wiary w siebie. Już sobie wyobrażam wyraz jego twarzy dziś wieczorem, kiedy zobaczy, jaką mam dla niego niespodziankę.

- Co takiego? - zapytała Grace, roztargniona.

- Nie pamiętasz? Sztucer na słonie!

- Och, tak. Nie myślałam teraz o Arthurze. - Grace myślała o niezwyklej aktywności policji, o Kikuju zbierających się pod miastem. Nie wątpiła, że takie zebranie akurat w dniu wielkiej parady to nie zbieg okoliczności. Afrykanie coś planują. - Myślałam o Dardzie Madengeju - powiedziała - w tym okropnym więzieniu.

Uśmiech Mony zniknął. Oczami przelotnie pociemniałymi dziewczyna spojrzała na komisariat po drugiej stronie ulicy, po czym uśmiechnęła się znowu.

- Co powiesz, ciociu, o moim kostiumie? - zapytała, okręcając się przed Grace.

Grace zmusiła się, żeby odpowiedzieć uśmiechem. Uważała, że strój Mony jest zbyt ryzykowny. Jednakże, upomniała się w duchu, mamy rok tysiąc dziewięćset trzydziesty siódmy, młodzież dzisiaj jest inna niż za czasów mojej młodości. Zresztą Mona nie miała wyboru. Dziewczyny, jeżeli się nie zdecydowały, jak Sukie Came-

ron, wystąpić w stroju męskim, biedziły się, żeby znaleźć w przeszłości Kenii historyczne postacie płci żeńskiej godne przedstawienia na platformach. Mężczyzn w historii afrykańskiej, sułtanów, podróżników, kupców i myśliwych było aż nadto, po kobietach z minionych stuleci jakoś pamięć nie pozostała, jak gdyby w ogóle nie istniały. Toteż Mona i jej przyjaciółki musiały się zadowolić rolami tak bladymi jak nałożnice haremowe i żony sławnych mężczyzn.

Afrykanie nie brali udziału w paradzie i żadnych historycznych postaci afrykańskich nie wzięto pod uwagę.

- Więc chodźmy - powiedziała Grace raptownie, odwracając się tyłem do komisariatu. - Wpakujmy cię do haremu, żeby nam Vasco da Gama nie dostał ataku!

W tym samym momencie Arthur, mając dosiąść konia, martwił się o to samo - żeby tylko nie dostać ataku.

Nie miewał ataków już od roku z górą. Proste bromki i środki uspokajające ciotki Grace cudownie powstrzymywały jego nieuleczalną chorobę. A przecież groźba padaczki wisiała w dzień i w nocy nad Arthurem Trevertonem jak siekiera zawieszona na nitce. Nigdy nie wiedział, kiedy atak nastąpi, z jakiego powodu i gdzie go powali, w czyich oczach się zhańbi. Dlatego uczył się w domu, a nie w szkole, nie mógł nigdzie jeździć sam, posługiwać się bronią i nie miał nigdy zostać przyjęty do wojska, a o tym wszystkim marzył.

Prywatnym nauczycielom nie miał nic do zarzucenia, ale brakowało mu chłopięcego koleżeństwa, przynależności do klubów, drużyn sportowych. Bolał nad tym, że w czasie safari zawsze jest pod opieką bon, ale jeszcze bardziej, że ojciec nie pozwala mu mieć strzelby. Jeżeli chodzi o wojsko, niezdatność Arthura nie ulegała kwestii. Cóż to za syn hrabiego, zastanawiał się chłopiec, bez barw swojej szkoły, bez swoich trofeów: rogów bawołu czy kłów słonia własnoręcznie ubitego i bez możliwości otrzymania odznaczeń za służbę wojenną? Kiedyś miał zostać lordem Trevertonem i już wiedział, że będzie się czuł jak oszust.

Tak też czuł się teraz w pożyczonym ubraniu myśliwskim. Przecież sam takiego ubrania na własność nie potrzebuje. Nie dla niego polowanie, tak jak akcje wojskowe. Wszyscy mówią, że w Europie wkrótce znów wybuchnie wojna, ale jego ominie szansa pokazania światu, że epileptyk jednak jest mężczyzną.

Dlatego Arthur brzydził się swoją fizyczną słabością, zawsze nieszczęśliwy. Dopóki nie poznał Tima Hopkinsa.



Było to w zeszłorocznym Tygodniu Wyścigów. Arthur przyjechał do Nairobi z ojcem i Geoffreyem Donaldem, którego konie biegały we wszystkich gonitwach, i w namiocie bufetowym poznał Tima. Znajomość między tymi chłopcami, czternasto- i szesnastoletnim, zaczęła się niepewnie, ostrożnie, obaj byli bardzo nieśmiali, nie przywykli do przypadkowych rozmów z nieznanymi. Ale stopniowo przy herbacie i rożkach odkryli ku swojemu zdumieniu, że mają sporo ze sobą wspólnego.

Po śmierci rodziców, jak podejrzewano, zamordowanych przez pijanych tubylców z plemienia Okembe, samowolna siostra odebrała jedenastoletniego Tima z internatu i zapędziła go do pracy, usiłując ocalić ranczo. W ciągu następnych pięciu lat Tim dorywczo pobierał wykształcenie od guwernerów, nigdy długo niezagrzewających miejsca. Nie mógł należeć do klubów sportowych, nie jeździł na safari tylko dla trofeów, a teraz słaby po latach dziecięcej harówki nie kwalifikował się do służby wojskowej.

Arthur i Tim szybko dostrzegli w sobie nawzajem coś swojskiego i pocieszającego, więc serdecznie się zaprzyjaźnili.

Ale ten ubiegły rok był pełen przeszkód na drodze ich rozwijającej się przyjaźni. Alice, siostra Tima, z całą zawziętością chroniła brata, zazdrosna o każdego, kto by zabiegał o jego uwagę i uczucie, a Valentine, ojciec Arthura, uznał, że Tim Hopkins jest zbyt nieokrzesany i za nisko urodzony jak na kolegę młodego Trevertona. Więc chłopcy spotykali się tylko wtedy, gdy mogli ukraść wolne chwile: w czasie obchodów urodzin króla, w każdym Tygodniu Wyścigów w Nairobi, w noc noworoczną w hotelu Norfolk i nie dawniej niż w zeszłym miesiącu, gdy wszyscy w Kenii udali się nad jezioro Naivasha, by oglądać lądowanie pierwszego „powietrznego statku” Imperial Airways, który przyleciał z Anglii.

Nawet korespondowali ze sobą. I właśnie z powodu jednego listu ojciec zbił Arthura pasem i zabronił mu mieć cokolwiek do czynienia z Timem Hopkinsem.

Arthur myślał o tym teraz, siedząc wysoko na swoim wierzchowcu, urodziwy i elegancki w cudzym ubraniu, czekając, by dzwony kościelne zaczęły wydzwaniać godzinę jego historycznego przejazdu ulicą Rządową.

A jeżeli dostanę ataku? Jeżeli spadnę z konia przed Timem? A on będzie wstrząśnięty? Poczuję do mnie wstręt? Powinienem był mu powiedzieć...

Arthur kochał Tima bezgranicznie. Za to spadły na niego te cięgi. Ojciec znalazł jego list do Tima i ukarał go, rozwścieczony sło-

wem „miłość”. Arthur przyjmował razy nie broniąc się, bo nie rozumiał, o czym ojciec tak wrzeszczy, dlaczego mu zarzuca coś nienaturalnego i używa słów, jakich on nigdy dotąd nie słyszał. Wcale nie protestował, a potem płakał do późnej nocy i piekły go czerwone pręgi na plecach. Wtedy usiłował pojąć, co się stało, i teraz także. Ale znów wszystko się sprowadzało tylko do tego, że on i Tim się kochają - łączy ich mocna więź, wzajemnie czują dla siebie podziw, czerpią jeden z drugiego siłę i pociechę na wrogim, niezrozumiałym świecie. Wyłącznie ta przyjaźń w samotnym, pełnym oszołomień życiu ostatecznie dała Arthurowi Trevertonowi szczęście.

W ciągu kilku ostatnich sekund przed rozpoczęciem dramatycznej jazdy do czerwonej wstęgi Arthur zdecydował, że nic, poza przyjaźnią z Timem, nie ma dla niego tak wielkiej wagi, jak wykazanie się przed ojcem. Chciał dowieść ojcu, że jest mężczyzną, a nie, jak ojciec określał, „pedziem”! Pragnął rozpaczliwie mieć możliwość zrobienia czegoś bardziej bohaterskiego niż przecięcie wstęgi.

Słyszając szmery z platform za sobą, odwrócił się w siodle i zobaczył, że niektórzy schodzą z nich na ziemię. Spojrzał na zegarek: było już po wyznaczonej godzinie. Rozmarzył się, wyczekując kościelnego kurantu, więc uszło jego uwagi to, że wyznaczona chwila nadeszła, minęła, a dzwony nie zabrzmiały.

- Co się dzieje? - zawołał do Geoffreya Donalda.

- Nie wiem. Chyba coś się święci. Rozejrzę się.

Mona na swojej platformie weszła na minaret i w różowym jedwabiu, roztrzepotanym przez wiatr, osłoniła oczy ręką, patrząc gdzieś poza tłum.

- O co chodzi? - zawołał do niej Arthur.

- Nie bardzo widzę. Coś przy końcu ulicy. Policja...

Gniewne okrzyki z daleka uciszyły rozbawiony tłum. Mężczyźni zeskakiwali z platform, wysiadali z ciężarówek.

Nagle ktoś przybiegł. Wszyscy go rozpoznali: to był kościelny, który miał bić w dzwony.

- Zobaczyłem ich! - wykrzykiwał. - Z dzwonnicy! Tubylcy idą na Nairobi! Tysiące ich!

Zrobiło się zamieszanie. Arthur z trudem powściągnął swego konia, gdy tłumnie wybiegano z hotelu.

- Mona! - zawołał. - Co widzisz?

- Jeszcze nic. Nie bardzo... - Ręka jej opadła. - Och, Boże! -Co?

- Maszerują Drogą Królewską. Chyba na komisariat.

- Dlaczego?

- Bo ja wiem? Ale niosą transparent. Arthur, zabierz mnie stąd!

Galopem podjechał do platformy z makietą Malindi, gdzie już nie było nikogo oprócz tej młodej haremowej żony sułtana, której kwef zsunął się z twarzy, gdy pośpiesznie schodziła z wieżyczki pałacu. Usiadła za bratem na koniu i wyjechali na ulicę przed hotelem. Drogę zagradzał kordon policjantów z karabinami.

Zostali więc na tyłach tłumu i z wysokości konia patrzyli, jak powoli, miarowo zbliżają się wielką falą Afrykanie.

Wkrótce Europejczycy zobaczyli, że dzwonnik miał rację, były ich tysiące.

Mona zaciskała ręce na pasie brata.

Chociaż tak liczni, Kikuju, maszerując z determinacją przed komisariat, zachowywali ciszę i porządek. Kilku niosło transparenty: UWOLNIĆ DAVIDA MADENGEJA i UNIWERSYTET DLA AFRYKANÓW. Mona w oszołomieniu patrzyła na ich wyraźnie zorganizowaną cichą zwartość, nie przypuszczała, że tubylcy są do czegoś takiego zdolni. Po chwili zobaczyła prawdopodobną sprężynę tej organizacji - idącą na czele młodą kobietę, w której rozpoznała swoją rówieśnicę ze szkoły podstawowej Grace.

Wielka masa Afrykanów była straszna, gdy tak sunęła za On-dżiru, milcząc. Zjednoczeni tak, jak nigdy dotąd żaden biały ich nie widział, stanowili jakąś przeraźliwą zbiorową groźbę, mrożącą krew w żyłach każdego policjanta z szeregu. Chociaż w tej masie były kobiety i dzieci, i nikt wśród Afrykanów nie miał broni, nikt nie groził słowem czy gestem, Europejczycy na końcu ulicy poczuli strach.

Mona siedziała za bratem oczarowana. Jak im się to udało? Jakie tajemnicze sieci łączności dosięgły ich wszystkich w prowincji, żeby zgromadzili się w jednym celu? Co ich jednoczy i powściąga teraz? Zagapiła się na tę młodą kobietę na czele. Ondżiru szła dumnie, buntowniczo, odważne były jej kroki i wymachiwanie długich rąk. Podniosła dłoń, zatrzymując zastępy za sobą, i zawołała:

- Uwolnić Davida Madengeja!

W głosie jej brzmiało coś, czego Europejczycy jeszcze nigdy nie słyszeli u Afrykanów.

Nastąpiła chwila zawieszenia. Policjanci stali w pogotowiu z palcami na spustach. Europejczycy patrzyli, Afrykanie czekali.

I nagle dał się słyszeć warkot zbliżającego się szybko samochodu, który podjechał na tyły „strony europejskiej” i stanął. Arthur skierował konia w bok. Rozstąpiono się, żeby zrobić przejście dla gubernatora i lorda Trevertona.

Mona patrzyła na ojca, gdy przechodził. Szedł w sam środek awantury, taki nieulekły, taki dzielny!

Gubernator ze zmarszczonymi brwiami, z wyrazem twarzy patriarchy karcącego dzieci, stanął na schodkach komisariatu i rozejrzał się po morzu Afrykanów.

- No, no - powiedział - co to wszystko ma znaczyć? Ondżiru wystąpiła naprzód.

- Dajcie nam Davida Madengeja! - wykrzyknęła. Gubernator się zgorszył. Dziewczyna prowadzi ten motłoch?

- No zaraz - powiedział. - Wiesz, że nie można tego robić. Wracajcie do domów, wszyscy!

- Uwolnić Davida Madengeja! - powtórzyła Ondżiru. Valentine podszedł po schodkach do gubernatora i groźnie popatrzył na tłum.

- Myślicie, że sprawy tak się załatwia? Pokazem siły? Ondżiru podeszła do schodków, wzięła się pod boki.

- Mówimy do was jedynym językiem, jaki znacie - powiedziała. - Rozumiecie tylko siłę! - Powiedziała to natarczywie, z chrupkim śpiewnym akcentem mówiących po angielsku wykształconych Afrykanów. - Tak właśnie głosują Kikuju. My nie wkładamy kartek do utajnionej skrzynki jak wy, którzy się boicie wygłaszać swoje zdanie. My to robimy jawnie. Głosujemy tym, że się pokazujemy. Głosujemy, żeby David Madengej wyszedł na wolność.

- On został aresztowany zgodnie z prawem - powiedział gubernator.

- Wcale nie! - Ondżiru wyjęła z kieszeni arkusz papieru i machnęła nim przed białymi. - Oto co David Madengej robił, kiedy Mu-czajne go aresztował. To jest prośba o uniwersytet dla Afrykanów w Kenii! David Madengej działał spokojnie i zgodnie z prawem, kiedy Muczajne kazał go zabrać w kajdanach! Nie macie prawa go więzić.

Mona z bijącym sercem słuchała Ondżiru. Widziała w jej postawie namiętność. Jest zakochana w Davidzie, pomyślała.

Patrzyła na czarne twarze wypełniające ulicę i ginące za dalekim zakrętem. Zdawała sobie sprawę z zagrożenia, ale podniecona czuła się świadkiem czegoś do głębi znamionego.

- Dajcie nam uniwersytet! - zawołał jakiś Kikuju w tłumie. Poparły go przytaknięcia, niegłośnie pomruki i nagle nerwowe falowanie tłumu.

- Boże święty - powiedział cicho Arthur. - Wątpię, czy ta dziewczyna zdoła długo utrzymać ich na wodzy. Wystarczy iskra, motłoch się ruszy. Dojdzie do rozlewu krwi.

Gubernator skinieniem przywołał oficera stojącego na ganku i coś mu szepnął. Oficer zsalutował i szybko odszedł.

- Powtarzam po raz ostatni - przemówił gubernator. - Przyślijcie delegację. Wybierzcie spośród was dwóch czy trzech ludzi, a ja wysłucham waszych żądań. Nie będę tutaj stać, żebyście mi grozili!

- To wy nam grozicie! - wykrzyknęła Ondżiru. - Waszą policją, waszymi ustawami i podatkami! Jakim prawem zakazujecie nam przestrzegać zwyczajów plemiennych? Czczyć uświęcone figowce, obrzezać dziewczęta?! Grozicie zupełnym zniszczeniem naszego sposobu życia. Grozicie zagładą naszej rasy. Jeżeli nie dacie nam tego, czego chcemy, ogłosimy powszechny strajk. Wszyscy Afrykanie w Kenii będą siedzieli z założonymi rękami. Pan! - Oskarżycielko wycelowała palec w Valentine'a. - Pan jutro rano wstanie i powie: „Chłopcze! Podaj mi herbatę!”. A tu nikt nie poda. Gubernator opuścił ręce.

- Biali przyjdą do swoich biur - rozbrzmiewał dalej głos Ondżiru - a tu żadni podwładni nie staną do pracy. *Memseeb* zadzwonią na swoje pokojówki, a żadna pokojówka nie przybiegnie.

- Daję wam minutę, żebyście usunęli się z tej ulicy!

- Mona - szepnął Arthur - popatrz tam.

Mona spojrzała. Na dachu komisariatu i za ogradzającym komisariat murem już zajmowali pozycje żołnierze. Cicho podjechała ciężarówka, stał na niej karabin maszynowy.

- Boże! - wyszeptała.

- Lepiej zabierzmy się stąd.

- Arthur, patrz! Coś dzieje się tam od tyłu.

Odwrócił się i zobaczył to, czego nie zauważył nikt z Europejczyków i policjantów - podejrzany ukradkowy ruch za budynkiem więzienia.

- Jak myślisz, co to? - zapytała Mona.

- Chyba próbują wydostać Davida Madengeja. -1 zobaczył jeszcze coś. Stanley, czyli Tim Hopkins w swoim paradnym przebraniu, skradał się ze strzelbą powoli w tamtą stronę.

Teraz Mona rzeczywiście się złąkla.

- Czy nie powinniśmy ostrzec policji?

- Nie. To mogłoby wywołać ogólną masakrę. Tim wpadł na dobry pomysł, r Arthur skierował wierzchowca z powrotem przed hotel Norfolk i zсадził siostrę na werandę.

- Co chcesz zrobić? - zapytała szeptem.

- Wejdz do hallu, Mona. Jeżeli będzie strzelanina, nie wychodź. Słyszysz, co mówię?

- Arthur! Zostań tu, proszę. Trzymaj się od tego z daleka.

- Pomogę Timowi. We dwóch możemy ich poskromić, nie dopuścić do incydentu.

Wlepiała w niego oczy.

- Arthur, błagam. Nie jedź tam! Odwrócił się i odjechał.

Patrzyła, jak spina wierzchowca ostrogami i jedzie krótkim galopem tak, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Nagle wydał jej się strasznie młody i zarazem strasznie dorosły. Twarz miał tak gładką i miłą, jeszcze nie męską, ale wyraz jego oczu i ton młodzieńczego, trochę chrypliwego głosu powiedziały jej, że w ciągu kilku minut dojrzał.

Patrzyła, jak Arthur objeżdża tłum Europejczyków i ukradkiem skręca za więzienie. Jednocześnie słyszała krewką wymianę zdań między Ondżiru i gubernatorem. Raptem zrozumiała. Celem tej dziewczyny jest odwracanie uwagi władz, w czasie gdy kilku jej towarzyszy usiłuje uwolnić Davida.

Przerażona i niespokojna o brata, Mona otuliła się różowym jedwabiem, rozejrzała się, czy nikt na nią nie patrzy, i pobięła w ślad za Arthurem na tyły więzienia.

\* \* \*

Gdy siedemnastoletnia Ondżiru dalej zdumiewała zarówno swoich rodaków, jak Europejczyków krasomównstwem, David Madengej po raz pierwszy starał się odzyskać wolność.

Ponieważ policja kierowała swe wysiłki głównie na ulicę, łatwo było przyjacielom Davida obezwładnić paru strażników, dostać się do jego celi i zabrać go. Jednakże szczęśliwa ucieczka z terenu komisariatu okazała się zupełnie inną sprawą. Bo on nie mógł chodzić.

Poddano go torturom.

Nie tutaj, w więzieniu białych, tylko na północy, w Karatinie, w jednej z chat stojących na ziemi naczelnika Muczajne. Pokaleczone stopy, które lekarz policyjny zabandażował, nie zadając pytań, prawie uniemożliwiały ucieczkę. Dwaj towarzysze ujęli Davida pod pachy i na pół ciągnęli w biegu do bramy, gdzie leżeli nieprzytomni czterej policjanci, Afrykanie w służbie króla Jerzego. Przy bramie kłębiła się lękliwie gromadka młodych Kikuju z maczugami i plemiennymi nożami, pilnując wylotu zaułka, za którym tłum Afrykanów otaczał Ondżiru. n

Wydawało się, że powietrze aż trzeszczy od napięcia. Słowa Ondżiru rozgrzewały w młodych krew. Obserwowali baraki więzienia,

gdy czekali na Davida i jego przyjaciół, ale też często wdzili wzrokiem po dachach, po żołnierzach kierujących karabiny w tłum na ulicy.

Znów rozległ się głośny rozkaz gubernatora: - Rozejść się!

I tym razem padła groźba: jeżeli tłum się nie rozejdzie, żołnierze zaczną strzelać.

Gromadka przy tylnej bramie zakotłowała się niespokojnie. Młodzi czuli broń w rękach, żar krwi w żyłach. Ich zadaniem było zabranie Davida Madengeja szybko i niepostrzeżenie do przygotowanej kryjówki w górach. Ale ci gorąckrwiści chłopcy zaczęli już słuchać nie poleceń Ondziru, dziewczyny przecież, tylko swojej męskiej tężyzny dudniącej im w uszach. To byli młodzi Afrykanie, którzy nigdy nie wojowali. Urodzili się za późno, żeby zaznać dumy i podniecenia, będąc zaszczytnie wojownikami, i których teraz nagle zmobilizowała uraza do białych o to, że pozbawili ich włóczni ojców.

Dlatego więc, gdy zobaczyli, jak do zaułka wkrada się samotny chłopiec europejski ze strzelbą w ręce, stracili panowanie nad sobą.

Kilka wydarzeń nastąpiło jednocześnie. Młodzi z maczugami i nożami hurmem rzucili się na Tima Hopkinsa, w tej samej chwili David został przeprowadzony przez bramę, a u wylotu zaułka ukazał się Arthur Treverton już nie na koniu, wkraczając z dobytą z pochwy szablą, którą miał przeciąć wstęgę.

Nastąpił moment takiego zamieszania, że żaden z uczestników nie potrafił później złożyć logicznych zeznań władzom. Arthur na widok Tima, padającego pod ciosami i kopniakami, wskoczył jak wariat w kłębowisko Afrykanów.

David Madengej wrzasnął:

- Nie! Przestańcie! - Ale powalili drugiego białego chłopca.

Wyrwał się z rąk tych dwóch, którzy go podtrzymywali, doszurał jakoś do kłębowiska i spróbował odciągnąć swych rozszalałych przyjaciół, wrzeszcząc, żeby dali spokój. Zobaczył podnoszący się i opadający sztylet, spróbował go zatrzymać, ale stracił równowagę i osunął się na kolana przy powalonym Arthurze. Zobaczył, jak sztylet wbija się w plecy leżącego. Sięgnął i wyciągnął zakrwawione ostrze.

Krzyk u wylotu zaułka sprawił, że wszyscy znieruchomieli, po czym odwrócili się przerażeni.

Stała tam biała dziewczyna ubrana jak *memseeb* azjatycka, oczy miała szeroko otwarte, ręce podniosła do ust.

Gromada się rozpiezchła. Dwaj uciekli przez mur, reszta pędem minęła Monę i zniknęła w tłumie na ulicy. Mona patrzyła na dwóch białych chłopców leżących na ziemi i na Davida, który klęczał obok jej brata i trzymał zakrwawiony sztylet.

Napotkała jego wzrok.

Na chwilę czas się zatrzymał, gdy David Madengej i Mona Treverton patrzyli sobie w oczy. A potem, nagle się opamiętując, wrócili po Davida jego dwaj towarzysze i podnieśli go z klęczek.

Zatrzymał się, żeby jeszcze popatrzeć na Monę oczami pełnymi bólu. Otworzył usta, ale nie zdołał nic powiedzieć.

Przyjaciele pociągnęli go ze sobą i gdy z ulicy doleciało wołanie o policję i włączono alarm, David uciekł, pozostawiając Monę nad zwłokami brata.



### Rozdział 3 1

Grace odłożyła skalpel i wyciągnęła rękę po hemostat. Spojrzała na pielęgniarkę.

- Rebeka! Zacisk, proszę!

Afrykanka aż podskoczyła nad tacą z instrumentami. Mamrocząc przeprasząco, położyła zacisk na wyciągniętej dłoni Grace i szybko odwróciła wzrok, zakłopotana.

Grace zmarszczyła brwi. To niepodobne do tej kobiety, takie roztargnienie w czasie operacji. Rebeka była jedną z najlepszych pomocniczych pielęgniarek, czujna, oddana swojej pracy, dumna z tego, że jest jedyną w prowincji afrykańską instrumentariuszką. Ale w ten poranek, gdy pracowały w świetle październikowego słońca, wydawała się niezwykle roztargniona.

- Jeszcze jeden zacisk, proszę. Nie powinnam prosić o to.

- Przepraszam, *memseeb dektari*.

- Czy coś się stało, Rebeko? Chcesz, żeby któraś cię zastąpiła?

- Nie, *memseeb dektari*.

Grace usiłowała czytać z jej oczu. Większą część twarzy zasłaniała maska chirurgiczna, ale oczy unikające wzroku Grace wyrażały wielkie poruszenie.

Wybierając do asystowania przy operacjach tę właśnie Kikuju, Grace wzięła między innymi pod uwagę jej równe usposobienie i zimną krew w krytycznych chwilach. Dzisiaj jednak zobaczyła, że Rebeka jest zdenerwowana, i nagle się zaniepokoiła.

-Jedwabne nici, Rebeko, proszę. - Znów wyciągnęła rękę po coś, co powinno być podane automatycznie.

Dokonywała zwykłego wycięcia macicy. Robiła to z pomocą Rebeki tyle już razy, że często podczas takiej operacji nie potrzebowała mówić ani słowa.

Ale teraz, znów ku jej zdumieniu i wzrastającemu zaniepokojeniu, Rebeka przyznała się, że zapomniała przygotować jedwab na tacy.

- Może powinnaś wziąć wolny dzień. - Grace dała znak drugiej afrykańskiej pielęgniarce w sali operacyjnej.

Należała ona również do zespołu chirurgicznego, ale nie stała przy wyjąłowym stole. -Przynies kilka jedwabnych nici. Prędko. I zobacz, która tam może teraz zastąpić Rebeke.

Zajmując się znów raną operowanej, nie widziała, że pielęgniarki wymieniają porozumiewawcze spojrzenia.

\* \* \*

- Rebeko - powiedziała Grace, gdy już zdjęła biały kitel i gumowe rękawiczki. - Chcę z tobą porozmawiać.

Pielęgniarka sprzątała salę operacyjną, poruszając się zbyt gwałtownie, pracując niechlujnie. Zastępczyni się nie znalazła. Rebeka musiała asystować przy całej operacji i popełniła za dużo pomyłek.

- Rebeka? - powtórzyła Grace.

- Tak, *memseeb dektari*. - Afrykanka nie odwróciła się do niej.

- Jakież kłopoty w domu? Trudności z dziećmi?

Rebeka miała ich siedmioro: czterech chłopców i trzy dziewczynki w wieku od lat czternastu do jednego roku. Mąż ją porzucił w czasie ostatniej ciąży i zamieszkał w Nairobi. Pracowała w misji doktor Treverton, odkąd ukończyła nową szkołę średnią dla dziewcząt i przez te wszystkie lata nauki u Grace i lata asystowania w sali operacyjnej zawsze potrafiła nie dopuszczać, żeby sprawy osobiste przeszkadzały jej w pracy. Teraz jednak Grace podejrzewała, że obowiązki samotnej matki przygniatają Rebeke.

Rebeka wreszcie się odwróciła i patrząc jej w oczy, odpowiedziała:

- Nie, *memseeb dektari*. W domu nie ma żadnych kłopotów. Grace spróbowała się zastanowić. Przyszło jej na myśl, że nie

pierwszy raz Rebeka zachowuje się tak dziwnie. Ni stąd, ni zowąd ją olśniło, że ta Afrykanka zaczęła się zmieniać mniej więcej po dniu wielkiego protestu w Nairobi dwa miesiące temu. Rozmyślając o tym, Grace nabrała pewności. Zauważyła przecież tę zmianę już w kilka dni po tamtym strasznym popołudniu, gdy Arthur został zamordowany, a David Madengej cudem wyrwał się z więzienia. Czy właśnie to trapi Rebeke teraz? Brzemień winy kilku jej pochopnych rodaków?

Rebeka Mgugu była pobożną chrześcijanką, co niedziela chodziła do kościoła w Nyeri, brała udział w akcjach dobroczynnych. Wszystkie jej dzieci zostały ochrzczone i uczyły się w szkołach misyjnych. Nią też, tak jak wieloma Kikuju, wstrząsnęła haniebna wiadomość o brutalnym zamordowaniu Arthura Trevertona i tchórzliwej ucieczce Davida Madengeja. Wydawało się, że po tamtym dniu jedność plemienia zupełnie się rozpadła. Ondziru w pewnej mierze utraciła wpływ, Afrykanie cicho wrócili na swoje poletka.

A więc to tamten dzień tak szczególnie pozostał w pamięci Rebeki, doszła do wniosku Grace. Może ona sama była w protestującym tłumie na Drodze Królewskiej?

Podchodząc do pielęgniarki, Grace położyła jej rękę na ramieniu i powiedziała:

- Jeżeli czujesz potrzebę porozmawiania, Rebeko, albo jeżeli potrzebujesz jakiejś pomocy, wiesz, że moje drzwi są zawsze otwarte.

I wyszła z sali operacyjnej, przy czym znów nie spostrzegła porozumiewawczych spojrzeń tych dwóch Afrykanek. Misja Grace Treverton obejmowała prawie dwadzieścia akrów, na których stały kamienne budynki: szkoła podstawowa, szkoła średnia, szpital, przychodnia, dormitorium pielęgniarek i szopa-garaż. Pośrodku tej zabudowy, przypominającej małe miasteczko, stał okazały dom Grace w tym samym miejscu, gdzie przedtem był Domek Ptasiej Pieśni, ale znacznie od niego większy, wzniesiony po pożarze osiem lat temu już nie prowizorycznie, tylko z myślą o trwałości.

Grace, idąc po rozległych trawnikach między budynkami, odpowiadała na powitania, słuchała, jak dzieci śpiewają w jednej z klas szkolnych: „Stary MacDonald *szembe* miał...”.

Szła zamyślona. Tematów nie brakowało. Prace w Stanach Zjednoczonych nad nową szczepionką przeciwko żółtej febrze, jej własne eksperymenty z chorałem w leczeniu tężca, konieczność zatrudnienia laboranta na pełny etat, projekt podróży do Francuskiej Afryki Równikowej w okresie Bożego Narodzenia. James Donald w zeszłym roku, gdy pojechał na terytorium Gabonu, poznał tam doktora Alberta Schweitzera i dał mu egzemplarz jej lekarskiego poradnika „Jeśli musisz być lekarzem”. Doktor Schweitzer napisał do niej list, bardzo ją chwaliąc i prosząc, żeby go odwiedziła w jego klinice w Lambarene. Wszystko to zaprzętało jej głowę, więc nie uświadamiała sobie, że czegoś brak w ten słoneczny październikowy poranek.

Po pierwsze: na terenie misji było niezwykle cicho.

Weszła na schodki werandy, na której właśnie wypuszczały listki importowane fuksje kalifornijskie, i rozejrzała się ze zdumieniem. Miała zwyczaj pić na werandzie przedpołudniową herbatę, przeglądając przyniesioną pocztę, i Mario nigdy nie zapominał nakryć do stołu, postawić gorącego czajnika w kapturku. Ale dzisiaj na stole nie było nawet białego obrusa, już nie mówiąc o korespondencji.

- Mario! - zawołała. Nie odpowiedział.

Weszła w spokojny bezruch okazałe, solidnie umeblowanego, przestronnego saloniku.

- Mario! - zawołała znowu. W domu było cicho.

Weszła do kuchni, czajnik nawet nie stał na kuchennym piecu. Napełniła go wodą i postawiła na ogniu, po czym wróciła do saloniku, gdzie na dużym ozdobnym biurku przy oknie wychodzącym na tylny ogród dopiero teraz zobaczyła pocztę.

„Zastanawiając się, gdzie jest Mario, zwykle tak niezawodny jak wschód słońca, zaczęła otwierać listy.

W ciągu ubiegłych ośmiu lat James Donald miał zwyczaj pisać do niej co najmniej raz w miesiącu, ale ostatnio od dawna żadnego listu od niego nie dostała. Teraz też nie.

Miło się jednak zdziwiła, znajdując czek na tantiemy od wydawcy w Londynie oraz pismo z propozycją, żeby zważywszy wielkie obecnie postępy na polu medycyny, pomyślała o napisaniu podręcznika poszerzonego.

W tej poczcie porannej znalazła jeszcze jedną dobrą wiadomość. Informację z banku, że coroczną anonimową wpłatę na jej konto, od kilku lat nie powiększając, w tym roku podwojono. Najwidoczniej, ranczo Donaldów pod bystrym zarządem Geof-freya rozkwita.

Resztę listów położyła przy swoim dzienniku na biurku i po raz trzeci zawołała Maria. W domu go nie było.

Gdy wróciła do kuchni, żeby zaparzyć herbatę, zobaczyła tam na stole ostatni numer „East African Standard”, którego jeszcze nie przeczytała. Nagłówek na pierwszej stronie sprawił, że odstawiła czajnik i wzięła gazetę.

- Boże mój - wyszeptała. Złożyła gazetę i wybiegła, myśląc o Monie.

\* \* \*

Weszła do wielkiego domu kuchennymi drzwiami i ze zdumieniem zobaczyła, że w kuchni nie ma nikogo, a piec jest zimny.

W imponującej jadalni stary zegar tykał wiernie w dusznej ciszy. W saloniku, utrzymanym w ciemnych, ponurych barwach, łby bawołów patrzyły na kanapy i fotele, od tygodni nie widząc tam nikogo siedzącego. Tylko połysk politurowanych powierzchni i wypolerowanych sreber świadczył o obecności istoty ludzkiej, która ze szczotką i ścierką kiedykolwiek tędy przechodziła.

Grace zatrzymała się i zaczęła nasłuchiwać. W Bellatu było niegościnnie cicho, jak w mauzoleum. Wiedziała, że Valentine, zrozpaczony po śmierci syna, poluje na lwy w Tanganice, a Rose radzi sobie z żałobą w jedyny sposób, jaki zna - na swojej klasztornej polance wśród eukaliptusów. Ale gdzie jest Mona?

Usłyszała jakiś odgłos. Odwracając się, stwierdziła, że w saloniku wreszcie kogoś zastała. Ze skórzanej kanapy wstał Geoffrey Donald.

- Cześć, ciociu Grace - powiedział. - Mam nadzieję, że cioci nie przestraszyłem.

- Gdzie są służący? Wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Nikt nie otworzył drzwi, kiedy zakołatałem. Sam się tu wpuściłem.

- Gdzie Mona?

- Na górze. Zobaczyłem ją w oknie. Nie chce zejść i porozmawiać ze mną.

- Czytałeś to? - Grace pokazała mu gazetę. Uniósł brwi.

- Słowo daję! Dobra nowina, no nie?

- Oby Mona tak to przyjęła. Może to da jej trochę spokoju ducha. Pójdę do niej, Geoff. Mógłbyś nastawić czajnik, przyprowadzę ją na herbatę.

\* \* \*

Zmarli, gdy się o nich zapomni, umierają po raz drugi.

Gdzie ja to czytałam? Mona nie pamiętała. Ale czy nie wszystko jedno? W tych słowach jest prawda. I dlatego ona nigdy nie zapomni o swoim bracie.

Siedziała na kanapie we wnęce okiennej w sypialni Arthura i patrzyła na ogromny obszar kawy, rozciągający się ku dalekiej górze Kenya. Na jej kolanach leżał wiersz, który Tim Hopkins napisał i dał jej przed paradą i którego nie miała możliwości przekazać Arthurowi. Czytała ten wiersz tyle już razy, że umiała go na pamięć.

- Mona? - Grace stanęła w drzwiach i zaraz weszła, drżąc. Nie rozumiała, jak jej bratanica może wytrzymać chłód w tym pokoju. Przyjrzała się Monie zatroskana. Dziewczyna odziedziczyła urodę po swoim śniadym ciemnowłosym ojcu, ale w ostatnich tygodniach zbladła. Brąz jej opalenizny - typowej opalenizny brytyjskich osadników w Kenii - zmienił się w nieomal upiorną biel, podkreślając czarny kolor jej oczu i włosów. Schudła, sukienka na niej wisiała.

- Mona... - Grace usiadła przy bratanicy. - Geoffrey jest na dole. Dlaczego nie chcesz się z nim zobaczyć?

Ale Mona nie odpowiedziała.

Grace westchnęła. Wiedziała, że rozpacz Mony oplątana jest gmatwaniną winy i kary. Mona uważa się za winną śmierci brata, bo jak powiedziała. Gdyby się nie uparła, że to Arthur ma przeciąć wstęgę, on by przecież w czasie tego incydentu siedział bezpiecznie na trybunie. Zapalczywie oskarża również Geoffreya Donalda, który „nic nie zrobił”, kiedy Arthura mordowano. Valentine według niej też ponosił winę, skoro nie rozprawił się z protestującymi Afrykanami i pozwolił Davidowi Madengejowi uciec. I ponosi winę, zdaniem Mony, nawet Rose, ponieważ nigdy nie była dla Arthura dobrą matką. I w końcu Mona winą za śmierć brata obarcza Davida Madengeja.

Grace pokazała jej gazetę.

- Ostatecznie on jest niewinny - powiedziała. - Ten chłopak, Matthew Munroe, sam oddał się w ręce policji i przyznał się do zasztyletowania Arthura. Więc to nie David.

Mona czytała długo. Grace nagle pojęła, że ona nie czyta, tylko wpatruje się w tę stronicę.

- Najwidoczniej - wyjaśniła spokojnie - plemię wywierało nacisk, żeby zabójca się ujawnił i oczyścił Davida. Chcą umożliwić synowi Oczery wyjście z kryjówki, co było wykluczone, dopóki policja szukała go za morderstwo.

Podobno na naczelnika Muczajne spadła klątwa i strasznie jest chory. Wyobrażam sobie, że ten chłopiec, Matthew, woli stanąć przed sądem białych, niż narazić się na *tsehę* Oczery.

Mona przeniosła wzrok na zielone morze drzewek kawowych sięgające do podgórza.

- David Madengej nadal jest winny - powiedziała cicho.

-Ale sama powiedziałaś policji, że nie byłaś świadkiem rzeczywistego zasztyletowania. Oprócz ciebie był tam tylko Tim, wtedy nieprzytomny. I Tim powiedział, że nic nie widział. Mona, ten Matthew się przyznał.

- David Madengej - Mona mówiła cicho - jest winny śmierci Arthura, bo to przez jego ucieczkę z więzienia Arthura zabili. Może nie on pchnął sztyletem, ale i tak jest winny tego morderstwa. Kiedyś David Madengej za to zapłaci. Grace odchyliła się na kanapie. Cała ta koszmarna sprawa podzieliła rodzinę Trevertonów. Oto Mona pogrążona w bagnie rozpacz i samooskarżeń. Valentine uciekł, żeby wyładowywać gniew, bezsilnie wściekać się na równinie Serengeti, a Rose uczyniła się jeszcze trochę bardziej niewidoczna wśród swoich drogocennych drzew, przy czym jak na ironię jej jedyną towarzyszką jest Ndžeri, przyrodnia siostra Davida.

- Mono, proszę, zjedź na dół i porozmawiaj z Geoffreyem.

- Nie chcę go widzieć.

- Więc jak będzie? Nigdy już nie zobaczysz nikogo do końca życia? Ten smutek minie, zapewniam cię. Masz zaledwie osiemnaście lat. Cała przyszłość przed tobą... małżeństwo, dzieci.

- Nie chcę małżeństwa ani dzieci.

- Mono, nie można tak mówić, kochanie. Przed tobą tyle czasu. Wszystko się zmienia. Jeżeli nie wyjdiesz za mąż, jakie to będzie życie?

- Ty, ciociu, nie wyszłaś. -I ze łzami w oczach Mona zapytała: -Czy byłaś kiedyś zakochana, ciociu?

- Byłam... dawno temu.

- Dlaczego się nie pobraliście?

- My... Nie mogliśmy. Nie byliśmy wolni.

- Powiem ci, dlaczego o to pytam. Dlatego, że ja jestem niezdolna do miłości. Godzinami siedzę tu i rozmyślam. I doszłam do wniosku, że Arthur i ja urodziliśmy się inni niż wszyscy. Teraz widzę, że po prostu jestem taka jak moja matka, urodziłam się niezdolna do miłości. Ona nigdy nas nie kochała. Kiedy usiłuję ją sobie odtworzyć, nie widzę jej. Ciociu - łzy Mony popłynęły - ona to po prostu cień. Kobieta niepełna. Ja tak jak ona nigdy nikogo nie zdołam pokochać i teraz, kiedy Arthur nie żyje, będę sama na świecie.

Gdy Mona się rozpląkała, Grace nasunęły się wspomnienia: straszna lutowa noc przed osiemnastu laty, nieoddychające" dziecko wydobyte na świat w pociągu; pierwszy śmiech Mony, jej pierwsze kroki; ten małpiszonek wyskakujący z cadillaka z okrzykiem: „Ciociu Grace! Wróciłyśmy do domu! Już nigdy nie muszę jechać do Anglii!". Nagle Grace poczuła brzemię swoich czterdziestu siedmiu lat, każdego poszczególnego dnia.

- Mona, posłuchaj - powiedziała, ujmując dłoń dziewczyny w obie ręce. - Ten sztylet, który wtedy się wbił, jeszcze nie przestał się wbijać. Poraża w tobie życie i miłość. Nie dopuść, żeby zabił i ciebie. Wyjdź z tego pokoju raz na zawsze, zamknij drzwi na klucz, pożegnaj ducha, który tu mieszka. Ty należysz do świata żywych. Arthur chciałby tego. I znajdzie się na twojej drodze ktoś, kogo pokochasz, zapewniam cię.

Mona otarła łzy wierzchem dłoni. Jej ciemne skośne oczy przysłaniał cień, głos był pełen smutku samotności.

- Wiem, co mnie czeka, ciociu. Teraz, kiedy mój brat nie żyje, ja odziedziczę Bellatu. To wszystko kiedyś będzie moje i moim życiem stanie się ta plantacja. Nauczę się zarządzać, uprawiać kawę, być niezależna. Jedyna władza, jakiej kiedykolwiek będę podlegać, to Bellatu. Tylko Bellatu będę kochała.

W oczach Mony zajaśniało jakieś światełko, przywodzące Grace jeszcze jedno wspomnienie sprzed osiemnastu lat. Ona i Valentine stali na gołym wzgórzu w tym właśnie miejscu, gdzie teraz jest jego dom. Valentine opowiadał wówczas, co zamierza zrobić z tą głuszą. Słyszała w jego głosie pewność, gdy mówił o posiadaniu tej ziemi; widziała dziwną jasność w jego oczach, gdy przedstawiał swoją wizję przyszłości. Teraz Grace zdała sobie sprawę, że to się powtarza w jego córce.

- Samotna egzystencja, Mono - powiedziała ze smutkiem. - Ty sama w tym wielkim domu.

- Nie będę się czuła samotna, ciociu. Bo będę bardzo zajęta.

- Nie mając po co żyć, poza drzewkami kawy?

- Właśnie będę miała jeszcze coś.

- Co takiego?

- Dążenie, żeby David Madengej zapłacił za swoją zbrodnię.

- Mona - wyszeptała Grace - zostaw to. Odłóż ten żal. Zemsta nigdy nikomu nie pomogła!

. - On kiedyś tu wróci. Wyjdzie z ukrycia, gdziekolwiek przywa-rował, i wróci. A wtedy ja się postaram, żeby on, David Madengej, zapłacił za zamordowanie mojego brata.

Na dole trzasnęły drzwi. Rozległy się kroki i z hallu doleciał głos Maria:

- *Memseeb dektari!*

- Boże miłosierny - powiedziała Grace, wstając. - Mario, jestem tutaj!

Mario wbiegł do pokoju.

- *Memseeb!* W puszczy! Musi pani przyjść!



- Co się stało?
- Wtajemniczenie, *memseeb*. Duże! Bardzo tajne!
- Gdzie? Wtajemniczenie? Kogo?
- W górach. Tam! Dziewcząt, *memseeb*.

Grace nagle zrozumiała dziwne zachowanie się pielęgniarek, nieobecność służby w Bellatu, niezwykle ciszę na terenie misji. Oni się gromadzili na ogromną potajemną inicjację, pierwszą od lat. Taka zakazana ceremonia obrzezania dziewcząt - usunięcie łechtaczki - zabiło siostrę Maria.

- *Memseeb* - powiedział - ta dziewczyna, Ndžeri Madengej... Grace przebiegła obok niego na dół do hallu. Mona została w okiennej wnęce, słuchając oddalających się kroków. Wyjrzała przez okno. Grace i Mario biegli przez trawnik na ścieżkę, która prowadziła do misji.

Po chwili z przeciwnej strony podjechał urzędowy samochód. Mona zobaczyła, że wysiada oficer okręgowy. Wtedy się ruszyła i zeszła na dół.

Geoffrey w saloniku wstał z fotela.

- Co się dzieje? - zapytał.  
- Przyjechał policjant. To chyba w związku z tą inicjacją. Oficer okręgowy przyjechał jednak w innej sprawie. Przywiózł telegram, który dał Monie.

- Dla pani doktor Treverton, ale w misji nikt nie wiedział, gdzie ona jest. Może pani mogłaby jej doręczyć. Ze zmarszczonymi brwiami Mona popatrzyła na żółtą kopertę. Z Ugandy. Szybko ją otworzyła.

Telegram nadał Ralph, brat Geoffreya.

CIOCIU GRACE POWAŻNA EPIDEMIA MALARII. MAMA NIE ŻYJE. OJCIEC UMIERAJĄCY WZYWA CIOCIĘ. PROSZĘ ZARAZ PRZYJECHAĆ Z GEOFFREYEM.

- Boże! - wykrzyknęła.

Geoffrey wziął telegram i zanim zdążył zareagować, ona już zbiegła po schodkach werandy i pędziła w kierunku rzeki.

Ale gdy zatrzymała się na szczycie wzgórza, skąd widać było teren misji, boisko polo i chatę Oczery, nigdzie tam nie wypatrzyła ciotki.

### Rozdział 32

Na obrzęd zwany *ajrue* składały się trzy operacje: usunięcie łechtaczki, przycięcie warg sromowych i zszycie otworu.

Miało to zdławić w dziewczynach pożądanie, ograniczyć swobodę płciową, uniemożliwić masturbację. Wierzono, że odcięciem uwrażliwionej części genitaliów i zmniejszeniem otworu pochwy do szerokości małego palca odstraszy się dziewczęta od eksperymentowania przed zaślubinami. Później dziewczyna, gdy już ją kupi mąż, miała poddać się oględzinom dla pewności, że jest dziewicą, oraz operacji rozcięcia umożliwiającego stosunek seksualny. *Ajrue* był jednym z najstarszych, najbardziej uświęconych obrzędów Kikuju: oznaczał oficjalnie przyjęcie dziewczyny na łono plemienia i czczenie jej wkroczenia w kobiecość. Te, które przeszły *ajrue*, cieszyły się ogólnym szacunkiem w klanie, te, które nie przeszły, stawały się wyrzutkami i tabu.

Oczera od wielu dni przygotowywała swoje przybory i leki.

Wiele zbiorów minęło, odkąd ostatnio dopełniała uświęconego *ajrue* - jej rodacy, bojąc się represji białych, przestali praktykować wiele doniosłych obrzędów Kikuju. Czowała się więc dumna, zaszczycona tym, że dopełni tego dzisiaj. Przodkowie są zadowoleni, już jej powiedzieli. Tak samo jak powiedzieli o kryjówce syna - na tej ziemi, gdzie słońce śpi.

Nie powiedzieli tylko, kiedy on stamtąd wyjdzie.

Ale Oczera była cierpliwa. Nie traciła wiary w to, że jej syn pewnego dnia wróci na Ziemię Kikuju i zostanie przywódcą ludzi. W owym dniu - Oczera nie wątpiła - David odbierze białemu ukradzioną ziemię i wypędzi go z Ziemi Kikuju.

Bo czyż jej *tseha* nie działa?

Ta straszna klątwa, którą Oczerza rzuciła wiele zbiorów temu na wielki kamienny dom *buany*, ostatecznie pozbawiła życia jego jedynaka. Znachorka wierzyła, że *tseha* spełni się całkowicie w swoim czasie, obracając wniwecz nasienie człowieka, który powalił uświęcony figowiec. Nadejdzie dzień, gdy *buany* i jego rodziny nie będzie, i to tak, jakby ich nigdy nie było.

A przecież owoce zemsty niewiele ukojenia dawały Oczerze. Bezustannie czuła ból w sercu - ból tęsknoty za jedynym synem, troski o jego bezpieczeństwo i szczęście. Pocieszała się jednak tym, że David przechodzi szczególną próbę męstwa, podobnie jak wojownicy w dawnych czasach. Cokolwiek ucierpiał z rąk naczelnika Muczajne i w więzieniu białych, jakiegokolwiek ma trudności teraz, gdzieś tam na zachodzie, Oczerza wiedziała, że jej syn wróci jako wojownik, prawdziwy Madengej.

Przerwała ostatnie przygotowania, żeby posłuchać śpiewu dziewcząt świadczącego, że one już idą znad rzeki, gotowe do poddania się operacji.

Nikt nie pomagał znachorce w jej potajemnej pracy. Obrzęd *ajrue* ze względu na swój uświęcony charakter wymagał specjalnej niepodzielnej uwagi i czystego ducha. Nie mógłby byle kto posłużyć się chirurgicznie brzytwą, tak jak byle kto by nie mógł oglądać całej tej procedury. Patrzyć mogły wyłącznie kobiety obrzezane i mające dobrą reputację w plemienu. Dla mężczyzn to było tabu, wszelkie próby podglądania tego obrzędu podlegały karze. Oczerza wiedziała, że to, co dzisiaj będzie robiła, biali potępiają. Ale to nie jest pogwałceniem prawa białych. Jakkolwiek misjonarze się starali, nie udało im się doprowadzić do urzędowego zdelegalizowania tego starego obrzędu. Jednak uciekali się do innych sposobów, żeby odwrócić Dzieci Mambi od przestrzegania tradycji, i to im się na ogół udawało. Na przykład, do swoich szkół nie przyjmowali dzieci obrzezanych. Szkoły misyjne były najlepsze, więc rodzice, którzy chcieli dla dzieci wykształcenia i przywilejów, dobijali smutnego targu z misjonarzami, zarzucając zwyczaje przodków, w zamian za te okruchy z pańskiego białego stołu.

Tak się sprawy miały na Ziemi Kikuju do dnia aresztowania Davida Madengeja.

Od tamtego dnia Dzieci Mambi wskutek przekonywających przemówień dziewczyny Ondżiru i jej podobnych zaczynały rozumieć, na jaką ugodę poszły ze swymi białymi ciemiężcami. W dniu wielkiego protestu w Nairobi, gdy David Madengej uciekł i żołnierze strzelali do bezbronnych tłumów, ludziom Kikuju otworzyły się

oczy. Jedni po drugich przychodzili do Oczery i pytali, co mają robić. A ona im odpowiadała:

- Wrócić do obyczajów przodków, którzy teraz są nieszczęśliwi.

Tak więc - chociaż odstępcy Kikuju sprzeciwiali się dzisiejszemu *ajrue* i nie chcieli w nim uczestniczyć, bo wierzyli misjonarzom głoszącym, że to jest potworne i barbarzyńskie - wierne Dzieci Mambi przyprowadzały swoje siostry i córki do puszczy na obrzezanie.

Oczera znów słuchała ich śpiewu.

Gdy znachorka pracowała w zaciszu świeżo zbudowanej chaty wtajemniczenia, dziewczęta w wieku od lat dziewięciu do siedemnastu, przybyłe z całego okręgu, zanurzały się po piersi w lodowatej wodzie rzeki. Kobiety z plemienia stały na wysokim brzegu i rozglądały się bacznie dla pewności, że żaden mężczyzna i nikt, kto nie jest Kikuju, nie podgląda. Wtajemniczane trzęsły się i marzły w tej kąpieli, która wobec braku środków znieczulających miała je wprowadzić w odrętwienie. Śpiewały obrzędowe pieśni i wrzucały do wody liście, symbolicznie topiąc duchy swego dzieciństwa. Dopiero wtedy, gdy prawie zupełnie stracą czucie poniżej pasa, miały wyjść z mroźnej rzeki, żeby ścieżką w puszczy pójść do specjalnie zbudowanej zagrody.

Oczera wykapała się w rzece przed świtem i ogoliła sobie głowę. Teraz malowała ciało uświęconymi barwnikami - białą kredą z góry Kenya i czarną ochrą. Skandowała przy tym święte słowa, dzięki którym kreda i ochra stawały się mocnym zabezpieczeniem przed złymi duchami. Następnie jeszcze raz sprawdziła swoje liście lecznicze, „odpędzające” duchów zakażenia, oraz miksturę z mleka i kojących ziół do skrapiania otwartych ran. Słodkowonne liście już były odłożone na zakończenie operacji, gdy będzie je przywiązywała między nogami każdej obrzezanej, przed zanieśieniem jej do chaty leczenia. I wreszcie sprawdziła żelazną brzytwę, ostrą i czystą, w myśl wskazówek babki, starszej Oczery. Niewiele z dziewcząt obrzezanych przez babkę odczuwało ból czy zmarło z powodu zatrucia krwi.

Słyszając śpiew w dali, Oczera podeszła do drzwi chaty. Zobaczyła ciotki i matki wesoło wznoszące obrzędowy łuk z bananów, trzciny cukrowej i uświęconych kwiatów u wejścia do prowizorycznej zagrody. Ten łuk był środkiem łączności z duchami przodków, tylko wtajemniczone mogły pod nim przechodzić. Inne kobiety rozkładały na ziemi świeże skóry krowie, na których dziewczęta miały siedzieć podczas operacji. A jeszcze inne przygotowywały ucztę: pieczoną baraninę i piwo z trzciny cukrowej, świętowanie po tej ciężkiej próbie.

*Ajrue* to jedna z najpoważniejszych, a przecież radosnych uroczystości Kikuju. Serce Oczery rosło, gdy patrzyła, jak Kikuju znów się jednoczą po dawnemu. Na pewno Bóg Jasności jest zadowolony! Na pewno ten powrót do obyczaju przodków to znak, że biały człowiek wkrótce opuści Ziemię Kikuju! I że jej syn David wkrótce wróci do domu.

Oczera Madengej po raz pierwszy od wielu lat poczuła się nagle bardzo szczęśliwa.

Grace nie musiała pytać Maria, gdzie są te dziewczyny. Słyszała, jak śpiewają w rzece.

Ale drogę nad rzekę tarasowali mężczyźni - ojcowie i bracia wtajemniczanych, którzy popijali, przekazując sobie tytkwy z piwem. Byli grzeczni dla *memseeb dektari*, ale nie chcieli jej przepuścić. Już tam był oficer okręgowy, drugi nadinspektor Shannon. Zostawił samochód na szosie i przyczłapał przez busz z dwoma afrykańskimi *askari*. I w tym samym czasie co Grace zjawili się dwaj misjonarze z kościoła metodystów w Nyeri oraz gromadka wielce wzburzonych księży z misji katolickiej.

- Dzień dobry, pani doktor - podchodząc do Grace powiedział Shannon. Był wysoki, sztywny, zarządzał schłudnym okręgiem i wiedział, kiedy nie wtrącać się do spraw „tubylczych”. - Obawiam się, że dalej nie dadzą nam pójść. - Ruchem głowy wskazał radośnie pijanych ojców i braci. - Dziewczyny są w rzece. Ale będą szły tędy. Tylko wtedy może je pani zobaczyć.

- Gdzie ma się odbyć ta ceremonia?

- Tam wyżej, za tymi drzewami. Przez całe tygodnie trzebili polanę.

- Nie spodziewałam się, że pana tu spotkam. Postara się pan im przeszkodzić?

- Nie przyjechałem, żeby ingerować, pani doktor. Jestem tu, bo trzeba utrzymać spokój, żeby nie wynikła żadna paskudna awantura. - Miał na myśli misjonarzy nasrożonych i wyraźnie wojowniczych. - Proszę mi wierzyć - powiedział cicho. - Tak samo jak pani nie rozgrzeszam tubylców z tego, co robią. Ale nie będę przeciwdziałał, bo to nie leży w moich kompetencjach. Zresztą nawet gdyby leżało, nie próbowałbym. Ci Afrykanie mają przewagę liczebną i są w sztok pijani. Podburzają ich jacyś polityczni agitatorzy. Coraz trudniej mieć tych ludzi pod kontrolą.

- Ani słowo o tym do mnie nie doszło.

- Do nikogo z nas. Zorganizowali to rzeczywiście w tajemnicy. Wszystko ściśle związane ze sprawą Davida Madengeja.

- Nie wiadomo, gdzie on jest?

- Tylko krążą pogłoski. Niektórzy mówią, że jest w Tanganice, inni, że w Sudanie. Gubernator ma za mało ludzi do szukania go w całej Afryce Wschodniej, a teraz ten chłopak się przyznał, że zabił pani bratanka. No, szczerze mówiąc, pani doktor, chyba nikogo nie obchodzi, gdzie jest David Madengej.

- *Mi scusi, signor.* - Zafrasowany białowłosy ksiądz podszedł do oficera okręgowego. - Pan powinien położyć kres tej ohydzie!

- Oni nie naruszają prawa, proszę księdza. I radzę nie ingerować. W razie starcia musiałbym niestety aresztować księży.

- Ależ to haniebne! To nie my dopełniamy tego bezbożnego obrzędu! Przez wzgląd na te biedne dziewczęta pan musi to powstrzymać!

- Księżę Vittorio - powiedział Shannon z wyćwiczoną cierpliwością. - Ksiądz wie nie gorzej niż ja, że ci ludzie mnie nie usłuchają i jeśli spróbuję siłą, krew się poleje. Niech ksiądz poczeka do niedzieli i wygłosi im kazanie z ambony. Podstarzały ksiądz groźnie spojrział na policjanta, po czym zwrócił się do Grace:

- *Signora dottoressa*, pani chyba chce to ukrócić?

Owszem, Grace chciała. Tak bardzo była przeciwna *ajrue*, że sześć lat temu pojechała do Genewy na odbywającą się tam pod auspicjami funduszu „Ocalmy Dzieci” konferencję w sprawie dzieci afrykańskich. Wraz z kilkorgiem innych europejskich delegatów wypowiedziała się przeciwko temu barbarzyńskiemu obyczajowi oświadczając, że obowiązkiem rządów w odnośnych krajach jest uznać przestrzeganie tego obyczaju za przestępstwo kryminalne. Usuwanie lechtaczki praktykuje się nie tylko w Kenii, ale w całej Afryce i na Środkowym Wschodzie; setki plemion, poczynając od Beduinów w Syrii, a na Zulusach w Afryce Południowej kończąc, skazują małe dziewczynki na poddawanie się bolesnemu i szkodliwemu obrzędowi, który później powoduje komplikacje zwłaszcza przy porodzie. Opowiedziała też o Gaczyku i konieczności cesarskiego cięcia, gdy rodziła się Ndżeri.

Jednakże uczestnicy konferencji nie mogli z pełnym przekonaniem zgodzić się na całkowite zniesienie uświęconego obyczaju społecznego, który głęboko się zakorzenił w narodzie, i optowali za tym, by raczej kształcić tych ludzi i wpływać na nich, aż sami na własne życzenie odwrócą się od takich praktyk.

O ile Grace wiedziała, w tej prowincji już od lat nie było *ajrue*. Jeśli Shannon miał rację, mówiąc, że dzisiejszy masowy obrzęd jakoś się łączy z aresztowaniem Davida Madengeja, to ten *ajrue* oznacza coś o wiele ważniejszego niż zwykłe plemienne zgromadzenie.

Ma być policzkiem wymierzonym w twarz białego człowieka.

- Idą - powiedział któryś z metodystów.

To był jedyny moment w czasie całej inicjacji, gdy można było popatrzeć na wtajemniczone. Dziewczeta nagie, tyle że w pojedynczych naszyjnikach, szły ścieżką znad rzeki, śpiewając łagodnie i opieszale smutne odwieczne pieśni. Szły po dwie z łokciami zgiętymi, przyciśniętymi do żeber, z dłońmi podniesionymi i zwiniętymi w pięści, tak że kciuk wystawał pomiędzy pierwszego i drugiego palca, co miało świadczyć o gotowości do wytrzymania rychłego bólu. . .

Grace wstrząśnięta znieruchomiała. Księża i misjonarze też nie reagowali. Nie byli na taki widok przygotowani. Dziewczeta poważne, uroczyste, śpiewały, pięknie zestrzajając głosy, ich głowy świeżo ogolone i nagie ciała lśniły rzeczna wodą. Nie patrzyły ani w lewo, ani w prawo, ani za siebie, bo to by przyniosło nieszczęście; nie widziały więc mężczyzn Kikuju, którzy teraz trzeźwo, z szacunkiem stali w oddaleniu, i zapatrzonych, oniemiałych Europejczyków. Szły jak w transie; same się wprawiały w odrętwienie swoim melodyjnym skandowaniem; smukłe ich biodra się kołysały.

Są w wieku, pomyślała Grace, od siedemnastu lat w dół, do dziewięciu czy ośmiu. Takiej rozpiętości chyba nie było w dawnych czasach, no ale to pierwsze *ajrue* po wielu latach, starsze dziewczyny dołączyły do młodszych. Znała większość z nich. Zobaczyła Ondżiru, elokwentną bojowniczkę, która dyrygowała ucieką Davida Madengeja z więzienia, i trzy córki Rehki, pielęgniarce, i Ndżeri, przyrodną siostrę Davida, damę do towarzystwa Rose.

Nie zdołała się poruszyć, powiedzieć bodaj jednego słowa.

Kiedy oni to zorganizowali? Jak im się udało zachować to w sekrecie? Co najmniej sto dziewcząt jest w tym potwornym pochodzie! Dlaczego nikt z białych nic o tym nie słyszał?

Nagle Grace zatrzęsa się z zimna. Po raz pierwszy w ciągu osiemnastu lat życia w Afryce Wschodniej poczuła dziwny niejasny lęk. Coś strasznego było w tych niewinnych nagich dziewczętach, coś surowego i pierwotnego. Doznała wrażenia, że cofnęła się daleko w czasie. Jak gdyby patrzyła na dziewczyny idące tam, gdzie czeka je próba siły, odwagi i wytrzymałości, sto lat temu.

To ją przeraziło.

Gdy dziewcząt już nie było widać, mężczyźni Kikuju stłoczyli się na ich szlaku, czujnie obserwując Europejczyków.

-Może księża wrócić do misji - powiedział cicho inspektor Shannon. - Tu nic się nie da zrobić.

Ksiądz Vittorio rozgniewał się na niego.

- Będzie pan tak stał, chociaż pan wie, co te biedaczki czeka? Shannon zerknął na Afrykanów, po czym uśmiechnął się do

księdza.

- Ostrożnie teraz. Oni na nas patrzą. To są krewni tych dziewczyn. Jeden niewłaściwy ruch i nie będę mógł księdza przed nimi uchronić.

Ksiądz spojrział na Afrykanów. Wielu spośród nich znał. Jeden był stróżem w jego kościele, inny miał pieczę nad szatami liturgicznymi. Ci mężczyźni regularnie przychodzili na msze, klękali przed ołtarzem, żeby przyjąć komunię świętą, przynosili swoje dzieci, pragnąc dla nich chrztu i chrześcijańskich imion, ale teraz gdy patrzył na nich, byli mu obcy.

Zamrugął. Zląkł się, raptownie pojmując. Przecież te katolickie serca nadal biją dzikim rytmem Afryki.

Europejczycy jeszcze dyskutowali, co zrobić, i obserwowali Afrykanie blokowali drogę do zagrody wtajemniczenia, a Grace nieznacznie wysunęła się z gromady i weszła w busz. Nikt biały, o ile wiedziała, nigdy nie był świadkiem samego *ajrue*. Ona widziała tylko skutki; zmarłą siostrę Maria i Gaczyku, usiłującą urodzić.

Poszła ścieżką i w końcu zza drzew zobaczyła uświęcony łuk ozdobiony kwiatami. Kilku mężczyzn Kikuju stało na straży. Szła dalej, obchodząc polanę dokoła. Natknęła się na duży głaz w cieniu kasztanowców. Wspięła się na niego i nagle miała przed sobą niczym nieosłonięty widok zagrody, mogła patrzeć zza drzew niewidoczna. Patrzyła z zapartym tchem.

Inspektor Shannon miał rację. Co innego ingerować w poród tak jak to zrobiła w przypadku Gaczyku, a zupełnie co innego przeszkodzić w dopełnianiu najbardziej uświęconego i uroczystego obrzędu. Nie da się ich powstrzymać.

Teraz uświadamiała sobie niemoc, tak jak Shannon ze swoimi *askari*. Kikuju wiedzą o tej niemocy. Mającym się odbyć *ajrue* po prostu kpią sobie z władzy. Od czasu rozprężenia w Tygodniu Parady, gdy wielotysięczny tłum Afrykanów upokorzono w oczach ich białych państwa, myśleli, aż wymyślili sposób odwetu.

To czynny bunt i wszystkim o tym wiadomo.



Dziewczęta gęsiego weszły do zagrody, gdzie czekały matki. Grace trochę wiedziała o przepisach tego obrzędu. Tradycyjnie każda dziewczyna miała poręczycielkę, kobietę z plemienia, w roli niejako jej drugiej matki. Ale te dziewczęta, które Grace teraz widziała, podeszły do swoich rodzonych matek. Może zebrało się za mało kobiet. Ostatecznie, myślała Grace, ta grupa, chociaż duża, nie reprezentuje ludności Kikuju w całej prowincji. Większość ich roztropnie, bezpiecznie trzyma się od tego z daleka.

Dziewczęta podchodziły do matek czekających na krowich skórach i siadały. Przyjmowane były do zagrody grupkami po dziesięć, podczas gdy reszta otaczała je ochronnym kręgiem. Grace patrzyła na to z wysoka. Każda dziewczyna siadała z nogami rozsuniętymi, przy czym siedząca za nią matka oplatała jej nogi swoimi tak, żeby się nie zsunęły. Gdy już wszystkie dziesięć, wznosząc głowy ku niebu, na pół się położyło w objęciach matek, przechodziła wśród nich postarzała kobieta i opryskiwała im genitalia jakimś płynem - lodowatą wodą, przypuszczała Grace. To miało jeszcze bardziej znieczulić tę część ciała i opóźnić krwawienie, ale Grace wiedziała, że skutek będzie słaby.

Trzymana przez matkę dziewczyna nie powinna się wcale ruszać, odrywać wzroku od nieba, krzyczeć ani nawet mrugnąć w czasie operacji. Nawet wzdrygnięcie się zhańbiłoby ją i jej rodzinę.

Grace bez zdziwienia zobaczyła Oczere, pomalowaną na czarno i białą, wychodzącą z chaty.

Pierwszą kandydatką była Ondżiru. Leżała w ramionach matki, i Grace widziała, że jest nie tylko odważna, ale wyraźnie dumna, jak gdyby bardzo chętnie poddawała się tej strasznej próbie. Brzytwa Oczery zaczęła czynić swoje, a Ondżiru pozostała pogodna.

Grace przymknęła oczy.

Gdy znów spojrzała, przenoszono Ondżiru, zabandażowaną liśćmi, do chaty leczniczej.

Patrzyła na operowanie następnych dziewcząt. Najmłodsze płakały. Kilka wrzeszczało. Niewiele wzięło przykład z radykałki, Ondżiru.

Wydawało się Grace, że czas stanął w miejscu. Kobiety śpiewały na swoją natrętną prymitywną melodię, radując się z każdego okaleczenia, tak jak ich matki przed nimi i babki, i prapraprababki nieprzerwanie, niezmiennie od wieków przekazując tę spuściznę. I wydawało się Grace, że z chwilą operacji każdej następnej dziewczyny wpływ cywilizacji europejskiej ulatuje coraz dalej. Słuchała, jak te kobiety, mające imiona chrześcijańskie, śpiewają kii chwale Ngai, boga góry Kenya, i czuła, że drętwieje.

Ale nagle ożyła, gdy na krowie skóry przysła druga grupa dziesięciu dziewcząt i wśród nich przestraszona Ndžeri położyła się między nogami Gaczyku.

Oczera przeprowadziła szybko, umiejętnie operacje na czterech dziewczynach. Gdy doszła do Ndžeri, Grace zobaczyła lęk tej siedemnastolatki, zobaczyła, że ona się wyrywa z matczynych objęć, i przypomniała sobie, jak wyciągnęła z łona Gaczyku to dziecko.

- Przestań! - krzyknęła i zesła z głazu. Śpiew ucichł. Kobiety się odwróciły.

To było najgorsze świętokradztwo - obecność nie-Kikuju, prawdopodobnie, zważywszy obyczaje białych, nie obrzezanej. Wtargnięcie Grace ściągnęło *tsehę* na ten uświęcony *ajrue*. Ale wstrząśnięte Afrykanki nie reagowały. Cofnęły się, gdy Grace wkroczyła w wewnętrzny krąg.

- Zaczekaj - powiedziała bez tchu, podchodząc z tyłu do klęczącej znachorki. Proszę cię, przestań!

Oczera z brzytwą w ręce usiadła na piętach, po długiej chwili wstała i stanęła przed Grace. Nie wydawała się zdumiona tym, że *memseeb* jest wśród nich. Co więcej, Grace doznała wrażenia, że Oczera nie ma nic przeciwko tej przerwie. Jak gdyby to była wreszcie szansa, żebyśmy stoczyły walkę, pomyślała.

- Proszę, Oczero, nie rób tego - powiedziała w języku Kikuju. - Proszę, puść tę dziewczynę. Popatrz, jaka jest przerażona!

- Ona nie przyniesie wstydu swojej rodzinie. Grace odwołała się do matki dziewczyny.

- Gaczyku, czyż to nie twoje ukochane dziecko? Czyż to nie córka twojego ukochanego Madengeja? Jak możesz jej to robić?

- Robię to, bo ją kocham - odpowiedziała Gaczyku zdławionym głosem, unikając wzroku Grace. - I dla uczczenia mojego zmarłego męża.

- Chciałabyś, żeby twoja córka cierpiała przy porodzie tak jak ty? Gaczyku nie odpowiedziała.

- Daj mi tę dziewczynę - zwróciła się Grace do Oczery. - Ona należy do mnie. Ja dałam jej życie, kiedy wszyscy pozwolili jej umrzeć. Twoja babka, starsza Oczera, i naczelnik Madengej także. Ja ocaliłam Ndžeri. Ale nie po to!

- Ona należy do Kikuju. Będzie uczyniona prawdziwą Córką Mambi.

- Proszę cię, Oczero! Błagam!

- Błagasz? Czy tak jak moja babka kiedyś błagała *buangę*, twojego brata, żeby nie ścinał uświęconego figowca?

- Przykro mi z tego powodu, Oczero, naprawdę przykro. Ale ja nie jestem odpowiedzialna za postępowanie mojego brata.

- Gdzie jest mój mąż?! - wykrzyknęła Oczero. - Gdzie jest mój syn, David? Gdzie są moje nienarodzone dzieci?

Gdyby twój brat nie przybył na Ziemię Kikuju, miałabym dziś u boku całą moją rodzinę. A tak jestem sama.

Wynoście się! Nie na Ziemi Kikuju miejsce dla was. Wracajcie tam, gdzie mieszkają wasi przodkowie.

Zanim Grace zdążyła odpowiedzieć, Oczero uklękła i pośpiesznie zaczęła operować Ndżeri.

Wrzask dziewczyny rozdarł powietrze, wystraszył ptaki z pobliskich drzew.

Oczero zalała mlekiem i ziołami ranę Ndżeri i przyłożyła gojące liście.

- Teraz - powiedziała - ta dziewczyna jest prawdziwą Córką Mambi.

Grace spojrzała. Zadrzała, gdy płacz Ndżeri nappełnił jej oczy. Wiedziała, że do końca życia nie zapomni krzyku tej biedaczki.

Gdy Gaczyku pomagała przenieść córkę do chaty leczniczej, Grace odwróciła się do kobiety na sąsiedniej krowiej skórze.

- Rebeko - powiedziała głosem spokojnym. - Uczyłam cię, co to jest chirurgia, uczyłam cię, co to jest czystość i zakażenie. Ty wiesz, że to, co dzisiaj tu robicie, jest szkodliwe. Wiesz, że narażasz swoje córki na wielkie niebezpieczeństwo. Pozwól im stąd odejść. Jeżeli nie pozwolisz, nigdy już nie będziesz pracować u mnie.

Ta kobieta Kikuju z małym złotym krzyżykiem na szyi wpatrywała się w białą obojętnie.

- I mówię wam wszystkim - zawołała Grace, rozglądając się wokoło - jeżeli natychmiast nie zaniechacie tego złego obyczaju, nigdy już nie przyjmę was w mojej misji! Kiedy zachorujecie, nie pokazujcie się w mojej przychodni. Nie zostanieie przyjęte.

Zagapiły się na nią.

- One ciebie nie chcą słuchać - powiedziała Oczero - bo ja im mówię, że twoja przychodnia długo tu nie będzie.

Zbliża się dzień, w którym biały człowiek opuści Ziemię Kikuju. Wracamy do starych sposobów, a wy odejdziecie w niepamięć.

Grace patrzyła na tę twarz ukrytą, pomalowaną na czarno i białą, na twarz kobiety całkowicie nieznaną, chociaż dotychczas była pewna, że ją zna. Ogarnęło Grace przeczucie zimne i szare, przesuwające się jak cień chmury, która na chwilę zasłoniła słońce. Pomyślała o kilku tysiącach białych panujących nad milionami Afrykanów. Zabrzmiał jej w uszach głos Shannona: „Coraz trudniej

mieć tych ludzi pod kontrolą". Popatrzyła na krowie skóry zaplamione krwią i nagle wiedziała ponad wszelką wątpliwość, że został dziś tutaj nieodwołalnie przekroczony jakiś straszny próg. Z wielką godnością, maskując swoją postawą gniew w sercu i niepokój duszy, Grace odwróciła się od znachorki i wyszła z zagrody. Gdy dochodziła do uświęconego łuku przodków, usłyszała za sobą znów podjęte ciche, melodyjne skandowanie Afrykanek.

### Rozdział 33

Mona bała się podróży samolotem, nie sięgnęła po rękę ciotki tylko dlatego, że Grace była śmiertelnie blada. To nie miała być przyjemna wycieczka; leciały na pogrzeb.

Wydawało się, że Grace zapomniała o obecności bratanicy. Nie widzi mnie, wytłumaczyła sobie Mona, patrząc na jej napięty profil, bo siedzę po jej „niewidomej stronie”. Po stronie uszkodzonego oka. Uścisnęła niereagującą rękę i znów skierowała wzrok za okno.

Monoplan Avio leciał nisko nad gęstą dżunglą. Afryka oglądana z przestworzy wydawała się Monie o wiele bardziej dzika i straszliwsza niż kiedykolwiek Afryka otaczająca ją na ziemi, ale też jeszcze bardziej zapierała dech swoim pięknem. Ten ciemny ląd był ojczyzną Mony, jego rzeki płynęły w jej krwi, jego drzewa były w niej zakorzenione. Mona wierzyła, że ponieważ tutaj się urodziła, kocha Afrykę namiętniej niż ktokolwiek inny, a zwłaszcza tacy jak jej ojciec, intruzi w krainie dla nich prawie niezrozumiałej. Chciała wyjąć szybę z okna samolotu, wyciągnąć ręce i objąć tę całą Afrykę, wołać do pasterzy, opierających się na wysokich kijach. Wierzyła, że w swojej unikalnej miłości do Afryki nigdy się nie rozczaruje, nie zazna goryczy. Znów spojrzała na ciotkę.

Grace niewiele mówiła, odkąd przed trzema dniami przeczytała telegram Ralphi Donalda. Coś się stało na\* tej ceremonii *ajrue*, podejrzewała Mona. Ale Grace nie chciała o tym mówić. Powiedziała tylko:

- Marnowałam czas, kiedy James umiera. Teraz bała się, że przyleci za późno.

Nalegała, żeby ubrały się na czarno. Nawet po śmierci Arthura Mona nie nosiła żałoby, po prostu nie miała nic ciemniejszego niż

*brąz*. W klimacie równikowym najpraktyczniejsze są jasne kolory. Ale znalazły hinduską *duka* w Nairobi, gdzie mogły kupić żałobne sukienki i małe czarne kapelusze z czarną krepą.

Mona czuła, jak samolot się trzęsie, patrzyła, jak płótnem pokryte skrzydła pochylają się i chwieją w podmuchach wschodnio-afrykańskiego wiatru. Niespełna tydzień temu dwusilnikowy Hanno, wioząc pocztę do Ugandy, rozbił się przy lądowaniu.

Zaczęła myśleć o śmierci. O Arthurze w samotnym grobie za Bellatu, pierwszym grobie na zacisznym cmentarzyku czekającym na następnych Trevertonów. Arthur zmarł zaledwie dwa miesiące temu, a wydaje się, że to dwa lata. I teraz umrze wuj James. Słabo sir Jamesa pamiętała.

Geoffrey Donald siedział w tyle awionetki, tam gdzie kabina się zwężała, i dostęp do okna zagrażały mu dwie zakonnice, które leciały do jednej z misji w Entebbe. Utracił matkę. Mona mu współczuła, serce jej wzbierało niespodziewaną czułością, więc gdy samolot przechylił się, skręcając w ostatni etap lotu, myślała o Geoffreju Donaldzie.

\* \* \*

Ralph, którego Grace zawiadomiła telegraficznie o swoim przybyciu, czekał na pasie startowym pod Entebbe. Na rękawie kurtki khaki miał czarną opaskę.

Bracia uściskali się z powagą, po czym Ralph odwrócił się do Grace.

- Serdecznie ci współczuję, Ralph - powiedziała. I w końcu wzięła w ramiona Monę.

- To dobrze, że przyjechałaś - szepnął.

Mona patrzyła na niego, zmęczonego i szarego w porównaniu z bratem. Zastanowiła się, co kiedykolwiek w nim widziała.

- Wasz ojciec... - zaczęła Grace, stojąc przy otwartych drzwiach chevroleta Ralpha.

- Jest na trzydziestu gramach chininy dziennie, ale jego stan się nie pogarsza.

Skłoniła głowę i wyszeptała:

- Bogu dzięki.

- Koszmar - powiedział Ralph. - Absolutnie wszyscy zapadają na malarię. - Głos mu się załamał.

Geoffrey objął brata ramieniem. Ralph wytarł oczy.

- To był obłęd. Jakieś niezwykle nasilenie, mówią nam eksperci

z wydziału zdrowia w Maherere. Matka odeszła szybko, dzięki Bogu. Prawie nie była chora. Potem Gretchen stoczyła ciężką walkę. Już czuje się dobrze, ale obawiam się, że jej nie poznacie.

- Ralph - powiedziała Grace cicho, w gardle ją dławiło - proszę, zawieź nas od razu do ojca.

Sir James siedział w łóżku i uparcie powtarzał córce, że nie przełknie jeszcze jednej filiżanki herbaty. Gdy ci czworo weszli do sypialni, przerwał w pół słowa i zapatrzył się tak, jakby nie wierzył własnym oczom.

Geoffrey podeszedł, usiadł na łóżku, uściskał go.

- Dziękuję, że przyjechałyście - powiedziała Gretchen do Grace i Mony.

Mona doznała wstrząsu, chociaż Ralph ją uprzedził, że jej przyjaciółka się zmieniła. Osiemnastoletnia Gretchen wyglądała staro.

- Przyjechałyśmy tak prędko, jak tylko mogłyśmy - powiedziała Mona. - Uznałyśmy, że samolotem będzie prędzej niż pociągiem.

- Bardzo odważnie. Ja bym za nic nie wsiadła do samolotu.

- Przykro mi z powodu waszej mamy, Gretchen. Oczy przyjaciółki zaszły łzami.

- Przynajmniej to się stało szybko. Nie cierpiała.

Geoffrey wstał. Mona spojrzała na ciotkę. Ale wydawało się, że Grace nie zdoła się ruszyć. Więc sama podeszła i powiedziała nieśmiało:

- Dzień dobry, wujaszku. Cieszę się, że wujaszku już lepiej.

- Zaczyna być lepiej - powiedział sir James słabo, ale się uśmiechnął. - Miło cię widzieć, Mono. Wyrosłaś na śliczną pannę.

Nastąpiła chwila niezręcznego milczenia. James patrzył na Grace. W końcu wyciągnął rękę i wtedy Grace podeszła do niego.

Mona patrzyła, jak ciotka w sposób zupełnie naturalny wsuwa się w jego objęcia, przytula twarz do jego szyi, cicho płacząc. I jak James głaszcze ją po plecach, po włosach, jak on ją pociesza. Nagle pojęła. To jest ta dawna miłość, o której ciotka mówiła, to jest ten mężczyzna, za którego nie mogła wyjść.

Grace się odsunęła i przyjrzała mizernej twarzy Jamesa. Lata trudnego życia w Ugandzie i teraz choroba wyraźnie się zaznaczyły. Kości policzkowe miał wydatniejsze, wargi cieńsze.

- Baliśmy się, że cię stracimy - powiedziała.

- Wiadomość, że ty, Mona i Geoffrey przyjedziecie, była doskonałym lekarstwem. Natychmiast się zdecydowałem nigdzie stąd nie wybierać.

- Przykro mi, że Lucille...

- Ona była tutaj szczęśliwa, Grace. Zrobiła mnóstwo dobrego i zostawiła po sobie ślad. Dużo ludzi będzie ją wspominać serdecznie. Przed śmiercią powiedziała, że nie żał jej umierać. Zrobiła swoje i idzie do Boga. Jeżeli są niebiosy, to ona już tam jest.

Westchnął, oparł głowę na poduszce i dodał:

- Ale ja mam dosyć Ugandy, Grace. Chcę wrócić do Kenii. Do domu.

Entebbe, małe miasteczko portowe na północnym wybrzeżu Jeziora Wiktorii, było ośrodkiem administracji Ugandy. I tego dnia, jak codziennie, w okolicy urzędów czaił się młody Afrykanin z nadzieją, że usłyszy jakieś wiadomości ze swoich stron rodzinnych. Gdy zobaczył czworo białych, wychodzących z bungalowu komisarza prowincji, od razu w dwóch kobietach rozpoznał Grace i Monę Treverton. Cofając się w cień budynku, David Madengej patrzył, jak przechodzą na drugą stronę piaszczystej ulicy.

Nieomal czuł słodki smak zemsty.

Bo to przez nich i przez takich jak oni musiał uciec z ojczyzny i żyć na wygnaniu, zhańbiony, ścigany za zbrodnię, której nie popełnił. Ale matka mu obiecała, że ta ziemia kiedyś z powrotem będzie należeć do Dzieci Mambi i że *tseha*, jaką rzuciła na Trevertonów, kiedyś się dokona. Biali są teraz panami Afryki Wschodniej, ale nie będzie tak zawsze, przysięgał sobie David Madengej. Wróci do Kenii kiedyś, gdy będzie gotów, i zemści się.



CZESC PIĄTA  
ROK 1944

### *Rozdział 34*

Z radia płynęła piosenka Glenna Millera, Rose ją nuciła, robiąc przegląd swojej szafy, jeszcze nie wiedząc, w co się ma ubrać.

Wyrzała przez okno sypialni, żeby natchnęła ją pogoda. Ponieważ dzień był wspaniale słoneczny, upstrzony kolorami świeżo rozkwitłych kwiatów i ponieważ dzisiaj miała haftować na swoim gobelinie dzikie gardenie, wybrała żółtą jak pierwiosnek suknię z muślinu.

Kupowanie nowej garderoby stało się ostatnio niemożliwością. Wojna w Europie czasowo sparaliżowała przemysł konfekcyjny. Już od pięciu lat moda się nie zmieniała, nadal nosiło się sukienki z wypchanymi ramionami i szerokie spódnice długości poniżej kolan. Co gorsza, odzież w Anglii racjonowano i jedyny „new look” od lat nazwano „kostium użyteczny”. Rose uważała, że to przechodzi ludzkie pojęcie. Mundur i uniformy robocze, oto wytyczne najnowszej mody z czasów wojny!

Usiadła przy toalecie, żeby Ndžeri ją uczesała. Po obcięciu włosów na uroczyste otwarcie Bellatu dwadzieścia pięć lat temu znów je zapuściła, tak że teraz sięgały jej do talii. Nadal zachowywały kolor żniwnego księżyca, młodociane i błyszczące, bez ani jednej nitki siwizny, chociaż niedawno obchodziła swoje czterdzieste piąte urodziny.

Radio zatrzeszczało, przycichło i zamilkło zupełnie. Rose posepnie spojrzała na odbiornik. Chyba na niczym już nie można polegać.

Stwierdziła, że nie lepiej sprawy stoją w kuchni, gdy zeszła tam w kilka minut później. Jedna ze służących Afrykanek smarowała chleb masłem przed przypieczeniem.

I zapas herbaty maleje, wymamrotała Rose, zaglądając do puszek. Dostawy z Nairobi były nieczęste i na ogół niekompletne. Tyle szło, zdaniem lady Rose, na rzecz wojny - na wyżywienie wojska

kenijskiego i tysięcy włoskich jeńców przywożonych do kolonii - że niewiele mogła z tego uszczknąć ludność cywilna.

Gdyby Valentine był tutaj, z pewnością sytuacja wyglądałaby inaczej.

Ale lord Treverton zaciągnął się do Królewskich Strzelców Afrykańskich cztery lata temu, gdy wojska włoskie najechały na północną Kenię. Najpierw w Etiopii uczestniczył w kampanii, która zasygnalizowała klęskę armii włoskiej w Afryce Wschodniej, a obecnie, jako oficer wywiadu Administracji Okupowanego Terytorium Nieprzyjaciela, pełnił służbę policyjną na granicy Kenii i Somalii. Przez cały ten czas przyjechał tylko z jedną wizytą do domu.

I teraz, jak na ironię, pomyślała Rose, wydzielając do czajnika porcyjkę herbaty hrabiny Treverton, kiedy tylu kenijskich młodych walczyło i poległo w tej zacieklej bitwie z Włochami, przy czym mój własny mąż omal nie umarł wskutek zakażenia rany, trzyma się w obozach w całej Kenii osiemdziesiąt tysięcy jeńców wojennych Włochów i my sami musimy ich żywić i ubierać!

Oburzało ją to. Zastanowiła się, dlaczego rząd brytyjski nie zapakuje ich wszystkich z powrotem do Włoch.

- Mamo, dzień dobry! - W kuchennych drzwiach stała Mona ze strzelbą w ręce. - W końcu ubiłam tego lamparta, który napadał na świnie. Kazałam chłopcom przynieść ci jego skórę, kiedy ją spreparują.

Rose popatrzyła na córkę potępiająco - z trzech powodów. Po pierwsze: Mona zachowuje się niestosownie.

Hrabianka Treverton nie powinna człapać po buszu z męską strzelbą i strzelać do lampartów. Po drugie: Mona poświęca czas na niestosowne zajęcia. W nieobecności ojca przejmuje stopniowo zarządzanie plantacją aż tak nedorzecznie gorliwa, że pracuje wśród Afrykanów i nawet własnymi rękami reperuje maszyny! I po trzecie, co najważniejsze, nie wygląda doprawdy na damę.

Mona chodziła w spodniach, butach z cholewami i koszulkach khaki wpuszczanych za pasek. Uczesane „na pazia” długie do ramion czarne włosy przewiązywała zwyczajnym szalikiem zasupła-nym na czubku głowy. Gdy zaczęła myć ręce nad zlewem, Rose ze swego miejsca przy stole, gdzie kontrolowała przypiekanie grzanek, widziała, jakie są zaniedbane, brązowe od pracy na plantacji.

- Gdzie jest Tim? - zapytała o młodego człowieka, który kiedyś był przyjacielem Arthura i któremu Arthur ocalił życie w zaułku za komisariatem przed siedmiu laty. Tim stał się bardzo częstym gościem na plantacji Trevertonow.

- Pojechał do Kilima Simba - odpowiedziała Mona - żeby pomóc wujowi Jamesowi w szukaniu Włochów.

- Włochów?

- Przecież mówiłam ci wczoraj, mamó. - Mona skosztowała herbaty, napełniła dwie filiżanki i usiadła obok Rose przy stole. - Trzech jeńców uciekło z obozu pod Nanyuki. Jest wielkie polowanie na nich.

- Ale dlaczego? Właściwie wszyscy Włosi biegają samopas. U Jamesa kilku pracuje na ranczo. I Grace ma dwóch w kuchni szpitalnej. Mogą swobodnie przychodzić i odchodzić, tak mi się zdaje.

Mona wzięła plik nieotwartych listów leżących na stole. Wiedziała, że minęłyby dni, zanim matka by się nimi zainteresowała.

Znała uczucia Rose wobec Włochów. Włosi są winni nieobecności Valentine'a w Bellatu, Włosi to ogromny ciężar dla Kenii - jest ich osiemdziesiąt tysięcy, i każdy musi zjeść funt mięsa dziennie. Dlatego ciągle odbywa się rzeź zwierzyny w puszczech i ciężarówka przejeżdżają załadowane ubitymi zebrami i lelandami. Rose się wściekała na masowe bezlitosne łowy i winą za to obarczała Włochów.

- Ci trzej byli szczególnymi jeńcami - wyjaśniła Mona, przeglądając koperty. - Oficerowie. Jeden to nawet generał, słyszałam. Specjalnie pilnowani. W czasie ucieczki zabili jednego ze strażników, więc zrobił się rwetes.

Rose cienko posmarowała grzanek masłem, odcięła skórki i podała Monie talerzyk.

- Mam nadzieję - powiedziała - że Tim i James będą ostrożni.

- Tak, i wołałabym, żebyś ty, mamó, nie poszła dziś na polankę. Albo przynajmniej, jeżeli pójdziesz, proszę cię, weź ze sobą paru ludzi.

Rose potrząsnęła głową. Ci zbiegli jeńcy raczej nie mogli zapędzić się tak daleko. Przypuszczam, że uciekają raczej na wschód, w stronę Somalii. Może twój ojciec ich złapie. W każdym razie mnie ten temat nie porusza...

- Mamó, naprawdę bądź realistką! Oni są zdesperowani i niebezpieczni! Zabili strażnika... zarżnęli go. Był okaleczony. Proszę cię, zostań w domu, dopóki...

Rose wstała raptownie.

- Denerwujesz mnie, Mono. Rzeczywiście denerwujesz swoją gadaniną. Pójdę tam bez śniadania.

- Mamo...

- Chodźmy, Ndžeri.

Ndžeri Madengej, która przy kredensie pakowała drugie śniadanie: truskawki, śmietanę, pierogi z mięsem na zimno, łagodne sery, powiedziała:

- Tak, *memseeb*. - Wzięła koszyk piknikowy i parasolkę Rose, po czym wyszła za swoją panią kuchennymi drzwiami.

W ogrodzie, w świeżym powietrzu i blasku słońca, Rose od razu poczuła się lepiej. I potem, im dalej szła, gdy Bellatu już nie było widać za drzewami, im głębiej wchodziła w ostatni dziewiczy zakątek puszczy, nienawiedzany przez nikogo z wyjątkiem jej i Ndžeri tym lżej robiło jej się na sercu.

Polanka była prawie taka sama jak tamtego dnia przed dwudziestu pięciu laty, gdy Rose trafiła tam pierwszy raz. Altana pociemniała od deszczów i farba na niej się łuszczyła, ale drzewa jaskrawiły się soczystą zielenią, kwiaty mnóstwem kolorów, ptaki i owady napełniały wonne powietrze śpiewem i brzęczeniem. To był świat daleki od tego większego szpetnego świata, w którym ludzie się zabijali i tępono dzikie zwierzęta, którego Rose bardzo nie lubiła i o którym teraz mogła nie myśleć.

Gobelin, zabezpieczony dużą składaną ramą, odwijał się z lewej strony na prawą. Pracując, Rose przesuwała pręty, zwijając go, żeby się nie brudził. Już prawie go ukończyła. Ogromny, wielkości obrusa, prawie całkowicie pokryła różnobarwnymi skrawkami jedwabiu i misternym haftem. Pozostawało tylko jedno puste miejsce pośród paproci i winorośli dżungli - kilka cali zaledwie a przecież przez te wszystkie lata jakoś brakowało jej pomysłu, czym je zapełnić. Zdecydowała teraz, że wyhaftuje w tym miejscu słonia albo może afrykańską chatę.

A później, co? Gobelin zajął jej dwadzieścia pięć lat. Gdyby zaczęła haftować następny, haftowałaby go do końca swoich dni i po jej śmierci dwa gobeliny świadczyłyby, że ona żyła.

Na skraju polany stała pomiędzy dwoma potężnymi kasztanowcami mała oranżeria. Zbudowana przed laty, gdy Rose, nieco znudzona haftowaniem, postanowiła zająć się hodowlą kwiatów Ściany oranżerii były kamienne, ale dach był szklany. I było okno chociaż szyby z biegiem lat zmętniały, tak że widziało się przez nie tylko cienie i plamy kolorów. Tutaj Rose sadiła i pielęgnowała swoje drogocenne kwiaty. Sprowadziła katalog nasion i cebulek-dokonywała eksperymentów z krzyżowaniem gatunków; obcinała' przeszczepiała pędy, przemawiała do tych roślin jak do dzieci. Do-

stawiała odznaczenia co rok na wystawie kwiatów w Nairobi; mówiło się, że lady Rose hoduje storczyki najwspanialsze w całej Afryce Wschodniej.

Wśród stołów z ostrózkami i irysami w pąkach, pomiędzy dwiema liliami Nilu, które dostojnie niebiesko właśnie zaczynały rozkwitać, stały w oranżerii dwa złożone leżaki, gotowe do wyniesienia, ilekroć Rose zechce haftować w blasku słońca. Dzisiaj zechciała. Ndżeri ustawiała ramę gobelinu na trawie, a ona poszła po leżak.

Idąc wąską ścieżką, nie zauważyła plam świeżej krwi prowadzących do drzwi oranżerii.

Mona, patrząc, jak matka wychodzi z ogrodu przy kuchni, zastanawiała się, czy nie wysłać za nią dwóch ludzi, żeby pilnowali polanki. Ale ostatecznie uznała, że matka prawdopodobnie ma rację. Po cóż zbiegli jeńcy wojenni kierowaliby się na wschód, raczej by uciekli bądź na zachód za góry Aberdare, bądź na północ w stronę Etiopii. W istocie, James Donald i Tim Hopkins koncentrują swoje poszukiwania na obszarze leżącym na północ od Nanyuki. Oby byli ostrożni. Polowanie na ludzi to nie to samo, co polowanie na zwierzęta.

Tim zaczął w życiu Mony zastępować jej utraconego brata. Od dnia śmierci Arthura, zamordowanego siedem lat temu, ona i Tim dawali sobie nawzajem pociechę, ukojenie, rozmawiając o Arthurze, zachowując pamięć o nim i swoją miłość do niego zawsze żywą. Z czasem Tim zaczął widzieć Arthura w Monie, a Mona widziała swojego brata w Timie. Rozwinęła się między nimi delikatna przyjaźń, którą nawet Alice, zaborcza siostra Tima, aprobowała, odkąd nabrała pewności, że jest to przyjaźń czysto platoniczna.

Biedny Tim rozpaczliwie starał się zaciągnąć do wojska, gdy wojna wybuchła, ale ze względu na jego płuca komisja lekarska go odrzuciła. Oficer werbunkowy przekonał przygnębionego chłopca, że równie dobrze wesprze sprawę Kenii, jeśli zostanie na swoim ranczo w Rift Valley i będzie zaopatrywał wojsko kolonialne w żywność i inne zapasy. W rezultacie Tim i Alice Hopkins - tak jak James Donald w Kilima Simba i Mona Treverton w Bellatu - bogacili się dzięki wojnie.

Mona, powracając do pliku listów na stole i dumania o codziennych problemach - jest kłopot ze żmijami w pobliżu ogrodu dla bydła i z jeżozwierzami, które przychodzą na zagony kartofli, i ze

zmuszeniem Afrykanów ojca, żeby słuchali jej rozkazów - wzięła ze stołu ostatni numer „East African Standard” i zobaczyła na pierwszej stronie fotografię.

Grace pojechała do Nairobi, żeby reprezentować Trevertonów na ceremonii zaprzysiężenia Elinda Mathu, pierwszego Afrykanina wybranego na członka Rady Ustawodawczej, organu rządzącego Kenią. Była to doniosła uroczystość - większość ludzi nie wierzyła, że kiedykolwiek to się stanie - Afrykanin w rządzie! I oto fotografia w gazecie przedstawiała ciotkę Mony siedzącą pomiędzy gubernatorem i panem Mathu. Poniżej napisano: „...również obecna pani dr Treverton, nazywana czule przez swoich podopiecznych *niadzee*”.

Tak właśnie Afrykanie nazywali Grace, *niadzee* znaczy matka wszelkiego dobra i miłości.

Popijając herbatę, Mona myślała o ciotce. Imię i nazwisko Grace Treverton były już legendarne w Kenii i poza Kenią. Siódme wydanie jej podręcznika lekarskiego „Jeśli musisz być lekarzem” z prostą wzruszającą dedykacją „Jamesowi” służyło żołnierzom na polach bitwy. Wydawało się Monie, że Grace ma energię bez granic. Pięćdziesiąt cztery lata, a wcale nie zwalnia tempa. Ba, nawet przyśpiesza jak trąba powietrzna. Jeżdżąc po całej Afryce Wschodniej, rozdziela nową szczepionkę przeciwko żółtej febrze ofiarowaną przez Fundację Rockefellera, odwiedza przychodnie lekarskie i szpitale w buszu, leczy rannych żołnierzy w Nairobi i ostatnio wygłasza przemówienia. W walce o swoją najnowszą sprawę: ochronę życia dzikich zwierząt w Kenii.

Nic dziwnego - Mona teraz to rozumiała - że ciotka ostatecznie nie wyszła za Jamesa. Grace i James omawiali ten projekt w nieskończoność siedem lat temu po powrocie z Ugandy. Ale w końcu oboje musieli przyznać, że ich małżeństwo nie miałoby sensu. Drogi ich życia są rozbieżne i cele inne. Grace nie mogłaby się przenieść do Kilima Simba, ani James do misji; ona jeździ tu; on jeździ tam. Prawie by się nie widywali i skoro już nie mogą mieć dzieci, związek małżeński w ich przypadku byłby prawie zbytecznym obciążeniem.

Ale pozostawali serdecznymi przyjaciółmi. Gdy tylko mogli, spędzali razem kilka dni z rzędu; wyjeżdżali na krótkie wakacje na wybrzeże; Grace nieraz swoim starym fordem jeździła na weekend do Kilima Simba. Taki układ im odpowiadał i dawał zadowolenie.

Były trzy listy z dalekiego świata. Pierwszy od ciotki Edith z Bella Hill.

Po śmierci stryja Harolda, którego zabiła niemiecka bomba w Londynie, spadając na jego klub, i po wyjeździe Charlotte na kursy pielęgniarskie, a potem na południowy Pacyfik, gdzie toczyła się wojna z Japończykami, ciotka Edith została sama w Bella Hill -tyle że miała tam siedemdziesięcioro ośmiorgo dzieci ewakuowanych z nękanego nalotami bombowymi Londynu. Teraz pisała:

*Napełniają te ponure stare mury swoim śmiechem. Kocham je wszystkie, jak gdyby były moje. Mieliliśmy tylko Charlotte, a ja zawsze chciałam mieć więcej dzieci. Na pewno sporo z nich to już sieroty, niektóre nie miały wiadomości od rodziców od początku bombardowań. Co z nimi będzie po wojnie? Ten ogromny stary dom stanie się bez nich taki pusty.*

*Teraz, kiedy Charlotte wyszła za swojego amerykańskiego lotnika, czeka mnie samotność i wolę o tym nie myśleć. Za dużo wspomnień i duchów. Haroldowi zawsze zależało na zatrzymaniu Bella Hill. Walczył z Valentine'em przez dwadzieścia dziewięć lat, jak wiecie, żeby Valentine nie wyprzedawał Bella Hill tak pochopnie na wyrównanie strat Bellatu. Ja teraz nie mam tego Valentine'owi za złe. Bella Hill to ostatecznie wasz dom, Twój, Rose i jego. Może zechcecie tu wrócić i zamieszkać. Cokolwiek postanowicie, ja już się zdecydowałam. Kiedy wojna się skończy i te dzieci zostaną zwrócone ich rodzinom, przeniosę się do Brighton, będę mieszkała u Naomi, mojej kuzynki. Byłabym Valentine'owi wdzięczna za coroczną rentę...*

Drugi list był od ojca. Mona zawahała się, zanim go otworzyła. Był adresowany nie do niej, tylko do zarządcy Kikuju.

Wiedziała, że ten list zawiera polecenia dotyczące plantacji. To wywoływało w niej urazę. Valentine regularnie, odkąd wyjechał w 1941 roku, pisywał do Bellatu, instruując poszczególnych afrykańskich zarządców, jak prowadzić plantację. Gdy Mona do niego napisała, żeby jej pozwolił nadzorować pracę, odpisał kategorycznie: wykluczone. Nie spełniło się więc jej zrodzone przed siedmiu laty marzenie, że nauczy się kierować ogromną plantacją kawy. Żadne argumenty, żadne uzasadnienia: „A co wtedy, gdy już nie będziesz żył, tato? Kto to poprowadzi?” - nie przekonały ojca. Do pójścia w jego ślady miał prawo tylko Arthur.

Mona pokazała zarządcom kilka pierwszych poleceń na piśmie - kiedy obcinać, zabezpieczać, przebijać, nawadniać - przysłanych z Etiopii, gdzie ojciec walczył. Ale potem okoliczności zaczęły się



zmieniać. Wojsko kenijskie wymagało odżywiania. I tysiące Włochów, jeńców wojennych, których Valentine wysyłał do obozów, też trzeba było karmić. Rząd prosił, żeby rolnicy wykorzystywali swoją ziemię jak najużyteczniej, a to oznaczało dla Mony zmniejszenie uprawy kawy na rzecz bardziej niezbędnych produktów. Znowu napisała do ojca, wyjaśniając. I znowu ojciec nie chciał tego wziąć pod uwagę, upierał się, że ma być tylko kawa. Więc na własną rękę zaczęła przeprowadzać swój plan. W gabinecie Valentine'a był duży zbiór nagromadzonych przez lata książek z zakresu rolnictwa. Czytała je i studiowała, słuchała rad farmerów, pojechała do Nairobi, dowiedziała się tam, czego trzeba, i gdy wróciła, wypisała, podrabiając pismo ojca, polecenia niby to otrzymane od niego. Pierwszym plonem ze świeżo wytrzebionych akrów była kukurydza, która obrodziła wspaniale. Pomagali Monie James i Tim. Chodzili z nią po brzdach, tłumaczyli, co i jak, i przewodzili. Również nadzorcy byli dobrymi rolnikami. Potrafili wyczuć, kiedy spadnie deszcz, wiedzieli, kiedy gleba jest zbyt kiepska, kiedy zagraża szarańcza i w jaki sposób bronić plon przed poczwarkami mola bawełnianego. W rezultacie swoim oszustwem Mona odniosła niejakię zwycięstwo nad Valentine'em.

Bała się powrotu ojca po wojnie. Przewidywała, że on zrobi straszną awanturę, a potem sam ujmie ster, zakazując jej się wtrącać. I przewidywała, że tego nie zniesie. W ciągu tych czterech lat zaczęła po raz pierwszy w życiu czuć się w Bellatu rzeczywiście jak w domu. Przedtem nigdy nie czuła się tak przynależna do pięciu tysięcy akrów zielonych drzewek. Przyjeżdżała z pensji na ferie jak gość, sypiała w pokoju jak gdyby niczym, jadła z rodzicami, którzy byli jak ludzie obcy. A teraz...

Bellatu jest jej. I ona Bellatu zatrzyma.

Trzeci list był od Geoffreya.

Nalała sobie drugą filiżankę herbaty, zanim otworzyła kopertę, zwlekając, żeby porozkoszować się tą chwilą.

Wyczekiwała listów Geoffreya. Ostatnio żyła dla nich.

Geoffrey Donald był w Palestynie i pełnił tam „służbę policyjną”. Nie mógł dużo o tym pisać, ale Mona z doniesień w dziennikach radiowych wiedziała, jak tam jest niebezpiecznie. Gdy tylu europejskich Żydów uciekających przed faszystami szuka w Palestynie schronienia, miejscowi Arabowie czują się spychani, więc walczą. W odwecie pewne tajne ugrupowania żydowskie przypuszczają kontrataki, żeby przypomnieć Brytyjczykom o ich zobowiązaniu wobec syjonizmu. Bardzo niespokojny to zakątek świata, po-

myślała Mona, ale i tak dobrze, że Geoffreya odkomenderowano tam, a nie do Birmy, na przykład, gdzie oddziały kenijskie ponoszą ciężkie straty. Geoffrey pisał teraz:

*Ta wojna nie może trwać wiecznie i kiedy się skończy, zobaczymy wylaniający się z niej nowy świat. Zapamiętaj moje słowa, Mono. Wszystko będzie inne. Nastąpi Era Nowoczesna i zamierzam w tym uczestniczyć. Myślę o czymś drastycznie nowym, co zapoczątkuję po powrocie do domu. Turystyka, Mono. Wojna pootwierała drzwi świata. Sprawiała, że ludzie się przemieszczają, widzą okolice, których nie znali. To budzi zainteresowanie podróżami. Dawniej turystyka była sportem dla bogatych, ale przypuszczam, że szary człowiek, kiedy już wróci do swego zwykłego życia po wojaczce w egzotycznych krajach, będzie chciał zobaczyć więcej świata. Więc zamierzam umieścić Kenię na mapie turystycznej. Napisz, co myślisz o tym; wiesz, jak liczę się z Twoim zdaniem.*

*Przedwczoraj wpadł mi w ręce cudowny prezent dla Ciebie. Stary Arab przyniósł to do garnizonu i chciał za to bajońską sumę, ale go usadziłem. On twierdzi, że to autentyczny zabytek. Jest to zwój starego pergaminu niewątpliwie sfabrykowany na jego podwórku, ale wygląda na autentyk. Mógłby być ładną ozdobą nad kominkiem w Bellatu. Mam nadzieję, Mono, że cieszysz się dobrym zdrowiem. Dziękuję za czekoladki. Jesteś kochana.*

Mona złożyła starannie list i wsunęła do kieszeni. Miała go czytać tego dnia jeszcze nie raz, gdy będzie jeździła samochodem po plantacji nadzorując prace, i potem w nocy myśleć o Geoffreju.

Wreszcie przyszło to do niej - miłość. Czas wojny, groźba niebezpieczeństw i śmierci - jak słyszała - sprawia, że ludzie się do siebie zbliżają. Czyż nie ma w rodzinie tej starej opowieści o romansie cioci Grace na statku w czasie pierwszej wojny? Wychodząc z kuchni na swój poranny obchód, ze zdumieniem pomyślała, jak łatwo ni stąd, ni zowąd się zakochała. Siedem lat temu, gdy stała w sypialni chorego sir Jamesa w Ugandzie, spojrzała na Geoffreya i zastanowiła się, czy kiedyś zdoła go pokochać, tak jak ciotka kocha jego ojca. Zdecydowała się wtedy zaczekać, przekonać się.

„Ja ci nie daję kosza - odpowiedziała na jeszcze jedno oświadczenie Geoffreya po powrocie z Ugandy do Kenii. - Ale dopiero co ukończyłam szkołę. Muszę się oswoić z tą myślą”.

Geoffrey nie wysunął sprzeciwu i przez następne dwa lata bywali razem na przyjęciach, należeli do eleganckiego młodego to-

warzystwa jako „para”. Nawet się całowali, ona jednak nie pozwalała mu na żadną poza tym poufałość, a on nie nalegał.

A potem wybuchła wojna i wszystko się zmieniło. Nagle świat się wywrócił. Wszyscy młodzi mężczyźni w Kenii włożyli mundury i zaczęli wyjeżdżać w tajemnicze dalekie rejony - Geoffrey na służbę garnizonową w Palestynie, gdzie dowodził pułkiem „kolorowych”. Pisał listy i Mona tęskniła do niego coraz bardziej, aż poczuła szarpnięcie pożądania - po raz pierwszy w życiu i ku swojej wielkiej uldze zdała sobie sprawę, że ostatecznie nie jest taka jak jej matka - niezdolna do miłości.

Kiedy Geoffrey przyjedzie na dobre, postanowiła, wyjdę za niego.

\* \* \*

Rose zatrzymała się przy drzwiach oranżerii. Zobaczyła kłódkę wyrwaną, leżącą na ziemi.

Jeszcze jedno włamanie, pomyślała zaniepokojona, czwarte w tym roku!

Nigdy to się nie zdarzało przed wojną, gdy Valentine był w domu. Ale odkąd *buana* wyjechał na tak długo, niektórzy z miejscowych ludzi lekceważyli prawo. Zwykle kradli tylko narzędzia, rzeczy, które mogli sprzedać - raz jednak zabrali kilka cennych roślin. Pełna obawy Rose wbiegła do oranżerii.

Czyjaś ręka wysunęła się raptownie zza drzwi, chwyciła ją i przyciągnęła, wykręcając jej rękę na plecach. Tuż przy jej uchu zabrzmiał męski głos:

- *Signora*, nie ruszać się.

Rose wpatrywała się w rzędy swoich niemych kwiatów, czując ostrze noża na gardle.

### Rozdział 35

Z nożem na gardle Rose zastygła bez ruchu w bolesnym uścisku stojącego za nią mężczyzny. Spojrzała na niedomknięte drzwi i pomyślała, że Ndžeri zajęta ramą gobelinu jest niedaleko. Otworzyła usta; nóż prawie wbił jej się w szyję.

- Nie krzyczeć - szepnął męski głos. Zamknęła oczy.

- Nie ruszać się, *signora*. Słuchać.

Słuchała, czekała. Ten człowiek ledwie oddychał. Czowała, jak on się trzęsie. Ręka, zaciśnięta na jej gołym przedramieniu, była gorąca i mokra.

-*Per faoore... mi aiuti*. - Ręka zaczęła się osuwać. - Proszę - szeptał. - Pomocy.

Nagle nóż upadł i Rose była wolna. Odskokczyła, gdy nieznajomy osunął się na kolana. Nóż ze szczęknięciem obił się o kamienną podłogę,

- Proszę. - Nieznajomy trzymał się za pierś, zwiesił głowę. -Potrzebuję...

Rose wlepiła w niego oczy. Miała na przedramieniu krew - jego krew.

Patrzyła, jak on nagle zwiotczały leży na boku. Oczy zamknął, twarz mu wykrzywił ból.

- *Ascolti* - wyszeptał. - *Chiami un prete*. Sprowadzić... Rose cofnęła się pod ścianę.

- Proszę - jęczał - błagam, sprowadzić *un prete*. Rozdygotała się. Widziała krew na jego koszuli, plamę od trawy, ślady ucieczki przez busz. Był bosy, stopy pokaleczone krwawiły. Twarz miał w smugach brudu i potu.

- Księżdz - powiedział. - Umieram. Proszę, *signora*. Sprowadzić księżdz.

Rose się ruszyła. Potknęła się o doniczkę, na oślep sięgnęła do drzwi. W uszach brzmiał jej głos Mony: oni zarżnęli strażnika. Tył jego koszuli nasiąkał czerwonymi pasami krwi. Zagapiła się. W dezorientacji nie mogła zebrać myśli.

- Kim... - zaczęła. - Kim pan jest? Nie odpowiedział.

- Idę po policjanta - oświadczyła. Dygotała. Bała się, że nogi odmówią jej posłuszeństwa.

Ale nie reagował. Nie poruszył się.

Nadal wpatrywała się w czerwone pasy na jego koszuli. Po chwili ostrożnie, jak gdyby podchodziła do niebezpiecznego zranionego zwierzęcia, zrobiła ku niemu krok. Zatrzymała się, patrząc. Zrobiła jeszcze jeden krok i jeszcze jeden, aż stanęła nad nim.

Leżał skulony na boku, oczy miał zamknięte, dyszał.

- Zbiegły jeniec, prawda? - zapytała drżącym głosem. Jęczał.

Rose załamała rękę.

- Dlaczego pan przyszedł tutaj? Ja nie mogę pomóc! - Nie odrywała wzroku od tych pasów na jego plecach, od tej krwi nieustannie wsiąkającej w koszulę.

Była w wielkim strachu.

- Pan jest wrogiem - powiedziała. - Jak pan śmie prosić mnie o pomoc? Zawiadomię tych, którzy pana szukają. Oni będą wiedzieli, co z panem zrobić.

Wyszeptał jedno słowo.

- Księżdz...

- To wariactwo myśleć, że ja panu pomogę! - wykrzyknęła. - Boże drogi... - Widziała, że on strasznie cierpi. I pomyślała: umiera.

Gdy pojęła, że on ani nie może, ani chyba nie zamierzał jej skrzywdzić, powoli uklękła, patrząc na te pasy, do głębi przejęta.

- Chłostali pana... - szepnęła.

Otworzył przelotnie oczy. Ciemne i wilgotne, przypomniały jej oczy zranionej antylopy.

- Pomocy - jęknął. - W imię Boga... I zamknął oczy. Znieruchomiał. Rose przygryzała dolną wargę.

A potem nagle się poderwała.

- Ndżeri! - zawołała, wybiegając z oranżerii. Młoda Afrykanka podniosła wzrok, zaskoczona.

- Idź do domu - powiedziała Rose bez tchu. - Po mydło, wodę i ręczniki. Przynieś mi to tutaj.

Ndžeri patrzyła na nią, nic nie pojmowała.

- Prędko!

- Tak, *memseeb*.

- I koce! - zawołała Rose, już biegnąc ścieżką z polanki w stronę misji.

Na schodach prowadzących na teren misji poniżej puszczy spróbowała się zastanowić, gdzie o tej porze jest jej szwagierka. Grace będzie wiedziała, co dla tego człowieka zrobić; Grace się nim zajmie.

Ale już skręcając na żwir alejki, żeby pobiec do domu Grace, przypomniała sobie z przerażeniem, że Grace jest w Nairobi!

Zatrzymała się i popatrzyła wokoło. Zaciśnęła dłoń w dłoni. Widok krwi na ręce nasunął jej myśl o ambulatorium, małym budynku z płyt żużlowych, gdzie opatrywano pomniejszych obrażenia.

Skierowała się tam niepewnie. Bała się, że ktoś ją zobaczy, pojęcia nie miała, co zrobi, gdy tam wejdzie. Ale zanim doszła do drzwi, wpadła na dobry pomysł.

Jest nowe lekarstwo - „cud”, o którym ostatnio Grace mówiła, coś, co powstrzymuje infekcję i ratuje ludziom życie nawet w najgroźniejszych przypadkach, coś, co zrewolucjonizuje medycynę. Tylko jak to się nazywa?

Rose nie mogła sobie przypomnieć.

W ambulatorium nie było nikogo. Pojedyncza izba, lśniąca w blasku słońca czystością, czekała na pacjentów. Rose się rozejrzała. Pielęgniarka niewątpliwie lada chwila wróci po śniadaniu. Trzeba się śpieszyć.

Wydawało jej się, że nazwa tego leku zaczyna się na p. Ruszyła do szafki z lekarstwami. Spróbowała przez szybę w drzwiczkach odczytać etykiety. Niektóre z nazw знаła, niektórych nie znała. Żadnej na p nie wypatrzyła.

Ostatecznie zdecydowała się wziąć butelkę z morfiną.

Już miała wybiec z ambulatorium, gdy nagle rzuciło jej się to w oczy - mały karton ze świeżo dostarczonym lekiem. Na pudełku był nadruk: penicilina. Owo cudowne lekarstwo Grace!

Biorąc jeszcze parę innych lekarstw, ale rzeczywiście nie wiedząc, ile czego trzeba i jak to aplikować, zawięła wszystko w płócienny ręcznik, po czym szybko wyszła.

Na polance zastała w altanie Ndžeri z wiadrem wody, butelką mydła do podłóg, jednym ręcznikiem i bez koca.

- Chciałam mydło toaletowe, Ndzeri! - powiedziała. - Do mycia rąk. I koc, i poduszkę. Biegnij! I nie mów nikomu! Otworzyła pchnięciem drzwi oranżerii i zajrzała. Nieznajomy nawet nie drgnął. Leżał zakrwawiony i w rozproszonym świetle padającym przez szklany dach wyglądał dziwnie sprośnie wśród kolorowego kwiecica i drzewek owocowych w donicach.

Ogarnęło ją silne wzruszenie, uczucie dobrze znane i zarazem obce. Nieraz w przeszłości odczuwała taki przymus - coś jej nakazywało ratować ranne albo osierocone zwierzęta, chronić je i żywić. Ale nigdy dotąd nie doznawała tego wobec istoty ludzkiej. Nie rozumiała siebie. Ten człowiek to wróg; jej mąż na północy walczy z Włochami. A przecież nie widziała wroga w sponiewieranym biedaku leżącym wśród jej kwiatów. Patrzyła na tego jeńca nie oczami, tylko sercem, jej serce widziało po prostu żywe stworzenie, które potrzebuje pomocy.

Uklękła przy nim. Jeszcze żył, ale chyba ledwie, ledwie.

- Czy pan mnie słyszy? - zapytała. - Postaram się panu pomóc. Przyniosłam lekarstwa.

Leżał na boku jak martwy.

Wyciągnęła rękę, zawahała się i dotknęła jego czoła. Było gorące.

Rozejrzała się po oranżerii. Za stołem ogrodniczym jest dosyć miejsca na posłanie. Odłożyła zawiniątko przyniesione z ambulatorium. Stała za głową rannego i wzięła go pod pachy.

Ale nie zdołała go ruszyć.

- Proszę - powiedziała - niech pan pomoże, żebym pana przesunęła.

Jęknął.

Już wpadała w panikę. On leży przy otwartych drzwiach, taki widoczny. Rzadko ktokolwiek przychodzi na tę polankę, ale gdyby ktoś przyszedł, od razu by go zobaczył.

Dopiero teraz pojęła, że musi go ukrywać. Nie miała nic przeciwko temu. Powodowała się głębszą, bardziej złożoną koniecznością, instynktem nakazującym chronić zranione stworzenia przed szponami krwiożerczych bestii.

Znow się rozejrzała. Nowe krzewy róż w rzędzie pod ścianą, wchłaniając łagodny blask słońca, czekały na przesadzenie. Pośpiesznie przepchnęła ciężkie donice po kamiennej posadzce dość daleko, żeby było za nimi miejsce na kryjówkę. Potem wróciła do rannego i ciągnąc go, popychając, jakoś go przetaszczyła sprzed drzwi.

Położyła nieznajomego mężczyznę pośród swoich róż.

\* \* \*

Ndżeri Madengej zrobiłaby dla swojej pani wszystko.

Chociaż to *memseeb* Grace dała Ndżeri życie dwadzieścia pięć lat temu, wyjmując ją z łona Gaczyku i chociaż także *memseeb* Grace usiłowała ją uchronić od straszego obrzędu *ajrue* przed siedmiu laty, przyrodnia siostra Davida Madengeja niezłomnie była oddana *memseeb* Rose.

Ndżeri nie przypominała sobie, żeby zdarzył jej się w życiu moment, w którym by nie chciała mieszkać w tym wielkim kamiennym domu i zawsze być blisko swojej pięknej pani, tak pięknej jak duch słonecznego blasku. Od wczesnego dzieciństwa, gdy raz po raz uciekała z *szembe* matki na polanę wśród eukaliptusów i podglądała tam lady Rose, wyczuwała w tej *memseeb* jakiś szczególny czar. Żonę *buany* spowijał miły smutek. Takiej aury nie mógł wyczuć nikt oprócz subtelnej Ndżeri, obdarzonej zdolnością postrzegania jedyną w swoim rodzaju.

Wciąż były razem, Ndżeri i lady Rose. Z początku Ndżeri wymykała się z matczynej chaty, żeby siedzieć na polance z panią, która tamtego pierwszego dnia dawno temu nie była zdumiona jej nagłym pojawieniem się wśród eukaliptusów, tylko przyjęła ją od razu uśmiechem i smakołykami z nieodzownego wiklinowego koszyka. Wówczas *memseeb* Mona, córka pani, rówieśnica Ndżeri, też z nimi siedziała w altanie i musiała tam się uczyć pod kierunkiem często zmieniających się guwernantek. Później Mona wyjechała na pensję w Nairobi i wtedy Ndżeri miała panią dla siebie. Jeszcze później *memseeb* Rose przyjęła Ndżeri w poczet służby domowej jako swoją osobistą pokojówkę, płacąc jej co miesiąc trzy szylingi, które ona przekazywała matce. Życie stało się doskonałe. Ndżeri chodziła wystrojona w stare rzeczy *memseeb*, sypiała pod drzwiami sypialni w wielkim domu, podawała lady Rose poranną herbatę, po czym przez godzinę czesała jej włosy, spływające jak wodospad.

Ndżeri nie rozumiała, dlaczego jej brat David i ta nieznośna Ondżiru nie lubią *ozungu*. Ndżeri wielbiła białych, ich jasną skórę, cudowne obyczaje i często myślała, że na Ziemi Kikuju musiało być ponuro i nieprzyjemnie, zanim przybyli.

Pędziła ścieżką, niosąc koc, poduszkę i specjalne lawendowe mydło Yardleya i nie zastanawiała się, po co to. Nigdy nie kwestionowała postępowania i poleceń *memseeb*.

Ale gdy weszła do oranżerii, wykrzyknęła, i to wszystko wyleciało jej z rąk.



- Cicho! - powiedziała Rose. - Chodź tutaj i pomóż mi! Ndžeri stała nieruchomo. Odwieczne tabu Kikuju przygwoździło ją do podłogi.

- Ndžeri!

Dziewczyna zagapiła się na mężczyznę leżącego na brzuchu, na jego plecy już obnażone. *Memseeb* dotykała go - jego ran, jego krwi.

Rose zerwała się na równe nogi, podniosła upuszczone mydło i pociągnęła Ndžeri za rękę.

- Nie gap się, tylko mi pomóż. Ten człowiek jest ranny. Ndžeri podeszła sztywno i uklękła naprzeciw *memseeb*, ale nie

zdobyła się na to, by go dotknąć. Patrzyła, jak Rose delikatnie obmywa na pół zagojone pręgi na jego plecach, patrzyła, jak te smukłe białe dłonie, które nigdy nie dotknęły niczego, co nieczyste czy niepiękne, ścierają zaschniętą krew i brud, pieczołowicie osuszają rany i smarują je leczniczą maścią.

W końcu Rose wyprostowała się i powiedziała:

- Może to podziąła. Nie wiem, co zrobić jeszcze. Myślę, że on ma niebezpiecznie wysoką gorączkę. Mógłby umrzeć. Niektóre rany są zakażone, stąd ta gorączka.

Ndžeri powiodła wzrokiem po plecach nieznajomego. Teraz zobaczyła, tak jak jej pani przedtem, że wśród świeżych ran są stare blizny.

- Bili go wiele razy, *memseeb*.

Rose spojrzała na butelkę z penicyliną. Nie miała pojęcia, ile tego wstrzyknąć. Za mała dawka z pewnością nie poskutkuje. A za duża - czy może zabić? Co to jest, na Boga, ta penicylina?

Ręce jej się trzęsły, gdy napełniała strzykawkę, starając się naśladować w tym Grace - dwa palce w metalowych kółkach, kciuk na tłoczku. Strzykawka była ciężka, nieporęczna, igła jakoś wydawała się za długa.

Po napełnieniu Rose spojrzała na swego nieprzytomnego pacjenta i szepnęła:

- Tylko gdzie mu to wstrzyknąć?

Zwykle zastrzyki robi się w rękę. Zdecydowała się ostatecznie oczyścić mały kawałek skóry na twardym mięśniu tuż przy ramieniu i wbiła igłę.

Nie zareagował.

Dobry Boże - modliła się powoli, naciskając tłok - niech to będzie odpowiednia ilość.

Potem się odchyliła i przyjrzała się pacjentowi. Spał mocno. Za mocno, pomyślała. I nagle zauważyła, jaki on ma szlachetny ładny profil.

Zbadała tętno na jego szyi. Było nieregularne. Jak gdyby serce się szamotało, biło wołaniem o pomoc.

Pogłaskała go po czarnych włosach zmierzwionych na czole.

- Biedaku - szepnęła - czym sobie zasłużyłeś na takie nieludzkie traktowanie?

Potem siedziała w ciszy, wlepiając swe niebieskie oczy w tę ciemną głowę. Czas stanął, robiło się coraz parniej, duszniej od zapachu żyznej gleby i egzotycznych kwiatów. Coś przemknęło nad szklanym dachem. Słońce schowało się za wysoki eukaliptus, stonowały się barwy i cienie w oranżerii. A one, biała i Afrykanka, nadal siedziały, milcząc, gdy ranny nieznajomy spał pomiędzy nimi.

W ciągu swego długiego czuwania przy śpiącym Rose uświadamiała sobie do głębi bezradność i całkowitą daremność. Patrzyła na biedaka, z którego życie wolno uchodziło, pełna wstrętu do swojej nieudolności.

Przed zachodem słońca Ndżeri przypomniła pani, że wkrótce będzie ciemno. Rose bała się nocy i zawsze wołała być w domu, zanim dzień zgaśnie. Ale teraz nie chciała odejść.

Przyłożyła rękę do jego rozpalonego policzka. Prawdopodobnie umrzesz tutaj w nocy, pomyślała, samotny, cierpiący, bez nikogo, kto by cię pocieszał.

Ale zmrok rzeczywiście ją przerażał, w końcu musiała wyjść z oranżerii. Dołożyła starań, żeby nieznajomemu było możliwie jak najcieplej i najwygodniej, po czym zatrzymała się w drzwiach i jeszcze popatrzyła na żalosne zarysy śpiącego ogarniane ciemnością.

Pomyślała o gobelinie. Był wszystkim, co miała do pokazania jako plon swojego życia. Myśląc o tym, Rose po raz pierwszy gardziła sobą.

Nie mogła spać.

Gdy wróciła do domu ukradkiem, żeby nie spotkać Mony, poszła prosto do swojej sypialni i siedziała teraz w świetle lampy huraganowej, patrząc przez okno w ciemną puszcę.

Nie mogła znieść ciszy. Włączyła radio z nadzieją, że będzie jakaś muzyka, ale z radia buchnął głos spikera czytającego nocne wiadomości. Szybko ten głos przyciszyła i słuchała jak z oddali.

Dwóch jeńców włoskich, którzy uciekli z obozu w Nanyuki, już pochwycono. Trzeci jeszcze przebywa na wolności. Jest to, jak ustalono, generał Carlo Nobili, duca d'Alessandro.

A więc on teraz ma nazwisko.

Pomyślała o nim leżącym w oranżerii, powoli Umierającym. Czy odzyska przytomność i w ostatnich chwilach życia będzie się bał? Pomyślała o ranach na jego plecach - tych starych i tych świeżych ranach, które mówiły, jak katowano w obozie. Nic dziwnego, że on uciekł. Może ten zamordowany strażnik zasługiwał na śmierć.

A potem pomyślała: powinnam była zrobić dla niego więcej. Ale co? Co mogłam zrobić?

Rozpłakała się.

Ukryła twarz w dłoniach i szlochała. Drzwi sypialni się otworzyły, smuga światła z korytarza padła na dywan, gdy zajrzała niepewna i przerażona Ndžeri, która nigdy dotąd nie widziała swojej pani płaczącej.

Rose odwróciła się do niej.

- Dlaczego jestem taka beznadziejna? - wykrzyknęła. - Dlaczego jestem taka nieżyciowa, aż śmieszna? Każda inna może by uratowała tego biedaka! Gdybyż Grace była tutaj, a nie w Nairobi! Ona by wiedziała, co... - Zapatrzyła się w pokojówkę. - Grace! - wykrzyknęła. - Oczywiście!

Zerwała się z sofki w okiennej wnęce.

- Ze też wcześniej nie przyszło mi to na myśl - powiedziała, wybiegając z sypialni.

Ndžeri zbiegła za panią na dół i zastała ją w bibliotece - zatęchłym, rzadko używanym pokoju, gdzie wszystko było jeśli nie skórzane, to z mosiądzu i od podłogi do sufitu wznosiły się półki z książkami.

- To musi tu być! - Rose gorączkowo przeszukiwała półki. - Pomóż mi, Ndžeri! Książka duża i gruba. - Nakreśliła rękami w powietrzu kształt niewidzialnego egzemplarza. - Okładka papierowa, nie ze skóry. I jest... jest - przechodziła wzdłuż półek, błyskawicznie oglądając grzbiety tomów - jest zielona, Ndžeri. Pośpiesz się.

Oszołomiona niepiśmienna Afrykanka podeszła do ściany i wśród skórzanych i złoconych okładek zaczęła szukać papierowej zielonej. Słyszała, jak pani wykrzykuje.

- Och, musi tu być! Bo chyba Grace nam dała!

Wspinając się na palce, Rose sunęła wzdłuż półek, potem się pochylila, żeby przetrząsać dolne. Tyle tych książek, mnóstwo...

- *Memseeb?* - powiedziała Ndžeri.

Rose się odwróciła. Zobaczyła w brązowych rękach poradnik.

- Tak, to jest to! Książka Grace! Daj ją tutaj, w światło!

Było to czwarte wydanie „Jeśli musisz być lekarzem”, z roku 1936. Książka jeszcze sztywna, bo nikt nigdy jej nie przeglądał, i już pożółkła, zakurzona wskutek zaniedbania. Rose powiodła palcem po spisie treści.

- Tu - powiedziała i stuknęła w tę stronicę. - „Zakażenia od ran. Gorączki. Jak pielęgnować osobę ciężko chorą”.

Wyciągnęła z szuflady blok i pióro i zaczęła notować.

\* \* \*

W chwilę potem Ndżeri trzęsła się ze strachu, stojąc z panią na progu drzwi kuchennych i patrząc w ciemność. Jak większość Kikuju instynktownie lękała się nocy.

Tym razem obie były obładowane starannie zawiniętymi rzeczami, dobranymi według spisu z podręcznika. Rose znalazła w szafce w łazience termometr i aspirynę, w kuchni cukier, sodę i sól, dołączyła do tego wazelinę, watę, zegarek z sekundnikiem, trzy termosy napełnione gorącą wodą i dwie latarki elektryczne -wszystko to, co Grace zalecała w podręczniku.

Zdjęta grozą, Rose patrzyła za ogród na ciemną ścianę puszczy, tam gdzie światło z kuchni nie docierało. Myślała o generale Nobilim, leżącym na kamiennej podłodze w oranżerii, i o swoim postanowieniu, że do niego pójdzie.

- Chodźmy - szepnęła w końcu i zeszła ze schodków. - Obejrzała się. Ndżeri stała jak wryta. - Powiedziałam, chodźmy!

Dziewczyna wciąż zostawała w tyle, gdy pobiegły alejką.

- Ndżeri, módl się, żeby jeszcze żył - szeptała Rose, gdy wbiegły między drzewa. - Módl się, żebyśmy nie przyszły za późno.

W puszczy pędziły wśród niewidzialnych duchów, wśród urojonych zwierząt deptających im po piętach. Do oranżerii wpadły rozdygotane, przerażone i zziębnięte. Rose od razu podeszła do generała i stwierdziła, że on jeszcze żyje.

Ndżeri trzymała latarkę w drżących rękach, smuga światła latała po nieprzytomnym generale. Rose otworzyła podręcznik na stronicy z nagłówkiem „Jak zbadać chorą osobę” i przystąpiła do metodycznego sprawdzania oznak życia.

Puls miał słaby, skórę wilgotną, co świadczyło, że jest w szoku. Przewróciła go na bok, pod stopy podłożyła mu cegły. Oddychał uspokajająco szesnaście razy na minutę i gdy uniosła mu powieki i skierowała światło w oczy, źrenice były jednakowej wielkości i za-

reagowały na blask - dobre oznaki, jak już wiedziała z podręcznika Grace. Ale gorączka za wysoka. Stosując się do zaleceń w książce, odnalazła stronicę „Gorączka bardzo wysoka” i przeczytała: „Może dojść do uszkodzenia mózgu, jeżeli wysokiej gorączki natychmiast się nie obniży”.

Ściągnęła z niego koc nadal w myśl zaleceń, tak żeby nocne powietrze go ochłodziło, po czym w kubku wody rozpuściła dwie tabletki aspiryny. Podtrzymując głowę generała w zgięciu łokcia, przyłożyła mu kubek do ust. Nie pił. Spróbowała jeszcze raz. Bez aspiryny gorączka nie spadnie.

Zwróciła się do książki o pomoc i przeczytała ostrzeżenie wydrukowane dużymi literami: NIGDY NIE DAWAJ NIC DOUSTNIE OSOBIE NIEPRZYTOMNEJ.

Odstawiła kubek i z powrotem położyła głowę generała na poduszce. Czytała dalej. Pod nagłówkiem „Objawy niebezpieczne” znalazła: „Dzień bez picia płynów”. Odszukała podaną stronicę. W chwiejnej smudze światła z latarki Ndżeri dowiedziała się o niebezpieczeństwach odwodnienia.

Spojrzała na zegarek. Wyliczyła, że on jest nieprzytomny od dwunastu godzin.

- Niedługo musi dostać płyn - wymamrotała - bo inaczej umrze wskutek odwodnienia. Ale co ja mogę zrobić? Nie mogę go zmusić do picia. A jemu ta woda potrzebna i potrzebna aspiryna, żeby gorączka spadła. Co za błędne koło! Przypatrzyła się jego twarzy. Ile on ma lat? Skąd pochodzi? Czy ma rodzinę, która martwi się o niego?

Usłyszała, jak Ndżeri zaczyna szcząkać zębami.

- Wracaj do domu - poleciła. - Ja przy nim zostanę.

Ale Ndżeri usiadła po turecku na podłodze, latarka świeciła z fałd jej spódnicy.

- Jeżeli wezwę lekarza - powiedziała Rose cicho - przekażą go z powrotem do obozu. A jeżeli spróbuję leczyć go sama, on może umrzeć. Co ja mam zrobić?

Dotknęła znów jego czoła. Wydawało się, że jest chłodniejsze, bardziej suche niż było. Zbadała tętno - chyba już nie tak przyspieszone. I oddech jakoś lżejszy.

- Ndżeri, daj mi ten koszyk.

Według przepisu z podręcznika przyrządziła płyn nawadniający: czystą wodę z cukrem, solą i sodą. Sprawdziła, kosztując, czy nie jest „bardziej słony niż łzy”, jak napisała Grace, i postawiła ten

kubek przy kubku z rozpuszczoną aspiryną, żeby dać do wypicia generałowi, jeżeli on odzyska przytomność. Zdecydowała się jednak wezwać pomoc, gdyby o świcie był nadal nieprzytomny.

\* \* \*

Wschód słońca nad kamiennymi ścianami oranżerii sypnął szpilkami blasku przez obwisłe gałęzie eukaliptusów. Rose poruszyła się pod kocem obolała po drzemce na kamiennej podłodze. Wstała i w świetle ze szklanego dachu, lejącym się jak mleko, rozejrzała się, gdzie jest Ndžeri. Ale pokojówka, gdy dniało, poszła do domu.

Rose z kolei spojrzała na generała. Oczy miał otwarte. Wpatrywał się w nią.

Przypominając sobie ten nóż na gardle, ból, jaki on jej sprawił, wykręcając rękę, nagle stała się znów ostrożna.

Otworzył usta. Chciał coś powiedzieć. Ale zdołał tylko chrząknąć gardłowo.

Wzięła kubek z płynem nawadniającym i przyłożyła mu do ust. Z początku ledwo przełykał, po chwili wypił wszystko. Głowa mu opadła na poduszkę.

- Boli pana? - spytała. Przytaknął.

Przyłożyła mu do ust drugi kubek, ten z aspiryną o smaku bardziej chyba gorzkim, bo się skrzywił. Znów wypił wszystko i opadł z powrotem na poduszkę. Oddychał już o wiele lżej.

- Kim... - zaczął.

- Jestem lady Rose Treverton. I wiem, że pan jest generałem Nobilim.

Patrzył na nią ciemnymi oczami. W końcu zapytał:

- Czyja panią skrzywdziłem?

Potrząsnęła głową. Włosy, które uwolniły się od szpilek, gdy spała, opadły jej na ramiona.

Generał Carlo Nobili zapałszy się w olśnieniu.

- Wiem, kim pani jest - powiedział. - Jest pani aniołem bożym. Uśmiechnęła się i położyła mu rękę na czole.

- Niech pan śpi teraz. Przyniosę panu coś do jedzenia.

- Ale gdzie...?

- Tutaj panu nic nie grozi. I może mi pan ufać. Zajmę się panem, dopilnuję, żeby już nic złego pana nie spotkało.

Generał zamknął oczy, rozprężył się.

### *Rozdział 3 6*

Wybuch nastąpił w samo południe w czasie muzułmańskiego wezwania do modlitwy. Ogromne szkody spowodował w policyjnej twierdzy na przedmieściu Jerozolimy. Śmierć poniosło pięciu żołnierzy brytyjskich.

- To przez tego cholernego Menachema Begina - podsłuchał David Madengej komentarz swojego dowódcy Geoffreya Donalda.

I zaczęło się usilne polowanie na podziemnego terrorystę. Po północy zerwano Davida z jego pryczy, żeby wraz z całym pułkiem wyczekiwał rozkazu kapitana Donalda w tę wrześnioną noc, zimną i deszczową.

Tak się złożyło, że David trafił do Palestyny do tego samego Pułku Afrykańskiego, co Geoffrey Donald. Gdy na początku wojny zgłosił się do armii brytyjskiej, pragnąc walczyć z hitlerowcami, nie spodziewał się, że będzie odbywał służbę tylko garnizonową. I to na domiar złego pod dowództwem człowieka, którym od siedmiu lat pogardzał.

Już w dniu ucieczki z więzienia w Nairobi i później, na wygnaniu w Ugandzie, David Madengej czuł szczególną nienawiść do Trevertonow, więc także i do przyjaciela tej rodziny, Geoffreya Donalda, a właśnie jemu teraz musiał salutować.

David był w Palestynie od czterech lat i dobrze poznał poszczególne walczące tam obozy - arabski, żydowski, brytyjski. Wiedział, że wybuch bomby w twierdzy żandarmerii brytyjskiej z pewnością był robotą Menachema Begina Irguna; tego nie mogła zrobić Haganah, tajna armia syjonistów, która zawsze uprzedzała o zamachu, żeby ludzie zdążyli uciec. Toczyła się walka o to, czyją ojczyzną jest mandatowe terytorium Palestyny. Davidowi, przywiązanemu, jak wszyscy Kikuju, do swojej ziemi i rozumiejącemu, co znaczy jej posiadanie, wydawało się, że to jest spór plemienny.

Arabowie, którzy tutaj żyją od wieków, są spychani z ziemi swoich przodków przez uchodźców, Żydów europejskich, uciekających przed Hitlerem. Żydzi uważają ten kraj za swój własny, dziedzictwo po swoich przodkach. A pośrodku siedzą Brytyjczycy, łaskawi dla obu stron, to jednej, to drugiej coś obiecują, po czym obietnic nie dotrzymują. Nic dziwnego, myślał David, że Menachem Begin ma dosyć Churchilla i jego słów na wiatr, więc zamiast jak dotąd kierować swoje akcje terrorystyczne przeciwko Arabom, wrogom naturalnym, nęka teraz Brytyjczyków. Stąd ten zamach na twierdzę żandarmerii pod Jerozolimą.

David był do głębi nieszczęśliwy.

Co się stało? W jakiej chwili jego życie zoczyło z wytyczonej drogi? Cztery lata temu, gdy rząd masowo werbował do Królewskich Strzelców Afrykańskich, David Madengej i tysiące innych młodych Afrykanów, takich jak on, zgłaszało się ochoczo, wierząc, że Hitler zamierza wtargnąć do Kenii i wywieźć ich w kajdanach. Ci młodzi Afrykanie ledwie po ukończeniu szkoły, bezrobotni, spragnieni możliwości działania, byli przekonani, że pomaszerują na zwycięską wojnę z potwornym złem i będą mieli wspaniałą sposobność, żeby obronić swój kraj, swój sposób życia, wywalczyć wolność i demokrację. W szykownym nowym mundurze, w kapeluszu z rondem pod-giętym i z piórem David paradował dumnie przed białymi oficerami, czując się wojownikiem w przededniu bitwy i gdy wyjechał ze stron ojczystych, odkrył, że świat jest o wiele, wiele większy, niż mu się kiedykolwiek śniło. Wierzył wówczas, że wstąpienie do armii brytyjskiej to jego najmądrzejsze posunięcie.

Teraz David zdawał sobie sprawę, że tak nie jest, że najmądrzej postąpił wtedy, gdy został w Ugandzie, chociaż naczelnik Muczajne chory, bliski śmierci - bo Oczera rzuciła *tsehę*, szeptali ludzie - wycofał wszystkie oskarżenia wniesione przeciwko niemu i oświadczył, że aresztowanie było bezprawne. David mógł wrócić do Kenii, a przecież odłożył powrót na później. W Ugandzie studiował rolnictwo na Uniwersytecie Makerere i po trzech latach uzyskał dyplom.

Nauczył się nowoczesnymi metodami uprawiać glebę i prowadzić gospodarstwo rolne. Był już gotów odebrać Trevertonom swoją ziemię.

Ale kiedy to będzie? - zastanawiał się, z karabinem na ramieniu wychodząc z koszar. Przez lata całe matka mu zapowiadała przywrócenie ziemi. Czyż nie rzuciła *tsehy* na Trevertonow? I czyż klątwy Oczery się nie spełniają?

Tylko że nie dość szybko, pomyślał. „Plony kawy Trevertonow są dobre - napisała Ondżiru w swoim



ostatnim liście. - Biała Mona sama zarządza plantacją". I czy po to zgłosił się do Królewskich Strzelców Afrykańskich, żeby marnować czas w obcym, suchym, nieszczęsnym kraju, gdzie ludzie chcą za wszelką cenę wzajemnie się powybić, a on pośrodku jako żołnierz brytyjski stanowi dla nich wszystkich tarczę strzelniczą, podczas gdy Trevertonowie tuczą się na jego ziemi?

David ugiął się pod brzemieniem niedoli.

Co w tej jałowej Palestynie można polubić? Latem upał jest zabójczy, gorący wiatr praży człowiekowi płuca. Zimą bezlitośnie leje szary deszcz. Człowiek chodzi zziębnięty jak nigdy w Kenii. David całym swym ciężkim sercem tęsknił do ojczyzny. Tęsknił do puszczy, do czystych mgieł góry Kenya, do pieśni rodaków, do posiłków, jakie gotowała matka, i do miłości Ondziru.

Ondziru...

Była teraz dla niego nie tylko dziewczyną, z którą miał nadzieję się ożenić. Zaczęła uosabiać wszystko to, do czego tęsknił. Ondziru stała się Kenią. Łaknął pociechy jej objąć.

Widząc, jak duże ciężarówki podjeżdżają i stają szeregiem z reflektorami zalewającymi plac nienaturalną jasnością, pojął, że organizuje się ogromne poszukiwanie. Gdzie to będzie dzisiaj? Podszedł do jednej z ciężarówek i zapytał kierowcę.

- W Petah Tikwa - podał ten żołnierz nazwę małego miasteczka niedaleko Tel Awiwu.

David przytaknął i oparł się o błotnik. Mandatowe władze mawiały: „Petah Tikwa, cholerne gniazdo terrorystów". I nie myliły się. Brytyjski wywiad dobrze wiedział, że tam w gajach i lasach wokoło są ukryte zbrojownie i poligon rebeliantów. Niebezpiecznie było przeszukiwać ten obszar. Brytyjscy żołnierze nie lubili jeździć do Petah Tikwa. David miał wrażenie, że jego służba ostatnio polega wyłącznie na szukaniu Menachema Begina. Jeżeli nie blokuje szos i nie sprawdza wszystkich samochodów w drodze do Tel Awiwu czy z Tel Awiwu, to przetrząsa hotele, wypatruje przechodniów na ulicy albo stuka do drzwi domów o północy i wyciąga ludzi z łóżek. Poszukiwanie Begina przybiera na sile. Brytyjczycy szaleją, żeby znaleźć człowieka, który sabotuje ich środki łączności i urzędy. A już teraz, kiedy do poszukiwań przyłączył się David Ben Gurion, przywódca Agencji Żydowskiej, arcyrywal Begina, całą Palestynę wywraca się do góry nogami.

Nawet wyznaczono nagrodę: piętnaście tysięcy dolarów za oddanie Menachema Begina w ręce władz.

To z pewnością zawzięty wojownik, myślał David Madengej, żeby tak przez cztery lata kiwać wywiad brytyjski, przeprowadzać tyle akcji sabotażowych, trzymać się mocno na czele swojej podziemnej armii Irgun i ani razu nie dać się złapać. Wciąż jest w ruchu, zawsze o krok przed tymi, którzy go szukają; tak działa człowiek sprytny i odważny. Rzeczywiście, Brytyjczycy mają bardzo mgliste pojęcie, jak Begin wygląda. Żołnierzom, kiedy się ich wysyła na szukanie od domu do domu, mówi się jedynie: „polski Żyd po trzydziestce, w okularach, ma żonę i małego synka”. - Oby tym razem znaleźli tego drania - powiedział kierowca ciężarówki, zapalając papierosa. - Cholerny ten Begin, dla niego wszystko dobre, żeby wziąć na cel. Nie lubię jeździć do Petah Tikwa. Któregoś dnia on tam zastawi pułapkę. I zapamiętaj sobie moje słowa, Begin wywoła cholerną wojnę domową. Arabowie przysiądą i tylko będą się śmiać i patrzeć, jak Żydzi zabijają jeden drugiego, hitlerowską robotę odwalają za Hitlera. David przyglądał się kierowcy, rumianemu, mówiącemu z akcentem szkockim. Tylko przy takich okazjach jak ta biali żołnierze rozmawiali z żołnierzami z pułku Davida. Zwykle wydawało się, że jakaś niewidzialna bariera czy też jakieś dziwne niewysło-wione prawo nie dopuszcza do mieszania się ras. Ze zdumieniem Afrykanie po przybyciu do Palestyny zobaczyli, że mają osobne kwatery i osobną kantinę z daleka od reszty batalionu. W Kenii to było przyjęte: Afrykanie nie zadawali się z białymi osadnikami - po prostu taki zwyczaj, teraz, jak zawsze przedtem - ale spodziewali się, że w wojsku jest demokracja. Ostatecznie wszyscy noszą takie same mundury i służą jednej sprawie, czyż nie? Nie dawniej niż w zeszłym tygodniu David dowiedział się, że żołnierze Afrykanie dostają niższy żołd niż biali. Wstrząsnęło to nimi. Kilku kolegów zgłosiło pretensje wobec takiej niesprawiedliwości, oświadczając, że szeregowiec to szeregowiec, biały czy czarny, i powinien dostawać należny żołd. Ale oficerowie, wszyscy biali, upomnieli tych afrykańskich malkontentów: przecież lepiej im się żyje niż ich rodakom w kraju: powinni tylko być wdzięczni armii, która ich przyjęła zamiast zostawić w Kenii, gdzie harowałiby na farmach jak kobiety. Ciężarówki już ustawiły się szeregiem, i samochody pancerne, i czołgi, i sprzęt do blokowania szos. David wiedział, że mają otoczyć Petah Tikwa całkowicie, zamknąć w kręgu nic nie podejrzewających mieszkańców tego miasteczka, i wtedy jego pułk będzie szukał Beginą.

Przypomniął sobie incydent w Hajfie. Trzej żołnierze wpadli w pułapkę, on był tylko o kilka kroków za nimi, niewiele brakowało, żeby także poniósł śmierć.

Czy Begin czeka na nich tam w Petah Tikwa, zastanowił się. Czy Irgun teraz przyczaja się podstępnie? Czy dzień dzisiejszy nie będzie nagłym krwawym końcem mojej palestyńskiej służby?

David nie chciał umrzeć. Chciał wrócić do domu. Do Kenii. Do Ondżiru.

Usiadł na błotniku ciężarówki, wyciągnął z kieszeni list i zaczął czytać w świetle latarki. Ondżiru pisała:

*Modlimy się o deszcz. W zeszłym tygodniu dostałam w szpitalu urlop. Jestem teraz u twojej matki. Poszliśmy do puszczy i pod starym figowcem modliłyśmy się razem o deszcz.*

*Twoja matka, Davidzie, czuje się dobrze. Czytam jej twoje listy raz po raz. Ale nie czytam jej gazet, relacji o wojnie w Palestynie. W gazetach piszą o tych bombardowaniach, Davidzie, i o minach w ziemi, o torturowaniu i mordowaniu brytyjskich żołnierzy. O co toczy się ta walka? Dlaczego ty tam jesteś? Jeżeli Masaje i Embu walczą ze sobą, czy Kikuju się wtrącają? Nie. Więc niech Arabowie i Żydzi sami załatwiają swoje spory. To nie jest twoja walka, Davidzie. Nie rozumiem, dlaczego tam jesteś.*

David podniósł wzrok znad listu i zapatrzył się w horyzont, przegowany pomarańczową obietnicą brzasku. Czy teraz słońce wschodzi w Kenii? Czy matka niesie wodę z rzeki? A Ondżiru... czy budzi się na posłaniu i myśli o mnie?

O co ja walczę?

Jeszcze jeden incydent mu się przypomniał, coś, co zdarzyło się również w Hajfie i o czym myśl nieraz go prześladowała.

Historia sprzed sześciu miesięcy. W czasie zwykłego przeszukiwania hotelu David natknął się na kogoś, kto swoim widokiem wprost oszołomił tak jego, jak jego kolegę Oczinga z plemienia Luo. Obaj się zatrzymali jak wryci i zagapili.

Ów człowiek w mundurze amerykańskim miał stopień kapitana. A przecież był czarny.

„Przepraszam, panie kapitanie - powiedział w końcu David. -To tylko sprawdzanie rutynowe”.

Zaczęli rozmawiać. Kapitan, sądząc z akcentu Davida, myślał, że on jest z Anglii. .

„Jestem z Kenii, panie kapitanie - sprostował David. I ostatecznie zdobył się na odwagę, żeby zapytać: - Za pozwoleniem, panie kapitanie. Ale jak to się stało, że pan jest oficerem? W armii brytyjskiej nie ma oficerów czarnych”.

Amerykanin uśmiechnął się i wyjaśnił:

„No, szeregowy, to dlatego, że mam dyplom ukończenia wyższych studiów”.

„Ja też mam” - powiedział David. I z kolei Amerykanin się zagapił.

Wspomnienie wyrazu twarzy tego kapitana nie opuszczało Davida przez parę następnych miesięcy. Widział go wszędzie. We śnie. Na pustyni. Na twarzach Żydów, których wypytywał. Nie było chwili, żeby zapomniał.

Amerykanin nie skomentował wtedy tego oświadczenia, tylko jego oczy mówiły „hańba...”.

Ale dla kogo - dla młodego szeregowca czy dla niego samego? David nie potrafił sobie na to odpowiedzieć.

Teraz nastąpił ruch. Trzeba już było stanąć w szeregu, padały rozkazy. David zobaczył, jak podjeżdża jeep, w którym wstaje kapitan Donald, żeby przemówić do żołnierzy. Przemówienie, na ogół dobrze znane, tym razem zaprawił mocnymi słowami. Sprowadzało się do: za wszelką cenę znaleźć Begina, zanim przez niego zginie jeszcze więcej Brytyjczyków.

Wsiadając do ciężarówki, David przetłumaczył to Oczingowi, znającemu tylko swój rodzinny język Luo i suahili. Powiedział mu, że mają szukać po domach w Hassidoff, dzielnicy Petah Tikwa, i nagle odczuł niesprawiedliwość tej sytuacji.

Oto Oczing, który słabo rozumie to, co mu się mówi, ale spokojnie wypełnia rozkazy i który lubi patrzeć na siebie w mundurze, i który po wojnie, tak jak osiemdziesiąt tysięcy innych afrykańskich żołnierzy, wróci do Kenii do swego prymitywnego ugodowego życia. I oto David Madengej, jeden z nielicznych wykształconych Afrykanów w pułku - jedyny z dyplomem uniwersyteckim, człowiek pełen ambicji, a jednak bodaj w najmniejszej mierze nieodróżniano od Oczinga. I znowu David ujrzał przed sobą oczy tego amerykańskiego kapitana. Absolutnie hańba.

Ale jeśli - rozmyślał, gdy ciężarówki ruszyły - jestem dla białych oficerów nie do odróżnienia, bo taki mam kolor skóry, to powinienem wyróżnić się jakoś inaczej. Wysoką cenę wyznaczyli za głowę Begina i odznaczenie czeka żołnierza, który znajdzie i przekaże dowództwu tego terrorystę.

David Madengej postanowił znaleźć Menachema Begina.

\* \* \*

Hassidoff to dzielnica robotnicza pośród gajów pomarańczowych. Czołgi i samochody pancerne armii okupacyjnej, współdziałając z policją palestyńską, otoczyły ten obszar, żołnierze zaczęli chodzić po ulicach i oznajmiać przez megafony:

- Godzina policyjna! Wszyscy mają pozostać w domach! Każdemu, kto wyjdzie, grozi śmierć!

Inni wyskakiwali z ciężarówek, życząc sobie nawzajem „dobrych łowów”. Przeczesywanie się rozpoczęło. Gdy David i Oczing ruszyli w stronę pierwszego domu, arabski pastuszek, pilnujący stada, wesoło pomachał do nich ręką. Już w kilka minut potem żołnierze wyprowadzali podejrzanych, przeważnie wyrwanych ze snu, bo słońce ledwie wzeszło, i wpychali ich do ciężarówek, żeby zawieźć na przesłuchanie w komendzie policji. Przebiegała ta operacja zdumiewająco sprawnie i spokojnie. Ludzie patrzyli z okien; otwierali swoje drzwi, pokazywali dowody tożsamości. Chociaż mieli przewagę liczebną i niejeden - jak się później okazało - rzeczywiście należał do Irgun Begina, żołnierze byli uzbrojeni, a oni bezbronni.

David wypytywał, Oczing stał na straży z pistoletem maszynowym.

Niełatwo szukać człowieka, którego właściwie nikt nigdy nie widział i który równie dobrze mógł być w tym miasteczku, jak nie być. Ale David szukał go z determinacją. Pamiętał starą fotografię z plakatu na ścianie koszar: Begin w mundurze Wojska Polskiego stoi przy ładnej młodej kobiecie, swojej żonie. Wyrył sobie w pamięci każdy szczegół tego zamglonego zdjęcia: linię włosów nad czołem Begina, kształt oczu, wygięcie warg. I tę kobietę, Alisę Begin.

Kierował do ciężarówek zdenerwowanych młodych Żydów, gdy ich dowody tożsamości były wątpliwe, i nielicznych protestujących. Wiedział, że większość ich zostanie jeszcze tego samego dnia zwolniona i że informacji od nich uzyska się niewiele.

Stukał do każdych drzwi, mając przy sobie Oczinga z podniesionym pistoletem. Każde drzwi mogły być pułapką, buchnąć salwą karabinową.

Mijał poranek, niepokój Davida wzrastał. Kapitan Geoffrey Donald jeździł jeepem po ulicach, rozmawiał z żołnierzami, dawał im wskazówki. Oczing zaczął się denerwować. Spodziewał się lada chwila usłyszeć świst kul, huk bomby.

David zastukał do drzwi skromnego domku. Otworzył uśmiechnięty mężczyzna niskiego wzrostu.

- Ręce do góry - powiedział David. Obmacał go i nie znajdując przy nim broni, wylegitymował. Israel Halperin. Dowód tożsamości wystawiony w języku angielskim i hebrajskim. Uchodźca z Polski.

- Zawód pana? - zapytał David.

Pan Halperin uśmiechnął się, rozłożył ręce i coś odpowiedział. David tego języka nie rozumiał.

- Musi pan pojechać do komendy policji - zdecydował.

W tym samym momencie ukazał się inny mężczyzna, tak jakby dotychczas podsłuchiwał za drzwiami.

Był wyższy od pana Halperina, brodaty, w długim czarnym płaszczu. Powiedział, że nazywa się Epstein i jest rabinem.

- Mój przyjaciel nie mówi po angielsku. Może ja mogę tłumaczyć?

David przyjrzał się rabinowi. Nie dopatrzył się podobieństwa do fotografii na plakacie. Oczing sprawdził, czy rabin nie ma broni.

- Kim on jest z zawodu? - zapytał David.

- To adwokat. Przygotowuje się do egzaminu, żeby móc praktykować tutaj w Palestynie - usłyszał odpowiedź.

Od stóp do głów spojrzeniem zmierzył pana Halperina, nieśmiałego, uśmiechniętego sympatycznie.

- Długo pan jest w Palestynie? - zapytał.

Pan Halperin odpowiedział, rabin przetłumaczył.

- Cztery lata.

- David! - wykrzyknął Oczing. I w języku suahili dodał: - Jakiś ruch tam przy drzwiach.

David gestem kazał sprawdzić. Oczing z pistoletem powoli wsunął się za te wewnętrzne drzwi, na co dwaj Żydzi patrzyli raczej nieprzejęci. Po chwili wyszła stamtąd kobieta z małym chłopczykiem na ręku. Oczing w nerwowym pogotowiu stał za nią, pistolet trzymał wycelowany.

- Kto to jest? - zapytał David.

Pan Halperin odpowiedział, rabin przetłumaczył: -To jego żona.

David wlepił wzrok w tę kobietę. Była mu znana. Spojrzał znów na pana Halperina, spojrzał w oczy pełne spokoju i pewności siebie. Czy możliwe, że ten skromny człowieczek to straszliwy Mena-chem Begin? Nagle ujrzał podobieństwo do fotografii na plakacie. Te brwi, te usta...

Z ulicy nieustannie dolatywały wrzaski i warkot ciężarówek. Kilku obywateli protestowało, obrzucało żołnierzy wyzwiskami.

David i pan Halperin patrzyli na siebie przez jakiś czas, po czym David powiedział:

- Pan pójdzie ze mną.

- Przyjacielu - zapytał rabin łagodnie - co pan Halperin zrobił? David zajrzał w głąb domu. Szukał oznak, że ktoś tam się czai,

dowodów działalności terrorystycznej, ale zobaczył tylko sterty książek.

- Trzeba, żeby policja go przesłuchała.

Pan Halperin coś powiedział. To brzmiało jak pytanie. Rabin Epstein przetłumaczył.

- Pan Halperin chce wiedzieć, skoro pan jest żołnierzem, o co pan walczy?

Trochę zaskoczony David wykrzyknął:

- Do ciężarówki, wy wszyscy! Kobieta i dziecko także!

Ale znów usłyszał niezmaczenie spokojny głos Halperina i znów rabin przetłumaczył.

- Jesteś Afrykaninem, przyjacielu, należysz do rasy uciskanej. Dlaczego walczysz o sprawę Anglików? Dlaczego walczysz o sprawę ludzi, którzy was ujarzmiają?

David się wahał, a ten człowieczek spokojnie, stanowczo mówił dalej:

- Czy ty wiesz, co się dzieje na świecie? Ja ci powiem. W moim mieście rodzinnym w Polsce nas Żydów było trzydzieści tysięcy. Teraz tam zostało tylko dziesięcioro. Tam była nasza ojczyzna, a przecież nas wypędzono. Co się dzieje w twojej ojczyźnie, młody Afrykaninie?

Bez drgnienia, przenikliwie i przekonywająco pan Halperin ciemnymi oczami patrzył w oczy Davidowi.

- Jeżeli wam nic nie obiecano - mówił za pośrednictwem rabina - to walczyście o nic. Skolonizowano was przed laty, bo nie mieliście żadnej broni, żadnego wykształcenia, żeby sprostać Anglikom. Ale teraz umiecie się z bronią obchodzić, macie wykształcenie. Na co czekacie?

David wpatrywał się w tego człowieczka ledwie sięgającego mu do ramienia. Pan Halperin był blady, łysawy, mówił niegłośno, ale z dziwną jakąś mocą, spod której on nie mógł się wyrwać.

- Są sprawy cenniejsze niż życie, mój uciśniony przyjacielu - mówił ten polski Żyd. - I są okropniejsze niż śmierć.

Jeżeli kocha się wolność, trzeba nienawidzić niewolę. Jeżeli kocha się swoich rodaków, nie można nie czuć nienawiści do tych, którzy ich uciskają. Pytam cię, jeśli kochasz swoją matkę, czy nie znienawidziłbyś

kogoś, kto by próbował ją zabić? Czy nie chciałbyś go pokonać nawet za cenę swojego życia?

Davidowi nasunęło się wspomnienie. Znów siedemnastoletni stał na pniu figowca i wykrzykiwał do naczelnika Johna Muczajne.

„Człowiek, który nie kocha swojego kraju, nie kocha swojej matki... A człowiek, który nie kocha swojej matki... nie potrafi kochać Boga!”

Usłyszał to wstrząśnięty. Czy nie za takie właśnie słowa aresztowano go i torturowano, a potem musiał żyć na wygnaniu w Ugandzie?

Jak mogłem o tym zapomnieć?

Nagle przejmująco sobie uświadomił, że jest w brytyjskim mundurze, ma przewieszony przez ramię brytyjski pistolet maszynowy i w ręce dowód tożsamości „pana Israela Halperina”.

- Wracaj! - szepnął ten łagodny Żyd. - Wracaj do swojej ojczyzny w spokoju, a nam daj tu robić to, co musimy!

- Szeregowiec, co tam macie? - doleciał głos z ulicy.

David odwrócił się. Dowódca stał w jeepie. Oczy miał ukryte za ciemnymi okularami, pod pachą trzcinkę.

Wypolerowane guziki jego munduru lśniły w blasku słońca. To był Geoffrey Donald, przyjaciel Trevertonów.

- Nic, panie kapitanie - odpowiedział David, raptownie zwracając panu Halperinowi dowód. - Tutaj wszystko w porządku.

Skinął na Oczinga i szybko wyszli z tego domu. Gdy drzwi się za nimi zamykały, usłyszał ciche:

- Szalom.



### *Rozdział 37*

Każdy w okręgu wiedział, że oranżeria jest nawiedzona.

Przy ogniskach wieczorem Kikuju głosami ściszonymi opowiadali o duchu, który tam mieszka. Dzieci w szkole mówiły, że tam straszy, kobiety na targu szeptały. Wkrótce przekazana z ust do ust informacja dotarła do wszystkich Afrykanów w okręgu i teraz nikt, nawet żaden złodziej, nie zapuszczał się w okolice oranżerii-tabu na polanie wśród eukaliptusów.

Ndżeri dobrze wykonała swoje zadanie.

W ten piękny grudniowy poranek Rose, wychodząc z domu, śpiewała. Jak co dzień rano od pewnego czasu czesała się i ubierała bardzo starannie. Próbowwała różnych perfum, dobierała właściwą biżuterię. Rozpaczliwie pragnęła podobać się Carlowi, sprawić, żeby się uśmiechnął. Ale właśnie to generał Carlo Nobili robił codziennie od trzech miesięcy - uśmiechał się do Rose.

W październiku znaleziono szczątki białego mężczyzny w puszczy niedaleko wioski Meru. Domyślono się, że to trzeci ze zbiegłych Włochów, jeńców wojennych, i że dopełnił się jego los w paszczach dzikich zwierząt. Szczątki wysłano do księżęcej posiadłości we Włoszech, poszukiwanie się skończyło, sprawa została zamknięta. Nikt - ani Grace czy sir James, ani Mona czy Tim Hopkins - nie wiedział o tajemniczym lokatorze w oranżerii i o tym, że Rose już od tygodni nie haftuje swojego gobelinu, tylko chodzi codziennie na polankę w zupełnie innym celu.

Przystanąła na skraju alei wjazdowej, ocieniając oczy w blasku słońca.

Mona prowadziła ciężarówkę, załadowaną workami kawowych jagód. Zdumiewająca dla Rose była ta jej mania na punkcie plantacji. Mona jest przywiązana do Bellatu i pięciu tysięcy akrów tak sa-

mo zaborczo jak Valentine, rzeczywiście córka na podobieństwo ojca. Ale co będzie, kiedy wojna wreszcie się skończy i Valentine wróci, żeby znów rządzić plantacją?

Rose zadrżała.

Valentine.

Oby nigdy nie wrócił.

W oranżerii generał ścinał nożem flance ostróżek. Dwa miesiące temu zasadził je w skrzynkach, to było jedno z jego pierwszych zadań, gdy nabrał sił. Rose zatrzymała się w drzwiach, patrzyła na niego. Stał w załamującym się blasku ze szklanego dachu, jak gdyby otulony w tę przydymioną świetlistą mgiełkę. Nic nie rysowało się ostro. Szafirowe i szaroniebieskie kwiecie rozmazywało się wokół niego, liście jasnozielone wtapiały się w szmaragdowe. On sam wydawał się przeobrażony. Rose pomyślała: jest jak mityczny posąg, taki wysoki, smukły, z ciemną głową pochyloną... jest jak jakiś oliwkowy bóg w ogrodzie na Olimpie.

Spojrzał na nią. Weszła bezszelestnie, a przecież wyczuł, że ona tam stoi.

- Rosa - powiedział cicho.

Podeszła, postawiła koszyk ze śniadaniem dla nich dwojga.

- Czy nie za wcześnie rozdzielać te sadzonki? - zapytała, stając przy nim i patrząc na skrzynkę.

- Nie w Kenii! To fantastyczny kraj, Rosa. Klimat taki łagodny, bez zimy, bez wiosny i jesieni. Nic nie zasypia, kwiaty kwitną przez cały okrągły rok! - Skierował swój promienny uśmiech na nią. - To raj ogrodnika!

Carlo Nobili, jak Rose stwierdziła, doskonale znał się na kwiatach. W swojej książęcej posiadłości w północnych Włoszech od lat hodował, eksperymentował, krzyżował, uzyskiwał nowe hybrydy, aż stworzył ogród budzący zawiść, jak się chwalił, nawet Watykanu. Gdy w czasie swej niepewnej rekonwalescencji na posłaniu, które Rose i Ndżeri zrobiły same ze słomy i koców, komentował doskonałość jej roślin, odkryli, że mają wspólne zainteresowanie. W ciągu tygodni rozwijania się ich czystej, delikatnej przyjaźni rozprawiali godzinami na ten temat, dzielili się doświadczeniami, uczyli się od siebie nawzajem, mówili o swoich sukcesach i niepowodzeniach. Generał nauczył Rose podcinać begonie, żeby przedłużyć ich kwitnienie; pokazał, jak pielęgnować rdzennie kenijskie, cudownie opalizujące niebieskie ostróżki, które Rose znalazła w puszczy i przesadziła na swoją polankę.

On patrzył na nią teraz, gdy rozproszony blask tworzył aureolę nad jej jasnymi włosami, tonował kolory jej sukni. Ta oranżeria ukryta w sercu dżungli wydawała się księciu d'Alessandro zaczarowana. Pod tym szklanym dachem jak w baśni żył owiany zapachem żyznej gleby i mocną wonią kwiatów pośród wielkich, wciąż przytakujących liści, odwiedzany codziennie przez tę piękną niepokalaną kobietę, która chyba zstąpiła wprost z obrazu Botticellego, którą wciąż jeszcze musiał dotykać, by uwierzyć, że to istota z krwi i kości.

- Spała pani dobrze, Rosa? - zapytał, przysuwając się do niej. Zachłysnęła się.

- Tak. A pan, *signor*?

- Pani mi tu wyczarowała pałac. - Wskazał swoją kryjówkę w kącie: siennik słomiany, kilim, leżak i umywalnię z dzbankiem i miednicą. - I musi mi pani mówić: Carlo.

Rose, zarumieniona, sięgnęła po koszyk.

Niewytłumaczalne było to, że tak się krępowała mówić mu po imieniu. Przecież gdy pielęgnowała go w chorobie, opatrywała jego rany, karmiła go jak dziecko, a potem pomagała mu stawiać pierwsze kroki, wytworzyła się między nimi zażyłość. Chyba, myślał księżę, po takich dniach ona mogłaby przejść ze mną na ty. A jednak, coś nie do wiary, nie mogła.

Widział, jak w czasie jego rekonwalescencji delikatna, ale stanowcza pielęgniarzka, która wzięła jego życie w swoje ręce i robiła dla niego wszystko, zmienia się w nieśmiałe, lękliwe stworzenie, gotowe, zdawałoby się, w każdej chwili uciec przed nim. Zupełnie tak, myślał, jak gdyby traciła siły, w miarę jak ja ich nabieram. Im on był silniejszy, tym ona stawała się słabsza. Teraz prawie lękała się spojrzeć mu w oczy.

Rozpakowała koszyk, rozpostarła świeży obrus, wyłożyła gorące bułki i masło, postawiła słoik miodu i czajnik z herbatą hrabiny Treverton. Przy śniadaniu Carlo spokojnie wspominał swój dom, posiadłość, w której mieszkał sam od śmierci żony w połogu przed pięciu laty. Rozmawiali o ogrodnictwie, malarstwie, muzyce i książkach, tylko nie o wojnie i o jego strasznych przejściach w obozie jenieckim. Nigdy nie poruszali tematów związanych z tym, co sprawiło, że znalazł się tutaj, ani z tym, co go tu trzymało teraz.

Codziennie Carlo widział w oczach Rose niewypowiedziane pytanie: „Dlaczego tu jeszcze jesteś?”. Jak gdyby pełne lęku, że on któregoś dnia zniknie. I codziennie o to samo pytał siebie, nie znajdu-

jąc odpowiedzi, tylko czując, że im dłużej pozostaje, tym bardziej musi pozostać.

Żył po to, żeby trwać w tym kradzionym zaczarowaniu, na tym baśniowym skrawku wydartym z koszmarnej tkaniny wojny, trwać tak, jakby przeszłość i przyszłość w ogóle nie istniały. Zbyt szybko -z tego zdawał sobie sprawę - będzie musiał jakoś trafić z powrotem do swojej armii i w hańbę klęski.

Poranek spędzili na użyźnianiu ziemi w doniczkach cennych storczyków Rose, podlewaniu ich i odwracaniu z blasku słońca w cień. Pracując, Carlo pytał:

- Dlaczego one są w takich małych doniczkach, Rosa? Ja bym wolał dla nich większe.

Po raz pierwszy zapytał ją o coś przed kilkoma tygodniami. A ona nie potrafiła odpowiedzieć. Bardzo już dawno wyszła z wprawy w odpowiadaniu - nawet afrykańscy służący nie przychodzili do niej po rozkazy - więc w pierwszej chwili zgłupiała. Ale z czasem, gdy przywykła do pytań Carla i stwierdziła, że on słucha tego, co ona mówi, zaczęła bez skrupowania udzielać mu wyjaśnień.

-To storczyki południowoafrykańskie... storczyki disa. Wolą małe doniczki, bo lubią się dopychać do boków.

Po południu umyli ręce, Ndzeri przyniosła podwieczorek, podała i wyszła. Jedząc tartinki, zauważyli, że się ściemnia. Po niebie przeciągały chmury.

Gdy pierwsze krople deszczu pluskały na szklanym dachu, Rose powiedziała:

- Muszę już iść.

Ale Carlo nagle ujął ją za rękę.

- Nie. Jeszcze nie. Raz wyjątkowo, Rosa, zostań ze mną. Serce jej zamarło. Patrzyła na tę ciemną dłoń, oplatającą jej nadgarstek - pierwsze prawdziwe dotknięcie. Podniecające, przerażające.

- Boisz się mnie, Rosa? - zapytał łagodnie. Wstał. Przysunął się do niej. - Zostań - szepnął. - Dziś zostań ze mną.

-Nie...

- Dlaczego? - Drugą ręką dotknął jej włosów. - Chcesz odejść, Rosa?

Przymknęła oczy. -Nie.

- Więc zostań.

W głowie jej się kręciło, on stał tak blisko. Odurzały ją zapachy setki kwiatów w tej cieplej wilgotnej oranżerii. Czowała na ręce

i na włosach jego palce. Chociaż przyjaźnili się platonicznie, myśl o generale Nobilim nie odstępowała jej na jawie i we śnie. W dzień odnosiła się do niego ze wstydliwą powagą dziewicy, w nocy fantazjowała...

Czując na ustach jego wargi, otworzyła oczy i cofnęła się. Ale on ją trzymał.

- Powiedz, że mnie nie kochasz, Rosa. Powiedz mi to.

- *Signor*, proszę mnie puścić.

- Na imię mam Carlo. Chcę, żebyś to powiedziała. - Zaciśnął palce na jej nadgarstku. - Kochasz mnie? Jeżeli nie kochasz, powiedz, i natychmiast cię puszcze.

Spojrzała w jego ciemne oczy i zatraciła się.

- Tak - szepnęła. - Naprawdę cię kocham.

Puścił jej rękę. Uśmiechnął się i tkliwie oburącz ujął jej twarz. Zmobilizowała się, ale prawie nie poczuła jego pocałunku.

- Powiedz, czego się boisz, najdroższa - wyszeptał. - Jesteśmy tu sami. Nikt nas nie widzi. Pozwól się kochać. Pragnę cię, odkąd po raz pierwszy tutaj otworzyłem oczy i zobaczyłem anioła.

- Nie...

- Dlaczego?

Znienawidzisz mnie, pomyślała. Doznasz rozczarowania i już nie będziesz mnie kochać. Tak jak Valentine...

Skloniła głowę.

- Dlatego, że... ja tego nie lubię.

- Więc muszę się postarać, żebyś polubiła. - Objął ją i poprowadził na posłanie. Zesztywniała, gotowa nie dać się położyć, ale ku jej zdumieniu, delikatnieją na posłaniu posadził.

Deszcz już ulewny bił w szklany dach. Carlo zapalił lampę huraganową i usiadł przy Rose. Objął ją ramieniem, przyciągnął do siebie i siedzieli tak, oparci o ścianę. Długo milczeli, wsłuchani w deszcz.

Rose była zdezorientowana. Po części pragnęła go, po części chciała odtrącić. Czuła prawie pożądanie, ale ograniczające się po prostu do dotknięcia, do pocałunku. Dalej wznosił się mur lęku.

Carlo zaczął głaskać ją po włosach. Pocałował w czoło. Szeptał włoskie słowa. Czuła ciepło jego ciała przez jedwabną koszulę, którą miał na sobie. Czuła jędrne mięśnie, ujarzmioną męską siłę. Carlo może, wiedziała, zmusić ją, tak jak kiedyś zmuszał ją Valentine. Gdyby to zrobił, ten urok prysłby raz na zawsze.

Ale w pieśczętach Carla nie było żadnych wymagań. Rose nie wyczuwała ani trochę natarczywości, jaką dręczył ją mąż. W zaci-

szu ciepłej oranżerii, otoczona dżunglą paproci, winorośli i kwiatów tropikalnych, gdy deszcz uderzał o dach coraz głośniejsze, ogarniała ją senność. Wtuliła się w objęcia Carla. Podciągnęła nogi pod siebie, oparła głowę na jego ramieniu. To już stawało się jak sen - jego cichy głos, dotknięcie, uspokajająca bliskość. Poczuli rękę zsuwającą się na jej udo.

- Nie - powiedziała.

- Proszę - szepnął. - Daj mi dbać o ciebie, najdroższa.

Rose usiłowała się odprężyć, usiłowała przyjąć go, ale czując tę rękę na swym udzie coraz wyżej i wyżej, wpadła w panikę.

- Rosa - powiedział. Czuję, jak ona sztywnieje. - Spójrz na mnie.

- Ja...

- Spójrz na mnie.

Odchylił jej głowę. Teraz patrzył jej w oczy z odległości paru cali. Trzymał jej wzrok na uwieży, podczas gdy jego ręka delikatnie dalej penetrowała.

- Rozsuń nogi - szepnął. - Tylko trochę. -Nie.

- Otwórz się przede mną, Rosa. Ręka się wsunęła.

Rose zachłysnęła się i zesztyniała.

- Psst - powiedział. - Nie walcz ze mną. Spokojnie, moja najdroższa.

- Co ty... - zaczęła. Zabrakło jej tchu.

- Nie odwracaj oczu, Rosa. Kocham cię. Mówię ci, że cię kocham.

Coś dziwnego z nią się działo. Była przerażona. Ręka Carla poruszała się wolno. Oczami przytrzymał jej wzrok. Mruknęła. - Och!

- Wyjdź do mnie, Rosa - powiedział - wyjdź do mnie. Trzymał ją w niewoli swoich oczu, znieruchomiła. Ale działo się coś.

- Zaraz - szepnęła - ja już... -Co? Co ty już?

Rytmiczna pieśń ręki nie ustawała.

- Tak - szepnęła Rose - och, tak.

Wtedy ją tknął. Wykrzyknęła. Wydawało się, że wiotczeje w jego ramionach.

Ujął jej podbródek, podniósł głowę i przycisnął usta do jej ust.

- Carlo! - wydyszała. - Och, Carlo!

- Powiedz mi, o czym marzysz, najdroższa. Powiedz, jakie masz marzenie.

W oczach jej wezbrały łzy.

Miała marzenie kiedyś, przed laty, gdy przyjechała do Kenii. Marzyła o tym, że stanie się prawdziwą kobietą. Myślała, że Afryka Wschodnia uczyni z niej osobę kompletną. A tymczasem górski afrykański wiatr porwał jej ducha.

Ale dzisiaj w objęciach Carla pod ulewnym deszczem Rose znowu zaczęła marzyć.

Nagle zerwała się i podeszła do drzwi.

- Ndžeri! - zawołała w strugi ulewy. Dziewczyna siedziała w altance i czekała na swoją panią.

- Ndžeri, wracaj do domu. Ja tu zostanę. Jeżeli ktoś będzie telefonował, czy przyjedzie z wizytą, powiedz, że leżę z bólem głowy i muszę mieć spokój. Rozumiesz?

Ndžeri niepewnie patrzyła na panią stojącą w drzwiach. Dopiero po chwili powiedziała:

- Tak, *memseeb*.

Zamykając drzwi za sobą, Rose odwróciła się do Carla. Wpatrywał się w nią z wielką czułością.

- Teraz, najdroższa - powiedział - czy chcesz pomarzyć ze mną?

- Chcę.

- I już nie będziesz się bała?

- Nie - odpowiedziała. - Już nie będę się bała.

Zastała go na polance. Stał i patrzył w górę na księżyc i gwiazdy. Włosy miał potargane lekkim wiatrem, twarz poważną, pełną skupienia. Jest taki wysoki i tak pięknie, pomyślała, wygląda bez koszuli, kiedy te jego umięśnione ręce i tors opalizują w poświacie. Wydaje się, że to wspaniały Adam, dopiero stworzony w raju, nowy, czarowny i samotny.

Ale gdy podeszła bliżej, zobaczyła blizny na jego plecach i serce ją zabolowało. Nieraz nocą w ciągu tych dwóch miesięcy ich miłości Carlo krzyczał przez sen. Ona go uspokajała, on płakał, i w końcu jej opowiedział o obozie jenieckim, o pastwieniu się nad jego żołnierzami. Poczucie winy ciężkim brzemieniem leżało na duszy generała Carla Nobilego. Był to człowiek do głębi udręczony. Uważał, że swoich żołnierzy opuścił, a powinien dzielić z nimi straszny los pokonanych.

Podeszła, dotknęła jego ręki.

- Wojna się kończy - powiedziała na wiatr.

- Wiem.

Odwrócił się i spojrzał na nią.

- Nadszedł koniec naszych czasów tutaj. Nie możemy już tego ciągnąć.

Przytaknęła.

- Zostaniesz z nim? - zapytał Carlo.

Tego tematu starannie unikali przez ubiegłe osiem tygodni. Ale pytanie Carla nie było niespodziewane. Rose wiedziała, że któregoś dnia padnie.

- Nie - odrzekła. - Nie zostanę z Valentine'em. Nie będę z nim żyć. Nie chcę być tutaj, kiedy on wróci.

- A twoja córka? Twój dom?

- Monie nie jestem potrzebna. Bellatu nigdy nie był moim domem. Mój dom to ty, Carlo.

- Więc wyjedziesz ze mną? - Tak.

- Dokądkolwiek zechcę? Dokądkolwiek pojedę?

- Tak.

- Nie wiem, co zrobię, gdzie wyląduję. Moja rodzina myśli, że nie żyję. Nie wiem, co we Włoszech mnie czeka.

Może nie wrócę do domu i zacznę gdzieś od początku w nowym miejscu. Rose, czy ciebie nie przeraża to, że jestem bezdomny?

- Ja się nie boję, Carlo.

Zagarnął ją w objęcia, wtulił twarz w jej bladozłote włosy.

- Co ja w życiu zrobiłem takiego, że zasłużyłem na ciebie, najdroższa? Kiedy myślę o latach smutku po śmierci żony... o tych długich latach samotności w gnieździe moich przodków. Byłem pewny, że już nigdy nie pokocham, na pół martwy, Rosa, zanim ciebie spotkałem. - Pocałował ją bardzo delikatnie. - Nie mogę ci dać nic więcej, najdroższa. Tylko to, moją wieczystą miłość i oddanie.

- O nic więcej nie proszę. Tylko tego zawsze pragnęłam. Wszystko tutaj zostawię za sobą. Natychmiast, jeżeli chcesz.

Przytaknął.

- Więc od razu wyruszymy.

W tej samej chwili Valentine stał na peronie dworca w Nairobi i znów się zastanawiał, czy zatelefonować do domu, powiedzieć Rose o niespodziewanym urlopie, czy też sprawić jej swoim przyjazdem niespodziankę.



Chciał przyjechać efektownie, zrobić z tego wspaniałe widowisko z rodzaju tych w dawnych czasach, gdy wszyscy w kolonii mówili, że Valentine Treverton jest mistrzem w zadziwianiu ludzi okazałością.

Czekało go sześć błogich tygodni we własnym domu, własnym łóżku i przy należycie zastawionym stole. Po trzech latach walk z Włochami na zapomnianej przez Boga pustyni Valentine myślał tylko o tym, żeby znów wejść w progi Bellatu.

Nawet wyczekiwał spotkania z Rose. Miał nadzieję, że cztery lata samotności zmieniły ją i będzie odbierała go lepiej.

Więc przywołując bagażowego, odwrócił się od budynku, w którym były telefony, wyszedł z dworca i zaczął szukać taksówki. Zdecydował się zawitać do domu niespodziewanie.

### Rozdział 38

Ondżiru wytańczyła się w deszczu. Teraz leżała na swoim nowym posłaniu z kozich skór, naga, mokra, błyszcząca, gotowa przyjąć Davida.

Długo czekała na tę noc. Gdy David pięć lat temu w końcu wrócił do Kenii z wygnania w Ugandzie, nie mieli sposobności, żeby cieszyć się sobą. David zaciągnął się do wojska i prawie zaraz wyjechał do tej strasznej Palestyny, gdzie omal nie dopadła go śmierć.

To dlatego David był teraz w domu, chociaż wojna się nie skończyła. Ranny po wybuchu miny, na którą najechał jeepem, przebywał dwanaście tygodni w szpitalu w Jerozolimie, a potem jeszcze cztery w Nairobi. Aż wreszcie wrócił do domu i był jej.

Odbyły się dwie ceremonie ślubne, ślub cywilny, wymagany przez władze brytyjskie, i uroczystość Kikuju, zgodnie z wymogami plemienia. Właśnie tę drugą celebrowali w dżdżystą noc kwietniową. Cała rodzina przysłała z wioski za rzeką, żeby uczestniczyć w szczęściu Ondżiru. David zapłacił jej matce trzydzieści kóz - nielicha cena! Razem z przyjaciółmi zbudował krągłą ścianę nowej lepianki, po czym, w myśl odwiecznego obyczaju, Ondżiru i kobiety z rodziny od świtu do południa nakładały strzechę. Dwa tygodnie temu matka Davida dokonała na Ondżiru obrzędowego cięcia, umożliwiającego stosunki seksualne, czyli usunęła to, co zrobiła przed pięciu laty poddając ją *ajrue*. Ta rana już się zagoiła, Ondżiru leżała gotowa dla swojego męża.

\* \* \*

Davidowi wydawało się, że wesele będzie się ciągnąć przez całą noc.

Siedział zasepiony. Chciałby bawić się tak jak jego krewniacy, tańczyć, popijać piwo z trzciny cukrowej, pienne w przekazywanych z rąk do rąk tykwach. Ale oni, nieoświeceni prostaczkowie, mogli się radować, podczas gdy David, za bardzo wykształcony, za bardzo otrząskany w świecie, trwał w ponurym cieniu rzeczywistości.

Za rany odniesione w służbie Jego Królewskiej Mości Brytyjczycy dali Davidowi medal i honorowe wcześniejsze zwolnienie z wojska, nic poza tym. Wrócił do ojczyzny, ale nie było dla niego zatrudnienia, nie było w Kenii miejsca, jak ujął to ktoś, dla „wykształconego czarnucha”. Choć w szkołach „tubylczych” pracowali afrykańscy nauczyciele i w niektórych urzędach afrykańscy urzędnicy i chociaż rosła liczba Afrykanów w przedsiębiorstwach prywatnych, jakoś nikomu nie wydawał się potrzebny inteligentny dwudziestosiemioletni młody człowiek z dyplomem ukończenia studiów rolniczych i błyskiem ambicji w oku.

Tykwa dostała się do jego rąk, napił się piwa.

Wiedział, że Ondžiru poszła do nowej chaty, którą z przyjaciółmi wznosił dla niej nieopodal chaty matki. Ale nie mógłby teraz spojrzeć w oczy swojej oblubienicy - jeszcze nie. Za dużo w nim gniewu, za dużo rozgoryczenia, żeby pójść do niej z miłością. Więc wychylił tykwę do dna i sięgnął po następną. Zza ogniska, wokół którego młodzi tańczyli, patrzyła na to jego matka.

David przypuszczał, że matka ma pięćdziesiąt pięć lat. Gdyby przestała golić głowę, włosy by jej odrosły na pewno siwe. Ale twarz miała nadal gładką i piękną, długą szyję zdobiły naszyjniki z paciorków, jeden na drugim. I nadal nosiła staroświecką suknię z miękkich skór i z jej uszu sterczały wielkie pętle paciorków.

Oczera była dla swoich ziomków symbolem znikających obyczajów, znikającej Afryki. David niejako widział w matce uświęconą ikonę, obraz dumnego ładu, usuwanego z tej ziemi. Patrzył na nią i serce mu się ścisnęło. Te wszystkie lata samotności! Bez męża, bez żadnych dzieci oprócz niego, mieszkała w chacie raz po raz zwalanej i za każdym razem przez nią odbudowywanej, dopóki wreszcie biały nie zostawił jej w spokoju. Teraz Oczera, matka Davida Madengeja, jest legendą w całej Kenii, bo tak się przeciwstawia Europejczykom.

David po przyjeździe godzinami opowiadał matce o sobie, a ona słuchała, milcząc. Opowiadał, jak w Ugandzie, zdany wyłącznie na własne siły, borykał się, żeby uzyskać dyplom jako najlepszy ze swoich kolegów studentów. Opowiadał o trudnych, pełnych tęsknoty latach w Palestynie, gdy jedyną dla niego pociechą była myśl

o powrocie do Kenii. I mówił o tym, że teraz, gdy rzeczywiście wrócił, nie czuje się mężczyzną, odkąd odkrył, że ostatecznie jest tylko obywatelem drugiej kategorii.

- Wysławiają nas w gazetach - powiedział kiedyś matce przy ogniu kuchennym w jej chacie. -1 w radiu. Rząd chwali swoje „kolorowe” wojsko. Parlament wznosi okrzyki na cześć bohaterskich „krajowców”. Zaszczepiają w nas dumę i poczucie własnej godności, uczą nas czytać i pisać, jednoczyć się w walce o sprawę... Luo i Kikuju ramię przy ramieniu. Ale kiedy wracamy do Kenii, mówią nam, że nie ma dla nas miejsca, nie ma pracy i że powinniśmy wrócić do naszych chat w tubylczych rezerwatach!

I kiedyś wykrzyknął:

- Matko! Wszystkie kolonie Imperium Brytyjskiego uzyskują niepodległość. Pytam cię: dlaczego nie Kenia? David wiedział, że nie jest sam ze swoim wołaniem. Chociaż wybuch wojny raptownie zahamował pączkowanie świadomości politycznej Afrykanów, ruch, w którym on uczestniczył w roku 1937, rozpałał się na nowo. Nawet teraz, wychylając jeszcze jedną tykwę piwa, David wiedział, że w Nairobi ma się odbyć potajemne zebranie, posiedzenie Unii Kenijskich Afrykanów, i pewni kluczowi przywódcy - młodzi, wykształceni, energiczni - wytyczają dla Kenii drogę do niepodległości. Krążyły też pogłoski, że zamierza wrócić do kraju przez siedemnaście lat nieobecny słynny „agitator” Jomo Kenyatta. Z takimi siłami w ruchu po powrocie siedemdziesięciu tysięcy żołnierzy Afrykanów, gdy wojna się skończy, oblicze Kenii miało się zmienić na zawsze. O tym David nie wątpił. I to znaczyło, że zostanie mu zwrócona jego ziemia.

Stanął na niepewnych nogach i odwrócił się, kierując wzrok ku wzniesieniu nad rzeką. Ponad wierzchołkami drzew zobaczył światło Bellatu, potwornego kamiennego domu, który w krwawym pocie zbudowali Kikuju. Pomyślał o białych lokatorach tego domu -o Trevertonach. Już niedługo...

Matka podeszła do niego.

- Idź do żony, Davidzie Kabiru - powiedziała. - Ona czeka.

Wszedł do chaty i zatrzymał się u wejścia. Było mgliście od dymu tłącego się ognia, ciepło, duszno w tej lepiance z mułu. I jeszcze się go trzymały zapachy deszczu i piwa. Gdy zobaczył Ondżiru na posłaniu, Anysłową i nagą, coś zacisnęło mu gardło.

Poczuł się oszustem.

Kobieta ma prawo być żoną mężczyzny. W myśl ustaleń Kikuju, jeśli mąż nie zaspokaja żony seksualnie, jeśli nie daje jej dzieci, je-

śli nie spisuje się jak na mężczyznę przystało, ma ona prawo odtrącić go i wrócić do swojej rodziny. David rozpaczliwie chciał okazać, jak bardzo kocha i pożąda Ondżiru, wziąć ją, jak powinien wojownik, żeby zaznała rozkoszy. Ale czuł się niezdolny. Czuł się impotentem.

Ondżiru podniosła rękę. Podszedł do niej. Osuwając się, wtulił twarz między jej duże piersi i spróbował powiedzieć, co mu leży na sercu. Ale za dużo wypił piwa. Język odmówił mu posłuszeństwa. Tak samo jak wszystkie inne części ciała.

Ondżiru z początku nie traciła cierpliwości. Była dyplomowaną pielęgniarką, wiedziała więc o mężczyznach więcej, niż na ogół wiedzą świeżo poślubione żony. Pieściła go i koła. Szeptala czułe słówka Kikuju. Poruszała się kusząco. Ale gdy na jej wysiłki nie reagował, nadal sflaczały pod jej dłonią, zakłapała swoim dawnym gniewem.

Osiem lat temu musiała mocno go szturchnąć, żeby był mężczyzną, zamiast stać na pniaku i sypać przysłowiami. Teraz będzie musiała szturchnąć go znowu - w noc poślubną.

Usiadła.

- Davidzie, co ci jest?

Spojrzał na nią, zdruzgotany. Zmogło go piwo, upokorzenie, uczucie, że męskość została z niego wykrajana.

- *Tseha* spadła nie na nich! - wykrzyknął i machnął ręką w stronę Bellatu. - Spadła na mnie!

Ondżiru się zgorszyła. I widząc łzy w jego oczach, słysząc w jego głosie nutę litości nad sobą, poczuła odrazę.

Niczym nie gardziła bardziej niż mężczyzną zachowującym się jak kobieta.

- Zostaw mnie - powiedziała - i wróć na moje posłanie, kiedy będziesz mężczyzną.

David, potykając się, wyszedł z chaty. Popatrzył na krewnych świętujących wokół ogniska, po czym odwrócił się od nich i zniknął w mrokach nocy.

- Słowo daję - powiedział Tim Hopkins, gdy sir James przyłączył się do niego na tarasie - chyba coś się dzieje tam w chacie tej starej znachorki. Co to może być?

James patrzył na ciemne niebo, zastanawiając się czy zdążyłby wrócić do Kilima Simba przed deszczem. Nie uśmiechała mu się jazda w czasie burzy. Zdecydował, że lepiej przyjąć zaproszenie Valentine'a na całą tę noc.

- Val mówi, że syn Oczery się ożenił - odpowiedział Timowi. - Zbudowali nową chatę dla żony.
  - Teraz są trzy chaty tam przy końcu boiska.
  - Tak, i Val się wścieka. Oświadczył, że wszystkie zburzy jutro rano, chatę starej tym razem także.
- To dobrze, pomyślał Tim. Oby ten drań to zrobił. Kikuju tego nie zniosą, będą chcieli się zemścić. Może tym razem rzuca lorda Trevertona swoim kozom na pożarcie!
- W balkonowych drzwiach stanęła Grace. Zawahała się, patrząc, jak młody Tim spokojnie rozmawia z Jamesem w ten mglisty wieczór. Grace nosiła teraz okulary, ale ponieważ na prawe oko nie widziała, jedna soczewka była ze zwykłego szkła.
- James. - W końcu do nich podeszła. Zauważył, że jest zdenerwowana.
  - Co się stało, Grace?
  - Rose właśnie mi powiedziała coś nadzwyczajnego. - Popatrzyła za drzwi w głąb jadalni, gdzie służący nakrywali stół do kolacji. - Jeszcze jestem wstrząśnięta. Wezwała mnie przed chwilą do swojego pokoju i opowiedziała historię wprost fantastyczną. Teraz Mona jest u niej i pewnie słyszy to samo. James, Rose zamierza odejść.
  - Jak to odejść?
  - Wyjeżdża. Z Kenii. Odchodzi od Valentine'a.
  - Co?! - wykrzyknął James tak głośno, że Grace musiała go uciszyć.
  - Valentine jeszcze nie wie. Rose chce mu powiedzieć przy kolacji.
  - To niedorzeczność. Może jest pijana?
  - Jest zupełnie trzeźwa, James. Rozumiesz... inny mężczyzna. James i Tim wybałuszyli oczy.
  - Rose ma kochankę - szepnęła Grace.
  - Bzdura - powiedział James. - Opowiadała ci niestworzone rzeczy.
  - Nie sądzę. Jeżeli sobie przypominasz, mówiłam ci niedawno, że moja bratowa w ciągu ostatnich miesięcy dziwnie się zmieniła. Nagle nabrała życia, pewności siebie. Zaczęła rządzić służbą. Rzeczywiście wyrzuciła dwie pokojówki. I nawet mnie się sprzeciwiła w jednym przypadku, powiedziała, żebym pilnowała swojego nosa. Rozmawiałam wtedy o tym z Moną i przypuszczałam, że skoro Rose ma czterdzieści sześć lat, to mogą to być objawy tego okresu życia. Ale teraz mi powiedziała, że od paru miesięcy ma kochankę i że oboje uciekną jutro rano.

James zmarszczył brwi.

- Nie wierzę. Gdyby Rose przez ten cały czas miała kochanka, chyba krążyłyby plotki. Wiesz, jaką plotkarską prowincjonalną miejscina jest Kenia!

- Najwidoczniej potrafili utrzymać to w sekrecie. Tego mężczyzny nikt z nas nie zna. Rose go ukrywała.

- O czym ty mówisz, na Boga?

- Rose powiedziała, że to jeden z tych Włochów zbiegłych z niewoli, tych, których ty i Tim szukaliście we wrześniu.

- Ależ to było siedem miesięcy temu! Przecież gdyby któryś z nich dotarł aż do Nyeri i starał się ukrywać gdzieś w okolicy, my byśmy go znaleźli.

- Nie tam, gdzie Rose go trzymała.

- Gdzie?

- Na swojej eukaliptusowej polance. W oranżerii. James i Tim spojrzeli na siebie.

- Trzymała go tam? - zapytał Tim.

- Był pokaleczony, chory, powiedziała. Pielęgnowała go i przywróciła do zdrowia. Potem spotykali się potajemnie. James potrząsnął głową.

- To śmieszne. To zupełnie nie w stylu Rose. - Myślał przez chwilę, po czym dodał: - I pewnie tam on jest teraz, ten Carlo?

- W oranżerii. Czeka na nią, tak powiedziała. Wyruszą o świcie.

James popatrzył na Grace, odwrócił się i zaczął spacerować po lśniących płytach tarasu. Deszcz już znowu padał.

- Grace, czy ty jej wierzysz?

- Z początku nie wierzyłam. Ale ona jest taka spokojna, tak niewiarygodnie zrównoważona. I te szczegóły. No, owszem, rzeczywiście jej wierzę.

- Czy nie powinniśmy postarać się ją powstrzymać?

- Nie widzę możliwości. Powzięła niezłomną decyzję. I w dodatku, czy my mamy prawo się wtrącać?

Valentine wpadnie w furję. Grace obciągnęła na sobie sweter.

- Wiem - powiedziała i z deszczu wbiegła z powrotem do domu. W domu, gdzie aromat pieczonego jagnięcia łączył się z dymną

wonią buzującego ognia, Valentine chwiejnie odszedł od otwartego okna, przez które słyszał każde słowo tej rozmowy. Zapatrzony gdzieś przed siebie, oparł się o ścianę.

\* \* \*

Mona prawie nie tknęła kolacji i dziwiła się, że matka, mająca takie plany na dzień jutrzejszy, może jeść. A przecież Rose kroїła swoją pieczeń, dobrała drugą porcję słodkich kartofli, uśmiechnęta, urocza, zajęta towarzyską pogawędką z Timem Hopkinsem. Grace i sir James jedli w milczeniu, często nad stołem spoglądając na siebie, podczas gdy Valentine mówił. - Powiem ci, co się dobrze zapowiada. - Znów napełnił Jamesowi kieliszek winem. - Orzechy ziemne. Oczyszczę trzy tysiące akrów i zasadzę orzechy ziemne.

Mona spojrzała na ojca.

- Nie będą rosły.
- Dlaczego?
- Nie dla orzechów ziemnych ta wysokość.
- Skąd ty o tym wiesz?
- Próbowałam z nimi dwa lata temu i zmarniały.
- Więc zrobiłaś coś nie tak, jak trzeba.

Ojciec od razu podjął swoją rozmowę z sir Jamesem, Mona poczuła, że się czerwieni. Rozwścieczało ją takie zbywanie wszystkiego, cokolwiek miała do powiedzenia. Gdy ojciec wrócił z północy, spodziewała się strasznej awantury i była na to przygotowana. A tymczasem ku jej wielkiemu zdumieniu i rozczarowaniu przejechał się po całej plantacji, zobaczył, co zrobiła, i powiedział niejasno:

- Miałaś szczęście. Ale oczywiście to wszystko będzie musiało zniknąć.

Bez gniewu, bez wrzasków. Tylko proste upokarzające zlekceważenie jej trudów i osiągnięć. To gorsze, uznała Mona, niż oczekiwana tyrada.

- Odtąd będziesz się trzymała z daleka od moich spraw - powiedział ojciec później. - Sam dopilnuję wszystkiego na tej plantacji.

Mona wtedy zapytała:

- A co ja mam robić? Valentine odpowiedział.
- Zostaw to, dziewczyno. Masz dwadzieścia siedem lat! Wyjdź za mąż!

Od tamtej pory minął tydzień, ale Mona jeszcze kipiała na myśl o tym. Wyjdź za mąż - powiedział, co znaczyło: nie zwracaj mi głowy, bądź ciężarem dla kogoś innego. Ojciec nawet mylił się co do jej wieku.

Mona pomyślała o matce. Wstrząsem była ta wiadomość o romansie i planowaniu ucieczki. W pierwszej chwili się zdenerwowała, potem zaniepokoiła się o stan umysłu Rose. Ale szybko zaczęła matce zazdro-



ścić nowego życia, wkroczenia w nieznaną świat namiętnej miłości i całkowitego poświęcenia się jednemu jedyemu mężczyźnie. Przypomniała sobie wyraz twarzy Rose mówiącej o swoim ukochanym.

- Tak - powiedziała matce ostatecznie - zrób to, mamó. Pójdź za tym, kogo kochasz. Odejdź od ojca. Gdybym to ja tak mogła!

Skubiąc widelcem jedzenie na talerzu i słuchając wywodów ojca o jego plantacji, Mona pomyślała o Geoffreyu Donaldzie, który miał wkrótce wrócić z Palestyny. Małżeństwo z nim mieściłoby się doskonale w jej planach. Geoffrey już nie chciał pracować na ranchu w Kilima Simba, zamierzał założyć przedsiębiorstwo turystyczne. I mógłby, zdecydowała, zrobić to równie dobrze, mieszkając w Bellatu. Zamiast wyprowadzić się po ślubie, czego ojciec niewątpliwie oczekiwał, postanowiła wprowadzić swego męża tutaj, do ojcowskiego domu. Za nic by nie zrezygnowała z posiadania plantacji. Ani na rzecz ojca, ani na rzecz kogokolwiek innego.

- Czy wiesz, James - powiedział Valentine, znów nalewając sobie wina - że mówi się o nowym planie osadnictwa wojskowego? To jeden z planów ożywienia gospodarki po wojnie. Niskie ceny ziemi przyciągną więcej białych osadników.

- Słyszałem takie pogłoski. Wydaje mi się, że już teraz ziemi nie wystarcza.

- Jest projekt, żeby objąć osadnictwem tubylcze rezerwy. Wszyscy Kikuju w tym okręgu będą musieli wrócić na tereny, które rząd pierwotnie im zostawił.

- Nie będą do tego tacy skorzy, jak byli za dawnych czasów. - James wymienił spojrzenie z Grace. Napięcie przy stole wydawało się namacalne. Valentine pił za dużo, jego miły nastrój był chyba sztuczny.

W połowie dalszych wiadomości, jakimi Valentine dzielił się z Jamesem, Rose odsunęła się z krzesłem i wstała.

- Dobrej nocy wam wszystkim. Ale zanim pójdę na górę, coś chcę powiedzieć.

Goście wyczekująco, niespokojnie odwrócili się do niej. Człowiek przy drugim końcu stołu, jak wiedzieli, miał w sobie porywczą niszczyielską siłę.

Rose wyglądała pięknie. Na tę okazję włożyła jedną ze swoich najlepszych sukien wieczorowych, czarną, długą, dopasowaną, z dużym dekoltem, i naszyjnik ze sztucznych brylantów. We włosy, spiętrzone na czubku głowy, wpięła storczyk.

- Valentine - zaczęła. - Muszę ci coś powiedzieć. Wszyscy czekali.

- Opuszczam cię, Valentine. Odjeżdżam jutro rano i nigdy nie wrócę. Przerwała. Tych czworo przy stole chciało spojrzeć na niego, ale nie śmiało się poruszyć.

Pogodna i opanowana po chwili mówiła dalej:

- Znalazłam sobie kogoś, kto kocha mnie po prostu jako mnie, Valentine, a nie ze względu na to, co może mieć ze mnie. Ten mężczyzna mnie pieści, słucha mnie, traktuje jak równą sobie. Moje życie z tobą się skończyło. Zacznę na nowo, daleko od Kenii. I nie wysuwam żadnych roszczeń do twoich pieniędzy czy do Bellatu. I zwracam ci twój tytuł. Nigdy nie byłam należytą hrabiną.

Umilkła. Przez całą długość stołu patrzyła na niego; ci, którzy siedzieli najbliżej, widzieli, jak serce jej się tłucze w piersi.

- Nie, Rose - powiedział Valentine z westchnieniem. - Nigdzie nie wyjedziesz.

Grace spojrzała na brata. Zobaczyła ogień w jego oczach, tętnienie skroni.

- Tak, Valentine. Opuszczam cię i nikt mnie nie zatrzyma.

- Ja ci nie pozwolę.

- Już nie możesz mnie zastraszyć. Już się ciebie nie boję. Carlo mnie tego nauczył. I nauczył mnie kochać. Zawsze myślałam, że jestem niezdolna do miłości, bo ty to we mnie zabiłeś przed laty. Mogłam kochać cię, Valentine, w taki sposób, w jaki chciałeś, ale swoją niecierpliwością i lekceważeniem moich uczuć tylko mnie oddalałeś od siebie. Oddaliłeś mnie nawet od mojej córki, którą mogłam kochać, gdybyś tylko zrobił jeden choćby gest, kiedy tu z nią przyjechałam. Gdybyś zaakceptował moje dziecko, powiedział choćby jedno serdeczne słowo uznania, otworzyłabym w sobie miłość do niej. Ale nie, tyś mnie obarczył poczuciem winy, czułam się winna, że ją urodziłam. Więc karałam za to siebie i ją. - Przerwała.

- A twój syn, Arthur... - podjęła po chwili. - W całym swoim krótkim życiu pragnął tylko, żebyś był z niego zadowolony... ale jego także oddaliłeś. Zabili go, bo starał się być odważny, przynieść ci chlubę. Odnalazłam miłość i nie zaprzepaszczę tej szansy. Valentine, to naprawdę nie znaczy, że cię nienawidzę. Ja po prostu ciebie nie kocham. I już nie chcę z tobą żyć.

Popatrzyła na nich wszystkich.

- Zegnajcie - powiedziała i wyszła z jadalni.

Pięcioro ich przy stole siedziało bez ruchu, słuchając, jak szemrze deszcz. Grace czekała na wybuch Valentine'a, sprężyła się do zareagowania na jego furie.

Ale Valentine tylko powiedział:

- Jest późno. I deszcz pada, więc wszyscy tu zostaniecie na noc. Nie ma sensu zmoknąć!

Patrzyli, jak on wstaje od stołu i podchodzi do barku. Kolejno powoli wstali także. Mona i Tim wyszli pierwsi, Grace szepnęła Jamesowi, że idzie do Rose.

Gdy we dwóch zostali sami, James próbował coś powiedzieć.

Ale Valentine uśmiechnął się do niego dzielnie.

- Ona nie odejdzie, wiesz. Rzeczywiście nie zamierza. Rose nie ma w sobie tego, czego taki zryw wymaga.

- Ja myślę, że zamierza, Val.

Wypił whisky do dna i ponownie napełnił szklanę.

- No, może jej się teraz wydaje, że to robi, ale przekonasz się, James. Jutro rano Rose nadal będzie tutaj.

Gwarantuję.

James podszedł do niego.

- Valentine - zapytał - czy nie mógłbyś jej pozwolić? Valentine roześmiał się cicho, bez zaciętrzewienia.

- Ty nie rozumiesz, James. - Położył ciężką rękę na ramieniu przyjaciela. - Zbudowałem ten dom dla niej. To wszystko... dla mojej ślicznej Rose. Chyba nie myślisz, że ona to zostawi, prawda? Idź teraz spać. Jutro moje drzewa kawowe zakwitną białą. Masz pojęcie! Tysiące akrów białego kwiecia! - Uśmiechnął się. - Śpij dobrze, James. I nie martw się o Rose i o mnie.

\* \* \*

Grace raptownie się obudziła.

Zamrugła w ciemnościach. Spróbowała się zorientować, co ją wyrwało ze snu.

I zdała sobie sprawę, że warkot samochodu.

Wyteżając wzrok, popatrzyła na tarczę zegara na szafce nocnej. Albo pięć po czwartej, albo dwadzieścia po pierwszej - nie wiedziała. Czy może śnił się jej samochód? Czy ktoś rzeczywiście wyjechał z Bellatu w środku nocy? Może Tim troszczy się o swoją siostrę, która tej nocy jest na ich farmie sama.

Popatrzyła na sąsiednią poduszkę, na głowę śpiącego Jamesa. Jego ten warkot nie obudził.

Nasłuchując w ciszy wielkiego domu, pomyślała: deszcz już nie pada.

Gdy znów osuwała się w sen, doznała wrażenia, że podłoga w hallu skrzypi, jak gdyby ktoś tam skradał się na palcach.

### Rozdział 39

Nad ranem 16 kwietnia 1945 roku europejska położna z misji Grace Treverton pustą szosą wracała swoim samochodem z miasteczka Kiganjo, gdzie przez całą noc odbierała trudny poród. W mroku przed sobą zobaczyła samochód przy prawym poboczu, zaparkowany z silnikiem pracującym, z tylnymi światłami rzucającymi czerwone smugi na błoto. Gdy zwalniając podjechała bliżej, zobaczyła, że w samochodzie ktoś siedzi z prawej strony na siedzeniu kierowcy. Zatrzymała się przy tym samochodzie. Ów człowiek spał. Poznała, że to hrabia Treverton, zawołała, czy nie potrzebna mu pomoc. Nie zbudził się, więc wysiadła i zajrzała przez szybę z lewej strony. Hrabia oparty o drzwiczki miał dziurę w lewej skroni, pistolet w ręce.

Natychmiast pojechała do Nyeri na posterunek policji, zaalarmowała policjanta Kamau, który wtedy zbudził kaprała dyżurnego. Z dwoma *askari* ci dwaj pojechali za *memseeb* na szosę do Kiganjo i w odległości mili od zakrętu z głównej szosy biegnącej do Nyeri znaleźli samochód lorda Trevertona.

W słabym świetle brzasku policjanci zaczęli krążyć wokół samochodu, kłócąc się, co powinni zrobić. Położna tymczasem zauważyła w błocie świeży ślad opon rowerowych, który prowadził do lewego boku samochodu i wyraźnie zawracał w stronę Nyeri. Ale kapral nie od razu zdecydował się działać, wrócił na posterunek i zatelefonował do inspektora Mitchella w Nyeri, więc gdy inspektor przyjechał na miejsce, co też zabrało trochę czasu, ślady roweru były już całkowicie zdeptane.

Obowiązek zawiadomienia rodziny o czymś takim jest bardzo przykry. I jaką sensację to wywoła! No, hrabia nawet w mundurze!

Na pewno zmogła go depresja po przeżyciach wojennych, rozmyślał inspektor, wjeżdżając krętą aleją do Bellatu. Niejeden z nich po powrocie z wojny popełnia samobójstwo.

Była godzina dziewiąta rano, gdy inspektor Mitchell z Nyeri zakolała do frontowych drzwi Bellatu i powiedział afrykańskiemu lokajowi, że chce się zobaczyć z lady Rose.

Do saloniku weszła doktor Grace Treverton.

- Moja bratowa - powiedziała - jest nieobecna, panie inspektorze. Wyjechała dziś wczesnym rankiem. Może ja mogę panu pomóc.

- No, pani doktor... - Inspektor obracał w rękach kapelusz. Tego zadania, wchodzącego w zakres jego pracy, nie cierpiał. - Lord, pan hrabia...

- O ile wiem, mój brat jeszcze nie zszedł na śniadanie. Więc na razie jesteśmy tylko my, sir James Donald i ja. Inspektor skinął głową na znak, że to wystarczy. Sir Jamesa znał dobrze.

- No, pani doktor, ponieważ pani jest siostrą hrabiego, mogę pani to powiedzieć i poprosić o zawiadomienie lady Rose, kiedy wróci.

- Co mi powiedzieć, panie inspektorze?

W domu panowała złowieszcza cisza. Gdzieś tykał zegar, łby zwierząt ze wspaniałymi porożami gapiły się ze ścian. Inspektor Mitchell żałował, że hrabia wybrał sobie akurat jego okręg, żeby się zabić.

- Niestety, brat pani nie zejdzie na śniadanie, pani doktor, bo tu go nie ma.

- Nie ma? Oczywiście że jest.

- Znalaziono go dziś nad ranem na szosie do Kiganjo. Jedną z pani akuszerok, siostra Billings go znalazła.

- Jak to, znalazła?

- Bardzo mi przykro. Lord w nocy wyjechał swoim samochodem i zastrzelił się.

Grace siedziała nieruchomo. Przez okulary w złotej oprawie wpatrywała się w inspektora policji.

- Czy to znaczy - zapytała w końcu - że mój brat nie żyje? - 'Bardzo mi przykro, pani doktor.

- Jest pan pewny, że to lord Treverton?

- Bez cienia wątpliwości. Grace podniosła się.

- Pan daruje - powiedziała i wyszła z saloniku. Wróciła z sir Jamesem.

- Proszę mi powiedzieć, inspektorze, co się stało. - Sir James usiadł z Grace, wyraźnie wstrząśniętą i zdenerwowaną, na kanapie.

Inspektor powtórzył wszystko, po czym dodał:

- Silnik nie był wyłączony, kiedy ta pielęgniarka go znalazła. Nie sądzimy, żeby długo był martwy. Ciało przewiezie się na posterunek. Tam państwo mogą... ach... go zobaczyć.

- Boże - wyszeptała Grace. Sir James ujął jej rękę.

- Dziękujemy, że pan tu wstąpił - powiedział zdławionym głosem, gdy inspektor wstał. - Ja tam przyjadę i zweryfikuję tożsamość.

- Będziemy wdzięczni, sir James.

Inspektor odwrócił się, żeby wyjść, ale zatrzymał się na widok Rose Treverton, stojącej w drzwiach jadalni.

Wybałuszył oczy. Miała na policzku duży siniec.

- Co się stało? - zapytała. James i Grace spojrzeli.

- Rose! - wykrzyknęła Grace. - Ty jeszcze tutaj? - Zobaczyła tego siniaka, wstała i podeszła do niej. - Co z twoją twarzą, na Boga? - zapytała szeptem. Ale gdy chciała dotknąć czarnosinego policzka, Rose się odsunęła.

- Dlaczego tu jest policja? - zapytała.

- Rose - powiedziała Grace z głębi zaciśniętej krtani - proszę, wejdź i usiądź. Niestety, mam złą wiadomość.

Ale Rose nie ruszyła się od drzwi.

- O co chodzi?

Inspektor przebierał nogami, skrepowany. Widywał hrabinę Treverton od czasu do czasu - w jej łoży na wyścigach w Nairobi albo w samochodzie z szoferem. Zawsze była piękna, w każdym calu arystokratka. Teraz patrzył na nią oniemiały. Włosy miała rozczochrane, na pół upięte, na pół rozrzucone, szlafrok pognieciony, kręgi pod oczami i tego potwornego siniaka.

- Rose - zaczęła Grace - był... - urwała, zanim powiedziała „wypadek”.

- Czy ktoś jest ranny?

Grace już nie mogła wykrztusić ani słowa. Odwróciła się do sir Jamesa, który wtedy powiedział:

- Valentine nie żyje, Rose.

Rose wzdygnęła się, jak gdyby ją uderzył.

- Najwidoczniej się zastrzelił... - Głos Jamesowi odmówił posłuszeństwa.

Rose patrzyła zdezorientowana.

- Valentine nie żyje? - wyszeptała pytająco. - Zabił się? Ale gdzie?

- W swoim samochodzie, milady - powiedział inspektor. - Na szosie do Kiganjo, w nocy. Proszę przyjąć wyrazy najgłębszego współczucia.

Odwróciła się sztywno i podeszła do jednego z krzeseł w jadalni. Położyła rękę na oparciu, być może, by odciągnąć je od stołu i usiąść, ale stała, wiodąc wzrokiem po wypolituowanym blacie.

- Valentine - szeptała - nie żyje...

Nagle ukryła twarz w dłoniach i wykrzyknęła:

- Ja nie chciałam, żeby tak się stało. Och, Carlo!

Po odjeździe inspektora James i Grace wprowadzili Rose do saloniku.

- Rose - zapytała Grace drętwą. - Co się działo tej nocy? Co z twoją twarzą? I dlaczego nie odeszłaś z Carlem?

Rose zapatrzyła się w swoje kolana.

- Valentine mnie uderzył. Przyszedł na górę i powiedział, że nie da mi odejść, zrobił awanturę. Uderzył mnie w twarz.

Grace czekała.

- A potem co się działo?

- Nie wiem. Tak mnie uderzył, że straciłam przytomność. Ocknęłam się kilka minut temu. Nie słyszałam, jak wychodził z domu. - Rose zaczęła szlochać. - Musisz mi uwierzyć! Ja nie chciałam, żeby on umarł!

- No - powiedział inspektor Mitchell, wchodząc do brzydkiego małego komisariatu. - To dopiero będzie żer dla plotek!

Policjant, Afrykanin, podniósł wzrok znad maszyny do pisania Corona i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Mitchell potrząsnął głową, powiesił kapelusz na kołku.

- Nic tak nie wprawia języków w ruch jak samobójstwo kogoś z elity.

Już miał usiąść przy biurku, żeby wypić poranną herbatę i zjeść grzanekę, gdy wbiegł inny policjant.

- *Buana!* Prędko, proszę!

Z westchnieniem, zadając sobie w duchu pytanie, czy warto było emigrować ze spokojnego Cheshire do Kenii, inspektor Mitchell wyszedł za tym policjantem na tyły komisariatu. Stał tam samochód lorda Trevertona z bagażnikiem i drzwiczkami otwartymi, przeszukiwany przez dwóch jeszcze innych policjantów.

Podchodząc, Mitchell zatrzymał się jak wryty i zajrzał do bagażnika.

- Boże święty! Kto to jest? Policjant Kamau odpowiedział:

- Nie wiemy, panie inspektorze. Chyba nie ma żadnego dowodu tożsamości. Ale jeszcze nie sprawdziliśmy dokładnie. Chciałem, żeby pan go zobaczył tak jak jest, zanim go stąd ruszymy.

- Nie żyje chyba?

- I to od dawna, tak mi się zdaje.

- Sprowadźcie tu fotografa.

Mitchell przypatrywał się zwłokom w bagażniku, już wcale nie mając apetytu na śniadanie. Denat w samych tylko spodniach i białej jedwabnej koszuli był bosy, jego kostki i nadgarstki były owiązane sznurem. Został zabity przestrzeleniem głowy na wylot.

- W stylu egzekucji? - zapytał nadinspektor Lewis ze Śledczego Wydziału Zabójstw w Nairobi. Przed chwilą przyjechał do Nyeri, wezwany telefonicznie przez inspektora Mitchella, który teraz wyprowadził go na podwórze.

- Na to wygląda - powiedział Mitchell. - Związany jak kozłą ofiarne. Jeden strzał w głowę.

- I nie macie pojęcia, kto to jest?

- Absolutnie. Pytaliśmy wszędzie. Chyba jakiś cudzoziemiec. Nikt go nie zna, nikt nie doniósł o jego zaginięciu.

Podeszli do samochodu, zajrzeli w pusty bagażnik. Krew była również przy kierownicy.

- Przypuszczam, że został zmuszony, żeby się tu wgramolić. Ręce i nogi miał związane. Hrabia oszczędził sobie fatygi wciągania do bagażnika zwłok.

Nadinspektor Lewis, pulchny, niski, w okularach dwuognisko-wych i z sumiastym wąsem, głaskał się po podbródku w zadumie. Wezwano go w sprawie Trevertona, bo było morderstwo.

- Fotografie już gotowe?

- Jeszcze nie, panie nadinspektorze. Ale mówiłem temu facetowi, żeby pośpieszył się z wywołaniem.

Lewis przeszedł na lewą stronę samochodu i zajrzał. Na wprost, na drzwiczkach od strony kierowcy zobaczył plamkę krwi, akurat na poziomie, jak ocenił, głowy hrabiego siedzącego przy kierownicy.

- Silnik nie był wyłączony, powiada pan?



- Nie był, panie nadinspektorze. Tak, jak ja to widzę, lord Treverton wsadził tego człowieka do bagażnika, zastrzelił go i włączył silnik z zamiarem wywiezienia zwłok gdzieś, gdzie będzie mógł je zakopać czy też gdzie zajmą się nimi dzikie zwierzęta. Ale w drodze na szosie do Kiganjo górę wzięło poczucie winy, skrucha, więc przyłożył ten pistolet do własnej głowy.

- Patolog już przyjechał?

- Jest w drodze z Nairobi.

Nadinspektor Lewis rozejrzył się po wnętrzu samochodu. Zauważył kilka rozrzuconych rzeczy - parę męskich rękawiczek, stary jakiś magazyn, pled starannie złożony - po czym skierował swe inteligentne małe oczy na przednie siedzenie pasażera. Były tam grudki zaschniętego błota. Cofnął się, spojrzał na stopień samochodu i zobaczył dwie duże plamy błota, które mogły być śladami stóp.

- Czy rodzina już wie o tym rozwoju wypadków? - zapytał inspektora Mitchella.

- Jeszcze nie wie. Dzisiaj rano zawiadomiłem ich tylko o śmierci hrabiego. Potem uznałem, że lepiej poczekać, aż pan zapozna się z tą sytuacją.

Nadinspektor spojrzał na Mitchella sponad oprawy swoich dwuogniskowych okularów i powiedział:

- Jeżeli pan nie ma nic przeciwko temu, inspektorze, chciałbym sam ich o tym zawiadomić.

W komisariacie obaj usiedli nad świeżo wywołanymi fotografiami. Nadinspektor Lewis długo zwlekał, oglądając zdjęcia Trevertona, jego głowy z profilu opartej o szybę samochodu, małej okrągłej dziurki opalanej prochem w jego lewej skroni. Była też fotografia pistoletu w jego ręce obwisłej na siedzeniu przy nim. Na tym siedzeniu znaczyły się wyraźnie grudki błota. I to błoto wydawało się świeże.

Siedzieli przy śniadaniu nad filiżankami zimnej herbaty, gdy Rose weszła i powiedziała:

- Nie ma go tam!

James wstał, pomógł jej usiąść na krześle, Mona naląła herbatę z gorącego czajnika i wcisnęła jej w rękę parującą filiżankę. Ale Rose nie napiła się herbaty.

- Carla nie ma w oranżerii! - powiedziała. - Gdzie on mógłby być?

Tim Hopkins wstał i podszedł do okna. Wyrzwał na bezludne pola kawy, posłuchał ciszy znad rzeki, gdzie maszyny przetwórcze nie

pracowały i usłyszał z daleka, z wioski Kikuju pieśń żałobną. Wiedział, że hrabiego będzie bardzo brakowało. Ale nie jemu.

- Dokąd Carlo by poszedł? - Mona usiadła przy matce, kładąc dłoń na jej ramieniu.

Rose potrząsnęła głową. W oczach miała łzy.

- Może się zdenerwował, bo nie przyszłaś, jak było zaplanowane - powiedział James. - Może jest na stacji kolejowej. Tim oznajmił:

- Ktoś przyjechał. Och, to znów ten inspektor policji. Tym razem z jakimś facetem.

- Grace. - Rose chwyciła szwagierkę za rękę. - Ja nie chcę z nim rozmawiać. Proszę, trzymaj ich z daleka ode mnie!

- Nie denerwuj się, Rose - powiedziała Grace pośpiesznie. Była kredowoblada i mizerna. Nie tknęła swojej herbaty. - James i ja zajmiemy się wszystkim.

Ale nadinspektor Lewis chciał zadać parę pytań szczególnie lady Rose. Pierwszym pytaniem było, skąd siniak na jej twarzy.

Rose, splatając dłonie na kolanach i unikając jego wzroku, odpowiedziała:

- Upadłam.

- Upadła pani?

- Tej nocy. Potknęłam się o skraj dywanu i uderzyłam szczęką o krawędź toaletki.

- Czy pani wie, o której mąż wyszedł tej nocy z domu?

- Nie. Ja... spałam.

- Czy pani wie, dlaczego on wyszedł z domu w środku nocy?

- Panie nadinspektorze - wtrącił się James - czy rzeczywiście to jest konieczne? Lady Rose doznała strasznego wstrząsu. Z pewnością ja mogę odpowiedzieć na pana pytania. Nocowałam w tym domu.

Nadinspektor uniósł swe krzaczaste brwi.

- Pan tu nocował? No to chyba może pan pomóc. - Wyciągnął z kieszeni na piersi mały notes, otworzył go i zapytał Jamesa:

- Przyjaźnił się pan z hrabią, prawda?

- Znaliśmy się od lat.

- Czy lord Treverton był praworęczny czy leworęczny?

- Był praworęczny. Słuchaj pan, o co chodzi? Dlaczego tą sprawą zajmuje się Wydział Zabójstw?

- Dlatego, sir James, że odkąd hrabiego znaleziono dziś rano, ujawniły się dalsze okoliczności.

-Jakie?

Nadinspektor Lewis sięgnął do kieszeni na piersi i pokazał fotografię.

- Wydaje się, że zostało również popełnione morderstwo.

I patrzył na ich twarze, mówiąc o zwłokach w bagażniku i wykładając swoją teorię, że Valentine zastrzelił owego człowieka, po czym, gdy jechał, żeby pozbyć się zwłok, z kolei on został zabity.

- Usiłujemy zidentyfikować ofiarę. Może państwo go znają. Pochylili głowy nad szarą fotografią. Mona się odwróciła, przycisnęła rękę do ust. Tim powiedział:

- Jezu Chryste.

Grace i James patrzyli oszołomieni.

Ale Rose, pochylając się i widząc zwłoki Carla w bagażniku, związanego i z kulą w głowie, wrzasnęła:

- Valentine, ty potworze! - i osunęła się na podłogę. Zemdlała.

- Reakcja dosyć interesująca - skomentował nadinspektor Lewis, już z powrotem w komisariacie.

Mitchell popijał herbatę, wpatrując się w gołą szarą ścianę.

- Powiedziałbym, że lady Rose знаła tego gościa.

- Takie miałem wrażenie. Tamci zareagowali raczej tak, jak było do przewidzenia. Nic na ich twarzach nie świadczyło, że go rozpoznają. Po prostu patrzyli na wstrząsającą fotografię trupa. Ale milady... to była reakcja.

- Panie nadinspektorze? - wszedł doktor Forsythe, młody patolog przysłany z Nairobi. - Właśnie zabrałem się do sekcji zwłok hrabiego, tak jak pan zlecił, ale przerwałem, bo jest coś, co pan powinien zobaczyć.

- Co takiego?

- Nie uwierzy pan, lepiej niech pan zobaczy na własne oczy. „Kostnica” policyjna była w istocie sąsiadującym z jedyłą okra-

towaną całą pomieszczeniem, używanym do wszystkiego. Ciało generała leżało pod płótnem na kilku skrzynkach, Valentine Treverton leżał nagi, wyciągnięty na stole.

Patolog nie musiał wskazać nadinspektorowi tego, na co zwrócił uwagę. Ten detektyw już nieraz widywał klute rany.

Ta była bardzo równa - na lewo od mostka i właściwie nie krwawa.

- To go zabiło - powiedział doktor Forsythe - a nie kula w głowie. Ręczę za to moją reputacją.

Mitchell gwizdnął. Rana wyglądała tak nieszkodliwie, ot, pęknięcie skóry długie na półtora cala, ze strużką ciemnej krwi.

Lewis jednak wiedział, jak zabójczy może być taki niepokazny znak. Rany klute, zwłaszcza zadane w brzuch czy klatkę piersiową rzadko krwawią obficie. Uszkodzenie jest wewnętrzne. Nie wątpił, że ów nóż przeciął jakieś większe naczynie krwionośne, być może nawet samo serce, i że w klatce piersiowej hrabiego jest mnóstwo krwi, co okaże się po jej otwarciu.

- Więc stanowczo pan mówi, że to spowodowało śmierć? - zapytał doktora.

- Będę pewniejszy, kiedy tam zajrzę, ale sądząc z tego, gdzie jest, twierdziłbym, że tak. I kiedy patrzę na ranę głowy, wydaje mi się, że została zadana już po śmierci.

- Żeby morderstwo wyglądało na samobójstwo - powiedział Mitchell.

Nadinspektor z Wydziału Zabójstw odwrócił się na pięcie i wrócił do biura. Wziął z biurka Mitchella policyjne fotografie. Przyjrzał się szczególnie zdjęciom siedzenia pasażera, na których widać było błoto. Do wchodzącego Mitchella powiedział:

- Samochód stał na poboczu, jak gdyby hrabia zjechał na bok z jakiegoś powodu i zostawił silnik włączony, nie zamierzając zaparkować. Wie pan, co ja myślę? Myślę, że ktoś go dogonił i zmusił do zjechania na pobocze. Ktoś z nożem.

- Wie pan - Mitchell wziął teczkę sprawy i przerzucił kartki - teraz sobie przypominam, że ta kobieta, która go znalazła, ta siostra Billings mówiła coś w swoim zeznaniu o śladach opon rowerowych przy samochodzie. Gdzie ja to mam? Tutaj.

Lewis przeczytał zeznanie położnej o śladach prowadzących do drzwiczek samochodu od strony pasażera i zawracających w kierunku Nyeri. Odłożył ten papier.

- Mam dla pana jeszcze jeden scenariusz, inspektorze - powiedział. - I ciekaw jestem, co pan myśli o tym. Hrabia zastrzelił faceta w bagażniku. Motyw wydedukujemy, kiedy ustalimy tożsamość ofiary, w czym mogłaby nam pomóc lady Rose. Balistyka w Nairobi zbada, czy te dwa naboje zostały wystrzelone z tego samego pistoletu. Bez wątplenia, morderstwo w bagażniku popełnił hrabia i był, jak pan mówi, w drodze, żeby pozbyć się zwłok. Cóż, kiedy, powiedzmy... - Zaczął spacerować po małym biurze. Po chwili przystanął i odwrócił się do inspektora Mitchella. - Powiedzmy, że ktoś jechał za hrabią i dogonił go na szosie do Kiganjo. Machaniem zatrzymał go. Hrabia prawdopodobnie znał tego kogoś na rowerze.

Ów ktoś wtedy wszedł do jego samochodu zabłocony, bo padał deszcz, i zadał mu jeden cios nożem w klatkę piersiową. Potem zobaczył pistolet, z którego milord strzelił do człowieka w bagażniku. Stąd decyzja, żeby upozorować samobójstwo.

- Chyba ów ktoś wiedział, że ranę od noża wykryjemy.

- Niekoniecznie. Na ubraniu hrabiego nie było krwi. Gdyby nie doszło do autopsji, łatwo można by to przeoczyć. I omal tak się nie stało, bo autopsję ja zarządziłem, kiedy pan znalazł tego faceta w bagażniku.

- Co znaczy - powiedział Mitchell powoli - że, być może, ów ktoś z nożem nie wiedział o człowieku w bagażniku. Lewis uniósł brwi.

- Być może - pogłaskał się po podbródku. - Ów ktoś mógł myśleć, że przeszkodzi hrabiemu w popełnieniu morderstwa, i nie wiedzieć, że na to już za późno.

Ci dwaj policjanci patrzyli na siebie. Potworność tej sprawy w zwykłe spokojnym, nieobfitującym w wydarzenia okręgu Mitchella ciężkim brzemieniem spadła na barki inspektora. W ciągu kilku minut Mitchell wyraźnie się zgarbił.

- Trzeba ściągnąć wszystkich możliwych świadków - powiedział Lewis, raptownie wyciągając notes i zaczynając pisać. - Trzeba zbadać każdy trop, choćby zupełnie nieważny. Znaleźć ten rower. Znaleźć ten nóż. Ale już teraz powiem panu jedno, Mitchell. W tym wielkim luksusowym domu na wzgórzu nie wszystko jest w porządku.

\* \* \*

Grace zatrzymała się na werandzie Bellatu, żeby czarny welon z runda kapelusza nasunąć na oczy. Po raz drugi od czasu służby w marynarce wojennej przed dwudziestu sześciu laty włożyła żałobę.

Patrzyła, jak wszyscy wsiadają do samochodów czekających szeregiem, by ich zawieźć na cmentarzyk rodziny Trevertonow, gdzie Valentine miał spocząć przy Arthurze, swoim jedynaku. Była wstrząśnięta. Rozpaczliwie pragnęła oprzeć się na ramieniu Jamesa.

Morgan Acres, najstarszy syn bankiera i radca prawny Trevertonow, właśnie powiedział jej coś zdumiewającego. Testament Valentine'a odczytany rano nie zawierał żadnych niespodzianek. Rose, bogata wdowa, odziedziczyła plantację kawy Bellatu, a także Bella Hill, posiadłość rodu w Anglii. Ale po odczytaniu testamentu pan Acres z ubolewaniem powiedział Grace

na osobności, że wobec śmierci milorda kwoty co rok od wielu lat wpływające na konto misji już wpływać nie będą. Grace pojęła to tak oszołomiona, że musiała usiąść.

- Valentine? - zapytała. - Mój brat był tym anonimowym dobroczyńcą? Zawsze myślałam, że James...

Po tylu latach, Val, myślała ze smutkiem. Nie ma możliwości, żeby ci dziękować.

James w końcu wyszedł na werandę i podał jej ramię. Wsiadli do limuzyny razem z Rose i Moną i sznur samochodów ruszył. Tim Hopkins jechał ostatni swoją ciężarówką, myśląc o grobie, którego nie odwiedzał przez osiem lat - o grobie Arthura.

Powoli samochody sunęły piaszczystą drogą przy skraju plantacji na ten samotny ogrodzony cmentarzyk. Wzdłuż drogi stali Afrykanie i smutnym machaniem ręki żegnali swego *buane*. Był wśród nich David Madengej z matką. Milcząc, patrzył, jak biali żałobnicy jada, żeby białego pogrzebać w ziemi.

Nadinspektor Lewis przyglądał się fotografiom przypiętym do tablicy ogłoszeń - zdjęciom samochodu lorda Trevertona i zwłok hrabiego - i mapie miejsca zbrodni z kropkowaną linią, która zaznaczała trasę roweru zgodnie z zeznaniem położnej Billings, gdy przyszedł zasapany inspektor Mitchell.

- Mamy to! - oznajmił i podał nadinspektorowi dużą kopertę.

Lewis wziął kopertę. Ważąc ją w ręce, zamyślił się. Był zmęczony. Od pięciu dni obaj prowadzili śledztwo z pomocą tylu policjantów, ilu tylko mogli zabrać od innych zajęć na posterunku w Nyeri, oraz sądowych specjalistów wypożyczonych z Nairobi. Niewiele spali, za dużo pili' kawy, obaj mieli czerwone oczy. Zawartość koperty stanowiła uwieńczenie ich pięciodniowych poszukiwań.

Wczoraj znaleźli ten rower. Leżał porzucony w buszu mniej więcej w połowie drogi pomiędzy samochodem hrabiego a miasteczkiem Nyeri. Dętka tylnego koła była dziurawa. Detektywi zakładali, że gdy opona sflaczała, morderca ukrył rower w krzakach i dalej udał się piechotą. Jak ustalili, rower pochodził z plantacji Trevertonow. Przesłuchiwali ludzi dokładnie. Jeździli obaj z dwoma *askari* i rozmawiali z każdym, kto miał choćby bardzo słabe powiązania z hrabią, i może mógłby ich naprowadzić na jakiś skrawek dowodu, najmniejszy bodaj ślad. Wypytywali nawet Afrykanów, którzy pra-

cowali u Trevertona i mieszkali na jego ziemi, a więc i znachorkę Oczere, wciąż powtarzającą jedynie: *tseha*. Ale najczęściej dawały rozmowy z samą rodziną.

Lady Rose nie chciała mówić. Nie wypowiedziała ani słowa, odkąd zemdląca przed pięcioma dniami, kiedy to zobaczyła fotografię nieboszczyka w bagażniku. Siedziała w czasie przesłuchania nieruchoma, milcząca, tak blada, że siniec pod okiem wyglądał jeszcze drastyczniej. Na pytania odpowiadała doktor Treverton.

Ten człowiek w bagażniku, wyjaśniła, był zbiegłym jeńcem wojennym, Włochem nazwiskiem Nobili.

- Nikt w tym okręgu go nie zna - powiedział nadinspektor Lewis. - Więc skąd pani wie?

- Rose mówiła mi o nim.

- Gdzie on mieszkał? - zapytał Lewis, trzymając ołówek nad notesem, żeby zapisać adres.

Zwlekała z odpowiedzią dość długo, ale gdy w końcu powiedziała o oranżerii i o tym, że Rose zamierzała wyjechać z Kenii z Nobilim, Lewis uzyskał większy i wyraźniejszy obraz.

A teraz miał ostateczny dowód, jak określił to Mitchell.

Trzech *askari* już przebywało na terenie posiadłości, obserwując ruchy rodziny, przesłuchując służbę i szukając wszelkich możliwych śladów. Tego dnia rano jeden z tych policjantów zameldował, że spala się śmieci w jamie nieopodal domu. Była to zwykła praca: palono tam odpadki zazwyczaj raz na tydzień. Lewis wysłał kogoś z Wydziału medycyny sądowej, żeby w to wejrzał. Ta koperta zawierała dane.

Otworzył ją i gdy zobaczył, co w niej jest, przytaknął z zadowoleniem. Jeśli chodziło o niego, nadinspektora Lewisa z Wydziału Zabójstw, sprawa była zamknięta.

Stali pod ołowianym niebem, gromadka ludzi z pochylonymi głowami, wokół dołu w ziemi. Wielebny Michaelis, pastor z misji Grace, odczytał mowę pochwalną, gdy opuszczano trumnę. Żałobnicy mieli serca smutne, oszołomione, wstrząśnięte. Ale ktoś wśród nich był pełen zawziętości i nienawiści, ktoś inny czuł ponurą satysfakcję wobec faktu, że hrabia nie żyje.

James serdecznie modlił się w myśli i żegnał swego przyjaciela, który dwadzieścia osiem lat temu przy granicy Tanganiki ocalił mu życie i wiedziony dumą kazał przysiąc, że nikt nigdy się o tym nie dowie. James wiedział, że Grace uważa go za wybawcę jej brata,

ale musiał dotrzymać słowa, nigdy nikomu nie mówić, że Valentine, ratując go, sam omal nie przypłacił życiem swego nadzwyczajnego męstwa.

Mona żegnała ojca jak nieznanego. Plantacja teraz należała do niej.

Tim Hopkins, stojąc na uboczu, wpatrywał się w nagrobek jedynej istoty ludzkiej, którą kiedykolwiek kochał. Modlił się, żeby Arthur z wysokości niebios mógł patrzeć na swego ojca w piekle.

Niedaleko za ogrodzeniem z kutego żelaza stali nieliczni Afrykanie: służba domowa szczerze zasmucona odejściem *buany*. Ndzeri, która opłakiwała nie tego człowieka w grobie, tylko swoją biedną, zbolełą panią, i David Madengej z sercem zimnym, powtarzający sobie:

- *Edhebu ua kaburi edzue maiti* - przysłowie suahili: „Tylko zmarli znają okropności mogiły”.

Rzucając garść ziemi na trumnę brata, Grace doznawała przemożnego uczucia, że jego śmierć oznacza koniec jakiejś ery. Zmiana wisi w powietrzu, czuła to. Stara, ukochana, swojska Kenia usuwa się i coś nowego, przerażającego się zbliża, żeby zająć jej miejsce.

Nadinspektor Lewis i inspektor Mitchell czekali, dopóki pogrzeb się nie skończył. Gdy już wracano do samochodów, podeszli do lady Rose, która szła między szwagierką i sir Jamesem.

Nadinspektor z Wydziału Zabójstw przeprosił za natręctwo i coś jej pokazał.

- Milady, czy pani to poznaje?

Rose nie spojrziała na to. Wpatrywała się w niego nie widząc, jak lunatyczka.

Ale Grace i James zobaczyli, co on trzyma w ręce. Był to kawałek płótna, zakrwawiony i przypalony.

- Czy to pani monogram, lady Rose? - zapytał nadinspektor. Zapatrzyła się gdzieś poza niego.

- Tę chusteczkę dzisiaj rano znaleziono w śmietniku, owinięty w nią był zakrwawiony sztylet. A więc, lady Rose, czy teraz ma mi pani coś do powiedzenia o nocy śmierci pani męża?

Wlepiała oczy gdzieś poza niego, gdzieś ponad akry kwitnących kawowców.

Lewis wyjął jej z ręki chusteczkę, którą trzymała, i przyłożył do tej osmalonej dla porównania. Monogramy były identyczne.

- Lady Rose Treverton - powiedział nadinspektor Lewis cicho. - W imieniu Jego Królewskiej Mości aresztuję panią za zamordowanie męża, Valentine'a hrabiego Trevertona.



## *Rozdział 40*

Sensacyjny proces hrabiny Treverton zaczął się 12 sierpnia 1945 roku, w cztery miesiące po jej aresztowaniu. Tyle czasu zabrało prokuraturze sporządzenie aktu oskarżenia. Te miesiące spędziła w specjalnej celi w więzieniu w Nairobi, gdzie dzięki swemu adwokatowi, który wyjednał pozwolenie sędziego i władz więziennych, mogła pracować nad swoim gobelinem.

To było drugie z dwóch zaledwie życzeń Rose.

Pierwsze wyraziła natychmiast po przybyciu do więzienia. Przedtem nie mówiła ani słowa, odkąd zobaczyła fotografię zwłok Carla; teraz poprosiła o wezwanie Morgana Acres, radcy prawnego Trevertonów. Siedzieli w jej celi sami we dwoje przez trzy godziny i rzeczowo wydała mu dyspozycje, co zrobić ze zwłokami generała Nobilego. Nie pozwoliła mu omawiać tych planów z jej rodziną, ale w tydzień później Grace i Mona, widząc, jak na polankę wśród eukaliptusów przyjeżdża ekipa robotników z Nairobi z traktorami i materiałem budowlanym, wiedziały, że tak zarządziła Rose. Tymczasem ciało jej ukochanego Carla było w jednej z kostnic w Nairobi.

Drugie życzenie - to dotyczące gobelinu - w tydzień potem powiedziała szwagierce.

- Jest nieskończony - dodała. Z rękami złożonymi na kolanach siedziała na żelaznym łóżku, patrząc przez kraty okna na daleką równinę Atki.

- Rose - powiedziała Grace, siedząc na jedynym krześle w tej surowej celi - posłuchaj. Cała sprawa jest rozdmuchana. Ten detektyw z Wydziału Zabójstw nie dba o to, kto rzeczywiście jest sprawcą. On tylko chce zamknąć swoją aktówkę. Opiera oskarżenie przeciwko tobie wyłącznie na poszlakach. Czy nie możesz się

wypowiedzieć? Wyjaśnij, że Valentine pozbawił cię przytomności, więc byłaś niezdolna do jazdy na rowerze w środku nocy zabłoconą szosą! Rose, twoje milczenie wygląda jak przyznanie się do winy. Na litość boską, broń się! Rose wlepiła swe niebieskie oczy w afrykański widok za kamiennym murem więzienia.

- Przestałam haftować gobelin - powiedziała cicho - tamtego dnia, kiedy zjawił się Carlo. Teraz muszę go skończyć.  
- Posłuchaj mnie, Rose. Kiedy tak pozwalasz, żeby cię ukrzyżowali, morderca Valentine'a chodzi na wolności! Tę chustkę ktoś ukradł z twojej sypialni i ty wiesz o tym!

Ale Rose już nie chciała nic powiedzieć. Więc Grace i obrońca Rose, pan Barrows, sprowadzony specjalnie z Afryki Południowej, przedłożyli prośbę Rose dyrektorowi więzienia, zwracając mu uwagę na nadzwyczajne okoliczności jej sytuacji: w więzieniu w Nairobi na tysiąc trzystu więźniów tylko ośmiu to Europejczycy i Rose jest jedyną białą kobietą. Zrobiono wyjątek, przyznano hrabinie prawo do jej haftu, jedzenie dostawała z hotelu Norfolk, gdzie osobiście je przyrządzał szef kuchni, sprowadzono pościel i na zimną kamienną podłogę dywan, dostarczano czekoladę i podczas gdy więźniowie sami musieli utrzymywać czystość w swoich celach, do lady Rose codziennie przychodziła jej pokojówka Ndžeri, opiekująca się swoją panią przez cały ten okres ciężkiej próby.

- Pani bratowa ogromnie mi utrudnia obronę, pani doktor - powiedział pan Barrows, adwokat z Afryki Południowej.

- Nie chce ze mną rozmawiać. Nawet patrzeć na mnie. To milczenie ją gubi, wie pani.

- Jeżeli ją uznają za winną, co wtedy?

- Kenia to kolonia, więc jest tutaj angielski system procesów z sądem przysięgłych. I są takie same kary jak w Anglii. Jeżeli lady Rose zostanie uznana winną morderstwa, czeka ją śmierć przez powieszenie. - Adwokat wstał z kanapy, przeszedł na skraj werandy i pogrążył się w głębokiej zadumie.

Na czas procesu Grace, James, Mona i Tim Hopkins przyjechali do Nairobi i wynajęli pokoje w klubie niedaleko budynku sądu. Teraz w przeddzień początku rozprawy siedzieli w prywatnym klubowym saloniku, umeblowanym skromnie, z pnącą palmą, łbami zwierząt i skórami zebra na ścianach.

- Pani doktor - powiedział Barrows cicho. - Prokurator ma

mocne argumenty przeciwko pani bratowej. Po pierwsze, jest motyw. Te trójki miłosne to zawsze takie paskudne sprawy. Lady Rose przyznała się czterem osobom... wam... w obecności służących, że zamierza odejść od męża do innego mężczyzny. Współczucie przysięgłych skieruje się na Valentine'a, pani doktor, a nie na pani bratową. Po drugie, jest nóż, jak twierdzi patolog, ponad wszelką wątpliwość ten sam, który zabił hrabiego. I to nóż, którego pani bratowa przez lata używała w swojej oranżerii do podcinania roślin. Znaleziony w jej chustce do nosa. Odezwała się Mona.

- Każdy mógł zabrać ten nóż z oranżerii i ukraść chustkę z pokoju mojej matki.

- Całkowicie się z tym zgadzam, lady Mono. Ale niestety, matka pani nie poświadczy tego. Nie zaprzeczy, że owinęła nóż w chustkę i próbowała się go pozbyć, wyrzucając do spalanych co tydzień śmieci. Istotnie, lady Mono, ani razu, jak dotąd, matka pani nie zaprzeczyła, że popełniła morderstwo. No i po trzecie: nie potrafi podać, gdzie była i co robiła w tamtym czasie ani nie ma żadnego świadka. Wszyscy wtedy mocno spaliście, jak mówicie. - Pan Barrows - wysoki, chudy przestał chodzić po pokoju i znów usiadł na kanapie. - Obawiam się, że takie sprawy jak ta osądzone są raczej emocjonalnie niż na podstawie suchych faktów. Prokurator będzie się starał przedstawić lady Rose jako kobietę bez skrupułów, okrutną i gruboskórną. Wyciągnie ten cały trudny romans w oranżerii i nakreśli obraz Valentine'a, arcyrogacza. Proszę nie zapominać, panno Treverton, że przysięgli to będą sami mężczyźni. Oni by powiesili lady Rose za cudzołóstwo, gwarantuję.

- Przecież nie możemy do tego dopuścić! - powiedział James.

- Właśnie. Będę się starał jak diabli wzbudzić w przysięgłych współczucie dla nas.

- Tymczasem - mruknął Tim - rzeczywisty morderca jest na wolności.

- To nie nasze zmartwienie w tej chwili, panie Hopkins. Musimy się koncentrować na tym, żeby nie uznali lady Rose za winną.

Pan Barrows popatrzył na nich wszystkich spod rudawych brwi. Kolejno utkwiał w nich swe twarde zielone małe oczy, w których przejawiała się bystrość tego adwokata z Afryki Południowej, znanego z wygrywania trudnych sensacyjnych spraw.

- Zanim jutro wejdę do sali sądu, chcę być pewny, że mam wszystkie dane dotyczące tej sprawy. Nie chcę żadnych niespodzianek. Jeżeli ktoś z państwa wie coś, czego mi nie powiedział, albo je-

żeli w związku z tą sprawą ma przypuszczenia, którymi się ze mną nie podzielił, jakieś podejrzenia, cokolwiek, proszę powiedzieć mi teraz.

\* \* \*

Nazajutrz, gdy proces się zaczął, panował nastrój nieomal świąteczny. Do Sądu Centralnego Nairobi ściągnęli znużeni wojną, spragnieni dobrego widowiska koloniści tak tłumnie, że w galerii dla publiczności zabrakło miejsc i pod ścianami tej edwardiańskiej sali ludzie stali w trzech szeregach. Szklana kopuła przepuszczała rozproszone światło na osadników przybyłych nawet z dalekiego Moyale, na hodowców bydła i farmerów, i wojskowych w mundurach, na kobiety wystrojone jak w Tygodniu Wyścigów. Gwar był ogłuszający, wszyscy niecierpliwie czekali na początek tego, co miało stać się spektaklem. Ci zwyczajni, ciężko pracujący Kenijczycy, od czterech miesięcy czerpiąc z gazet materiał o „oranżerii - gniazdku miłości”, znajdowali w pogłoskach, plotkach i domysłach rozrywkę. Wyczerpani po sześciu latach wojny i wyrzeczeń, przyjechali z nadzieją, że wejrzą w brudne życie intymne swojej arystokracji.

Przed samym wprowadzeniem oskarżonej jeszcze jedna osoba przyłączyła się do publiczności. Wywołała swym widokiem poruszenie, a potem w sali ucichło, gdy szła na zatłoczoną galerię Afrykanów, którzy rozstępowali się przed nią. Była to Oczera, znachorka. Stała przy poręczy galerii i rozejrzała się wokoło. Europejczycy na sąsiednich galeriach i na dole patrzyli na nią ze zdumieniem.

Nie znalazłoby się w tej sali nikogo, kto by nie słyszał o tej legendarnej Kikuju, rzucającej wyzwania europejskim władzom, będącej siłą duchową największego plemienia w Kenii. Stała przy poręczy jak władczyni ponad poddanymi. We wszelkich innych okolicznościach biali może uznaliby jej strój za cudaczny i zabawny czy też niesmaczny i nie na miejscu, ale w ten poranek jej wysoka, mocna postać z głową ogoloną, opasaną na krzyż sznurkami paciorków, spowita w skóry i cała od stóp do głów obwieszona paciorkami i muszelkami, miała w sobie coś, co zgrzytnęło w świadomości Europejczyków. Widok Oczery przypominał im o tym, o czym woleli nie myśleć - to kiedyś był jej kraj, a oni są tylko spóźnionymi gośćmi.

Opowieści o starej kłątwie, dawno rzuconej na przyjęciu gwiazdkowym, też trafiły do rubryk towarzyskich w gazetach. Patrząc na znachorkę, Europejczycy zaczęli się zastanawiać, czy przyszła, żeby zobaczyć owoce swojej kłątwy.

Dwóch Trevertonów nie żyje, myśleli, wkrótce będzie ich troje...

Wysoki Sąd, sir Hugh Roper w czarnej todze i białej peruce, wszedł do sali i usiadł w fotelu sędziowskim. Potem przyprowadzono lady Rose z celi. Jak w transie szła za ogrodzenie dla oskarżonych i wydawało się, że nic nie słyszy, gdy urzędnik sądowy czytał akt oskarżenia. Stała jak posąg, oczy miała szkliste, prawie nieruchome. W zupełnej ciszy wszyscy wpatrywali się w tę bladą, smukłą kobietę. Wiele osób doznało pewnego rozczarowania: ona wcale nie wygląda ani na cudzołożnicę, ani na morderczynię.

Gdy prokurator wstał, żeby wygłosić wstępne przemówienie, Rose nagle odwróciła się i przez ramię spojrzała w górę, na galerię Afrykanów.

Napotkała wzrok Oczery.

To cofnęło czas o dwadzieścia sześć lat. Znów stała na wzniesieniu, trzymając w objęciach Monę, niemowlę, i patrzyła w dół na młodą Afrykankę z niemowlęciem na plecach.

Oczera wpatrzona w *ozungu* też wspomniała tamten dzień pięćdziesiąt dwa dni temu, gdy zobaczyła w górze białe zjawisko i nie wiedziała, co to znaczy.

Proces się zaczął.

I ciągnął się przez dziesięć tygodni. Wzywano świadka po świadku, poczynając od najbardziej nieznanymi pracowników plantacji, którzy nigdy nawet nie widzieli swojego pracodawcy, i kończąc na samej rodzinie.

Wprowadzono specjalistów. Doktor Forsythe, patolog, wykazał, że skoro szczerba w ostrzu noża odpowiada wyżłobieniu w żebrze lorda Trevertona, narzędziem morderstwa był rzeczywiście ten nóż. Ponadto stwierdził na podstawie wyników sekcji zwłok, że hrabia zmarł wskutek obfitego krwotoku wewnętrznego, zanim przez jego czaszkę przeszła kula.

Przesłuchiwano służbę.

- Jesteś *askari* na plantacji Trevertonów?

- Tak, *buana*.

- Czy wiesz, od której do której patrolowałeś ten obszar w nocy piętnastego kwietnia?

- Tak, *buana*.

- Możesz mi powiedzieć, od której do której?

- Tak, *buana*.

- Proszę, spójrz na ten zegar tam na ścianie i powiedz nam, która jest godzina.

*Askari* popatrzył na zegar zmrużonymi oczami i powiedział:

- Jest pora obiadu, *buana*.

Takie przesłuchiwanie wydawało się nudne i niedorzeczne.

- Jest pani krawcową lady Rose?

- Jestem.

- Żeby mierzyć suknie, czy lady Rose przyjeżdżała do Nairobi, czy pani jeździła do jej domu?

- I tak, i tak, w zależności od deszczów.

W te dni, gdy przesłuchiowano ogrodników albo roztrząsano wprost obłądnie drobiazgowo dowody najbardziej nieistotne, takie jak listy hrabiego do żony z placówki na północnym pograniczu, publiczność się przechadzała i były wolne nawet miejsca siedzące. Ale w miarę jak adwokaci powoli zbliżali się do sedna procesu - tego romansu i samego morderstwa - w sali znów zaczynało być tłoczno.

Wezwano na świadka Ndžeri Madengej, pokojówkę hrabiny. W czasie przesłuchania Ndžeri lekliwie przenosiła wzrok z lady Rose na Oczerę wysoko na galerii, po czym znów na lady Rose.

- Byłaś ze swoją panią, kiedy ona zastała zbiegłego jeńca wojennego w oranżerii?

-Tak.

- Głośniej, proszę.

- Tak- Jak często *memseeb* odwiedzała tego mężczyznę w oranżerii?

- Co dzień.

- W nocy także?

- Tak- Czy zdarzyło ci się obserwować ich, kiedy byli w oranżerii?

Ndžeri spojrzała na lady Rose.

- Proszę odpowiedzieć na pytanie.

- Patrzyłam przez okno. -I co widziałas?

Wzrok Ndžeri wniósł się tam, gdzie na galerii siedziała współ-żona jej matki, Oczerą. Spojrzała też na Davida. I znów na lady Rose.

- Co widziałas, panno Madengej?

- Oni spali.

- Razem? -Tak.

- Na tym samym posłaniu? -Tak.

- Czy byli ubrani?

Ndzeri się rozplakała.

- Proszę odpowiedzieć na pytanie, panno Madengej. Czy lady Rose i Carlo Nobili leżeli przy sobie nago?

-Tak.

- Czy widziałaś, żeby robili coś ze sobą poza tym, że spali?

- Jedli kolację.

- Czy widziałaś akty natury płciowej pomiędzy nimi? Ndzeri spuściła głowę i łzy kapnęły jej na ręce.

- Panno Madengej, czy widziałaś, jak lady Rose i Carlo Nobili mieli ze sobą stosunek płciowy?

-Tak.

- Ile razy?

- Dużo...

Przez cały ten czas Rose siedziała blada i cicha za swoim ogrodzeniem, jak gdyby bardzo daleko od sądowej sali. Nie mówiła ani słowa, ani razu nie spojrzała na świadków, wydawało się, że nawet nie wie, co się dzieje. Jeżeli nie jest winna - ludzie zaczęli zadawać sobie pytanie - to dlaczego nic nie mówi?

\* \* \*

- Ona nie chce ze mną rozmawiać - powiedziała Mona, przyłączając się do swego towarzystwa w małym klubowym saloniku. Półmisek z kanapkami pośrodku stołu był nietknięty, ale whisky i dżin popijali skwapliwie.

Już odbijało się na dziewczynie napięcie, w jakim przeżywała proces matki. Twarz miała bardzo bladą, oczy tym większe i ciemniejsze.

- Powiedziałam jej: „Mamo, musisz zabrać głos, bronić się”. Ale tylko haftowała dalej ten cholerny gobelin.

- Czy możliwe - zapytał James - że Rose to zrobiła? Grace potrząsnęła głową.

- Nie sądzę, żeby była zdolna do morderstwa. Zwłaszcza takiego... nożem użytym tak umiejętnie.

- Kiedyś przez myśl by nam nie przeszło, że mama jest zdolna do ukrywania zbiegłego jeńca i do potajemnego romansowania z nim!

Grace spojrzała na bratanicę.

- Nie bądź surowa dla matki, Mono. Pomyśl, jak musi cierpieć.

- Ona z pewnością nie myślała, jak my mogliśmy cierpieć z powodu jej egoizmu. Ci wszyscy okropni ludzie na sali tylko nadstawiają uszu, kiedy ten nędzny prokurator popisuje się wyciąganiem

naszych rodzinnych spraw na widok publiczny! I pan! - zwróciła się Mona do Barrowsa, obrońcy matki. - Dlaczego pan wyciągnął tę straszną sprawę Mirandy West?

- Musiałem, panno Treverton - wycodził spokojnie, z akcentem południowoafrykańskim. - Prokurator buduje oskarżenie na amo-ralności pani matki. Przekonuje przysięgłych, że ojciec pani był świętym, zabiciem tego Włocha właściwie oddał światu przysługę, i że jego śmierć jest dla Kenii wprost niewyobrażalnie wielką stratą.

Wyciągnąłem romans z panią West po to, by przypomnieć przysięgłym, że Valentine Treverton nie był wolny od słabostek i wad, i wykazać, że na długo przed jedynym cudzołożnym romansem żony sam już miał kilka takich romansów.

W oczach Mony stanęły łzy. Całym sercem żałowała, że jeszcze nie ma Geoffreya. Powinien przyjechać lada dzień.

- Właściwie co budują na tej polance? - zapytał Tim Hopkins, chcąc zmienić temat rozmowy, rozładować nastrój przy stole. - To wygląda niczym jakąś pogańska świątynia.

Grace tylko dojeżdżała do Nairobi, bo nie mogła zostawić na długo swojej misji. Gdy była w domu, sprawdzała, jak postępuje praca przy tej tajemniczej budowli z betonu, którą Rose poleciła postawić wśród eukaliptusów. Budowla zabierała dużo miejsca - aż musieli wytrzebić sporo puszczy - i wyglądała zdecydowanie kościelnie. Robotnicy pracowali w dzień i w nocy, jak gdyby ścigali się z czasem. Grace odważyła się zajrzeć do wnętrza. Zobaczyła tam dziwną pustkę. Marmurowe kolumny podtrzymywały sklepiony stfop, podłoga i ściany były gołe. Ale w ostatnim tygodniu umieszczono tam coś i budowla przestała być tajemnicą.

Robotnicy ustawili alabastrowy sarkofag.

Wkrótce potem kamieniarze wykuwali słowa na nadprożu u wejścia:

SACRARIO DE DUCA ALESSANDRO

- To jest miejsce wiecznego spoczynku Carla Nobilego - powiedziała Grace cicho.

- Krypta? - zapytała Mona. - Matka pogrzebie go na polance za moim domem? To potworne!

-Mona...

- Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza, ciociu. A kolację chyba zjem sama w moim pokoju.

Grace usiłowała zatrzymać bratanicę, ale Mona już szła przez rozległy hall klubu, gdzie głowy się odwracały i szeptało za nią.



Na ulicy przed klubem przystanąła i z rękami w kieszeniach spodni oparła się o platan. Ludzie z przejeżdżających samochodów się na nią gapili, na werandzie gromadka kobiet rozmawiała zniżonymi głosami, spoglądając w jej kierunku. Po ulicy latała z wiatrem stara gazeta. Żadna z gazet kenijskich, tylko pierwsza stronica „New York Timesa”, na której był artykuł o skandalicznym procesie Rose Treverton oskarżonej o zamordowanie męża. Mona próbowała zdławić łzy i gniew, upokorzenie, uczucie, że została zdradzona.

Po drugiej stronie ulicy w szarości krótkiego zmierzchu zebrało się kilku żołnierzy, Afrykanów. Rozmawiali cicho i palili jednego papierosa, kolejno go sobie przekazując. Gdy nadeszło dwoje białych, zeszli z chodnika i przepisowo uchylili czapek. Wtedy Mona w jednym z nich rozpoznała Davida Madengeja.

Siedzi na galerii dzień w dzień od początku procesu. Jak sępy, on i jego matka, patrzą na to wszystko - pomyślała. - Jak dwa wielkie czarne ptaszyska czekają, żeby ich łup wyzionął ducha. Nienawidziła tych dwojga, tak jak nienawidziła białych, którzy przychodzili na proces, żeby słuchać i patrzeć, i napawać się haniebnym upadkiem rodziny, którą dawniej uwielbiali.

David przypadkiem spojrzął tam, gdzie stała. Oczy ich się spotkały.

- Mona! - doleciał głos spoza niej.

Odwróciła się. Stojąc w drzwiach klubu, przywoływała ją Grace.

Zaintrygowana Mona weszła za ciotką do hallu, gdzie wszyscy stłoczyli się wokół kogoś przed ogromnym kominkiem z płyt brukowych. Zobaczyła, kto to jest.

- Geoff! - wykrzyknęła i podbiegła do niego.

Pochwycił ją w ramiona, przycisnął do siebie tak mocno, że zabrakło jej tchu.

-Mona, piękniejsza niż kiedykolwiek przedtem. Miałem nadzieję, że wrócę szybciej, ale wiadomo, ta wojskowa biurokracja. -Odsunął ją i z powagą spojrzął jej w oczy. - Bardzo mi przykro z powodu wuja Vala i cioci Rose.

Pomyślała, że po tych pięciu latach w Palestynie jest wyższy i przystojniejszy. I jakiś o wiele starszy, jak gdyby dojrzał pod działaniem gorącego wiatru i piasków Środkowego Wschodu. Geoffrey Donald, trzydziestotrzyletni, już posiwiiał na skroniach i wąsy miał srebrzyste. Widząc na jego twarzy i wokół oczu ślady wojny i niedoli, przypomniała sobie: nieraz omal go nie zabiły bomby terrorystów.

Nie rozmawiali o małżeństwie od tamtego dnia przed wojną, gdy mu powiedziała, że potrzebuje czasu. Nie poruszał tego w swoich listach, niewątpliwie czekał, żeby ona zrobiła następne posunięcie. Zdecydowanie miała taki zamiar teraz po jego powrocie. Zdołam przejść przez ten koszmar, myślała, teraz, kiedy już jesteś tutaj...

- A to jest Ilse. - Geoffrey przesunął się, wskazując nieznaną młodą blondynkę.

- Ilse? - zapytała.

- Moja żona. Ilse, to jest Mona, moja kochana przyjaciółka, o której tyle ci opowiadałem.

Pani Donald wyciągnęła rękę, ale Mona tylko patrzyła na te blond włosy, niebieskie oczy i nieśmiały uśmiech.

- Niestety, Ilse słabo mówi po angielsku. Mona spojrzała na Geoffreya.

- Twoja żona? Nie wiedziałam, że się ożeniłeś.

- Nikt z nas nie wiedział. - James położył dłoń na ramieniu syna. - Najwidoczniej Geoff wyprzedził swój list.

- Cieszę się ze względu na ciebie - powiedziała Mona. - I witaj w Kenii, Ilse.

- Dziękuję - powiedziała oblubienica cicho.

- Ilse uciekła z Niemiec - wyjaśnił Geoffrey, nieświadom druz-goczącego skutku swojej nowiny. Mona musiała się cofnąć i oprzeć

o kanapę. - Całą jej rodzinę wywieziono do hitlerowskich obozów - ciągnął. - Ją wydostali życzliwi i przeschmuglowali do Palestyny. Cholernie dużo czasu nam zabrało wyrobienie jej dokumentów. i niewiele brakowało, żebyśmy nie mogli się pobrać.

- Straszne - wyszeptała Grace. W jedynym w Nairobi kinie widziała kroniki filmowe, przysyłane do Kenii filmy amerykańskie o miejscach zwanych Dachau, Auschwitz... - Z pewnością postaramy się umilać tu Ilse życie, Geoffrey. Niefortunnie, że przyjechaliście akurat na ten straszny proces.

- Od miesięcy piszą o tym w jerozolimskiej gazecie. Wprost nie mogłem uwierzyć! Odwiedzę ciocię Rose, jeżeli to możliwe. I jeżeli mogę w czymś pomóc...

- Pan Barrows to doskonały adwokat.

- Słyszałem o nim.

- Poznasz go przy kolacji.

- Myślę - powiedział James - że skoro Geoffrey wrócił i jest pani młoda, wypada postawić szampana. Zarezerwuję stolik najbliższej ptaszarni, tam jest zawsze najlepsza obsługa.

- Przepraszam - zabrzmiał czyjś taktowny głos. - Kapitanie Donald, mógłbym pana prosić na chwileczkę?

Wszyscy się odwrócili. To był stojący nieopodal Angus McCloud, jeden z urzędników klubu.

- Tak? - zapytał Geoffrey. - O co chodzi? McCloud się zmieszał.

- Czy moglibyśmy porozmawiać sami?

Geoffrey się najeżył, jak gdyby już wiedział, czego ma dotyczyć ta rozmowa.

- O co chodzi? - zapytał James. - Przecież znajdzie się wolny stolik do kolacji?

Szkot się zaczerwienił.

- Niech pan to powie tutaj, panie McCloud - powiedział Geoffrey. - Przy mojej żonie i przyjaciółach.

Grace zdumiona spojrzała na Jamesa.

- Co się dzieje?

- Przykro mi, ale taka jest polityka klubu, panie kapitanie - powiedział Angus McCloud. - Ja tych zarządzeń nie wydałem, po prostu muszę ich przestrzegać. Gdyby to ode mnie zależało, pan rozumie... -Rozłożył ręce. - Ale to sprawa wszystkich innych członków.

- Dobry Boże! - wykrzyknął nagle James. - Chyba nie mówi pan tego, czego ja się domyślam!

McCloud był jeszcze bardziej zakłopotany.

- Geoffrey - powiedziała Grace - powiedz mi, o co właściwie chodzi.

Ze szczęką zaciśniętą Geoffrey mruknął:

- O Ilse. Ona jest Żydówką.

- Więc?

- Żydzi nie mają wstępu do restauracji klubowej. Takie zarządzenie.

Grace spojrzała na Angusa, który spuścił wzrok.

- Zarządzenia niech diabli porwą - usłyszała głos Jamesa. - Zjemy dziś kolację tutaj, i to przy ptaszarni.

- Obawiam się, że nie mogę na to pozwolić, sir James, jeżeli z państwem będzie pani Donald.

- To nie może znaczyć, że pan by...

- Nieważne, ojcze. - Geoffrey objął ramieniem Ilse, która patrzyła na niego pytająco. - Nie chcę jeść w tym cholernym klubie. I nie chcę być członkiem, dziękuję. Moja żona i ja pójdziemy tam, gdzie będziemy mile widziani. I jeżeli takiego miejsca dla nas w Kenii nie ma, to poszukamy go gdzie indziej na świecie!

- Geoffrey! - zawołał James za synem, ale on z żoną już wyszedł.

Mona wstrząśnięta, jeszcze siedząc na oparciu kanapy, patrzyła za nimi dwojgiem: eleganckim oficerem w mundurze i ładną blondynką u jego boku. Potem odwróciła się raptownie i pobiegła z hallu do ogrodu, do swojego bungalowu, gdzie zamknęła za sobą drzwi na klucz.

Rose spokojnie haftowała, gdy przyszła do niej Grace. Za okratowanym oknem szary mrok rozciągał się do kryształowych gwiazd na horyzoncie.

Grace, zanim usiadła, rozejrzała się po tej skromnej celi, która stała się dla Rose domem.

- Rose, porozmawiasz dziś ze mną?

- Czy miejsce wiecznego spoczynku Carla już na ukończeniu?

- Tak, Rose.

Wzdychając, Rose wpięła igłę w płótno, odłożyła gobelin i po raz pierwszy od miesiąca spojrzała szwagierce prosto w oczy.

- Kiedy będzie gotowe, proszę, wydaj polecenia przedsiębiorcy pogrzebowemu. I poproś księdza Vittorio, żeby odprawił za Carla mszę.

- Dobrze.

- Wiesz, Grace - powiedziała Rose spokojnie - Valentine nie był złym człowiekiem. Tylko był niezdolny do miłości. Carlo był miły i delikatny i nikomu źle nie życzył. Torturowali go w obozie jeńców. Widziałam te blizny na jego biednym ciele. Valentine nie miał prawa go zabić w taki sposób... jak zwierzę, związanego i bezradnego. Mam nadzieję, że Valentine po wiek wieków będzie się palił w piekle.

## *Rozdział 41*

Proces coraz bardziej pogarszał i tak już złą sytuację Rose i nawet Barrows zaczynał tracić nadzieję. Wszystkie zeznania najwyraźniej kierowały oskarżenie prosto na hrabinę.

Nadinspektor Lewis z Wydziału Zabójstw zajął miejsce w łoży dla świadków.

- Panie nadinspektorze - zapytał prokurator, przysadkowaty, w za ciasnej czarnej todze i w białej peruce na czubku siwej głowy - czy pytał pan lady Rose, co było powodem sińca na jej twarzy?

- Pytałem.

- I jaką pan otrzymał odpowiedź?

- Lady Rose powiedziała, że upadła i uderzyła się o kant toaletki.

- A jednak swojej rodzinie mówiła, że mąż ją uderzył. Innymi słowy, lady Rose podała dwie różne wersje, czyli jedna z nich jest kłamstwem. Może nawet obie są kłamstwem. Zgodzi się pan ze mną, nadinspektorze, co do możliwości, że lady Rose się uderzyła, gdy jechała na rowerze i z opony nagle zaczęło uchodzić powietrze, wobec czego przewróciła się z rowerem?

Inspektor Mitchell z policji Nyeri musiał zeznawać kilka razy.

- Powiedział pan, inspektorze, że doktor Treverton mówiła panu tamtego ranka, że lady Rose udała się w jakąś podróż.

- Tak. Ale wtedy przyszła milady w szlafroku. Nie wyglądało mi na to, że zamierza dokądkolwiek wyjechać.

- Jak doktor Treverton i sir James zareagowali, kiedy zobaczyli lady Rose w drzwiach?

- Byli dosyć zdumieni. Bo myśleli, że ona już wyjechała.

- Dokąd wyjechała?

- No, zamierzała uciec z Włochem, swoim przyjacielem.

I później:

- Inspektorze Mitchell, zechce nam pan powiedzieć, jak lady Rose zareagowała na wiadomość o śmierci męża.
- Powiedziała: „Nie chciałam, żeby tak się stało”.
- Co rozumiała przez to „tak”? Obrońca wstał.
- Wysoki Sądzie, to nie jest pytanie właściwe.
- Zgadza się, panie Barrows.
- Czy lady Rose mówiła coś jeszcze?
- Owszem. Powiedziała jedno słowo.
- Jakie to było słowo?
- No, w istocie imię. Powiedziała „Carlo”.

Grace obserwowała bratową w czasie tych przesłuchań, patrzyła na jej twarz nieokazującą niczego, tyle że coraz bledszą i mizerniejszą. Co się dzieje, na Boga - zastanawiała się - za tymi zapatrzonymi niebieskimi oczami?

W końcu prokurator wezwał do łoży świadków panią doktor Treverton. Grace powiodła wzrokiem po zatłoczonej sali, po białych pełnych ciekawości, po galeru' z rzędami chciwych oczu.

- Pani doktor, czy pani zbadała siniec na twarzy lady Rose?
- Zbadałam.
- Czy pani lekarskim zdaniem takie uderzenie mogło sprawić, że lady Rose była niezdolna do jazdy rowerem w nocy piętnastego kwietnia?
- Ona mi powiedziała, że straciła przytomność.
- Proszę odpowiedzieć na pytanie, pani doktor. Czy takie uderzenie w twarz zawsze pozbawia przytomności?
- Nie zawsze, ale...
- Czy może pani w jakiś lekarski sposób udowodnić, że lady Rose rzeczywiście wskutek tego uderzenia była czy też nie była nieprzytomna?
- Nie mogę.
- Pani doktor, proszę nam powtórzyć, co pani bratowa powiedziała pani, kiedy inspektor Mitchell zawiadomił o śmierci milorda.
- Rose powiedziała, że nie chciała, żeby on umarł. Wystawiono sztalugi z przypiętym planem pierwszego piętra Bellatu. - Pani doktor, czy to jest plan pierwszego piętra domu Bellatu? -Tak.
- Proszę wskazać pokój, w którym pani spała. Czy to ten ozna-

czony czerwonym X? Dziękuję, pani doktor. Teraz widzimy na planie, że pani pokój był drugi od końca w tym skrzydle. Czy zechce nam pani powiedzieć, czyją sypialnią był ten na końcu.

- Lady Rose.

- To znaczy, lady Rose i lorda Valentine'a?

- Nie. Sypialnia brata była naprzeciw mojej.

- Rozumiem więc, że hrabia i hrabina nie sypiali razem? Grace spode łba spojrzała na tego pompatycznego prawnika.

- Sypialnie mieli oddzielne. Nie wiem, czy sypiali, czy nie sypiali razem.

- Dobrze więc. Ten ostatni pokój był lady Rose. I nie dzieliła go z nikim?

- Z nikim.

- A więc kiedy pani w środku nocy usłyszała kroki za swoimi drzwiami, mógł to być tylko ktoś wychodzący z sypialni lady Rose.

- Albo idący tam...

- Otóż, pani doktor, mówiła nam pani, że popatrzyła wtedy na budzik. O której godzinie usłyszała pani silnik samochodu? - Jak powiedziałam policji, było albo pięć po czwartej, albo dwadzieścia po pierwszej. Nie włożyłam okularów. - Ponieważ, jak ustalono, śmierć hrabiego nastąpiła około trzeciej rano, musimy przyjąć, że usłyszała pani silnik samochodu dwadzieścia po pierwszej i że kroki, które pani usłyszała później, były krokami kogoś wychodzącego z sypialni lady Rose i z domu.

- Mogły to być kroki każdego. Łazienka jest...

- Pani doktor, czy była pani w swojej sypialni tamtej nocy sama?

Zapatrzyła się na niego.

- Przepraszam, co?

- Czy była pani sama tamtej nocy w swojej sypialni, pani doktor?

- Nie widzę w tym żadnego związku ze sprawą.

- Ale to ma związek. Usiłujemy ustalić, gdzie kto był tamtej nocy, kiedy hrabia został zamordowany. Proszę odpowiedzieć na moje pytanie. Czy była pani sama?

Grace popatrzyła na Jamesa siedzącego z Geoffreyem i Moną. Uśmiechnął się.

- Nie, nie byłam sama. - Kto był z panią?

- Sir James był u mnie.

- Ach, tak. I spał na podłodze czy może na szezlongu?

- Nie.

- Więc proszę nam powiedzieć, gdzie był sir James.

- Był w łóżku ze mną.

W sali aż zadudniło. Sir Hugh musiał zawołać o spokój. Aplikant Barrowsa nabazgrał coś na kartce, wydarł ją z bloku i przesunął po stole. Było na niej: „Próbują powiesić całą tę cholerną rodzinę”.

Ostatecznie prokurator przystąpił do wygłoszenia swoich końcowych uwag.

- Panowie przysięgli - huczał jego głos w zatłoczonej sali. - Pokazaliśmy wam, co się stało rano szesnastego kwietnia bieżącego roku na szosie do Kiganjo w odległości mili od zakrętu w kierunku Nyeri. Słyszeliście orzeczenie rzeczoznawcy, że ponad wszelką wątpliwość broń znaleziona w chustce do nosa lady Rose wśród śmieci spalanych w jej śmietniku jest bronią, którą hrabia Treverton został zabity, i że ten nóż należał do lady Rose. Widzieliście wyniki analizy laboratoryjnej świadczące zdecydowanie, że błoto znalezione na siedzeniu obok miejsca kierowcy i na stopniu samochodu hrabiego jest błotem z najbliższego odcinka szosy do Kiganjo. Słyszeliście, jak świadkowie zeznają, że z Bellatu w środku nocy wyjechał samochód i że wkrótce potem słychać było kroki na korytarzu od strony sypialni lady Rose. I znaleźliśmy ten rower porzucony w czasie ucieczki, rower, jak ustalono, pochodzący z posiadłości Trevertonów.

Teraz więc, panowie przysięgli - mówił prokurator - biorąc pod uwagę to wszystko i dodając motywy, które pchnęły lady Rose do popełnienia zbrodni, możemy odtworzyć to, co stało się tamtej nocy.

Opisał wszystko znów od początku taką żywą prozą, dobitną i krasomówczą, że nie było w sali ani jednej ospby, która by nie ujrzała, jak na pustej szosie hrabia zatrzymuje samochód, jak wsiada rowerzystka, jak nóż się wbija w denata, jak kula przeszywa jego głowę i jak morderczyni w panice ucieka.

- To jest nie do pojęcia - ciągnął prokurator - żeby wioząc w bagażniku zwłoki, lord Treverton zatrzymał się na ciemnej pustej szosie na widok kogoś obcego. Dlatego więc możemy wywnioskować, że osoba jadąca za hrabią była mu dobrze znana i że chętnie przyjął tę osobę do swego samochodu.

Pod waszą rozważę, panowie przysięgli, poddaję wniosek, że tą osobą była lady Rose, niewierna żona hrabiego, która zlekła się o życie swego kochanka, uderzona w twarz przez słusznie rozgnie-



wanego męża, więc podążyła za nim w obawie przed jego zemstą i w nadziei, że go powstrzyma, zanim on skrzywdzi Carla Nobilego, wroga rządu Jego Królewskiej Mości.

Ostrzegam was, panowie, nie dajcie się zwieść pozorom. Oskarżona nie jest taka bezradna, jaką chciałaby się nam wydawać. To kobieta, która świadomie udzieliła schronienia oficerowi armii nieprzyjaciela i nie wyjawiała, gdzie on jest, chociaż wiedziała o szeroko zakrojonych poszukiwaniach, i która następnie wdała się z nim w brudny, cudzołożny romans. Kobieta tego rodzaju, powiadam wam, nie jest niezdolna do popełnienia morderstwa z premedytacją.

Gdy prokurator jeszcze mówił, bocznymi drzwiami wszedł woźny. Podchodząc do pana Barrowsa, siedzącego przy stole obrony, dał mu jakąś kartkę.

Barrows przeczytał kartkę i natychmiast wstał. Sędzia, sir Hugh Roper, przerwał prokuratorowi i wysłuchał pana Barrowsa, który poprosił o pozwolenie przedłożenia opinii w nieobecności ławy przysięgłych. W sali zawrzało, zdumiewano się, snuto domysły, gdy Wysoki Sąd zarządził przerwę i wezwał oskarżyciela i obrońcę do pokoju sędziowskiego na prywatną rozmowę. Coś podobnego! Przerwać rozprawę tak późno - w połowie końcowego przemówienia prokuratora.

Nikt nie odszedł daleko od gmachu sądu na czas tej rozmowy prawników. Co więcej, wiadomość się rozeszła i jeszcze tłoczniej niż przedtem zrobiło się w sali po wznowieniu rozprawy. Pan Barrows powołał nowego niespodziewanego świadka.

- Proszę podać sądowi swoje imię i nazwisko.

- Hans Kloppman.

- Gdzie pan mieszka, panie Kloppman?

- Mam farmę w pobliżu Eldoret.

- Zechce pan nam powiedzieć, co pana sprowadziło dzisiaj do Sądu Centralnego Nairobi?

- No, moja farma jest na bezludziu...

Gdy ten świadek mówił, prawie wszyscy w sali, a zwłaszcza przysięgli, widzieli w nim człowieka, którego znali bardzo dobrze, chociaż nieosobiście - kenijskiego farmera. Znali tę ogorzałą twarz, zakurzone ubranie robocze, uczciwe, toporne ręce. On albo był bardzo podobny do nich, albo przypominał im kogoś z przyjaciół czy bliskiego sąsiada. Wszyscy słuchali tego, co Hans Kloppman miał do powiedzenia, nikt nie wątpił o jego prawdomówność.

- Moja farma jest na odludziu. Niewiele tam dociera wiadomości ze świata. Nie miałem kontaktów w tych ostatnich miesiącach i dopiero kiedy pojechałem do Eldoret po dostawy, dowiedziałem się o tym procesie. I wtedy od razu wiedziałem, że muszę przyjechać i powiedzieć swoje.

- Dlaczego, panie Kloppman?

- Dlatego, że to poszło zupełnie na opak. Ta pani nie popełniła żadnego morderstwa.

- Skąd pan to wie?

- Byłem na szosie do Kiganjo tamtej nocy i widziałem tę osobę na rowerze.

W sali zawrzało. Sędzia zaczął wołać:

- Proszę o spokój!

Gdy przywrócono porządek, pan Barrows poprosił tego Holendra, żeby dokładnie opowiedział, co zaszło na szosie do Kiganjo w nocy 15 kwietnia.

- Byłem w Nyeri w interesach i odwiedziłem znajomych. Wjechałem moją ciężarówką na szosę do Kiganjo, a tu patrzę, ten samochód stoi przede mną z prawej strony. Reflektory świecą. Kiedy podjechałem bliżej, zobaczyłem, że ktoś wsiadł na rower i zakręcił. I popedałował po szosie, jak mógł najprędzej.

- On, panie Kloppman?

- Ach, to był mężczyzna, a jakże! Pedałował tak, jakby ten rower mu się palił! Minał mnie i chyba nawet tej mojej ciężarówki nie widział. Pedałował i zarzucało go na błocie, jakby uciekał przed samym diabłem.

- I co potem, panie Kloppman?

- Więc podjeżdżam do tego stojącego samochodu i widzę, że silnik pracuje, zaglądam do środka i widzę: człowiek śpi. No, pomyślałem, ja chyba muszę też zaparkować i trochę się przespać. Więc zostawiłem go w spokoju.

- Mówi pan, panie Kloppman, że tym rowerem jechał mężczyzna. Jest pan tego pewny?

- Och, jak najbardziej. Twarzy nie widziałem, miał kapelusz nasunięty głęboko. Ale to był barczysty mężczyzna i bardzo wysoki. Rower wydawał się dla niego za mały. I on musiał być silny, żeby tak pedałować w tym miękkim błocie.

- Panie Kloppman, zechce pan spojrzeć na oskarżoną, lady Rose, tam za barierką. I proszę nam powiedzieć, czy jest możliwe, żeby ta kobieta była osobą na rowerze, którą pan widział.

Farmer popatrzył na lady Rose. Wyraźnie się zdumiał.

- To maleństwo? Och nie! - powiedział bez wahania. - To nie była ona. Przecież mówię, że to był mężczyzna.

W sali zapanował chaos.

- Mamo! - zawołała Mona, pukając do drzwi sypialni. - Nie śpisz już?

Przytrzymała tacę ze śniadaniem jedną ręką, drugą otworzyła drzwi. Zajrzała. W sypialni nie było nikogo; łóżko, przygotowane do snu, było nietknięte.

Postawiła tacę i zbiegła na dół. Domyśliła się, gdzie matka jest.

Minęły już trzy tygodnie, odkąd proces się skończył. Prokurator wziął pana Kloppmana w krzyżowy ogień pytań i usilnie badał jego wiarygodność, ale w końcu sąd przysięgłych wydał orzeczenie: „niewinna” na zasadzie, że już nie mógł być przekonany o winie hrabiny Treverton „ponad wszelką wątpliwość”. Rose po zwolnieniu spędzała całe dni na polance, zdawałoby się, zgoła nieprzejęta ostatnimi wydarzeniami. Już oczyściła, wyrównała i oprawiła w ramę ukończony gobelin. Poprzedniego dnia wieczorem zaniósła razem z Ndžeri ten ogromny haft na polankę i powiesiła go w mauzoleum Carla Nobilego.

Mona poszła ścieżką przez las za Bellatu. Wkrótce zobaczyła marmurowy dach tego sacrario stojącego jak starożytna świątynia grecka w jakimś leśnym raju. Rose wydała sporo pieniędzy, żeby jej ukochany miał godne miejsce wiecznego odpoczynku: wyasygnowała też fundusz na utrzymanie i konserwację tego grobowca w przyszłości.

Altana i oranżeria jeszcze stały na polance, ale puszcę od północnej strony wytrzebiono. Mauzoleum jaśniało w blasku porannego słońca. Monument wprost niewiarygodny - zważywszy, jak szybko wzniesiony, pomyślała Mona. Wielkości mniej więcej małego kościoła prezbiteriańskiego w Nyeri, w którym mieściło się na ławkach pięćdziesiąt osób. Ale to mauzoleum pozostawało pustą skorupą, był w nim tylko sarkofag alabastrowy, bez żadnych ozdób.

Mona zatrzymała się jak wryta, patrząc na altanę.

Potem krzyknęła:

- Boże! - i podbiegła.

Afrykanka posłużyła się drabiną. Zawiązała sobie jedwabny szalik lady Rose na szyi, drugi koniec szalika przerzucając przez środkową belkę stropu altany, po czym kopnęła drabinę i powiesiła się.

Mona od razu wiedziała, że Ndžeri nie żyje.

- Mamo? - zawołała.

Rozejrzała się po tej spokojnej polanie. Ptaki i małpy gawędziły w zieleni drzew. Smugi słońca migotały na poszyciu. Oranżeria w blasku wyglądała jak klejnot, kwiecie wielobarwnie jak ścianki szlifowanych drogich kamieni mieniło się w świetle padającym przez szklany dach.

- Mamo!

Wbiegła do mauzoleum. Dwuskrzydłowe drzwi nie były zamknięte na klucz. Otworzyła je pchnięciem i zobaczyła ziejącą zimną ciemność śmierci.

Jedyny płomyk, znicz, który miał palić się zawsze nad głową generała Nobilego w sarkofagu, rzucał niesamowitą łunę. Mona stała na tle otwartych drzwi, zapatrzona w kamienną trumnę księcia i w postać wdzięcznie, tragicznie spoczywającą na trumnie.

Wydawało się, że lady Rose śpi. Oczy miała zamknięte, twarz tak białą, jak jej posłanie z alabastru. Czerwone wąskie wstążki krwi znaczyły alabaster od jej nadgarstków do kałuż na kamiennej podłodze.

Później koroner napisał w swoim raporcie, że lady Rose Treverton zmarła przed świtem, ale te rany zadała sobie według wszelkiego prawdopodobieństwa przed północą. Tak więc lady Rose umierała powoli w ciemnościach, w zimnie, sama ze swoim ukochanym Carlem.

## *Rozdział 42*

David Madengej, stojąc na poboczu szosy, patrzył na przejeżdżające ciężarówki. Wiedział, kto nimi jedzie i po co: to biali imigranci, którzy przybyli do Kenii, żeby zagospodarować ziemię rozdawaną przez Wielką Brytanię w ramach nowego planu osadnictwa wojskowego.

Już przeprowadzono taki plan kiedyś - w roku 1919, gdy rząd brytyjski nie wiedział, co zrobić z żołnierzami wracającymi z pierwszej wojny światowej, niemającymi pracy ani dachu nad głową. Aż znalazł rozwiązanie, myślał David. Wyprawił ich do kolonii. Teraz znowu, w tych pierwszych tygodniach roku 1946, żołnierze wracają, w zbankrutowanej Anglii pracy dla nich nie ma, więc dostają przydziały gruntów pod uprawę na kenijskiej „białej wyżynie”. Oczywiście, żeby zrobić miejsce dla przybyszów, usuwa się z najlepszej ziemi afrykańskich „dzikich lokatorów” i przepędza się ich do tubylczych rezerwatów.

To obłąd.

Jaczą krótkowzroczni ludzie, myślał David, rządzą tym imperium. Ze też im się wydaje, że Afrykanie po raz drugi pogodzą się z taką hańbą!

Ziarno buntu już posiane. Młodzi Kikuju pytają jeden drugiego: „Skoro na najżyźniejszej ziemi jest mnóstwo miejsca dla białych osadników, to dlaczego nie może być miejsca dla nas?”. Odpowiedź, że nastanie poważny kryzys gospodarczy, jeżeli szybko się temu nie zaradzi, a w pośpiechu doprowadzić gospodarkę do rozkwitu mogą tylko Europejczycy, bo mają kapitał i kontakty międzynarodowe nie zadowala niespokojnych młodych Kikuju. „Dajcie nam szansę” - mówią swoim głuchym kolonialnym panom. I z braku szansy stają się „dzikusami Nairobi”.

Prawie sto tysięcy żołnierzy afrykańskich, którzy walczyli w niejednej krwawej kampanii brytyjskiej, wróciło do Afryki Wschodniej i zastało w Nairobi wielkie nowe domy, samochody, hotele, sklepy pełne luksusów. Ci mężczyźni przeszkoleni, posiadający wiele użytecznych umiejętności szukali uczciwej pracy. Piętnaście tysięcy spośród nich nauczono prowadzić ciężarówki, ale w Kenii jeździło tylko dwa tysiące ciężarówek. Po prostu nie było miejsc pracy, żeby wchłonąć ten raptowny napływ wykształconych, wykwalifikowanych młodych ludzi, pewnych, że zasługują na uznanie i rekompensatę za służbę wojenną. Ten, kto znalazł zatrudnienie, odkrywał, że dostaje płacę o wiele niższą niż jego żołd w wojsku. Rozgoryczeni, rozżaleni, niezdolni do wysuwania swoich pretensji normalną drogą prawną, ci młodzi bez domu, bez ziemi - dzikusy Nairobi - zaczęli gromadzić się na potajemnych zebraniach, odbywających się w całej prowincji. David wiedział, że tym razem uda im się to, co nie udało się ich poprzednikom, którym w roku 1939 przeszkodził wybuch wojny.

I była różnica pomiędzy młodymi zapaleńcami teraz a tamtymi z czasów, gdy David ledwie zaczynał działalność polityczną. Dzikusów Nairobi nauczyli walczyć ich biali oficerowie.

Ale David nie mógł sobie teraz pozwolić na luksus martwienia się o swoich rodaków. Bo po pierwsze też był bezrobotny, a po drugie Ondżiru wreszcie spodziewała się dziecka.

Odwracając się od szosy i martwiąc się o własną przyszłość, dwudziestoosmioletni David Madengej ruszył wielkimi krokami z powrotem w stronę rzeki, tam gdzie wokół *szembe* stały trzy chaty. Jego matka i żona krzątają się, uprawiają zagony, doglądają kóz, noszą wodę, naprawiają dachy i gotują posiłki, podczas gdy on, syn i mąż, ich opiekun, ich wojownik jest tak do niczego jak dziurawa tykwa.

Uczucie daremności miało bardzo gorzki smak.

Powinna przynajmniej być jakaś pociecha w tym, że dla plantacji Trevertonow nastaly złe czasy. Ale nawet ta myśl nie sprawiła Davidowi przyjemności. W istocie, słysząc o trudnościach *memseeb* Mony z robotnikami rolnymi, nie cieszył się tak, jak cieszyłby się dawniej, tylko myślał, że to niedobra wiadomość. Ostatecznie ta ziemia jest jego i kiedyś będzie mu zwrócona, zgodnie z prorocstwem i zapewnieniem matki. Więc przykro tę ziemię widzieć zaniebdywaną tylko dlatego, że nadzorcy, którzy przedtem wiernie służyli hrabiemu, teraz nie chcą przyjmować poleceń od hrabianki, bo to *memseeb*, kobieta.

Zatrzymał się na czerwonym piachu drogi przy zakręcie do Bel-latu i pomyślał o tych dwóch kobietach, z którymi mieszkał: o matce, nieposkromionej znachorce, chłostającej go wzrokiem; o niezadowolonej żonie, skarżącej się na ślamazarstwo mężczyzn. Ondziru próbowała pobudzić Davida, żeby wstąpił do Unii Kenijskich Afrykanów, nowej wojowniczej organizacji politycznej, coraz bardziej krzepkiej w całym kraju. Ale David miał dosyć walki w Palestynie. Wiedział też, że nie uzbrojeni Kikuju, jakkolwiek liczni, nie sprostają czołgom i samolotom Wielkiej Brytanii.

David uważał, że jeśli w Kenii nastąpi zmiana, to tylko osiągnięta postępowaniem przemyślanym i ostrożnym. Ale jaką moc ma on i tacy jak on, wykształceni, a bezrobotni, żeby wprawić koła w ruch w kierunku owej koniecznej zmiany?

Tylko takie myśli zaprzętały mu umysł przez ten rok, odkąd wrócił ze Środkowego Wschodu. Jeśli się chce mówić tak, by tego słuchano, jeśli się chce przekonać tych u władzy i resztę świata, że słuszna jest sprawa niepodległości Kenii, trzeba być człowiekiem odpowiedzialnym i rozsądnym. Brytyjczycy nie zwracają uwagi na „dzikusów Nairobi” ani na zapaleńców z Unii Kenijskich Afrykanów. Jednakże siadają i rozmawiają z Afrykaninem nauczycielem czy przedsiębiorcą, czy kimś innym, kto się liczy.

Jako właściciel sporej połaci ziemi w sercu najurodzajniejszych obszarów w najurodzajniejszej prowincji, David Madengej będzie miał słuchaczy. Będzie przywódcą.

Ziemia...

Łaknę ziemi jak korzeń wody, pomyślał, jak ptak łaknie przestworzy. Urodziłem się dla niej, jestem z nią związany ciałem i duszą i byłaby moja, gdyby mój ojciec przed trzydziestu prawie laty nie zgłupiał tak, że odstąpił ją białemu. Znów zabrzmiały Davidowi w uszach, teraz, gdy patrzył na plantację Trevertonow, słowa Oczery: „Kiedy ktoś kradnie ci kozę, mój synu, ta koza zostaje upieczona i zjedzona, a ty o tym zapominasz. Kiedy ktoś kradnie ci kukurydzę, ta kukurydza zostaje zmielona i zjedzona, a ty o niej zapominasz. Kiedy ktoś kradnie ci ziemię, ta ziemia zawsze jest na swoim miejscu, a ty nie możesz o niej zapomnieć nigdy”.

David zawsze miał pamiętać, że te żyzne akry były ukradzione jego ojcu, prostaczkowi, i że są nadal jego spuścizną, która powinna być mu prawowicie zwrócona. Ale porywczość i siła, główne atrybuty „dzikusów Nairobi”, w żadnym razie tego nie działy, mówił sobie. Staranne planowanie i ostrożność, branie przykładu z lwa, który obserwuje ofiarę, chodzi za nią, jest wciąż w pogoto-

wiu, by wykorzystać jedną chwilę jej słabości - to będzie broń Davida Madengeja.

Zamierzał odzyskać swoją ziemię legalnie, honorowo i w stanie kwitnącym.

Patrząc w dal na te pięć tysięcy akrów kawy, powziął decyzję.

David zastał Monę Treverton w południowo-wschodniej części plantacji, niedaleko w istocie od fatalnego zakrętu na szosę do Kiganjo. Stojąc w pudle swojej ciężarówki i osłaniając oczy przed słońcem, rozglądała się wokół tak, że wykonała pełny obrót.

- Do diabła! - mruknęła i już miała zejść z ciężarówki, gdy zobaczyła Davida.

Patrzył w górę na nią i nagle przypomniało mu się, jak siedziała ze stoicyzmem w sądzie przez cały czas procesu matki, jak jeździła konno po boisku polo. I nasunęło się wspomnienie tamtej nocy pożaru: dwoje dzieci, on i ona, w chacie operacyjnej, w zatrzaśniętej pułapce płomieni.

Mona patrzyła w dół na niego, nagle marznąc w ten ciepły dzień. Kilkakrotnie w sali sądu podczas procesu zauważyła, że David Madengej ją obserwuje. Tak właśnie obserwował ją teraz. Jego twarz była maską.

- Czego pani szuka, *memseeb*? - zapytał po angielsku.

- Moich ludzi. Znowu uciekli. Czwarty raz w tym miesiącu. -Zeszła z ciężarówki i odgarnęła pasmo czarnych włosów z policzków. - Jagody już dojrzałe do zrywania.

- Gdzie są kobiety i dzieci?

- Wysłałam je do północnej części, do pielienia. Potrzebuję tych mężczyzn!

David przyglądał się jej. *Memseeb* jest rozgniewana, znękana poczuciem swojej bezsilności. Widział przed sobą kobietę już zupełnie samą na świecie, samą w tym wielkim domu na tych pięciu tysiącach akrów, bez męża, bez mężczyzny.

Mona włożyła ręce do kieszeni i przeszła parę kroków. Odwróciła głowę do falistych wzgórz porośniętych kawowcami, przy czym szalik na jej włosach zafurkotał. Odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić.

- Jak ich nakłonić do pracy tutaj? - zapytała cicho.

- Ja wiem, gdzie oni są - powiedział David. Odwróciła się.



- Wiesz?
- Poszli do Mweiga na piwo. Przez kilka dni ich tu nie będzie.
- Ale kawę trzeba zrywać! Dla mnie nie ma kilku dni. Za tydzień cały mój plon przepadnie. Mój plon, pomyślał David.
- Mogę ich sprowadzić z powrotem - powiedział. Mona spojrzała na niego ostrożnie.
- Dlaczego byś to zrobił?
- Dlatego, *memseeb*, że pani potrzebuje zarządcy, a ja potrzebuję pracy. Oczy jej się rozszerzyły.
- Chcesz pracować u mnie? David przytaknął.
- Myślisz, że umiałbyś? To znaczy, tyle tego... - Rozłożyła ręce. Powiedział o studiach w Ugandzie i o dyplomie. Zastanowiła się. Nie była pewna, czy można mu ufać.
- Rzeczywiście, szukam zarządcy - powiedziała powoli. - Ale każdy chce założyć własną farmę. Nikt nie chce pracować na cudzej. Płaciłabym ci dobrze i mógłbyś sobie zbudować dom na tym terenie.
- Będę musiał mieć pełną władzę nad pani ludźmi. Nieograniczoną swobodę działania. To jedyny sposób. Mona się nad tym zastanowiła. Potem pomyślała o czerwonych liczbach w swoich księgach, o długach wzrastających, bo w czasie procesu i w następnych miesiącach zaniedbywała plantację.
- Więc dobrze - powiedziała. - Umowa stoi.
- David spojrzał na jej wyciągniętą prawą rękę, zaskoczony. Nie opuściła ręki. Niepewnie David Madengej uścisnął jej dłoń.
- Możesz zacząć od razu - powiedziała spokojnie.
- Patrzył na te dwie ręce, brązową i białą, splecione uściskiem.

CZEŚĆ SZÓSTA  
ROK 1952

### Rozdział 43

Gdy bóle porodowe się zaczęły, Ondżiru wiedziała, że coś jest niedobrze.

Trzymając się jedną ręką za krzyż, drugą za brzuch, wyprostowała się i zrobiła kilka głębokich wdechów. Meme Oczerza ostrzegła, że z tą ciążą trzeba uważać, ale Ondżiru uparta, nieznosząca bezczynności bodaj przez chwilę, zignorowała zalecenie świekry i poszła do puszczy, żeby nazbierać liści.

To wina Davida, pomyślała, czekając, aż skurcz minie. Jego matka już wkracza w fazę życia, w której powinna na *szembe* mieć do pomocy kilka żon swojego syna, a nie zaledwie jedną. Ale David ożenił się tylko z Ondżiru i przez siedem lat ich małżeństwa nawet nie mówił o kupieniu drugiej żony. Właśnie dlatego Ondżiru, widząc, że Meme Oczerze potrzebne są liście lecznicze, musiała dziś pójść na ich poszukiwanie w puszczy za rzeką.

Samolubstwo Davida oburzało bardziej Ondżiru niż Meme Oczerę, zbyt wiele wybaczącą swemu nieodpowiedzialnemu synowi. Oczerza twierdziła, że David ma jeszcze mnóstwo czasu na kupowanie żon, że bardzo jest zajęty teraz, kiedy zarządza plantacją, więc może spełniać swoją powinność tylko wobec jednej kobiety. I tak - powiedziała świekra - Ondżiru widuje męża rzadziej, niżby chciała, a cóż by to dopiero było, gdyby musiała go z innymi żonami dzielić. Ondżiru nie przyznała jej racji. Już choćby jedna następna żona ulżyłaby w pracy na *szembe*, matka Davida i jej synowa mogłyby wypoczywać w blasku słońca.

Znów zaczęły się bóle, Ondżiru oburącz chwyciła się za brzuch. Nie mogę stracić tego dziecka.

W ciągu siedmiu lat małżeństwa z Davidem Ondżiru Madengej była w ciąży sześć razy. Jednej ciąży nie donosiła, jedno dziecko

urodziło się martwe, troje umarło w niemowlęctwie. Przeżyło tylko to ostatnie, Hanna, krzepka dziewczyneczka, która teraz została ze swoją babką na *szembe*. Ondżiru rozpaczliwie pragnęła mieć drugie zdrowe dziecko. I modliła się, żeby to był chłopiec, bo wtedy duch jej ojca mógłby znowu żyć.

W sprawie imienia tego dziecka David i Ondżiru już się pokłócili. Ona chciała, jeżeli to będzie chłopiec, nazwać go Kamau po jej ojcu, jak prawo Kikuju nakazuje. Ale David życzył sobie dla swoich dzieci imion *ozungu*.

Kiedyś będziemy wolnym niepodległym narodem nowoczesnym - powiedział. - Musimy zrównać krok ze światem. Jeżeli to dziewczynka, niech ma na imię Sara, a jeżeli chłopiec, Christopher.

Ondżiru, chociaż samowolna, musiała być żoną uległą i posłuszną. W jej sercu jednak chłopiec miał się nazywać Christopher Kamau Madengej.

Znów czując bolesny skurcz, Ondżiru spojrzała na niebo, żeby wiedzieć, która jest godzina. Jakiś czas przedtem europejskie władze wprowadziły w okręgu Nyeri godzinę policyjną. A to z powodu „pewnych bezprawnych działań”, wyjaśniono. „W okręgu grasują bandyci i nocą odbywają się zakazane zebrania”. Ondżiru wiedziała, że chodzi o nieuchwytną tajemniczą organizację, która z przyczyn nieznanych nikomu nazwała się Mau-Mau. Jej członkowie ukrywali się w puszczy, na chybił trafił napadali niespodziewanie na farmy białych, po czym znikali w mgłach góry Kenya. Element radykalny - oświadczyły władze - mała grupa bez przewodnictwa, którą doprawdy nie ma co się przejmować poza tym, że kilku białych osadników zgłosiło kradzież bydła. Tak więc obowiązywała godzina policyjna. Od zachodu do wschodu słońca Afrykanom nie wolno było wychodzić z chat.

Słońce, wodnisty krąg na zaciągniętym chmurami deszczowymi niebie, chyliło się teraz ku zachodowi. Ondżiru miała jeszcze trochę czasu przed powrotem na *szembe*. Poszukała miejsca, żeby usiąść z tym ciężarem w brzuchu i zorientować się, czy bóle nie są alarmem fałszywym.

Takie przedwczesne bóle miała, zanim urodziła Hannę. Tylko poleżała wtedy przez parę dni, a bóle powoli ustały i Hanna spała w łonie matki, dopóki w miesiąc potem Pan Jasności jej nie wezwał na świat. Tak samo pewnie będzie tym razem, pocieszała się Ondżiru, siadając na zwalonym pniu.

Jednakże gdy siedziała i wyczekiwała ulgi, zrobiło się zimniej, wilgotniej, niebo jeszcze ciemniej zszarzało.

Niespokojnie zdała sobie sprawę, że bóle nie tylko nie ustają, ale wzmagają się i następują częściej.

Zdecydowała się ruszyć z powrotem. Wstała i odwróciła się w stronę rzeki. Zdrętwiała.

Wśród drzew sunęła szeroka ciemna postać. Odgłosy przy tym były dobrze znane i przerażające: burczenie, chrząkanie, trrr... odrywanej od pni kory.

Słoń!

Czujnie nasłuchiwała. Ile ich jest? Czy to jakiś samotny hul-taj, czy całe stado? Czy to matki z potomstwem, czy młode słonie kawalerowie? Z nagłym lękiem patrzyła, jak wierzchołki drzew chwieją się i drżą, gdy to ogromne zwierzę pasie się, idąc przez puszcę. Wiedziała, że słonie mają zwyczaj na początku deszczów przenosić się z gąszczy bambusowych tam, gdzie w puszczy nie tak gęstej, na zboczach nie tak stromych będzie dla nich więcej pożywienia. Ale nigdy dotąd nie widziała słoni zapuszczających się aż tutaj.

Usiłowała się zorientować, z której strony wiatr wieje. Jeżeli w stadzie są słońtka czy jakiś gniewny stary słoń, jej zapach wywoła niepokój i agresję.

Rozejrzała się w lewo i w prawo. Słyszała z obu stron powolne ciężkie człapanie, „burczenie”, będące mową słoni, trzaski gałązek i kory. One były na lewo od niej i na prawo, i przed nią - duże stado.

Spojrzała przez ramię na zagęszczenie drzew u podnóża górskiego zbocza. Drzewa za nią nie poruszały się, nie dolatywały stamtąd żadne odgłosy. Zdecydowała się pójść powoli w tamtym kierunku i wrócić do domu okrężną drogą.

Uszła niedaleko, gdy zatrzymał ją ostry skurcz. Pochyliła się, chwyciła za brzuch, tłumiąc jęki. Popatrzyła za siebie: słonie się zbliżały, zobaczyła biały błysk kła między drzewami.

Bała się już okropnie. Przyśpieszając swój odwrót w gęstwinę, szła tak szybko i cicho, jak pozwalało jej brzemie, i często spoglądała w tył, żeby wiedzieć, jak daleko jest od słoni. .

Jeżeli matriarcha stada poczuje podmuch ludzkiego zapachu...

Spieszyła się jak mogła w zapadającym mroku. Chociaż dzień raptownie uchodził, nie odważyła się zawrócić w stronę domu, musiała przedtem mieć pewność, że słonie jej nie zagrażają.

Na jej szlaku leżał powróż winorośli. Potknęła się i upadła. Wrzasnęła.

Leżąc, nastawiła uszu. Wszędzie wokoło w puszczy głębokim burczeniem porozumiewały się ze sobą słonie. Leżała nieruchomo na twardej mokrej ziemi w coraz większych ciemnościach.

Stado idzie w ślimaczym tempie - myślała ogarnięta paniką. Wydawało się, że słonie stoją w miejscu. Zrywały kory z drzew, przy czym ich uszy świstały, potężne stopy miażdżyły poszycie. Cała puszcza przyoblekła się w mrok; wszystkie melodie światła dziennego zmieniły się w złowieszcze nocne nawoływania. Ondżiru zawsze bała się nocy, teraz została w noc schwyтана.

Tylko jedno może być jeszcze gorsze, myślała, czekając w udręce, żeby słonie odeszły dalej. Tylko jedno, deszcz. A deszcz właśnie zaczął padać, gdy pozbierała się i ruszyła wreszcie w stronę domu.

Był tylko mżawką, ale zamazywał ciemność, ograniczał widoczność do paru kroków zaledwie. Ni stąd, ni zowąd wystawiał przed Ondżiru straszne kształty drzew i olbrzymich krzaków. Potykając się, schroniła się pod kasztanowiec i nagle powalił ją na kolana gwałtowny skurcz. Wrzasnęła znowu.

To trwało dłużej niż poprzednie bóle i czuła złowróźbne przesuwanie się kości miednicowych.

Dziecko się rodziło.

Nie, pomyślała w panice. Nie tutaj, gdzie mi go ukradną dzikie zwierzęta puszczy.

Z wielkim trudem spróbowała wstać. Przyciągnęła się do pnia kasztanowca, czepiając się kory, aż dłonie jej krwawiły, po czym, gdy już stała, spróbowała pokonać bóle, żeby móc iść dalej.

Zapomniała o słoniach, o liściach leczniczych w porzuconym koszyku i o godzinie policyjnej białego człowieka. Postarała się odepchnąć od drzewa i zrobiła parę przerywanych kroków w mżawkę. Mogła iść. Trzymając się za brzuch, ruszyła przed siebie na oślep, nieświadoma w swej fizycznej męce i mżącej ciemności, że idzie w odwrotnym kierunku.

Ondżiru nie miała pojęcia, jak długo szła. Noc zaległa w puszczy już dawno, deszcz padał bezustannie od wielu godzin. Jej *ken-ge*, barwny turban na głowie, przemókł i oblepił ogoloną czaszkę. Spódnica przywierała do nóg, hamowała kroki. Ale Ondżiru przedzierała się przez deszcz i ciemność, gramoląc się po głazach i zwalonych pniach, macając wśród drzew, których było coraz więcej, aż tworzyły ściany, i rozpaczliwie usiłowała się zorientować, w jakim kierunku ma iść, żeby dojść do domu.

Wiedziała, gdzie jest. Wędrowała po zboczach pasma gór nazwanego przez białych Aberdare i uznanego przez nich za park na-

rodowy, ale dla niej był to obszar *Najenderue*, „Schnąca Skóra”, puszcza przodków. Wiedziała również, że znalazła się samotna, bezradna przed porodem, który może nastąpić lada chwila, w królestwie zabójczego bawołu i czarnego lamparta.

Raz bóle tak ją zmogły, że osunęła się w błoto i długo leżała w zimnym deszczu, zmoknięta, poraniona uciskającymi jej ciało kamieniami i patykami.

Ręce i stopy miała drętwe. Nie czuła tych okaleczeń, nie czuła, że sączy się z nich ciepła krew. Prawie nie zdawała sobie sprawy z deszczu, zimna, głodu. Koncentrowała się na swoim brzuchu, z którego chciało się uwolnić jej dziecko, syn. Ale trzymała go w sobie, niosła ból i mękę przez tę czarną puszcę w głąb strasznej nocy.

- Boże - modliła się rozpaczliwie. Potykała się, upadała, wstawała z błota i znów się rzucała w arktyczną próżnię. - Boże Jasności, dopomóż mi!

Szła dalej. Szarpały nią szloch, gdy mokre gałęzie trzepały ją po twarzy i zacinały w ręce. Bose stopy ślizgały się na błotnistym poszyciu puszczy. Deszcz padał teraz rześisty, przenikał do szpiku kości. Myślała o swojej ciepłej suchej chacie, o posłaniu z kozich skór, o *jugeli* w garnku na ogniu, o uspokajającej obecności matki Davida, która cierpliwie warzy leczniczy napój. Myślała o tym z rozpaczą w tej koszarnej puszczy, dalekiej od nadziei suchego ciepła.

Huknął piorun, ziemia się zatrzęsała. Ondżiru usłyszała trąbienie przerażonych słoń. Zastanowiła się, gdzie one są, czy to jest to samo stado i czy się od nich oddaliła, czy się do nich zbliża. Lodowaty wiatr smagał ją przez mokrą odzież, bóle porodowe były tym ostrzejsze.

Szła dalej w głąb nocy.

Deszcz w końcu przestał padać, spirale niesamowitej mgiełki wznosiły się z ziemi. Ondżiru musiała przedzierać się przez gałęzie ciężkie od wody, zimny wiatr przewiewał ją na wskroś, przemokniętą. Wydawało jej się, że świat lodowacieje i że ją wchłoną zamarzające jeziora i mgły tej niebezpiecznej góry.

Poczuła ciepłą ciecz pomiędzy nogami. Bóle stały się jedną nieprzerwaną wstęgą ognia. Nie mogła oddychać.

Osunęła się, opierając o drzewo. Wiedziała już, że do domu bardzo daleko; zabłądziła, gdy tak wędrowała przez długie godziny, więc dziecko się urodzi w tym zimnym ciemnym piekle. Wszędzie wokoło przemykały dzi-

kie zwierzęta, słyszała to i czuła na sobie łakomy wzrok hieny czekającej, żeby upadła po raz ostatni. Kobiety na targowisku kiedyś jej opowiadały o czymś niespodziewanym porodzie w polu i o tym, jak hieny porwały noworodka.

Ja przedtem mojego syna zabiję, pomyślała, czepiając się drzewa, dysząc, sprężając się, żeby dziecko zatrzymać w sobie jeszcze trochę. A potem zabiję siebie.

Boleją rozdzierały. Krzyknęła. A potem wrzasnęła wniebogłosy.

Upadła. Starła przy tym skórę z policzka o korę, poczuła smak krwi, zobaczyła krew i usłyszała w gęstej mgle cmokanie, pochrzą-kiwanie ścierwojadów.

- Precz! - wrzasnęła.

Pomacała po mokrej ziemi w poszukiwaniu jakiejś broni. Zacisnęła palce na kamieniu. Spróbowała tym kamieniem rzucić, ale była za słaba. Jej życie wyciekało, krzepkie nowe życie wypychało się z jej ciała. Bóle wzmagały się i ustępowały, ulatywały pod niski pułap chmur i do zamglonych gąszczy bambusowych. Teraz była na szczycie góry i wiedziała, że nigdy nie zejdzie na dół.

Ale jej dziecko nie będzie pożywieniem dla zwierząt. Ona nie dopuści, żeby dzikie stworzenia w tej strasznej puszczy żerowały na wnuku wodza wojowników Madengeja.

Oszołomiona i bezsilna, z dzieckiem prawie narodzonym, Ondżiru zaczęła słabo kopać rękami w błocie. Mogła akurat dostatecznie dużo...

\* \* \*

Wydawało jej się, że śpi i że jest ciepło i sucho. Druga jej połowa mówiła, że to złudzenie i że nadal w tym zimnie wykopuje mogiłę dla swojego dziecka. Ale ta pierwsza połowa zapewniała, że ciepło jest naprawdę.

Bo teraz Ondżiru była w tubylczym szpitalu w Nairobi, gdzie przez pięć lat pracowała jako pielęgniarka, zanim pojechała z powrotem do Nyeri, żeby zostać żoną Davida Madengeja.

Kłóciła się z kimś.

Dlaczego nasze uniformy różnią się od waszych? Dlaczego nasze tygodniówki są niższe niż wasze? Dlaczego was nazywają „siostrami”, a do nas się zwracają „dziewczyno”?

Twarz białej zwierzchniczki zmaterializowała się przed Ondżiru. Obłudna twarz tej właśnie, która powiedziała jej, że pielęgniarki Afrykanki po prostu nie mają takich kwalifikacji jak białe.



Potem Ondziru w tym swoim dziwnym śnie przypomniła sobie, że to dlatego porzuciła zawód pielęgniarki. „Dyskryminują nas - poskarżyła się Davidowi. - Afrykanka otrzymuje takie samo przeszkolenie, wykonuje taką samą pracę, ale nie uważają nas za równe białym koleżankom”.

W tym momencie Ondziru otworzyła oczy i po paru minutach pojęła, że patrzy na strop jaskini.

Leżała i biedziła się, czy to rzeczywistość, czy jeszcze jeden sen. Posłanie z suchych liści wydawało się prawdziwe i ból dłoni i ból stóp również. W jaskini było ciepło i sucho, ale jasno tylko pośrodku, gdzie paliło się ognisko.

Rysowały się tam zgarbione sylwetki ludzi siedzących wokół ognia.

Ondziru zagapiła się na nich. Potem zbadła siebie i stwierdziła, że dziecka nie ma.

Spróbowała dobyć głos z krtani: jęknęła. Ktoś z tych przy ogniu wstał i podszedł. Kobieta z noworodkiem na ręku.

- Twój syn - powiedziała spokojnie.

Oszołomiona Ondziru wzięła swojego syna Christophera i przytuliła do piersi. Od razu zaczął ssać. Kobieta uklękła obok. Rysy jej twarzy świadczyły, że pochodzi z plemienia Meru.

W końcu Ondziru zdołała zapytać:

- Gdzie ja jestem?

- Bezpieczna u nas. Nie martw się, siostrze.

Rozejrzała się po tej dużej jaskini. Zobaczyła więcej ludzi, o wiele więcej. Spali w kątach i na kamiennych parapetach. Zobaczyła sprzęty zrobione z bambusów, duże skrzynie oznaczone drukowanymi angielskimi słowami. Panowała cisza, dziwna, zważywszy obecność tylu osób, ale zapachy były swojskie i miłe, a ta kobieta na klęczkach uśmiechała się uspokajająco.

- Kto wy jesteście? - zapytała Ondziru.

- Znaleźliśmy cię w puszczy i przynieśliśmy tutaj. Jesteś wśród przyjaciół. - Kobieta umilkła, po czym oświadczyła:

- Ta ziemia jest nasza. - I spojrzała na Ondziru tak, jakby się spodziewała jakiejś szczególnej reakcji.

Ale Ondziru, wyczerpana i dezorientowana, wyjąkała tylko:

- Ja... nie rozumiem. Kto wy jesteście?

Już bez uśmiechu kobieta powiedziała z powagą, prawie ze smutkiem.

- Jesteśmy *juhuru*, siostrze. Jesteśmy Mau-Mau.

#### *Rozdział 44*

Mona już myślała, że ten pociąg nigdy nie przyjedzie. Ale wreszcie przyjechał. Gwizd lokomotywy, turkot kół, dym kłębamii wzlatujący pod błękitne niebo. Mona, stojąc przy swoim land-roverze, niecierpliwie patrzyła, jak pociąg zwalnia i zatrzymuje się. Nie zwracała uwagi na wagony pierwszej i drugiej klasy, w których siedzieli biali i azjaci - wlepiła oczy w wagon trzeciej. I wreszcie - wydawało się, że to trwa całe wieki - zobaczyła, jak on wysiada.

- David! - zawołała, machając do niego ręką. Spojrzał, uśmiechnął się i odpowiedział machnięciem. Przepchnęła się przez tłum, wybiegła mu na spotkanie.

- Już zaczynałam myśleć, że nigdy nie przyjedziesz! David, brakowało mi ciebie. Jak było w Ugandzie?

Załadowali jego torby na tylne siedzenie land-rovera, Mona usiadła za kierownicą i wyjechali z hałaśliwego dworca.

- Nie mogłem przywieźć pasożytów czerwców - powiedział David na brukowanej jezdni - ale wstąpiłem do Instytutu Badań w Jacarandzie i obserwowałem tam badania nad tymi pasożytami.

- Nie ma na czerwce sposobu?

- Jak dotąd nie ma.

- W okręgu Górnego Kiambu były dwa przypadki choroby jagód kawy.

- Tak, słyszałem. Ale tylko mała część zbiorów przepadła i to opanowano.

Jechali wąską szosą, jedną z wielu wybrukowanych przez jeńców wojennych w czasie wojny; szosa wiała się po wzgórzach pomiędzy Kiganjo i plantacją Trevertonow w zielonym urodzajnym rejonie rolniczym, gdzie krągłe małe chaty Kikuju stały wśród za-

gonów kukurydzy, bananów i trzciny cukrowej. Dzieci afrykańskie zatrzymywały się przy szosie i okrzykami witały przejeżdżający samochód. Kobiety, idąc równoległą do szosyścieżką, mozolnie niosły wodę w tykwach czy drewno przypasane na plecach rzemieniami zasupłanymi na czołach, ale podnosiły powitalnie ręce. Mona odpowiadała na te powitania nagle szczęśliwa po smętnych dwóch miesiącach zarządzania plantacją bez Davida.

- Czego jeszcze dowiedziałeś się w Jacarandzie? - zapytała, zerkając na niego. Słyszała nie dawniej niż przed paroma dniami od ciotki Grace, że David Madengej jest wykapanym obrazem swego urodziwego ojca, wojownika.

- Nadal tam uważają, że smar to najpewniejszy - sposób na czerwce. Komisja Kawy zaleca Syntherbite i Ostico.

Stacja badawcza w Jacarandzie eksperymentuje z dieldrinem, nowysi środkiem owadobójczym z zakładów chemicznych Shells - David przesunął się, oparł łokieć w otwartym oknie i spojrzał na Monę. - Go na plantacji?

- Udało mi się sprzedać ostatnie zbiory po czterysta dwadzieścia pięć za tonę.

- To dużo więcej niż w zeszłym roku. Roześmiała się.

- Ale koszta prowadzenia plantacji też wzrosły! Och, David, tak się cieszę, że wróciłeś.

Patrzył na nią przez chwilę, po czym odwrócił wzrok. Zielone wzgórza i czerwone piachy szlaków przelatywały wokoło; gęste kępy bananowców wyglądały jak wytrawione na lazurze nieba. Spirale dymów niosły się z niezliczonych stożkowatych strzech. Był to spokojny swojski krajobraz, do którego w Ugandzie David tęsknił. I do Mony tęsknił także.

- Wstąpisz do mnie na herbatę? - zapytała Mona, skręcając sprzed fasady Bellatu w bok. Zaparkowała samochód pomiędzy poobijaną, używaną codziennie ciężarówką fordem i zakurzoną limuzyną cadillac, nieruszoną od pogrzebu lady Rose przed siedmiu laty. - Czy może chcesz wypocząć?

David wysiadł i otrzepał spodnie z kurzu.

- Przespałem się w pociągu. Z przyjemnością się napiję.

- Świetnie. - Mona weszła przed nim po kuchennych schodkach.

W jadalni powiedziała:

- Dziś rano znów miałam rozmowę z Salomonem. Przypiekał grzanekę nad ogniem.

- Co w tym złego?

- Trzymał tę grzanekę w palcach nóg!

David parsknął śmiechem. Mona, też się śmiejąc, jeszcze coś chciała mu powiedzieć, gdy zaskoczyło ją nagłe ukazanie się kogoś w drzwiach.

- Geoff! - wykrzyknęła. - Nie widziałam twojego samochodu.

- Ojciec mnie tu podrzucił. Pojechał dalej do misji, do cioci Grace.

- Czy jesteś z Ilse? Właśnie będziemy pić herbatę. Geoffrey szybko, potępiająco spojrzał na Davida.

- Niestety - powiedział - to nie jest wizyta towarzyska. Musimy porozmawiać na osobności, Mona. Mam dla ciebie wiadomość, która cię raczej zdenerwuje.

- Co się stało?

Znów znacząco spojrzał na Davida.

- Wypiję herbatę później, Mono - powiedział David. - Muszę pójść do matki i do Ondziru.

- David - Mona dotknęła jego ręki - proszę, wróć, zjemy razem obiad.

- Dobrze - zgodził się. - i powinienem przejrzeć księgi.

- Doprawdy, Mono - powiedział Geoffrey po jego odejściu. - Nie rozumiem, dlaczego pozwalasz, żeby ten chłopiec mówił ci po imieniu.

- Nie wybrzydzaj, Geoff. - Jak już nieraz, zdziwiła się w duchu, że kiedyś zamierzała wyjść za tego kołtuna! - Czy wciąż mam ci powtarzać, że David Madengej nie jest „chłopcem”? Jest u mnie zarządcą. I moim przyjacielem. No, co to za denerwująca wiadomość?

- Nie słuchałaś radia dziś rano?

- Geoffrey, wstałam przed świtem i do południa byłam w szopach przetwórczych. Potem musiałam pojechać na stację po Davida. Nie, nie słuchałam radia. Co się stało?

Geoffrey wolałby powiedzieć, że Mona mogłaby po Davida kogoś posłać, co ze wszech miar byłoby stosowniejsze, ale wiedział, że to się na nic nie zda. Wyjaśnił powód swojej wizyty.

- Gubernator ogłosił w Kenii stan wyjątkowy. -Co?

- Wczoraj wieczorem, żeby wykończyć Mau-Mau, aresztowano Kenyattę i kilku z jego kumpli.

- Przecież nie ma żadnego dowodu na to, że Kenyatta stoi za Mau-Mau! Dwa miesiące temu publicznie odżegnał się od tych akcji terrorystycznych!

- Ale trzeba im położyć kres. Założę się o wszystko, że teraz, kiedy stary Jomo za kratkami nie może utrzymywać łączności, szybko ustana.

Mona odwróciła się, przyciskając dłoń do czoła.

- Co to znaczy: stan wyjątkowy?

- To znaczy, że dopóki ci bandyci nie wyjdą z puszczy, żeby się poddać, będzie nas obowiązywał specjalny rygor policyjny. Podeszła do wykładanego kaflami parapetu, na którym pomiędzy elektrycznym ekspresem do kawy i elektrycznym wyciskaczem do cytrusów stał żółty plastikowy radioodbiornik. Kuchnia Bellatu od roku 1919, gdy ten dom zbudowano, została poddana kilku renowacjom, z których ostatnią dwa lata temu było zastąpienie starego pieca kuchennego Dover nowoczesną kuchenką gazową.

Mona włączyła radio i rozbrzmiały dźwięki modnego szlagieru. Kręcąc gałką, szybko złapała daleki Kair, po czym natrafiła na rozgłośnie Nairobi.

- Niewątpliwie Kenię czekają kłopoty - przemawiał gubernator, sir Evelyn Baring - ale apeluję do wszystkich obywateli, żeby zachowali spokój i starali się nie wywoływać alarmu przekazywaniem pogłosek. Podpisałem proklamację stanu wyjątkowego w całej kolonii. Jest to poważny krok, podjęty przez rząd Kenii bardzo niechętnie, z wielkimi oporami. Jednakże nie było alternatywy wobec rosnącego bezprawia, przemocy i zamieszek w pewnej części kolonii. Do takiej sytuacji doprowadziła działalność ruchu Mau-Mau. Po to, by przywrócić prawo i porządek oraz umożliwić spokojnym, lojalnym ludziom wszystkich ras bezpieczne zajmowanie się swoimi sprawami, rząd ustanawia doraźne przepisy, pozwalające na aresztowanie pewnych osób, które, zdaniem rządu, są zagrożeniem bezpieczeństwa publicznego. Mona spojrzała na Geoffreya.

- Co to znaczy: pewne osoby?

- W tym celu - ciągnął sir Evelyn - następują przegrupowania policji i sił zbrojnych. Ponadto sprowadzamy do Nairobi drogą powietrzną batalion brytyjski, pierwsze oddziały przybyły tej nocy. I w dniu dzisiejszym zawinie do Mombasy okręt wojenny „Kenia”.

- Wojsko! - powiedziała Mona, wyłączając radio. - Czy to rzeczywiście konieczne? Nie miałam pojęcia, że jest aż tak źle!

- Z początku nie było Mau-Mau, cokolwiek, do diabła, ta nazwa nam mówi. Ot, tylko garstka fanatyków, dzikusów Nairobi, bezrobotnych i bezdomnych. Ukrywali się w puszczy, od czasu do czasu robili wypadki, głównie po żywność i pieniądze. Tu i ówdzie ginął

policjant, stwierdzało się kradzież bydła, czyjaś chata podpalona spłonęła. Ale najwyraźniej dołącza do nich coraz więcej niezadowolonych młodych tubylców i zjawisko się rozszerza. Obawiam się, że nas wszystkich to zaskoczyło. Jesteśmy za mało przygotowani.

Monie nagle zrobiło się zimno. Podeszła do kuchenki, postawiła czajnik na ogniu. Mau-Mau było określeniem, które po raz pierwszy usłyszała przed dwoma laty, gdy mało kto poza Secret Service zwracał na nie szczególną uwagę. Potem zaczęły się incydenty: włamanie do komisariatu i kradzież broni; podpalenie pola kukurydzy; pogrozki na piśmie tajemniczo rozrzucone wszędzie w Nairobi. Miesiąc temu banda Afrykanów napadła na misję katolicką i po zamknięciu misjonarzy w jednym z pomieszczeń uciekła, zabierając pieniądze i śrutówkę. W tydzień później na targowisku Madzengo znaleziono powieszzonego psa - tak Mau-Mau ostrzegali wszystkich białych osadników. I w końcu, nie dawniej niż dwa tygodnie temu, w biały dzień z rąk nieznanego sprawcy poniósł śmierć pewien naczelnik plemienny, bardzo szanowany zarówno przez Afrykanów, jak i białych.

Geoffrey odszedł od drzwi, założył ręce na piersiach i oparł się o zlew.

- Miara się przebrała - powiedział cicho - dzisiaj rano. Znasz Abła Kamau, tego mleczarza w Mweiga?

Mona przytaknęła. Abel Kamau był jednym z tych afrykańskich żołnierzy, którzy przywieźli sobie z wojny europejskie żony. Kamau osiedlili się w odległości kilku mil od Bellatu i prowadzili ciche, spokojne życie, jak inne nieliczne w Kenii małżeństwa międzyrasowe, nie należąc ani do społeczności Afrykanów, ani do społeczności białych; ludzie poza nawiasem, wyklęci przez swoje rodziny. Mona знаła ich i uważała, że są sympatyczni. Mieli czteroletniego synka.

- Napad był w nocy - powiedział Geoffrey. - Zmasakrowani w łózkach. Prawie nie można było ich rozpoznać. Policja mówi, że to od ciachnięć pangą.

Mona oparła się o krzesło.

- Boże! A ten mały?

- Żyje, ale chyba nie będzie żył. Te zbiry wylupiły mu oczy.

- Boże miłosierny! Dlaczego?

- Oczy potrzebne są Mau-Mau do ceremonii zaprzysiężenia. - Geoffrey przysunął krzesło do krzesła Mony i usiadł przy kuchennym stole. - Kamau narazili się tym, że pogwałcili tabu rasowe. Jak wiesz, małżeństwo mieszane bulwersuje Afrykanina tak samo

jak białego. Wielką zbrodnią Abla Kamau było to, że ożenił się z białą, a także to, że był lojalistą. Mau-Mau najwyraźniej biorą się nie tylko za białych na odludziu, ale za Afrykanów, którzy popierają rząd kolonialny. Czajnik gwizdał, Mona spojrzała na Kuchenkę, ale się nie ruszyła.

- Ale jakąż, na Boga, zbrodnię popełnił ten chłopczyk? - wyszeptała.

- Jego ojciec spał z białą kobietą.

Wreszcie Mona wstała od stołu i zaparzyła herbatę. Zgasła jej poranna radość wywołana powrotem Davida.

- Czy policja wie, kto to zrobił?

- Wie. Czege, służący Kamau. Mona wykonała pełny obrót.

- Niemożliwe. Czege to miły i życzliwy staruszek, muchy by nie skrzywdził. No i był przyjacielem ojca Abla!

- Tak, i na tym polega potworność tego wszystkiego. Mau-Mau zaczynają działać za pośrednictwem ludzi, którzy są blisko ich upatrzonego celu.

- Ale jak mogą? Czege był oddany Ablowi i jego żonie. -Miłość i oddanie, Mono, są niczym w porównaniu z mocą przysięgi Mau-Mau.

Wiedziała o takich przysięgach, słyszała o nich przez całe życie. Kikuju, przysięgając, wiąże się na zawsze ze swoim słowem. Jest to integralna część społecznej struktury plemiennej, tak obwarowana odwiecznymi przesadami i tabu, że niewielu Kikuju nie dotrzyma raz złożonej przysięgi.

- Ale jak oni zdołali zmusić człowieka, żeby przysiągł wbrew woli i potem, żeby popełnił ohydny zbrodnię?

- Przysięga to dla nich środek podporządkowania sobie ludzi. Do złożenia przysięgi zmuszają zastraszaniem. Czege najprawdopodobniej wprowadzili, wywieźli do puszczy i dopełnili tam jakiegoś obleśnego obrzędu, zanim go puścili z powrotem.

- Ale skąd mieli pewność, że on wykona ich rozkazy?

- Mau-Mau mogą być pewni każdego, kogo przemocą zaprzysiężyli. Nawet jeżeli sama przysięga nie przerazi takiego nieboraka dostatecznie, żeby robił wszystko, co mu każą, poskutkuje groźba egzekucji.

Mona postawiła na tacy czajnik, filiżanki i cukiernicę, i z tacą wyszła z kuchni. W saloniku zastała Ilse, żonę Geoffreya, nad katalogiem wysyłkowym Searsa, reklamą „torebek dla nastolatków z końskimi ogonami, pijących coca-cola”. Ilse przez siedem lat mał-

żeństwa z Geoffreyem roztyła się, a teraz w ciąży była jeszcze grubsza.

- Ojej - powiedziała, odkładając katalog - takie zło! I pomyśleć, że tak blisko nas!

Mona zobaczyła, jak wyraźnie ona jest wstrząśnięta. Przypomniała sobie, że gospodarstwo rolne Kamau jest oddalone od Kilima Simba o niecałą milę.

Zamyślona, mieszała cukier w swojej herbacie. Nigdy nie słyszała przemówień Kenyatty, ale czytała ich fragmenty w gazetach. Kenyatta był przywódcą UKA, Unii Kenijskich Afrykanów, coraz potężniejszej organizacji politycznej, dążącej z zapamiętaniem, jak oświadczył, do zwalenia bariery koloru w Kenii, do uzyskania więcej ziemi, więcej oświaty, więcej przewodnictwa dla Afrykanów, przy czym jej celem ostatecznym jest samorząd. „Chodzi nam tylko o jedno - powiedział ten charyzmatyczny Jomo - a mianowicie o pokój”.

Pomimo ciągłego odżegnywania się Kenyatty od Mau-Mau rząd uznał, że Kenyatta i UKA jednak stoją za tym terroryzmem, i kazał go aresztować. Niebezpieczne posunięcie, pomyślała Mona, i być może bardzo głupie.

- Nie ma czego się obawiać - powiedział Geoffrey. - Ta sprawa Mau-Mau rozpadnie się, kiedy nie będą mieli przywódców. Baring obiecuje, że Kenyatta nigdy nie wyjdzie na wolność. I żeby pokazać, że to nie żarty, mamy rozmieszczony w całej prowincji ekwiwalent sześciu batalionów jako dodatek do trzech kenijskich batalionów Królewskich Strzelców Afrykańskich, jeden batalion z Ugandy operujący w Rift i dwie kompanie z batalionów Tanganiki. Wczoraj wieczorem przylecieli znaną Kanału fizylierzy Lancashire. Wylądowali na lotnisku Królewskich Powietrznych Sił Zbrojnych w Eastleigh i mają czekać w Nairobi jako rezerwa w pogotowiu. Poza tym tworzymy straż obywatelską z Afrykanów, byłych żołnierzy, którzy brali udział w wojnie i są lojalni. Mówię ci, Mono, cieszę się, że w końcu pokazujemy twardą rękę. Niech widzą tubylcy i niech widzi świat, że potrafimy w każdej chwili bronić naszej kolonii „z powietrza i z morza”.

- Zastanawiam się... - zaczęła Mona, patrząc w duże okno saloniku, przez które wspaniały dzień rzucał blaski równikowego słońca na ponuro wytworne, stare meble Bellatu. Wielką werandę ob-ramowały jaskraworóżowe i pomarańczowe bugenwille, dalej, na łagodnych zboczach, falowały zielone kawowce, a jeszcze dalej, w bezchmurnym majestacie, fioletowa poniżej ośnieżonych szczy-



tów wznosiła się góra Kenya. - Zastanawiam się, Geoffrey, czy gubernator w gruncie rzeczy nie popełnił błędu. Wprowadzeniem takich sił wojskowych on właściwie pokazuje światu i Mau-Mau, że rząd białych osadników w Kenii nie ma możliwości obronić kolonii sam.

- Boże drogi, Mono, mówisz tak, jakbyś chciała, żeby tubylcy zarządzili tym krajem.

- Myślę, że pragnienie rządzenia swoim krajem nie jest nierozsądne.

- No, po części się z tobą zgadzam. Wołają o samorząd od lat, wiem o tym. Bo naprawdę, do diabła, to bez sensu, że jeszcze musimy odpowiadać przed Whitehall. Ale ja mam na myśli samorząd białych.

- Geoffrey, nas w tym kraju jest czterdzieści tysięcy, a Afrykanów sześć milionów! Musi być już jasne dla ciebie i dla wszystkich, że rodezyjski model apartheidu nigdy nie przyjmie się tutaj w Kenii. Nie mamy takiego prawa.

- Mylisz się, Mono. Owszem, mamy prawo. Nie zapominaj, jakich cudów w Afryce Wschodniej dokazała nasza maleńka mniejszość. Brytyjski podatnik, Mono, najmocniej uderzony po wojnie, ładuje w tę kolonię ogromne sumy pieniędzy... pieniędzy, które pomagają Afrykanom. Zważywszy to, co my dla nich robimy... rzeczywiście wydzwignęliśmy ich przecież z epoki kamiennej... zważywszy, jak dbaliśmy o nich przez te wszystkie lata, przerażający jest fakt, że doszło do obecnej sytuacji. Gdyby mnie kto pytał, Mono, powiedziałbym, że byliśmy głupcami, nie przyjmując planu Montgomery'ego, kiedy mieliśmy możliwość.

- Co to był za plan?

- W czterdziestym ósmym roku marszałek Montgomery przedstawił plan założenia w Kenii baz wojskowych, bo przewidywał bez pudła spór, jaki się toczy teraz. Nie usłuchaliśmy go, więc Afrykanie ułatwili robotę komunistom i właśnie rezultat widzimy teraz. Cały ruch Mau-Mau, zapewniam cię, opiera się na wytycznych komunizmu.

- Och, Geoffrey. - Mona się zniecierpliwiła. - Nadal uważam, że to ich kraj tak samo jak nasz i że nie powinniśmy lekceważyć uczuć i potrzeb sześciu milionów ludzi.

Uśmiechnął się do niej cierpko.

- Czy naprawdę ci się wydaje, że oni są zdolni do stanowienia o sobie? - Parsknął śmiechem. - Już słyszę naszych tubylców: „Dajcie nam tę robotę, to popsujemy narzędzia”.

- Jesteś niesprawiedliwy.

- I powiem ci, że oni są cholernie niewdzięczni! Ale czego tu się spodziewać? W języku Kikuju nawet nie ma słowa „dziękuję”. Myśmy ich musieli tego słowa nauczyć.

Wstał raptownie. Nie cierpiał takich dyskusji z Moną. Ona go rozwścieczała. Wszystko w niej go drażniło: jej poglądy polityczne, jej sposób życia - zwłaszcza sposób życia.

Mona jest ładna, myślał, byłaby nawet uderzająco ładna, gdyby tak uparcie nie robiła z siebie wiejskiej gospodyni.

Bardzo dobrze łączy się w niej podobieństwo do obojga rodziców: pięknej matki i przystojnego bruneta ojca.

Powinna to wykorzystać, ubierać się efektownie, od czasu do czasu wybrać się do fryzjera. Cóż kiedy się upiera, żeby te długie czarne włosy zwyczajnie wiązać z tyłu, i nosi męskie koszule. Nie ma ani odrobiny stylu, myślał. Całe dnie spędza na polach kawy, pracuje razem ze swoimi Afrykanami. Najwyraźniej nie odziedziczyła po rodzicach ich pańskości. Czasy szampana i rozgrywek polo niestety minęły, jak gdyby Valentine zabrał je, umierając. Pokoje gościnne na górze od dawna są zamknięte. Limuzyny już nie podjeżdżają przed dom; wesołe uroczystości nie rozjaśniają ponurych salonów. Jedynymi gośćmi Mony są mężczyźni z Komisji Kawy i tacy jak ona plantatorzy. Z nimi ona pije brandy, pali papierosy i rozmawia o cenach na rynku światowym. Monie przydałby się mężczyzna, który by jej przypomniał, że jest kobietą. Geoffrey zdecydował, że ten mężczyzna to on.

Sumienie go ruszyło, więc spojrzał na swoją żonę w bawełnianym chałacie ciążowym, grubą, zadowoloną, interesującą się jedynie własnymi dziećmi. Po czterech ciążach, teraz w piątej, wcale już nie wzbudzała pożądania. Dobra z niej matka, przyznał Geoffrey. Ale jako partnerka w łóżku dawno straciła wszelki urok. Jak mógł się z nią ożenić tylko ze współczucia, bo była prześladowana? Przecież powinien był wrócić po wojnie do Mony!

Coraz trudniej mu przychodziło zdławianie namiętności. Zdumiewał się, że Mona może tak żyć w celibacie. To nienaturalne. Czy nigdy nie zatęskniła do zbliżenia z mężczyzną? A jednak, o dziwo, nie ma w jej życiu żadnych mężczyzn poza znajomymi, wyłącznie na płaszczyźnie interesów. Geoffrey nie wątpił, że drzemie w niej pragnienie i że nocą, samotna, myśli o swoim wyjałowionym życiu. Na pewno dojrzała do tego, by zjawił się właściwy mężczyzna. Któregoś dnia, obiecał sobie, albo którejś z tych nocy poddam się żądzy, przyjadę do Bellatu, zastanę ją samą. I ona będzie gotowa dla mnie, tak jak ja będę gotów dla niej.

- W każdym razie - powiedział, podchodząc do okna, nadal pomimo swoich czterdziestu lat szczupły, na tle jasności pałdziernikowego słońca - zamierzam pokazać tym bandytom Mau-Mau, że mnie nie zastraszą. W moim przedsiębiorstwie nic się nie zmieni, jakkolwiek zaszkoziła mu prasa. Niech tylko ten rwetes z Mau--Mau ucichnie, a zapewniam cię, że będę znowu miał ruch w interesie.

Mówił o swojej embrionalnej agencji turystycznej, którą założył po wojnie, gdy zwolniono go z wojska. Sprawdziła się jego przepowiednia, że wojna zapoczątkuje nową erę w turystyce. Na całym świecie wracający do domów żołnierze raczyli swoje rodziny opowieściami o egzotycznych miastach i krajach, jakie na własne oczy widzieli: o Paryżu, Rzymie, Egipcie, Hawajach, południowym Pacyfiku. Te odkrycia wraz z niedawnym otwarciem pasażerskich linii odrzutowców, co bardzo skracało czas podróży, sprawiły, że raptem nastąpiła wszechświatowa moda na zwiedzanie. Agencja Turystyczna Geoffreya Donalda, kielkująca w saloniku Donaldów w Kilima Simba, była jak dotąd we wczesnym trudnym stadium. Kenia jeszcze nie zapadła w umysły przyszłych wakacyjnych turystów. Geoffrey na razie tylko organizował łowieckie safari, ale miał zamiar zaoferować coś zupełnie nowego: safari fotograficzne.

- Pracuję nad kampanią reklamową. - Znów siadając, żeby dopić herbatę, zmienił temat, zdaniem Mony rozwścieczając z ręcznie. - Zamówiłem projekt broszury z fotografiami lwów, żyraf i tubylców, i zaręczam, że manchesterski robotnik może cieszyć się dwutygodniową przygodą w Afryce z gwarancją wygód i bezpieczeństwa. Teraz, kiedy mamy, dzięki sumiennej pracy cioci Grace, rezerwy dzikich zwierząt, moglibyśmy równie dobrze wyciągać z nich gotówkę.

- Ale nawet z naszymi dzikimi zwierzętami - powiedziała Mona - nie wiem, co poza tym Kenia ma do zaoferowania przeciętnym turystom. Mogą się znudzić, wciąż tylko pstrykając zdjęcia zwierząt.

Jednym z mankamentów Mony, pomyślał Geoffrey, jest brak wyobraźni.

- To załedwie część mojego nowego programu. W tej broszurze będą fotografie hoteli w Nairobi. Położę nacisk na luksus, kuchnię, nocne życie. Nairobi wreszcie osiąga status wielkiego miasta.

Mona się roześmiała.

- Teraz już potrzebujesz tylko sloganu. Może: „Wita was Nairobi, miasto w słońcu”?

Zabierając puste filizanki, nie zauważyła, że Geoffrey wyciągnął z kieszeni kurtki khaki mały notes i coś napisał.

- No, Mona, nie obawiaj się - powiedział w kilka minut później w kuchni, gdy razem z Ilse miał już Monę pożegnać. Zaciśnął dłoń na jej przedramieniu. - Ręczę, że skoro Kenyatta jest odcięty od swoich leśnych zbirów, oni czmychną z podkulonymi ogonami i ta cała sprawa się skończy.

Podszedł do niej bliżej. Widziała opalone fałdki skóry wokół jego oczu.

- Ale jeśli rzeczywiście się boisz - powiedział cicho - i gdybyś w nocy się obudziła i myślała, że ktoś jest w domu, zatelefonuj do mnie. Natychmiast przyjadę. Dasz mi słowo, że zatelefonujesz?

Odeszła od niego, dała Ilse koszyk.

- Trochę miodu dla dzieciaków - powiedziała. Wychodząc, zatrzymał się na kuchennych schodkach.

- Popatrz, czyżby przesłuchiwali twojego chłopca?

Wyrzała. Nieopodal podjazdu trzej *askari* z Rezerwy Policji Kenijskiej, w granatowych pulowerach i czerwonych wysokich fezach, najwidoczniej legitymowali Davida.

Geoffrey odwrócił się do niej.

- Musisz być ostrożna z tym facetem.

Ze swej zawziętej antypatii do Davida nie robił tajemnicy. Kością niezgody między nim i Moną było to, że nieustannie potępiał jej przyjaźń z zarządcą Afrykaninem.

- Ja Davidowi ufam - powiedziała Mona.

- Niemniej w ciągu najbliższych kilku tygodni do odwołania stanu wyjątkowego radzę, żebyś była z nim bardzo ostrożna. Rozstała się z Geoffreyem i jego żoną przy schodach prowadzących ze wzgórza do misji i poszła tam, gdzie David stał z *askari*.

- O co chodzi? - zapytała.

Policjanci byli grzeczni, mówili po angielsku z urywanym śpiewnym akcentem wykształconych Afrykanów.

- Pani daruje wtargnięcie, *memseeb*, ale spalili dziś rano jedną farmę, więc wszystkich przesłuchujemy.

- Farmę? Którą?

- Muhoriego Gederu. Jego dom spalony, bydło zabite. To robota Mau-Mau.

- Skąd wiecie?

- Zostawili wiadomość. Napisali: „Ta ziemia jest nasza”.

- Co to znaczy?

- To jest przysięga Mau-Mau.

- Za pana Madengeja mogę zareczyć. Dziś rano był w pociągu, jechał z Nairobi.
- Pani daruje, *memseeb*, ale ten pociąg był dzisiaj spóźniony, zatrzymał się dłużej w Karatinie, a farma Gederu jest właśnie tam.
- Jednak ręczę za niego. Do widzenia.

Idąc z Davidem do domu, gdzie miała z nim przez całe popołudnie przeglądać księgi, rachunki i korespondencję, omawiać jego pobyt w Ugandzie i starania, by znaleźć sposób na inwazję czerwców, powiedziała:

- Nie wierzę w te okropności Mau-Mau. Słyszałeś, że jest stan wyjątkowy?
- Słyszałem. Weszli do kuchni.
- Każę Salomonowi zrobić dla nas kanapki - powiedziała. - Och, gdzie się podział ten stary leniuch?
- Mną się nie przejmuj, Mono. Nie jestem głodny. Jadłem w pociągu.
- Co zatrzymało pociąg w Karatinie? Nie wiesz? Odpowiedział po chwili:
- Nie wiem.

Mona już dawno przyswoiła sobie gabinet ojca: usunęła wszystkie jego trofea, puchary i fotografie. Grube pluszowe draperie zastąpiła zasłonami z kretonu i również kwiecistym kretonem pokryła poprzecieraną tapicerkę ciężkich mebli sprowadzonych z Anglii przed trzydziestu trzema laty.

Usiadła teraz przy dużym dębowym biurku. David przysunął krzesło i usiadł obok niej.

- Jak się czuje malec? - zapytała, wyciągając z szuflady książki rachunkowe.
- Mój syn? Świetnie.
- A Ondziru?
- Znów się pokłóciliśmy. - David westchnął. - Przyjechałem po dwóch miesiącach, a-moja żona mnie wita utyskiwaniem.

Mona wiedziała o tych kłótniach. Ondziru chciała, żeby David dokupił sobie żony, które by dotrzymywały jej towarzystwa i pomagały w pracy na *szembe*; chciała, żeby dał się wybrać na przywódcę miejscowego oddziału UKA, chciała, żeby wyprowadził się ze zbudowanego przed sześciu laty domku zarządcy i zamieszkał razem z nią i swoją matką nad rzeką.

Chociaż Ondziru powtarzała żądania raz po raz, David nie ustępował. Mona była z tego rada. O działalności UKA nie miała wyro-

bionego zdania, ale jakoś odpowiadało jej to, że on nie szuka drugiej i trzeciej żony, i woli mieszkać sam w tym małym domku przy szosie. Tłumaczyła sobie, że to jej odpowiada, bo dzięki temu zarządca może się koncentrować na zarządzaniu plantacją.

Ale nie wiedziała i David nie zamierzał jej powiedzieć, że dzisiaj kłócił się z Ondżiru o coś innego. Chodziło o Mau-Mau.

- Christopher to wspaniały chłopaczek - powiedziała, podsuwając Davidowi stertę rachunków. - Ledwie półroczny, a zaczyna raczkować.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się.

- Powinnaś mieć dzieci - powiedział spokojnie. Spuściła oczy.

- Nie ten wiek. Trzydzieści trzy lata to już nie czas, żeby myśleć o założeniu rodziny.

- Wszystkie kobiety powinny mieć dzieci.

- Ja mam plantację. Wystarcza mi. - Mona nie znosiła uwag Davida o jej panieństwie. Irytowało ją to męskie przeświadczenie, że kobieta bezdzietna jest nieszczęśliwa. Małżeństwo i macierzyństwo, jak usiłowała kiedyś mu wytłumaczyć, nie opiera się na tym, że mężczyzna po prostu kupuje sobie żonę za kilka kóz. Jest sprawą miłości.

- Dawniej bałam się, że będę taka jak moja matka - powiedziała Davidowi któregoś deszczowego wieczoru w kwietniu, gdy po całodziennej energicznej krzątaninie na plantacji ogrzewali się przy kominku - bo niesłusznie uważałam ją za niezdolną do miłości. Potem odkryłam, że moja matka to kobieta, która kocha tylko jednego jedyne go mężczyznę w życiu, i to kocha taką pełnią siebie, że po jego śmierci absolutnie nie może dalej żyć.

Wtedy Mona kazała sobie umilknąć, nagle pojmując, że to już zanadto osobiste zwierzenia. Nikt, nawet ciotka Grace, najbliższa jej przyjaciółka i powiernica, nie wiedział, że postanowiła czekać, jeśli to konieczne, samotna i bezdzietna, przez całe życie, na właściwego mężczyznę. Nie ulegało dla niej wątpliwości, że małżeństwo z byle kim, żeby tylko wyjść za mąż, jest pasmem niedoli i żalu.

David podwinął rękawy koszuli. Gdy sortował rachunki, układając je w poszczególne pliki, jego ręce połyskiwały w blasku słońca padającym na biurko. Mona nagle stwierdziła, że nie może oderwać wzroku od jego mięśni grających pod ciemnobrązową skórą.

Wzięła list z Bella Hill. „Szanowna Lady Mono - pisał agent. - Przykro mi niepokoić Panią tymi sprawami, ale faktem jest, że

bezwzględnie trzeba coś zrobić, bo w przeciwnym razie utracimy ostatnich naszych lokatorów".

Mona odłożyła ten list. Nie miała ochoty czytać o niekończących się problemach Bella Hill. Gdy ciotka Edith przeprowadziła się do swojej kuzynki w Brighton, Mona przerobiła swoją wiejską rezydencję w Suffolk na mieszkania do wynajęcia za powojenne niskie czynsze. Korzystając z okazji, wprowadzili się tam powracający z wojny żołnierze ze świeżo poślubionymi żonami. Ale w miarę jak w Anglii znów nastawa! dobrobyt, a te żony rodziły dzieci, i w miarę jak ta stara siedziba przodków niszczała, Bella Hill, kiedyś źródło dochodów potrzebnych Bellatu, stała się wielkim obciążeniem finansowym. Lokatorzy, uskarżając się na niedostatki kanalizacji i ogrzewania, i pragnąc nowoczesnych udogodnień, wyprowadzali się szybciej, niż agent nadażał ze znalezieniem innych na ich miejsce. Mona wiedziała, że musi coś zrobić z tą biedną starą studnią bez dna, i to bezzwłocznie. Bella Hill...

Zerknęła na Davida. Dodawał liczby. Głowę pochylił, na urodziwej twarzy miał wyraz skupienia.

Przypomniała sobie trzy incydenty. Pierwszy sprzed dwudziestu czterech lat, gdy na mrocznym korytarzu Bella Hill nieszczęśliwa mała Mona usiłowała zmusić Ndzeri, siostrę Davida, żeby z nią uciekła. I drugi incydent, który nastąpił wkrótce po tym pierwszym: Mona i David uwięzieni w pałacej się chacie operacyjnej. I trzeci, znacznie późniejszy, siedem lat temu, niedługo po objęciu przez Davida posady zarządcy.

„Chciałabym cię przeprosić, Davidzie - powiedziała mu wtedy -za moje okrucieństwo wobec ciebie, kiedy byliśmy dziećmi. Żałuję tego. Przeze mnie omal nie zginęliśmy oboje".

Coś, czego nie zdołała odczytać, przemknęło po jego twarzy, zanim odpowiedział:

„To się działo tak dawno. Już poszło w niepamięć".

Teraz, jak gdyby czując na sobie jej wzrok, David spojrzął znad kalkulatora i uśmiechnął się.

- Byłbym zapomniał - powiedział - przywiozłem ci prezent. Patrzyła, jak on z kieszeni spodni wyciąga zawiniątko w chustce do nosa. Podał jej.

Wzięła to, zaintrygowana. David nigdy nie dawał jej żadnych prezentów. Ale gdy rozwinęła chustkę i zobaczyła, co to jest, doznała wstrząsu.

- Wielkie nieba - wyszeptała. - Przepiękny.

- Ten naszyjnik to wyrób Toro. Widzisz te zielone paciorki? To malachity z belgijskiego Kongo. A tu rzeźbiony heban.

Zapatrzyła się w to cudo, wspaniałe w blasku słońca. Naszyjnik był poza tym z polerowanej miedzi i kawałków bursztynu, rozetek z kości słoniowej połączonych ogniwoami z żelaza - afrykański, prymitywny, a przecież dziwnie nowoczesny czy też pozaczasowy. Dzieło sztuki, pomyślała, zbyt znakomite, żeby zwisało z czyjejkolwiek szyi.

- Proszę - powiedział David - włożę ci go.

Podszedł i stanął za nią. Poczowała jego ręce odgarniające jej włosy. Zobaczyła, jak ten naszyjnik opuszcza się przed jej oczami, jak osiada ciężko i miło na jej piersiach. Palce Davida musnęły jej kark, zapinając klamerkę.

- Przejrzyj się w lustrze, Mono. Popatrz na siebie.

Nie wierzyła własnym oczom. Jednak wygląda inaczej, już nie tak zwyczajnie - jest jakoś przeobrażona. Naszyjnik na jej bawełnianej męskiej koszuli roztaczał taką chwałę, że wszystko wokoło -ten pokój, meble, słońce za oknem - wydawało się prozaiczne.

- Jest cudowny, Davidzie - powiedziała.

- Takie noszą kobiety Toro.

- Kobiety Toro są piękne. Mnie nie pasuje.

- Kiedy tylko go zobaczyłem, Mono, pomyślałem o tobie. Wyobraziła sobie te ugandyjskie kobiety Toro o ciemnych smukłych szyjach i dumnych głowach.

- Na mnie się marnuje - powiedziała. - Nieodpowiedni kolor skóry.

Bardzo spokojnie David zaprzeczył. v

- Nie ma nic nieodpowiedniego w kolorze twojej skóry, Mono. Spojrzała na jego odbicie w lustrze. Stał tuż za nią.

Oczy ich

w lustrze się spotkały.

Gdy odwróciła się, żeby mu podziękować, ciszę nagle rozbił głos grzmiący z radia.

Była to codzienna audycja w południe w języku Kikuju. Radio włączył w kuchni Salomon. Spiker powiedział, że Mau-Mau zamordowali Abla Kamau i jego żonę Europejkę. Ich czteroletni syn -mówił dalej - poważnie ranny, pozbawiony wzroku, właśnie umarł w szpitalu Króla Jerzego.



## *Rozdział 45*

Ondżiru i jej świekra śpiewały przy pracy. Prostą piosenkę, słowa powtarzające się \*raz po raz, śpiewały harmonijnie, zmieniały je i uzupełniały. Był to hymn do Ngai, boga, który mieszka na górze Kenya, była to modlitwa *ojuhuru*, wolność.

Meme Oczerze serce miała ciężkie od smutku w ten chłodny rześki dzień przed początkiem deszczów. Wykopując słodkie kartofle i odrywając ich liście na paszę dla swoich kóz, stara znachorka myślała o rychłym odejściu, synowej. Nie chciała z żoną syna się rozstać, ale nie próbowała jej zatrzymać. W sercu tej młodej kobiety coś woła - o tym matka Davida wiedziała - tylko Ondżiru to słyszy i musi na to wezwanie odpowiedzieć. Meme Oczerze enosiła samotność przedtem, więc i teraz też zniesie.

Dziwne, do czego dochodzi świat. Nawet Worek Pytań nie przepowiedział morderczej wojny rozdzierającej na kawałki Ziemię Kikuju. Nawet w najbardziej proroczych snach nie było walki brata Kikuju z bratem Kikuju. Przodkowie muszą rozpaczać, myślała Meme Oczerze, przecież widzą, jak leśni wojownicy schodzą z góry i mordują swoich braci afrykańskich i jak towarzysze tych zamordowanych biorą odwet, ścigają, poddają męczarniom każdego, kogo podejrzewają o sprzymierzenie się z tymi z puszczy. Skąd się wzięło takie obłąkanie?

Meme Oczerze wyprostowała grzbiet i podniosła wzrok na porośniętą trawą wzgórze nad rzeką.

To się zaczęło od przybycia białych, doszła do wniosku. Oni są przyczyną tej strasznej wojny, która wyniszcza plemię. Wiele żniw temu przybyli w wozach z budami, przywieźli ze sobą żony o skórze białej jak mleko i rozprzestrzeniają swoją truciznę. Kiedy to się skończy, zastanawiała się stara znachorka. Kiedy Kikuju przestaną

zabijać Kikuju i zjednoczą się, żeby wypędzić białych z Kenii? Kiedy zobaczą głupotę i hańbę tej bezowocnej wojny i połączą swoje bojowe siły przeciwko prawdziwemu wrogowi?

Meme Oczerza pomyślała o synu. Nie wiedziała, po której David jest stronie.

Jak wielu mężczyzn Kikuju, David woli pracować u białych, mieszkać w kamiennym domu blisko miejsca pracy, zostawiać żonę pracującą na *szembe*. Ondżiru jest szczęśliwsza niż większość kobiet, bo David mieszka niedaleko jej chaty. Godne litości są te żony, których mężowie odjechali, żeby pracować w Nairobi, gdzie mieszkają w dużych wspólnych domach, piją piwo i sypiają z kobietami sprzedajnymi. Te biedne żony nieczęsto widują swoich mężów, niektóre muszą czekać na to lata całe, podczas gdy David co tydzień odwiedza Ondżiru, nocuje u swojej *tsyngire* i je to, co mu gotują żona i matka. Przychodzi z darami dla swoich kobiet: cukrem, olejem i *emerykene*. Pod wieloma względami - to Oczerza musiała synowi przyznać - David postępuje rzeczywiście tak, jak powinien Kikuju.

Ale jak on może - zastanawiała się, widząc ciężarówki na piaszczystych szlakach pośród kawowców Trevertonów - pracować u tej właśnie kobiety, której ojciec ukradł mu ziemię? Tej tajemnicy Meme Oczerza nie potrafiła zgłębić.

Będąc jednak matką pełną szacunku dla syna, respektowała jego prawo do skrytości i nie śmiała go wypytywać.

Meme Oczerza przeszła na drugą stronę *szembe* i zaczęła oglądać swoje banany nieopodal Ondżiru zrywającej liście dyń.

Wiedziała, że synowa złożyła przysięgę Mau-Mau. Wiele lat temu w tamtą noc strasznej burzy, gdy babka czekała na śmierć i na hieny, które miały nieboszczkę pożreć, młoda Oczerza zjadła podobną przysięgę. Przysięganie to obyczaj Kikuju, tak odwieczny jak mgły na górze Kenya. Bez przysięg Dzieci Mambi przestałyby istnieć. Ale przysięga zjedzona przez Ondżiru była niepokojąco inna. Z powodów dla Meme Oczerzy niewiadomych jej synowa, przysięgając, trzymała Biblię *ozungu*, zjadła garść ziemi i na poparcie swego słowa wezwała Jehowę.

Co to znaczy? Dlaczego tak się wywraca uświęcony obrzęd plemienny?

Meme Oczerza lękała się, że to zło Mau-Mau zniszczy stare zwyczaje raz na zawsze. Ci mężczyźni w puszczy przecież nie są wiernymi i prawymi synami Mambi. Dobrze ich biali nazywają: „zbiry”. Karność plemienna się rozluźnia. Społeczeństwo Kikuju się rozpada, młodzi, omamieni, szydzą ze starszych.

Oni nie walczą o ziemię, myślała Meme Oczera, napełniając koszyk. Walczą, żeby być niegodziwi, żeby rzucać wyzwania przodkom.

Śpiewanie hymnu się skończyło, obie kobiety wróciły do swoich chat i bliźniacze spirale dymu wzbily się z ich ognisk kuchennych. Ondżiru wiedziała, że świekra nie pochwała jej zamierzonego odejścia. Wiedziała, że co do tego nigdy się nie zgodzą, bo Meme Oczera jest staruszką, liczy sobie ponad sto dwadzieścia żniw, czyli ma sześćdziesiąt lat, i żyje przeszłością. Gdy rozmawiały o prawie Dzieci Mambi do odebrania ziemi, przecież ich własnej, Meme Oczera wciąż powoływała się na *tsehę*.

„Oni są przekłeci - powtarzała. - Powiedziałam im, że będą doznawać tylko zgryzoty i niedoli, dopóki tej ziemi nie zwrócą Afrykanom. I widzisz? Znają nieszczęście. Nikt z nich nie żyje poza tymi dwiema i nie ma synów, żeby odziedziczyli tę ziemię”.

Taki uparty przestarzały sposób myślenia irytował Ondżiru, ale wychowana na kobietę skromną i poważającą ludzi starych, nie oponowała. Ona była zwolenniczką walki. Tylko wojna przywróci ukradzioną ziemię Afrykanom.

„Drzewo wolności podlewane jest krwią” - powiedziała świekrze.

Ondżiru jednak walczyła o sprawy inne niż po prostu zwrot ziemi. Tak jak wiele kobiet przyłączających się do Mau-Mau walczyła

o prawa dla swojej córki, pamiętając zmore swoich lat dziewczęcych. Wyobrażała sobie przyszłość, w której Hanna będzie mogła chodzić do szkoły, niedręczona przez okrutnych chłopców, będzie mogła pracować poza domem razem z mężczyznami; będzie mogła wybrać i uprawiać jakiś zaszczytny zawód; i kroczyć u boku swego męża jak jemu równa, a nie jak juczne zwierzę. Walka o to, myślała Ondżiru, jest powinnością matek Kikuju wobec córek.

-Weź korę głógowca - pouczała teraz Meme Oczera synową, gdy Ondżiru przygotowywała się do odejścia - z tych najmłodszych konarów. Trzeba je wywałkować w soli i ssać. To leczy bóle żołądka i biegunkę.

Ondżiru słuchała. Pakowała do koszyka leki i amulety lecznicze. Na wierzch położyła ugotowane araruty i zimne słodkie kartofle, kilka bananów, trochę mąki kukurydzianej. Potem owinęła napełniony koszyk kocem, który związała do niesienia. Zatknęła w koc dużą tykwę z wodą, a pod tykwę wsunęła trzy pistolety i naboje ukradkiem przyniesione jej rano. W końcu zabrała napisane pośpiesznie liściki żon do mężów-bojowników w puszczy.

Gdy wszystko już było gotowe, Ondziru włożyła dwie suknie na tę, którą miała na sobie, omotała ogoloną głowę jaskrawoczer-wonym *kenge*, z pomocą świekry zarzuciła na plecy ciężki tłumok i umocowała go rzemieniem zasupłanym na czole. Ręce miała wolne, żeby trzymać Christophera, przywiązanego drugim *kenge* do jej piersi, oraz Hannę na biodrze.

Wyszły z chaty i Meme Oczera pobłogosławiła synową. Podejrzewała, że nigdy już jej nie zobaczy.

- Zaopiekuję się Davidem dla ciebie - powiedziała.

- David odtąd nie jest moim mężem - oświadczyła Ondziru po czym dodała słowa, którymi w myśl tradycji Kikuju kobieta może rozwiązać swoje małżeństwo: - Odtrącam go. Nie lękaj się o mnie, bo tylko raz się urodziłam, więc umrę tylko raz.

Meme Oczera patrzyła ze smutkiem, jak silna młoda Ondziru, pochylona pod swoim brzemieniem, z niemowlęciem przy piersi

i starszym dzieckiem na biodrze, wyrusza za rzekę i ostatecznie znika z oczu.

\* \* \*

Szła w popołudniowym słońcu ścieżką, przecinającą świeżo zasiane pole, które czekało na deszcz. Szła w ciepłe rozleniwionego dnia wśród brzękania owadów i obłoczków kurzu wzbijanego bosymi stopami. Christopher, prawie roczny i bardzo ciężki, spał błogo przytulony do matki, głowa trzyletniej Hanny kiwała się na matczynym ramieniu. Nie uszła daleko, gdy zrównała z nią krok młodsza od niej kobieta tez w trzech sukienkach, żółtym *kenge* na głowie, z tobołem na plecach. Wynurzyła się z zarośli i bez słowa podążyła z nią ramię w ramię. Później spotkały starą Meme Gaczyku, matkę Ndzeri, którą wyciągnęła na świat jedna *memseeb* i która się powiesiła w altanie innej *memseeb*. Meme Gaczyku, wdowa, tak jak Meme Oczera, po legendarnym naczelniku Madengeju, niosła maczetę Kikuju zwaną *penge*.

Wkrótce trafiły nad strumień. Pomogły sobie nawzajem uwolnić się od ciężarów, uklękły na brzegu i zaspokoily pragnienie. Ochłodziły swe ogolone głowy wartką wodą i znów zrobiły turbany z *kenge*. Meme Gaczyku i ta młodsza kobieta dzieliły się zimnym słodkim kartoflem, podczas gdy Ondziru karmiła piersiami oboje dzieci.

Znow dźwignęły ciężary i powędrowały dalej po łagodnym zboczu góry, nie rozmawiając, myśląc tylko o dojściu do celu. Coraz więcej kobiet pojawiało się na szlaku. Gdy weszły w leśną gęstwinę, było ich dwanaście.

Ondżiru prowadziła; przebywała tę drogę wiele już razy potajemnie z żywnością i bronią dla bojowników o wolność ukrywających się w puszczy. Gdy doszły do wodospadu, Meme Gaczyku ścięła liść araruta, napełniła go wodą i przekazała towarzyszkom, żeby kolejno się z niego napiły.

Szły wytrwale, milczące i zdecydowane, każda wiedzona własną wizją. Meme Gaczyku widziała zwisające z belki na polanie wśród eukaliptusów ciało swojej biednej córki Ndżeri, którą obyczajnie białych tak oczarowały, że doprowadziły do haniebnej śmierci. Ndata widziała twarz swojego męża nieprzytomnego, skatowanego przez kilku *askari* z Rezerwy Policji. Ndżembi i Miudoni pamiętały, jak ich ojca zamordowali biali Kenijczycy. A Najekio, najmłodszą, gnało wspomnienie brutalnego gwałtu, którego dopuściło się na niej czterech pijanych żołnierzy brytyjskich. Przysięgę od tych dwunastu kobiet przyjęła Ondżiru; wszystkie zdecydowały się odwrócić od dawnego życia, żeby walczyć o wolność, wszystkie gotowe były umrzeć, jeżeli trzeba, w tej walce mającej nie ustawać, dopóki ostatni biały nie wyniesie się z Kenii. Każda z nich wiedziała, że przysięga wiąże ją duchem i ciałem z raz danym słowem. Gdyby zdradziła to zaufanie, gdyby doniosła władzom o ukrytym obozie w puszczy, gdyby nie usłuchała rozkazu, poniosłaby śmierć straszliwą.

Robiło się coraz chłodniej i ciemniej, puszcza zmieniała się w cienie i kontury. Kobiety, teraz stłoczone, szły za czerwonym turbanem Ondżiru, tak jakby to był sygnał ogniowy.

Wreszcie, zanim światło dnia zupełnie zgasło, Ondżiru zatrzymała swoją gromadkę pod prastarym ogromnym figowcem. Milcząc, uwolniła się od tobołu i dzieci, innym pomogła też zdjąć ciężary i uklękła u stóp drzewa. Wszystkie uklękły kręgiem, oparły czoła o pień i zaczęły skandować modlitwę do Ngai, boga przodków. Po modlitwie Ondżiru usiadła, zgarnęła w dłoń czarną żyzną ziemię, popatrzyła na tę garść i powiedziała: \*

- Ta ziemia jest nasza.

Jej towarzyszki uczyniły to samo, aż wszystkie chórem skandowały cicho:

- Ta ziemia jest nasza. Ta ziemia jest nasza.

I na zakończenie, gdy nad puszcza już opadała ciemna zasłona nocy, Ondżiru podniosła trochę ziemi do ust i uroczyście zjadła. Jej siostry wojenne wzięły z niej przykład. Jadły ziemię, wznawiając przysięgę. Powtórzyły jeszcze raz:

- Ta ziemia jest nasza.

## *Rozdział 46*

Tablicę odsłonięto, Mona ze zdumieniem przeczytała napis-  
WITA WAS NAIROBI, MIASTO W SŁOŃCU.

Trzysta osób było obecnych przy tej ceremonii na poboczu spokojnej szosy, biegnącej skrajem Parku Narodowego Nairobi. Stojąc albo siedząc na składanych krzesłach w cieniu, wszyscy oklaskiwali i chwalili pomysłowość Geoffreya Donalda. To hasło - mówili - z pewnością nada miastu ciekawszy charakter w oczach świata co jest szczególnie potrzebne teraz, kiedy w zagranicznej prasie tyle pisze się o Mau-Mau. To na pewno pobudzi agencje turystyczne za oceanem.

Mona zerknęła na zegarek. Nie lubiła takich wyreżyserowanych obrzędów, ale wiedziała, że są konieczne w niespokojnej kolonii. Po pierwsze: zajmowanie się takimi swojskimi uroczystościami w czasie zamętu jednoczy białych osadników i daje im poczucie stabilności. Po drugie: te gale mają pokazać, że pomimo Mau-Mau stosunki rasowe w Kenii układają się dobrze i większość Afrykanów to ludzie posłuszni, przestrzegający prawa. Niemal połowę tego tłumu dzisiaj stanowią tubylcy: siedzą na ziemi albo stoją, podpierając się łaskami, i uważnie słuchają przemówienia Geoffreya Donalda. Widać kilku znakomitych naczelników, dumną starszyznę Kikuju w charakterystycznych europejsko-afrykańskich strojach. Jeden z nich, okazały stary Irungu, potężny naczelnik, namówił swoich ludzi, żeby przybyli na tę uroczystość i tym samym dali dowód życzliwości dla białych. Irungu jest w szortach khaki, na nogach ma sandały zrobione z opony samochodowej, na ramionach obrus w czerwoną szachownicę, a na obu rękach zegarki. Z uszu zwisają mu tradycyjne kołki, z szyi tykwa z tytoniem i tabakierka na rzemyku. Siedzi przy wicegubernatorze, który włożył dziś no-

bliwy granatowy garnitur i krawat wychowanka Eton. Myśl o Mau-Mau chyba nie przychodzi do głowy żadnemu z tych dostojnych przywódców.

Mona nie słuchała przemówienia Geoffreya. Znów spojrzała, która godzina, i powiodła wzrokiem po tyłach tłumu, szukając Da-vida. Ale stali tam dużym ochronnym kręgiem wokół publiczności tylko „Tommies”, brytyjscy żołnierze z karabinami. Lękano się, że wszelkie zgromadzenia Europejczyków i afrykańskich lojalistów mogą być pierwszorzędnym celem dla Mau-Mau. Chociaż, jak dotąd, w ciągu pięciu miesięcy od wprowadzenia stanu wyjątkowego, przewidywanie rozruchów się nie potwierdziło.

Już południe. Mona zastanawiała się, gdzie jest David.

Wolałaby, żeby od niej nie wymagano obecności na takich ceremoniach, ale była panną Treverton, a kenijscy biali żyli zamknięci w swoich drogocennych tradycjach, więc nie miała wyboru. Przed laty jej\*rodzice zaspokajali tęsknotę osadników do arystokracji. Teraz Mona i Grace musiały grać tę rolę. Nie cierpiała być „lady Moną”, ale wiejskim gospodyniom podobało się tak ją nazywać. Jeszcze bardziej tego okropnie upalnego dnia, w suchych podmuchach wiatru nie cierpiała swego kostiumu z szafirowej gabardyny: obcisłego zakietu wciętego w talię, wąskich rękawów i szerokiej kloszowej spódnicy. Na domiar niewygody miała do tego białe rękawiczki, białą plastikową torebkę i przyciasne niepraktyczne białe czółenka. Nie mogła się doczekać chwili, kiedy wróci, włoży znów luźną męską koszulę i wygodne trampki.

Czuła, że publiczność wokoło zaczyna się niecierpliwić. Tu kaszel, tam psstnięcie, szelest prowizorycznych wachlarzy mających ochłodzić rozgrzane oblicza. Listopadowych deszczów nie było, w lutym też nie padało i teraz w marcu nie zbierało się na deszcz. Nie czas po temu, uznała Mona, myśląc o swoich kawowcach więdnących w upale, żeby Geoffrey popisował się talentem krasomówczym. Ale napęd do gładzenia daje mu perspektywa przyciągnięcia turystycznych szylingów i dolarów i być może sam nabije sobie nimi kieszenie, wożąc urlopujących mieszczuchów na afrykańskie przygodowe safari.

Jak radio wyłączyła monotonne buczenie Geoffreya, które z biegiem lat wydawało jej się coraz bardziej nosowe i pretensjonalne. Myślała już tylko o Davidzie.

David przyjechał z nią do Nairobi w ten poranek, przy czym sama jazda świeżo wybrukowaną szosą z Nyeri 'zabrała im ponad trzy godziny. Dwa razy musieli się zatrzymać, raz, bo złapali gumę i drugi raz, gdy olej się zagotował. Potem zostawiła mu mer-

cedesa i na uroczystość odsłonięcia tablicy przyjechała z Geoffreyem i Ilse. Ale on powinien już wrócić. David pożyczył mercedesa, żeby poszukać swojej żony. Niezwykły był widok Afrykanina prowadzącego taki świetny samochód, więc na wypadek, gdyby go zatrzymano i legitymowano, Mona dała mu upoważnienie na piśmie. Miała nadzieję, że nie wpadł w jakieś tarapaty. Wiadomo było, że w Straży Obywatelskiej są wśród byłych żołnierzy Afrykanie, którzy zgłosili się ochotniczo do walki z Mau-Mau i niejeden, nadużywając swoich chwilowych policyjnych przywilejów, arogancko stosuje metody gestapo - najpierw bije, a dopiero potem zadaje pytania. Mona usiłowała się uspokoić. David przecież potrafi uważać na siebie.

Jednak się denerwowała. Ostatnio zaczęła się denerwować na samą myśl o Davidzie. Incydenty z Mau-Mau zdarzały się coraz częściej. Kampania terroryzmu zamiast „wyparować”, jak zapowiadał Geoffrey w październiku, wzrastała i ofiarami byli głównie lojaliści - Afrykanie pracujący u Europejczyków czy też z Europejczykami zaprzyjaźnieni.

David przyjechał do Nairobi po to, by szukać Ondżiru, która kilka dni temu tajemniczo zniknęła, zabierając dzieci. Odkąd wprowadzono stan wyjątkowy, na kenijskich drogach niezwykle i niewytłumaczalnie roilo się od kobiet z dziećmi. Mona nieraz widziała, jak po piaszczystych szlakach przy skrajach plantacji wędrują mozolnie Afrykanki z ciężarami na plecach i dziećmi uczepionymi ich spódnic. Dokąd one idą, wszyscy pytali. Dlaczego ten dziwaczny exodus? Coś się święci, mówiono domyślnie. Cokolwiek to było, tysiące kobiet napływały do Nairobi, większość z nich ze strachu przed Mau-Mau, pragnąc przyłączyć się do swoich mężów w mieście. Więc David przypuszczał, że Ondżiru może poszła z tą falą i że tam ją znajdzie.

Publiczność teraz śmiała się z dowcipów Geoffreya, a Mona omal nie wyskoczyła ze skóry. Raptownie sobie uświadomiła, że od rana nie przestaje myśleć o Davidzie. Znowu.

Nie wiedziała dokładnie, kiedy David Madengej wkradł się w jej codzienne rozmyślenia. Nieproszony zjawiał się wspomnieniem swego pięknego uśmiechu albo czegoś, co niedawno powiedział. Czytając książkę, wstawiając do wazonów kwiaty, ni stąd, ni zowąd myślała o nim. Rzeczywiście - gdy już się nad tym zastanowiła - to musiało się zacząć już dawno.

Jak daleko sięgała pamięcią wstecz, zawsze w jej dzieciństwie był David. W tamtych latach czuła do niego urazę, bo mama lubiła



jego siostrę. Potem, będąc nastolatką, patrzyła, jak on wyrasta na butnego politycznego agitatora, obciążyla go winą za śmierć Arthura. I w końcu usłyszała o bohaterstwie Davida w Palestynie, o tym, że dostał odznaczenie. Na procesie jej matki był obecny dzień w dzień, przyjął posadę zarządcy na jej plantacji i już od siedmiu lat u niej pracuje. Z pewnym wstrząsem zdała sobie sprawę, jaką dużą częścią jej życia jest syn Oczery. Toteż nie była szczególnie zdumiona, gdy odkryła, że naprawdę nie przypomina sobie okresu, w którym choć trochę nie myślałaby o Davidzie.

Ale z coraz większą trwogą stwierdzała, że te myśli zmieniły się w uczucia. A te uczucia nosi w sercu od dawna. Dwie żyrafy, które pożywiały się liśćmi pobliskiego świeżo przyciętego głogowca, zrobiły sobie przerwę w uczcie, żeby popatrzeć na tłum ludzi. Mona przyjrzała się im, gdy tak stały gapiowate, wysokie, niczym dekoracja teatralna na tle żółtej równiny, rozciągającej się w dal ku lawendowym wzgórzom. Po chwili odwróciły się i dalej skubały liście. Wydawały się zgoła nieprzejęte ludzką obecnością. Może te dwie nie nauczyły się bać człowieka, pomyślała Mona, bo żyją w chronionym rezerwacie. Polowania i kłusownictwo zostały na tym obszarze surowo zakazane dzięki Grace Treverton i jej bezkompromisowej kampanii w obronie kenijskich dzikich zwierząt. Przez taki właśnie obszar Geoffrey Donald woził swoje gromadki turystów, gwarantując im okazje do fotografowania lwów, żyraf, słoni i zebr.

Mona znowu skierowała uwagę na szosę, coraz bardziej niespokojna. David się spóźnia.

\* \* \*

Jechał powoli w przewidywaniu następnej kontroli drogowej, następnego wypytywania przez chełpliwych nieuków ze Straży Obywatelskiej, którzy lubią pomiatać takimi jak on.

Ścisnął kierownicę, aż palce wpijały mu się w dłonie. Szukał Ondziru od kilku godzin i nie znalazł jej.

A to, co znalazł, było przerażające.

W afrykańskich osiedlach Kariorkor, Bahati i Shauri Moyo tysiące bezdomnych samotnych kobiet tłoczyły się w ponurych jednoizbowych mieszkaniach bez kuchni i kanalizacji, miały wodę tylko z kranów ulicznych, bytowały w nędzy i brudzie, bo czując zagrożenie ze strony Mau-Mau, porzuciły swoje gospodarstwa dla urojonego bezpieczeństwa w mieście. Podczas poszukiwań żony David zobaczył, jak większości tych kobiet udaje

się przetrwać - z pomocą mężczyzn, w zamian za usługi seksualne. Po ogłoszeniu stanu wyjątkowego wprowadzono system przepustek. Miało to ułatwić władzom kontrolę ruchów ludności i wyłapywanie buntowników. Każdy, kto mieszkał w Nairobi, musiał mieć przepustkę wydawaną mężczyźnie po udowodnieniu, że jest zatrudniony, a kobiecie - że ma utrzymanie. Każdą kobietę, która nie mogła wykazać się mężem czy innym odpowiedzialnym za nią mężczyzną, bratem, na przykład, czy ojcem, uznawano za prostytutkę, aresztowano i deportowano do jej wioski, gdzie już nie miała domu. Ponieważ żadna nie chciała być odstawiona z powrotem na *szembe*, te kobiety albo się ukrywały i żyły w ciągłej obawie przed łapanką, albo w jakiś tam sposób zdobywały sobie „mężów”.

Oburzony brudem, smrodem, okropnymi warunkami życia opuszczonych kobiet, David, chodząc po ich mieszkaniach i patrząc na pełne lęku posępne twarze, modlił się, żeby nie znaleźć wśród nich swojej żony i dzieci. Ostatecznie nie znalazł i teraz wyjeżdżał z miasta na szosę tam, gdzie stała nowa tablica Mony i Geoffreya.

Czy czas na to, myślał i cały swój gniew pełen poczucia daremności koncentrował na człowieku, którego nienawidził. Czy to czas wypisywać hasła, mające przyciągać turystów? Teraz, kiedy spokojny i bez winy Jomo Kenyatta ma niesprawiedliwy proces, kiedy dwadzieścia tysięcy afrykańskich dzieci nie uczą się, bo Brytyjczycy zamknęli niezależne szkoły Kikuju, i kiedy w chatach mordują ludzi, kobiety zastraszają i gwałcą rozbastwione łobuzy ze Straży Obywatelskiej i kiedy niejedna z kobiet oddaje się obcemu mężczyźnie w zamian za ochronę, kiedy Kikuju zabijają Kikuju i cała Kenia się rozpada i hańbi w oczach świata, czy to czas, żeby odsłaniać tablice, wygłaszać przemówienia? Boże, myślał David, ten Do\* nald musi być taki głupi jak jego twarz.

Ale David wiedział, że Geoffrey Donald głupi nie jest; przeciwnie, jest bardzo mądry i dlatego trzeba go obserwować bardzo uważnie. Między innymi dlatego David nienawidził Geoffreya. Innym powodem była przyjaźń z Moną. Geoffrey Donald usiłował kierować jej życiem, wciąż udzielając zbytecznych rad albo krytykując jej postępowanie, co Mona z jakiejś racji dla Davida niezrozumialej tolerowała. I stanowczo za często Geoffrey przyjeżdżał do Bellatu, spędzał chyba więcej czasu z Moną niż ze swoją małżonką. A już najbardziej drażnił Davida sposób, w jaki Geoffrey Donald nieraz na Monę patrzył.

Mignęło wspomnienie tamtego dnia dawno temu, gdy Geoffrey i Mona jeździli konno po boisku polo. Mona spadła z konia, Geoffrey podniósł ją i pocałował.

David jeszcze mocniej zacisnął ręce na kierownicy.

Sporo żołnierzy Afrykanów, stacjonujących w czasie wojny poza krajem, nawiązało intymne znajomości z białymi kobietami -głównie prostytutkami, ale też i z Europejkami ciekawymi mężczyzn afrykańskich. Ci żołnierze się tym chwalili. Mówili kolegom w koszarach, że Europejki lepiej reagują i łatwiej je zaspokoić niż Afrykanki, ponieważ nie przeszły operacji *ajrue*. I mało tego - zapewniali chępliwie - Europejki wysoko cenią męskość afrykańskiego wojownika.

Niesmakiem to napawało Davida. On sercem i ciałem płomiennie kochał Ondziru. I po wojnie potępiał tych, którzy przywieźli sobie europejskie żony. To zniewaga, mówił, dla ich afrykańskich sióstr.

W końcu, widząc tłum przy szosie, David powoli tam podjechał i zatrzymał samochód. Rozejrzał się za Moną wśród publiczności wyraźnie, ku jego oburzeniu, podzielonej. Afrykanie siedzieli na ziemi w prażącym słońcu, biali na krzesłach w cieniu. Jak wiedział, później miały być podane przekąski w hotelu Norfolk, dla białych w chłodzie eleganckiej sali restauracyjnej, dla tubylców na trawniku. Tyle, pomyślał z zawziętością, jeśli chodzi o integrację rasową.

Zobaczył Monę siedzącą w pobliżu podium.

Patrząc na nią, wspomniawszy znów tamten poranek przed szesnastu laty, ją i Geoffreya na boisku polo. Wyobraził ich sobie teraz -tak właśnie stojących, obejmujących się, przyciskających usta do ust. Ci mężczyźni Kikuju, którzy w swoich poczynaniach z Europejkami odkryli, czym jest pocałunek, głosili, że to najwspanialszy dar, jaki cywilizacja przyniosła Afryce.

Patrzył na Monę, gdy dyskretnie lustrowała skraj tłumy. Oczy ich się spotkały, uniosła kąciki ust w przelotnym uśmiechu. Wydawało mu się, że widzi na jej twarzy wyraz ulgi, może przed chwilą niepokoiła się o niego.

Przeklął swoje uczucie do niej: ciążyło mu, jak gdyby było zdradą wobec własnego narodu.

Słuchając oklasków po nudnym przemówieniu Geoffreya, spróbował znów, jak już wiele razy, zanalizować i zrozumieć pożądanie, jakie w nim budzi Mona Treverton. To by mu pomogło się od tego pożądania uwolnić.

David Madengej, człowiek myślący i wykształcony, wierzył, że każdą trudność można pokonać, każdy problem rozwiązać drogą skrupulatnego rozumowania. Mówił o tym na zebraniach KAU, usilnie tłumacząc towarzyszom, że wyjściem nie jest terroryzm, który, jak na własne oczy widział w Palestynie, tylko prowokuje kontrakcję i przedłuża wojnę w nieskończoność.

„Musimy zaskarbić sobie szacunek wszystkich narodów świata - wciąż im powtarzał. - Jeżeli mamy stanąć na własnych nogach, rządzić się sami jak inne kraje, to musimy być honorowi. Mau-Mau są niehonorowi. Ja nie chcę *juhuru* zdobytej takimi środkami. Mau-Mau nie mogą wygrać”.

Wierzył, że rozumowanie to jedyny sposób, żeby uwolnić Kenię od niechcianego zła. Więc w ten sposób też miał nadzieję uwolnić się od uczucia do Mony.

Kiedy zaczął jej pożądać? Nie wiedział. Możliwe, że narodziny tego drugiego w życiu głodu nastąpiły w chwili śmierci pierwszej miłości, przed sześciu laty, gdy Ondziru wypędzała tę miłość z jego serca swoim ostrym głosem, raniącymi słowami, nieukrywaną pogardą dla jego wiary w rewolucję bezkrwawą. Może wtedy z sercem nagle bez ciepła i miłości do żony, pustym i zimnym, stał się podatny na nowe uczucie. Ale dlaczego właśnie do Mony Treverton? - zastanawiał się. Do kobiety będącej oczywiście wrogiem. Dlaczego to nie miała być któraś z tych samotnych kobiet w wiosce, przecież wszystkie, a niejedna z nich młoda i ładna, pragną mu się podobać. Dlaczego to jest ta biała, zbyt blada i chuda jak na gust afrykański, ta kiedyś nienawistna, obca mu w swoim sposobie życia? I cóż ona wie, jakie ma pojęcie o sposobie życia Kikuju?

- Mógłbym ją uczyć - szepnęło jego zdradzieckie serce:

Ale to nie było takie proste. Wznosiły się przeszkody nie do pokonania przed fantazją, której David bezczelnie popuścił wodzy.

Mężczyźni Kikuju ożenieni z białymi kobietami stają się wydziedziczonymi wyrzutkami plemienia, bo spółkowanie z kobietą nieobrzezaną jest tabu. Taki mężczyzna okrywa hańbą siebie i swoją rodzinę; kala imię ojca, kala przodków. Matka Davida byłaby zdruzgotana, gdyby podejrzewała, co on czuje do białej - tym bardziej że to jedna z tych, na których w wigilię Bożego Narodzenia prawie dwadzieścia cztery lata temu rzuciła *tsehe*.

David pięścią uderzył w kierownicę.

To wszystko takie pogmatwane. David szanował klątwę matki, lękał się jej, wierzył w nią. Wierzył więc i w to, że Mona została

skazana razem z bratem i rodzicami. Chciał uwolnić Monę od klątwy Oczery. Ale sprzeciwem wobec matki zhańbiłby się i wyzwałby przodków. Byłby nie lepszy niż Mau-Mau, a więc niegodny tego, żeby żyć. Na jeszcze większą jednak przeszkodę natrafiał jego obłąd. Mianowicie na kwestię, co czuje do niego Mona. Angażując go do zarządzania plantacją, Mona przeprosiła za swoje okrucieństwo w dzieciństwie. Przeprosiła szczerze, z serdecznym uśmiechem podała mu rękę - Afrykanów za ten gest karano więzieniem, jeśli znaleźli się świadkowie - i wtedy jego uraza do niej i plany zemsty się zachwiały. W ciągu siedmiu lat od tamtej pory traktowała go jak równego sobie. Chwile, gdy odczuwał różnicę rasową, zdarzały się bardzo rzadko. Ale z pewnością, pomyślał, patrząc, jak publiczność po przemówieniu Geoffreya zaczyna się rozchodzić, z pewnością jestem dla Mony tylko znajomym!

I w końcu ta bariera koloru.

To właśnie z jego obłądnego pragnienia czyniło kpinę i napełniało go przekonaniem, że będzie dla Mony zawsze tylko znajomym. Kenijscy Afrykanie i kenijscy biali nigdy nie przekraczają ostatecznej granicy.

Włączył silnik mercedesa, podjechał bliżej, zaparkował, wysiadł i czekał, aż Mona skończy rozmawiać z Geoffreym. Biali ściskali sobie dłonie i gratulowali. Afrykanie gromadkami powoli ruszyli w długą w upale wędrowkę do hotelu Norfolk, gdzie dzisiaj za darmo mieli się pożywić.

Geoffrey odprowadził Monę do mercedesa. Trzymał rękę na jej ramieniu, śmiał się z nią z czegoś. Na widok Davida powiedział głosem raczej nie zanadto zniżonym.

- Mona, nie uważasz, że to nienormalne pozwalać, żeby ten chłopiec prowadził twój samochód?

Zatrzymała się, wysunęła ramię spod jego ręki.

- Szkoda, że to powiedziałeś, Geoff. I będę ci wdzięczna, jeżeli raz na zawsze przestaniesz mówić takie rzeczy w mojej obecności.

Geoffrey z tłącym się zimnym gniewem patrzył, jak Mona odchodzi.

- Przykro mi, Davidzie - szepnęła. - Przykro mi, że to słyszałeś.

- On ma prawo wygłaszać swoje zdanie tak jak ja moje. Uśmiechnęła się. Potem, przypominając sobie, po co Davidowi

potrzebny był samochód, zapytała o rezultat poszukiwań w Nairobi.

David zapatrzył się w równinę poza nią. Znowu czuł zapach lawendy.

- Żaden. Ani śladu Ondżiru i nikt nie potrafił udzielić mi informacji. Obawiam się, że w Nairobi jej nie ma. - To nie znaczyło, żeby David pragnął powrotu żony. Przecież się z nim rozwiodła, mogła więc odejść. Ale dzieci były jego. Szukał Ondżiru ze względu na Christophera i Hanne.

Chciał mówić dalej, gdy nagle niebo rozbrzmiało wielkim rykiem. Wszyscy spojrzeli w górę, tam gdzie na błękitnie znaczyły się smugi czterech nowozelandzkich myśliwców odrzutowych. Leciały na północ, nad niedostępną puszcza Aberdare.

- To im pokaże, że z nami nie przelewki! - powiedział ktoś. -Poczują bojaźń bożą te bękarty Mau-Mau!

Zobaczyli pędzący szosą samochód policyjny, który zbliżał się z szaloną prędkością, chociaż ludzie prawie nie mieli czasu, żeby się przed nim rozstępować, i zwolnił dopiero przed wicegubernato-rem. Zanim się zatrzymał, wyskoczył z niego biały policjant w mundurze khaki i podbiegł z jakimś pismem. Wszyscy ucichli, gdy wicegubernator czytał ten meldunek. Powiedział:

- O Boże!

Geoffrey wziął papier z jego ręki i przeczytał.

- Co się stało? - zapytała Mona.

- Była masakra w wiosce Lari. Mau-Mau zatarasowali chaty i podpalili strzechy! Sto siedemdziesiąt osób spalonych żywcem albo przy próbie ucieczki zakatowanych pangami.

- Kiedy?

- Dzisiaj rano. Nikt nie może podać tożsamości napastników. Geoffrey spojrzął na Davida.

## *Rozdział 47*

14 czerwca 1953 roku cztery Afrykanki weszły do sali restauracyjnej bardzo eleganckiego Hotelu Królowej Wiktorii w alei Lorda Trevertona i usiadły przy stoliku nakrytym obrusem z irlandzkiego płótna, zastawionym porcelaną i srebrem.

Biali goście w restauracji oniemieli ze zdumienia, gdy te cztery, we wzorzystych bawełnianych sukienkach i turbanach *kenge*, spokojnie mówiły zgorszonymu afrykańskiemu kelnerowi, co ma im podać: *irajo* i *ponso*, tradycyjne potrawy kenijskie, których oczywiście w Królowej Wiktorii nie podawano.

Oburzeni biali goście, gdy wstrząs już minął i pojęli, o co chodzi, wstali od stolików i wyszli. W kilka minut później przybyła policja. Te cztery kobiety wszczęły okropną bójkę, potłukły sporo porcelany i kryształowych wazonów, rozbiły wózek z deserami. Trzy zostały aresztowane, czwarta z dzieckiem podskakującym na jej plecach zdołała uciec przez kuchnię. Zanim wybiegła z zaułka, żeby zniknąć gdzieś w przepelnionych afrykańskich dzielnicach Nairobi, odwróciła się i w okno Królowej Wiktorii cisnęła kamień. Do kamienia była przywiązana kartka.

*Ta ziemia jest nasza. Marszałek polny Ondžiru Madengej.*

- James, już ci mówiłam i mówię to poważnie! Nie będę chodzić z bronią. - Grace oddała Jamesowi rewolwer i odeszła.

- Do diabła, Grace! Posłuchaj! Jesteśmy tu w rozpaczliwie złej sytuacji! Oni uderzają na wszystkie misje. Słyszałaś o misji szkockiej w zeszłym tygodniu.

Grace z uporem zacisnęła usta. Owszem, słyszała. Nieomal zwymiotowała i od tamtego dnia nie może zasnąć. Co terroryści

Mau-Mau zrobili z tymi biednymi niewinnymi ludźmi! To było jeszcze gorsze niż masakra w Lari w marcu. I stało się w biały dzień! Mau-Mau są coraz zuchwalsi. Stosują metody coraz bardziej niegodziwe.

Rząd, zdaniem Grace, popełnił duży błąd, uznając Jomo Kenyattę winnym, skazując go na siedem lat ciężkich robót. Przede wszystkim nie należało go aresztować, nie ma dowodu na to, że on jest siłą kryjącą się za Mau-Mau. Więc zamiast ugasić ten ruch „wolnościowy”, niesprawiedliwe potraktowanie Kenyatty tylko dołało oliwy do ognia. Dzień w dzień tysiące ludzi - bezrobotnych rozwiązanych młodych straceńców niemających po co żyć, gotowych tylko kraść i zabijać - ucieka w gęstwinę puszczy.

Największą aktywność rozwijali Mau-Mau w okolicach Bellatu i misji Grace. Królewskie Powietrzne Siły Zbrojne regularnie i systematycznie bombardowały pobliską puszcę Aberdare. Liczni żołnierze kontrolowali szosy, wypytywali każdego. Telefony przejął rząd, wszystkie rozmowy podsłuchiowano, przy czym wolno było rozmawiać wyłącznie po angielsku.

Ruch Mau-Mau przybierał na sile. Wzrastały liczby nie tylko bojowników o wolność, ale i ich sympatyków wśród Kikuju. Afrykańskie dzieci uczyły się śpiewać hymny ze słowem Jomo zamiast bóg. Służący białych, dotychczas wierni i zaufani, stawali się dobrowolnie czy też bezwolnie agentami Mau-Mau; wydano więc zarządzenie, żeby biali osadnicy o szóstej po południu zamykali służbę w pomieszczeniach poza domem i wpuszczali ją do domu dopiero nazajutrz rano. Na ogół nikt nie wiedział, komu ufać, kogo podejrzewać.

Okrucieństwa wzrastały - z obu stron. Codziennie jakiś lojalny nadzorca padał ofiarą morderców; były napady na misje; kaleczenie bydła osadników. Sadyści ze Straży Obywatelskiej torturowali podejrzanych, przypalali im papierosami bębenki. Ceremonia przyjmowania przysięgi, którą kiedyś opisywano w gazetach, stawała się coraz bardziej barbarzyńska i sprośna - teraz z wykorzystaniem dzieci i zwierząt. Toteż jej opisy nie nadawały się do druku.

Chyba cały świat zwariował.

- Proszę cię, dla twojego dobra - powiedział James, idąc za Grace. - Nie spocznę, dopóki nie będę wiedział, że masz ochronę.

- Jeżeli się nosi broń, James, to znaczy, że się zamierza kogoś zabić. Ja nie zabiję, James.

- Nawet w samoobronie?

- Potrafię dać sobie radę.



Weszli do saloniku. James, rozjątrzony, schował rewolwer do futerału i położył na stole. Nosić broń zaczęli wszyscy osadnicy w prowincji, z wyjątkiem tej kobiety upartej jak osioł.

Mając sześćdziesiąt cztery lata, Grace nadal przejawiała swoją determinację z dawnych czasów, tę twardą, silną wolę będącą jednym z powodów, dla których się w niej zakochał. Ale teraz była szpakowata, nosiła okulary. W oczach Mau-Mau wąła, bezbronna biała staruszka!

Wszedł Mario, trochę zgarbiony, zupełnie osiwiwały, po tych wszystkich latach pracy u *memseeb dektari*. Już miał tacę z herbatą i kanapkami postawić na stoliku, gdy zobaczył rewolwer.

- To złe czasy, *buana* - powiedział smutno. - Bardzo złe czasy.

- Mario - powiedział James, biorąc rewolwer, żeby było miejsce na tacę - podejrzewamy, że tu w okolicy jest ktoś, kto zaprzysięga. Wiadomo ci coś o tym?

- Nie, *buana*. Ja nie uznaję przysięg. Jestem dobrym chrześcijaninem.

Tak, pomyślał James ponuro. Więc jeszcze jeden pierwszorzędny cel dla Mau-Mau. Czy to ma być obrońca Grace? Podstarzały domowy służący, który swym przywiązaniem do białej pani może na siebie ściągnąć wyrok śmierci.

- *Memseeb* - powiedział Mario - *dektari* Nathan mówi, że będzie potrzebował pani pomocy dziś po południu. Jest jeszcze dwunastu chłopców do opatrzenia.

- Dziękuję, Mario. Powiedz mu, że przyjdę. - Grace usiadła przy radioodbiorniku. - Biedny doktor Nathan. Robi teraz dwadzieścia obrzezań dziennie. O ile wiem, w szpitalach w Nairobi pełno tych przypadków.

Tak było dlatego, że obrzezacze plemienni, znachorzy, jako podejrzani Mau-Mau zostali aresztowani i osadzeni w więzieniu. Rodziców Kikuju, gorączkowo pragnących podtrzymać tradycję, kierowano do szpitali, gdzie obrzezania dokonywali chirurdzy w warunkach raczej nietradycyjnych. Tylko dziewczęta nadal obrzezywała odwiecznym sposobem Meme Oczera.

Grace włączyła radio. Słyszac „Pieska w oknie”, mruknęła:

- Wszystko teraz jest amerykańskie. - i zmieniła falę.

Z Nairobi nadawano najnowsze wiadomości, najpierw o wydarzeniach międzynarodowych. W Stanach Zjednoczonych stracono Rosenbergow, skazanych na karę śmierci za szpiegostwo. Związek Radziecki wypróbował swoją pierwszą bombę wodorową. Potem zabrzmiał głos generała Erskine'a, nowego szefa dowództwa wschodnioafrykańskiego.

Generał zaczął od oznajmienia, że rząd zdelegalizował KAU i ograniczył tworzenie się nowych afrykańskich ugrupowań politycznych. W dalszym ciągu powiedział:

- Z własnego gorzkiego doświadczenia wiecie o Mau-Mau więcej niż ja. Ja wiem tylko, że to credo zła prowadzi do zbrodni, największego okrucieństwa i przemocy i że bezzwłocznie trzeba przywrócić poszanowanie prawa i porządku. W tym celu przysłało mnie tu Ministerstwo Wojny i natychmiast zabiorę się do tego zadania. Uznam je za wykonane dopiero wtedy, gdy każdy lojalny obywatel Kenii będzie mógł zajmować się swoją pracą w spokoju, bezpiecznie i mając pewność jutra.

- A więc - mruknął James - generał Erskine jest tutaj. Powiedziałbym, że przysłali działa ciężkiego kalibru.

\*\*\*

Po tej audycji James i Grace poszli brukowaną uliczką, jedną z wielu krzyżujących się na trzydziestoakrowym terenie Misji Łaski, do sali szkolnej. Zdecydowano, że misja będzie najlepszym miejscem nagłych zebrań osadników. Jest pośrodku kręgu okolicznych farm, a sala szkolna może pomieścić tłum. Zebranie już się zaczęło; Tim Hopkins, stojąc na skrzynce przed tablicą, prosił o uwagę.

Duchota panowała w sali, chociaż wszystkie okna były otwarte. Prawie sto osób gniewnych i przerażonych, z pistoletami w kaburach na biodrach albo strzelbami w rękach, pociło się obficie. Upały gnębiły kolonję nieprzerwanie od marca. Napięcie wywoływał nie tylko problem Mau-Mau. Wobec ciągłej suszy przewidywano, że dziewięćdziesiąt pięć procent plonów przepadnie.

- Czy można prosić o ciszę? - wołał Tim, ale bez skutku. Chyba wszyscy mówili naraz. Hugo Kempler, hodowca bydła

z Nanyuki, opowiadaj Alice Hopkins o swoich trzydziestu dwóch krowach otrutych przez Mau-Mau.

- Autopsja wykazała, że w ich kukurydzy był arsenik.

Alice z kolei powiedziała o zniknięciu swoich robotników rolnych.

- Sześćdziesięcioro odeszło jednej nocy, w zeszłym tygodniu,

i nikt nie wrócił. Sizał mam nie zebrany. Jeżeli nie znajdę rąk do pracy, całą moją farmę diabli wezmą.

Jej brat, wciąż zagłuszany gwarem, w końcu wyciągnął pistolet i strzelił w powietrze. Momentalnie wszyscy ucichli.

- Słuchajcie! - wrzasnął, ocierając spoconą twarz chustką. -

Musimy coś zrobić! Ktoś tu w okolicy zaprzysięga ludzi, musimy go znaleźć. I to szybko!

Aż zadudniło od przytaknięć. Pani Langley, którą mąż przywiózł do Kenii w roku 1947 po ogłoszeniu niepodległości Indii, wstała w swej skromnej kretonowej sukience i powiedziała:

- Próbuje wypytywać naszą służbę, ale to do niczego nie prowadzi.

Głowy chyliły się potakująco, przelatywały szeptami. Wszyscy wiedzieli, że niemożliwością jest wyciągnąć od Kikuju cokolwiek o Mau-Mau. Wielu Afrykanów im sprzyja, a ci, którzy nie sprzyjają, boją się o nich mówić. Nie dawniej niż przed miesiącem w Nairobi pewien Afrykanin złożył zeznanie w sądzie do spraw Mau--Mau, po czym ostatni raz go widziano, gdy czterej mężczyźni siłą wpychali go do samochodu. Wszelki ślad po nim zaginął. Więc inni świadkowie, chociaż już zeznawali w śledztwie policyjnym i swoje zeznania podpisali, nie pokazali się w sądzie i nie sposób było ich znaleźć.

Pan Langley, ogorzwały, nieduży, też wstał u boku żony. Wyjechał z Indii, bo tak jak setki innych przybywających stamtąd do Kenii w roku 1947 nie mogli znieść życia pod rządami tubylców.

-Utraciłem onegdaj mojego najlepszego brygadzystę - powiedział. - Zamknięty w swojej chacie spalił się żywcem z żoną i dwojgiem dzieci. I moje wszystkie psy zostały otrute. - Oczy mu zaszyły łzami. - Dotychczas nas nie tykali. To zrobili nasi ludzie, jestem pewny. Byli lojalni, dopóki Mau-Mau przemocą ich nie zaprzysiężyli.

Na każdej twarzy malował się lęk. Siła tej przysięgi raz złożonej była największym, najstraszliwiej przyczajonym niebezpieczeństwem. Pełni oddania służący, od lat traktowani jak członkowie rodziny, mogą z dnia na dzień pod presją zmienić się w skrytobójców. Kikuju zaprzysiężony nawet przemocą, z chwilą gdy już zje surowe psie mięso i wypije kubek krwi, nie może nie usłuchać rozkazu Mau-Mau.

- Chodzi o to - powiedział Tim - że musimy znaleźć jakiś lepszy sposób pokonania tych potworów. Jak pokonać wroga, który nigdy się nie pokazuje? Wszyscy wiemy o Mau-Mau. Ukrywają się w obozach w puszczy, mają żywność, odzież i medykamenty dostarczane im ukradkiem przez kobiety, mają informacje o ruchach sił bezpieczeństwa. Mają niewiarygodną siatkę łączności, dziuple drzew to ich skrzynki kontaktowe! W zeszłym tygodniu udało im się doprowadzić do bojkotu autobusów w Nairobi, powstrzymują Afrykanów od kupowania europejskich papierosów, europejskiego piwa. Na tu-

byłcach o wiele większe wrażenie robi groźba Mau-Mau niż wszelkie nasze wysiłki, żeby przywrócić prawo i porządek!

Znowu wszyscy zaczęli mówić jednocześnie i Tim jeszcze raz musiał strzelić z pistoletu.

- Koniecznie trzeba - wrzasnął - wytropić zaprzysięgających! To najpilniejsze. Potem musimy wykryć podziemie. Zbadać, kto przemycza do Mau-Mau broń i amunicję. I wtedy odciąć te cholerne linie przemytu, głodem wykurzyć ich z tej cholernej puszczy!

Mona, stojąca z Geoffreyem Donaldem w głębi sali, zapatrzyła się w Tima Hopkinsa. Nigdy dotąd go nie widziała tak poruszonego. Twarz miał czerwoną, oczy jego pałały. Kipiał krwiożerczym gniewem. W ciągu ubiegłych miesięcy stał się tak zwanym „kenijskim kowbojem”, sam się mianując strażnikiem obywatelskim z kontyngentem jeźdźców, niejako wiejską kawalerią, żeby nieść pomoc farmerom na odludziu. Takie prywatne wojsko rekrutowało się głównie z synów osadników. Ci Europejczycy urodzeni w Kenii walczyli, żeby zachować ziemię, którą uważali za swoją własność tak samo jak Afrykanie. Nie podobało im się określenie „krajowiec” w odniesieniu do czarnych plemion, argumentowali, że urodzeni w Kenii biali również są krajowcami, mającymi prawo do posiadania tego kraju. Niektórzy z tych kowbojów stawiali sobie szlachetny cel i postępowali w sposób cywilizowany, wielu z nich jednak było barbarzyńskimi sadystami w nie mniejszym stopniu niż Mau-Mau. Słyszało się, że według własnego widzimisię zatrzymują Afrykanów i pod byle pretekstem czy też w ogóle bez pretekstu okropnie ich biją. Oby Tim - modliła się Mona - nie okazał się jednym z nich.

- Ja tylko nie rozumiem - powiedział swym łagodnym głosem ksiądz Vittorio - dlaczego rząd po prostu nie daje Afrykanom tego, czego chcą.

- Z jakiej racji miałby dać? - zapytał pan Kempler.

- Czyż Afrykanie żądają za dużo? Czyż lepsze zarobki, związki zawodowe, możliwość uprawiania kawy, usunięcie bariery...

- Ustąpimy czarnuchom - wrzasnął ktoś - a wszystko nam zabiorą!

- Ale Mau-Mau by się wykończyli, gdyby rząd pod względem politycznym i gospodarczym zrównał Afrykanów z nami.

- Więc może wszystko im przekazmy, spakujmy się i wyjedźmy?

- Panowie! - zawołał Tim. - Proszę! Nie kłpćmy się. Musimy jak najszybciej zdecydować, co zrobić z tym składaniem przysięgi. Mona traciła cierpliwość. Nic nowego nie mówi się na zebraniu, upał jest piekielny, futerał z pistoletem zwisa na biodrze ciężko,

niewygodnie. Cofnęła się o parę kroków i stanęła przy otwartych tylnych drzwiach. Popatrzyła za nie. Na terenie misji niezwykle dziś cicho.

Pomyślała o Davidzie. W tej chwili pracuje gdzieś na plantacji w gorącym pełnym blasku słońcu, stara się ocalić jej zbiory. Wiedziała, że powinna być przy nim.

Przypomniała sobie rozmowę sprzed dwóch dni. Przerwali pracę, z termosem zimnej lemoniady usiedli pod drzewem i David mówił cicho, prawie nie głośniejszy od brzęczenia pszczół wokoło.

„Przemoc szkodzi sprawie afrykańskiej. Bezwzględnie rozwiązanie naszych problemów powinno opierać się na prawdzie i niestosowaniu przemocy. Widziałem, do czego prowadzi terroryzm w Palestynie, widzę, do czego prowadzi w tym nowym państwie Izrael. Wątpię, czy i za trzydzieści lat walka między Arabami i Żydami się skończy. Wszyscy powinniśmy iść za wspaiałym przykładem Mahatmy Gandhiego.

Wiesz, Mono, Mau-Mau byliby skończeni, gdyby Wielka Brytania przyznała Kenijczykom gospodarczą i polityczną wolność. Ale nie, Brytania robi błąd, wyjmuje spod prawa UKA. Moja partia polityczna nie miała z Mau-Mau nic wspólnego. Zbieraliśmy się w spokoju i usiłowaliśmy załatwić kwestie sporne legalnie. Cóż, kiedy rząd zdelegalizował UKA, i to był gruby błąd” .

David zawsze rozmawiał z nią w ten sposób - uczciwie, otwarcie, tak żeby jego stanowisko było jasne. Zupełnie inaczej niż Geoffrey, który ją poucza, mówi do niej jak do dziecka.

W to przedwczorajsze parne popołudnie pod drzewem, gdy siedzieli sami daleko od wścibskich oczu i pili lemoniadę, David powiedział:

„Z ostatniej wojny wyłonił się nowy świat, Mono. Wielka Brytania już nie jest panią świata. Musi zrozumieć, że Azja i Afryka ją odtrącają. Jeżeli ludzie raz wybuchną przemocą, ta przemoc trwa i trwa, aż w końcu rząd czyni ustępstwa... o tym wiemy. Dlaczego więc nie poczynić ustępstw już? - Odwrócił się twarzą do niej i mówił z powagą: - Polityka brytyjska prowadzona przez tych pięćdziesiąt lat sprawiła, że Afrykanie uciekają się do przemocy, żeby kawałek po kawałku wyszarpać porcję ludzkiej wolności. Popatrz na te tragiczne przykłady Irlandii, Izraela, Malajów i Cypru. Zastanawiam się, Mono, kiedy Brytania się nauczy, że ucisk jest głupotą i zaprzeczeniem godności człowieka”.

Zerwał się gorący wiatr. Mona wyszła na dwór z nadzieją, że trochę się ochłodzi. Powietrze było ciężkie. Muchy i pszczoły

napełniały upał brzęczeniem. Dachy z blachy falistej na większości budynków misji lśniły w słońcu i były od nich przezroczyście fale gorąca. Cisza panowała głęboka. Wydawało się Monie, że świat śpi, że Misja Łaski, normalnie ośrodek ciągłej aktywności, przesybia to duszne popołudnie. Rzeczywiście - uświadomiła sobie ze zdumieniem - wcale nie ma tu zwykłego ruchu. Jak gdyby kilka minut temu wszyscy zniknęli: pielęgniarki, lekarze w białych kitlach i ci, którzy przychodzą odwiedzić chorych, przynoszą im kwiaty i owoce.

Gdy w sali szkolnej James usiłował powiedzieć przerażonym osadnikom, że nie wolno tracić głowy, Mona zobaczyła nagle wjeżdżający na wybrukowaną uliczkę samochód. Podjechał bardzo prędko z buczeniem klaksonu. David wyskoczył i ruszył do niej. Wyszła mu na spotkanie.

- Co się stało, Davidzie? Chwycił ją za rękę.

- Musicie uciekać! Natychmiast! -Co...

Zaczął ją ciągnąć.

Zgromadzeni w sali, słysząc klakson i zgrzyt hamulców, podbiegli do drzwi i okien i wyjrzeni.

- Uciekajcie! - zawołał do nich David. - Mau-Mau! I zaraz to uderzyło.

Zjawili się znikąd wszyscy równocześnie, otoczyli salę szkolną. Spośród krzaków i drzew zmaterializowali się mężczyźni o długich czarnych włosach skręconych w okropne pukle Mau-Mau, z penge i z karabinami.

David biegł z Moną. Wokoło rozlegały się huk wystrzałów. Płonące pochodnie śmigły w powietrzu, wpadały przez okna do sali. Dolatywały stamtąd krzyki.

Rzucony kamień omal nie trafił w głowę Mony. Kule gwizdały przy jej uszach, gdy uciekała z Davidem, mocno trzymającym ją za rękę. Dobiegli do niedużej szopy. Mona potknęła się i upadła. David pochwycił ją, przyciągnął do siebie. W przelotnym schronieniu za szopą przywarła do niego i stali tak, przytuleni. Słyszeli wściekle skowyty rozszalałych ludzi puszcy, oblegających salę szkolną. Ogień karabinowy grzmiał, szyby tłukły się z brzękiem.

Wzmagały się krzyki i wrzaski. Z daleka zaczęła jazgotać syrena alarmowa.

Po chwili David odsunął się od Mony.

- Idź do chaty mojej matki! Tam będziesz bezpieczna!

-Nie!

- Mona, niech to diabli! Rób, co mówię! Im chodzi o nas! Czy nie rozumiesz?

- Nie zostawię ciebie! Wyciągnął pistolet z kabury.

- Biegnij do samochodu jak możesz najprędzej. Ja ich zatrzymam.

- Nie! Włócznia załaskotała na blaszanym dachu szopy. Pocisk wybuchł w murowanej ścianie przy ramieniu Mony. David znów wziął ją za rękę. Wskoczyli zza szopy i schronili się w dużym żywopłocie. Mona wstrząśnięta zobaczyła, co się dzieje.

Sala szkolna stała w płomieniach, ziemia już była usiana zwłokami Mau-Mau i osadników. David podniósł pistolet, wycelował i strzelił. Terrorysta, który zamierzał się granatem, znieruchomiał i osunął się na ziemię. David strzelił znowu i jeszcze jeden Mau-Mau upadł. Z okien sali strzelali zza potłuczonych szyb Geoffrey i jego ojciec. Jakaś kobieta - pani Langley - wybiegła. Włócznia Mau-Mau przeszła jej brzuch.

Wydawało się, że są ich setki, tych Afrykanów, dzikich, obszarpanych, wymachujących penge i włóczniami, rozszalałych, krwiożerczych. Mona zobaczyła, jak jeden wspina się do tylnego okna sali.

- David! - krzyknęła.

David strzelił. Ten człowiek padł martwy.

Napastników wciąż przybywało. Padali od kul osadników. Ale Mau-Mau też mieli broń palną i strzelali, przez okna trafiali ludzi wewnątrz. Wszędzie wzbijały się płomienie. Dym bił bałwanami w spokojne niebo. Jeszcze dwóch białych wyszło z sali, potykając się i kaszląc. Obaj padli pod penge zaczajonych Mau-Mau.

Mona zobaczyła, jak pan Kempler osuwa się na kolana, gdy sześciu Afrykanów chlaszcze go ostrzami.

Ksiądz Vittorio wyszedł, machając białym obrusem. Któryś rzucił w niego pochodnię, czarna sutanna zmieniła się w ogień.

- Potrzebuję kul - powiedział David.

Słyszac pstryknięcie pistoletu, Mona spojrzała na niego.

- Ja nie mam!

Jeden z Mau-Mau dostrzegł tych dwoje za żywopłotem. Z wrzaskiem poprowadził na nich bandę towarzyszy. David i Mona wskoczyli i uciekli, zygzakiem pędzili przez ogród pomiędzy budynkami misji. Przeskakiwali żywopłoty, wskakiwali za narożniki.

Mau-Mau nacierali, skowycząc jak psy gończe, rzucając kamienie i włócznie, strzelając.

Aż ukazało się przed Moną i Davidem wyjście z terenu misji, duża łukowata brama z kutego żelaza. Za bramą rozciągało się boisko polo, zarosłe zielonym żółkłym wskutek suszy. Za boiskiem, za ogrodzeniem z zardzewiałego łańcucha stały chaty Meme Oczery i kobiety, która swego czasu była żoną Davida. - Biegnij do mojej matki! - powiedział znów David. - Ona cię ochroni! Ja pobiegnę w drugą stronę, odciągnę ich.

- Nie, Davidzie. Nie zostawię ciebie. Popatrzył na nią.

- Tam! - powiedział.

Drzwi warsztatu samochodowego zastali otwarte. W warsztacie, chłodnym i ciemnym, nie było personelu, tak jak na całym terenie misji. Tylko samochody i ciężarówki w różnych fazach reperacji. David znów wziął Monę za rękę. Wbiegli w ten chłodny mrok.

Szybko, cicho sunęli między samochodami, obchodzili bębny z olejem, robili uniki przed wiszącymi oponami. I nagle jasny prostokąt drzwi zasłoniły sylwetki prześladowców. Terrorysty się zawahali.

David wprowadził Monę w najciemniejszy kąt, gdzie skulili się za stołem roboczym. Poszukał jakiejś broni, znalazł łańcuch rowerowy. Mona przywarła do Davida. Prawie nie oddychała, w ustach jej zaschło z przerażenia.

Patrzyli na sylwetki przesuwające się w drzwiach, słyszeli nie-głośną kłótnię.

Mona czuła, jak mięśnie Davida się napinają. Ciało miał twarde, sprężone do skoku. Trzęsła się. Objął ją ramieniem i przytulił.

Nagle coś zamajaczyło obok nich, z mroku wyciągnęła się ręka. Mona wrzasnęła. Wydawało się, że wlatuje spod ramienia Davida, nogi jej uniosły się nad ziemią.

David zobaczył tę mocarną rękę trzymającą Monę za włosy. Zobaczył, jak druga ręka się podnosi z zakrwawioną penge i już ma opaść, poderżnąć Monie gardło.

Rzucił się na tego Mau-Mau, waląc go łańcuchem w głowę.

Mau-Mau upuścił Monę. Upadła wśród narzędzi i lewarków i oszołomiona patrzyła, jak ci dwaj się szamoczą. Po chwili zobaczyła, że wbiegają inni.

Pomacała w mroku gorączkowo. Natrafiła na łyżkę do opon.

Pierwszy Mau-Mau, który podbiegł, dostał cios w łydkę, aż trzasnęło. Krzyknął i upuścił włócznie.



Mona wstała i uderzyła znowu. Usłyszała zadowolające chrupnięcie kości, gdy trafiła go w bark.

Ale już i inni atakowali. Powalili Davida. Leżał pod ciosami i kopniakami. Czuła ręce sięgające po nią, ciągnące ją za ubranie. Usiłowała walczyć. Na oślep młóciła łyżką do opon. Ale wiedziała, że nie ma nadziei.

David...

Nagle terroryści się wycofali, zaczęli uciekać z warsztatu. Usłyszała syreny policyjne, ryk silników samolotu.

Osunęła się przy Davidzie. Leżał bokiem, jęczał.

- Odeszli... - powiedziała. - Żołnierze przyjechali.

Jakoś zdołali wstać, pomagając sobie wzajemnie. Stanęli w mroku, obejmowali się, żeby nie upaść. Po chwili ruszyli chwiejnie w blask słońca.

Gdy przyszli do sali szkolnej, gdzie strażacy gasili ogień, a żołnierze zakładali kajdanki schwytanym Mau-Mau, Mona podbiegła do ciotki bandażującej głowę panu Langleyowi.

- Ośmioro z nas nie żyje - powiedziała Grace. Sama nie odniosła żadnych ran, ale twarz miała w smugach brudu, srebrzyste włosy wysunęły jej się z koka i zwisały na ramiona. - Zabili ośmioro z nas...

Mona się rozejrzała. Sir James, Geoffrey i Tim Hopkins rozmawiali z oficerem dowodzącym. Pani Kempler płakała nad zwłokami męża, którego prawie nie można było rozpoznać, jedna z pielęgniarek próbowała ją pocieszyć.

Aresztowanych Mau-Mau żołnierze traktowali brutalnie; kilku bili pałkami po głowach. Na uboczu gromadka Afrykanów patrzyła na to z twarzami bez wyrazu. Mona знаła ich, pracowników misji. Gdzie podziewali się do tej pory? Skąd wiedzieli, że będzie napad?

Z domu przybiegł rozdygotany, biedny stary Mario. Stał przy Grace, płacząc i załamując ręce.

Mona odwróciła się, spojrzała przez ramię. Zobaczyła czterech żołnierzy brytyjskich wokół Davida. Jeden z nich nagle uderzył go pięścią w żołądek, a on osunął się na kolana, zgięty z bólu.

- Dość! - krzyknęła Mona, biegnąc do nich. Geoffrey pobiegł za nią.

- Dość! - wrzeszczała. Przepchnęła się wśród żołnierzy, uklękła przy Davidzie, objęła go ramieniem. - Co wy sobie myślicie?!

- To podejrzany, panno Treverton. Wyciągamy od niego informacje.

- Wcale nie jest podejrzany, ty idioto! To zarządca mojej plantacji!

- Wygląda mi na Mau-Mau - powiedział inny żołnierz.
- O co chodzi? - zapytał Geoffrey, podchodząc.
- Ten chłopiec stawia opór, proszę pana. Zabierzemy go na przesłuchanie.
- Nie zabierzecie - powiedziała Mona. -1 to nie jest chłopiec! Geoffrey spojrzał na nią. Klęczała w brudzie przy Davidzie Madengeju.
- Oni muszą go zabrać, Mono. Muszą przesłuchać wszystkich. T Nie ważcie się go tknąć. David ocalił mi życie! Żołnierze popatrzyli na siebie.

Geoffrey ze zmarszczonymi brwiami patrzył na Monę.

- On przyjechał, żeby nas ostrzec - powiedziała. - Dobrze o tym wiesz, Geoffrey.
- Tak, tylko trochę za późno, żeby to pomogło, nie sądzisz? Ciekawe, skąd wiedział, że zaatakują.

Oczy Mony pałały. Osłaniała Davida ramieniem.

Geoffrey napotkał jej wzrok, zobaczył w jej oczach wyzwanie, stanowczość w linii zaciśniętej szczęki - przez chwilę to była twarz Valentine'a Trevertona. Klepnął się w biodro i powiedział żołnierzom.

- Słyszeliście. Ten chłopiec pomagał nam odeprzeć Mau-Mau. Nie jest jednym z nich. Możecie go puścić.

Gdy Geoffrey i żołnierze odeszli, Mona zapytała:

- Nic ci nie jest, Davidzie?

David przytaknął, że nie. Ale miał czoło paskudnie rozcięte, siniec na policzku i z kącika ust sączyła mu się krew.

- Chodź, ciocia Grace cię opatrzy.

- Nie - powiedział David. Wysunął się spod ręki Mony i wstał. - Pójdę do matki. Jest znachorką.

Mona odprowadziła go wzrokiem, gdy kulejąc odszedł, a potem podeszła do pani Kempler rozszlochanej, z krwią męża na rękach.

Nie mało osób tamtego dnia: zawziętych, gniewnych, żądnych zemsty - zarówno Afrykanów, jak białych - zauważyło, że Mona Treverton objęła ramieniem Davida Madengeja.

## *Rozdział 48*

Wreszcie susza się skończyła. Mżący deszcz szemrał za zasłoniętymi oknami Bellatu, podlewając czerwone i niebieskawofioletowe bugenwille przy filarach i okapie werandy. W saloniku trzaskał na palenisku kominka miły ogień, palce jego żółtego blasku sunęły po meblach, skórze zebr i skrzyżowanych na ścianie kłach słonia. David zamknął księgę rachunkową.

- Późno już - powiedział. - Muszę iść.

Mona nie odpowiedziała. Spokojnie zrobiła porządek na biurku, przy którym pracowali przez całe popołudnie, usiłując znaleźć sposób spłacania długów plantacji coraz większych, odkąd zbiory zawiodły. Teraz nowe sadzonki zapowiadały się pięknie w strugach spóźnionych deszczów, ale na dochody z tych przyszłych zbiorów trzeba będzie poczekać. Jedyne wyjście, żeby zachować plantację -zdecydowała Mona - to sprzedać Bella Hill.

- Napiszę do pana Trudwella jutro z samego rana. - Wstała i zgasiła lampę na biurku. - Przyjmę jego propozycję. Cena chyba jest dobra. I Bella Hill nadaje się na szkołę z internatem. Nie żał mi tego domu'. Są w nim dla mnie tylko złe wspomnienia.

Przez chwilę patrzyli na siebie w mrocznym gabinecie. Potem Mona odwróciła się raptownie, weszła w światło i ciepło saloniku.

Była przerażona. Biedziła się, czy pokazać Davidowi kartkę, którą znalazła rano w skrzynce na listy. Normalnie powiedziałaby mu o tym od razu. Ale w ciągu tych dwóch tygodni po ataku Mau-Mau na Misję Łaski stosunki między nimi uległy drastycznej zmianie.

Coś teraz leżało między nimi, coś ciemnego i zatrważającego. Śpiący olbrzymi lew - niegroźny, dopóki śpi, ale zabójczy, jeśli się go

obudzi. To była ta śmiertelna, zrodzona z wzajemnego pożądania namiętność, która doprowadziła ich na straszny próg rasowych tabu.

Mona nie przestawała myśleć o dniu ataku. Pamiętała, jak David trzymał ją za rękę, jak ją przyciągnął do siebie, pamiętała jędr-ność jego ciała, mocne ramiona. Pamiętała to, co zobaczyła w jego oczach, gdy schronili się do szopy - to odbicie jej własnego rozpaczliwego pragnienia. Na jedną przelotną chwilę on zacieśnił objęcia, byli sobie tacy bliscy, zanim ją puścił, żeby uciekać z nią dalej.

Opętana tym wspomnieniem, przeżywała to raz po raz, ale nie ku upojeniu serca, tylko z lękiem. Bała się tej krawędzi, na której ona i David się znaleźli. W dawnych czasach staliby się tylko przedmiotem ogólnej pogardy, wyrzutkami poza nawiasem rodziny i znajomych. Ale teraz wobec koszmaru Mau-Mau, wobec nienawiści rasowej osiągającej potworne rozmiary, wobec paniki terroru i atmosfery podejrzeń w całym kraju, nasza miłość - myślała - jest samobójstwem.

Wiedziała, że musi walczyć. O swoje życie. I o życie Davida.

Tego dnia rano w jednej z wiosek plemienia Meru gromada członków Straży Obywatelskiej pod pretekstem wykurzenia sympatyków Mau-Mau wtargnęła do domu afrykańskiego przedsiębiorcy ożenionego z Europejką.

Torturowali tego Afrykanina, zgwałcili jego żonę, zostawili oboje martwych.

- Pomogę ci pozamykać dom - powiedział David, gdy przeszli do saloniku. - Czas wysłać służbę na noc.

Niegodny sposób życia. W całej środkowej prowincji - na ranchu Donalda, u Grace na terenie misji, w Bellatu - biali o zachodzie słońca zamykali swoje domy przed służącymi Afrykanami i wpuszczali ich dopiero nazajutrz rano.

Salomon jest w mojej rodzinie od lat - protestowała Mona, gdy komisarz okręgowy nalegał, żeby zastosowała się do tego zarządzenia - on by mnie nie skrzywdził!

- Pani daruje, lady Mono, ale jeśli go zmusili do złożenia przysięgi, nie jest pani z nim bezpieczna. I dopóki nie znajdziemy tego, który zaprzysięga w naszym okręgu, można uznać, że niebezpieczni są wszyscy pani służący.

Geoffrey zainstalował syrenę alarmową na jej werandzie i dwie rakiety do wystrzelenia: jedną przy drzwiach kuchennych, drugą przy frontowych. Wystrzelone miały świecić wysoko na niebie, wybuchnąć, tak że widać by to było z wieży wartowniczej na wzgórzu Allsop w Nyeri, którą zbudował niejaki Vir Singh Sikh i której załogę stanowili Hindusi z Frontu Azjatyckiego.

Chociaż wielu Europejczyków opuszczało swoje farmy, żeby przenieść się do stosunkowo bezpiecznego Nairobi czy nawet zupełnie zrezygnować ze swoich domów i uciec do Anglii, niektórzy pozostawali na swojej ziemi, decydując się nie poddać. Z takim zabezpieczeniem jak syreny i rakiety oraz okresowy nadzór z samolotów i helikopterów ci osadnicy nie ustępowali.

Salomon już przygotował kolację na kuchennym stole. Mona powiedziała dobranoc swoim służącym i zamknęła za nimi drzwi na klucz. David wziął latarkę elektryczną i sprawdził w całym domu, czy okna i drzwi są zamknięte, czy na balkonach i werandach nikt się nie ukrywa. Potem wrócił do kuchni i pożegnał się z Moną.

W drzwiach przystanął, spojrzał na nią.

- Boję się - powiedziała cicho.

- Wiem.

- Jest ciemno. I daleko do twojego domu. Mau-Mau mogliby tam...

- Nie mam wyboru, Mono. Muszę iść. Już po godzinie policyjnej. Będę szedł prędko.

- David, zaczekaj. - Sięgnęła do kieszeni spódnicy. - Znalazłam to w skrzynce dziś rano.

Przeczytał tę kartkę. To były tylko dwa słowa „Miłośnica czarnucha”.

- Kto mógł to zrobić? - Zerknęła na zsunięte zasłony w kuchennych oknach, czując ciemną noc warującą wokoło. Do końca życia nie miała zapomnieć widoku pani Langley przeszytej przez brzuch włócznią Mau-Mau. I księdza Vittorio, gdy krzycząc, biegł w płomieniach, które buchały z jego sutanny. I widoku Davida w warsztacie samochodowym, powalonego ciosami i kopnięciami.

- Obawiam się, Mono, że my jesteśmy w sytuacji szczególnej - powiedział David ponuro - mamy nie tylko jednego wroga, jesteśmy znienawidzeni przez obie strony. Schwytni w coś nie z własnej winy, w coś, nad czym nie mamy kontroli.

Mona wstrzymała oddech. David zbliżał się niebezpiecznie do zbudzenia nienazwanej bestii śpiącej pomiędzy nimi. W ciągu tych dwóch tygodni pilnie pracowali przy wrywaniu martwych kawowców, sadzeniu nowych flanc, rzadko rozmawiając o czymkolwiek, i rozstawali się zawsze przed zapadnięciem zmroku. Bytowali w jakimś świecie hermetycznie zapieczętowanym, w jakimś wyjąłowym miejscu, gdzie nie słyszało się o Mau-Mau, gdzie nie wpuszczało się ani nienawiści, ani miło-

ści. Ale w to popołudnie musieli nabrać się do rozwiązania problemu ciężkich strat finansowych Bellatu. I praca przedłużyła się do godziny policyjnej.

Dali się schwytać. Dopadła ich noc.

Mona nie miała pojęcia, kto napisał kartkę. Podejrzewała narwanego syna osadnika nazwiskiem Brian. Aresztowano go kiedyś za maltretowanie jednego z Afrykanów, pracujących na ranczo jego ojca. Przewłókł sznur przez przekłute płatki uszu chłopaka i ciągnął go za ten sznur, jadąc konno galopem. Biedak musiał za nim biec.

- Dlaczego doszło do tego? - szepnęła. - David, czym sobie zasłużyliśmy na to?

David popatrzył na nią przeciągle, ze smutkiem i niepokojem. Położył rękę na klamce.

- Nie idź - powiedziała.

- Muszę.

- Mau-Mau może tam są, czekają na ciebie. Albo jakiś mściwy biały smarkacz.

- Nie mogę tu zostać.

- Dlaczego? Tu byłbyś bezpieczny. Potrząsnął głową.

- Przecież wiesz, dlaczego nie mogę zostać, Mono. - Mówił cicho, ledwie dosłyszalnie. - Co innego w biały dzień, kiedy pracujemy wśród ludzi, a zupełnie co innego w nocy, my sami w tym domu.

Przez długość kuchni patrzyła na niego, serce jej łomotało.

- Mono - powiedział zdławionym głosem. - W żadnym razie nie możemy być ze sobą, ty i ja. Może w innym czasie gdzieś indziej, gdzie ludzie są tolerancyjni. Ale my jesteśmy tutaj, w Kenii, pośrodku haniebnego wojny rasowej. Nie możemy poważyć się na ten ostateczny, nieodwracalny krok, bo z tą chwilą nigdy już nie będziemy wolni od poczucia winy i pewni jutra.

- Czy to aż tak złe, to, co czujemy?

- Jeśli chodzi o ciebie, to złe.

Otworzył drzwi z klucza i już miał wyjść, gdy od strony saloniku doleciał łoskot.

Oczy Mony się rozszerzyły, pełne lęku.

- Daj pistolet! - szepnął David. - i zostań tu.

Ale ruszyła za nim. Powoli przeszedł z kuchni przez ciemną jadalnię. W drzwiach saloniku przystanął. Stojąc tuż za jego plecami, rozejrzała się.

W saloniku żadna lampa się nie paliła. Tylko ogień buzujący na palenisku oświetlał misterne kafle kominka, miedziane wiaderko na węgle, stopę słonia podpierającą pogrzebacz i naprzeciw kominka trzy skórzane kanapy. Dalej to światło mętniało. Padało rozproszone wśród mahoniowych stolików, pełgało na słabo zarysowanych krawędziach. Rzeczy zdawały się poruszać: czasopisma, popielniczki, zapalniczka w kształcie racycy antylopy. Dalej atramentowe cienie wtulały się w ściany, zasłaniając półki z książkami i drzwi do innych pokoi. Gdźieniedzie ukazywał się w ruchomej łunie wypchany łeb zwierzęcy: błyskały zagapione szklane oczy gazeli czy antylopy. David po cichu przysunął się do ściany. Zanim rozchylił pluszową zasłonę dużego okna, z którego widać było górę Kenya, podniósł pistolet. Mona patrzyła zza jego ramienia.

Mroczną werandę za oknem przemiałał deszcz. Żarówka paląca się nad schodkami rzucała mglisty żółty krąg światła na trzcinowe meble i palmy w donicach, na czerwone i fioletowoniebieskie płatki bugenwilli.

Ale na podłodze werandy David i Mona zobaczyli też odłamki gliniane, rozsypaną ziemię, leżący krzew azalii.

Trochę dalej było to, co przewróciło azalię - niezdarne małe stworzenie, ryjące ciekawie wśród roślin w donicach.

- Jeź! - powiedziała Mona.

- Oczywiście schronił się przed deszczem.

David odwrócił się do Mony ze śmiechem. Ona także śmiała się nerwowo, pełna ulgi.

Po chwili spowaźnieli. Stali na skraju łuny z kominka i w takim przyćmionym świetle jak lampka nocna przy łóżku, patrzyli sobie w oczy.

- Chcę, żebyś mi przyrzekła - powiedział David cicho - że jutro przeprowadzisz się z tego domu do twojej cioci Grace. Jest u niej Tim Hopkins. Tam bezpieczniej niż tutaj. Przyrzekasz mi, Mono?

-Tak.

Umilkł, znowu wodząc wzrokiem po jej twarzy, po linii włosów, po szyi, ramionach.

- Nie powinnaś tu być sama - powiedział w końcu. - Ktoś jeszcze, nie tylko Mau-Mau, zagraża ci teraz. - Myślał o tej kartce.

- i tobie. -Tak...

Delikatnie przyłożył rękę do jej policzka.

- Tyle razy się zastanawiałem - powiedział - jaka jest twoja skóra pod dotknięciem. Taka miękka...

61. Zielone miasto...

Przymknęła oczy. Dłoń miał twardą zrogowaciałą. Zrobiło jej się słabo z błogości. Oddech ugrzął w gardle, serce zamierało.

- Mona - wyszeptał David.

Czubkiem palca dotknęła jego policzka i zaczęła sunąć po konturach jego twarzy od nosa do kącika ust i po bruździe między brwiami, i po zmarszczkach przy oczach.

A on przesunął rękę na tył jej głowy, zatopił palce w jej włosach. Pochylił się, żeby ją pocałować, ale z wahaniem.

Gdy ich usta się zetknęły, było to niepewne jak pierwszy próbny krok. Potem ona mu zarzuciła ręce na szyję, roznamiętniła ten pocałunek, pokazała mu, jak biali się całują. Przywarli do siebie w pełgającej łunie ognia.

Po chwili David się odsunął, rozpiął guziki jej bluzki. Zdziwiły go małe białe piersi mieszczące się w jego dłoniach.

Mona rozchyliła mu koszulę, oparła się rękami o jego tors. Potem, gdy David był nagi, zobaczyła spuściznę po przodkach Masajach - pięknie rzeźbione pośladki, długie szczupłe uda.

David podniósł ją i położył przed kominkiem. Poznawał jej ciało, dotykał, a ona reagowała, bo była nietknięta nożem *ajrue*.

Znów jego usta opadły na jej usta. Wygięła się gwałtownie, gotowa go przyjąć. I tak leżeli w płasających blaskach, czarna skóra przy białej.

\* \* \*

Mona obudziła się nagle. Nie wiedziała, co ją wyrwało ze snu. Odwróciła się do mężczyzny leżącego obok niej w łóżku. Spał mocno. Jak długo ona spała? Przeciągnęła się. Nigdy dotąd nie czuła się tak dobrze. Nigdy dotąd nie była tak szczęśliwa.

Kochali się kilka razy, za każdym razem lepiej. David został nauczony sztuk i umiejętności wojowników, swoich przodków. Mona zachwycała go nieoczekiwanymi, żarliwymi reakcjami.

- Mona! - doleciało wołanie z dołu.

Usiadła. Więc to ją obudziło! Ktoś wszedł do domu!

Geoffrey. Chodzi tam po pokojach i wołają.

Wyskoczyła z łóżka, włożyła szlafrok. Oglądając się na Davida, czy na pewno nie śpi, wyszła na korytarz, zamknęła drzwi za sobą.

Geoffreya zastała w saloniku, gdzie na palenisku kominka węgle jeszcze się żarzyły.

- Geoffrey, co ty tu robisz, na Boga?

- Rany boskie, Mono. Zabrałaś mi dziesięć lat życia. Nie wie-



działem, co myśleć, kiedy zobaczyłem, że drzwi kuchenne nie są zamknięte!

Chwyciła się za usta. Zapomnieli, ona i David. Spędzili noc w otwartym domu.

- Co tu robisz? - powtórzyła pytanie, zauważając, że płaszcz Geoffreya jest mokry i woda kapie z runda jego kapelusza. Stał ze strzelbą w ręce, a przy drzwiach jadalni krążyli dwaj *askari* z Rezerwy Policji Kenijskiej.

- Rutynowy patrol w nocy znalazł kota powieszzonego na bramie Bellatu. Wiesz, co to znaczy.

Mona wiedziała. Był to sygnał Mau-Mau, że mieszkańcy danego domu będą następnymi ofiarami.

- Więc robimy ogólną obławę na wszystkich tubylców w tych okolicach. Ale kiedy weszliśmy do domku Davida Madengeja, jego tam nie było. Wyglądało na to, że nie wrócił na noc. Jestem tutaj, żeby cię zapytać o niego.

Mona zacisnęła szlafrok na piersiach. W domu zrobiło się ohydnie zimno.

- Mono, o której on stąd wyszedł wczoraj? Wczoraj?

- Która jest godzina, Geoffrey?

- Prawie świt. Wysłałem kilka patroli za nim, zawsze podejrzewałem, że ten chłopiec jest po stronie Mau-Mau. Może nawet to on jest tym zaprzysięgającym, którego szukamy.

- Nie bądź śmieszny. I zechciej, proszę, wyprowadzić tych ludzi na dwór. Jestem nieubrana.

Geoffrey wydał rozkaz w języku suahili i gdy *askari* wyszli, zapytał:

- Czy wiesz, gdzie jest David Madengej?

- On nie ma nic wspólnego z tym martwym kotem.

- Skąd wiesz?

- Po prostu wiem i na tym koniec.

- Nie rozumiem, jak możesz tak ślepo mu ufać. Jaki wpływ właściwie ma na ciebie David Madengej?

- Wiem, że mogę za niego ręczyć.

- No, jednak chcę go wziąć na przesłuchanie. Czas, żeby go potrzymać w zamknięciu. Za długo już go protegujesz.

Powiedz mi teraz, o której on stąd wczoraj wyszedł?

Mona nie odpowiedziała.

- Nie wiesz, dokąd poszedł? Nie wiesz, gdzie jest w tej chwili?

Przygryzała wargę.

- Jeżeli mi nie powiesz i tak go znajdziemy i nie będzie mu zbyt miło przy przesłuchiwaniu. To gwarantuję.

Zlekceważył godzinę policyjną.

- Nie jego wina. Ja za to odpowiadam.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Mona usiłowała się zastanowić. Jeżeli David jest podejrzany o udział w sprawie powieszzonego kota, będą go w czasie śledztwa torturować. Ale gdyby wstawiła się za nim, gdyby udowodniła, że on nie mógł tego zrobić, bo przez całą noc był u niej, przecież by się przyznała do tego, co z nim robiła.

Zanim zdążyła się zdecydować, Geoffrey wykrzyknął:

- Co do diabła!

Odwracając się, zobaczyła Davida.

W samych tylko spodniach i z pistoletem stał przy drzwiach.

- Usłyszałem głosy, Mono - powiedział. - Myślałem, że jesteś w kłopotcie.

Geoffrey był tak zgorszony, że milczał.

Mona podeszła do Davida i położyła mu rękę na ramieniu.

- Zostawiliśmy drzwi kuchni otwarte, Davidzie. Geoffrey przyjechał, żeby mi powiedzieć o kocie powieszonym na mojej bramie tej nocy. Myślał, że ty to zrobiłeś. - Zwróciła się do Geoffreya: - Ale David nie mógł tego zrobić - powiedziała - bo przez całą noc był tutaj ze mną.

Różne uczucia odmalowały się na twarzy Geoffreya, zanim odzyskał mowę.

- No cóż - powiedział, podchodząc do Mony. - Poniekąd się tego domyślałem. Ale nie miałem pewności.

Ostatecznie, mówiłem sobie, Mona na pewno tak nisko by nie upadła.

- Lepiej już wyjdź stąd, Geoffrey. To nie jest twoja sprawa.

- Jasne, że nie jest! Nie chcę mieć z tym nic do czynienia! Boże drogi, Mono! - krzyczał. - Sypiasz z czarnuchem!

Mocno uderzyła go w twarz.

- Wynoś się - powiedziała. - Wynoś się, bo strzelę do ciebie z tego pistoletu. I nigdy już nie pokazuj się w moim domu. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć. Potem zmierzył Davida jadowicie groźnym spojrzeniem, odwrócił się i wyszedł.

Gdy drzwi kuchenne trzasnęły, Mona podniosła ręce do twarzy i rzuciła się Davidowi w objęcia.

- Tak mi przykro! - płakała. - Tyle w nim nienawiści! To wszystko moja wina!

- Nie. - David pogłaskał ją po włosach, wpatrzony w drzazgi mlecznego światła między zasłonami. Już świtało. - To niczyja wina, Mono. Po prostu jesteśmy ofiarami sił dla nas niepojętych. - Odsunął się i ujął Monę za ramiona. - Mono, spójrz na mnie i posłuchaj, co mam do powiedzenia. To nie jest świat, w którym możemy żyć: nasza miłość by nie przetrwała. Kiedyś by doprowadzili do tego, że patrzyłabyś na mnie i myślała: czarnuch, a ja bym patrzył na ciebie i myślał: biała suka. I co by zostało z naszej pięknej miłości? - Mówił namiętnie: - Musi być przyszłość, w której będziemy mogli żyć ze sobą, kochać się swobodnie, bez lęku. Musimy móc żyć jako mąż i żona, a nie skradać się pod osłoną nocy. Kocham cię całym sercem, bardziej niż kogokolwiek w życiu kochałem, a jednak kiedy ten człowiek cię znieważał, nie miałem możliwości cię bronić. Ja nie mogę nie być mężczyzną, Mono, to dla mnie to samo, co śmierć! Widzę teraz, że przez ten cały czas się myliłem. Jedyne sposoby, żeby przyszłość była nasza, to walczyć

O nią! Już nie mogę być „chłopcem” białych!

Patrzyła na niego odrętwiała, przestraszona.

- Postąpię tak, jak już dawno powinienem był postąpić, Mono.

1 to dla naszego dobra. Tylko pamiętaj, że ja cię kocham. Może dużo czasu upłynąć, zanim znów mnie zobaczysz, ale będziesz wciąż ze mną, w moim sercu. Gdybyś kiedykolwiek, w strachu czy w niebezpieczeństwie, potrzebowała skontaktować się ze mną, zwróć się do mojej matki. Ona będzie wiedziała, co zrobić.

- Dokąd pójdziesz, Davidzie? - wyszeptała.

- Idę do puszczy, Mono. Przyłączę się do Mau-Mau.

## *Rozdział 49*

To miało być uderzenie Mau-Mau największe ze wszystkich dotychczasowych. Marszałek polny Ondżiru Madengej miała je poprowadzić.

Licząc ostatnie laski dynamitu, które jej przemycono, czuła gwałtowne przyspieszone tętnienie w piersi i smak lęku, smak podniecenia. I rozradowanie takie samo jak dawniej, gdy wchodziła do puszczy i ukradkiem zostawiała w dziuplach drzew broń, żywność i wiadomości dla bojowników. W głowie jej się kręciło na myśl o tym wielkim uderzeniu: o zbombardowaniu hotelu Norfolk.

Na to popołudnie zwołano zebranie. Gubernator i generał Erskine wezwali radę powszechną białych osadników, żeby ułożyć plan nowej większej ofensywy przeciwko Mau-Mau. Jedna z poruczników Ondżiru, piękna młoda kobieta z plemienia Meru, imieniem Sybill, przespała się z którymś z adiutantów gubernatora. Niczego nie podejrzewając, ten biały powiedział jej, że ma tajne zebranie.

Teraz wszystko działo się tak prędko! Mau-Mau wzmogli swoją walkę. Wojna rozszerzała się niewiarygodnie. Ondżiru wiedziała, dlaczego. W puszczy jest nowy przywódca, ktoś, kto pewnego lipcowego dnia pojawił się ni stąd, ni zowąd. Ondżiru nigdy go nie widziała - przyjmowała rozkazy od jego podkomendnych; jego prawdziwą tożsamość znało tylko najwyższe dowództwo Mau-Mau. Dla Ondżiru i wszystkich innych bojowników o wolność, a także dla Europejczyków nazywał się Lampart. Ale kimkolwiek był, skądkolwiek przyszedł, Ondżiru go podziwiała. Odkąd przystąpił do wojsk puszczy, Mau-Mau potężnie nacierali na białych. Chytry Lampart wniósł nową taktykę, nowe sposoby walki; miał wojskowe doświadczenie i najwyraźniej się orientował, jak funkcjonuje militarna ma-

china brytyjska. To dzięki niemu ataki na osadników w ciągu paru ubiegłych miesięcy udały się znakomicie. On też zaplanował ten dzisiejszy atak, przygotowywany już od tygodni. Zbombardowanie najważniejszego hotelu w Nairobi wraz ze zgromadzonymi tam kenijskimi prominentami miało być dla białych ciosem druzgoczącym. Ondżiru znalazła się w Nairobi po raz pierwszy od czasu incydentu przed Hotelem Królowej Wiktorii, kiedy to rzuciła kamieniem w hotelowe okno. Później uciekła do puszczy i brała udział w organizowaniu nowych obozów, w przerabianiu rur na prymitywne karabiny, nadzorowała kobiety, pomagała tworzyć tajną podziemną siatkę łączności. Na marszałka polnego awansowała z szeregów Mau-Mau i teraz cieszyła się opinią najpotężniejszej z bojowniczek o wolność. Brytyjczycy poszukiwali jej wszcz i wzdłuż Kenii, wyznaczyli nagrodę w wysokości pięciu tysięcy funtów za jej głowę.

Do Nairobi przywędrowała z gór Aberdare tydzień temu pieszo i w przebraniu. Przyjaciele postarali się dla niej o mużmański *bui bui*, czarny welon okrywający ją całą, tak że tylko szparkę w nim miała na oczy. Wzięła ze sobą Christophera i Hannę z ukrytego obozu w głębi puszczy i taszczyła ich w słonecznym skwarze, żebrząc o jedzenie po drodze przez wioski, pijąc ze strumienia. W pobliżu miasta, zatrzymywana przez kontrole na szosie, udawała, że nie mówi ani po angielsku, ani w języku suahili czy Kikuju, zna tylko jeden z dialektów somalijskich, niezrozumiały dla żadnego z tych żołnierzy. Wyglądała dosyć nieszkodliwie - uchodźczyni z okręgu północnego pogranicza wędrująca z dwojgiem małych dzieci - więc ją przepuszczali. W samym mieście jednak było inaczej. Musiała mieć dowód tożsamości. Załatwiono to dla niej, tak że stała się „żoną” pewnego zwolennika Mau-Mau, mużmanina, który pracując na linii kolejowej do Ugandy, rzadko bywał w swoim jednoizbowym mieszkaniu. On właśnie zaprowadził Ondżiru do Urzędu Pracy w alei Lorda Trevertona, gdzie wzięto odcisk jej palca, sfotografowano ją i wydano przepustkę na nazwisko Fatimy Hammad.

Teraz w skwarne październikowe południe, gdy godzina zamachu bombowego się zbliżała, Ondżiru wypchała suknię na brzuchu Sybill resztkami dynamitu.

Zajmowała się przygotowaniem przez cały poranek. O wschodzie słońca poszła na targowisko niedaleko bloku mieszkalnego przy Shauri Mojo, w którym ten „mąż” mużmanin miał nędzną izdebkę. Na targowisku spotkała się z kilkoma kobietami, jak

było umówione, i wśród kłosów kukurydzy przekazała im w tykwach laski dynamitu, pośpiesznie szeptem polecając, żeby były przed hotelem Norfolk o godzinie pierwszej.

Chociaż atak na hotel był pomysłem Lamparta, szczegóły i wykonanie należały do Ondżiru. Mężczyźni nie mieli swobody ruchu w Nairobi. Wszystkich legitymowali żołnierze brytyjscy i Straż Obywatelska, przeprowadzając rewizje osobiste, samowolnie dokonując aresztowań. Ale kobiety, jak Ondżiru zauważyła, mniej były narażone. Wprawdzie sporo ich zatrzymywano, żeby przesłuchać, i niejedną zabierano do ciężarówki, ale większość dalej mogła spokojnie chodzić po zakupy, prac, sprzedawać warzywa i rodzić dzieci - na bezkresnym utartym szlaku życia Afrykanki.

Ondżiru wiedziała, że koszyki i tykwy są przeszukiwane, i nawet koce, w których kobiety noszą dzieci na plecach. Ale brzuchami ciężarnych żołnierze raczej się nie interesują. Dlatego poleciła swoim kobietom dobrze wypchać spódnicę, dynamit ukrywać pod spodem, blisko ciała, i dlatego też w ostatniej chwili poprawiła kłęb prześcieradeł na brzuchu Sybill.

Każda z nich miała wyznaczone miejsce. Trzy dni przedtem Ondżiru zbadła teren hotelu Norfolk, narysowała obrazek i zaznaczyła pozycje podkomendnych sabotażystek. Podczas gdy ona i Sybill pociły się jak w piecu w izdebce przy Shauri Mojo, osiemnaście ich już zgromadziło się tam niezauważenie na zatłoczonych chodnikach - jedna się zatrzymała, żeby wyciągnąć drzazgę z nogi inna, żeby nakarmić dziecko - aż otoczyły teren hotelu nierzucającym się w oczy, pozornie przypadkowym kręgiem. Ondżiru miała przyjść ostatnia. O godzinie pierwszej, gdy wzniesie okrzyk: „Matki Kenii!”, jej siostrzyce zapalą dynamit i cisną w okna hotelu.

Lampart ocenił ten plan wysoko.

Sybill już przygotowana owinęła swą ogoloną głowę jaskrawo-żółtym *kenge* i dźwignęła na plecy ciężki kosz pełen cebuli do wyłożenia na płachcie przed hotelem, tak jakby tę cebulę sprzedawała. Pożegnała Ondżiru słowami:

- Ta ziemia jest nasza. - I wyszła.

Teraz Ondżiru sama zaczęła się przygotowywać. Robiąc sobie z ostatniej pozostałej poduszki pokaźne brzuszysko, popatrzyła na swoje dzieci śpiące na żelaznym łóżku. Hanna była dużą dziewczynką, a półtoraroczny Christopher rozwijał się krzepki i ładny. Bardzo podobny do ojca, Davida.

Na myśl o tym Ondżiru sposepniała, gardziła mężczyzną, z którym się rozwiódła i do którego miłość wyrzuciła z serca raz na za-

wsze. David Madengej to tchórz, zdecydowała, przynosi wstyd Dzieciom Mambi. Żywiła nadzieję, że jest nieszczęśliwy, pracując w posiadłości tej białej suki.

Na myśl o Monie Treverton poweselała. Meldunek Sybill o mającym się tego dnia odbyć tajnym zebraniu osadników zawierał cudowną informację: na tym zebraniu będą doktor Grace Treverton i jej bratanica, Mona.

Co wtedy zrobisz, Davidzie? Bez swojej *memseeb*?

Obudziła dzieci.

- Chodźcie, moi mali. Idziemy na spacer.

Zaspane, wolno poruszały się w upale. Hanna włożyła swoją jedyną sukienkę, brudną, podartą, już dla niej za ciasną. Christopher miał tylko majtki. Oboje byli bosy. Przed wyjściem marszałek polny Ondżiru Madengej, biorąc koszyk z ararutem, rekwizyt rzekomej przekupki na chodniku przed hotelem Norfolk, potwierdziła swoją decyzję: czynię to dla moich dzieci, dla ich przyszłości, żeby nigdy nie cierpiały upokorzeń jak ich rodzice.

Po lipcowych deszczach miasto się zazieleniło. W blasku słońca, idąc z Christopherem na biodrze, Hanną drepzczącą obok, uczeponą jej ręki, i dynamitem pod poduszką na brzuchu, Ondżiru wspominała, jak wyglądało Nairobi przed szesnastu laty, gdy przyjechała na kursy pielęgniarstwa w Szpitalu Krajowym. Wówczas Nairobi wydawało się o wiele mniejsze i cichsze. Podział zaznaczał się wyraźnie: zarządzenia rasowe i społeczne były proste. Afrykanie pozostawali na przydzielonych nędznych terenach, biali mieli całą resztę. W tamtych czasach jakiś niewinny spokój panował w Nairobi: ludzie raczej nie zwracali uwagi na wypowiedzi młodzieży takiej jak ona i David. W tamtych czasach Afrykanin „wiedział, gdzie jego miejsce”.

Mijając okolice, które były widownią nieudanego wielkiego protestu w dniu parady, gdy syn Trevertona został zabity, a David uciekł do Ugandy, widziała jeszcze lepiej, jak wszystko się zmieniło. Budynek okazał się, ulice brukowane, więcej ludzi i samochodów. Nieomal zatęskniła do minionych dawnych czasów.

Ale to były czasy złe - upomniała się, zanim skręciła w stronę hotelu Norfolk - czasy krzywdy. Walczymy teraz o lepsze czasy.

Przystanąła na rogu ulicy i rozejrzała M?- Nairobi przeobrażono w obóz wojskowy. Na ulicach w szpalerach drzew nigdy dotąd nie było widać tylu mundurów wojskowych, co teraz. Wszędzie patrolowali żołnierze brytyjscy, ignorując posępne spojrzenia Afrykanów. Straż Obywatelska, Kikuju tacy jak ona, a niegodziwi, jej zdaniem,

jak biali, chodzili buńczucznie z policyjnymi odznakami i pałkami. Nie wiedziała, których, białych czy czarnych, lękać się bardziej.

W pobliżu hotelu Norfolk wypatrzyła wśród przechodniów swoje siostrzyce. Ruth leniwie napełniała tykwę wodą z ulicznego kranu. Damaris poprawiała tobolek na plecach. Sybill już sprzedawała cebulę. Miutoni przycupnięta na krawężniku karmiła córeczkę. I była też stara Meme Josephine, która napisała list do królowej Elżbiety z prośbą o uwolnienie Kenyatty i gorącym apelem do uczuć macierzyńskich królowej. Te kobiety wtapiały się w uliczny tłum, typowe Afrykanki zajęte swymi codziennymi sprawami. Żołnierze po sprawdzeniu ich przepustek zbywali je machnięciem ręki jako niegodne dalszej uwagi. Ondżiru wiedziała, że podobnie na swoich pozycjach są już wszystkie inne - niby to niefrasobliwe, a przecież bardzo czujne, czekające na zabójczy sygnał.

Z zadowoleniem Ondżiru zobaczyła zaparkowane pod strażą żołnierzy samochody białych osadników. Rozpoznała wśród nich samochód Mony Treverton. Ten sam, w którym osiem lat temu mordercza ręka dosięgła hrabiego.

A więc oni są w hotelu, jak owce w owczarni przed ubojem. Spojrzała na zegar na kościelnej wieży. Za dziesięć pierwsza.

- Stój, *memel* - doleciał głos.

Odwróciła się, uśmiechając do dwóch *askari* ze Straży Obywatelskiej, idących ku niej. Dzisiaj musiała być ubrana wygodnie, nie zasłoniła więc twarzy ochronnym *bui bui*.

Gdy jeden z *askari* sprawdzał jej fotografię i dane, drugi, młody człowiek z plemienia Embu, mierzył ją spojrzeniem od stóp do głów.

- Co ty tu robisz, *meme*? - zapytał pierwszy, oddając jej przepustkę.

Odwróciła się tyłem, żeby obejrzeł jej koszyk z ararutem.

- Będę to sprzedawać.

- Dlaczego tutaj? Dlaczego nie na targowisku?

- He! Tam za dużo innych takich! A ja potrzebuję pieniędzy. Ten leniwy nicpoń, mój mąż, wszystkie nasze pieniądze wydaje na piwo!

- Są łatwiejsze sposoby zarabiania dla takiej niczego sobie kobiety jak ty - powiedział drugi i uśmiechnął się.

- Proszę pana, jestem nabożną muzułmanką. To, co pan mówi, mnie obraża.

Zastanawiali się, patrząc na nią. Chciała zerknąć na zegar, ale się nie odważyła.



- Skąd pochodzisz? - zapytał pierwszy.

- To jest w mojej przepustce.

- Powiedz, skąd.

Usiłowała nadal się uśmiechać, zachowywać się jak gdyby nigdy nic. Tyle już razy tak ją zatrzymywano. Nie może tracić głowy teraz.

- Z północy - powiedziała. - Tam blisko pogranicza.

- Dzisiaj piątek, *meme* - powiedział ten drugi, już się nie uśmiechając. - Dlaczego nie jesteś w meczecie?

Serce Ondziru zamarło. Zupełnie o tym zapomniała!

- Mąż poszedł za nas oboje. Allah rozumie biedę.

Drugi *askari* przyjrzał jej się długo i uważnie. Zmrużył przy tym oczy i przez chwilę paniki wydawał jej się dobrze znany. Ale nie mogła sobie przypomnieć, gdzie i kiedy go widywała. Szepnął coś do swego towarzysza. Poczwała, jak pot jej spływa po plecach, pomyślała o kobietach przed hotelem Norfolk. Co będzie, jeżeli któraś z nich się zdenerwuje, rozpocznie atak, zanim usłyszy jej sygnał?

Rozpaczliwie chciała iść dalej, stanąć na swojej pozycji. Ale nie mogła okazać, że się śpieszy, musiała spokojnie stać przed tymi dwoma *askari*.

W końcu, ku jej bezmiernej uldze, powiedzieli:

- Możesz odejść, *meme*. I nie szukaj kłopotów.

- *Inszale* - pomachała im ręką, odeszła.

Spojrzała na zegar. Pierwsza za cztery. Zobaczyła, jak Sybill rzuca jej nerwowe spojrzenie. Inne też niespokojnie zaczęły się wiercić.

Czekajcie, pomyślała, jeszcze nie...

To Lampart nauczył swoich bojowników w puszczy natarć znienacka. Pokazał im wszystko, w czym przeszkoliła go armia brytyjska, i co, jak wiedział, robią terroryści w innych krajach. Ondziru wiedziała, że bezwzględnie trzeba, by kobiety zapaliły, każda swój, dynamit i rzuciły go równocześnie. Musi to być jedno zbiorowe błyskawiczne posunięcie, zanim żołnierze zdążą zareagować. Inaczej nic z tego.

Zatrzymało ją przy krawężniku zgęszczenie ruchu na jezdni. Patrzyła na Sybill po drugiej stronie ulicy, już wstającą i sięgającą pod suknię. Była godzina pierwsza za dwie minuty, one tam ukradkiem wyciągały zapalki. Gdy wskazówka zegara przesunie się na ostatnią minutę przed pierwszą, miały wyciągnąć dynamit i nasłuchiwać okrzyku.

Na jezdni zrobił się zator. Klaksony buczały w duchocie spalin. Ondżiru uznała, że już nie ma czasu, i mocno trzymając dzieci, dała nura między samochody osobowe i ciężarówki buchające jeszcze głośniejszą kakofonią klaksonów i zgrzytania hamulców. Wskoczyła na chodnik po drugiej stronie tuż przed śmiganiem wojskowego motocykla, porozumiała się z Sybill wzrokiem.

Włożyła rękę do kieszeni, którą uprzednio przedziurawiła. Na-macała dynamit.

Spojrzała w górę na zegar.

Kobiety wyczekiwały sygnału.

Wskazówka minut sunęła wolno ku liczbie dwanaście. W uszach Ondżiru tętniło. Istniały tylko wskazówki zegara i pałeczki dynamitu w garści. Jeszcze kilkanaście sekund... Z dosunięciem się wskazówki na dwunastkę ona wykrzyknie: „Matki Kenii!” i osiemnaście pałeczek dynamitu trzaśnie w hotelową restaurację, gdzie zebrali się biali osadnicy.

Jeszcze tylko parę sekund ostatnich...

- Meme! - zabrzmiał czyjś głos. Ondżiru się zakręciła.

Ci dwaj ze Straży Krajowej biegli przez jezdnię. Zdrętwiała. Czy dać sygnał, czy uciekać?

- O co... - zaczęła pytanie. Ale oni wyjęli pistolety i strzelali w powietrze.

Ludzie na chodniku natychmiast się rozpierzchli. Ze schodków hotelu zbiegli brytyjscy żołnierze z karabinami wycelowanymi w Ondżiru. Sybill rzuciła się do ucieczki. Inne kobiety też uciekały.

- Ty jesteś Ondżiru Madengej! - powiedział ten *askari* z plemienia Embu. - Od razu myślałem, że skądś cię znam!

- Mylisz się! - krzyknęła Ondżiru. Serce jej się tłukło, bo sobie przypominała. To był salowy w Szpitalu Krajowym przed laty.

- Sprawdzimy to - powiedział kapral, Anglik, szarpiąc ją brutalnie. - Pójdiesz na przesłuchanie.

Hanna się rozplakała. Ondżiru wzięła ją na ręce i żołnierze poprowadzili ją z dwojgiem dzieci w objęciach do wojskowej ciężarówki.

## Rozdział 50

Mona pisała: *Mój najdroższy Davidzie.*

*Już cztery miesiące, odkąd odszedłeś. Tęsknię do Ciebie niewy-słowienie. Tak jak mi poleciłeś, mieszkam teraz u cioci Grace, a Bellatu pozamykałam. Plantacja, przykro mi to pisać, podupada. Po twoim zniknięciu większość ludzi porzuciła pracę u mnie. Nieliczni lojalni zostali, ale myślę, że prawie cały plon się zmarnuje. Dostanę pieniądze ze sprzedaży Bella Hill. To mi pomoże na jakiś czas; co będzie później, nie wiem.*

*Słyszałam wczoraj przez radio, że Ondżiru aresztowano w Nairobi. Zabrano ją do więziennego obozu Kamiti i są tam z nią Twoje dzieci.*

*W ciągu tych czterech miesięcy miałam nadzieję, że się zobaczymy i będę mogła doręczyć Ci moje listy sama. Ale teraz zdaję sobie sprawę, że nie spotkamy się, dopóki ten straszny konflikt się nie skończy. Zrobię tak, jak mi powiedziałeś, zaniosę te listy Twojej matce. Powiedziałeś, że ona będzie wiedziała, jak skontaktować się z Tobą.*

*Czy jeszcze wierzysz, Daidzie, mój ukochany, że znajdzie się dla nas miejsce w nowej Kenii? Obyś miał rację!*

Słyszac kroki na werandzie, Mona podniosła wzrok, odłożyła pióro. Weszła Grace w wykrochmalonym białym kitlu i ze stetoskopem na szyi.

- Przyszłam zapytać, czy wiesz coś o tej przesyłce, na którą czekam. Była jakaś wiadomość?

- Nie, ciociu.

Grace zmarszczyła brwi. Rozpaczliwie potrzebowała nowych szczepionek Salk przeciwko paraliżowi dziecięcemu i modliła się, żeby tej paczki z Ameryki nie przechwycili Mau-Mau.

- Wypiłabym filiżankę herbaty - powiedziała. - A ty?

Mony nigdy nie przestawała zdumiewać niespożyta, zdawałoby się, energia ciotki. Mając prawie sześćdziesiąt pięć lat, Grace nadal zarządzała swoją ogromną misją tak sprawnie i z werwą, jakby była znacznie młodszą kobietą.

Poszły obie do kuchni, gdzie Mario krajał szynkę na ich zimną kolację. O zachodzie słońca miał wyjść przed zamknięciem domu na noc.

- Dzięki Bogu, plantacje herbaty są dla Mau-Mau za daleko -zauważyła Grace, odmierzając herbatę Countess Treverton do czajniczka. - Anglicy by skapitulowali, gdyby herbata była zagrożona.

Służący spojrzął przez ramię i uśmiechnął się szeroko.

Mona odpowiedziała mu uśmiechem i potrząsnęła głową. Nieustraszona postawa Grace wobec tak wielkiego niebezpieczeństwa sprawiała, że u niej praca odbywała się normalnie, podczas gdy z innych misji pracownicy odeszli. Jeszcze dwa razy Mau-Mau przypuścili atak, a Grace nadal nie ustępowała. Chociaż w pobliżu stacjonowało wojsko, chociaż codziennie w wiadomościach radiowych donoszono o pokaleczonych zwłokach Afrykanów, o podciętych ścięgnach bydła, o kotach wbitych na słupki ogrodzeń i chociaż nieustannie hałasowały latające nad puszcza samoloty, z których wzywano terrorystów, żeby wyszli i się poddali, Grace potrafiła zachować równowagę i optymizm.

- Nie ma po co nastawiać dziennika - powiedziała Mona, nakrywając do stołu w ciepłym blasku słońca przy oknie obramowanym kwiatami. - Wciąż jeszcze szukają zaprzysięgającego w naszym okręgu. Na tym teraz władze się koncentrują. Mówią, że kiedy go znajdą, niebezpieczeństwo będzie o wiele mniejsze.

Grace przy kuchence czekała, aż woda się zagotuje. Patrzyła na bratanicę ubraną jak zwykle w dżinsy indygo i za dużą męską koszulę.

- Nie chcę być nietaktowna, Mono - powiedziała - ale naprawdę myślę, że tyjesz. Chyba to nie kuchnia Maria tak ci służy!

- Owszem, tyję - powiedziała Mona, odwrócona tyłem do ciotki. - i to nie ma nic wspólnego z kuchnią Maria. Jestem w ciąży.

Grace patrzyła na nią przez okulary w oprawie ze złotego drutu. Zamrugła. -Co?

Mario, który znał Monę jeszcze jako małą dziewczynkę, odwrócił się.

Mona dalej nakrywała do stołu, kładła papierowe serwetki na talerzach do kanapek.

- Będę miała dziecko, ciociu. Dziecko Davida Madengeja. Mario upuścił nóż. Szczęk noża uderzającego o linoleum szarpnął spokojnym powietrzem popołudnia.

- Mona! - wyszeptała Grace. - Co ty sobie myślałaś, na Boga!

- Byłam zakochana, ciociu. I nadal jestem. David i ja bardzo się kochamy.

- Ale... on zniknął!

- Tak. Powiedział mi, że musi odejść, więc puściłam go.

- Wiesz, gdzie jest David Madengej?

Mona zawahała się. Czują kulę w gardle, łzy stanęły jej w oczach. Nie mogła się zdobyć na to, by komukolwiek powiedzieć, że David stał się jednym z nich.

Grace wpatrywała się w bratanicę. Po chwili znacząco spojrzała na Maria. Zrozumiał i wyszedł z kuchni. One obie usiadły. Popatrzyły sobie w oczy.

- Moje biedne kochanie - powiedziała ciotka. - Co zrobisz?

- Co zrobię? Urodzę dziecko Davida.

- I co potem? Jak będziesz żyć?

- Tak jak żyłam przez trzydzieści cztery lata. Tak jak każdy żyje dzień po dniu. I będę czekać, żeby David do mnie wrócił. - Więc ty wiesz, gdzie on jest?

- Wiem.

Patrząc bratanicy w oczy, Grace wyczytała odpowiedź, której wolałaby nie znać.

- I co z tym dzieckiem? Jakie życie ono będzie miało?

- Będzie kochane, ciociu. Zostało poczęte z miłości i w miłości będzie wychowywane.

- A jeżeli David nigdy nie wróci?

- Wróci... - Głos się Monie załamał. - W takim razie wychowam je sama tak, żeby było dumne ze swojego ojca i swoich dwóch ras.

Grace spuściła wzrok na rękę. Słuchała śpiewu ptaków za oknem. Domkiem Ptasiej Pieśni nazwała swój pierwszy dom, ten, który się spalił przed laty. Myślała o tamtej nocy, gdy chata operacyjna stanęła w ogniu i słychać było zza płomieni głosy tych dwojga dzieci.

- Mono - powiedziała powoli - powinnaś wiedzieć, że David, jeżeli wróci, to już nie ten sam. Odmieniony.

- Nie sędę.
- Skoro przystąpił do Mau-Mau, złożył przysięgę, więc już nie będzie godny zaufania.
- Nie David.
- Wiem, jaka jest moc tej przysięgi, Mono! Zmienia rozumnych inteligentnych ludzi w potwory. Jak jakaś choroba psychiczna. Oni wierzą, że ta przysięga wiąże. David jest Kikuju, Mono.
- On jest inny.
- Czyżby? Nie słyszysz o więźniach w obozach? O rygorystycznych programach rehabilitacyjnych dla Afrykanów, którzy obrócili się przeciwko swoim białym przyjaciółom, a byli u nich swego czasu lojalnymi nadzorcami? Rząd ma prawdziwych czarowników do odprzysięgania Mau-Mau! Mono, czy nie rozumiesz? David jest Mau-Mau. I przystąpił do nich ochotniczo, a nie wbrew swojej woli. Nawet temu, kto zapewnia, że jest lojalny, nie można ufać, a cóż dopiero człowiekowi, który przyłączył się do Mau-Mau dobrowolnie.

Mona zerwała się z krzesła.

- David nigdy mnie nie skrzywdzi. Wiem!
- Mono, posłuchaj...
- Ciociu, potrzebuję twojej pomocy. Chcę prosić cię o przysługę. Usta Grace były jak kreska.
- Jaka?
- Pisałam listy do Davida. Chcę, żeby je dostał.
- No, wiadomo ci, gdzie on przebywa.
- Nie wiem dokładnie, gdzie, i nie wiem, jak mu te listy przekazać. Powiedział mi, żebym w razie potrzeby zwróciła się do jego matki. Powiedział, że ona będzie wiedziała, jak się z nim skontaktować.
- A jakże! - przytaknęła Grace ze smutkiem, po raz pierwszy od początku działań wojennych odczuwając zbrodniczość tej obscenicznej wojny. - Jest siatka podziemna. Wiadomości dla nich zostawia się w dziuplach drzew.
- Meme Oczera będzie wiedziała, jak przesłać moje listy do Davida.
- Więc czego chcesz ode mnie?
- Ona nie mówi po angielsku, a ja znam Kikuju tylko trochę. Czy pójdziesz ze mną i będziesz tłumaczyć?

Grace podniosła wzrok.

- Do chaty Oczery?
- Tak.

- Nie rozmawiałam z tą kobietą przez lata całe. Od czasu tego *ajrue*... kiedy usiłowałam ratować Ndžeri.

- Proszę cię - powiedziała Mona.

\* \* \*

Na boisku od dawna nikt nie grał w polo. Mona wciąż mówiła, że je znów otworzy albo zmieni w duży ogród, ale nigdy się do tego nie zabrała. Teraz bujnie rosło tam zielsko, ogrodzenie było zardzewiałe. Grace ostatnio myślała, że byłby to dobry dodatek do misji jako boisko dla trzystu uczniów i uczennic w jej szkole.

Wśród trawy na skraju biegła ubita ścieżka. Mona i Grace wyszły tam za łukowatą żelazną bramę misji. Dwaj brytyjscy żołnierze ofiarowali się im towarzyszyć, ale zapewniły, że ze strony Meme Oczery nie ma się czego obawiać. Rzeczywiście Afrykanie obu orientacji szanowali tę znachorkę i zostawiali ją w spokoju.

Gdy zbliżały się do kępy skromnych chat, Grace opadły wspomnienia. Deszczowy dzień w roku 1919, przyjazd wozami ciągniętymi przez woły, niemowlę Mona w objęciach Rose. Pierwszy uścisk ręki Jamesa. Na rozkaz Valentine'a ścięcie figowca, tam gdzie teraz na boisku są słupki południowej bramki. Noc pożaru, a potem dni powracania do zdrowia w chacie Oczery. Idąc skrajem *szembe* znachorki, zagonów fasoli i kukurydzy czekających na deszcz, Grace czuła, jak jej nowoczesna misja z elektrycznością i najświeższym medycznym wyposażeniem powoli usuwa się w dal poza nią. Tu już jest inna epoka - pradawna Kenia.

Meme Oczera siedziała w blasku słońca i odrywała liście od jakiejś leczniczej rośliny. Śpiewała monotonie przy wrzucaniu ich w wywar, który następnie przelewała do tykw oznaczonych cza-rownymi symbolami. Była w stroju, w jakim zawsze ją widywano; miała naszyjniki z paciorków, miedziane bransolety, kolczyki tak masywne, że rozciągnięte płatki uszu sięgały do ramion. Jej ogolona głowa lśniła, amulety i uświęcone talizmany pobrzękiwały na nadgarstkach.

Podniosła oczy na srebrzystowłosą *memseeb* w białym płaszczu i w naszyjniku z metalu i gumy. Nie rozmawiały ze sobą od wielu żniw.

Mona patrzyła z lękiem na tę starą Afrykankę. Tyle już słyszała o Oczere, i jej chatę stojącą tutaj widywała zawsze, odkąd zaczęła pamiętać. Było też nieuchwytnie wspomnienie jak sen - ogień, a potem deszcz i w końcu posłanie z kozich skór i łagodne ręce, które chłodziły gorączkę. Mona wiedziała, że Meme Oczera kiedyś ocaliła jej życie.

Grace, władając doskonale językiem Kikuju po latach pogłębiania swojej wiedzy, zwróciła się do matki Davida bardzo grzecznie i z szacunkiem. Meme Oczero w zamian okazała skromność i też wielką grzeczność, ale co nie uszło uwagi Grace - nie zaproponowała tykwy piwa.

- Te listy, pani Oczero - powiedziała Grace, wyciągając paczkę owiazaną sznurkiem - są do twojego syna, Davida. Przyszliśmy zapytać, czy mogłabyś przekazać mu je od nas?

Meme Oczero wpatrywała się w Grace.

Czekały. Muchy brzęczały w upale, błędny obłok zakrył słońce. A znachorka milczała.

- Proszę - powiedziała Mona po angielsku, po czym spróbowała w swoim nieporadnym Kikuju wyjaśnić, jakie znaczenie to by miało dla Davida.

Oczera skierowała wzrok na jej talie, a potem znów na twarz pogardliwie, jak gdyby znała sekret kryjący się pod tą męską koszulą. .

- Pani Oczero - powiedziała Grace - twój syn z wielką radością przeczytałby te listy. My nie wiemy, gdzie on jest, wiemy tylko, że odszedł do puszczy. Ale gdy odchodził, powiedział córce mojego brata, że mogłaby mieć z nim łączność za twoim pośrednictwem. Powiedział, że ty pomożesz.

Meme Oczero spojrzała na tę kobietę, która dawno temu zbudowała dziwną chatę: same tylko cztery słupy i na nich strzechę, ale teraz posiadała dużo kamiennych budynków, brukowane drogi i automobile.

- Nie wiem, gdzie jest mój syn - oświadczyła.

Grace jednak położyła paczkę listów na ziemi przy znachorce, mówiąc:

- *Muoige*, co znaczy „wszystko dobrze, zostań w spokoju”. I odwróciła się.

W drodze powrotnej do misji powiedziała:

- Nie martw się, Mono. Ona wie, gdzie jest David. I będzie chciała spełnić jego życzenie. Przekaze mu te listy.



## Rozdział 51

Simon Muoczejro, jeden ze strażników obozu zarówno nienawidził, jak pożądał Ondżiru Madengej. Wzywał ją do swego biura raz po raz we wszystkich porach dnia i nocy, przerywając jej posiłek, budząc ją ze snu, żeby przesłuchiwaniami złamać w niej ducha.

- Kto jest twoim bezpośrednim zwierzchnikiem Mau-Mau? -pytał setki razy. - Jakie są linie łączności? Jak dostajesz jego rozkazy? Kto to jest Lampart? Gdzie ma obóz?

Te dorywcze przesłuchania prowadził w naprędce zbudowanej budzie z blachy falistej, gdzie były tylko krzesła, stół i radiotelefon. Zawsze przesłuchiwał Ondżiru w obecności białego oficera i czterech *askari*, przy czym godzinami musiała tam stać na kamiennej podłodze jak w piecu, gdy panowały skwary, albo jak w lodowni, gdy padały zimne deszcze. Albo się pociła, albo się trzęsła, była słaba i wyczerpana, ale zawsze milcząca. Odkąd ją przywieziono do obozu w Kamiti, nie powiedziała władzom ani słowa.

Wreszcie po paru godzinach błyskawicznych pytań Simon Muoczejro zwalniał ją, nie dowiedziawszy się niczego. Ale był pełen determinacji. Ondżiru Madengej została mianowana marszałkiem polnym przez Mau-Mau, opatrzona etykietką „twardy orzech” przez władze i dostała czarną kartę, co znaczyło, że zaliczono ją do najbardziej niebezpiecznych wśród uwięzionych. Muoczejro wiedział, że wydarciem od niej informacji zasłużyłby sobie na pochwałę i, być może, awans.

Przesłuchiwał Ondżiru już pięć miesięcy. Nie wątpił, że ostatecznie ona się załamie.

\* \* \*

- Patrz teraz, Hanno - poleciła Ondżiru swojej czteroletniej córeczce. - Patrz uważnie na to, co robię, bo kiedyś będziesz znachorką tak jak twoja babka.

Opowieści o Meme Oczerze, jej świerze, mała Hanna lubiła nawet jeszcze bardziej niż o górze Kenya. Wolałaby, żeby matka znów coś opowiadała zamiast pokazywać, jak się wyjmuje paskudną drzazgę z palca nogi.

- No już - powiedziała Ondżiru do starej kobiety z plemienia Embu, siedzącej na ziemi pod ścianą baraku - umyj to dobrze, *meme*, i uważaj, jak chodzisz.

Oczyściła igłę, jedną z najcenniejszych swoich rzeczy, wpięła w kołnierzyk i przeszła do następnej kobiety.

Trzy tysiące więźniarek w Kamiti zajmowało zaledwie ćwierć obszaru więzienia mierzącego jedenaście tysięcy akrów. Od obozu mężczyzn oddzielały je wysokie ogrodzenia z łańcuchów, wieże wartownicze i zwoje kolczastego drutu. Mieszkańców obozu Kamiti uważano za niebezpiecznych więźniów politycznych, więc obóz ten maksymalnie zabezpieczono: warunki życia były ciężkie, takie same dla kobiet i dzieci, jak dla mężczyzn, jedzenie nędzne, baraki przeludnione, opieka lekarska zbyt słaba, żeby mogła być pomocna. Dlatego Ondżiru, wykwalifikowana pielęgniarka, stała się prawie jedyną przedstawicielką służby zdrowia w oddziale D.

Po obejrzeniu rąk następnej kobiety, z ropnymi ranami w wyniku tortur, Ondżiru powiedziała łagodnie:

- Staraj się ich nie zabrudzić, *meme*. I niech je goi słońce Matki Afryki.

Ondżiru czuła się bezradna. Bez leków, bez bandaży i należytego pożywienia niewiele mogła zrobić dla tych cierpiących odrzuconych kobiet. Robiła jednak wszystko, co tylko mogła. Korzystała ze swego konwencjonalnego przeszkolenia u pielęgniarek brytyjskich, które uczyły ją medycyny nowoczesnej i higieny, jak również z wiadomości w zakresie leczenia tradycyjnego, nabytych od Meme Oczerzy. Czasami już fakt, że Ondżiru Madengej zbadała dolegliwości i posłuchała zwierzeń o kłopotach, wystarczał, by poprawić samopoczucie jej współwięźniarek. Wszystkie się zgadzały, że to szczęście mieć ją tutaj.

Gdy ostatnia z czekających została załatwiona, Ondżiru wstała i wzięła córeczkę za rękę. Ruszyła, jak zwykle o tej porze, po wodę ze wspólnego wywierconego źródła.

Szła z Christopherem przypasanym do jej pleców. Miał dwa lata i zaczynał być ciężki. Mogłaby zostawiać dzieci pod opieką kobiet, na ogół matki w obozie tak robiły, ale ona nigdy, odkąd Hannę i Christophera urodziła, nie spuszczała z nich oka. Więc i teraz by się z nimi nawet na krótko nie rozstała.

Niebo zniżało się szare, gdy tak szła odprowadzana wzrokiem białych i afrykańskich strażników na wieży wartowniczej, z której trzepotała w podmuchach wiatru flaga brytyjska. Mijała gromady kobiet siedzących bądź leżących na ziemi jedna przy drugiej pod ścianami baraków, gdzie mniej marzły. Znów się zastanawiała, jakich zbrodni dopuściły się te biedaczki. Wśród tych trzech tysięcy kobiet, myślała, chyba nie więcej niż pięćdziesiąt to Mau-Mau jak ja. Więc co one popełniły, że tak się je traktuje?

One nie mają mężów, myślała, są niechciane. Uznane za bezużyteczne. I to właśnie jest ich wielka zbrodnia. Ta woda była słonawa i brudna, lepsza jednak niż brak wody. Ondżiru wciąż nakłaniała kobiety do dbałości o czystość swoją i swoich dzieci. Przecież nie mają w obozie Kamiti groźniejszego wroga niż choroba. Pouczała kobiety, jak z tym wrogiem walczyć.

Zatrzymała się, żeby popatrzeć przez ogromne zwoje drutu kolczastego otaczające obóz. W niezmierzoną dal rozciągało się pustkowie, aż do gór, na które padał ulewny deszcz. Z jękami coraz silniejszego wiatru znów zabrzmiało jej w uszach orzeczenie wygłoszone po procesie:

Oskarżona o działalność terrorystyczną przeciwko Koronie. Wyrok według uznania gubernatora: dożywocie. Dożywocie...

Czy naprawdę oni jej to zrobią? Będą trzymać ją i jej dzieci za drutami do końca życia? Ma dopiero trzydzieści sześć lat; dożywocie to czas bardzo długi.

Czując Christophera na plecach, ciepłego i ciężkiego, i w dłoni maleńką rączkę Hanny, nagle wpadła w panikę i we wściekłość. Jakich zbrodni są winne te dzieciaki poza tym, że urodziły się z prawem do wolności?

Przyszła strażniczka, wysoka kobieta z plemienia Embu, prowadząc dwa złe psy. Zagoniła Ondżiru z powrotem do baraku. Ondżiru pomyślała o Davidzie. Gdzie on jest? Co ta wojna robi jemu?

\* \* \*

- Kiedyś bardzo dawno - mówiła Ondżiru tylko trochę głośniej, niż szemrał za ścianą baraku deszcz - żyła sobie w chacie na brze-

gu rzeki bardzo mądra znachorka. Mieszkała ze swoją babką i swoim synem i we troje byli bardzo szczęśliwi tam na brzegu rzeki, która dawała im wodę i karmiła ich plony: kukurydzę, proso i fasolę. Pewnego dnia obcy człowiek przybył nad rzekę. Ta znachorka nigdy jeszcze nie widziała kogoś takiego jak on. Skórę miał koloru bladej ząby i mówił w języku nieznanym Dzieciom Mambi. Znachorka nazwała go *ozungu* z powodu tej jego dziwności.

Kobiety w celi stłoczone, żeby się rozgrzać, słuchały uważnie opowiadania Ondżiru. Nie znały tej historii.

- Otóż *ozungu* powiedział znachorce, że podoba mu się to miejsce nad rzeką i że chciałby tam mieszkać.

Powiedziała: proszę bardzo, bo jedzenia i wody, i blasku słońca wystarczy dla wszystkich. Więc on odszedł i zbudował sobie dom w innym miejscu nad rzeką. Znachorka i jej babka, i jej syn dalej żyli nad rzeką w spokoju. Byli bardzo szczęśliwi i bardzo się kochali. I nie przeszkadzało im to, że mają *ozungu* za sąsiada. Ale pewnego dnia on stał się chciwy.

Christopher skręcał się na kolanach matki. Opowiadała tę bajkę już przedtem, chciał usłyszeć inną, o tym, jak dzikiemu indykowi zrobiły się cętki na upierzeniu. Hanna skulona obok spała, trzymając trzy paluszki w buzi. Cella zbudowana dla dziewięciu osób mieściła teraz dwadzieścia sześć kobiet: niektóre z małymi dziećmi siedziały pod zimnymi wilgotnymi ścianami i leżały na podłodze, zasłuchane w słowa Ondżiru. Nieważne, że to nie była opowieść swojska, tradycyjna, chociaż lubiły takie opowieści najbardziej - po prostu słuchając mogły na chwilę zapomnieć o zmęczeniu po całodziennej pracy na polach, gdzie uprawiały kukurydzę - żywność dla współwięźniarek, czy przy budowie nowej szosy, gdzie dźwigały *murram*, czy przy pochówku licznych zmarłych. I wszystkie nękał głód, a Ondżiru skracala im czas czekania na wieczorny mdły kleik« kukurydzy.

- *Ozungu* powiedział znachorce, że chce więcej ziemi, bo ma za mało, więc mu powiedziała: „Bierz, ile potrzebujesz. Jest mnóstwo dla wszystkich". Więc *ozungu* wziął i powiększył swoje *szembe*.

Deszcz zacinał w dach z blachy falistej i w jedyne okno w celi. Chociaż był jeszcze dzień, w baraku bez żarówek, bez lamp panował półmrok. Kobietom po pracy pozostawało tylko spać do świtu następnego dnia harówki albo zastanawiać się, gdzie jest mąż, jeśli któraś męża miała, i kiedy zostaną zwolnione, i w ogóle dlaczego są w więzieniu.

Wszystkie wiedziały, że to ma coś wspólnego z Mau-Mau. Ale czy rząd rzeczywiście myśli, że one wszystkie walczyły o wolność?

Ta bezzębna stara Meme Margaret, na przykład? Czy kulawa Mambi? Tego dnia po południu przez oddział D przechodził „czarownik rehabilitacyjny” i odprzysięgał kobiety. Większości taki obrzęd wydawał się zbyteczny, bo nigdy żadnych przysięg nie składały.

- *Ozungu* znowu przyszedł do chaty znachorki i powiedział, że potrzebuje jeszcze więcej ziemi. A ona powiedziała: „Weź, ile potrzebujesz, jest mnóstwo dla wszystkich”. *Ozungu* brał ziemię dzień po dniu, aż bardzo się powiększyło jego *szembe*. Właściwie graniczyło już tylko o jeden krok z jej *szembe*. I znowu powiedział: „Potrzebuję więcej ziemi”, a ona powiedziała, „weź, ile potrzebujesz, jest mnóstwo dla wszystkich”. Ale *ozungu* chciał tę ziemię, na której stał uświęcony figowiec, więc znachorka sprzeciwiła się grzecznie: „Nie, przyjacielu. Nie możesz mieć tego miejsca, bo jak widzisz, ono należy do Ngai, Boga Jasności”.

Słuchaczki Ondżiru zaszemrały, zadowolone z odpowiedzi znachorki. A gdy usłyszały, że *ozungu* i tak wyrwał to drzewo z korzeniami, oburzone podniosły krzyk.

- Znachorka rzuciła *tsehę* na *ozungu* i wszystkich jego potomnych i powiedziała, że on będzie przeklęty, dopóki ta uświęcona ziemia nie dostanie się z powrotem Dzieciom Mambi.

Kobiety zaczęły klaskać. Zgodziły się, że to dobra opowieść. Potem ułożyły się do długiego głębokiego snu, usiłując jak najwygodniej wtulić się, każda w swój jedyny przydzielony koc. Niejedna usiłowała wyschłą piersią karmić niemowlę, inne płakały, wspominając rodziny, od których zostały siłą oderwane. Przeważnie były ofiarami niespodziewanych obław w wioskach; wywożono je, oddzielone od mężczyzn, i odjeżdżając widziały z ciężarówek, jak żołnierze wchodzą do ich chat i wychodzą z pełnymi rękami.

- Meme Ondżiru! - zabrzmiał natarczywy głos u wejścia bez drzwi. - Chodź prędko! Meme Ndżoki jest bardzo chora! Ondżiru poszła na to wezwanie do sąsiedniej celi. W wodnistym świetle wsączającym się przez okno stwierdziła, że Ndżoki bezwładna, oparta o ścianę ma język spuchnięty i jaskrawoczerwony, zaognienia na ciele, skórę miejscami dziwnie obrzękłą.

- Jak się czujesz, *meme*? - zapytała łagodnie. - Są wymioty? -Przytaknięcie. - I biegunka? - Znow przytaknięcie. - Pieczenie w gardle?

Widziała, jak dłonie Ndżoki raz po raz otwierają się i zamykają odruchowo. Rozpoznała, że zbliża się delirium, a potem śmierć.

- Inne też chore? - zapytała kobietę, która ją wezwała.

- Inne też, ale żadna nie tak jak Meme Ndžoki.
  - Mam sprawę do Simona Muoczejro - powiedziała Ondžiru strażnicze baraku. - To pilne!
- Deszcz, teraz ulewny, grzmocił w dach biura z blachy falistej. Muoczejro i biały policjant brytyjski, Dwyer, grali w karty. Ze zdumieniem spojrzeli na wchodzącą zmokniętą Ondžiru. Muoczejro pomyślał, że może przyszła, by udzielić informacji, o jakie mu chodziło, ale ta nadzieja zaraz zgasła.
- Jest pelagra w oddziale D - powiedziała Ondžiru.
  - Skąd wiesz?
  - Widziałam chore. Niektóre bardzo ciężko. Umrą, jeżeli nie będziemy miały lepszego wyżywienia. Potrzeba nam czegoś więcej niż kukurydza!
  - O czym ty mówisz? - zapytał Dwyer. - Przecież wyłącznie kukurydzę wy czarni zawsze jadacie.
  - Potrzebujemy zielonej fasoli! W samej kukurydzy jest niedobór witaminy B.
- Brwi mu się uniosły.
- Skąd takaś mądra?
- Z pogardą spojrzała na tego białego policjanta.
- Ukończyłam kurs dla pielęgniarek w Nairobi. Rozumiem, jaki jest związek między odżywianiem i zdrowiem. Więc mówię, że odżywianie w tym obozie jest niezdrowe!
- Policjantowi Dwyerowi chwilowo to zaimponowało. Nigdy dotąd nie natknął się na wykształconą Afrykankę.
- Po co mielibyśmy was odżywiać? Po to, żebyście mogli wrócić do puszczy i jeszcze z nami powalczyć?
  - Więc - powiedział Muoczejro, podchodząc do niej - chcesz, żebym wam co wieczór wyprawiał ucztę?
  - Chcę tylko, żebyśmy mogły uprawiać fasolę. Albo żeby *dektari* wydawał witaminy w tabletkach. Pelagra się rozszerzy, jeżeli teraz jej nie zatrzymamy.
- Muoczejro uśmiechnął się, a ona nagle zamarła.
- Co zrobisz w zamian? - zapytał.
  - Proszę, odżywiajcie nas lepiej - powiedziała cicho. Muoczejro zacisnął rękę na jej piersi. Zamknęła oczy.
  - Jeżeli powiesz mi to, co chcę wiedzieć - rzekł dobitnie - o tajnym podziemiu Mau-Mau i o Lamparcie, postaram się, żebyście dostały witaminy.

Meme Ndžoki umarła nazajutrz i umarli jeszcze dwie kobiety i troje dzieci. Ondžiru z kamieniólómów, gdzie harowała w nieskończoność, rozbijając skałę, zabrano do grzebania zmarłych. Wieczorem przeszła przez cele oddziału D i zobaczyła, że pelagra się nasila.

Wszczęła wśród kobiet w swojej celi protest, do którego szybko przyłączył się cały oddział.

- Matki Kenii! - krzyczała. - Oni nas zabijają nędznym jedzeniem! Musimy się zjednoczyć i sprzeciwić! Nie dajmy się mordować tak podstępnie! Niech różnice plemienne nie przeszkodzą nam utworzyć zjednoczonego frontu! Nie powinniśmy być Kikuju czy Luo, czy Embu; pamiętajmy, że wszystkie jesteśmy kenijskimi matkami i walczymy o przyszłość naszych dzieci!

Ukarana za powstańcze przemówienie, musiała tak jak Meme Ndžajne, żona Kenyatty, nosić kubły z odchodami więźniarek.

Ale nie przestawała przemawiać do kobiet, buntować ich, aż w końcu zamknięto ją bez dzieci na dwadzieścia dwa dni w izolatce. Stamtąd jednak potrafiła wezwać oddział do strajku głodowego. Wiedząc, że jej strażnicy nie są Kikuju, nocą śpiewała wniebogłosy. Swoimi pieśniami mówiła matkom Kenii, żeby nie jadły kleiku danego im rano, żeby leżały przy swoich motykach, żeby nie nosiły kamieni, dopóki wyżywienie nie będzie lepsze.

Po trzech tygodniach wypuszczono ją z zamknięcia. Mrużąc oczy w słonecznym blasku, dowiedziała się z radością, że jej plan nie zawiódł. Kobiety słuchały jej śpiewu i zastosowały się do poleceń. Bojkot jedzenia sprawił, że pozwolono im uprawiać fasolę i co tydzień rozdawano witaminy w tabletkach.

Ale za późno, jeśli chodzi o małą Hannę.

-Robiliśmy wszystko, cośmy mogły - powiedziały kobiety w celi Ondžiru. - Za późno dla niej przyszła ta pomoc.

Teraz ona w ogóle nie może jeść.

Ondžiru, tuląc w objęciach apatyczną córeczkę, śpiewała jej kołysanki Kikuju, a Christopher z powagą patrzył na to wielkimi oczami. W środku nocy Hanna się poruszyła, powiedziała:

- *Meme.*

I umarła.

Nazajutrz rano Ondžiru sama wykopała grób, jeden z wielu od czasu pojawienia się pelagry, i zwróciła swoją córkę Matce Afryce.

\* \* \*

Trwało to już długie godziny. Ondżiru ledwie trzymała się na nogach. Simon Muoczejro w nieskończoność zadawał pytania.

- Od kogo miałaś rozkazy? Gdzie był twój obóz w puszczy? Kto to jest Lampart?

Przesłuchanie okazało się za długie nawet dla policjanta Dwyera, który w końcu wstał i wyszedł.

- Pozwól spać - jęknęła Ondżiru. - Proszę...

- Dopiero kiedy powiesz to, o co pytam. Za informacje o Mau-Mau możesz mieć wszystko, co chcesz, obiecuję.

Ondżiru miała w głowie pustkę. Nic tego dnia nie jadła, a Muoczejro kazał jej stać godzinami.

- Głupia kobieto - powiedział. - Nie wiesz, że tym uporem doigrasz się wyroku śmierci, nie wiesz tego? Jeżeli nie zadbasz o siebie, to co z twoim synem?

Pomyślała o Christopherze tam w celi pod opieką kobiet. Jeżeli on ma umrzeć za *juhuru*, niech tak będzie. Ja nie zdradzę mojej sprawy tylko po to, by ocalić życie mojego syna.

- Mów wszystko, co chcę wiedzieć - powiedział Muoczejro - albo siłą z ciebie wyduszę.

Podszedł do drzwi, zamknął je na klucz. Gdy dał znak czterem *askari*, Ondżiru nagle stała się czujna.

- No i dograłaś się - powiedział, rozpinając klamrę paska. - Tymi swoimi witaminami i bojkotem, i zadzieraniem nosa. Ja ci pokażę, czym ty naprawdę jesteś. Pokażę ci, na co zasługujesz. I wrzeszcz sobie do woli. Nawet jeżeli ktoś usłyszy, nie będzie się wtrącał.

*Askari* pchnęli Ondżiru na podłogę. Dwaj przycisnęli jej ręce, dwaj trzymali ją za nogi.

Simon Muoczejro rozpiął spodnie.

- Kiedy ja z tobą skończę, kolej na tych czterech.

Ze zgrozą Ondżiru patrzyła w sufit. Koncentrowała się na wzgórzach i dolinach tej szarej blachy, przypominając sobie zielone wzgórza i doliny swoich stron rodzinnych w okręgu Nyeri. Myślała o wonnej puszczy sosnowej, o wartkich strumieniach i wodospadach, o obfitości ptaków i kwiatów, o dzieciach śpiewających o wiosce, o kobietach radośnie powracających w promieniach słońca, o swoim mężu, którego kiedyś tak kochała...

Odchyliła głowę i krzyknęła:

- David!



## *Rozdział 52*

Mona już od dwóch godzin bez mała wyglądała przez okno, gdy wreszcie to wypatrywanie zostało nagrodzone.

- Wujaszek! - zawołała.

Wybiegła ze swoim trzymiesięcznym dzieckiem w objęciach na werandę domu Grace, uradowana, ale wyraz twarzy sir Jamesa, wysiadającego z samochodu, świadczył, że jego podróż do Nairobi była daremna.

- Przykro mi, Mono. - James wszedł po schodkach, kulejąc. Miał już sześćdziesiąt sześć lat, dawna rana w nodze, pamiątka z pierwszej wojny światowej, dawała mu się we znaki. - Wszędzie się dowiadywałem. Davida Madengeja po prostu nie ma wśród tych wszystkich zatrzymanych w obławach.

- To znaczy, że on jest nadal w puszczy.

- Albo nie żyje. - James położył jej rękę na ramieniu. - Musisz pogodzić się z taką ewentualnością, Mono. Wielu było zabitych.

Mówił o operacji „Kowadło”, przeprowadzonej trzy miesiące przedtem, w kwietniu, zmasowanej kampanii brytyjskiej przeciw Mau-Mau, w wyniku której aresztowano i uwięziono trzydzieści pięć tysięcy Afrykanów. Mona nie miała wiadomości o Davidzie przez cały rok po jego zniknięciu. Na żaden z listów, chociaż nie przestawała ich dawać Meme Oczerze, nie dostała odpowiedzi, uznała więc, że on jest w obozie więziennym i dlatego nie może dać jej znaku życia.

James ofiarował się zasięgnąć o nim informacji, korzystając ze swoich wpływowych znajomości. Tylko on i Geoffrey, Grace i Mario, służący, wiedzieli, że David przystąpił do Mau-Mau i że to niemowlę na ręku Mony jest dzieckiem Davida.

W kolonii szumiało od domysłów na temat nieślubnego dziecka Mony Treverton. Któż mógłby być ojcem? A wydawała się taka po-

rządna, taka przyzwoita - wzdychali plotkarze - no, ale zważcie, jaka okazała się jej matka. Nastąpiła zgodność co do tego, że dziecko jest Geoffreya Donalda. On wciąż przesiaduje w Bellatu.

Mona nie przejmowała się tymi pogłoskami. Dziecko miało trochę włosów na głowie i skórę kremową. Wyglądało jak każde inne niemowlę. Ale wiedziała, że przyjdzie czas, gdy afrykańskie pochodzenie jej córki zacznie się ujawniać i ludzie na pewno będą unosili brwi. Miała nadzieję, że do tego czasu Kenia rozwiąże swoje problemy i jej córka nie będzie cierpieła wskutek rasowych i społecznych stygmatów.

„Musi być przyszłość dla nas - powiedział David tamtej nocy rok temu, gdy się kochali i gdy przysięgli sobie miłość do śmierci. - Jeszcze będziemy mogli chodzić ramię w ramię w słońcu jako mąż i żona”.

Czy taka przyszłość dla nas będzie, zastanawiała się Mona, wchodząc z sir Jamesem do kuchni, gdzie Mario przygotowywał obiad. Przyszłość, w której David i ja weźmiemy ślub i nie staniemy się wyrzutkami, i w której będziemy mogli jeździć razem w tym samym wagonie pociągu, razem wejść do hotelowej restauracji, usiąść przy stoliku, zamówić potrawy? Późną nocą w łóżku, z dzieckiem w zgięciu ramienia, Mona, myśląc tęsknie o Davidzie' wierzyła, że taka przyszłość jest nie tylko możliwa, ale bardzo bliska. W świetle dnia jednak, gdy przypasywała rewolwer i słyszała radiowe doniesienia znów o zabijaniu, znów o okrucieństwach obu stron, widziała, jak ta piękna przyszłość więdnie niczym herbaciana róża za bardzo narażona na żar słońca. W Kenii biali zawsze jeżdżą pierwszą klasą, Afrykanie trzecią i nigdy nie zasiadają do stołu razem. Jej fantazja dziwacznie się rozhułała; równie dobrze można by zapragnąć gwiazdy z nieba.

- *Dzimbo, buana* - powiedział Mario, nalewając Jamesowi herbatę. - *Heben gani?*

- *Mzuri sene*, Mario. A ty?

- To są złe czasy, *buana*. Bardzo złe.

Złe, owszem, James się zgodził, ale z dnia na dzień lepsze. W ciągu trzech miesięcy po operacji „Kowadło” Brytyjczycy widzieli, że Mau-Mau wyraźnie słabną. Chociaż nie wszyscy z trzydziestu pięciu tysięcy zatrzymanych należeli do Mau-Mau, przecież w zarzuconą tak dużą sieć przypadkiem wpadło Brytyjczykom kilka grubych ryb. James był pewien, że teraz, jeśli tylko da się schwytać zaprzysięgającego w tym okręgu i głównych dowódców Mau-Mau, takich jak Dedan Kimathi i tak zwany Lampart, bunt zgaśnie jak zdmuchnięty płomyk świecy.

Tylko co potem?

James mieszał cukier w herbacie, zadumany. Za oknem brzęczały pszczoły wśród margerytek i bratków Grace, zwykły ruch misji tętnił na brukowanych uliczkach, żołnierze brytyjscy z karabinami w pogotowiu patrolowali teren. Nie ulegało dla Jamesa Donalda wątpliwości, że Mau-Mau raz na zawsze zmienili Kenię. Z chwilą gdy ta wojna domowa się skończy, nastąpią drastyczne innowacje. Już jest coś, co żadnemu białemu osadnikowi nawet się nie śniło: w rządzie zasiada pierwszy minister Afrykanin.

Ale jeśli Afrykanie spodziewają się samorządu, myślał James, kogo by wybrali na swojego przywódcę?

- Widziałas się z Geoffreyem? - zapytał.

- Był tu wcześniej - odpowiedziała Mona, zaczynając karmić Mambi z butelki. - Przyłączył się z Timem Hopkinsem do poszukiwań zaprzysięgającego. Znow je prowadzi oficer okręgowy. Planują obławę znieca.

James wziął kromkę chleba, nasmarował masłem. Nie wiedział, co właściwie zaszło między Moną i jego synem poza tym, że było to coś niedobrego i nieodwracalnie ich poróżniło. Nie rozmawiają z sobą chyba już od roku. Ilekroć Geoffrey z Ilse i pięciorgiem dzieci przyjeżdża w odwiedziny, Mona pod byle pretekstem wychodzi z pokoju. James podejrzewał, że to ma jakiś związek z Davidem Madengejem.

- Mario - powiedział - zdaje się, że zgarnąłem resztki dżemu. Czy to przypadkiem nie...

Ku jego zdumieniu Maria w kuchni nie było.

\* \* \*

Mgły przysnuły się z góry Kenya wąsami. Okręcały się wokół pni drzew, pochłaniały trawę i zarośla, obarczały każdy liść, każdy kwietny płatek ciężkimi kroplami wilgoci. O północy puszcza była dymnym królestwem cieni, takimi zaświatami, w jakich wiara Ki-kuju umieściła ich przodków.

Dwaj mężczyźni szli w tej mgle, włosy mieli w jej diademach, poszarpaną odzież mokrą. Szli z bardzo daleka, z zasłoniętych chmurami wrzosowisk u szczytów gór Aberdare, gdzie lasy olbrzymich bambusów i mordercze bagna strzegły ukrytego obozu wolności. Szli ostrożnie, wyczuleni - zwłaszcza jeden z nich po długim pobycie w ostępach puszczy - jak zwierzęta. Słyszeli tak, jak słyszy lampart, wietrzyli jak antylopa, nogi nosły ich cicho jak łapy goto-

we do zabójczego skoku. Wiedzieli, że wszędzie czyha niebezpieczeństwo i że zagrażają im nie tylko dzikie zwierzęta puszczy, ale i żołnierze brytyjscy, którzy zaczęli przenikać w zalesione góry, stosując nową taktykę partyzancką.

Ci dwaj byli Mau-Mau. Desperaci w drodze, żeby wykonać poruczone im zadanie.

Raptownie zatrzymali się obaj, nasłuchując. Zorientowali się, że w pobliżu ktoś obozuje. Trzaskały bambusy w ognisku. Starszy stopniem z nich dwóch zaczął skradać się w tamtą stronę. Trzymał kciuk na bezpieczniku karabinu, palec wskazujący na spuście. W razie alarmu od razu by strzelał.

Ale ci żołnierze, jak zza drzew zobaczył, jedli wołowinę i usiłowali się rozgrzać pod brezentem. Byli bladzi, mizerni i zgoła nie na swoim miejscu w tej puszczy winorośli i mgieł.

Dwaj Mau-Mau poszli dalej. Mieli cel zbyt ważny, żeby zboczyć z drogi dla zabicia garstki brytyjskich żołnierzy. Rozkaz otrzymali z najwyższego dowództwa Mau-Mau, od samego Dedana Kimathi. Podziemny wywiad doniósł, że w domu *memseeb dektari*, Grace Treverton, jest białe niemowlę. Kimathi chciał je mieć, dostać je żywe.

Pod operacji „Kowadło”, która okaleczyła Mau-Mau tak bardzo, że wielu bojowników o wolność odciętych od linii dostaw, głodowało, chodziło w łachmanach i chorowało, Kimathi zdecydował się na werbowanie ludzi zakrojone szeroko jak nigdy dotąd. Teraz Mau-Mau dokonywali napadów na wioski Kikuju, wywlekali mieszkańców i zmuszali ich do złożenia przysięgi. Tylko w taki sposób Kimathi mógł powiększyć swoją armię. Ale ci Kikuju, którzy już przez dwa lata opierali się Mau-Mau, byli zagorzałymi lojalistami. Kimathi wiedział, że ich zaprzysięganie musi być szczególnie skuteczne, a więc bardzo jadowitego rodzaju. Nie wystarczą w tym obrzędzie psy czy dziewice, potrzebne jest dziecko jakiejś białej *memseeb*. Z chwilą gdy to mięso tabu zostanie zjedzone, nikt ze zmuszonych do takiej przysięgi nie będzie mógł odmówić wypełniania rozkazów Dedana Kimathi.

Wreszcie ci dwaj - przywódca zwany Lampartem i jego towarzysz, zaprzysięgający - wynurzyli się z puszczy na świat skąpany w księżycowej poświacie. Małeńkie *szembe* znaczyły się jak łaty na porośłych trawą zboczach równoległych do rzeki. Palce dymu podnosiły się ze stożkowatych dachów, rozłożysta Misja Łaski wyglądała jak miasteczko śpiące za swymi pozamykanymi drzwiami i oknami. Dwaj Mau-Mau zobaczyli żołnierzy na cichym patrolu

frontowym. Zaprzysięgający wskazał Lampartowi duży dom wśród drzew pośrodku ogrodu. Tam mieszka *memseeb dektari* i tam jest to niemowlę, powiedział, w pokoju z oknem naprzeciw olbrzymiej sykomory. A okno, zapewnił, niezamknięte.

Zanim skręcili na ścieżkę biegnącą nad rzekę, Lampart przystanął. Jakoś niesamowicie, upiornie w poświacie rozciągał się przed nim zapomniany prostokąt boiska polo, jak gdyby wysuwał się z objęć trzech przycupniętych małych chat Kikuju. Wzrok Lamparta przesunął się na przeciwległe wzniesienie, gdzie księżyc w pełni oświetlał wspaniały dwupiętrowy dom niczym klejnot na czarno-zielonym aksamicie. Sam dom był ciemny. Lampart pomyślał o jego mieszkańcach śpiących w tych ciemnościach; przypomniał sobie łóżko, w którym śpi ona. I przez chwilę czuł niewysło-wioną rozpacz.

Ale to wszystko - ta spokojna rzeka, te trzy chatki i ten dom na wzgórzu - już zapadło się w przeszłość na zawsze... Mona rzucała się i przewracała we śnie. Śniły jej się jakieś koszmary, chwilami budziła się z sercem łomoczącym. Tym razem, gdy się obudziła, szeroko otworzyła oczy i wsłuchiwała się w ciszę domu. W sypialni przy końcu hallu spali ciocia Grace i wuj James. Tim Hopkins położył sobie śpiwór w spiżarni za kuchnią. W tych czasach nieustannego pogotowia osadnicy, którzy zostali w Kenii, gromadzili się, bo tak było bezpieczniej.

Mona nasłuchiwała. Serce jej waliło. Czy obudził ją jakiś odgłos?

Ale dom porządnie pozamykali - James i Mario. I są przecież żołnierze wokoło.

Podniosła głowę z poduszki i spojrzała na zarysy łóżeczka stojącego u stóp łóżka. Córka, radość jej życia, niemowlęco niewinna, spała spokojnym snem.

Nagle cień zasłonił poświatę księżycową w oknie. Mona zachłysnęła się i usiadła. Sięgając po broń, wyskoczyła z łóżka. Zapaliła światło.

Dwaj Mau-Mau w łachmanach, jeden z brodą, długowłosa, drugi o dobrze znanej twarzy, człowiek, któremu ufała, wypełnili sobą mały pokoik. Podniosła rewolwer, zaczęła strzelać. I napotkała wzrok tego brodatego.

- David? - wyszeptała.

Wpatrywał się w nią, zdezorientowany.

Spojrzała na drugiego, na Maria. Twarz taka jak zwykle, ale oczy... Dzikie, okrutne, przerażające! Ni stąd, ni zowąd już wiedziała. Oni przyszli po dziecko.

- Nie - wyszeptała. - David, nie rób tego! Ona jest nasza! To twoja córka!

Zajrzał do łóżeczka, wydawał się zbudzony z głębokiego transu, wyraźnie zdumiony, że znajduje się tutaj.

- David! - krzyknęła. - Nie dostałeś moich listów! Raptownym ruchem Mario wziął pod pachę niemowlę.

- Nie! - wrzasnęła Mona. Strzeliła. Ze ściany poleciały drzazgi.

Mario podniósł swoją penge i zamierzył się na Monę. David złapał go za rękę, ale mocno odepchnięty, gruchnął w ścianę i to go oszołomiło.

Drzwi się otworzyły. Wpadł James z pałką. Zamierzył się na Maria. Ale penge była szybsza. Chwyając się za szyję, James osunął się na kolana.

Mona przypadła do Maria, usiłowała odebrać mu dziecko. Wyrwał jej rewolwer z ręki, strzelił, nie trafił.

David już wstał, zaczął mocować się z Mariem. Ręka, obejmująca dziecko, zwiotczała. Koziółkując upadło u ich stóp.

Mona na czworakach usiłowała je dosięgnąć.

Rewolwer w ręce Maria wypalił, David zachwiał się z rękami na piersiach.

Mona podbiegła do niego. Zwalił się w jej objęcia.

I huknął jeszcze jeden strzał. W drzwiach stanęła nagle Grace Treverton, oburącz trzymając pistolet. Strzeliła po raz drugi, Mario upadł. Już nie żył.

Doktor Nathan cicho zamknął drzwi sypialni Grace.

- Będzie spała teraz - powiedział. - Dałem jej środek uspokajający.

- Tak - powiedział Geoffrey. Był drętwy wskutek szoku. Po odebraniu telefonu przyjechał z Kilima Simba jak tylko mógł najprędzej, ale na kilka minut przed jego przyjazdem James umarł od rany zadanej penge.

Tim Hopkins, który przybiegł w chwili, gdy ostatnia wystrzelona kula zrobiła swoje, z wysiłkiem ocknął się z odretwienia i powiódł wzrokiem po kuchni pełnej żołnierzy, którzy nękali zaspanych Kikuju pytaniami.

Zaprzysięgającym, jak się okazało, był

Mario. Ale co mógł mieć z Mau-Mau wspólnego David Madengej, jakoś nikt nie wiedział.

- Słuchajcie - powiedział Tim. - Gdzie jest Mona?

- Nie wiem i nie chcę wiedzieć. - Geoffrey rzeczywiście nienawidził jej teraz. To wszystko przez nią. Był rad, że jej czarny kochanek nie żyje, tak samo jak ich kolorowe dziecko. Sprawiedliwa dla niej kara, myślał.

- Przepraszam pana - odezwał się jeden z żołnierzy. - Jeżeli pan pyta o pannę Treverton, to ona przed chwilą wyszła z domu, poszła tamtędy ścieżką.

Tim spojrzął za otwarte drzwi. Wskazana droga prowadziła do Bellatu.

- I puściłeś ją? Ty idioto!

Wybiegł z domu Grace, po drewnianych schodach wszedł na porośniętą trawą wzniesienie.

Na szczycie zatrzymał się i rozejrzył. Noc była bezchmurna, gwiazdzista, z księżycem w pełni. Wędnące niezebrane plony - tysiące kawowców - stały rzędami osrebrzonymi poświatą, uchodząc w dal ku zamglonej srebrzystej górze Kenya. Odwrócił się w stronę domu. W żadnym oknie światło się nie paliło, ale tylne drzwi były otwarte.

Wszedł do domu i nasłuchiwał. Usłyszał odgłosy na piętrze. Przebiegł przez ciemną jadalnię i salonik i po schodach po dwa stopnie naraz wbiegł na pierwsze piętro. Przystanął i spojrzął w głąb mrocznego korytarza. Poczł w powietrzu zapach stęchli-zny, zobaczył nikłą smugę światła na podłodze.

Doszedł tam i zastał Monę w pokoju pełnym kurzu i pajęczyn, jak gdyby nieużywanym od lat. Dominowało ogromne stare łóżko z baldachimem i z kapą falbaniastą, poźółkłą od starości. Była też toaletka zapełniona buteleczkami, w których perfumy dawno wyschły. Mona klęczała przed komodą i gorączkowo przetrząsała szufladę.

- Mona? - zapytał, wchodząc. - Co ty robisz?

Trzymała w jednej drżącej ręce latarkę elektryczną, gdy drugą szaleńczo grzebała wśród koronek, jedwabiu i satyny.

Przykucnął obok niej i cicho powtórzył pytanie:

- Mona? Co robisz?

- Nie mogę tego znaleźć - powiedziała.

- Czego?

-Ja... nie wiem. - Negliże wylatywały z szuflady: wykwintne różowe koszule nocne i bielizna cienka jak z pajęczyn nici. - Ale to musi tu być.

Rozejrzył się. Mona już przeszukała wszystkie szuflady w tym pokoju. Rzeczy leżały porozrzucane na podłodze - garderoba, papiery, fotografie. Przypomnił sobie z dreszczem, że to sypialnia lady Rose, zamknięta przed wielu laty. Potem przypomniał sobie noc zamordowania hrabiego, rozpaczliwą jazdę na rowerze.

- Mona - zapytał łagodnie - czego ty szukasz?

- Nie wiem. Ale to musi tu być. Kędyś było... - Rozpłakała się.

Objął ją ramieniem, spróbował uspokoić. Przytuliła głowę do jego piersi i szlochała. Podniósł ją z kłęczek, trzymał mocno, a ona wypłakiwała całą swoją rozpacz i udrekę.

- Tak mnie boli! Och, Tim, tak strasznie boli!

Nie wiedział, co powiedzieć. Ale rozumiał ją, bo tak samo czuł się kiedyś, dawno temu, gdy w zaułku odzyskał przytomność i dowiedział się, że Arthur poniósł śmierć, stając w jego obronie.

- Tim! Tim! - łkała Mona w jego szyję. - Trzymaj mnie! Błagam, trzymaj mnie! Nie puszczaj!

Zacieśnił objęcia. Przywarła do niego. Łzy stanęły mu w oczach. Łzy współczucia, łzy wspomnień.

- Taki ból - szeptała. - Nie mogę znieść tego bólu. Dotknęła ustami jego ust. Pozwolił się pocałować.

- Nie opuszczaj mnie - powiedziała. - Nie mogę tego znieść. Płakał razem z nią, czując znowu swój dawny ból i jałowość pustych lat bez miłości, ciągnących się po śmierci Arthura.

Gdy oparła się o niego, jak gdyby zabrakło jej sił, żeby stać, poprowadził ją na to zakurzone łóżko, które odbyło taką długą podróż z Bella Hill w 1919 roku.

Położył ją i trzymał, usiłował ją ukoić. Płakała w jego ramionach. Przywierała do niego. Całowała go. Mówiła słowa, jakich nie chciał słyszeć. I szeptała od czasu do czasu.

- Ten ból, Tim. Usuń ten ból. Nie mogę tego znieść...

Więc Tim Hopkins, który nigdy nie kochał kobiety, teraz, myśląc o bracie Mony, swojej jedynej miłości, i dowiadując się z ruchów jej rąk, czego ona od niego chce, pocieszył ją na swój własny niezdamny, pełen udreczenia sposób.



CZEŚĆ SIÓDMA  
ROK 1963

### *Rozdział 53*

Urzekały Deborę plamy słonecznego blasku na wodzie. To jak bursztyny na brylantach, myślała. W smudze słońca klęczała na brzegu rzeki bosa mała dziewczynka o długich czarnych włosach, które wymykały się spod gumki ściągającej je w koński ogon i teraz opadały częściowo na plecy, częściowo na ramię. Klęcząc nieruchomo, wyglądała tak, jakby wykiełkowała z tej gliny nie inaczej niż bambusy i paprocie, i nadrzeczna trawa wokół niej. Blask słońca na jej białej sukience matowiał, niezliczone odcienie zieleni bujnego listowia powlekały opalone ręce i nogi zielonkawym pastelem. Miała w sobie coś leśnego, mogłaby się wydawać nimfą w puszczy.

Debora nie poruszała się, obserwowała dwie wydry baraszkujące w bajorku wśród nadrzecznych głazów. Lśniły czerwono, całe brązowe, ich krągłe łebki kiwały się raz nad wodą, raz w wodzie, wąsy drgały. Bawiły się te wydry, jak gdyby świadome obecności dziewczynki. Debora była pewna, że robią przedstawienie specjalnie dla niej.

W ciepłe słońca przenikającym sukienkę ta ośmiolatka czuła się sennie szczęśliwa. Duże czarne oczy wlepiła w pomarszczoną wodę. Hipnotyzowały ją żółte, brązowe i szare kamyki błyszczące na dnie rzeki. Jak jajka leniwych ptaków, myślała, albo jak wyrzucone klejnoty ze skarbca jakiegoś dawnego króla. Zanurzyła rękę w wodzie.

Okropnie zimna, stwierdziła. Bo płynie z gór. Z okolic, które się nazywają Aberdare, mówiła jej guwernantka. Ta woda przepłynęła długą drogę z zamglonych, porośniętych wrzosami górskich szczytów, szlakiem tajemnych strumieni i wodospadów przez puszcze tak wielkie, że do ich głębi nigdy nie dotarł żaden człowiek, aż chlusnęła w końcu w ten wąwóz zwany rzeką Chanią.

Debora kochała tę rzekę. To był jedyny świat, jaki знаła. Trajkotanie na drzewie wytrąciło ją z rozmarzenia. Oceniając oczy, spojrzała tam wysoko i zobaczyła rodzinę małp colobus wędrującą z kasztanowca na kasztanowiec. Parsknęła śmiechem i zawołała do nich. Wyglądały jak piękne ozdoby na pokrytych grzybem drzewach, drapowały swe białe pelerynki i krzaczaste ogony na konarach, jakby to był jasny mech. Pogwizdywały do siebie patrząc na dziewczynkę oczami starców. Przywykły do niej- wciąż była tutaj nad rzeką.

Debora położyła się na wznak i spojrzała poprzez gałęzie w niebo. Nie kończył się ten błękit. Nic jeszcze nie zapowiadało deszczów, wbrew nadziejom jej matki.

Zamykając oczy, wdychała odurzające wonie wilgotnej ziemi trawy, drzew i kwiatów, kryształowego powietrza przywiewanego z gór Aberdare. Czuła, jak pod jej dłońmi ta ziemia tętni; słyszała jak wiatr oddycha, Afryka żyje. Otworzyła oczy, wzdrygając się.

Jakiś chłopiec stał niedaleko i patrzył na nią.

Wstała i powiedziała:

- Cześć. Kto ty jesteś? Nie odpowiedział.

Przyjrzała mu się. Nigdy dotąd go nie widziała. Skąd on się wziął?

- Mówisz po angielsku? - zapytała.

Wpatrywał się w nią, ostrożny. Pomyślała, że on zaraz odwróci się na pięcie i ucieknie. Przetłumaczyła swoje pytanie na język suahili.

- Mówisz po angielsku? Potrząsnął głową, że nie.

- Suahili? Przytaknął powoli.

- To dobrze. Ja też znam suahili! Jak się nazywasz? Zawahał się, zanim odpowiedział cicho, nieśmiało:

- Christopher Madengej.

- Ja jestem Debora Treverton. I mieszkam w tym dużym domu tam wyżej.

Wskazała szczyt porośniętą trawą wzniesienia. Christopher odwrócił się i spojrzał. Domu nie było widać znad rzeki - zobaczył tylko rzędy martwych drzewek kawowych.

- Skąd jesteś? - zapytała Debora.

- Z Nairobi.

- Och, z Nairobi! Nigdy tam nie byłam. Wielkie miasto, musi tam być cudownie! Strasznie ci zazdroszczę! - Sięgnęła do kieszeni. - Chcesz coś słodkiego?

Chłopiec spojrział na cukierek w jej wyciągniętej ręce. Nie miał pewności, czy chce. Jest taki poważny, pomyślała. Ale w końcu przyjął ten poczęstunek.

- Weź drugi - powiedziała. - Są przepyszne.

Jedli razem cukierki i gdy zjedli wszystkie, zaczął się uśmiechać.

- Tak już lepiej - zauważyła Debora. - Jesteś tu nowy. Gdzie mieszkasz?

Wskazał lepianki z mułu na skraju zaniedbanego boiska polo.

- Aha. - Debora się zachwyciła. - Mieszkasz u znachorki! To musi być szalenie ciekawe.

Christopher nie był tego taki pewny.

- To moja babka.

- Ja nie mam babci. Ale mam ciocię. Ona ma tę misję, tam. Czy ty masz ojca?

Potrząsnął głową.

- Ja też nie mam. Mój ojciec zmarł, zanim się urodziłam. Mieszkam zupełnie sama z moją mamą.

Patrzyli na siebie w rozproszonym, przełamującym drzewami blasku słońca. Nagle dziewczynce wydało się ważne to, że ten chłopiec również nie ma ojca, i wyczuła w nim jakiś smutek. Był starszy od niej - wyglądał na jedenaście, dwanaście lat - ale łączyło ich coś ważnego.

- Chcesz być moim serdecznym przyjacielem? - zapytała. Zmarszczył brwi, nie rozumiejąc.

- Czy może już masz serdecznego przyjaciela?

Christopher pomyślał o chłopcach w Nairobi, których znał tylko z daleka. Matka przenosiła się tak często i mieszkali po zwolnieniu z obozu więziennego w tylu miejscach, że on i jego młodsza siostra Sara nigdy nie zdążyli się zaprzyjaźnić z miejscowymi dziećmi.

- Nie - odpowiedział cicho.

- Nie masz przyjaciół w ogóle? Opuścił wzrok i wbił palce nóg w ziemię. - Nie mam.

- Ja też nie! Więc będziemy dla siebie serdecznymi przyjaciółmi. Chcesz?

Przytaknął.

- Więc świetnie! Pokażę ci moje specjalne miejsce. Czy boisz się duchów?

Spojrzał na nią podejrzliwie.

- W tym moim specjalnym miejscu podobno straszy. Ale ja w to nie wierzę. Chodź ze mną, Christopher.

Poszli brzegiem rzeki. Debora gawędziła nieustannie.

- Właściwie teraz powinnam odrabiać lekcje, ale pani Waddell ucięła sobie drzemkę. To moja guwernantka. Miałam pojechać do białej szkoły w Nyeri, ale ją zamknęli, bo tylu białych wyjeżdża z Kenii, że jest za mało uczennic, żeby była otwarta. Jak myślisz dlaczego tak jest? Dlaczego wszyscy biali wyjeżdżają z Kenii?

Christopher wiedział, chociaż nie na pewno, że to z powodu kogoś, kto nazywa się Jomo Kenyatta. Ów Jomo, mówiła mu matka był w więzieniu tak długo jak ona i wypuścili go w tym samym czasie, co ją, dwa lata temu.

Christopher słyszał, że biali boją się Jomo Kenyatty. Myślą, że on będzie się mścił za trzymanie go w więzieniu przez tyle lat.

- Właściwie to ja mam przyjaciela - powiedziała Debora, gdy szli skrajem boiska polo. Wymachiwała rękami idąc i bosymi stopami kopała kamyki. - On się nazywa Terry Donald i uczył się w szkole dla białych chłopców w Nyeri, ale ją też zamknęli. Ma dwóch braci i dwie siostry i oni są w szkole z internatem w Nairobi. Ale Terry jest za mały na tamtą szkołę. Ledwie ukończył dziesięć lat. Ma nauczyciela w Nyeri. Jego ojciec kiedyś miał wielkie ranczo w Kihma Simba, ale sprzedali je w zeszłym roku. Afrykanie je kupili. Wyobrażasz to sobie? Terry przyjeżdża i bawi się ze mną. Będzie myśliwym, kiedy dorośnie, i już ma własną strzelbę!

Zatrzymali się przy ruchliwym wejściu do Misji Łaski. Brukowana droga biegła pod imponującym łukiem z kutego żelaza i rozszerzała się w ulicę w szpalerze drzew, na końcu której był znak STOP i budka policjanta. Wśród starych kasztanowców stały duże kamienne budynki. Ludzie byli wszędzie. Z trzech budynków szkolnych dolatywały głosy śpiewających dzieci.

- To jest największa misja chrześcijańska w Kenii - powiedziała Debora z dumą. - Moja ciocia Grace wybudowała ją wiele lat temu. Ona jest doktorem, wiesz. I ja będę doktorem, kiedy dorosnę. Będę zupełnie jak ona.

Christopher starał się nie gapić na tę dziwną gadatliwą białą dziewczynkę, ale był jej ciekaw. I zazdrościł jej.

Wydawała się tak pewna siebie i świata wokół, wiedziała, czego chce. Christopher nie znał takiej ufności. Życie w więziennym obozie nie pozwalało być pewnym jutra. Rósł, znając tylko niepewność. Ludzie, których spotykał i zaczynał kochać, znikali z dnia na dzień. Życie po wyj-

ściu na wolność, gdy Christopher miał dziewięć lat, a Sara sześć, było tylko tułaczka pod okiem policji w Nairobi to tu, to tam, bez zapuszczania korzeni, służebną harówką matki za kilka szylingów najedzenie i odzież dla nich. Ale teraz będzie lepiej, powiedziała Christopherowi matka, wreszcie dostała stałą pracę w jednym ze szpitali w Nairobi jako *ayah*, służąca, chociaż figurowała w rejestrze pielęgniarek. Dlatego przywiozła jego i Sarę tutaj, do matki ich ojca. Miała mieszkać z dwiema pielęgniarkami, nie mogła trzymać przy sobie dzieci. Ale obiecała Christopherowi i jego siostrze, że wkrótce wszystko się zmieni. Teraz, kiedy Jomo Kenyatta jest premierem Kenii, Afrykanie staną się równi białym, do niej będzie się mówiło „siostrzo” i za swoją pracę będzie otrzymywała tyle samo pieniędzy, co białe pielęgniarki.

Christopher z Deborą przeszli za teren misji, po koślawych drewnianych schodach wspięli się na wzniesienie.

Christopher w końcu zobaczył wielki dom.

- Nazywa się Bellatu - wyjaśniła Debora. - Jest strasznie duży

i bezludny. Mojej mamy prawie nigdy nie ma. Pracuje na polach. Mówi, że stara się uratować plantację.

Mały Afrykanin wybałuszył oczy na dom Bellatu, przypominający mu cudowne miejsca, które widział w Nairobi. Ta biała dziewczynka musi być strasznie bogata, zdecydował. Chłopcym wzrokiem nie wypatrzył, że farba się łuszczy, okiennice wymagają naprawy, w ogrodzie kwiaty usychają, fontanna nie tryska wodą. Ta siedziba była tylko smętnym, wyblakłym widmem swojej dawnej chwały, ale Christopherowi wydawała się pałacem.

Poszedł dalej za obcą dziewczynką. Wąska leśna ścieżka przebijała się wśród drzew w gęste zarośla. Widział, że od dawna nikt tędy nie chodził. Doszli do jakiejś szczególnej poręby otoczonej kuliście eukaliptusami. Pośrodku stał butwiejący pawilon bez ścian, na przeciwległym skraju mały kamienny domek ze szklanym dachem. A na wprost było coś najbardziej niezwykłego. Przypominało to Christopherowi kościoły w Nairobi.

- Tu jest jeden stary dozorca - powiedziała Debora zniżonym głosem - ale głuchy. Chcesz tam wejść?

Wolno zbliżyli się do kamiennej fasady z wykutym napisem, którego ani on, ani ona nie potrafili odczytać, i weszli po schodkach. Christopher myślał, że wewnątrz są ludzie, toteż zdziwił się widząc, że nie ma w ogóle nic poza dużym kamiennym blokiem na samym środku. I co jeszcze dziwniejsze, na kamieniu jaśniał czerwono płomień.

- Popatrz - szepnęła Debora. Wzięła Christophera za rękę i poprowadziła pod ścianę. W mglistej łunie płomienia wisiał tam w drewnianej ramie ogromny gobelin.

Christopher patrzył z czcią i bojaźnią. Nie miał pojęcia, co to takiego. Wygląda jak malowidło, ale malowidłem nie jest. Drzewa i trawa są jak prawdziwe. Złociste oczy lamparta wyzierającego zza olbrzymich paproci sprawiły, że zadygotał. I była góra Kenya.

Deborę urzekął tylko jeden fragment gobelinu, trochę z boku, niezupełnie w stylu całości - jak gdyby dodany poniewczasie.

Postać mężczyzny. Otulony górską mgiełką ten mężczyzna nieomal cofał się za powrozy winorośli i obwisłe mchy. Patrzył ze swego płóciennego świata oczami ciemnymi i poważnymi. Jest bardzo ładny, myślała Debora, ma takie wysokie czoło i duży prosty nos. Chyba jak królewicz z bajki. I ma ciemną skórę, ale nie taką jak Afrykanie. Na próżno się głowiła, kto to jest i co robi, zatrzymany w tej dżungli przędzy i nici.

Spojrzała jia stojącego przy niej chłopca. Zobaczyła, że to miejsce „duchów” wcale go nie przeraża, nie napędza mu strachu, tylko imponuje, i uradowała się.

- Jesteś bardzo odważny - szepnęła. - Powinieneś być wojownikiem!

Christopher spojrzał na nią. Wypiął nieco pierś.

- Jestem - powiedział.

Zostawili za sobą mauzoleum: odstręczający blok kamienia i dziwne nikłe rdzawe plamy na podłodze i podeszli do budynku ze szklanym dachem. Był w ruinie, szkło się potłukło, wewnątrz zostały tylko uschnięte rośliny. Nie wchodząc do środka, zobaczyli coś jak gdyby posłanie całe w strzępach, zarośnięte zielskiem i winoroślą.

- Co chcesz zrobić teraz? - zapytała Debora, gdy znowu dreptali słoneczną ścieżką. - Czy jesteś głodny?

Christopher nie pamiętał chwili, w której nie chciałoby mu się jeść. Propozycję Debory, żeby poszli do dużego domu i rozejrzeli się tam w kuchni, przyjął ochoczo. Nagle bardzo się ucieszył z tego, że przyszedł nad rzekę pogapić się na tę białą dziewczynkę.

Znaleźli bułki z melasą, jeszcze ciepłe po wyjęciu z piecyka, i dzban zimnego mleka. Jedli palcami, wycierali ręce, ona w sukienkę, on w koszulę. Potem Debora zapytała:

- Chcesz zobaczyć moje najukochańsze miejsce? To jest straszny sekret. Nikt o nim nie wie. Nawet Terry Donald.

- Chcę - odpowiedział Christopher, czując się ważny. Coraz bar-

dziej podobała mu się przygoda z białą dziewczynką. Odczuwał ogrom domu wokół siebie i nad sobą, zastanawiał się, jak to jest mieszkać w takiej wspaniałej siedzibie i mieć kuchnię, w której jedzenia nigdy nie zabraknie. Znowu więc Debora wzięła Christophera Madengeja za rękę. Poprowadziła go przez nie używaną jadalnię, przez salonik i po schodach na górę do pokoi budzących lęk, zamkniętych, więc szalenie podniecających.

' \* \* \*

Mona strzepała kurz ze spodni i zdjęła z głowy duży słomkowy kapelusz. Wieszając go na kołku przy drzwiach w kuchni zobaczyła, że Salomon nie przygotowuje obiadu, chociaż już powinien. Co więcej, poza tacą z ciepłymi bułkami nic nie świadczyło, że służący wypełnił swoje zwykłe poranne obowiązki. Nie zdziwiła się. Odkąd Jomo Kenyatta został w czerwcu wybrany na urząd premiera, Salomon coraz mniej przykładał się do pracy.

Ale nie tylko Salomon, jak Mona wiedziała. Wszyscy krajowcy w Kenii zarazili się niezwykłą chorobą. Był to zarazek arogancji i chciwości.

Zaczęła przeglądać poranną pocztę: pisma od wierzycieli i z banków, oferty ewentualnych nabywców Bellatu. Ale rozmyślała o niefortunnej sytuacji, jaka wytworzyła się w kolonii.

Chociaż w roku 1956 pokonano Mau-Mau, dla Brytyjczyków było to pyrrusowe zwycięstwo. Mau-Mau może przegrali bitwę, ale teraz wydawało się Monie w tę przerażającą wigilię kenijskiej niepodległości, że oni jednak wygrali wojnę. W 1957 roku Afrykanie po raz pierwszy głosowali i zapełnili wiele miejsc w legislaturze swoimi ludźmi. Wtedy zaczęło się wywieranie presji niepodległościowej. Rząd Jej Królewskiej Mości naszkicował plan stopniowego przekazywania władzy Afrykanom, proponując ostateczne przyznanie niepodległości za jakieś dwadzieścia lat. Ale następne wydarzenia sprzysięgły się, żeby zmusić Whitehall do raptownego odwołania tej decyzji ku niemałemu zgorzeniu i żalowi białych osadników, którzy poczuli się zdradzeni i „sprzedani”.

Najpierw okrutna wojna domowa w Kongo belgijskim w roku 1960 spowodowała, że biali tłumnie stamtąd uciekli. Licznie napłynęli do Kenii, wprawiając miejscowych osadników w popłoch perspektywą rozszerzenia się takiego buntu w całej Afryce. Wówczas to, trzy lata temu, rozpoczął się smutny exodus kenijskich białych.



Potem nastąpiło niespodziewane zwolnienie Jomo Kenyatty z więzienia, chociaż Londyn swego czasu obiecał nigdy do tego nie dopuścić. Ale był problem, stan wojny znów się zaczynał w Kenii czuło się Mau-Mau w powietrzu. Rząd Jej Królewskiej Mości z ubolewaniem zawiadomił osadników, że tym drugim razem brytyjskie siły zbrojne ich nie poprą i najlepiej będzie zrezygnować z tej kolonii.

Tak więc „ten diabeł”, jak go nazywano, „który prowadzi tam, gdzie śmierć i ciemność”, nagle stał się człowiekiem wolnym i bardzo popularnym. Afrykańscy wyborcy natychmiast postawili Kenyattę, symbol *juhuru*, na czele KANU, nowej potężnej afrykańskiej partii politycznej. I po jego oświadczeniu, że Kenia wkrótce zintegruje się pod względem rasowym - w szkołach, hotelach, restauracjach - exodus białych nabrał tempa.

Dalsze wybuchy działalności przypominającej Mau-Mau, a także coraz większy nacisk ze strony delegacji Afrykanów na konferencjach w Lancaster House ostatecznie skłoniły rząd Jej Królewskiej Mości do zaniechania projektu konstytucji i do uznania większości afrykańskiej w oparciu o system jeden człowiek - jeden głos. W rezultacie ostatecznie wybory zaowocowały tym, że na czele rządu koalicyjnego stanął premier Jomo Kenyatta. Pod takim panowaniem większość białych nie chciała żyć.

- Przepraszam, pani Treverton.

Mona podniosła wzrok. Do kuchni weszła pani Waddell, guwernantka Debory, zdyszana, z okrągłą twarzą zarumienioną, jak gdyby przywędrowała z daleka.

- Znowu zniknęła - powiedziała o swojej zwiewnej, wolnej duchem jak wiatr, podopiecznej.

Mona odłożyła korespondencję i wstała, żeby zaparzyć herbatę. Tak to jest w tej „nowej Kenii”: służba domaga się coraz więcej pieniędzy za coraz mniej pracy, odchodzi w środku dnia, kiedy tylko ma na to ochotę, a chlebobawcy muszą obsłużyć się sami. Teraz, kiedy Kenyatta siedzi w fotelu prezesa rady ministrów, Salomon i jemu podobni ulegli dziwnej zmianie osobowości, już nie słuchają rozkazów, wypełniają swoje obowiązki albo ich nie wypełniają, zależnie od humoru.

- Za dwa miesiące będziemy sobie równi, *memseeb* - powiedział niedawno Salomon, składając swoje długie białe *kenzu* i czerwoną kamizelkę. - Od teraz będzie mi pani kupowała spodnie.

Niewątpliwie pojechał dziś rano do Nyeri na piwo. Taka jest obecna Kenia.

- Szukała pani nad rzeką? - zapytała guwernantkę.

- Szukałam, proszę pani. Nigdzie jej nie znalazłam.

Mona, wyliczając łyżeczki herbaty, zmarszczyła brwi. Do niedawna nie musiała zbytnio kłopotać się o Deborę. Dziewczynka prawie wciąż przebywała w szkole z internatem. Ale teraz, gdy szkołom białych groziła rasowa integracja, osadnicy zabierali z nich swoje dzieci. Szkoły zamykano i Debora musiała uczyć się w domu.

A Mona nie chciała mieć córki przy sobie.

- Nie przychodzi pani na myśl, gdzie powinnam jej szukać, pani Treverton?

Tak chciała tytułować Monę ta guwernantka. Pewnie dlatego, że przydawało to szacowności jej posadzie. O tym, że Mona jest niezamężna i ma dziecko nieślubne, bez wątpienia wiedziała. Jak wszyscy w kolonii.

Mona niewiele pamiętała z nocy śmierci Davida. Powiedziano jej później, że na krótko postradała zmysły i że Tim ją znalazł na górze w Bellatu, gdy przetrząsała rzeczy matki, czegoś szukając. Nie pamiętała zbliżenia z Timem; on nigdy o tym nie mówił ani też nigdy nie przejawiał chęci, żeby to powtórzyć. Mona nie posiadała się ze zdumienia, gdy w trzy miesiące później dowiedziała się, że jest w ciąży.

Tim przejął się tą wiadomością. Rycersko wymamrotał propozycję małżeńską. Ku swojej niewysłowionej uldze, dostał kosza. Mona powiedziała, że przecież się w sobie nie zakochali i nie są, tak on, jak ona, stworzeni do małżeństwa, więc to pomysł nieżyciowy i zgoła zbyteczny. Obojętnie nosiła dziecko w łonie przez następne sześć miesięcy i nazwała córeczkę - podobnie jak jej matka nazwała ją Moną - imieniem postaci z powieści, którą czytała. Nie kochała Debory od pierwszej chwili, gdy ciotka Grace położyła noworodka w jej objęciach.

- Byłam taka zdumiona! - powiedziała pani Waddell.

Mona spojrzała na guwernantkę. Nie słuchała tego, co przedtem pani Waddell mówiła. Prawdopodobnie był to potok skarg. Pani Waddell poczuwała się do obowiązku meldowania Monie o wszystkich „incydentach”.

- Stałyśmy - ciągnęła - Gladys Ormsby i ja na szosie, takie bezradne, kiedy złapałyśmy gumę, a tu nadjeżdża ciężarówka pełna Afrykanów. Dawniej rzuciliby się, żeby nam pomóc, a teraz, wie pani, wrzasnęli: „Z drogi, białe dziwki!”.

Mona postawiła herbatę na stole, znalazła puszkę herbatników i usiadła razem z guwernantką.

- Może pani sobie to wyobrazić? - Pani Waddell poczęstowała się herbatnikiem. - Trzeba wyłożyć ponad ćwierć miliona funtów na powiększenie gmachu parlamentu, członkowie Afrykanie tego żądają. No pewnie, że gorące powietrze zabiera mnóstwo miejsca.

Mona patrzyła za okno na zakurzone kwiaty w słońcu, pożółkłą trawę, chwasty. Dostatecznie ciężko było trzymać odpowiednią liczbę udzi do pracy na plantacji: najęcie ogrodnika nie zmieściłoby się w jej budżecie.

- Słyszała pani, że Tom Westfall się sprzedał? Dla jakichś Kiku-ju, ni mniej, ni więcej! To już koniec tej farmy.

Mona wiedziała, o czym pani Waddell mówi. W czasach tych raptownych przemian, gdy Europejczycy pośpiesznie się wycofywali i ziemię zagarniali Afrykanie, przejście z rąk do rąk było dla farm katastrofalne.

Jomo oznajmił, że po to, by odwrócić niebezpieczeństwo drugiego ruchu Mau-Mau, należy osiedlić trzydzieści tysięcy Afrykanów na ziemiach białych jeszcze przed przyznaniem niepodległości, mającym nastąpić za trzy miesiące. Dwieście rodzin białych otrzymało od rządu brytyjskiego odszkodowanie za farmy, które założyli własnymi rękami przed wielu laty. Afrykanie rzucali się na te farmy szybko jak szarańcza.

- Słyszałam, że oni wszystko rujnują - ciągnęła pani Waddell. - Mają kury na kominku i kozy w sypialniach! I niczego nie naprawiają, oczywiście. Przejeżdżałam obok domu Collierów w zeszłym tygodniu... wstrząsające! Róże tej biednej Trudie stratowane. Jej warzywnik zbombardowany. Szyby w oknach potłuczone, drzwi wylatują z zawiasów. I ognisko się pali na środku saloniku! Serce by jej krwawiło, gdyby to widziała. Ale Trudie jest już w Rodezji, dobrze, że od tego z daleka. Pytam panią, pani Treverton, jeżeli już jest tak źle, to jak będzie po przyznaniu im niepodległości?

Mona nie miała pojęcia, jak będzie, ale ten problem niepokoił wszystkich białych, którzy jeszcze pozostawali w Kenii. Z dnia na dzień Afrykanie, dawniej usłużni i uniżeni, rozzuchwalali się bezczelnie. Wiedziała, że spychają białych z chodników w mieście, obrzucają ich wyzwiskami, w świetle dnia kradną im i wywożą żywy inwentarz. Nagle stali się rasą szaleńców. Zupełnie jakby niepodległość była mocnym alkoholem. „To jest teraz nasz kraj - mówili bez słów. - Więc wy, biali, lepiej się stąd wynieście, bo już was nie będziemy tolerować”.

Czy to jest ta piękna przyszłość, którą David wymarzył dla siebie i dla niej?

- W grudniu - powiedziała guwernantka - policja brytyjska ma przekazać swoją władzę Afrykanom. Wtedy do kogo się zwrócimy w razie kłopotów?

Właśnie dlatego Alice Hopkins sprzedała swoje ogromne ranczo w Rift - to, które ocaliła, mając zaledwie szesnaście lat - i przeniosła się do Australii. Przewidywała straszne czasy, gdy Afrykanie wolni od strachu przed karzącym ramieniem brytyjskiego prawa wpadną w szal zemsty i będą odpłacać się białym.

Teraz Tim też miał wyjechać, przyłączyć się do siostry na jej nowej farmie owiec.

„Sprzedaj, Mono - radził. - Nie przetrwasz. Bellatu od lat nie przynosi dochodów. Niech je biorą tubyle. Przyjedź do Tasmanii, zamieszkać z Alice i ze mną”.

Ale Mona nie zamierzała sprzedać Bellatu, choćby była w Kenii ostatnią białą. Za nic.

- No, proszę pani - guwernantka dopiła swoją herbatę, żałując, że nie ma pożywnych kanapek - chyba lepiej, żebym teraz pani powiedziała coś o mnie samej. Zdecydowałam się z mężem wyjechać do Afryki Południowej, zamieszkać u naszej córki. Jesteśmy w Kenii już trzydzieści lat, pani wie. Nasze dzieci urodziły się tutaj. Zmieniliśmy tę głuszę w raj. Sprawiliśmy, że rosną plony, chociaż ta ziemia była twarda jak kamień. Wkładaliśmy w tę kolonię pieniądze i pracowitość. Ale już nie jesteśmy tu mile widziani. Sprzedaliśmy farmę Afrykanom. I ja wolę wyjechać od razu, żeby nie widzieć, co oni z niej zrobią.

Mona się nie zdziwiła. Pani Waddell była trzecią guwernantką, którą zaangażowała dla Debory w ciągu kilku ubiegłych miesięcy. Kenia to tonący statek, wszyscy majtkowie się ratują.

- Kiedy wyjeżdżacie?

- Za dwa tygodnie. Chciałam tylko panią zawczasu uprzedzić, ze względu na pani córkę.

Gdy pracodawczyni, nic na to nie odpowiadając, milczała, pani Waddell wzięła sobie jeszcze jeden herbatnik i w duchu wzruszyła ramionami. Pani Treverton jest dziwaczką, pomyślała, żyje tu w tej zaniedbanej posiadłości i boryka się, żeby jakoś jej szło, kiedy każdy, kto ma oczy, widzi, że to daremna szamotanina. Pani Tre-yerton nie może ściągnąć tylu Afrykanów, ilu trzeba tu do pracy, bo oni wciąż żądają więcej pieniędzy. Toteż jakoś jej kawy się pogorszyła, za taką kawę ona nie dostanie światowych cen. Na próżno pani Waddell głowiła się, dlaczego Mona tak wytrwale trzyma się podupadającej plantacji, samotna w tym wielkim dworzyszczu, bez

meża, tylko z nieślubną córką, kiedy stada naiwnych Afrykanów chcą od niej tę posiadłość kupić.

Mona, gdyby zechciała wyjaśnić to pani Waddell, powiedziałaaby, że się stąd nie ruszy, bo Bellatu - ta bezstronna, nieosądzająca ziemia - jest wszystkim, co jej zostało. Nie miała w swym samotnym życiu nikogo, na kim by jej zależało. Jej uczucia: miłość, zrozumienie, przywiązanie - umarły razem z Davidem i jego dzieckiem.

Gdy obudziła się nazajutrz po tamtej nocy i dowiedziała się o swej dziwnej ucieczce do sypialni rodziców - o swoim chwilowym obłędzie - poczuła w klatce piersiowej zimny ból. I wiedziała, że ten ból będzie się czał zawsze.

Mona nie otrząsnęła się z żałoby jak jej ciotka Grace, która doszła do siebie w sześć miesięcy po śmierci Jamesa Donalda. Niepokonana Grace pozwoliła sobie na pół roku głębokiej rozpacz, po czym się pozbierała, wyprostowała ramiona i podjęła dowództwo nad swoją misją, nad potrzebującymi tego pacjentami i personelem. Grace ma godną zawiści zdolność regenerowania miłości -myślała Mona - jest jak jaszczurka, której odrasta ogon. Ale zdolność Mony do kochania, raz odcięta, już nie odrosła. A bez miłości nie mogło w jej życiu być ludzi. Była tylko plantacja. Nagle Mona zrozumiała, dlaczego jej matka wybrała samobójstwo po śmierci Carla Nobilego.

Ona nie zdobyła się na odwagę, żeby odebrać sobie życie, ale wycofała się w stan poniekąd samobójczy. Z ciotką widywała się od czasu do czasu, z Geoffreyem i Timem raz na długi czas, właściwie jednak żyła jak pustelnica, poświęcając się pięciu tysiącom akrów ziemi i osłabionym kawowcom, które jej zostały. Swoje dziecko, Debora, przekazała niańkom w dniu urodzenia i nigdy już jej nie dotknęła. Uważała, że to dziecko jest wynikiem jakiegoś aktu bezowocnego, prawie zboczenia, i nie ma prawa żyć.

Ale Debora była teraz w domu, bo szkoły zamknięto, i jej guwernantki nie zagrzewały miejsca. Mona stanęła wobec bardzo nieprzyjemnej sytuacji.

- Pani wybaczy, że to mówię - powiedziała pani Waddell - dobrze jednak by pani postąpiła, gdyby pani to sprzedała i wyjechała z nami wszystkimi, pani Treverton. Przyjdzie grudzień, dla nikogo o białej skórze klimat tutaj nie będzie zdrowy.

- Nigdy nie sprzedam - oświadczyła Mona, sprzątając ze stołu. - Urodziłam się w Kenii, tu jest mój dom. Ojciec zrobił dla tego kraju więcej, niż kiedykolwiek zrobili miliony Afrykanów. On zbudował Kenię, pani Waddell. Mam większe prawo do życia w tym

kraju niż ci ludzie tam, którzy nie robią nic, tylko przez całe życie mieszkają w lepiankach.

Stała przy zlewie i odwróciła się.

- Rzeczywiście - powiedziała spokojnie, z błyskiem w ciemnych oczach - to Afrykanie powinni wyjechać. Nie zasługują na ten bogaty, piękny kraj. Niczym nie zarobili sobie na Kenię. Tylko ją zepsują, doprowadzą do jej ruiny. Kiedy przyjechał tu mój ojciec, mieszkali w chatkach ulepionych z krowiego łajna i chodzili w zwierzęcych skórach, harowali na nędzne utrzymanie jak ich przodkowie przed wiekami i nie mieli żadnych dążeń poza tym, żeby jutro napić się piwa. I tak samo żyliby teraz, gdyby biali nie zjawili się w Kenii. My założyliśmy farmy, zbudowaliśmy tamy i szosy, daliśmy im medycynę i książki! Myślimy umieścić Kenię na tej cholernej mapie, a oni nam każą się wynosić.

Pani Waddell zapatrzyła się w swoją chlebodawczynię. Tylu słów jednym ciągiem dotychczas od pani Treverton nie słyszała. I to wypowiedzianych z takim przejęciem! Kto by się tego spodziewał? Wszyscy w kolonii uważają Monę Treverton za osobę twardą i nieczułą.

Nagle guwernantka przypomniała sobie coś zasłyszanego przed laty: paskudną plotkę, że Mona Treverton z jakimś Afrykaninem... Ale nawet pani Waddell, która przecież lubiła takie słone kawałki od czasu do czasu, nie mogła przełknąć tak niesmacznej opowieści. Nie do pomyślenia - żeby hrabianka romansowała ze swoim zarządcą, Kikuju! Teraz jednak, słysząc w głosie pani Treverton rozgoryczenie i widząc pasję w jej oczach, pani Waddell pojęła, że jej chlebodawczyni żywi do Afrykanów nadzwyczajną, głęboką nienawiść, i zastanowiła się, czy ta okropna pogłoska może być prawdą.

W końcu guwernantka wyszła, Mona została sama. Chwyciła się krawędzi zlewu jak deski ratunku. Zimny ból w klatce piersiowej powrócił. Wezbrał aż do gardła. Nie mogła oddychać, jak gdyby się dusiła.

Ale zwalczyła to i wkrótce znów nad sobą panowała. Dziewięć lat temu, w pierwszym okresie po śmierci Davida, takie jej ataki zaniepokoiły Grace. Elektrokardiogram Mony jednak wykazał, że jej serce - fizyczne serce - jest idealnie zdrowe. Ten ciągły ból i momenty braku tchu miały podłoże duchowe, do którego nowoczesna medycyna Grace nie mogła dotrzeć.

„Powinnaś się wyplakać, Mono - powiedziała Grace - zamykasz płacz w sobie, to niedobrze”.

Ale Mona utraciła zdolność do płaczu. Gdy David w jej ramionach umarł, zapadła w jakiś szary szok i trwała w nim nadal, gdy już dawno pogrzebano zmarłych i gdy skończyły się działania Mau-Mau. Po swojej nocy z Timem ani jednej łzy nie uroniła z powodu śmierci Davida i jego dziecka.

Usłyszała teraz jakieś odgłosy na górze.

Spojrzała na sufit, zaczęła nasłuchiwać.

Znów były odgłosy i jednostajne buczenie rozmowy.

W sypialni rodziców!

Pobiegła z kuchni na górę.

Debora uczyła się w szkole o zamkach i kluczach. Należało to do lekcji wiązania sznurowadeł, nalewania sobie mleka do kubka, niesienia ostrożnie nożyczek. Kilka miesięcy temu Debora sama w domu myszkując po pokojach, natrafiła w kredensie na kółko ze starymi zmatowiałymi kluczami. Spróbowała je dobierać do różnych zamków, tak jak panna Naismith ją uczyła, i udało jej się otworzyć drzwi tej baśniowej sypialni.

Widząc po raz pierwszy to łoże z falbaniastym baldachimem, sofkę w okiennej wnęce i atlasowe poduszki, toaletkę zastawioną pięknymi starymi butelkami perfum, myślała, że trafiła do komnaty królowny w tajemnej wieży z bajki. Potem już praktyczna pojęła, że w tym pokoju nikt nie mieszka, więc z pewnością można oglądać nagromadzone w nim cudowne skarby.

Znalazła stare suknie naszywane cekinami i stroje z koronek i z tiulu, diademy i boa z piór. Bawiła się zaschłymi tuszami do rzęs i szminkami, które się kruszyły pod dotknięciem. Otwierała buteleczki i wąchała ślady kosztownych perfum. Dziecięcą fantazją wyczarowując postacie z baśni, zastanawiała się, jaka królowna mieszkała tutaj.

Teraz dzieliła się tajemniczością swojej komnaty z Christophe-rem Madengejem, nowym serdecznym przyjacielem.

Siedzieli na podłodze i przeglądali zawartość „szkatułki z papierami”. W tej drewnianej skrzyneczce były pliki pożółkłych starych fotografii, listów, kart świątecznych, pamiątek z uroczystości, o których Debora nic nie wiedziała. Ponieważ nie знаła też ludzi na fotografiach, wymyślała imiona i fantazjowała.

- To jestem ja - wskazała Christopherowi zabawnie ubraną małą dziewczynkę w staromodnym hełmie tropikalnym, nie zdając sobie sprawy, że naprawdę jest bardzo do niej podobna.

Ta dziewczynka na tle drzew siedziała przy smutnookiej jasnowłosej pani z małą na kolanach. Było coś w tych twarzach, co sprawiało, że Debora nieraz przypatrywała się im godzinami. Obie wydawały się takie nieszczęśliwe. Na odwrocie fotografii ktoś napisał: „Rose z córką, 1927 rok”.

- Och! - powiedziała, wyciągając ze szkatułki cienką książeczkę. - Ten to możesz być ty! Widzisz? Nawet jest podobieństwo.

Christopher ze zdumieniem zobaczył, że Debora pokazuje mu przepustkę prawie taką, jaką od lat nosi przy sobie jego matka. Zagapił się w twarz na fotografii.

- Kto to jest? - zapytał. - Umiesz przeczytać, jak się nazywa? Christopher zbaraniał. Ten człowiek nazywał się David Madengej.

- Ale to twoje nazwisko! - wykrzyknęła Debora. Nie rozumiała znaczenia nazwisk, nie wiedziała, że nie powinna mieć nazwiska takiego samego jak rodzice mamy. Nic jej nie było wiadomo o małżeństwie, ojcostwie, o tym, że kobieta zmienia nazwisko, wychodząc za męża. Przyjmowała, że w takiej sytuacji jak ona są wszystkie córki z matkami.

Christopher nie odrywał oczu od tej fotografii. Podobieństwo widział, owszem, ale coś jeszcze go urzekało. Adres: okręg Nyeri i rodzice: naczelnik Kabiru Madengej i Oczera Madengej.

Christopher nic nie słyszał o swoim ojcu - kim był, kiedy i dlaczego umarł. Matka nigdy nie chciała o nim mówić. Jej opowiadania najpierw w obozie Kamiti, gdzie się urodziła siostra Christophera, Sara, a potem w obozie Hola, gdzie bytowali przez pięć lat, dotyczyły tylko jego babki, znachorki, i wodza, który żył bardzo dawno temu, pierwszego Madengeja.

A ten człowiek, David...

- Możesz sobie to wziąć, jeżeli chcesz - powiedziała Debora widząc, jak bardzo Christopher jest zainteresowany. Pieczołowicie wetknął przepustkę za pasek szortów. Debora sięgnęła do szkatułki po następne skarby, gdy nagle światło padające z otwartych drzwi zasłoniła czyjaś sylwetka.

Mona nie wierzyła własnym oczom.

Pokój, który zamknęła przed dziewięciu laty, teraz był otwarty. Dobrze znane meble, od dawna niepamiętane, teraz w świetle z korytarza majaczyły przed nią, budząc wspomnienia dżgające jak noże. Toaletka, przy której Rose, ignorując córkę, siedziała godzinami, a Ndžeri czesała jej długie platynowe



włosy. Na ścianie zrobiona ze skóry nosorożca szpicruta Valentine'a, symbol jego totalitarnej władzy nad Rose i nad Bellatu. I wielkie łożo z baldachimem, miejsce poczęcia pokoleń Trevertonów - samej Mony też, w Anglii czterdzieści pięć lat temu, i Debory, jej córki, w tamtą noc, gdy David umarł.

Oszołomiona spojrzała na bosą opaloną dziewczynkę, która potrząsając masą czarnych włosów, podniosła w światło twarz jak orzechowobrazowy słonecznik.

- Cześć, mamó! - powiedziało to dziecko.

Mona oniemiała. Dziewięć lat temu zatrzasnęła drzwi, przekręciła klucz w zamku, zostawiła zamknięte wewnątrz wszystkie swoje niezdolne wspomnienia i osobiste demony. Odeszła jak mogła najdalej od tego straszego pokoju i jego zakurzonych sekretów - kobieta wolna od przeszłości, czująca się bezpiecznie, byleby te demony się stamtąd nie wyrwały.

Ale teraz ten pokój był szeroko otwarty, groźny. Bezpieczeństwo rozbił bachor, poczęty tylko dlatego, że David umarł.

- Jak śmiałaś! - powiedziała. Debora patrzyła na matkę zdumiona.

- Ja tylko pokazywałam mojemu nowemu koledze.. - Nie zdążyła powiedzieć nic więcej, bo matka raptownie się pochyliła, chwyciła ją boleśnie za rękę i poderwała na nogi.

Dziewczynka się zlekła. Krzyknęła, spróbowała zasłonić się wolną ręką, gdy Mona zamierzyła się, żeby ją uderzyć.

- Nie! - wrzasnął Christopher w języku suahili. - Stój!

Mona spojrzała znad Debory. W świetle z korytarza zobaczyła tego afrykańskiego chłopca. Zapatrzyła się na niego. Palce, ściskające rękę Debory, się rozluźniły. Zmarszczyła brwi.

- David? - wyszeptała.

Wspomnienia napłynęły jak fala powodzi - te dawniejsze, głębiej ukryte - chata operacyjna w płomieniach; naszyjnik z Ugandy.

Pokój zakołował. Zimny ból znów rozsadzał klatkę piersiową, wezbrał w gardle, dusił. Po omacku sięgnęła do klamki.

Debora, rozcierając rękę, starała się nie rozpłakać.

- To mój serdeczny kolega, mamusiu. Nazywa się Christopher Madengej i mieszka u znachorki, bo to jego babcia.

Mona nie mogła oddychać. Przycisnęła dłoń do piersi. Syn Davida!

Christopher pełnymi przerażenia szeroko otwartymi oczami patrzył na kobietę stojącą na tle drzwi. Ona, patrząc na niego, miała oczy pełne łez. Gdy ruszyła w jego stronę, cofnął się.

- David - szepnęła.

Pomyślał o przepustce za paskiem szortów.

Mona wyciągnęła rękę. Zatoczył się w tył, uderzył o słup łóżka.

Podeszła bliżej. Dzieci patrzyły tak zaleknione, jak urzeczone. Dziwnie wyciągała do Christophera ręce i łzy płynęły jej po twarzy. Gdy była już przy nim, oboje wstrzymali oddech.

Nagle Debora z ogromnym zdumieniem zobaczyła czuły uśmiech roztkliwiający twarz matki zawsze tak zaciętą, tak niezmienną.

- Synu Davida - powiedziała Mona cicho, w zadziwieniu. Christopher, oparty o słup łóżka, sprężył się, gdy te ręce delikatnie otuliły jego policzki.

I nadal w cudownym zadziwieniu Mona przez łzy patrzyła na te miłe swojskie rysy, bruzdę między brwiami, migdałowe oczy, wysuniętą szczękę, spuściznę po wojownikach masajskich. Christopher był jeszcze małym chłopcem, ale już przejawiał się w nim mężczyzna, na którego miał wyrosnąć. Mona widziała, że będzie taki jak David.

- Synu Davida - powtórzyła z tym smutnym uśmiechem. - On żyje w tobie. Nie umarł ostatecznie...

Serce Christopherowi waliło, gdy ta kobieta, trzymając chłodne ręce na jego policzkach, przysunęła się bliżej.

Pochylona, pocałowała go bardzo delikatnie w usta.

Potem się odsunęła, rysy jej twarzy dziwnie zmiękły, z krtani wyrwał się szloch.

Dotknęła syna Davida jeszcze raz - powiodła czubkami palców po zmarszczce od nosa do kącika ust - odwróciła się i wybiegła z pokoju.

## *Rozdział 54*

Po tych wszystkich latach Geoffrey Donald nadal pragnął mieć Monę Treverton.

Gdy pędzili land-roverem w migotliwy blask równikowego słońca, płosząc stada zebra i antylop na poboczach szosy, Geoffrey często na Monę spoglądał. Z twarzą nieruchomą za ogromnymi okularami przeciwsłonecznymi siedziała pomiędzy nim i ciotką Grace i zauważył, że w ciągu ubiegłych kilku tygodni zeszczuplała i pobrała. Nie wiedział dlaczego, ale podobała mu się taka. Mona, mając czterdzieści cztery lata, jest tak samo ponętna jak dawniej.

Gniew i zawziętość wobec niej, które się w nim wylęgły tamtej nocy, gdy umarł jego ojciec, dawno zniknęły. Lata ukoili żal, pozwoliły, by znów zaczął jej pragnąć tym namiętniej, że jego żona z każdym rokiem od narodzin Terry'ego, ich ostatniego dziecka, tyła i rozleniwiała się coraz bardziej. Ze strony Mony rzeczywiście nie było żadnej zachęty czy choćby jakiegokolwiek dowodu na to, że ona uświadamia sobie jego istnienie, poza czysto powierzchowną grzecznością, nieomal taką, jakby musiała sobie o nim przypominać. Ale po części to właśnie czyniło ją fascynującą - ta jej obojętność i niedostępność. Geoffrey Donald, teraz pięćdziesięciodziesięcioletni, krzepki, szczupły, miał srebrne nitki we włosach i wdzięk, którym podbijał swoje klientki. Podboje były zbyt łatwe, zbyt liczne; znudzony i wypalony nie miał już ochoty na romanse. Ale wyraźny brak zainteresowania Mony od dziewięciu lat pozostającej w celibacie sprawiał, że tym razem polowanie stało się nagle czymś nowym, a więc podniecającym. Gdy zgodziła się pojechać na to safari w masajskich ostępach, Geoffrey się ożywił, poczuł znowu pożądanie i nadzieję.

Miał dla Mony niespodziankę na końcu drogi.

Jechali do obozu safari w Kilima Simba. Ta samotna placówka wśród wyłaniających się skał, odległa o dwadzieścia mil od góry Kilimandżaro, była w samym sercu Rezerwatu Zwierzyny Masai Am-boseli, wielkiego pasa odludzia, który nadzorowali jego właściciele, Masaje, jako swoje pastwisko. W skwarze Geoffrey prowadził land-rover po wybojach, Debora i Terry z tyłu objali się jak worki z ziarnem. Szosa odwijająca się niczym wąska wstążka rzucona na żółty płaski bezmiar sawanny. W dali wznosiła się góra Kilimandżaro, na tle bezchmurnego nieba fioletowoniebieska z białym grzebieniem. Gdzie okiem sięgnąć ani śladu cywilizacji: krajobraz cętkowały głogowce o spłaszczonych wierzchołkach; impale i gala-go pasły się w trawie, żyrafy biegały krótkim galopem beztroskie i pełne gracji, stado lwów wygrzewało się pod drzewem. Był to jeden z afrykańskich obszarów najbardziej obfitujących w zwierzynę i Geoffrey Donald zamierzał zbić na nim majątek.

- Domy myśliwskie - wyjaśnił kiedyś Monie. - Nie wszystkim się podoba koczowanie w namiotach. Mało kto z moich klientów po paru dniach w obozowisku jest zadowolony... te łóżka polowe i moskity, i brak toalety, należytych wygód. Łamałem sobie głowę, co wymyślić, żeby ściągnąć tu więcej turystów, i nagle mnie olśniło. Letnisko w głębi afrykańskiego buszu!

Tylko nieliczni spośród znajomych Geoffreya uznali, że to nie najgorszy pomysł. Większość wróżyła mu niepowodzenie, przypominając, że napływ turystów skończy się, gdy Kenia uzyska niepodległość.

Nie będzie tu bezpiecznie dla białych - mówili. - Cały świat wie, jakie barbarzyństwo zaleje ten kraj, kiedy rząd Jej Królewskiej Mości się wycofa.

Ale Geoffrey był innego zdania.

- Stary Jomo nie jest wariatem ani głupcem - argumentował. - On wie, że jesteśmy mu potrzebni. Europejczycy nadal monopolizują wszystkie duże spółki, banki i hotele w Kenii. Wie, że musi nas zachować i nam dogadzać, jeżeli chce utrzymać stabilną gospodarkę. Bez nas, bez naszych kontaktów, bez naszego kapitału i sprytu, Kenia by się rozpadła jak domek z kart. Tubyle o tym wiedzą!

I to zaczynało się sprawdzać. W ciągu tych pięciu miesięcy, odkąd Kenyatta został premierem, nie było żadnych aktów zemsty, żadnych akcji odwetowych, jakich osadnicy się lękali. Rzeczywiście, ku zdumieniu wszystkich, Kenyatta nawoływał do politycznego umiaru i spokojnej koegzystencji ras, przy czym na dowód swo-

jej szczerości zapoczątkował partnerstwo ze Zrzeszeniem Rolników Europejskich.

- Ale Kenia jeszcze nie jest niepodległa - argumentowali znajomi Geoffreya. - Wojsko brytyjskie jeszcze tu pozostaje. Czekaj, aż w przyszłym miesiącu Afrykanie urzędowo przejmą rządy, wtedy zobaczysz, co będzie. Geoffrey jednak niezłomnie się zdecydował. Czując, w którą stronę wieje „wiatr zmiany”, sprzedał hodowlę bydła Donaldów pod Nanyuki i urządził się w Nairobi, tam otwierając agencję turystyczną. Teraz albo przebywał w swej luksusowej rezydencji w Parklands albo w swoim domu w Nyeri, gdzie mieszkała Ilse z małym Terryem, albo wyjeżdżał na lotnisko po swych nielicznych nieustraszonych turystów i obwoził ich w konwoju land-roverów po całej Kenii.

Turyści, pomimo Mau-Mau i przerażającej osadników rychłej niepodległości, zaczęli napływać do Afryki Wschodniej, tylko że strużką. Geoffrey chciał, żeby ta strużka stała się powodzią, obmyślał więc sposoby zwabiania na safari. Obozowisko zanadto zatraça trudami i wyrzeczeniami bez względu na to, ilu Afrykanów rozbija namioty, gotuje specjalny, przygotowuje posiłki i robi pranie dla turystów. Romantyczność szybko się rozwiewa, niewiele osób wraca do domu z przekonaniem, że afrykańska przygoda była warta poniesionych kosztów.

Właśnie wtedy Geoffrey wpadł na pomysł zbudowania letniskowego hotelu w buszu, „pałacyku safari”, jak go nazwał, pierwszego i jedyne w swoim rodzaju - z należytymi sypialniami, restauracją, personelem grzecznym i życzliwym i z cocktail-barem, z którego leniwy poszukiwacz przygód może patrzeć na afrykański plener i dzikie zwierzęta.

- Miejsce, gdzie turyści mogą być schludni, pijani i bezpieczni - oświadczył - gdzie mogą czuć się jak Allan Quatermain, zabezpieczony jednak przed zagrożeniem ze strony tubylców i zwierząt. W zacisznym wnętrzu takie oglądanie świata na zewnątrz. Pałacyk daleko od Nairobi i od śladów Mau-Mau, daleko od wszelkich napomknien o polityce, o wrogości. Moi klienci zakosztują Kenii sprzed pięćdziesięciu lat. Poznają Kenię pierwotną, niezspsuta, taką, jaką znali nasi rodzice w tamtych czasach, kiedy życie białych tutaj miało szyk i wdzięk. Za tę sposobność będą płacili grube pieniądze, zapewniam was.

Potem Geoffrey wyruszył na safari zwiadowcze, penetrował każdy zakątek Kenii, oglądał każdy szlak okiem turysty, badał na-

silenie wiatru, śledził zwierzęta, rozmawiał z miejscowymi naczelnikami. Wybrał Amboseli ze względu na piękno tych okolic i mnogość fauny. Wydzierżawił od Masajów teren, na którym teraz było jego obozowisko. Z początkiem nowego roku miała się zacząć budowa hotelu.

Śpieszyło mu się tam. Chciał ulokować Monę w namiocie sąsiadującym z jego namiotem i nocą, gdy wszyscy zasną, złożyć jej specjalną wizytę.

Przy każdym podskoku i szarpnięciu land-rovera na wybojach dwoje dzieci na bocznych ławkach naprzeciwko siebie, przytrzymując się, piszczało z uciechy. Brezentowa buda została z boków podciągnięta, siedzieli więc w pełnym pędzie powietrza, a ojciec Terry'ego prowadził samochód z maksymalną prędkością. Niesforne włosy Debory wysunęły się z gumki i rozwiane wokół głowy były jak smagające baty.

Po raz pierwszy Debora jechała na safari, z trudem więc panowała nad swoim podnieceniem. Ilekroć land-rover nurkował poprzez stada zebr, przy czym te pasiaste koniki rozbiegały się i szczekały, parskała śmiechem, klaskała w ręce. Wychylała się z ławki to w tę stronę, to w tamtą, patrzyła, jak żyrafy biegną przy samochodzie i jak przerażone nosorożce odwracają się raptownie i klusem uciekają, wzbijając tuman kurzu. Wprost nie mogła się napatrzeć: jastrzębie na niebie; sępy szybujące z prądami powietrza, zaspane lwy; ptaki-tkacze zajęte budowaniem gniazd na głogowcach. Nigdy dotąd nie widziała tylu dzikich stworzeń, takich bezmiarów ziemi i nieba. Dech jej to zapierało. Nie miała pojęcia, że Afryka jest taka duża.

Mijali też stada bydła i masajskich pasterzy całych pomalowanych czerwoną farbą. Każdy z nich stał na jednej nodze i podpierał się włócznią - wysoki, kanciasty, z zaplecionymi długimi włosami i w karmazynowym *szuka* zasupłanym na ramieniu, targanym wiatrem. Gdy land-rover przejeżdżał, podnosili ręce szerokim gestem pozdrowienia. Debora i Terry zachwycali się, że oni są tacy cudzoziemscy i nadzwyczajni w porównaniu ze zeuropeizowanymi Kiku-ju, i machali rękami do nich w odpowiedzi, a potem do wuja Tima i wuja Ralpha, jadących drugim land-roverem z zaopatrzeniem.

Debora zazdrościła swojemu dziesięcioletniemu przyjacielowi prawie boleśnie. Terry ma takie szczęście. Jego ojciec prowadzi fantastyczne życie! I zabiera go ze sobą na safari teraz, kiedy biała szkoła w Nyeri jest zamknięta, a on za młody na internat w Nairobi, gdzie się uczy jego rodzeństwo. Terry już przedtem był w obozie

safari Kilima Simba i polował z ojcem na lamparta. Debora chciała, żeby Christopher i Sara Madengej się z nimi wybrali, ale gdy zapytała, czy może ich zaprosić, mama zbyła to milczeniem.

Jednak już sobie wyobrażała, jak po powrocie do Bellatu będzie im opowiadać o tej cudownej przygodzie i da im kilka z fotografii, które zrobi swoim Box Brownie.

Gdy dojechali do obozowiska, znużeni i głodni, pokryci czerwonym kurzem, słońce osuwało się na horyzont. Stały personel Geoffreya, Masaje w szortach khaki i czystych białych koszulach powitali podróżnych gramolących się z samochodów i rozprostowujących obolałe kończyny i pośpiesznie zaczęli wyładowywać dostawy i bagaż.

Debora wyciągnęła ręce, zakręciła się w kółko. Tu jest wspaniale, cieszyła się. Powietrze szczypie, cienie takie długie i cisza aż do samego płaskiego horyzontu. Świat bez żadnych ścian, ziemia bez równych rzędów drzew. Dzikie okolice, w których będą niespodzianki i przygoda. A góra Kilimandżaro - zdecydowała - jest tysiąc razy piękniejsza niż ta stara góra Kenya! Żałowała znowu jeszcze bardziej rozpaczliwie, że Christopher nie może z nią tego wszystkiego widzieć.

- Rozumiecie - wyjaśniał Geoffrey dorosłym, gdy szli po nierównym terenie do namiotów - w kampanii reklamowej zaznaczę, że kiedyś było tu obozowisko Hemingwaya. Co więcej, właśnie tu kręcili film „Śniegi Kilimandżaro”, a także część filmu „Kopalnie króla Salomona”. Ta wioska tubylców, koło której przejeżdżaliśmy... te chaty były rekwizytami. No a tutaj, w sąsiedztwie tych olbrzymich głazów, zamierzam postawić główny dom.

Kolacja była, zdaniem wszystkich, po prostu doskonała. Podawali kelnerzy w *kenzu* i białych rękawiczkach, porcelana i srebro zastawy lśniły w romantycznym blasku pastelowego zachodu słońca. Ponieważ w Afryce równikowej nie ma zmiernych, wkrótce zapalono latarnie, które oświetliły obozowisko uspokajającą łuną. Namiot jadalny był ogromny, o trzech ścianach z gazy, żeby biesiadnicy mogli podziwiać panoramiczny widok wokół, nienękani przez moskity. Gdy pili bulion, jedli kotlety z gazeli z młodymi kartoflami i sosem, a potem sorbet cytrynowy, Geoffrey dalej ich oświecał:

- Mam kilku inwestorów - powiedział, gestem każąc podać drugą butelkę wina. - Jeden z nich to sławny disc jockey. Grace podniosła wzrok znad talerza.

- Co to jest disc jockey?

- Amerykanin - wyjaśnił Ralph i wszyscy się roześmieli. Nawet Mona, która przecierpiała ośmiogodzinną jazdę z Nyeri

w milczeniu. W czasie krótkiego obchodu obozu nie powiedziała ani słowa, potem długo w swoim namiocie myślała i odświeżała i przychodząc do namiotu jadalnego na cocktail o zachodzie słońca, miała nadal ten swój nieufny wyraz twarzy, dobrze już wszystkim znany. Ale teraz po paru kieliszkach wina przy pogawędce zżytych ze sobą ludzi ona też odczuwała ogrom tej równiny, pozaświato-wość odludnej sawanny i zaczęła zrzucać zbroję. Geoffrey pierwszy to zauważył.

- Będziemy tu mieli tak zwaną przeze mnie pogoń za zwierzyną - powiedział, zapalając papierosa, rozpierając się wygodnie. Słyszał odgłosy nocy: ciągle cykanie świerszczy, ryki lwów gdzieś niedaleko, i znów sobie gratulował tego, że postąpił, doprawdy, bardzo mądrze. Sprzedał ojcowskie rancho Afrykanom pragnącym je kupić i dzięki temu mógł inwestować w przedsięwzięcie, które miało,

0 czym nie wątpił, przynieść mu ogromne zyski. Jeżeli mam być białym w Kenii, zdecydował, to białym bogatym.

- Będziemy budzić turystów o świcie i wozić ich land-roverami na poszukiwanie zwierząt do fotografowania.

Zwierzęta zawsze we wczesnych godzinach porannych są ruchliwe i najlepiej widoczne. Potem powrót do pałacyku myśliwskiego na wielkie śniadanie

1 dzień w basenie pływackim. Późno po południu, kiedy zwierzęta budzą się i wychodzą na żer, popędzimy naszych turystów w jeszcze jedną pogoń land-roverami, w których będą butelki brandy i kanapki. A wieczorem wymagane stroje wieczorowe w restauracji i dobre pokazy tańców tutejszych Masajów.

- To z pewnością brzmi kusząco - powiedział jego brat, Ralph. -Jeżeli stary Jomo utrzyma ten kraj w równowadze, nie ma powodu, żebyśmy nie mogli zrobić na tym kokosów.

Ralph wrócił do Kenii rok temu, gdy Uganda uzyskała swoją niepodległość. Prezydent Obote uznał, że w jego kraju brytyjski system podziału na prowincje już nie jest potrzebny, więc odprawił wszystkich białych urzędników państwowych. Ralph Donald, w wieku czterdziestu ośmiu lat jeszcze nieżonaty, był komisarzem prowincji i jako taki otrzymał, jak nazywano to w żargonie miejscowym, „złoty melonik” - wynagrodzenie za lata służby dla Korony.

Przejściowo prowadził punkt kontrolny przyjmujący konwoje białych uchodźców z belgijskiego Kongo, po czym przyjechał do Kenii. Zainteresował się nowym przedsięwzięciem turystycznym brata.



Srebrzystowłosey, rumiany, cieszący się reputacją szturmowego łowcy słoni, Ralph Donald był przy tym stole drugim mężczyzną, który miał oko na Moneę.

- Tak jak ja to widzę - powiedział, nabijając i zapalając fajkę -kiedy tylu Europejczyków wyjeżdża z Kenii, my, ta pozostała garstka, zapanujemy na tym podwórku. Dosłownie: kto zjada ostatki, ten piękny i gładki. A tubyle rozejrzają się wokół, rozumieją, że pojęcia nie mają o rządzeniu państwem i będą nas błagać o pomoc.

Grace, która prawie nie tknęła jedzenia, spojrzała na Ralpha. To niepojęte, że ten egocentryk z tym swoim gromkim śmiechem jest synem Jamesa.

-Mnie tylko zastanawia - powiedziała - skąd Afrykanie biorą pieniądze na kupowanie farm od białych. Słyszałam, że plantacja Norich-Hastingsa poszła za astronomiczną cenę.

- To nie tajemnica, ciociu - powiedział Geoffrey. - Te pieniądze są brytyjskie, nie afrykańskie. Rząd Jej Królewskiej Mości właściwie porzucił nas tutaj, kiedy zapowiedział, że w razie wybuchu Mau-Mau po raz drugi już nie przyśle wojska, a potem zgodził się przekazać całą władzę czarnuchom. Ale musiał przecież dla spokoju swojego sumienia znaleźć sposób, żeby pomóc tym, których zdradził. No i to właśnie jest ten sposób: pieniądze z Anglii przechodzą przez Bank Światowy i pośredników afrykańskich do rąk osadników. Osadnik po pozbyciu się swojej farmy pakuje rzeczy i wraca do Anglii z tymi pieniędzmi. W niejednym przypadku, jak słyszałem, tej gotówki nawet się z Anglii nie wysyła.

- Ręczę - powiedział Ralph - że tubyle się w tym nie orientują. - Spojrzał na Moneę. Przypomnił sobie dzień dawno temu, kiedy przyjechała z ciotką do Entebbe, żeby zabrać jego ojca do domu.

- Jeżeli darujecie. - Grace wstała od stołu. - Jestem bardzo zmęczona, nie przywykłam do takich podróży.

Również wstając, Geoffrey pomyślał, że jak na kobietę siedem-dziesięcioletnią Grace zniosła tę męczącą jazdę samochodem niezwykle dobrze.

- Każę *askari* odprowadzić ciocię do namiotu - powiedział. -Nie można chodzić po obozie nocą bez eskorty.

Zwierzęta tu się zapuszczają, niektóre dosyć agresywne.

- Czy dzieci będą bezpieczne w namiocie?

- Terry już tu obozował. Zadba o Deborę na pewno.

W kilka minut później Grace znalazła się sama. Z westchnieniem ulgi podeszła do łóżka. Musiała Geoffreyowi oddać sprawiedliwość: te namioty były luksusowe. Przypominały jej namioty Va-

lentine'a w 1919 roku, gdy przyjechała z Rose i okazało się, że dom jeszcze nie jest zbudowany.

Tak dawno, pomyślała, tak bardzo dawno...

Przyszło jej na myśl, że jutro urodziny Jamesa. On by miał siedemdziesiąt pięć lat.

Samotny wiatr poświstywał przez ściany z brezentu, latarnie się chwiały, Grace przygotowała się do snu.

Rzeczywiście nie wiedziała, dlaczego dała się zabrać na tę wycieczkę poza tym, że Geoffrey bardzo chciał, by zobaczyła obozowisko i pochwaliła jego nowy pomysł. Zresztą uznała, że wyrwanie się z misji dobrze jej zrobi. Od lat nie miała wakacji; w tym wreszcie wolnym czasie mogłaby się zastanowić, rozważyć propozycję żeńskiego zakonu afrykańskiego, który chce przejąć szkołę misyjną. Tyle razy rozmawiała z Jamesem o wyjeździe na safari, ale jakoś nigdy nic z tego nie wychodziło. A teraz ona jest na safari z jego dwoma synami.

Wzięła książkę, którą przywiozła do czytania - nowość z Ameryki, „Statek komediantów” - ale po chwili odłożyła, nie mogła się skupić. James stał jej przed oczami. Wypełniał każdą myśl, żył w jej duszy.

Podeszła do klapy namiotu. Za siatką pogodny w poświacie księżycowej krajobraz sprawiał złudne wrażenie jałowości i martwoty, a przecież był pełen zabijania, śmierci, prokreacji i życia. Myślała o swoim ukochanym Jamesie i znów jak tysiące już razy zadała sobie pytanie, w imię czego on umarł.

Dziwny jest nowy świat. Czy Jamesowi by się podobał? Ja sama nie bardzo ten świat rozumiem.

W Nairobi wyświetlano amerykański film „Doktor Strangelow”, na który ją zabrali Geoffrey i Ilse. Cały świat, zdawałoby się, opętała myśl o zagładzie nuklearnej. Radio nadaje piosenki tylko amerykańskie, śpiewane przez jakiś nowy chów ludzi - niejaka Joan Baez protestuje przeciwko nienawiści rasowej, nawołuje do miłości i pokoju. W dziennikach pełno doniesień o demonstracjach w obronie praw obywatelskich w Alabamie, o rozruchach i biciu, o dwustu tysiącach uczestników marszu wolnościowego w Waszyngtonie. Młodzież tańczy coś, co się nazywa *watusi*; rozwydrzeni młodzi chłopcy w Anglii zapuszczają włosy i zwa się „rockersi” albo „modsi”. Świat pędzi w zawrotnym tempie - amerykański astronauta, Gordon Cooper, właśnie okrążył kulę ziemską dwadzieścia dwa razy. Doktor Mitchell de Bakey w Teksasie wszedł do historii, otwierając ludziom klatki piersiowe i dokonując operacji na otwartym sercu.

I trzy dni temu został skrytobójczo zastrzelony prezydent Kennedy.

Co to wszystko, zastanawiała się Grace, patrząc w dal na spokojną nietkniętą równinę afrykańską, ma wspólnego z tym tutaj?

A Kenia w swoim biegu na łeb na szyję staje się już częścią tego zdumiewająco nowoczesnego, nowego świata. Niespełna sześćdziesiąt lat temu, myślała Grace, ci ludzie żyli w epoce kamiennej, nie znali koła, nie znali alfabetu ani żadnego dojścia do potężnych państw, rzucających swój cień po drugiej stronie tej góry. Teraz Afrykanie prowadzą samochody, latają samolotami. Afrykańscy prawnicy w białych perukach przewodzą sądom w Nairobi i mówią angielszczyzną Królowej. Kobiety kenijskie odkrywają kontrolę urodzeń, pracują jako sekretarki. Nowe słowa wzbogacają język Ki-kuju, takie jak *juhuru* „wolność” i *onencz* - „naród”. I premier Ke-nyatta ogłosił, że e w nazwie Kenia ma być krótkie, odtąd wykroczeniem prawnym jest wymawianie jej „Kiinia”.

W roku 1957 dziwne wydawało się Grace pierwsze głosowanie razem z Afrykanami. I pewnym wstrząsem było spotkanie Meme Oczery przy urnie wyborczej w czerwcu bieżącego roku. Popatrzyły wtedy na siebie, Grace zrobiło się zimno do szpiku kości. To przypadkowe spotkanie znachorki obudziło w niej bolesne wspomnienie dnia śmierci Jamesa. Meme Oczera przysłała do Grace po ciało swego syna i bez słowa rzuciła na ziemię u jej stóp jakąś paczkę. Dętwa, zdruzgotana tragedią poprzedniej nocy - zgonem Jamesa w jej ramionach, śmiercią maleństwa Mony, zdradą Maria, służącego, który okazał się zaprzysięgającym - Grace podniosła tę paczkę i zobaczyła, że to są wszystkie listy Mony do Davida.

Grace jeszcze miała te listy. Nie wiedząc, co z nimi zrobić, odłożyła je, żeby kiedyś oddać Monie. To było dziewięć lat temu. Z początku nie chciała rozdrapywać zbyt świeżych ran bratanicy. Potem uznała, że to by tylko otworzyło rany już jako tako zabliznione. Może, pomyślała teraz, powinnam je po prostu spalić i niech ten ciemny rozdział odejdzie na wieczny odpoczynek.

Usłyszała kroki i zaraz cichy głos.

- Doktor T?

To Tim. Zawsze ją tak nazywał. Gdy wszedł w światło padające z jej namiotu, przeprosił, że przeszkadza, i zapytał, czy mogłaby z nim porozmawiać.

- Chyba to tak, jakbym przyszedł się pożegnać, doktor T - powiedział, siadając. - Wyjeżdżamy w przyszłym tygodniu.

- Wiem - przytaknęła łagodnie. - Wiem!

- Wszystko już spakowane, więc nie ma sensu obijać się do Dnia Niepodległości. I nie sędzę, żeby mi było przyjemnie zobaczyć, jak flaga brytyjska zjeżdża w dół raz na zawsze.

- Może to nie będzie takie przykre.

Tim zadumał się, skręcając w rękach kapelusz. Po chwili powiedział:

- Naprawdę chcemy, żeby pani wyjechała z nami. Owcza farma Alice idzie fantastycznie i w Tasmanii jest pięknie.

Czysto, spokojnie, pani rozumie.

Grace uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

- Mój kraj to Kenia. Tu jest moje miejsce. Więc tu zostanę.

- A ja wątpię, czy tu kiedykolwiek wrócę. Urodziłem się w Kenii, pani wie, ale czuję się już nietutejszy. „Kenia dla Kenijczyków”, tak teraz mówią. Czym ja jestem, jeżeli nie Kenijczykiem? Mam nadzieję, doktor T, że będzie pani tu dobrze.

- Będzie doskonale, Tim. Zresztą nie zostaję sama. Mam Deborę.

Tim odwrócił wzrok przed spojrzeniem Grace. Nieszczęsny temat - Debora. Może gdyby przed ośmiu laty Mona zgodziła się wyjść za niego...

Ale nie. Tim nie nadaje się na męża. Potrzebuje wolności i potrzebuje szczególnych przyjaźni, które nie obejmują kobiet. A dziecko dla Mony jest tak jak dla niego, błędem, kłopotliwym przypomnieniem nocy, o której oboje woleliby zapomnieć.

- Zanim wyjadę, doktor T - powiedział cicho, patrząc w brezentową podłogę - chciałbym coś pani powiedzieć. Nie wiem, ale po prostu uważam, że nie mogę wyjechać do Australii bez zrzucenia tego z serca. Chodzi o tamtą noc, kiedy hrabia został zabity.

Grace czekała.

W końcu podniósł wzrok.

- To ja byłem tym facetem na rowerze. Wlepiała w niego oczy.

- Nie zabiłem jednak hrabiego! Nie to chcę powiedzieć. Było tak, że nie mogłem tamtej nocy zasnąć, więc zszedłem na dół, żeby się napić. Zobaczyłem hrabiego na podjeździe, kiedy wsiadał do samochodu. Zastanowiłem się, dokąd jedzie, co zamierza zrobić. Odjechał, ja wyszedłem, zobaczyłem rower. Zdecydowałem się pojechać za nim, zobaczyłem, jak skręcił na szosę do Kiganjo. Jechał o wiele szybciej, niż ja pedałowałem, więc dogoniłem go dopiero po jakimś czasie. Zobaczyłem jego samochód na poboczu z silnikiem włączonym. Podjechałem, myślałem, że hrabia śpi. Tyle wypił wieczorem, pani pamięta?

- Tak, pamiętam.
  - Podjechałem do samochodu i zajrzałem. Wtedy pomyślałem, że może jest chory. Zsiadłem z roweru i pośliznąłem się na błocie. Dlatego było błoto na siedzeniu przy nim. Kiedy tylko zobaczyłem pistolet w jego ręce, ranę od kuli w głowie, wiedziałem, co się stało. Ktokolwiek to zrobił, najwidoczniej uciekł przed chwilą. Nie widziałem nikogo, nie słyszałem nic. A potem, ponieważ byłem przerażony, rzuciłem rower w krzaki, kiedy dętka nawaliła, i resztę drogi do Bellatu przebiegłem.
  - Dlaczego nie powiedziałeś o tym policji?
  - A co by to dało? Nie mogłem im powiedzieć, kto to zrobił. I jeszcze by mnie aresztowali jako podejrzanego o morderstwo. Wszyscy wiedzieli, jak myśmy, hrabia i ja, się nienawidzili.
- Spojrzał na Grace i powiedział cicho:
- Myślę, że nigdy się nie dowiemy, kto to zrobił, prawda?
  - Tak, chyba nigdy. Ale nie sądzę, żeby to jeszcze miało znaczenie. Prawie wszyscy w to wmieszani nie żyją. To tak jakby poszło w niepamięć.
  - Więc już powiem dobranoc, doktor T. Geoffrey zabiera nas jutro rano w pogoń za zwierzętami!
- Grace podała mu rękę.
- Uważaj, Tim - powiedziała. - i wszystkiego najlepszego.
- Geoffrey wiedział z doświadczenia, że najbardziej odporne kobiety w końcu ulegają czarom afrykańskiego buszu. Niezliczone klientki były tego potwierdzeniem. Więc gdy szedł w mroku do namiotu Mony, rozpamiętując, jaka ożywiona była przy kolacji, jak policzki jej płonęły, miał wielką nadzieję. A także oszronioną butelkę szampana. Mona wcale nie wydawała się zdumiona jego pojawieniem się u wejścia do namiotu, co przydało tym wielkim nadziejom skrzydeł.
- Cieszę się, że przyszedłeś - powitała go. - Mam ci coś do powiedzenia.
  - Co takiego? - zapytał, zaskoczony jej rzeczowym tonem. Otworzył szampana, podał jej kieliszek, ale nie chciała pić.
  - Geoffrey, sprzedałam plantację. Spojrzał na nią. Usiadł, oszołomiony.
  - Chyba nie mówisz serio! Całą plantację?
  - Całe pięć tysięcy akrów.

- Boże drogi, myślałem, że nigdy nie sprzedasz! Co, na Boga, tak cię odmieniło?

Odwrociła się od niego. Odkładała aż do teraz zawiadomienie go o tym, bo wiedziała, że to wywoła awanturę. Ale już prawie nie było czasu. Musiała mu powiedzieć.

Niepełną jednak prawdę. Nie mogła wyznać, że zdecydowała się sprzedać plantację kawy ze względu na pewnego małego chłopca.

Po przyłapaniu Debory z Christopherem Madengejem w sypialni rodziców płakała jak nigdy przedtem. Rzuciła się na łóżko i w końcu wylała wszystkie łzy cierpienia, które trzymała w sobie zamknięte od tamtej nocy śmierci Davida. A potem, gdy łez zabrakło i znowu wzięła się w garść, zmierzyła się z zimną rzeczywistością: po prostu nie zdoła żyć nadal w Bellatu i patrzeć, jak wyrasta drugi David.

Tak więc pojęła, że musi uciec z Kenii, na zawsze odwrócić się od kraju, w którym się urodziła, jedyne go kraju, jaki знаła, i gdzie znaleźć sobie nowe miejsce.

- Wiesz, że ta plantacja ledwie zipie, Geoff. Był nieurodzaj w pięćdziesiątym trzecim roku, potem w czasie Mau-Mau utraciłam większość rąk do pracy i potem w tym mokrym roku pięćdziesiątym szóstym, kiedy deszcze padały za długo, wszystkie jagody mi gnęły... ani rusz nie mogłam po tym wszystkim się dźwignąć. Więc sprzedałam plantację niejakiemu Singhowi, Azjacie. On obróci ją w coś zyskownego, na pewno.

- Wprost nie mogę uwierzyć! Azjaci będą mieszkać w Bellatu!

- Nie sprzedałam mu domu. Dom zatrzymałam. Ostatecznie jest spuścizną Debory.

- To było roztropne posunięcie, Mono. I powiem ci coś więcej. Rad jestem, że sprzedałaś plantację. Teraz możesz przyjechać i pracować u mnie. Otworzę eleganckie biuro w Nairobi, potrzebny mi ktoś kompetentny, żeby je prowadzić.

- Och, Geoffrey! - wykrzyknęła. - Co za obłęd! Turyści! W Kenii! Za długo przebywałeś na słońcu! Rzeczywiście myślisz, że ludzie będą chcieli przyjeżdżać na urlop tutaj? Nie widzisz, do czego Kenia zmierza? Z powrotem do dżungli i lepianek! W tej samej minucie, kiedy ogłoszą niepodległość, ten kraj popadnie w anarchię i twoja biała skóra nie będzie warta nawet sześciopensówki!

Wybałuszył na nią oczy, najpierw zaskoczony jej wybuchem, potem ostatecznie pojmując, w czym rzecz.

- Co to znaczy - zapytał powoli - że moja biała skóra nie będzie warta sześciopensówki. A twoja to nie?

Usiadła na łóżku i spuściła wzrok.

- Ja wyjeżdżam z Timem do Australii.

- Co? - Geoffrey zerwał się na równe nogi. - Nie mówisz poważnie!

- Mówię poważnie. Alice prosiła, żebym przyjechała i zamieszkała na jej farmie. Tim zdecydował się parę miesięcy temu. My już nie chcemy żyć w Kenii.

- Nie mogę w to uwierzyć! - wrzasnął. - Uciekasz z tym... tym pedałem?

- Geoffrey, nie mów tak.

- Czy to z powodu Debory? Ostatecznie wszyscy wiedzą, że ona jest jego...

- Nie, to nie z powodu Debory. Nie pobierzemy się, nic takiego. Po prostu będziemy we troje mieszkać i pracować na tej owczej farmie. Nie ma już w moim życiu mężczyzn, mężów, całej tej rozpacz. Będziemy rodziną żyjącą spokojnie. Tego chce Tim, tego chcę ja. Wiem, że trudno ci w to uwierzyć, ale Debora nic dla mnie nie znaczy, Geoffrey. Nie zabiorę jej ze sobą. Załatwiłam, żeby mieszkała u cioci Grace.

Geoffrey zaniemówił, wstrząśnięty. Ni stąd, ni zowąd patrzył na kobietę, której nie znał i której nie chciał znać. W końcu powiedział cicho:

- Myślę, że to potworne.

- Myśl, co chcesz, Geoff...

- Do diabła, Mona. Jak możesz ją tak porzucić? Swoje rodzone dziecko? Jaka z ciebie matka?

- Nie praw mi kazań o obowiązkach i odpowiedzialności, Geof-freyu Donaldzie. Lepiej zastanów się, jaki z ciebie mąż. No, przecież cała kolonia wie o twoich eskapadach z klientkami i z żonami klientów! Byłeś kiedyś człowiekiem honoru, Geoffrey. Co się stało?

-Nie wiem - odrzekł miękko. - Nie wiem, co się stało nam wszystkim. Zmieniliśmy się.

Z butelką szampana w ręce podszedł do klapy namiotu, przystanął i spojrzał na Monę. Dorastali razem, był pierwszym, który ją pocałował. Jej listy na samotnej placówce w Palestynie dodawały mu otuchy. Kiedy zeszli ze wspólnej drogi? Jaki błąd doprowadził ich do tego?

- Dobranoc - powiedział żałośnie i wyszedł.

Mona patrzyła, jak on odchodzi. Stojąc przy moskitierze widziała, jak jego sylwetka wtapia się w ciemną noc, a potem słuchała jego kroków, dopóki nie ucichły.

Chwyła się słupa namiotu. W pobliskim buszu ryczały lwy. Ich ryk wydawał się smutny, jakby daremnie się szukały. Wyrzała na Kenię, swoją ojczyznę, i pomyślała o małym pociągu, teraz ciekawostce muzealnej, który przed wielu laty sapał i turkotał w takim właśnie mroku, gdy w jednym z jego wagonów rodziła przerażona hrabina. Ostatecznie Mona przytknęła oczy i szepnęła Kenii:  
- *Kua heri*, żegnaj.



## Rozdział 5 5

Meme Oczerza ostrożnie przyglądała się zwierzowi. Teraz mruczał nieszkodliwie, ale przed chwilą pędził, aż ziemia tryskała grudkami, i jego ryk był straszny. Zwierz ogromny, groźny, nie ufała mu.

- Proszę, *meme* - powiedział doktor Mwai, przytrzymując dla niej otwarte drzwiczki samochodu - honorowe miejsce z przodu. -Z tyłu już siedzieli Christopher i Sara i pomiędzy nimi ich matka.

Meme Oczerza spojrzała na tego uśmiechniętego Afrykanina w europejskim garniturze, mającego złoty zegarek na ręce i złote pierścionki. Wiedziała, że powinna odnosić się do niego z szacunkiem. Jest lekarzem, jak ona, ale tak zwanej medycyny i wcale nie przypomina uzdrowicieli z dawnych czasów. Gdzie jego tykwa z czarami, jego Worek Pytań, jego uświęcony kij zdobny w kozie uszy? Dlaczego on nie ma obrzędowego nakrycia głowy ani obrzędowych barwników na twarzy i ramionach? I czy zna uświęcone pieśni i tańce? Znachorka nie mogła nie żywić pewnej pogardy.

- Nie bój się, *meme* - zawołała z samochodu Ondżiru. - Nic tu ciebie nie ugryzie.

Nie bój się? Oczerza nie bała się nigdy w życiu.

Wyprostowała się godnie i podeszła do mruczącego pojazdu. Teraźniejszość na chwilę spotkała się z przeszłością, gdy ta nieduża, ciemna postać w tradycyjnych skórach i paciorkach wsiadała do samochodu.

Potem Meme Oczerza stała się już tylko pasażerką, ze stoicyzmem wpatrzona w przednią szybę.

Było to wydarzenie tak doniosłe - Meme Oczerza jedzie do Nairobi automobilem! - że wszyscy z wioski za rzeką i wszyscy z misji się zgromadzili, żeby wyprawić ją w tę drogę dzisiaj w Dniu Nie-

podległości, który rodzina Madengej będzie święcić na Stadionie Juhuru. Wszyscy w pełni pojmowali znaczenie faktu, że ich kochana, otaczana czcią znachorka ma być świadkiem narodzin Kenii.

Żegnali odjeżdżający samochód owacyjnie, biegli za nim, wznosząc okrzyki i machając rękami.

Gdy samochód ruszył, Oczera już gotowa chwycić się krawędzi siedzenia, powstrzymała ten odruch. Niegodnie byłoby okazać niepokój. Siedziała sztywno, z rękami na kolanach. Wyraz twarzy miała pogodny, chociaż drzewa i druty przelatowały i serce jej łomotało na widok świata, który się przesuwa, kiedy ona siedzi!

- Będzie dobrze, *meme* - zapewniała ją Ondziru, namawiając poprzedniego dnia do tej wyprawy. - Doktor Mwai ma mercedesa i jest dobrym kierowcą.

To jednak nic nie znaczyło dla Oczery, zamierzającej pójść do Nairobi pieszo.

- Wędrowałabyś przez długie tygodnie! - wykrzyknęła Ondziru. - A samochodem to tylko trzy godziny.

Nawet i tak Oczera zastanawiała się, czy to będzie stosowne. Wędrowka przynosi honor. Wędrowali przodkowie.

Jazda na kołach jest obyczajem *ozungu*, dlatego nie może być afrykańska, a więc godna szacunku.

Ale Oczera nie miała wyboru. Skoro chciała znaleźć się na stadionie, patrzeć, jak flaga brytyjska zjeżdża w dół, musiała tam pojechać samochodem doktora Mwai.

Myślała o wnukach siedzących za jej plecami. Rzeczywiście, Christopher i Sara nie posiadali się z radości. Chociaż nieraz jeździli ciężarówkami wojskowymi, które pełniły rolę autobusów, uważali, że z niczym nie da się porównać jazdy samochodem *benzi*. Ośmioletnia Sara w nowej sukience i nowych sandałach wciąż się wierciła. Christopher wychylał się z okna i pozdrawiał wszystkich machaniem ręki, uśmiechem jasnym jak jego biała koszula. Po raz pierwszy dziś włożył długie spodnie. To właśnie ze względu na wnuki Oczera zgodziła się pojechać *benzi* doktora Mwai. Serce jej rozgrzewały teraz ich chichoty i rozmowy na tylnym siedzeniu, pomagając uciszyć lęk przed tą jazdą. Znachorka żyła dla swoich dwojga wnucząt. Miała tylko ich i zrobiłaby dla nich wszystko.

Minęli dużą ogrodzoną łąkę, na której niezliczone żniwa temu stał uświęcony figowiec i starsza Oczera zbudowała swoje nowe domostwo - a było to wtedy, gdy jeszcze długo nie miał się zjawić biały. Potem *buana* zrobił z tej łąki pole do zabawy na koniach, ale już od dawna to pole zarastało zielskiem, zaniedbane. Meme Oczera

patrzyła z zadowoleniem na dzieło mściwego Ngai; tyle tu chwastów i pnączy, i uschłej trawy.

*Benzi* przejechał koło żelaznej bramy misji i na mgnienie oka czas cofnął się o dziesiątki lat. Oczera zobaczyła tu znowu las i pierwszą chatę *memseeb dektari* - samą tylko strzechę na czterech słupach. Teraz były tam duże kamienne budynki i brukowane aleje. Puszcza dawno się stąd wyniosła.

Meme Oczera z początku nie chciała, żeby jej wnuki chodziły do szkoły misyjnej - bo to szkoła jednej z Trevertonów - ale Ondżiru argumentowała przekonująco. Przypomniała świerze, że sama kiedyś do tej szkoły chodziła. I że David też tę szkołę ukończył i dzięki temu mógł uczyć się dalej, aż stał się człowiekiem wykształconym. Zresztą - dodała Ondżiru - wszystkie nauczycielki tam i uczniowie to Afrykanie.

Tak więc Christopher i Sara zapisani do szkoły w Misji Łaski co dzień rano u babci jedli kleik z kukurydzy, po czym w niebieskich mundurkach brali płócienne torby z książkami i biegli na lekcje.

- W nowej Kenii - uspokajała świerkę Ondżiru - nasze dzieci będą miały wykształcenie i możliwość wybrania sobie zawodu. Christopher będzie świetnym lekarzem. On ma rozum po ojcu. A przed Sarą jest przyszłość, o jakiej ja nie mogłam marzyć. Kiedy chodziłam do szkoły, dziewczynki uczone posług domowych, wychowywano je na żony. A moja mała Sara może być wszystkim czym zechce.

Nowa Kenia, myślała Meme Oczera z pogardą. Do starej Kenii trzeba wrócić! Afrykanie powinni polegać na sposobach przodków, wrócić do dawnych obyczajów i zasad, bo w nich jest honor i duma i z mmi Dzieci Mambi mogłyby znowu być cnotliwe i prawe.

Ale nie ma po co omawiać tych spraw z upartą Ondżiru. Po siedmiu latach więzienia Ondżiru jest zatwardziała, serce ma opętane, nawet zapomniała o szacunku i uległości wobec starszych.

Oczera wiedziała, jak Ondżiru się nacierpiała od chwili aresztowania dziewięć lat temu. Wiedziała, że Sara została poczęta w wyniku gwałtu, więc nie jest prawdziwą Madengej. Wiedziała też, że Ondżiru w obozach więziennych cierpiała wiele innych niewypowiedzianych poniżeń i właśnie owe przeżycia uczyniły z niej kobietę tak krnąbrną i zawziętą. A potem, gdy niespodziewanie wypuszczono ją bez grosza, bez męża, z dwojgiem dzieci w obojętny świat, Ondżiru musiała upokarzająco żebrać o jedzenie, usługiwać Europejczykom, żeby nakarmić dzieci. Zarejestro-

wana pielęgniarka, sprawna, wykształcona, jednak nie mogła znaleźć porządnej pracy, bo w szpitalach pod zarządem białych obawiano się byłych Mau-Mau. Przez dwa lata w Nairobi gnieździła się w domach czynszowych z tysiącami innych porzuconych kobiet, harując uczciwie, opiekując się swymi dziećmi, aż wreszcie administratorem Szpitala Krajowego został Afrykanin, który nie tylko nie bał się przyjąć byłej Mau-Mau do pracy, ale rzeczywiście podziwiał Ondżiru za jej działalność w walce o wolność. W końcu więc dostała przyzwoitą posadę.

Wtedy właśnie przywiozła Christophera i Sarę do babki. Co tydzień przysyła pieniądze, żywność i odzież i teraz, ponieważ ostatnio została przełożoną pielęgniarek, przyjaźni się z takimi zaczynającymi się wybijać wielkimi ludźmi, jak doktor Mwai.

Meme Oczera cieszyła się, że dzieci u niej mieszkają, więc u schyłku życia nie jest samotna, i wdzięczna była synowej za żywność - chociaż nie za te przysyłane pieniądze, bo nie miała co z nimi zrobić. Ale martwił ją brak harmonii między nimi dwiema. Nigdy się ze sobą nie zgadzały, znachorka i jej synowa Ondżiru wciąż kłóciły się zawzięcie. Nie mogłoby tak być w dawnych czasach, gdy słowo babki stanowiło prawo!

*Benzi* jechał szosą pod górę na szczyt wzniesienia i tam Oczera zobaczyła ten duży dom, zbudowany osiemdziesiąt osiem żniw temu. Stał ciemny teraz, w opłakanym stanie, okna były pozabijane deskami.

Meme Oczera wiedziała, że *memseeb* zwana Moną sprzedała zrujnowaną plantację kawy jakiemuś Azjacie i wyjechała z Kenii na zawsze. Cudowna to była wiadomość dla znachorki, która w tym ujrzała spełnienie się klątwy. Biali opuszczają Ziemię Kikuju. Była pewna, że to już tylko sprawa czasu, żeby ten Azjata zrezygnował z niezyskowej plantacji i żeby całą ziemię wreszcie zwrócono Dzieciom Mambi. Tylko że - jak z żalem się dowiedziała - *memseeb* zostawiła córkę, wnuczkę przekłętogo *buany lordiego* pod opieką *memseeb dektari*.

Gdy duży dom oddalił się za drzewami, Meme Oczera przypomniała sobie, jak po raz pierwszy i ostatni przyszła do domu *memseeb dektari*. Rankiem po otrzymaniu wiadomości o śmierci syna przyszła i rzuciła do stóp *memseeb dektari* wszystkie listy, które jej przynosiła *memseeb* Mona. Oczera nie umiała czytać, więc nie wiedziała, co jest w tych listach, ale nawet nie chciała wiedzieć. Po śmierci Davida jeszcze zacieklej znienawidziła białych. Gdy *ozungu* zgromadzili się, żeby opłakiwać białego zabitego - *buane*

Jamesa - ona okryta żałobą po zamordowanym swoim jedynym dziecku cierpiała w samotności.

Dopiero wtedy, gdy Christopher pewnego dnia przyszedł z przepustką Davida i zobaczyła jego fotografię, znalazła ukojenie. Bo to było tak, jakby David ożył, i widziała w tym zdjęciu również swego ukochanego Kabiru Madengeja, który umarł przed wielu laty.

I wtedy powiedziała osłupiałej synowej o roli Davida w walce Mau-Mau. Wyjawiała, że on nie był tchórzem, za jakiego Ondziru go uważała, tylko rzeczywiście był bohaterem walczącym o *juhuru*.

Teraz, gdy samochód wyjechał na główną szosę biegnącą do Nairobi, Meme Oczero uznała, że to właśnie dla oddania czci duchom i przodkom Davida Kabiru Madengeja i jego ojca, naczelnika Kabiru Madengeja, dzisiaj cała Kenia się zbiera na Stadionie Juhuru.

\* \* \*

Aleja Kenyatty, jak ostatnio nazwano aleję Lorda Delamere'a, była przystrojona flagami wszystkich państw.

Premierzy i głowy państw od kilku dni przybywali na te uroczystości. Nastrój panował świąteczny, szosami ścigali tłumnie Kenijczycy wszystkich plemion, wędrując od wielu dni z ziem przodków, żeby być przy narodzinach swojego nowego państwa. Dwieście pięćdziesiąt tysięcy ludzi wtłaczało się na Stadion Juhuru, wlokły się żony, dzieci i kozy, rozbrzmiewały liczne dialekty i języki plemienne - ogłuszająca istna wieża Babel.

Obote, prezydent Ugandy, musiał wysiąść ze swego rolls-royce'a, który ugrzązł w błocie, i do loży królewskiej pójść pieszo. Książę Edynburga, spóźniony o piętnaście minut, musiał przedzierać się przez rozszalały motłoch, który zwałił bariery policyjne. Nieprzerwanie siał deszcz na wieczorowe suknie pań i na Masajów w czerwonych *szuka*.

Pijąc piwo, jedząc pomarańcze, masy na trybunach oklaskiwały występ po występie tancerzy plemiennych z bębnami i włóczniami, i w skórach. Cała ludność Kenii była reprezentowana, motłoch wył w szowinistycznym szale.

Gdy pojawiła się gromadka bojowników o wolność - resztki Mau-Mau trzymające się w puszczech - Jomo Kenyatta uściskał ich i spróbował przedstawić księciu Edynburga, który jednak grzecznie potrząsnął głową, żeby nie.

Aż w końcu nadeszła wyczekiwana chwila. Orkiestra wojskowa zagrała „Boże, chroń Królową” i o północy 11 grudnia 1963 roku flaga brytyjska została uroczyście spuszczone, po czym wciągnięto na maszt nową czerwono-czarno-zieloną flagę kenijską. Zatrzepotała w blasku reflektora dumnie, ukazując herb Kenii - tarczę z dwiema skrzyżowanymi włóczniami - i tłumy wybuchły ogromną

owacją. Nastąpiło oddanie honorów wojskowych Jego Królewskiej Wysokości Księżciu Edynburga, po czym Królewscy Strzelcy Afrykańscy oficjalnie przekazali sztandary pułkowe Strzelcom Kenijskim. Odwieczny kasztanowaty fez zastąpiła czarna czapka z daszkiem - Kenia miała teraz własną nowoczesną armię.

Na podium stał Jomo Kenyatta. Stadion ucichł. Wyglądał ten starzec imponująco w ciemnym europejskim ubraniu i tradycyjnej czapce Kikuju nazywanej paciorkami. Bystre przenikliwe oczy ogarniały tysiące Afrykanów na trybunach, głos dźwięczał, roznosił się w nocne powietrze.

- Rodacy, musimy wszyscy własnymi rękami ciężko pracować, żeby uchronić się od biedy, ciemnoty i chorób. W przeszłości za wszystko, co było złe, winiliśmy Europejczyków. Teraz rząd jest nasz... Wy i ja musimy pracować razem dla rozwoju naszego państwa, dawać wykształcenie naszym dzieciom, mieć lekarzy, budować szosy. Z dnia na dzień ulepszać to, co nieodzowne. Taka powinna być nasza praca i poproszę was, żebyście zawtórowali mi w tym duchu, krzyczeli głośno, rozbili podwaliny przeszłości dla naszego nowego celu...

Urwał, powiódł wzrokiem po tłumach, wyciągnął ręce i wykrzyknął:

- *Harembi! Harembi!*

- *Harembi!* - wrzasnęła publiczność. - *Harembi!* - skandowali wszyscy potężnym chórem. Wziąć się w garść!

Z uśmiechem Kenyatta zwrócił się do księcia:

- Zechce Wasza Królewska Wysokość po powrocie do Anglii przekazać pozdrowienia od nas królowej i powiedzieć jej, że nadal jesteśmy przyjaciółmi. Będzie to przyjaźń płynąca z serca bardziej niż przedtem.

Tłumy wariowały. Kapelusze, tykwy wlatywały wysoko w powietrze, ludzie padali sobie w objęcia. Ten nasz ryk, myśleli, jest rykiem lwa i na pewno go słycać na całym świecie.

Potem z wielką powagą i godnością kenijska orkiestra wojskowa zagrała pierwsze takty nowego hymnu narodowego i dwieście pięćdziesiąt tysięcy ludzi wstało jak jeden mąż.

Smutna, miła melodia płynęła w deszczową noc, budząc w każdym z nich jakąś rzewną dumę i po raz pierwszy za pamięci ich wszystkich poczucie prawdziwej jedności Afrykanów wkraczających w erę nowoczesną teraz, gdy ta ostatnia twierdza, ten ostatni skrawek kolonii odrywa się od Imperium Brytyjskiego, które już nie jest potęgą.

Ze swojego miejsca w jednej z uprzywilejowanych łóż Grace Treyerton, stojąc z Geoffreyem Donaldem i innymi wybitnymi białymi biznesmenami, patrzyła na zatłoczone trybuny. Zdawała sobie sprawę, że nigdy dotąd nie widziała tylu Afrykanów zebranych w jednym miejscu. To ją oszołamiało. I ziębiło bardziej niż padający deszcz. Rzeczywiście pojęła, o co Afrykanie walczyli. Rozglądała się po dumnych czarnych twarzach i myślała o chmurnej, niepewnej przyszłości. Wiedziała, że w tych afrykańskich sercach jeszcze się tli wiele urazy i gniewu. Czy oni kiedykolwiek będą mogli naprawdę puścić w niepamięć swoją niegodną przeszłość, upokorzenia doznawane ze strony kolonistów? Te serca biją zaledwie o pięćdziesiąt lat później niż dzikie serca ich wojowników. Czy oni wrócą do barbarzyństwa, kiedy prawa brytyjskiego w Kenii już nie będzie? Grace wiedziała, że ci ludzie są pijani swoją nową władzą, żądni luksusów, jakie w ich naiwnym przeświadczeniu przyniesie samorząd. Pamiętała Mau-Mau. Co czeka pozostających w Kenii białych, w razie gdyby doszło do drugiej takiej niebezpiecznej sytuacji? Brytyjskich wojsk już nie będzie, żeby ich chronić.

Spojrzała na Kenyattę stojącego na podium. Ku ogólnemu wielkiemu zdumieniu europejska żona, z którą ożenił się w Anglii przed laty, przyleciała do niego i jego dwóch żon kenijskich, co miało być gestem międzyrasowej dobrej woli. Kenyatta wygłasza podniosłe przemówienia o powściągliwości i tolerancji. Ale czy zdoła zapanować nad zmienną sześciomilionową ludnością, jeżeli druga rewolucja wybuchnie?

Jaka przyszłość, zastanawiała się Grace niespokojnie, zacznie się jutro?

Hymn narodowy się skończył, tłumy znów wiwatowały. Ośmioletnia Debora klaskała i śmiała się. To lepsze nawet niż Boże Narodzenie! Dygocząc z nocnego zimna pomiędzy ciocią Grace i wu-jaszkiem Geoffreyem, nagle zobaczyła Christophera Madengeja. Był ze swoją siostrą, mamą i babcią też w specjalnie zarezerwowanej łóży. Chyba ją zobaczył. Uśmiechnęła się do niego. I on się uśmiechnął.

CZĘŚĆ OSMA  
ROK 1973



## Rozdział 56

Cieszysz się, że jedziesz do Kalifornii? - zapytała Sara, mieszając roztopiony воск w garnku.

Debora siedziała pod kasztanowcem. Oparta o pień, trzymała na podciągniętych kolanach magazyn „Mademoiselle”, wydanie dla studentek, z przeglądem najnowszej mody w miasteczkach uniwersyteckich. Przyjrzała się modelkom w długich spódnicach i pantoflach na grubych podeszwach korkowych i podniosła wzrok.

- Poniekąd się boję, Saro. Kalifornia jest taka obca i tak daleko! Sara pochyliła się, żeby zbadać zawartość garnka.

Powąchała,

po czym dorzuciła jeszcze jedną małą bryłkę wosku pszczelego.

- A dla mnie to nie do wiary, że tak długo nie mogłaś się zdecydować. Gdybym ja dostała takie stypendium, sekundy bym się nie wahała.

Spuszczając wzrok znowu na modelki, pewne siebie młode Amerykanki, Debora jednak była pełna obawy. Jak zdoła się dopasować do tych wyrafinowanych dziewczyn?

Musiała podjąć wielką decyzję, gdy jej zaproponowano stypendium *juhuru*. To, że je przyjęła, oznacza wyjazd z Kenii na trzy lata - daleko od wszystkich przyjaciół, od cioci Grace, od domu w misji i przede wszystkim od Sary, która jest jak siostra. Co więcej, Christopher ma dzisiaj wrócić po czteroletnich studiach w Anglii. Przecież zdążę tylko się przywitać po to, by zaraz znów się pożegnać.

Debora zazdrościła Sarze. Bo Sara była tak ufnie pewna siebie jak te modelki. I zawsze odważna. „To dlatego, że urodziłam się w obozie więziennym” - mówiła. Nie bała się niczego, zawsze gotowa przyjąć każde wyzwanie. Na przykład samowolnie przerwała naukę, czym swoją matkę Ondżiru tak rozgniewała, że potem nie rozmawiały ze sobą przez dwa lata. Później Deborę też

strasznie zgorszyła tym, że odeszła z college'u po pierwszym roku. Ale wyjaśniła z typową dla niej pewnością siebie:

- W Egerton nie ma dla mnie już nic więcej. Nie będę tracić czasu na bezużyteczne kursy. Ja wiem, czego chcę.

Egerton nie może mi tego dać, więc, Boże drogi, osiągnę to na własną rękę.

Pragnęła zostać projektantką mody. Od dzieciństwa wiedziała, że wybierze ten kierunek. W szkole średniej biegła na wszelkie możliwe lekcje rysunków, zajęć plastycznych i szycia, jakich tam udzielano. Potem w college'u Egerton w Njoro - jednej z bardzo nielicznych wyższych uczelni dla kenijskich dziewcząt - uczyła się rozpoznawać tkaniny, stosować różne ściegi ręczne i maszynowe, rysować wykroje, szyc odzież, przerabiać, wykańczać. Gdy stwierdziła, że na drugim roku nauka obejmuje głównie odżywianie i wychowywanie dzieci, pożegnała się z tą uczelnią i wróciła do domu, żeby osiągnąć wymarzony cel w inny sposób.

Teraz Sara pracowała u niejkiej pani Dai, Azjatki, jako podręczna krawcowej. Warunki były ciężkie, dzień pracy długi, tygodniówka skąpa, ale pani Dai szyła znakomite suknie dla żon bogatych biznesmenów w okręgu, więc Sara uczyła się od niej wszystkiego, czego tylko mogła. To jednak jej nie wystarczało. Chociaż dawało nadzieję, że sama kiedyś będzie miała maszyny do szycia i własną pracownię z podręcznymi, marzyła o czymś wspanialszym, o projektowaniu *new look*.

Dlatego, siedząc z Deborą nad rzeką, mieszała gorący wosk w garnku na ogniu. Ostatnio odkryła batik, sztukę farbowania tkaniny za pomocą wosku i od kilku dni robiła na tym polu eksperymenty.

- Boję się Kalifornii. - Debora odłożyła magazyn. - W niczym tam się nie połapię. Na studiach każdy będzie mądrzejszy ode mnie.

Sara się wyprostowała i wzięła pod boki.

- Co za bzdury, Deb! A niby czym sobie zasłużyłaś na stypendium? Głupotą? Z tysiąca pięciuset zgłoszeń wybrali ciebie. I czy profesor Muriuki nie powiedział, że dla Kalifornii to zysk, a dla Uniwersytetu Nairobi strata?

Profesor Muriuki, pomyślała Debora, jest po prostu uprzejmy. W ubiegłym roku była jego studentką. Powiedział: „Poziom studiów na Uniwersytecie Kalifornijskim jest wyższy niż tutaj, nie mogę temu zaprzeczyć. Roztropnie pani robi jadąc tam, panno Treverton. Kiedy pani wróci do nas, będzie pani o całą głowę lepsza niż pani koledzy”.

Te dwie osiemnastolatki cieszyły się ciepłym sierpniowym słońcem i spokojem nad rzeką. Zza drzew słyszały okrzyki dzieci grających w rugby na dawnym boisku polo, które matka Debory, wyjeżdżając z Kenii dziesięć lat temu, pozostawiła dla Misji Łaski. Niedaleko, w odległości mniej więcej stu stóp, stały wśród zagonów bujnej kukurydzy i fasoli dobrze znane chaty, tworząc sielankowy obraz ze stadem zdrowych kóz i pełnym spichlerzem. Tam mieszkała Sara u sędziwej babki, Meme Oczery, ale miała własną chatę, urządzoną wygodnie, bo postarała się o dywan i normalne krzesła. Była też chata dla Ondżiru, przyjeżdżającej z Nairobi w odwiedziny. Czwarta chata należała do Christophera - kiedyś kawalerska *dyngajre* jego ojca. Christopher miał w niej mieszkać po powrocie. Studiował w Londynie medycynę.

Myśląc o Christopherze, Debora spojrzała na zegarek. Jego samolot z Londynu przyleciał rano. Matka miała przywieźć go z lotniska w Nairobi swoim samochodem.

- Późno jest. Dlaczego jeszcze nie przyjechali?

Tej nocy Debora nie zmrużyła oka. Od tygodnia prawie nie spała. Tak niecierpliwie czekała na przyjazd Christophera. Jakie to będzie spotkanie po czterech latach? Serce jej biło szybciej, gdy wyobrażała sobie jego obecność, długie rozmowy z nim. Czy bardzo się zmienił?

Sara odeszła od garnka z woskiem, żeby obejrzeć kwadraty tkaniny rozłożone na głazach, każdy w innej fazie wchłaniania farby. Zbadła je dokładnie.

- Chyba w końcu sobie poradziłam z pękaniem wosku - powiedziała. - Jak myślisz, Deb?

Debora popatrzyła na duży kwadrat muślinu w podniesionych rękach Sary. Deseń - kobieta i dziecko - był bardzo prosty, prymitywny, utrzymany w kolorach ziemi. Spodobał jej się przeświecony słonecznym blaskiem, pożyłkowany czarno w miejscach, gdzie wosk popękał.

- Piękny.

Sara położyła muślin i cofnęła się.

- Nie jestem tego taka pewna.

- Opanowałaś ten wosk. Farby prawie się nie rozlewają.

Sara ściągnęła usta, przyglądając się swemu dziełu.

Batikowania nauczyła się na długiej drodze prób i błędów, eksperymentując z odrzuconymi resztkami materiałów, które kupowała od pani Dai za sumy stanowiące prawie połowę tygodniówki. Wosk i barwniki kupowała w azjatyckim sklepiku w Nyeri, a resztę

pieniędzy przejadała, wciąż więc była bez grosza. Ale to się opłacało. Opanowała batik, jej tkaniny były piękne. Czegoś tu jednak brak.

- Nie wiem, Deb - powiedziała, siadając obok przyjaciółki na trawie. Wbiła bosc stopy w czerwoną glinę, patrzyła na ryby pod przejrzystą powierzchnią wody. - To jeszcze nie to.

Debora nie miała artystycznej duszy, więc osiągnięcia Sary ogromnie jej imponowały.

- Możesz z tych materiałów uszyć prześliczne sukienki, Saro. Ja na pewno, gdybym miała pieniądze, od razu bym taką kupiła.

Sara się uśmiechnęła. Debora, panna Treverton, ma ten ogromny dom na wzgórzu w samym środku plantacji kawy pana Singha i ciotkę, właścicielkę Misji Łaski, ale nie ma pieniędzy. To dlatego, że dom jest właściwie bez wartości, za dużo kosztuje jego utrzymanie i nikt nie chce go kupić, tak otoczonego cudzymi kawowcami. A co do misji, to wszyscy wiedzą, że wcale nie jest rentowna, prawie od samego początku przynosi straty, bo szkoła i szpital są bezpłatne dla tych, którzy nie mogą płacić. Wszystkie pieniądze, jakimi doktor Treverton kiedykolwiek dysponowała, szły na misję, aż nic jej samej nie zostało. Co więcej, krążą pogłoski, że ta misja nie uniknęłaby bankructwa, gdyby nie pomogły jej katolickie zakonnice parę lat temu. Debora Treverton była uboga jak Sara Madengej i między innymi to również je łączyło.

- Masz pojęcie! - powiedziała Debora, oddając Sarze muślin. -W Ameryce nosi się spódniczki mini.

Sara popatrzyła na magazyn z zawiścią. Modę mini w Kenii wykłeto. „To niestosowne i paniom nie przystoi - orzekł rząd. - Budzi w mężczyznach żądze”.

- Nigdy się tam nie dopasuję - jęknęła Debora. - Przecież nie jestem ubrana jak trzeba. - Była w prostej sukience bawełnianej i w sandałach. Dobrze to w tej wsiowej Kenii, ale zupełnie nie na miejscu na kalifornijskim uniwersytecie.

- W Ameryce obecnie można nosić wszystko, co się chce - uspokoiła ją Sara. - Popatrz tu, długość do połowy rydki, sukienki babcine, sukienki-chłopki, aksamitne spodniemy, dzinsy z tęczowymi łatami. Nawet króciutkie szorty. Najważniejsze, żebyś pamiętała jedno. -Spojrzała na Deborę znacząco. - Będiesz czołową stypendystką i wrócisz tu z honorami. Tak, jak ci mówił profesor Muriuki.

Debora modliła się, żeby tak było. Pragnęła żarliwie zostać jak najlepszym lekarzem. Takim jak ciocia Grace, pójść w jej ślady.

- Gdybym tylko miała pieniądze! - powiedziała Sara, wrzucając

kamyk do wody. - Wiem, że mogłabym szyć lepiej niż pani Dai. Ona jest taka konserwatywna. Ani źdźbła fantazji. I nie pozwala mi mówić, co myślę. W zeszłym tygodniu przyjechała doktorowa Chandra i pani Dai ubrała ją w najbardziej nietwarzową zielen. Ja od razu wiedziałam, że byłoby jej świetnie w czymś przyćmionym brązowym, może ze złotą lamówką. I jak te spódnice na niej wiszą, och, Deb! Gdybym miała pieniądze, kupiłabym maszynę do szycia i otworzyłabym własną pracownię! Mogłabym tutaj, w moim domu. I kiedy już bym miała parę stałych, płacących klientek, kupowałabym niebielony muślin hurtem, farbowałabym każdy kupon inaczej, dla każdej klientki indywidualnie.

- Te są urocze. - Debora wskazała batiki schnące na gładach. Sara wzięła jeden w różnych odcieniach czerwieni z pomarańczowym.

- Zobaczmy, jak to wygląda na tobie. Debora parsknęła śmiechem.

- W *kenge* nie jest mi dobrze - powiedziała, ale wstała, żeby przyjaciółka udrapowała na niej ten sztywny materiał. Debora, chociaż *ozungu*, nie była jaśniejsza od Sary, bo całe życie upływało jej w prażącym równikowym słońcu. Podczas gdy większość kenijskich białych starała się chronić przed mocą tych promieni, Debora lubiła czuć słoneczne ciepło na gołych rękach i nieocie-nionej twarzy. Nie dałoby się jednak powiedzieć, że Sara i Debora są do siebie podobne. Debora miała włosy krótkie i czarne, oczy ciemne, ale była Europejką, natomiast Sara była uderzająco afrykańska. Czesła się w „rzędy kukurydzy” - mnóstwo zaplecionych ciasno warkoczyków tworzących wprost fontannę na czubku głowy. Wydłużało to jej już i tak długą szyję, uwieńczało wdzięk gibkich rąk i smukłego ciała. Sara Madengej jest nadzwyczajnie piękna, myślała Debora, zazdroszcząc przyjaciółce wrodzonej elegancji i stylu.

- To mi wspaniale na tobie wygląda, Deb. - Sara cofnęła się i przymrużyła oczy.

Debora powoli odwróciła się w blasku słońca, próbując zobaczyć swoje odbicie w rzece. Batik Sary spowijał ją jak *kenge* - skrzyżowany na piersiach, związany na karku.

Sara znowu zmarszczyła brwi.

- O co chodzi? - zapytała Debora. - Już ci się nie podoba?

- To nie to, czego ja chcę, Deb. Takie to okropnie zwyczajne. - Sara się zamyśliła. - Pamiętasz parę lat temu, ta moda z Liverpoolu? A stylu Kenii nie ma. Żadnego stylu, który byłby jedyny w swoim rodzaju, wschodnioafrykański.

- No a *kenge*? Czy *kenge* nie są wyłącznie wschodnioafrykańskie?

To była prawda. Rozpowszechniły się w dziewiętnastym wieku na wybrzeżu kenijskim te duże prostokąty jaskrawo wzorzystej bawełny, znane jako *kenge*, noszone w całej Afryce Wschodniej przez kobiety na polach i na targowiskach. *Kenge* tworzy prostą suknię, gdy skraj podciąga się pod pachy i rogi chowa pod spód. Czasami zasupłuje się tkaninę na ramieniu albo wiąże się na karku. Można z *kenge* zrobić kopertową spódnicę, szal, hamaczek do noszenia niemowlęcia albo turban. *Kenge* to strój tani, prosty, wygodny i praktyczny, idealny dla afrykańskiej wieśniaczki. Ale Sara nie zamierzała projektować dla nich.

- Deb, ja myślę o kobietach pracujących w miastach. Coraz ich więcej. Dostają posady biurowe. I zaczynają pracować w bankach, w przedsiębiorstwach. Już nawet zostają adwokatami! One nie mogą nosić *kenge*. Więc w co mają się ubrać? - Wskazała „Mademoiselle”. - Kupują marne naśladownictwa modeli amerykańskich i angielskich.

- No cóż - powiedziała Debora - mogłabyś projektować gotowe sukienki z kuponów *kenge*. To z pewnością byłaby nowa moda, zdecydowanie kenijska.

Sara potrząsnęła głową, duże złote kolczyki-kółka błysnęły w słońcu.

- Nie chcę korzystać z kuponów *kenge*, nie cierpię tych okropnych małych nadruków na nich.

Nie wiadomo, dlaczego utrzymywała się od lat wśród wytwórców tych tkanin taka tradycja: na każdym kuponie drukowano jakiś aforyzm suahili. Wiele z owych starych aforyzmów było bez sensu. *Vidoul wajteno kipi ni bore?* - Który z pięciu palców jest najlepszy? Albo wyświechtane: *Ekili ni meli*. - Rozum jest bogactwem.

Sara zdjęła batik z Debory i rozłożyła go na głazie.

- Nie chcę korzystać z materiałów już zrobionych. Chcę stworzyć nowy materiał. Czy nie rozumiesz, Deb! -

Podnieciła się. -Chcę stworzyć zupełnie nowy styl. Nie tylko nowy materiał czy fason, ale całkowicie nowy wygląd. Coś, co będzie mówiło: Kenia, styl, który ma zachowywać, utrzymywać afrykańską tradycję! I coś, co będą chciały nosić kobiety w Europie i w Ameryce.

- Jaki to styl?

- Jeszcze nie wiem. - Sara wpatrywała się w batik schnący na słońcu. Eksperymentowała z barwnikami, z deseniami, ale

wszystko ostatecznie wydawało się naśladownictwem *kenge*. - Co jest kenijskie? - zapytała. - To znaczy, oprócz *kenge*. Debora wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia.

- Wiesz, co zrobię, Deb? Przejadę się po tym naszym kraju i zobaczę, jak ludzie się ubierają.

- Świetna myśl.

- Pomyśl o tych wszystkich plemionach, Deb, niezeuropeizowa-nych. Są Luo, są Kipsigi, są Turkana! Na pewno jeszcze chodzą w tradycyjnych strojach. Obejrzę je. Narysuję. Będą dla mnie natchnieniem, Deb. Znajdę mój kenijski *new look* wśród samych Kenijczyków!

- To będzie wspaniałe, Saro. I właśnie ty tego dokonasz!

- Och, czego ja bym dokonała, gdybym miała pieniądze!

- Saro! - wykrzyknęła Debora. - Mam cudowny pomysł! Mogę sprzedać część rzeczy z Bellatu. I dać ci tyle pieniędzy, ile potrzebujesz.

Ale Sara uśmiechnęła się i powiedziała:

- Nie, Deb. Nie możesz tego zrobić. Po studiach wprowadzisz się do Bellatu. Chyba nie chcesz mieszkać w ogołoconym domu. -Odwróciła się i poszła na sam brzeg wody. - Jakoś dojdę do pieniędzy. Wiem, że tak. I otworzę własną pracownię.

- Tak, z całą pewnością - przytaknęła Debora. - I kiedy będę już panią doktor, tylko ty będziesz mnie ubierać.

Sara zakręciła się i wyciągnęła rękę.

- I będziesz do mnie przysyłać wszystkie bogate znajome! Zrobi się taki ruch w moim interesie, że przyjmę do pracy aż pięćdziesiąt dziewczyn i wszystkie będą chodzić w moich modelach!

- Obwołają cię Rudy Gernreich Afryki Wschodniej. Sara parsknęła śmiechem.

- Raczej będę drugą Mary Quaint!

- Kto to jest Mary Quaint? - Dał się słyszeć głos mężczyzny.

Obie się odwróciły do młodego człowieka, schodzącego ku nim po trawie na zboczu. Był w ciemnych spodniach, w białej koszuli z rękawami podwiniętymi. Miał ciemne przeciwsłoneczne okulary.

- Christopher! - wykrzyknęły.

Debora znieruchomiała, nagle onieśmielona. Sara podbiegła do brata, zarzuciła mu ręce na szyję. Podniósł ją i zrobił młynka. - Wróciłeś! - cieszyła się.

- A ty dorosłaś! - Postawił ją na ziemi i oboje śmieli się do utraty tchu. Potem Christopher ruszył w stronę Debory.

- Cześć - powiedział.

- Cześć, Christopher. Witaj w domu.

Stali w cętkowanym blasku słońca, padającym zza kasztanowca, i patrzyli na siebie. Te cztery lata rozłąki, które ciągnęły się nieskończenie, chyba jednak minęły w okamgnieniu.

Christopher zadziwiony stwierdził, że Debora wyrosła z rozhukanej czternastolatki na uroczą pannę, a ona, pamiętając siedemnastoletniego dryblasza, ze zdumieniem rozpoznała go w tym stojącym przed nią, przystojnym mężczyźnie.

- Jesteś wyższa - powiedział cicho.

- Ty też.

Znów nastąpiła chwila ciszy, potem Sara zapytała:

- Gdzie jest matka?

- W twojej chacie. Ubolewa, że nie przygotowałaś dla nas *jugeli* i że w ogóle zachowujesz się okropnie.

Sara cierpiętniczo podniosła oczy ku niebu.

- Pójdę po babcię - powiedziała. - Pewnie jest w wiosce. Och, Christopher! - Uściskała go jeszcze raz. - Tak się cieszę, że wróciłeś. Powiedz, że już na dobre, powiedz, że tu zostaniesz. Roześmiał się.

- Zostanę.

Sara pobiegła wśród drzew. Teraz Christopher i Debora byli sami.

Debora wprost nie mogła uwierzyć, że to naprawdę Christopher z krwi i kości - po czterech latach listów i gwiazdkowych telefonów, gdy tęsknota dziecka do przyjaciela i towarzysza dziecięcych zabaw zmieniała się niepostrzeżenie w tęsknotę dziewczyny. W dziwnych niepokojących snach o tym chłopcu i w myślach o nim nocą już nie było jak dawniej wspomnień wspólnych szczeniackich przygód, fantazje stawały się coraz romantyczniejsze. I tak to Debora zakochała się w nieobecny Christopherze, co teraz bardzo ją onieśmiało.

- Brak mi było ciebie - wyjąkała.

- i mnie ciebie, Deb. Nie potrafię ci powiedzieć, ile dla mnie znaczyły twoje listy. - Podchodząc do niej, zatrzymał się w pół kroku i popatrzył na drugi brzeg rzeki. - Już nie ma puszczy.

Debora też spojrzała na zbocze wzgórza całe w łąkach *szembe*. Gdy byli dziećmi, puszcza schodziła nad samą rzekę. Potem nowy rząd kenijski przydzielił tę ziemię osiedlającym się z powrotem Ki-kuju, którzy natychmiast zabrali się do wycinania drzew, żeby mieć pole uprawne. Teraz na zboczu stało wiele chat - już nie okrągłych, tylko kwadratowych na modłę domów *ozungu* - nadal



jednak ulepionych z mułu i łąjna, ze strzechami z grubej trawy. I na przecinających ten obszar piaszczystych uliczkach było kilka sfatygowanych starych samochodów.

Debora przeniosła wzrok znowu na Christophera i pomyślała, że on też się zmienił. Skąd mu się wzięły te mięśnie, te szerokie proste ramiona napinające materiał koszuli? Zobaczyła jakąś płynność w jego postawie. Przypomnieli jej się masajscy *morani*, którzy wędrują po równinie Amboseli, młodzi, uderzająco urodziwi, gibcy i barczyści. Wyniośli, bo przeświadczeni, że są najpiękniejszym plemieniem na świecie. Christopher sprawiał takie właśnie wrażenie, poza tym, że nie miał w sobie buty. Odwrócił głowę i uśmiechnął się tak, jak na pewno nigdy nie uśmiechałby się żaden *moran*.

- Jak było w Anglii? - zapytała.

- Zimno, deszczowo. Rad jestem, że wróciłem.

I mówił też inaczej. Już bez akcentu Kikuju. Angielskie „r”, którego w języku Kikuju nie ma, wymawiał teraz poprawnie. Mówił, jak przystało na absolwenta Oksfordu.

- Twoja ciocia dobrze się czuje? - zapytał.

- Świetnie. Pracuje ciężko jak zawsze. Wciąż jej mówię, że ma osiemdziesiąt trzy lata, więc powinna sfolgować. Ale ona myśli, że bez niej misja by się rozpadła.

- To możliwe.

Debora popatrzyła w jego ciemne okulary. Poniekąd sprawiały jej ulgę: chroniły ją przed spojrzeniem prosto w oczy Christophera.

- A twoja matka? - zapytał. - Masz od niej wiadomości? Debora miała przede wszystkim wspomnienie. Ośmioletnia wówczas, na safari w obozowisku w Kilima Simba, idąc do łazienki przechodziła obok namiotu matki. I usłyszała stamtąd: „Debora nic dla mnie nie znaczy, Geoffrey. Załatwiłam, żeby mieszkała u cioci Grace”.

- Mama rzadko do nas pisuje - odpowiedziała i pomyślała o ostatnim zdawkowym, bezosobowym liście. - Ale wiemy, że hodowla owiec dobrze idzie i że Australia nadal jej się podoba. Na każdą Gwiazdkę dostajemy od niej, ciocia i ja, wełniane pulowery.

Znów umilkli, Christopher za nowymi ciemnymi okularami, Debora patrząc na rzekę płynącą wartko po kamykach i mchu. Ten sierpniowy upał był niezwykle, zdawał się wypełzać z ziemi i oplatać ich. Z ognisk kuchennych Kikuju wzbijały się ostre, dymne zapachy. Okrzyki dolatywały z boiska rugby i warkoty silników spośród kawowców pana Singha. Debora strzepnęła pszczołę, która przysiadła na jej przedramieniu.

Christopher znów się rozejrzył, powoli przyswajając sobie widok niezliczonych farm, wypełniających krajobraz. To kiedyś była gęsta puszcza. Tutaj od pokoleń toczyły się wojny z Masajami, jego przodkowie czcili drzewa i dzikie zwierzęta, a nie tak już dawno temu znajdowali schronienie Mau-Mau, bojownicy o wolność. Teraz Christopher widział tylko łąty zieleni rozrzucone równo na czerwonej glebie. Nagie dzieciaki pasły kozy i krowy; kobiety pochylone na nogach zsuniętych i wyprostowanych wrywały chwasty, zbierały warzywa. Była to sielska uspokajająca scena, którą Christopher w ciągu czterech lat studiów w Anglii wspominał tęsknie.

W końcu spojrzał na Deborę. Stojąc w smudze słońca, patrzyła w wodę zupełnie tak, jak wtedy przed dziesięciu laty, gdy po raz pierwszy spotkał ją na tym brzegu.

Pomyślał o jej listach - przez cztery lata dostawał je co tydzień i wszystkie zachował.

Z początku Christopher duchem jeszcze w Kenii, ale już bardzo podmecony swoją oksfordzką iprzygodą, odczuwał po prostu brak tej zwariowanej dziewczynki, która sprawiła, że jego nowe życie u babki stało się znośne. Brakowało mu Debory nie inaczej niż Sary, matki i kolegów z drużyny rugby.

Jednak później, z wpływem pierwszego roku studiów, gdy listy od Debory przychodziły wiernie co tydzień, zaczął ich oczekiwać chciał czytając je być sam, wykradać sobie chwile na powrót myślą do niej w Kenii. Jego uczucia zaczęły ulegać zmianie, zdawałoby się, tak jak zmieniały się jej listy. Stopniowo przestała pisać dziecinnie i powoli wyłaniała się z jej sformułowań jakaś nowa dojrzałość. Były to ważne doniesienia - o rządzie, o wydarzeniach na świecie, o tym, że ona pragnie zostać lekarzem - i tysiące pytań: jak mu idą studia, jakie są jego plany na przyszłość. Listy Debory bezpośrednio łączyły go z Kenią. Dzięki nim nigdy nie czuł się odcięty od stron rodzinnych. I od samej Debory; nawet czuł się jej bliższy. Zaczęła dla niego znaczyć coraz więcej. Z chaty Sary doleciały podniesione głosy.

- Ojej - jęknęła Debora - znowu się kłóć. Twoja matka strasznie się gniewa na Sarę. Mówiła ci o tym?

- Tak. Ja sam miałem Sarze za złe to, że rzuciła Egerton. Ale znam moją siostrę. Ona zawsze znajdzie sposób, żeby postawić na swoim. Matka już powinna wiedzieć, że nic nie da sprzeciwianie się Sarze.

- Są do siebie bardzo podobne, prawda?

- Gdzie może teraz być babcia?

- Poszła odebrać poród. - Debora była skrepowana. Wydawało jej się, że musi dużo mówić, wypełnić przestrzeń pomiędzy sobą i Christopherem. - Meme Oczерze dobrze się wiedzie od czasu niepodległości. Ludzie wracają do leczenia tradycyjnego, starzy znachorzy już nie muszą kryć się ze swoją praktyką, są bardzo wzięci. Twoja babcia także.

Christopher się zamyślił. Miał za cztery lata być doktorem medycyny i zamierzał stać się wzięty.

- Wiesz, Christopher, mam ci coś do powiedzenia - zaczęła Debora szybko. - Nie pisałam o tym. Chciałam powiedzieć ci osobiście. Dostałam stypendium *juhuru* na studia w Kalifornii.

Nie zareagował. Widziała tylko w jego ciemnych okularach swoje bliźniacze odbicie.

- W Kalifornii - powtórzył po chwili. - Na długo?

- Trzy lata.

Znów milczał, oczy miał zasłonięte ciemnymi szklami. Wydawało się, że wszystko wstrzymało oddech. Rzeka ucichła, ptaki wśród drzew przestały śpiewać. Nagle podszedł do Debory i położył ręce na jej nagich ramionach. Oboje poczuli jakiś prąd. Zacisnął palce, patrząc na nią.

Debora była jego najdawniejszym najdroższym przyjacielem. Wyciągnęła go z chłopięcej samotności w swój krąg blasku słońca. Jej listy dawały mu pociechę. Wyczekiwał dnia, w którym znów ją zobaczy. Ale teraz nie było tak, jak dawniej. Coś się zmieniło.

Debora nagle wydawała się mała i nieopancerzona.

- Musisz mieć się na baczności - powiedział. - Świat jest o wiele większy, niż potrafisz sobie wyobrazić. Znasz tylko Kenię, Deboro, i to niecałą... - Powstrzymał się. Chciał powiedzieć więcej, wyrazić to dziwne nowe uczucie, które niespodziewanie go ogarnęło. Patrząc na nią, czując pod palcami ciepło jej skóry, pomyślał: ona jest taka niewinna. Zapraǳnął być opiekuńczy, przygarnąć ją do siebie, uchronić przed tym wszystkim, co sam napotkał na świecie.

Kenia to odosobniony mały kraj. A Debora to dziecko z zapadłej wiejskiej prowincji. Cóż ona wie o życiu?

- Nic mi nie będzie - powiedziała, oszołomiona mocą jego dotknięcia i namiętnością brzmiącą w jego głosie.

Dlaczego? Skąd ta żarliwość?

Podniosła rękę i zdjęła mu okulary. Patrzył na nią oczami, które wiele pokoleń temu obserwowały lwa przyczajonego w wysokiej brunatnej trawie. Dała się schwytać w jego wzrok; wchłaniała

przepływającą z jego rąk energią. Zawładnął ją. Nagle zabrakło jej tchu.

- Debora - powiedział cicho. - Nie mówię ci, żebyś nie wyjeżdżała. Nie mam takiego prawa. Powinnaś wyjechać. Powinnaś kształcić się, jak tylko możesz najlepiej. Ale... przyrzeknij mi, De-boro, że...

Czekała. W podmuchach ciepłego wiatru chwiały się gałęzie nad nimi. Blask słońca przesuwiał się po jego pięknej twarzy.

- Co mam ci przyrzec? - wyszeptała z sercem łomoczącym. - Powiedz to, Christopher, proszę, powiedz to.

Ale jemu słowa uciekły. To się zdarzyło zbyt prędko, to nagle przejście od kochania Debory Treverton przyjaciela do kochania jej jako kobiety. Wydawało mu się, że w jednej sekundzie przekroczył jakiś przerażający próg, nie widząc, nie wiedząc, że to robi. Nie był przygotowany na ten raptowny przypływ pożądania, na ten niespodziewany bezczelny odruch, nakaz, żeby wziąć ją w ramiona, pocałować. I nie tylko.

Nie miał pojęcia, jak to wyrazić. Pomyślał o Kalifornii, o mężczyznach, których Debora tam spotka, mężczyznach jak ona białych. Wyjedzie z Kenii, zląkł się, i nigdy nie wróci.

- Debora - powiedział wreszcie - przyrzeknij mi, że będziesz zawsze pamiętać: Kenia to twój dom. Tutaj jest twoje miejsce, tutaj są twoi bliscy. Tam na świecie będziesz obca. Będziesz osobliwością i mylnie będą cię rozumieli.

Świat przecież nas nie zna, Deboro. Tam nie znają naszych zwyczajów, naszych marzeń. Mnie w Anglii traktowano jak dziwaka. Mnóstwo ludzi mną się interesowało, ale nie miałem ani jednego przyjaciela. Oni tam sobie nie wyobrażają, jak to jest być Kenijczykiem, jacy jesteśmy jedyni w swoim rodzaju! Mogą cię skrzywdzić, Deboro. A ja nie chcę, żeby cię skrzywdzono.

Zatraciła się w jego oczach, w jego rękach. Nie istniał już dziwny straszny świat, o którym on mówił. Było tylko to miejsce nad rzeką, ona i Christopher.

- Przyrzeknij - powiedział zdławionym głosem - że wrócisz. Ledwie zdołała się odezwać.

- Przyrzekam - wyszeptała. I gdy puścił jej ręce i nagle odszedł, poczuła się tak, jakby blask słońca zgasł w jej życiu.

## Rozdział 57

Sara była rozgniewana.

Po dwóch tygodniach wypatrywania w Kenii swojego *new look* dojechała do końca szosy na wybrzeżu wcale nie bliższa celu poszukiwań niż w chwili, gdy je zaczęła.

Chodziła odwiecznymi ulicami Malindi, podupadłego egzotycznego miasteczka, które niegdyś było arabskim portem handlarzy niewolników, patrzyła na oślepiająco białe mury, na kobiety o twarzach zasłoniętych, na zatłoczone targowiska i kwitnące drzewa mango, i czuła się tak, jakby wędrowała w zamierzchłej przeszłości. Rozjątrzenie wzrastało.

Najpierw skierowała się nad Jezioro Wiktorii. W odwiedzinach do plemion Luo. Przyglądała się ludziom, rysowała ich - w pracy, na targu, przy ognisku - ale na ogół mężczyźni tam chodzili w spodniach albo w szortach, a kobiety spowijały się w *kenge*. Potem pojechała do Masajów i do Samburu. Zobaczyła, że zarówno ich mężczyźni, jak kobiety noszą zwykle czerwone *szuka* bądź zasupłane na ramieniu, bądź podetkane pod pachy. Kobiety Kamba i Taita też nosiły *kenge*, nieraz nawet na europejskich sukienkach czy bluzach, i owiazywały głowy szalikami. Wyraźnie dominowała czerwień, co sprawiała obfitość ochry w glebie kenijskiej; dużo widziało się również brązu, zwłaszcza wśród ludzi wciąż jeszcze chodzących w opaskach na biodrach i w pelerynach z miękkich skór. Natomiast tutaj na wybrzeżu zaznaczał się wpływ Arabów; muzułmanki były ubrane całe na czarno, zasłonięte po same oczy, podczas gdy Azjatki jaśniały w jaskrawych sari sprowadzanych z Indii. Sara przejechała Kenię wszerz i wzdłuż. Szkicownik miała pełen rysunków, a upragnione natchnienie na nią nie spłynęło.

Żałowała, że Debora nie mogła wybrać się z nią w tę podróż. Miałyby wspaniałe wakacje, jeżdżąc po kraju mercedesem doktora Mwai. I byłby to miły sposób wyprawienia Debory do Ameryki - Debora by słuchała jej pożegnalnych dobrych rad i pomysłów. Ale miało się odbyć przyjęcie pożegnalne w pałacyku safari Kilima Simba w Amboseli. Debora pojechała tam z Terryem Donaldem, a jej tymczasem współczujący doktor Mwai pożyczył swój samochód.

Ustalone dwa tygodnie minęły, mercedesa trzeba było zwrócić. Sara rozejrzała się wszędzie, zobaczyła wszystko i w rezultacie miała tylko sto nieciekawych rysunków.

Siedziała teraz na ławce w cieniu palmy, skąd rozciągał się widok na wielką plażę białej plaży i cytrynowo-zielone rafy koralowe, i obserwowała gromadkę Europejczyków niepewnie oglądających zmurszały stary meczet.

Turyści przekonani o stabilności kenijskiego rządu zapewnieniem, że już nie będzie żadnych rewolucji, zaczęli ścigać do Kenii. Budowano nowe hotele w Nairobi i tu na wybrzeżu. W buszu wyrastały luksusowe domki myśliwskie, szosami jeździły mikrobusy volkswagen, goniąc zwierzynę i zatrzymując się w wioskach, żeby pasażerowie mogli fotografować. Zapuszczały się na północ nawet do Nyeri w drodze do hotelu Treetops. Kiedyś Sara przyłapała Amerykanów, usiłujących sfotografować Meme Oczere przed jej chatą.

Patrzyła, jak ta gromadka idzie pod górę przez zaniedbany muzułmański cmentarzyk i szuka wejścia do opuszczonego meczetu. Te ich spodniemy z krempliny, myślała, te dzinsy i koszulki. Dlaczego mamy naśladować Amerykanki? Nie mogą one naśladować nas?

Wyobraziła sobie znowu młode, świeżo po wyższych studiach kobiety w Nairobi, które chodzą z szykiem po ulicach grupkami, bo tak bezpieczniej, i pewne siebie, roześmiane, obnoszą dumnie uczesania „w rzędy kukurydzy”, jak gdyby głosiły światu, że są teraz jak ich kraj, wolne i niezależne. Ale nie, one trzymają się starej mody europejskiej, i to nieporadnie!

Kiedyś w świecie mody przewodził Paryż, rozmyślała Sara, wstając z ławki. Dziesięć lat temu przewodziła Anglia. A teraz króluje Ameryka. Kiedy przyjdzie kolej na Afrykę?

Po raz pierwszy była na wybrzeżu i czuła się tu tak samo obca, jak turyści. Niewiele w Malindi przypominało resztę Kenii. To miasteczko, założone przed wiekami przez Portugalczyków, rozkwitło pod panowaniem sultana Zanzibaru. Mają w sobie coś z „Baśni Ty-

siąca i Jednej Nocy", pomyślała Sara, te arabskie bazyry, kopuły i minarety, wąskie uliczki, wózki ręczne. Mężczyźni w długich białych szatach, siedząc przed domami, palili fajki, z których unosiły się bąbelki, i popijali kawę z maleńkich filiżanek. Kobiety jak ostro zarysowane czarne cienie przemykały się na tle pobielanych ścian. Przy plaży palmy chyliły się z wiatrem i wielkimi zielonymi liśćmi jak strzałkami wskazywały to pradawne miasto. Po wodzie wśród raf koralowych płynęły rybackie *dhow*, ich białe trójkątne żagle wydawały się namalowane na lazurze nieba. Malindi jest miastem pięknym, czarownym i tajemniczym, myślała Sara. Ale raczej nietypowo kenijskim.

Ze szkicownikiem w ręce szła wśród hibiskusów, frangipani, bugenwilli i przez ruchliwe targowisko ryb i węgla drzewnego, mijając luksusowe wille białych bogaczy. Przypomniała sobie ludzi z plemienia Turkana, których widziała przedtem na północy. Nieodłączni od swoich cennych wielbłądów, nie juczyńskich, tylko dojnych, ci mężczyźni w osobliwych czapkach zrobionych z gliny i włosów przodków, zajęci głównie zdobieniem sobie skóry, wydawali jej się tak bardzo obcy, że ich też uznała za nietypowo kenijskich.

Weszła do Krainy Ptaków - zoo ornitologicznego - i zatrzymała się, żeby popatrzeć na azjatycką rodzinę przy piknikowym posiłku na trawie między tamaryndowcem i drzewem ognistym. Ojciec w europejskiej koszuli, spodniach i w turbanie, matka w sari cytrynowożółtym, babka w sari turkusowym, córeczki w sukienkach, synkowie w szortach.

Byli to zapewne potomkowie azjatyckich robotników sprowadzonych z Indii do budowania linii kolejowej ponad siedemdziesiąt lat temu. Te trzy pokolenia pałaszujące obiad na trawie niewątpliwie urodziły się i wychowały w Kenii. A przecież, o ironio, Sara, tak jak większość Afrykanów i białych, nie uważała ich za Kenijczyków.

Sfrustrowana szła dalej. Zmierzała znów w stronę plaży, gdzie popołudniowy wiatr zaczynał marszczyć kremowe wydmy i zieloną wodę cętkowaną słonecznym blaskiem. Jej rozdrażnienie już graniczyło ze zniechęceniem. Czy w tych wszystkich narodach i plemionach Kenii - zastanawiała się - nikt nie jest autentycznie kenijski? Nawet Kikuju zarzucili tradycję, mężczyźni wolą spodnie niż *szuka*, kobiety noszą *kenge*.

Więc gdzie jest styl Kenii?

Usiadła na omszałym niskim murze i patrzyła, jak rybacy w długich białych spodniach wracają z dziennym połowem. Wdychała słoną wonność Oceanu Indyjskiego, słuchała wizgów mew,

czuła ciepło słońca. Słońce kenijskie, myślała, świeci nam wszystkim jednakowo.

Otworzyła szkicownik i zaczęła przeglądać swoje rysunki: wojownicy masajscy skaczą, Kizyjczyk rzeźbi w steatycie, pasterz Sambu-ru opiera się na kiju. Rysowała też oczy mużłmanek zerkające nieśmiało sponad czarnych kwefów, sportretowała szczęśliwą pannę młodą Tharaka strojną w dwieście, ni mniej, ni więcej, pasów z muszelek. Na innej stronie tańczyły kobiety z plemienia Pokot, nagie piersi im się trzęsły, pętle kolczyków odstawały od głów. Naszkicowała nawet Afrykanina biznesmena, gdy z teczką pod pachą pędził ulicą Nairobi. A także uśmiechniętego portiera w nowym hotelu Hilton. Ostatnie rysunki przedstawiały kilka nowoczesnych elegantek Nairobi, ubranych w stylu niby to amerykańskim, z którym zgoła nie harmonizowały pyszne, misterne afrykańskie uczesania.

Sara podniosła wzrok, zastanawiając się, gdzie w tych wszystkich rysunkach jest Kenia.

Ciepły wiatr się wzmagał. Trzepotał stronicami szkicownika. Wzbijał z wydmy cienkie tumany piasku. Liście palm szeleściły, plaska-ły jeden o drugi. Sara, osłaniając i mrużąc oczy, zapatrzyła się w zielono i niebiesko mieniającą się wodę. Robiło się już późno. Wiedziała, że powinna ruszyć z powrotem do Nairobi. A przecież zwlekała.

Raptem niewytłumaczalnie coś zatrzymało ją w miejscu.

Jak gdyby ten zrywający się tropikalny wiatr ją uwięził, jak gdyby szepczące palmy nakazywały: zostań, zostań..

Patrząc na ruchome wydmy, na niebo, na fale, które przetaczały się po dalekich rafach, nagle zapragnęła rysować.

Pośpiesznie znalazła czystą stronicę, wyciągnęła z torebki ołówek.

Rysowała prawie bezwiednie. Wydawało się, że ołówek bez jej udziału nakreśla linie proste, krzywe i kształty.

Szkicowała, cieniowała. Szybko przenosiła wzrok ze szkicu na widok przed sobą i znów na szkic, gdy na papierze wyłaniał się ten krajobraz.

Skończyła w ciągu paru minut i aż zamrugła, zdumiona.

Uchwyciła tę prastarą plażę. Odtworzyła nie tylko podobieństwo - tego by dokonał każdy aparat fotograficzny - ale i ducha. W rozmachu tych linii i łuków było życie, nieomal się słyszało łoskot fal, wizgi mew. Ołówkiem narysowana woda falowała. I ten rysunek, chociaż szaroolowiany, miał w sobie kolory. Widziała je, czuła. Serce jej biło radośnie. Przewróciła stronicę szkicownika, zmieniła pozycję na niskim murku i zaczęła rysować ładny mały meczet stojący niedaleko



za tamaryndowcami. Na następnej stronie narysowała wąską uliczkę z okratowanymi arabskimi balkonami. I gdy już przelała na papier duszę Malindi, przymknęła oczy i wspomniała równinę Amboseli, ryczące lwy, głogowce ze spłaszczonymi koronami. Ręce jej migały. Zapełniała stronę po stronie. Wyciągnęła świeże ołówki. Popołudnie dogasało. Prawie otoczył ją afrykański migotliwy zmierzch, a ona jeszcze rysowała.

Zrobiła szkic rozległego Jeziora Wiktorii i szczytów góry Kenya i góry Kilimandżaro. Z pamięci przeniosła na papier okrągłe lepianki i *maniatte* masajskie, i namioty Turkana. Rysowała ptaki i zwierzęta, tchnęła życie w kwiaty leśne. Potem rysowała obłoki, wielkie stada obłoków pod promiennym słońcem. I wreszcie znalazły się w szkicowniku wschody i zachody, i wartki nurt rzeki Chanii, i skręty dymu z ogniska babci, i autobus, którym kobiety wracają z targowiska do swoich gospodarstw. .

Po zarysowaniu każdej czystej strony, gdy cały szkicownik się zapełnił i wszystkie ołówki stępiły, Sara ze zdumieniem spostrzegła, że siedzi w nocnym mroku. Ale doznawała dziwnego, prawie przerażająco podniosłego uczucia.

W olśnieniu pojęła, że dotychczas szukała Kenii nie tam, gdzie trzeba. Przecież Kenia jest tutaj, w tym tanio kupionym szkicowniku. Styl wschodnioafrykański - podniecona, nagle już wiedziała - to nie sposób ubierania się ludzi, tylko sama Afryka Wschodnia jako taka. Dusza Kenii kryje się nie w *szuka* czy *kenge*, tylko w jej słońcu, trawie i czerwonej ziemi, w uśmiechach, w znoju jej kobiet, w locie jastrzębia, w susach żyrafy, w żaglach *dhow*, gdy słońce zachodzi.

Sara zadrżała, zeskoczyła z murku i pobiegła do samochodu doktora Mwai, przyciskając swój drogocenny szkicownik do piersi. Nie widziała mrocznych uliczek, którymi biegła, ani gapiów w oknach. Widziała jedynie żółtą ogromną sawannę, stada słoni, pustkowia na północy i przemarsz wielbłądów, wieżowce ze szkła i betonu wznoszące się z ruder Nairobi. Widziała to w kolorach, w deseni nowej tkaniny, którą chciała wykreować.

Sara Madengej miała wreszcie pokazać światu *Kenya took*.

\* \* \*

- Więc słuchaj, to ci powiem, co ten facet robi. - Terry Donald otworzył trzecie już piwo Tusker.

Debora nie słuchała. W domu safari Kilima Simba siedziała z Terryem w sali obserwacyjnej i patrzyła na słonia, samotnego kawalera, który przyszedł do wodopoju. W całym domu było cicho,

goście w swoich pokojach przebierali się z kostiumów kąpielowych w uniformy safari do cocktailu. Dopiero o zachodzie słońca, kiedy to zaczyna się przy wodopoju wielkie widowisko zwierząt, miało pstrykać sto turystycznych kamer.

- Mówiłem ci już o Roddym McArthurze, prawda? - Terry usiłował przytrzymać uwagę Debory. Rozumiał jej roztargnienie. Dziewczyna za dwa tygodnie wyjeżdża do Ameryki. - W każdym razie - ciągnął - Roddy, kiedy nie ma klientów, żeby ich zabrać na polowanie, jedzie sam i wraca z największymi trofeami, jakie tylko może ubić. Sprzedaje je Swansonowi, preparatorowi zwierząt. Swanson je przygotowuje i przechowuje w ukryciu. Potem, kiedy Roddy czy inny facet ma klientów, którzy ustrzelili tylko coś małego i są niezadowoleni, Swanson po cichu zamienia te łby, rozumiesz, i klienci szczęśliwi wiozą do domu te duże trofea i chwalą się później, jacy to z nich wspaniali myśliwi. Uważasz, Debora, ja w takie rzeczy się nie bawię. Według mnie polowanie powinno zawsze być uczciwym sportem. - Pochylił się i klepnął ją w ramię. - Debora!

Spojrzała na niego.

- Przepraszam, Terry. Znowu się zamyśliłam.

- Ręczę, że jesteś już spakowana, gotowa do wyjazdu.

Nie, nie była gotowa. W miarę jak dzień wyjazdu się zbliżał, coraz bardziej chciała zostać. A to z powodu Christophera.

Nie mogła nie rozpamiętywać spotkania z nim nad rzeką trzy tygodnie temu. Przeżywała je raz po raz, stał jej przed oczami Christopher w słońcu. Z dnia na dzień wzbierało w niej rozpaczliwe pożądanie.

- Wiesz, Debora - powiedział Terry. - Chciałbym zabrać cię na safari jeszcze raz, zanim wyjedziesz na trzy lata. Dwudziestoletni Terry Donald był szczupły, opalony, przystojny w typie „brutal” jak jego ojciec, Geoffrey, i jego dziadek, sir James. I był zapalonym myśliwym. Gdy przed trzema laty otrzymał ograniczoną licencję, zabrał Debore na jej pierwsze w życiu polowanie.

Pojechali wtedy land-roverem do Serengeti w Tanganice. Terry jeszcze nie mógł polować na zwierzęta z wielkiej piątki: słonie, nosorożce, bawoły, lwy i lamparty. Ale natknęli się na starego lwa, który wariował, napadał na Bogu ducha winnych wieśniaków, bo kolec jeżozwierza utkwiał mu w policzku, sięgając w głąb łba. Terry powalił niebezpieczną bestię jednym strzałem i w nagrodę za tę zasługę mógł sobie wziąć lwią skórę.

Na drugim safari Debora była z Terryem rok temu, przed rozpoczęciem studiów na Uniwersytecie Nairobi. Tym razem pojechali do Ugandy, gdzie chciał polować na słonie. Przez wiele długich upalnych dni telepalili się wozem zaprzężonym w woły wśród wysokiej na osiem stóp trawy, wędrowali, dźwigając ciężkie strzelby, torby pełne naboji i butelki z wodą, po szlakach znaczonej odchodami w gęstwinę puszczy zjeżoną niebezpieczeństwem, aż wreszcie znaleźli małe stado ze wspaniałymi kłami.

Terry honorowo ustąpił Deborze pierwszeństwa w oddaniu strzału, ale ona zdrętwiała. Więc ubił najlepszego słonia w stadzie, po czym nadzorował wyrwanie kłów. Debora, gdy nadzwyczaj wielkodusznie chciał ofiarować jej tę kość słoniową, odwróciła się i odeszła.

Na próżno od tamtego czasu tłumaczyła Terry'emu, że nie cierpi polowań i że polowanie nie powinno być w Kenii dozwolone. Ani też Terry nie mógł jej przekonać o swojej racji, dowodząc, że myśliwi pełnią bardzo pożyteczną służbę: zmniejszają niebezpieczne duże stada, chronią plony i wioski przed włóczącymi się hultajami i są postrachem dla kłusowników, którzy zabijają zwierzęta w sposób okrutny.

Debora potrząsnęła teraz głową, popijając piwo imbirowe.

- Nie, Terry. Nigdy już nie pojedę na safari, chyba że tylko po to, by patrzeć na zwierzęta.

Nie była jednak pewna, czy nawet to aprobeje, bo dziewczą głuszę już przecinały nowe szlaki, gdy coraz więcej turystów przybywało do Kenii w poszukiwaniu zwierzyny. Zastanawiała się, czy ta ludzka i benzynowa inwazja nie naruszy delikatnej równowagi przyrody. Widywała, jak samochody pełne rozwrzeszczanych mieszczuchów pędzą za zwierzętami, jak zebry i antylopy wpadają w ślepy, masowy popłoch. Wczasowicze, wjeżdżając tymi wynajętymi samochodami w sam środek stada, rozpraszają je, przeganiają z rodzimego terenu, bezmyślnie oddzielają młode od matek i męczą zwierzęta, tak że stają się one gotowym łupem dla drapieżników przyczajonych w pobliżu. Jakaż to przyjemność, zastanawiała się Debora, dla pstryknięcia kilku fotografii ścigać biedne stworzenia, dopóki nie padną. Co jeszcze gorsze, turyści fotografowali miejscowych ludzi. Widywała, jak w wioskach zatrzymują się zatłoczone autobusy z aparatami fotograficznymi w oknach. Pasterze masajscy, obrażeni, naciągali wtedy oponcze na głowy i odwracali się plecami. Kobiety usiłowały odstraszyć intruzów gniewnymi wrzaskami. Co za igno-

rancja, myślała Debora. Jakież brak szacunku. Przecież Afrykanie wiedzą, że *ozungu* przyjeżdżają, żeby fotografować zwierzęta. Czy to znaczy, że dla *ozungu* oni też są zwierzętami?

Debora rozejrzała się po luksusowej sali. To był pierwszy dom tego rodzaju postawiony w Kenii i szybko wiele podobnych stanęło na obszarze między granicą Ugandy i wybrzeżem. Geoffrey Donald miał teraz trzy takie domy i powiększającą się liczbę minibusów, tych właśnie, które obwoziły turystów po ziemi Masajów. Pałacyk safari Kilima Simba był gustowny, wytworny, panował w nim zawsze pogodny nastrój. Goście przyjeżdżali grupami pod pieczę znużonych afrykańskich kierowców i przez parę dni mogli się cieszyć oglądaniem tańców tubylców, odprężeniem w basenie pływackim, ucztami dla smakoszy oraz widokiem wodopoju - tutaj pod balkonem sali obserwacyjnej - do którego zwierzęta przychodziły od stuleci. Tabliczki na bambusowych ścianach upominały, że należy zachowywać ciszę, żeby nie wypłoszyć zwierząt.

Teraz turyści już przychodzili do baru, paradując w sztywnych i wyraźnie ich krepujących nowych khaki kupionych w Nairobi. Ale to stanowiło część kenijskiej przygody. Zamawiali trunki, o jakich barman nigdy nie słyszał - margarita, mrożona herbata Long Island - i zaglądali do butik, w którym ładna młoda Afrykanka sprzedawała po bardzo wygórowanych cenach łaszki importowane z Ameryki.

Debora patrzyła na afrykański krajobraz. Słyszała, jak ta ziemia oddycha, czuła się nieomal utulona w objęciach tropiku. I znowu cała reszta świata - ta straszna Kalifornia, przed którą Christopher z taką powagą ją ostrzegł - jakoś zniknęła. Debora była sama z tą czerwoną ziemią, zwierzętami i dalekimi górami.

Głos Christophera brzmiał echem na rozległej równinie: Kenia to twój dom. Tutaj jest twoje miejsce.

Nagle ogarnął ją smutek. Trzy lata wydawały się wiecznością. Jak ona przetrwa odcięta od kraju, który jest jej życiem? Będzie się męczyła jak ptak w klatce, pozbawiony przestworzy.

Christopher, czy ty mnie kochasz? - zapytała ciszę, osuwającą się z ośnieżonych szczytów Kilimandżaro. Czy kochasz mnie tak bardzo, jak ja ciebie? Ja z tym strasznym, bolesnym pragnieniem, żebyś mnie dotknął, objął, całował? Może uważasz mnie za siostrę? Czy kochasz mnie tak jak Sarę? Czy ją trzymałbyś, tak jak mnie trzymałeś, rozmawiałbyś z nią tak jak ze mną, gdyby to ona miała wyjechać do Ameryki? Kiedy już wyjadę, czy będziesz ginał beze mnie, Christopher, tak jak ja tam bez ciebie na pewno zginę?

- Debora, przynieść ci jeszcze jedno piwo? - zapytał Terry.

Ze też Sary nie ma tutaj, pomyślała Debora. Rozpaczliwie zapragnęła zwierzyć się przyjaciółce. Może Sara zna rozwiązanie zagadki, którą jest jej brat. Ale Sara nie przyjęła zaproszenia do pałacyku myśliwskiego, jeździła teraz po Kenii samochodem doktora Mwai.

- Nie, dziękuję, Terry - powiedziała Debora, wstając. - Pójdę na chwilę do mojego pokoju.

- Dobrze się czujesz?

- Doskonale. Zobaczymy się na zabawie.

Pobiegła po wiszącym mostku, który łączył pomieszczenia zbudowane na szczudłach, „w stylu tubylczym”, z głównym domem. W pokoju oparła się o zamknięte drzwi i wpatrzona w głąsę za balkonem cicho się rozpląkała. Christopher!

\* \* \*

- *Esente sene* - powiedziała Sara znajomemu, który przywiózł ją z Nairobi. Pomachała mu ręką na pożegnanie i poszła szlakiem prowadzącym ze wzniesienia do chat jej babki na szerokim brzegu rzeki poniżej. Mówiąc temu znajomemu do widzenia, uśmiechała się, ale był to uśmiech wymuszony. W duchu kipiała wściekłością i zbliżając się do Meme Oczery pracującej na zagonie ziół, przeklinała wszystkich bankierów w Nairobi.

Jej prośbę o nieduży kredyt załatwili odmownie, wszyscy co do jednego!

Znachorka na widok Sary odłożyła motykę i podeszła, żeby wnuczkę uściskać.

- Witaj w domu, córko - powiedziała. - Brakowało mi ciebie. Staruszka w objęciach dziewczyny wydawała się taka mała

i wątła. Nikt nie wiedział dokładnie, ile Oczera ma lat, ale skoro urodziła Davida, ojca Christophera, zanim Trevertonowie przybyli pięćdziesiąt pięć lat temu, Sara mogła wyliczyć, że babcia musi mieć około osiemdziesiątki. A przecież Meme Oczera, chociaż stara i skurczona, nadal była silna.

- Czy jest tu Christopher? - zapytała ją Sara, idąc do swojej chaty, żeby zostawić walizkę i przynieść dwie tykwy piwa z trzciny cukrowej.

- Twój brat nie był tu od tamtego dnia, gdy wrócił z wody.

W chacie Sara zdjęła swoją porządną sukienkę podróżną i owinęła się *kenge*. Wyniosła piwo w blask słońca. Dlaczego, zastanowiła się, Christopher jeszcze siedzi w Nairobi?

- Nie ma w nim szacunku, Saro - powiedziała Meme Oczero, biorąc tykwę z piwem. - Mój wnuk powinien być tutaj ze mną. Ostatecznie pójdzie wkrótce do szkoły leczenia i wtedy nie będę go widywała.

- To na pewno nie jest brak szacunku, babciu. On musi załatwić mnóstwo spraw, żeby studiować medycynę. Siedziały na ziemi przed starą chatą Oczero i popijały piwo: dwie Afrykanki, oddalone od siebie o całe pokolenia, połączone odwieczną obrzędową kobiecą zażyłością.

- Powiedz mi - zapytała Meme Oczero - czy znalazłaś to, czego szukałaś?

Sara opowiedziała babci o cudownym olśnieniu, jakiego doznała w Malindi, i o wspaniałych planach na przyszłość. Ale gdy z kolei zaczęła mówić o swoich wędrówkach po bankach Nairobi, w głosie jej brzmiała zawziętość.

- To było upokarzające, babciu. Sprawiali, że czułam się tak, jakbym zebrała. Zastaw gwarancyjny, mówili. Żeby zaciągnąć pożyczkę, trzeba udowodnić, że się jej nie potrzebuje! Pokazywałam im mój szkicownik i moje batiki. Mówiłam: „To jest mój zastaw gwarancyjny! Moja przyszłość jest moim zastawem!” A oni wtedy pytali, czy mam męża czy ojca, który by podżyrował tę pożyczkę. A potem mnie odprawiali. Babciu, jak kobiety zakładają przedsiębiorstwa?

Meme Oczero potrząsnęła głową. Dla niej to była tajemnica. Kobiety są stworzone, żeby wychować dzieci i pracować na *szembe*. Nie rozumiała spraw, o których mówiła wnuczka.

- Ale po co taka zachcianka, moje dziecko? Najpierw powinnaś znaleźć męża. Jesteś już dorosła, możesz rodzić, a jeszcze nie rodziłaś.

Sara rysowała desenie na ziemi. Doświadczenie w Nairobi otworzyło jej oczy. Kilku z tych bankierów nawet nie chciało z nią rozmawiać, dwaj słuchali jej planów po prostu rozbawieni, a trzech próbowało się do niej zalecać! Dawali do zrozumienia, że w zamian za pewną uprzejmość, może dostałaby pożyczkę...

Sara była strasznie zawiedziona.

W całej Afryce Wschodniej kobiety się emancypują. Zapisują się na wyższe studia, uzyskują dyplomy doktorów medycyny, prawników, nawet architektów i chemików. Ale są to zawody, doszła do wniosku Sara, sankcjonowane przez mężczyzn. Te kobiety prowadzi się pod męskim przewodnictwem i męską władzą. Jest to ja-

kiś protekcjonalizm, po ojcowsku mężczyźni akceptują kobiety, które wkładają białe peruki i występują w sądzie. Bo one tam nadal pozostają pod wpływem mężczyzn, choćby uważały się za wyzwolone. Natomiast takie, które chcą prowadzić interesy na własną rękę, to zupełnie inne plemię. Żądają przecież pełnej niezależności, więc z nimi to całkiem inna sprawa.

„Jesteśmy zagrożeniem dla mężczyzn - usiłowała Sara wyjaśnić matce w Nairobi. - Kobieta mająca przedsiębiorstwo rzeczywiście stoi na swoich nogach. Nie ma nad sobą mężczyzny do podejmowania ostatecznych decyzji. To mężczyzn przeraża. Poza tym jesteśmy konkurencją dla ich przedsiębiorstw. Ale mnie nie przeszkadzą, nie dam się. Znajdę sposób, żeby jakoś zacząć”.

Sara przyszła do matki, żywiąc nikłą nadzieję, że wyjedna jakąś pomoc, ale Ondziru była tak samo przeciwna jej planom, jak ci bankierzy.

„Ukończ studia - powtarzała raz po raz. - Myślisz, że po co poświęciłam się dla ciebie? Po co rozwiodłam się z mężem, żyłam w puszczy i tyle lat zmarnowałam w więziennych obozach? Po to, żebyś mogła otrzymać porządne wykształcenie, stać się kimś”.

„Ja nie chcę spełnić twojego marzenia, matko. Chcę spełnić moje własne. Czy na tym rzeczywiście polega wolność?”.

Po cichu Sara zwróciła się do doktora Mwai, z którym matka mieszkała w okręgu Karen. Ale on, chociaż jej współczuł, powiedział:

„Gdybym dał ci pieniądze, Saro, twoja matka już nigdy ani słowem by się do mnie nie odezwała. Wobec tego muszę trzymać jej stronę”.

- Babciu - rozpląkała się Sara. - Co ja mam zrobić?

Meme Oczera popatrzyła na wnuczkę. Sara nie była prawdziwą Madengej, ale staruszka i tak kochała ją bardzo.

- Dlaczego to dla ciebie takie ważne, dziecko?

Ponieważ babcia nie rozumiała, Sara poszła do swojej chaty po szkiecownik. Wyciągnęła go z walizki i przyniosła.

- Patrz - powiedziała, wolno przewracając stronicę. - Patrz, jak uchwyciłam duszę naszego narodu.

Meme Oczera nigdy dotąd nie widziała obrazków. Wzrok miała niewyćwiczony w oglądaniu i pojmowaniu podobizn. A przecież rozpoznała niektóre ozdoby - naszyjnik malajski, kolczyki Embu. Patrzyła na wymykające się jej zrozumieniu linie na papierze i usiłowała zgłębić, co Sara odczuwa. Słowa Sary nie trafiały do niej, ale był język, który rozumiała dobrze - język ducha.

Toteż gdy siedziały w słońcu i Sara podniecona mówiła o tkaninach, jakie chce produkować, o stylu, jaki chce nadać swoim afrykańskim siostronom, Oczera chłonęła sędziwym organizmem młodzieńczą energię dziewczyny.

- I właśnie na to potrzebne ci pieniądze? - zapytała.

- Pani Dai obiecała, że mi sprzeda jedną ze starych maszyn do szycia. I muszę wynająć jakieś pomieszczenie w mieście... nieduże, ale z elektrycznością i takie, żeby było miejsce do rozkładania i krojenia materiałów.

Oczera potrząsnęła głową.

- Nie wiem, po co pieniądze. Nie możesz zrobić z panią Dai wymiany? Dam ci wszystko, co zechcesz z mojego ogrodu. I kukurydza na moim polu nad rzeką obrodziła. Czy może wolisz kozy, Saro? Jestem nogata. Mam sto kóz! Sara zerwała się na równe nogi, rozjątrzona. Babcia przecież żyje przeszłością. Któż kupuje maszynę do szycia za kozy?

- Potrzebuję normalnych pieniędzy, babciu. Funtów i szylingów. Zarabiać je i odkładać musiałabym przez długie lata. Potrzebne mi są teraz.

Męme Oczera się zastanowiła. Potem powiedziała.

- Źle szukasz, córko. Powinnaś szukać odpowiedzi w ziemi.

Sara z trudem opanowywała zniecierpliwienie. Wysilek przemówienia do babki jest prawie tak beznadziejny, jak rozmowy z matką. Starsi po prostu nie rozumieją. Żyją w przeszłości! Gdyby tylko Debora już wróciła z Kilima Simba - ona by zrozumiała.

Oczera wstała powoli i podniosła motykę.

- Chodź ze mną - powiedziała.

Sara chciała zaprotestować, ale to byłby brak uszanowania. Poszła za babcią na zagon kukurydzy nad rzeką.

- Dzieci Mambi żyją na tej ziemi od czasu Pierwszego Mężczyzny i Pierwszej Kobiety - wyjaśniła Meme Oczera wnuczce. - Wyrastamy z tej ziemi. Gdy składamy przysięgę, jemy tę ziemię, żeby związać naszego ducha z naszymi słowami. Ziemia jest drogocenna, córko, nie wolno o tym zapominać.

Gdy doszły do rogu zagonu, pochyliła się i uderzyła motyką w skrawek piachu w cieniu wysokiego banana.

- Gdy się zapomina o starych sposobach - powiedziała, kopiąc - wtedy wszystko jest stracone. W ziemi masz odpowiedź.

Sara błędziła wzrokiem po rzece z coraz większą irytacją. Nie miała ochoty słuchać wykładu o sadzeniu.

Ale nagle skoncentrowała uwagę. Motyka uderzyła o coś.



Oczera, nie zginając nóg, pochyliła się do pasa, jak gdyby pielila czy żęła. Po chwili wyciągnęła z rozkopanej ziemi dużą skórzaną torbę. Sara zagapiła się, zdumiona.

- Masz. - Meme Oczera dała torbę wnuczce.

W osłupieniu Sara rozwiązała ściągający sznurek i aż zamrugła na widok wielkiej, wielkiej masy srebrnych monet. Chyba w tej torbie jest co najmniej sto funtów.

- Babciu - zapytała - skąd to wzięłaś?

- Mówiłam ci już, córko, mnie pieniądze na nic. Co tydzień przez dwadzieścia zniw twoja matka przysyłała pieniądze na twoje utrzymanie. Ja ich nie potrzebuję, karmiłam i dalej mogę karmić ciebie i twojego brata jedzeniem z mojej *szembe*. I nie potrzebuję kupować leków, bo sama robię moje własne. I gdy szkoła chciała, żebym zapłaciła za wasze mundurki i książki, dawałam kozy i szkoła je przyjmowała. Ja nie rozumiem monet. Ale je zachowałam, bo wiem, że w nich jest władza.

Sara jeszcze przez chwilę wpatrywała się w staruszkę. Potem wykrzyknęła:

- Babciu!

- Czy tego potrzebujesz? Czy to cię uszczęśliwi, dziecko?

- Babciu! Uszczęśliwi szalenie!

- Więc to już twoje.

Sara uściskała Oczere, zaczęła płasać, nie posiadając się z radości. Oczera ze śmiechem zapytała:

- Co teraz zrobisz, wnuczko?

Sara znieruchomiała. Oczy jej jaśniały. Wiedziała doskonale, co zrobi z tymi pieniędzmi. Musi się pośpieszyć. Czasu jest mało. Debora wyjeżdża za dwa tygodnie.

## *Rozdział 58*

Grace zdjęła z szyi stetoskop i schowała do kieszeni swego białego kitla. Pielęgniarki przy łóżku chorego, Afrykance w jasnoniebieskim habicie zakonnym, poleciła:

- Niech siostra uważnie go obserwuje i proszę od razu mnie zawiadomić o każdej zmianie.

Jeszcze raz spojrzała na kartę choroby tego chłopca. W zamyśleniu rozcierając sobie lewą rękę, wyszła z oddziału dziecięcego.

Na uliczce obsadzonej drzewami, prowadzącej ze szpitala do jej domu, raz po raz ją ktoś pozdrawiał: ksiądz śpieszący udzielić chrztu, pielęgniarki-praktykantki z książkami w rękach, ubrane na niebiesko katolickie zakonnice, pacjenci w fotelach na kółkach, goście z kwiatami. Misja Łaski była jak miasteczko; każdy cał trzynastu akrów wykorzystywała jej społeczność samodzielna i samowystarczalna. Mówiło się, że to jest największa misja w Afryce. Grace Treverton nadal pozostawała głową misji, ale na ogół administracją zajmowali się inni, na rzecz których z biegiem lat zrzekła się władzy. Mając osiemdziesiąt trzy lata, już nie mogła, tak jak by chciała, wykonywać całej tej pracy sama.

Mrok zapadł i zapalono na uliczkach latarnie. Ludzie zdążali do stołówek, na wieczorne wykłady, na nieszpory.w kościele. Grace powoli weszła po schodkach na swoją wygodną swojską werandę i w drzwiach frontowych z zadowoleniem zobaczyła, że Debora już przyjechała z Amboseli.

- Cześć, ciociu - powiedziała Debora, gdy się uściskały. - Przyszedł akurat w porę. Zaparzyłam herbatę.

W domu niewiele się przez te lata zmieniło. Meble, teraz uważane za antyki, były dla ochrony przykryte pokrowcami i ozdobnymi narzutkami. Błat ogromnego biurka Grace zapełniały jak za-

wsze rachunki, zamówienia, czasopisma lekarskie, listy z całego świata.

- Jak tam w Kilima Simba? - zapytała Grace, idąc z Deborą do kuchni.

- Luksusowo! I taki tłok, że musieli goście podwójnie poupychać w pokojach i dla wielu zabrakło miejsca. Wuj Geoffrey mówił, że zbuduje nowy dom tutaj, w Aberdare, który będzie konkurencją dla Treetops.

Grace roześmiała się i potrząsnęła głową.

- Geoffrey rzeczywiście potrafi patrzeć w przyszłość. Dziesięć lat temu wszyscy myśleliśmy, że zwariował. A teraz jest jednym z najbogatszych ludzi w Afryce Wschodniej.

Chociaż były pewne kłopoty w pierwszym okresie niepodległości - armia kenijska się zbuntowała i niepraworządne elementy próbowały terroryzować białych - nie nastąpiły przewidywane poważne zaburzenia, takie jak drugi jakiś ruch Mau-Mau. Dzięki mozolnym wysiłkom i współpracy w duchu *harembi* „wszyscy razem”, pod silnym przewodnictwem Jomo Kenyatty Kenia wyłoniła się zjednoczona, kwitnąca, pozyskując sobie tytuł „Klejnot Czarnej Afryki”. Tylko czas mógł odpowiedzieć na pytanie, czy będzie nadal stabilna w drugiej dekadzie,/u/wra.

Smarując bułki masłem, stawiając na stole dżem i bitą śmietanę, Grace patrzyła na wnuczkę brata w ten wieczór dziwnie przygaszoną.

-Wszystko w porządku? - zapytała, gdy usiadły do stołu. -Czujesz się dobrze, Deboro?

Uśmiech dziewczyny też był bez życia.

- Dobrze, ciociu.

- Ale coś cię trapi. Czy wyjazd do Kalifornii? Debora utkwiała wzrok w swojej herbacie.

- Na nowo zastanawiasz się nad wyjazdem - powiedziała Grace łagodnie. - Czy tak?

- Och, ciociu! Mam w głowie zamęt. Wiem, że to cudowna sposobność dla mnie i w ogóle, tylko...

- To cię przeraża? Debora przygryzła wargę.

- Czy chodzi o coś innego? Chyba nie martwisz się o mnie? Omawialiśmy to już, ja chcę, żebyś wyjechała. Nie będę tu samotna. I te trzy lata zlecą, zanim się obejrzymy.

Osiemnastoletniej Deborze trzy lata wydawały się co najmniej trzema stuleciami.

Grace czekała. Odnosiły się do siebie raczej jak matka i córka, niż stryjeczna babka i wnuczka. Debora zawsze mogła przyjść do Grace ze swoim lękiem, pytaniem czy marzeniem. Nieraz spędzały wieczór przy kominku, rozmawiając. Grace opowiadała jej o Trevertonach, dziewczyna słuchała. Nie było nigdy sekretów między nimi - z wyjątkiem tego, że Grace przyrzekła Monie nie wyjawiać Deborze, kto jest jej ojcem. I przecież po wyjeździe matki do Australii, skąd Mona tylko od czasu do czasu przysyłała bezosobowe listy, jedyną rodziną dla Debory była ciotka Grace.

Przyjaźniły się serdecznie, żyły jedna dla drugiej.

W końcu Debora powiedziała cicho:

- Chodzi o Christophera.

- Co z nim?

Debora mieszała cukier w herbacie i szukała właściwych słów.

- Nie pokłóciliście się chyba? - zapytała Grace. - Czy to dlatego on pojechał do Nairobi, ledwie wrócił z Anglii? -

Wspomniała małego chłopca, którego Debora pewnego dnia przyprowadziła na podwieczorek i który wydał jej się reinkarnacją Davida Madengeja. Debora i Christopher od tamtego dnia aż do jego wyjazdu na studia w Oksfordzie byli nierozłączni.

- Nie wiem, ciociu, dlaczego pojechał do Nairobi. Nie wiem, dlaczego trzyma się z daleka.

- No, już nie. Powinniście jutro dojść do porozumienia po tej kłótni.

Debora podniosła głowę.

- Jak to, już nie? Christopher przyjechał?

- Widziałam go dziś po południu. Z walizką szedł do swojej chaty. Więc jest!

Widząc wyraz oczu dziewczyny i słysząc podniecenie w jej głosie, Grace nagle zrozumiała.

- Muszę się z nim zobaczyć. - Debora wstała od stołu. - Muszę z nim porozmawiać.

- Nie teraz, Deboro. Zaczekaj do jutra.

- Nie mogę tego odkładać, ciociu. Muszę coś wiedzieć. I to zaraz!

Grace potrząsnęła głową. Ta niecierpliwość młodości!

- Sprawa aż tak pilna?

- Po prostu - wyjaśniła Debora - jestem w nim zakochana. Więc muszę wiedzieć, co on czuje do mnie.

Grace się nie dziwiła. Dwadzieścia lat temu, pomyślała ze smutkiem, twoja matka poszła tą samą drogą. Ale ty masz szczę-

ście. Dziś nie ma bariery koloru skóry. Mona i David urodzili się za wcześnie. Ich miłość była skazana.

- Nie powinnaś iść do niego teraz, Deboro. Powinnaś poczekać do rana.

- Dlaczego?

- Dlatego, że jeśli panna idzie do chaty kawalera, to tylko w jednym celu. Kikuju nazywają ten cel *ngueko*. Stary obyczaj, który misjonarze usiłują wyplenić, ale nie wątpię, że potajemnie się go przestrzega.

- Co to jest *ngueko*?

- Forma zalotów obwarowana przepisami i tabu. Gdybyś poszła dziś wieczorem do chaty Christophera, dla każdego Kikuju, który by cię zobaczył, byłoby jasne, po co tam idziesz.

- No, nie wiem - bąknęła Debora żałośnie. Grace położyła jej rękę na ramieniu.

- Rozumiem cię, sama wiele lat temu byłam zakochana i miotałam się tak jak ty. Ale trzeba postępować bez pośpiechu, ostrożnie, Deboro. Musimy żyć według pewnych prawideł. Christopherem rządzi tradycja Kikuju, nami nasza europejska moralność. Jeżeli odwiedzisz go w kawalerskiej chacie, narazisz na szwank swoją reputację. On mógłby stracić szacunek dla ciebie. Zaprosz go tutaj na herbatę.

Grace wstała, masując sobie rękę.

- Powinnam wrócić do oddziału dziecięcego. Obserwuję pewnego biednego malca, obawiam się, że to zapalenie opon mózgowych.

- Czy ktoś inny nie może go obserwować, ciociu? Za dużo pracujesz. Jesteś wyraźnie zmęczona.

Grace uśmiechnęła się uspokajająco.

- W ciągu pięćdziesięciu czterech lat, Deboro, nigdy nie opuściłam wieczornego obchodu, jeżeli byłam w misji. Nie martw się o mnie, kochanie. Wypoczywaj, myśl o swojej ekscytującej podróży do Kalifornii.

Gdy ciotka wyszła, Debora usiadła przy zimnym kominku i ponuro zastanawiała się w rozterce: czekać czy pójść do niego teraz?

Rozejrzała się po saloniku. Jedną ścianę zasłaniały półki z książkami. Wiele z tych książek pochodziło z dawnych czasów, z pierwszych lat pobytu Grace w Afryce Wschodniej. Podeszła do półek i zaczęła przeszukiwać je wzrokiem. Szybko znalazła książkę, której szukała: „Na wprost góry Kenya” Jomo Kenyatty.

Opis *ngueko* był na stronie 155.

Leżąc bezsennie, Debora wsłuchiwała się w noc. Misja spała, plantacja kawy na wzgórzu ucichła bez ludzi i maszyn. Debora leżała w łóżku, w którym sypiała od dziesięciu lat i w którym matka jej sypiała, gdy był stan wyjątkowy. W tym właśnie pokoju David Madengej i sir James ponieśli śmierć - ale o tym Debora nie wiedziała. Wiatr dmuchał, księżyc był w pełni. Na pobielanych ścianach sypialni ożył deseń, haczykowane gałęzie jacarandy, wdzięczne różdżki olchy i topoli. Wiatr poruszał tymi drzewami i cienie nad łóżkiem czyniły z tej ściany jakiś podwodny świat. Wydawało się Deborze, że płynie wśród wodorostów i traw oceanu, chwieje się w głębokomorskich prądach. I cicho było jak w oceanie.

Słyszała miarowe bicie swego serca. Czowała tętnienie w szyi, w czubkach palców i w udach. W tę zimną noc zrobiło jej się gorąco. Odrzuciła koce. Wiatr jęczał. Obłok zasłonił księżyc, nagle pogrzył ją w ciemnościach. Potem znów księżyc zaświecił i leżała w białej niesamowitej poświacie.

Nie mogła spać, bo myślała o tym, co przeczytała w książce Kenyatty o *ngueko*.

„Kikuju nie całuje dziewczyny w usta jak Europejczyk: dlatego więc *ngueko*, pieszczota, zastępuje całowanie. Dziewczyna przynosi chłopcu w dowód swego uczucia smakołyki. Chłopiec rozbiera się do naga. Dziewczyna obnaża górną połowę ciała, pozostaje w spódnicy. Kładą się przodem do siebie, splatają nogi. Pieszczą się i rozmawiają bardzo czule. Jest to lubowanie się ciepłem piersi”.

Debora westchnęła do wtóru jękiem wiatru.

Z saloniku doleciał cichy kurant zegara stojącego na parapecie kominka. Północ.

W końcu już nie mogła uleżeć. Wstała, szybko włożyła spódnicę i bluzkę. Przekradła się obok sypialni ciotki do kuchni. Ułożyła w koszyku swój poczęstunek: dwie butelki piwa Tusker, trójkąt sera i cały placek korzenny, ulubione ciasto Christophera. Przy kuchennych drzwiach wahała się tylko przez chwilę - gotowa była zaryzykować wszystko, żeby przed wyjazdem do Ameryki wiedzieć, co Christopher do niej czuje.

Nie było żadnych niebezpieczeństw na ścieżce nad rzeką. Dzikie zwierzęta dawno zniknęły z tego obszaru. Teraz spotykało się je tylko w głębi górskich puszczy.

Drżąc, szła pod wiatr całowany księżycową poświatą. Ominęła chatę Meme Oczery, ciemną i cichą, i chatę Sary, podeszła do otworu drzwiowego chaty Christophera.

Zajrzała tam w mrok, pełna lęku, coraz bardziej podniecona. Wydawało jej się, że przynależy do wiatru, który przywiał ją z szeleszczących drzew, czy też że stworzyły ją i przyniosły fale wezbranej rzeki. Swojego odruchu ani nie mogła, ani nie chciała opanować.

- Christopher! - zawołała, ale wiatr porwał to wołanie w noc. Poczekała, żeby na chwilę ustał.

- Christopher - zapytała - mogę wejść?

Chyba wieki minęły, zanim nagle wyszedł z mroku chaty - wysoki, szczupły wojownik, w samych szortach.

- Debora! - powiedział.

- Mogę wejść? Jest zimno.

Popatrzył na nią i odsunął się, żeby weszła.

W chacie było swojsko. Bawiła się tu z Christopherem często, gdy dorastali. Znała te ściany ulepione z mułu wypalonego słońcem i strop ze strzechy. Jedynym meblem było łóżko - drewniana rama z siatką z rzemieni, nakrytą kocami. - Deboro - zapytał Christopher. - Co tutaj robisz tak późno?

Odwróciła się do niego. Stał na tle poświaty, konturami rysowały się jego długie umięśnione kończyny. Poczuli się tak, jakby patrzyła na jakiegoś ducha z jego przeszłości. Tylko dać mu tarczę i dzidę, pomyślała.

- Deb, co tu robisz? - powtórzył swoje pytanie łagodniej.

- Dlaczego wyjechałeś do Nairobi, Christopher? Dlaczego trzymasz się z daleka?

Sposepniał, spuścił wzrok.

- Gniewasz się na mnie? - wyszeptwała.

- Nie, Deb. Nie...

- Więc dlaczego?

Serce jej łomotało. On jest tak blisko, wystarczy wyciągnąć rękę, żeby go dotknąć.

- To był taki wstrząs, Deb - powiedział zdławionym głosem. - Wracam do domu po czterech latach i dowiaduję się, że ty wyjeżdżasz do Ameryki. Uznałem, że najlepiej być jak najdalej stąd, dopóki nie wyjedziesz. Wtedy łatwiej byłoby mi znieść twój wyjazd.

- Ale wróciłeś za wcześnie. Wyjeżdżam dopiero w przyszłym tygodniu.

Spojrzał na nią, białą od księżycowej poświaty.

- Wiem - powiedział - ale już nie mogłem tam wytrzymać.

Słuchali poświstywania wiatru w trawie strzechy nad ich głowami, czuli zimny przeciąg owiewający im nogi. W końcu Christopher zapytał cicho:

- Po co tu przyszłaś, Deb? Podała mu koszyk.

-Co to jest?

- Weź - powiedziała.

Wziął koszyk i gdy zobaczył zawartość, wiedział, po co Debora przyszła.

Milczał. Odwróciła się od niego. Odwrócona plecami, rozpięła bluzkę. Położyła się na łóżku bokiem i znów na niego patrzyła, skromnie zakrywając ręką piersi. Drżała.

- Czy to tak? - szepnęła.

Christopher z koszykiem w objęciach patrzył na nią. Po chwili postawił koszyk, zdjął szorty i położył się obok niej.

Patrzyli na siebie w mroku. Odgarnął jej rękę, poczuła na piersi jego dłoń.

- Jeżeli mi powiesz - szepnęła - nie wyjeżdżaj do Ameryki, nie wyjadę.

Dotknął jej policzka, powiódł palcem po jej włosach.

- Tego nie mogę ci powiedzieć, Deb. Ale, na Boga, nie chcę, żebyś wyjechała! - Wziął ją w ramiona, wtulił twarz w jej szyję. -Chcę, żebyś wyszła za mnie, Deb! Kocham cię!

- Więc zostanę, nie wyjadę.

Odsunął się, delikatnie przyłożył palce do jej ust. Patrzył na nią w srebrzystej poświacie, w której stała się nieomal świetlista. Był pewny, że śni. To niemożliwe mieć ją wreszcie w ramionach, obejmować, kochać się z nią tak, jak tyle już razy w snach. Ale to ona rzeczywiście, jędrna, przytulona do niego, jej ciepłe piersi, jej usta szukające jego warg...

Pocałował ją, głaskał po udzie, wolno podniósł spódnicę.

- Tak - szepnęła.

\* \* \*

Grace otworzyła oczy i spojrzała na sufit. Wiatr ucudaczniał cienie drzew na ścianach sypialni. Długo leżała, rozmyślając.

Usłyszała, jak Debora wychodzi, i wiedziała, dokąd. Nie próbowała jej zatrzymać: to byłoby daremne. Nic by nie odciągnęło De-bory od Christophera, tak samo jak jej matki od Davida, jak jej babki od włoskiego księcia. Kobiety Treyerton są bardzo mocne duchem, gdy pokochają.

Zawsze sypiała dobrze, nie rozumiała więc, dlaczego teraz się rozbudziła. Może to z powodu Debory, a może przez ten wiatr. Wstając i idąc do kuchni, żeby zagrzać sobie trochę mleka, myślała



o Deborze i stwierdziła, że, o dziwo, wcale się o nią nie martwi. Christopher to zacy człowiek, na pewno jej nie skrzywdzi i jeśli ją kocha, będą bardzo szczęśliwi w nowej międzyrasowej Kenii.

Co Mona pomyśli, kiedy się o tym dowie? - zastanawiała się, nalewając mleko.

Podejrzawała, że Monie będzie to obojętne. Mona i Tim dawno umyli ręce od swojego „błędu” sprzed lat.

Mleko jednak nie posłużyło. Tej nocy nie wiadomo, dlaczego nie chciało jej się spać. Zdecydowała się pójść do oddziału dziecięcego zobaczyć, co z przypadkiem podejrzanego zapalenia opon mózgowych.

Zapinając na sobie sweter, pobiegła ciemną pustą uliczką. I pomyśleć, że kiedyś tu była puszcza i nie wychodziło się nocą bez strzelby czy eskorty *askari*.

Ze schodków szpitala spojrziała w górę na nocne niebo. Księżyc wśród obłoków miał kształt serca.

W sali panował półmrok, za biurkiem w głębi dyżurowała jedna z pielęgniarek, przy tym chłopcu siedziała siostra Perpetua. Nie zdziwiło jej nagłe pojawienie się *memseeb dektari*. Doktor Treyerton była znana ze swego oddania, czasami bardzo długo czuwała przy pacjentach. Grace wysłuchiwała relacji o stanie chłopca i powiedziała zakonniczy, żeby poszła napić się herbaty, ona przez ten czas posiedzi przy dziecku.

Usiadła w fotelu, zwolnionym przez siostrę, i zdała sobie sprawę, że dokucza jej żołądek. To dlatego nie mogła zasnąć.

Przypomniała sobie, co z Deborą jadły na kolację: kotlety cielece z tłuczonymi kartoflami i sosem.

Za dużo dla takiej starej jak ja, uznała i postanowiła zmodyfikować swoją dietę.

Patrzyła na twarz śpiącego dziecka i myślała o wszystkich tych twarzach śpiących, nad którymi czuwała przez tyle lat. Wydaje się, że to nie dawniej niż wczoraj nadzorowała budowę pierwszej swojej przychodni -strzechy na czterech słupach. A potem był Domek Ptasiej Pieśni...

Potarła się po żołądku. Ćmiło ją coraz bardziej.

Ten wiatr, smagając, podrywał nie tylko liście i piach, ale i dawno pogrzebane wspomnienia. Ukazywały się Grace obrazy i twarze ludzi, których nazwisk już nie знаła. Zobaczyła nawet Alberta Schweitzera tak jak wtedy przed laty, gdy odwiedziła go w dżungli.

Mdłości się wzmagały, pot wystąpił jej na ręce i twarz. Zaczęła się zastanawiać, czy jedzenie nie było jakoś zakażone. Jednak Febe, jej kucharz z plemienia Meru, zwykle przebierał w doborze produktów. Nie musiała się niepokoić o jakość potraw.

Nagle zabrakło jej tchu i zaniepokojenie zmieniło się w panikę.

To coś więcej niż zwykła przypadłość żołądkowa.

W końcu, gdy ostry ból z klatki piersiowej przeszył jej lewą rękę, wiedziała.

Jeszcze nie! Jeszcze mam tyle do zrobienia...

Usiłowała wstać, ale opadła w fotel, chwytając się za pierś. Usiłowała zawołać, ale nie mogła oddychać. Spojrzała na biurko w drugim końcu sali. Sióstr tam nie było.

- Ratunku - wyszeptała.

Jeszcze raz spróbowała wstać i znowu ból ściągnął ją z powrotem, przygwoździł do fotela jak gdyby włócznią przebijającą jej serce. Wszystko wokół niej przechylało się i płynęło. Z trudem łapała powietrze. Ogarnęło ją jakieś niewiarygodne osłabienie, tak jakby nagle kości w niej stopniały. A ból był straszliwy.

Usłyszała głosy - dalekie, cieniutkie jak z tuby starej victrolki.

„Cze Cze, nie mogą te wozy jechać prędzej?”

„Valentine, czy to znaczy, że ten dom jeszcze nawet nie jest w budowie?”

„Grace, pozwól, że ci przedstawię: sir James Donald”.

„*Tsehal* Klątwa na ciebie i twoje potomstwo, aż ta ziemia zostanie zwrócona Dzieciom Mambi!”

A potem żaloszny wrzask młodej dziewczyny, Ndžeri, w czasie ceremonii *ajrue*.

- Ratunku - znów szepnęła.

Zaciskała ręce na poręczach fotela. Ból zdawał się ją rozłupywać. Wyobraziła sobie, jak jej serce pęka.

Jeszcze nie. Niech ja dokończę moją pracę... Ale były z nią tylko głosy z przeszłości.

„Bardzo mi przykro, lord tej nocy wyjechał swoim samochodem i zastrzelił się”.

„Będę miała dziecko, ciociu. Dziecko Davida Madengeja”.

„Wszyscy musimy wziąć się w garść w naszej nowej Kenii. *Ha-rembi! Harembi!*”

Czuła, że światło wokół niej mętnieje i ciemność wdziera się w pole jej widzenia. Doznawała wszystkich uczuć z wyjątkiem ustępowania wieńcowego bólu. Bezradna, nie mogła się poruszyć. Ogarnęło ją dziwne wrażenie. Nagle zawirowały wokół ciepłe mgiełki obecnością kogoś zmartwionego, kochającego.

Skłoniła głowę.

- James! - To było jej ostatnie słowo w życiu.

## *Rozdział 59*

Nabożeństwo żałobne zostało odprawione w kaplicy Misji Łaski - tej samej, do której pięćdziesiąt jeden lat temu Grace Treverton przyszła, żeby odprawić wielebnego Thomasa Mastersa, przysłanego przez Stowarzyszenie Misyjne i mającego przejąć jej misję.

„Chcę, żeby pan pastor wyjechał i już nigdy tu nie wrócił. Jest pan antypatycznym człowiekiem o ciasnych horyzontach, wcale nie chrześcijaninem. Czyni pan moim ludziom więcej zła niż dobra. Może pan pastor również donieść swoim zwierzchnikom w Suffolk, że już nie potrzebuję ich pomocy”.

Nikt z przybyłych na pogrzeb dzisiaj nie wiedział o tamtym wydarzeniu - nikt go nie widział poza kilkorgiem Kikuju nieznaną-cych angielskiego. Ale to był w życiu Grace wielki dzień.

Burmistrz Nairobi mówił teraz zgromadzonym tłumom, ile zdołała doktor Grace Treverton i chociaż wśród jej osiągnięć nie wymienił odprawienia wielebnego Mastersa i tak uzbierało się ich mnóstwo.

Debora z oczami czerwonymi, spuchniętymi siedziała w pierwszej ławce między Geoffreyem i Ralphem Donaldami. Kobietę leżącą teraz w tej prostej trumnie przed nią uważała od wczesnego dzieciństwa za matkę, źródło miłości, opieki i zrozumienia. Chociaż to bardzo bolało, wspominała, jak serdecznie ciocia Grace się nią zajęła po wyjeździe Mony z Kenii. Jedną z sypialń przeobraziła w pokój dziecienny: kupowała zabawki i lalki, wieczorami czytała nieszczęśliwej porzuconej dziewczynce, bawiła się z nią, zawsze wiedziała, czego ona się boi, o czym marzy. Ta czułość, ta delikatna chłodna ręka na jej czole w czasie wietrznej ospy, ta cierpliwość przy nauczaniu, te proste wyjaśnienia w czasie zamętu dojrzewania i śmiech czasami taki, że

łyzy płynęły po ciotczyńskich policzkach... I dni w gabinecie lekarskim. Ciocia Grace pokazywała, jak się posługiwać stetoskopem, strzykawką, pozwalała jej posiedzieć rano w ambulatorium, wyjaśniała ważne objawy, spokojnie wprowadzała ją w tajemnice medycyny.

Ciocia Grace była zawsze obecna. Debora nie potrafiła sobie wyobrazić świata bez tej obecności. Czowała straszliwą pustkę, tracąc w tej jednej osobie całą swoją rodzinę.

Wszyscy musimy kiedyś umrzeć, usiłowała sobie tłumaczyć. I przecież tak powinno się skończyć: ciocia Grace umarła w fotelu przy łóżku pacjenta. Tak właśnie by chciała.

Ale słabą to dawało pociechę.

Gdy Grace spoczęła w grobie na specjalnie wydzielonym spłachetku przy kaplicy, gdzie pewnego dnia miał stanąć jej pomnik ze spiżu, Debora rzuciła na trumnę pierwszą garść kenijskiej ziemi. Odgłos był smutny, głuchy.

\* \* \*

Debora odłożyła dziennik cioci Grace z postanowieniem, że otworzy go kiedyś, gdy już nie będzie w tak ciężkiej żałobie. Teraz nie zdobyłaby się na czytanie tych osobistych zapisków.

Znów otarła chustką oczy. Kiedy zabraknie łez? Czy ten straszny ból utraty w końcu minie, ustąpi miejsca ostatecznemu pogodzeniu się ze śmiercią? Miałyśmy pracować razem, ciociu. Ale teraz to ja będę *memseeb dektari*.

Siedziała pośrodku saloniku w ciepłe słońca napływającym z otwartych okien i drzwi. Pootwierala dom, żeby był jasny i radosny, jak zawsze za życia ciotki. Przeglądała teraz szkatułki z osobistymi papierami i drobiazgami Grace, gromadzonymi w ciągu tylu lat. Grace Treverton najwidoczniej nigdy nie mogła się zdobyć na wyrzucenie czegokolwiek. Były fotografie, pokwitowania zakupów, wyblakłe karty świąteczne, listy od sir Jamesa.

Było wojskowe odznaczenie cioci Grace D.S.C. w aksamitnym pudełeczku, przyznane jej za odwagę i męstwo w czasie pierwszej wojny światowej. Był mały pierścionek, intrygujący, bo wyglądał jak pierścionek pensjonarki i Grace nigdy go nie nosiła. Była turkusowa broszka, którą bardzo ceniła i darzyła wielkim sentymentem. „Kamień szczęścia” - mawiała o tym turkusie mającym zblaknąć, gdy szczęście się zużyje. Debora teraz przypięła sobie broszkę przy dekolcie sukienki, ale inne klejnoty schowała z powrotem do szkatułki z biżuterią Grace.

Były niewytłumaczalne ciekawostki: pozółkły stary wycinek z jakiejś gazety z zawiadomieniem dla niejakiego Jeremy'ego Manningsa, że Grace jest w Brytyjskiej Afryce Wschodniej, jadłospis z hotelu Norfolk, zasuszony kwiat. Listy od sławnych ludzi: Eleonory Roosevelt, prezydenta Nehru - i pokolorowane kredkami rysunki, które gryzmołąc, podpisały jakieś dzieci.

Grace zatrzymywała wszystko. Wydawało się Deborze, że każdy moment, każdy oddech życia ciotki został zachowany w tych szkatułkach. A teraz one wszystkie należą do niej.

Dom Grace też przeszedł na nią, mogła tu mieszkać, dopóki będzie chciała. Misję jednak w myśl uprzednich ustaleń miały przejąć katolickie zakonnice, przy czym Grace zastrzegła, że Debora po ukończeniu studiów medycznych może praktykować w ich szpitalu. Ale Debora nie chciała mieszkać w tym domu. Chciała na nowo otworzyć Bellatu, pozrywać z okien deski, zdjąć pokrowce z mebli i wnieść tam życie - z Christopherem, z ich dziećmi. Dom Grace zamierzała przekazać zakonnicom.

Nagle cień przysłonił drzwi.

Debora podniosła wzrok i zobaczyła Sarę z paczką w ręce.

- Przykro mi, Deb - powiedziała Sara cicho. - Właśnie dowiedziałam się o twojej cioci. W Nairobi pracowałam, nie czytałam żadnych gazet.

Debora wstała i rzuciła się w jej objęcia.

- Christopher mi powiedział - ciągnęła Sara po chwili. - To straszny wstrząs dla ciebie. Mówił też, że nie wyjeżdżasz do Kalifornii i że się pobierzecie. Aż za dużo tego. Taka cudowna wiadomość po takiej smutnej.

- Dobrze, że tu jesteś, Saro. Mnie się to wydaje bardzo dziwne. Cioci Grace już nie ma. Wciąż się spodziewam, że ona wejdzie tymi drzwiami albo zawoła mnie na podwieczorek. Czy ja się kiedykolwiek z tym oswoję, jak myślisz?

- Pomożemy ci, Deb.

- Czuję się jak sierota. Już nie mam rodziny. Czuję się sama jedna na świecie.

- Odtąd Christopher i ja będziemy twoją rodziną.

- Dobrze, że tu jesteś, Saro.

- Wstąpiłam, żeby ci coś pokazać. Ale chyba powinnam przyjść innego dnia.

- Proszę cię, wejdź. Napijesz się ze mną herbaty.

Więc siedząc przy kuchennym stole, piły razem herbatę Countess Treverton. Sara nie od razu rozpakowała paczkę.

- Czy wiesz, Deb, że moja babcia ofiarowała modlitwę Kikuju do Ngai za twoją ciocię?

Debora się zdumiała.

- Zawsze myślałam, że one były superrywalkami. Twoja babcia nigdy nikogo z nas nie lubiła. Nawet kiedyś przeklęła mojego dziadka. Przynajmniej takie słyszałam pogłoski.

- Jednak twoją ciocię szanowała. Obie leczyły ludzi.

- Saro, co przyniosłaś, żeby mi pokazać? - zapytała Debora. Nie chciała już rozmawiać o śmierci. - I co robiłaś w Nairobi? Christopher mówił, że wróciłaś z Malindi z jakimiś nowymi projektami.

Sara położyła paczkę na kuchennym bufecie, rozpakowała. Odwróciła się, rozwijając tkaninę jak flagę, trzymając ją w wyciągniętych rękach.

Debora zagapiła się i wyszeptała:

-Saro!

- Co o tym powiesz?

Patrzyła urzeczona. Ten materiał wcale nie przypominał bati-ków Sary robionych nad rzeką. To zupełnie nowa kreacja, coś, czego na pewno się nie znajdzie, pomyślała, nigdzie indziej na świecie.

Wiodąc wzrokiem po olśniewających kolorach, kształtach, krzywiznach i liniach, zaczęła rozróżniać wirujące, łączące się ze sobą motywy: słońce opada w akwamarynowe morze, które wa-chlarzowato sięga między zielone palmy, wyginające się za plecami afrykańskiej matki. Murzynka idzie czerwonym szlakiem do dalekich fioletowych gór, na których szczytach leży srebrny śnieg.

- To przepiękne, Saro! Jak tyś to zrobiła, na Boga?

- Pracowałam nad tym prawie trzy tygodnie. Nie masz pojęcia, co na to poszło.

Debora nieomal drżała. Ten deseń był hipnotyczny. Postacie ludzkie były jak krajobraz, krajobraz przypominał ludzi. Deseń taki afrykański. Taki kenijski.

- Chcę z tego szyć suknie, Deb. Nawet wymyśliłam nowy fason. Pokażę ci.

Sara udrapowała materiał na sobie tak zmyślnie, że spływał fałdami będącymi kontynuacją przedstawianych na nim scen. Miała to być suknia z szerokimi rękawami, samym dołem rozkloszowanym, długa do podłogi. Krój prosty, a wytworny. Barwy podkreślały czerń zdrowej cery Sary i korony z jej warkoczyków a la rzędy kukurydzy.

- Myślisz, że kobiety będą to kupować?

- Tak, Saro. To jest oszałamiające.

Sara starannie złożyła swoje dzieło i zapakowała w brunatny papier.

- Wiesz, Deb, poszłam w Nairobi do zakładów włókienniczych Maridadi. Pokazałam im ten materiał i powiedzieli, że mogą dla mnie go produkować, jeżeli zagwarantuję zamówienie na niego. Rozumiesz, sama w żadnym razie nie mogłabym tego robić. Jedna suknia zajęłaby mi tygodnie. I musiałabym tak ją wycenić, że bardzo mało kobiet byłoby stać na taki wydatek. A Maridadi mogą na swoich maszynach puścić produkcję masową i będę miała z czego szyć. Tylko muszę mieć zagwarantowane zamówienia. Chodziłam po sklepach z konfekcją, ale nikt nie chciał dać gwarancji. Wpadnij na jakiś dobry pomysł.

Ale Deborze tylko jedna myśl się nasunęła: nie ma cioci Grace. Ciocia Grace by coś poradziła.

- Myślałam - powiedziała Sara - że może twój wuj mógłby sprzedawać moje suknie w domach myśliwskich. Wiesz, turystom.

- Wuj Geoffrey? - Deborze stanął przed oczami pałacyk safari Kilima Simba i mały butik z konfekcją importowaną z Ameryki. Przypomniała sobie, jak wuj niedawno narzekał, że rząd po to, by pobudzić przemysł krajowy, wprowadza ograniczenia importu. Mówił nawet, że butik trzeba zamknąć albo zmienić w sklep z krajowym rękodziełem.

- Oczywiście - zapewniła Sarę - takie suknie nadadzą się w jego domach doskonale. Turystom szalenie będą się podobały.

- Mam nadzieję, Deb - powiedziała Sara cicho.

- Muszę jutro pojechać do Nairobi zawiadomić profesora Muriuki, że nie skorzystam ze stypendium. Może wuj Geoffrey tam jest w swoim biurze. Pokażę mu twój materiał.

- Deb, dziękuję. Wiem, że to trudny czas dla ciebie.

- Staram się teraz być ciągle zajęta. Brać przykład z cioci Grace. Zapiszę się na wykłady, uporządkuję swoje życie. Poszły do drzwi frontowych, za którymi szkarłatne i łososiowe bugenwille były orgią kolorów w popołudniowym słońcu.

- Cieszę się, że nie jedziesz do Ameryki, Deb. Jestem w- domu, kiedy tylko będziesz mnie potrzebowała.

- Wrócę z Nairobi pojutrze. Proszę, przychodź, dotrzymuj mi towarzystwa. Może zechcesz pomieszkać u mnie przez jakiś czas? Jedną z sypialni miałybyś na pokój do szycia.

- Bardzo chcę, Deb. Dziękuję. - Znów się uściskały. - Cieszę się, że wyjdiesz za Christophera. Będziemy siostrami. Debora patrzyła na odchodzącą Sarę, na jej krok lekki i pewny, jak gdyby u nóg były skrzydła. Potem wróciła do saloniku, gdzie czekały szkatułki.

Nie chciała przeglądać ich zawartości teraz, wolałaby odłożyć to na później. Zaraz po pogrzebie Christopher powiedział, że chce się z nią spotkać nad rzeką w ich ulubionym miejscu. Ale wydawało się jej, że winna jest ciotce dopełnienie tego ostatniego obowiązku. Zeby nic nie zostało niezafatwione.

W ostatniej szkatułce znalazła listy. Dziwne, na kopertach nie było adresu. Gdy otworzyła jedną, list bez daty zaczynał się od słów: „Mój najdroższy Davidzie...”.

Odwróciła kartkę i zobaczyła podpis.

Mona.

Jej matka.

Otulona blaskiem słońca, zdrętwiała z tym listem miłosnym w ręce. Przypomniała sobie dzień przed dziesięciu laty, gdy zakradła się z Christopherem do sypialni dziadków w Bellatu i myszkowała w komodzie pełnej sekretów. I znalazła przepustkę Davida Madengeja, którą Christopher przechowuje po dziś dzień.

Spojrzała na ten list i na inne z pliku i znów się zastanowiła, dlaczego ta przepustka znajdowała się wśród rzeczy matki.

David Madengej i moja matka - kochankowie?

Jak w transie Debora przeczytała listy. Na żadnym z nich nie było daty.

„Dam te listy twojej matce - pisała Mona - tak jak mi powiedziałeś. A ona przekaże je Tobie. W tych strasznych czasach to moja jedyna pociecha, że łączy nas takie ogniwo”.

Niepojęte. Dlaczego te listy były w posiadaniu cioci Grace?

Debora czytała dalej. Słowa na bladym różowoniebieskim papierze z herbem Trevertonów przecież nie mogły wyjść spod pióra twardej, nieczulej Mony! Taką miłość, tyle oddania mogła przelać na papier tylko młoda kobieta pełna życia i namiętności; pisała przecież dokładnie to, co ona, Debora, czuje do Christophera.

Oczy jej napełniły się łzami. To okropne, rozłąka z ukochanym, ogólne potępienie za to, że się kocha mężczyznę innej rasy.

Nagle zapragnęła, żeby matka była z nią tutaj w saloniku i rozmawiała z nią, zawróciła z nią do czasów przed laty i żeby zaczęły wszystko na nowo. Wtedy by mogło być zupełnie inaczej!

Debora wiedziała, że David Madengej został zabity w okresie stanu wyjątkowego. Ale kiedy i gdzie, nie wiedziała. Tak samo nie znała okoliczności śmierci swojego ojca. „Umarł, zanim się urodziłaś” - mówiła matka i nic poza tym.



Czy mój ojciec też poniósł śmierć w okresie stanu wyjątkowego? - zastanawiała się Debora bardzo zaintrygowana. Czy matka poznała go, zanim zakochała się w Davidzie Madengeju, czy później?

Po raz pierwszy pomyślała o swoim ojcu z zainteresowaniem. Dotychczas zawsze wydawał się jej uśmiechniętym jakimś cieniem, który tylko przemknął przez życie matki. Nie ożenił się z Moną. Czy rzeczywiście Monę kochał? Dalej czytała te listy. W jednym huknął bezgłośnie grom zawiadomieniem o ciąży. Następne czytała szybko. Urodziła się córeczka, której Mona dała imię Mambi, Pierwszej Kobiety. Pisała Davidowi o ich pięknym „dziecku miłości”.

A potem już nic.

Pisanie listów najwyraźniej raptownie się skończyło, bo David już nie żył.

Debora zebrała je wszystkie i biedziła się ze zmarszczonymi brwiami.

Co się stało z tym dzieckiem? Gdzie teraz jest Mambi?

Matka nigdy nie mówiła o żadnym dziecku poza nią, Deborą. Ciocia Grace też nie mówiła. Czy Mambi ktoś adoptował? Czy Mambi umarła?

Debora nagle musiała to wiedzieć. Wstała i rozejrzała się po saloniku, jak gdyby odpowiedzi były ukryte w tym pokoju. Mogłaby napisać do matki. Ale tygodnie by minęły, zanim dostałaby odpowiedź. I matka chyba nie chciała wygrzebywać bolesnego epizodu z przeszłości, pisać o tym.

Kto jeszcze wie? Wuj Geoffrey, być może. Ale jeśli nie wie, nie powinnam mu wyjawiać sekretu matki.

Ciocia Grace wiedziała, ale ciocia Grace nie ma.

Debora wyszła na werandę. Jest jeszcze jedna osoba, która wie, co się stało z tym dzieckiem. Ostatecznie to matka Davida i kiedyś miała te listy u siebie.

Debora jednak wzdrygała się przed pójściem do niej. Zawsze bała się niejasno Meme Oczery, zawsze trochę się wiała, czując na sobie jej niezgłębione spojrzenie. Ale ta znachorka ostatecznie jest babką Christophera, powiedziała sobie teraz, i wkrótce będzie moją powinowatą.

I na pewno wie, co się stało z tym dzieckiem.

Idąc wydeptaną starą ścieżką pomiędzy boiskiem i rzeką, Debora czuła, jak rozpacz z wolna ustępuje miejsca podnieceniu. Nie jestem sama na świecie, ostatecznie. Istnieje możliwość, że to dziecko przeżyło i żyje. Mambi - przyrodnia siostra!

Meme Oczero na swoim *szembe* owijała słodkie kartofle liśćmi, podczas gdy na ogniu przed chatą bulgotało proso. Debora podeszła nieśmiało, odchrząknęła i wymamrotała tradycyjne powitanie w języku Kikuju. Znała ten język dobrze. Christopher ją nauczył.

Staruszka patrzyła na Deborę i twarz miała jak z kamienia. Nie odwzajemniła się powitaniem, nie zaproponowała piwa ani posiłku. Debora, orientując się, że tak obojętne przyjęcie jest szczytem niegrzeczności Kikuju, powiedziała szybko:

- Proszę, znalazłam wśród rzeczy mojej ciotki te listy. Muszę coś o nich wiedzieć. Myślę, że jesteś, pani Oczero, jedyną osobą, która może mnie oświecić.

Znachorka spojrzała na listy w jej rękach.

- Co chcesz wiedzieć?

- Moja matka pisała je do twojego syna, pani Oczero. Zawiadomiła go o dziecku, córeczce imieniem Mambi. To moja siostra, więc chcę wiedzieć, co się z nią stało. Czy wiesz, pani Oczero? Czy Mambi jeszcze żyje?

Bez drgnienia staruszka odpowiedziała:

- Nie wiem o żadnym dziecku.

- Ale to jest tutaj w tych listach. Moja matka zawiadamia Davi-da, że Mambi to jego córka. Nikt mi nigdy o tym dziecku nie mówił. Chyba wiesz, pani Oczero, co się z nią stało. Proszę, powiedz mi.

- Nie wiem o żadnym dziecku - powtórzyła Oczero. - Ty jesteś jedynym dzieckiem z łona twojej matki.

Debora zastanowiła się, czy nie spróbować inaczej. Może z pomocą Christophera...

- Ty jesteś jedynym dzieckiem z łona twojej matki - powtórzyła Oczero.

- Ale było drugie - nastawała Debora. - Ta, której na imię... -Urwała, spojrzała w zagadkowe oczy znachorki.

Po chwili spuściła wzrok na listy w swojej ręce. Nie było w nich dat. Ale wiedziała, że zostały napisane w czasie stanu wyjątkowego.

Urodziłam się, kiedy był stan wyjątkowy... Znowu podniosła wzrok na znachorkę.

- Co mówisz? - wyszeptała, nagle zziębnięta i przerażona. - Co mówisz?

Meme Oczero milczała.

- Powiedz mi! - krzyknęła Debora.

- Odejdź stąd - w końcu powiedziała staruszka. - Jesteś *tseha*. Jesteś przeklęta.

Debora zapatrzyła się w nią ze zgrozą.

- Czyja... - wyszeptała. - Czy ja jestem tym dzieckiem?

- Odejdź stąd. Odejdź z tej ziemi, gdzie nie twoje miejsce. Jesteś *tseha*. Jesteś tabu.

- To niemożliwe!

- *Tseha!* - wrzasnęła Oczera. - Jesteś dzieckiem niegodziwości! I spałaś z synem twojego ojca!

- Nie! - krzyknęła Debora. - Mylisz się!

Cofnęła się i potknęła. Odwróciła się i rzuciła do ucieczki.

## *Rozdział 60*

Cztery czarne dziewczyny stały swobodnie, pewne siebie, jak każdy, kto wie, kim jest i dokąd zmierza. Uczesane były według nowej mody afro w fale drobnych czarnych kędziorków. Miały suknie z bardzo wzorzystej nigeryjskiej tkaniny z gęstym haftem z białego jedwabiu na rękawach i przy dekoltach, do tego ogromne kolczyki - koła, rzędy miedzianych bransolet i naszyjników z drewna i żelaza. Nosiły imiona takie jak Dara, Fatma czy Rashida. Mówiły szybko, znały się na polityce, były szykowne i piękne. I kilka tygodni temu wykluczyły Deborę Treverton ze swojego grona.

Teraz Debora patrzyła na te cztery z drugiego końca wielkiej sali rekreacyjnej, rozbrzmiewającej gwarem gwiazdkowej zabawy. Oczy jej zdradzały, że im zazdrości, dezorientowana i samotna. Pełna dobrej woli, spróbowała się z nimi zaprzyjaźnić, ale odkryła, że między nią i tymi Afro-Amerykankami jest przepaść nie do przebycia. Początkową nadzieję, że znajdzie w nich coś z Sary, straciła we wrześniu, gdy w trzecim tygodniu swego pierwszego roku w kalifornijskim college'u zgłosiła chęć przystąpienia do nich.

„Przeciwniczki Represji to zgrupowanie czarnych kobiet -oświadczyła ta, która nazwała się Rashida, chociaż rzeczywiście było jej na imię La Donna. - Dlaczego chcesz być z nami?”

I jak tu wyrazić uczucie utraty, potrzebę przynależności do czegoś i to, że one przypominają Sarę. Jak wyrazić samotność w tym oszałamiającym nowym kraju?

Stany Zjednoczone wydawały się Deborze obce i wrogie. Wyobrażała sobie, że taka właśnie musiała się wydawać Kenia pierwszym białym przybyszom. Język, chociaż angielski, był niezrozumiały, bo przeważał slang. I Debora nie pojmowała złożonych reguł społecznych tak zupełnie innych niż w Kenii. Tyle tych nawar-

stwionych subkultur, wśród których Amerykanie poruszali się najwyraźniej bez trudu. Szukała kącika dla siebie w tym nieznanym, niepojętym kraju, gdzie podobno jest miejsce dla każdego. Więc po prostu odpowiedziała Rashidzie: „Dlatego, że jestem czarna”.

Ku jej zdumieniu one to uznały. Nawet mając jedną tylko kroplę czarnej krwi - wyjaśniły - jest się w szeregach uciśnionych. I przyjęły ją jak siostrę. Na razie.

Ale Debora wkrótce się dowiedziała, że czarna skóra nie czyni z nich Afrykanek. Chociaż nieugięte uważały się za Afrykanki, nie widziała żadnych cech swoich przyjaciółek Kikuju w tych obytych, agresywnych, nienawidzących mężczyzn dziewczynach, które bez skrępowania, aż ją to gorszyło, mówiły o aborcji, o seksie, o zniewieściałości Murzyna amerykańskiego. Nic a nic z afrykańskiej naiwności, z poważnego szacunku dla starszych, z kobiecej skromności Kenijek. Te były gniewne i walczyły ze wspólnym wrogiem -w przekonaniu Debory nie aż tak groźnym, jak twierdziły - a mianowicie: z białym samcem.

Jednak Debora usiłowała trzymać się ich, zachować wśród nich swoje miejsce, bo miejsce było jej potrzebne tak samo jak zaporę chroniącą przed przemożnymi falami bólu, które napływały niebezpiecznie na sam brzeg jej nowego lądu.

Wyjechała z Kenii, nie żegnając się ani z Christopherem, ani z Sarą.

Ktoś w przejściu ją potracił, chlusnęło z jej szklanki trochę coca-coli. Cofnęła się do ściany, żeby możliwie jak najmniej zawadzać, a przecież nadal pozostawać w tłumie. Gwiazdkowa muzyka dudniła z zawieszonych wysoko megafonów. Długie stoły uginały się pod obfitością zakąsek. Na paleniskach kominków w dwóch końcach sali buzował ogień, chociaż był to ciepły balsamiczny wieczór południowokalifornijski i Boże Narodzenie obchodzili wszyscy w letnich strojach.

Stojąc przy ścianie, Debora patrzyła na hałaśliwy, radosny tłum o niezliczonych twarzach i coraz bardziej kołowało jej w głowie, jak gdyby miała przed sobą kręcącą się coraz szybciej karuzelę.

Nie przywykła do tłumów. Na uniwersytecie w Nairobi wykłady odbywały się dla niedużych grup; studenckie zebrania cechowała zażyłość. Natomiast to postępowe miasteczko akademickie nad Pacyfikiem liczyło chętnie dwadzieścia tysięcy studentów i wydawało się Deborze, że na dzisiejszej zabawie gwiazdkowej są wszyscy co do jednego.

Nie tylko tłumy i tempo kalifornijskiego życia przyprawiły De-borę o wstrząs, odkąd wyjechała z Kenii i znalazła się w tej obcej kulturze. Bardzo wielu rzeczy nie rozumiała i lękała się, że nigdy nie zrozumie - miejscowe dowcipy, aluzje, które chwytało w lot, do niej nie trafiały. Kiedyś zapytała, gdzie jest Strefa Zmierzchu, i wywołało to ogólny śmiech. Oczywiście, nie знаła takiego określenia homoseksualizmu. Odtąd nie zadawała pytań. W końcu odkryła, że w dużej mierze życiu kalifornijskiemu nadaje ton telewizja, zjawisko dotychczas jej nieznane. Czuła się tak, jakby nie dostała swojego kawałka z tortu historii, czy też jakby była jakimś drugim Ripem Van Winkle i przespała rewolucję. Wiele tego, co zauważała i słyszała, wydawało się jakoś związane z telewizją albo z telewizji się wywodzące - język, dowcipy, maniery, nawet moda i jedzenie.

Ale ku jeszcze większemu jej oszołomieniu ci sami ludzie, którzy dryfowali na głęboko zarzuconej kotwicy kultury telewizyjnej, stanowczo twierdzili, że telewizji nigdy nie oglądają.

Cztery Afro-Amerykanki zaczęły nagle się śmiać. Stały jak gwiazdy filmowe u szczytu powodzenia, swobodne w poczuciu swojej czerni i wyższości. To właśnie ta, która przybrała imię Fatma -rzeczywiście Frances Washington - wykluczyła Deborę z ich grona.

Fatma była najbardziej wojownicza. Należała do Czarnych Panter i przyjaźniła się z Angelą Davis. Wygłaszała przemówienia, wypowiadała się o trzech stuleciach prześladowań rasowych.

„Dlaczego biali mężczyźni odnoszą się do nas, jakbyśmy były jadalne? - wykrzykiwała kiedyś na zebraniu sióstr. - Poczytajcie ich powieści! Posłuchajcie, jak mówią! Opisuje się czarną kobietę o skórze jak kawa z mlekiem, kakao, czekolada, lukrecja, cukier brunatny! A my jesteśmy czarne! Nie jesteśmy do skonsumowania!”.

To właśnie Fatma zagadnęła pewnego dnia Deborę, od niedawno na będącą w ich grupie. Skąd ona bierze pieniądze - zapytała - na swoje tak kosztowne studia. Zakładała, jak wszystkie inne, że Debora przyjechała z Anglii, ze zdumieniem więc dowiedziała się, że to stypendystka Uniwersytetu Uhuru w Kenii.

„Przecież - powiedziała - te stypendia są dla Afrykanów!”.

„Ja jestem Afrykanką. Urodziłam się w Kenii”.

„Ale te pieniądze były przeznaczone dla czarnych studentów”.

„Jestem na pół czarna”.

Czarna, ale niewystarczająco - powiedziały zimne oczy Fatmy.

„Chyba wiesz, o czym mówię. Te pieniądze były przeznaczone dla naszych uciskanych braci i sióstr. Dla studentów, którzy potrzebują naszej pomocy”.

„Ja potrzebuję pomocy. Nie mam pieniędzy, nie mam rodziny. I dostałam to stypendium sprawiedliwie.

Współzawodniczyłam z tysiącem pięciuset osobami”.

„Powinnaś była odstąpić je którejś czarnej siostrze”.

„Dlaczego?”.

„Dlatego, że masz przywileje, jakich ona nie ma”. „Jakie przywileje?”. „Jesteś biała”.

Wtedy już kenijska opalenizna Debory zjaśniała na kolor ciem-nozłocisty, a krótkie kędzierzawe włosy, rosnąc, prostowały się. Debora zdała sobie sprawę, że Afro-Amerykanki nie uważają jej za siostrę, bo brak jej tego koniecznego wyglądu. Ale w duszy jestem Afrykanką, chciała wykrzyknąć. Jestem bardziej Afrykanką niż każda z was! Moim ojcem był David Madengej, wielki bojownik Mau-Mau walczący o wolność!

Patrzyła teraz, jak one idą wśród tłumu pewne siebie, butne, prawie bezczelne. Jeszcze dziesięć lat temu może by ich nie przyjęto na ekskluzywny uniwersytet. Ale dzisiaj wszyscy, wydawało się Deborze, pragną w tej erze nagłego rozkwitu liberalizmu, zabiegać o ich przyjaźń.

Była kiedyś na małym przyjęciu w mieszkaniu Dary, gdzie siostry i kilka symbolicznych białych manifestowały koleżeństwo mię-dzyrasowe. Wtedy to poznała smak kalifornijskiego wina, wypila za dużo i skończyło się na tym, że obraziła oba obozy zabawną historyjką ciotki Grace o ich dawnym czarnym służącym.

„Ciocia pewnego dnia przyłapała go w kuchni, kiedy utaczał klopsiki na nagiej piersi i palcami wstrzeliwał je do rondla”.

Śmiała się z tego, ale szybko przestała się śmiać, widząc twarze swoich słuchaczek. I zaległa cisza z muzyką „Hair” na stereo w tle.

Po chwili Dara zapytała:

„Dlaczego mówisz o nim: nasz służący?”.

Debora nie wiedziała, co odpowiedzieć.

„Wydaje mi się - powiedziała któraś z nich - że kenijscy imperialiści wcale się nie różnią od rodezyjskich i południowoafrykańskich. Skurwysyny rasiści, wszyscy tacy sami”.

Debora chciała im wyjaśnić, że się mylą. Kenia to co innego. No, wprawdzie wuj Geoffrey jest rasistą, ale ciocia Grace i mnóstwo ludzi nigdy rasistami nie byli i w Kenii spotyka się o wiele mniej bi-goterii rasowej niż w tym pretensjonalnym kraju, gdzie ludzie zmieniają sobie imiona, wkładają teatralne kostiumy i przez jeden wieczór udają życzliwość, bo taki panuje trend. Rozgniewała się.

Chciała tym „siostram” powiedzieć, że do Afrykanek im daleko, są tylko śmieszną parodią. Sara na pewno by ich nie uznała za siostry! „Afrykańskość” zaraz by im obrzydła, gdyby wiedziały, że dla kobiety w Afryce oznacza władzę ojca i męża, pracę na polu, rodzenie dzieci jednego po drugim, dźwiganie ciężarów w zastępstwie zwierząt jucznych. Potem nagle Debora pomyślała o Sarze i jej pięknej tkaninie, i daremności wysiłków, żeby uzyskać kredyt na produkcję. Pomyślała o Christopherze, o ich domu nad rzeką Chania.

Rozpłakała się. Taki był finał przynależności do ruchu czarnych kobiet.

Ale w innych zgrupowaniach uniwersyteckich - koalicjach postępowej białej młodzieży, gdzie nie osądzano człowieka po kolorze skóry, ubraniu i sposobie mówienia - Debora również mogła znaleźć swoje miejsce. Tam zaczęła szukać panaceum na samotność i poczucie wyobcowania. Tylko że to również zawiodło.

- Cześć - usłyszała czyjś głos.

Odwróciła się i zobaczyła uśmiechniętego brodacza. Widywała go na terenie uniwersytetu, widywała go w tysiącu wydań. Brał udział w marszach antywojennych, wymigiwał się od służby wojskowej, zastanawiał się, jakim cudem Nixon został prezydentem, kiedy on i dziesięć milionów jemu podobnych stanowczo twierdzą, że na Nixona nie głosowali.

- Miła zabawa, co?

Uśmiechnęła się sztucznie. On stał za blisko. Czowała się jak w pułapce. I ten ból, który nosiła ze sobą wszędzie jak ciemny mały klejnot, już zaczynał ćmić bardziej.

- Więc - powiedział on - studiujesz tutaj? -Tak.

-Co?

- Medycynę.

- Nie żartuj. Ja filozofię, chociaż nie wiem, po kiego licha. Medycynę, ha? I co potem?

-Nie wiem. - Żyję dzisiejszym dniem, pomyślała.

- Podoba mi się twój akcent. Jesteś z Anglii?

- Nie. Z Kenii.

- Nie żartuj. Mój kuzyn tam był z Korpusem Pokoju. Niedługo wytrzymał. Za brudno, mówił, nie wiem, czy w ogóle jacyś biali jeszcze zostali w Kenii. Czy to nie tam było powstanie Zulusów dwadzieścia lat temu?

- Mau-Mau - powiedziała.



Wzruszył ramionami.

- Na to samo wychodzi. Hej, chcesz, to ci przyniosę coś do przekąszenia? Mają tu super gulasz, wprost niewiarygodny. Hej! Dokąd idziesz?

Debora uciekła, przepychając się przez tłum do dwuskrzydłowych drzwi, które prowadziły na patio. Rzuciła się w ciepłą kalifornijską noc.

Przebiegła przez trawnik, usiadła na ławce i teraz oczy jej napełniły się łzami. Czuła, jak ten ciemny klejnot bólu powiększa się w niej, kaleczy ostrym szlifem swoich ścianek, i jak cudzoziemska noc wokoło się zacieśnia. Dusza kraju, niebędącego jej krajem, podkrada się, oceniają, decyduje, czy pozwolić, czy nie pozwolić jej zostać.

Nie wolno mi kochać ciebie, Christopher. Nie wolno mi już nawet myśleć o tobie w taki sposób...

W końcu Debora nie powstrzymała łez. Płakała tak jak prawie co dzień od wyjazdu z Kenii, od dnia, w którym znalazła listy matki. Niewiele pamiętała z tego, co nastąpiło później. Ze słowami Oczery, brzmiącymi jej bezustannie w uszach, jakoś wróciła do misji i zatelefonowała do radcy prawnego ciotki.

„Chcę przekazać ten dom zakonnicom - powiedziała mu. -I chcę, żeby pan sprzedał Bellatu możliwie jak najszybciej. Nieważne, za jaką cenę. I wszystko, co jest w Bellatu. Wyjeżdżam z Kenii, nigdy nie wrócę”.

Nawet na tę ostatnią noc nie została w misji. Pośpiesznie spakowała rzeczy i pojechała do Nairobi, skąd po strasznych nocnych godzinach w hotelu Norfolk odleciała pierwszym porannym samolotem do Los Angeles.

Pozwolono jej zamieszkać wcześniej w domu akademickim. Tam spędziła tydzień samotna, z dzikim zamętem w głowie. A potem zaczęły się już wykłady i dała się ponieść prądom studiów, nowego trybu życia.

Usiłowała pisać listy do Christophera i Sary, ale daremnie. Christopherowi w żadnym razie nie mogła wyznać prawdy. Kazirodztwo jest dla Kikuju jednym z najgorszych, najstraszliwszych tabu. To by go dręczyło do końca życia, to by go unieszczęśliwiło.

Ani też nie zdołała napisać do Sary. Zostawiła ten piękny kupon materiału u siostry Perpetui z prośbą o zwrócenie go Sarze Maden-gej. Sama już się z Sarą nie zobaczyła.

Ktoś szedł przez trawnik. Debora wiedziała, kto. Pam Weston. Oby nie zauważyła jej samotnej na ławce. Poczuli ulgę, widząc, jak Pam wchodzi do sali.

Pam Weston była jedną z nowych liberalnych koleżanek Debory.

„Boże - powiedziała kiedyś wieczorem w stołówce - dziewictwo to tylko stan umysłu. Dziewczyny już się nie oszczędzają z myślą o małżeństwie. A jeśli któraś się oszczędza, to po prostu się ludzi. Pozwala sobą manipulować szowinistycznej tyranii mężczyzn”.

Te słowa padły trzy tygodnie temu, gdy Debora siedziała przy kawie z nowymi koleżankami. One o wiele łatwiej ją akceptowały niż wojownicze czarne dziewczyny, ale i tak przynależność do nich była uwarunkowana.

„I jeśli któraś goli sobie nogi, to po prostu nie jest wyzwolona” -dorzuciła Pam i wszystkie jej przytaknęły.

Wydawały się dziwne Deborze. Nigdy dotąd nie słyszała o wyzwoleniu kobiet. Wiadomości ze świata późno docierały do Kenii i podlegały rządowej cenzurze. Te Amerykanki, sądząc po akcencie Debory, że przyjechała z Anglii, zdumiewały się, gdy odkryły jej ignorancję. Debora nie wiedziała nic o Glorii Steiner i Betty Friedan, nie miała pojęcia, co to jest męski szowinizm. Wydawała się im paradoksem; z jednej strony biała, inteligentna, umiejająca się wysłowić, z drugiej strony beznadziejnie naiwna prowin-cjuszka.

„Przyjrzyj się modzie damskiej na przestrzeni historii - wykladała jej Pam Weston - a zobaczysz, w jakiej byliśmy niewoli. Gorsety, fiszbiny, obowiązkowe osiemnaście cali w talii! Ale nareszcie kobiety się budzą i ubierają tak, jak chcą. Już nie będziemy wydane na pastwę szowinistycznych projektantów mody”.

„Moja przyjaciółka - zaryzykowała Debora - projektuje najpiękniejsze sukienki. Nawet sama batikuje swoje materiały”.

„Wprost kocham batik - powiedziała dziewczyna w kurtce „marmurek” studiująca zarządzanie. - Próbowałam batikować, aje kolory mi się rozlewały”.

„Sara nauczyła się to robić. Ma do tego taki dryg! Jej materiały to rzeczywiście dzieła sztuki. Nie zdziwię się, jeżeli kiedyś będzie sławna”.

„Czy uszyłaby coś dla mnie? - zapytała ta z zarządzania. - Zapłaciłabym, oczywiście”.

„No, Sary tu nie ma. Jest w Kenii”.

„Aha, batik afrykański. Jeszcze lepszy!”.

„Co ta twoja przyjaciółka robi w Kenii? - zapytała Pam Weston. - Jest w Korpusie Pokoju?”.

„Mieszka tam”.

„Biali eksploatowali Afrykę dostatecznie długo - zaopiniowała studentka nauk politycznych. - Ona powinna zostawić Kenię Kenijczykom”.

„No - powiedziała Debora. - Sara nie jest biała”.

Wszystkie spojrzały na nią.

„Twoja przyjaciółka jest czarna? - zapytała Pam Weston. - Dlaczego mówisz to dopiero teraz? Czy może wstydzisz się tego?”.

Debora nie odpowiedziała. One po prostu nie rozumieją. Skwapliwie demonstrując tolerancję rasową, te liberalne dziewczyny tylko pogłębiają świadomość koloru skóry. Nigdy dotąd nie zdarzyło się Deborze widzieć Christophera i Sary inaczej niż jako przyjaciół, jako ludzi.

Właśnie wtedy pojęła, że się nie dopasuje. Czarni nie będą jej akceptować, biali nie będą jej rozumieć. Jest skazana na włóczęgę w jakiejś rasowej otchłani. Amerykańskie zwyczaje nie są jej zwyczajami. Historia i dialekty Ameryki są dla niej cudze. Jest dziewczyną bez rasy, bez kraju, i teraz w końcu bez rodziny.

Nie będę mogła nigdy wrócić do Kenii. Nie wolno mi już nigdy zobaczyć Christophera. Ciocia Grace umarła. Jestem sama. Muszę zbudować sobie życie tutaj wśród obcych, w świecie, w którym się nie urodziłam.

- Hej! Mogę usiąść przy tobie?

Debora podniosła wzrok. Stała przed nią dziewczyna w golfie i džinsach. Chyba znajoma.

- Jesteśmy razem na fizjologii - powiedziała dziewczyna. - Widuję cię na wykładach. Ann Parker - przedstawiła się.

- Usiądę.

Debora przesunęła się na ławce.

- Nie wiem, dlaczego przyszłam na tę zabawę. Chyba dlatego, że w akademiku tak pusto i smętnie, wszystkie pojechały do domu na ferie. Ale do takich tłumów, jak tutaj, nie przywykłam.

Debora się uśmiechnęła.

- Ja też.

- Jestem z małego miasteczka na Środkowym Zachodzie, więc rozumiesz.

- Gdzie jest Środkowy Zachód?

- Dobre pytanie! - Ann parsknęła śmiechem. - Czasami się zastanawiam, czy to nie błąd, że przyjechałam na ten uniwersytet. Jest większy niż moje miasteczko, czasami mnie to przeraża.

- Wiem, jak się czujesz. Ann się uśmiechnęła.

- Podoba mi się twój akcent - powiedziała. - Jesteś z Anglii? Debora ujrzała złocistą sawannę Amboseli i sylwetki masajskich pasterzy na tle lazurowego nieba. Poczła zapach zieleni i dymu, i leśnych kwiatów nad rzeką Chanią, usłyszała brzękanie dzwonek kóz i piskliwą szybką gadaninę kobiet Kikuju na *szem-be*. Znalazła się w mocnych objęciach wojownika, którego nie wolno jej było kochać.

- Tak, jestem z Anglii - odpowiedziała i spojrzała na zegarek. Pozwoliła sobie pomyśleć po raz ostatni, że w tej właśnie chwili na drugiej półkuli słońce wschodzi za górą Kenya.

CZEŚĆ DZIEWIĄTA  
TERAŹNIEJSZOŚĆ

## Rozdział 61

Debora zatrzymała wzrok na ostatnim zapisie w dzienniku Grace z datą 16 sierpnia 1973 roku.

*Debora jest zakochana w Christopherze Madengeju. I wierzę, że on ją kocha. Nie wyobrażam sobie nikogo, kogo bym wolała na męża dla mojej Debory i modłę się, żeby dożyć ich ślubu, móc dać im moje błogosławieństwo na długą szczęśliwą wspólną przyszłość.*

To były ostatnie słowa, które Grace napisała w dzienniku. Tamtej nocy umarła.

Zamykając dziennik i kładąc go na łóżku, Debora wyprostowała obolałe nogi. Podeszła do okna. Gdy rozsunęła zasłony, poraził jej oczy niespodziewany blask słońca. Przerażona odkryciem, że już jest dzień, szybko zasunęła zasłony. A więc czytała przez całą noc, nie zdając sobie sprawy z mijania czasu.

Odwróciła się od okna i usiadła na niedużej sofce uzupełniającej umeblowanie tego hotelowego pokoju. Oparła stopy na stoliku, odchyliła się i wlepiała oczy w sufit. Z korytarza za drzwiami słychać było: turkot wózków, rozmowy służby hotelowej w języku suahili, co pewien czas hałas wind. Za zasłoniętymi oknami Nairobi buchało kakofonią ruchu kołowego, klaksonów, pokrzykiwań ludzi na ulicy.

Debora objęła się ramionami. Łzy stanęły jej w oczach.

Za wiele tego, tej historii rodzinnej. Czowała się tak, jakby nastąpił potop, jakby płynęła w burzliwych odmętach.

Odpowiedzi czekały przez cały czas - odpowiedzi, po które kiedyś poszła do Oczery w sprawie tamtego dziecka, dziecka miłości Mony i Davida. Przez te wszystkie lata czekały w tym dzienniku wypisane ładnie, wyraźnie ręką Grace.

*Cztery ludzkie istnienia zabrali nam Mau-Mau tamtej nocy -mojego ukochanego Jamesa, Maria, który służył u mnie od początku, Dauida Madengeja i tę dziecinę stratowaną...*

I dwie stronice dalej:

*Mona jest znowu w ciąży. Mówi, że to dziecko Tima Hopkinsa, błąd, który popełniła w rozpacz, odchodząc od zmysłów, nie wiedząc, co robi...*

Łzy spływały, gdy te słowa zapadały Deborze w świadomość. Nie jestem dzieckiem miłości. Tylko błędu.

Podciągnęła i objęła kolana. Pochyliła głowę i cicho płakała. Ktoś zapukał do drzwi.

Podniosła głowę. Słyszając szcęknięcie klucza w zamku, zerwała się i podbiegła.

Przed drzwiami stał pokojowy z naręczem świeżych ręczników, ze szczotkami i odkurzaczem na wózku.

Uśmiechnął się przepaszająco i na migi wyjaśnił, że chce posprzątać w jej pokoju.

- Nie, dziękuję - powiedziała po angielsku i widząc, że on nie rozumie, powtórzyła to w suahili.

Uśmiechnął się znowu, uklonił i odszedł ze swoim wózkiem. Poszukała tabliczki: „Proszę nie przeszkadzać”.

Znalazła tabliczkę USISUMBUE i wywiesiła ją na klamce na zewnątrz.

Oparła się o drzwi i zamknęła oczy.

Dlaczego ja tu jestem? Po co przyjechałam?

Hałas za oknami zdawał się jak fale bić w szyby. Słyszała zew Nairobi, ale nie chciała go słyszeć. Nagle się złąła.

„Boisz się czegoś” - szepnął głos w jej pamięci. Jonathan pół roku temu zapytał: „Dlaczego ode mnie uciekasz? Czy boisz się mnie, Debbie, czy tylko boisz się zaangażować?”.

Spróbowała wyczarować Jonathana Hayesa, powołać go ciałem i duszą do życia tutaj, w tym pokoju. Spróbowała sobie wyobrazić, jak pn by teraz, w tej chwili, rozmawiał z nią, wyciągał ją na zwierzenia, pomagał jej wyjść z labiryntu, w którym się zgubiła. Czerpała pociechę z myśli o Jonathanie, spokój z jego urojonej obecności. Ale jako widmo Jonathan był zanadto rozrzedzony. I gdy z korytarza doleciały donośne głosy, zniknął.

Wydawało jej się, że jest rozdarta i rozrzuciona na kuli ziemskiej. Połowa tutaj w Afryce Wschodniej, druga połowa kręci się bezcelowo wokół Jonathana w San Francisco. Od swoich początków w Ka-

lifornii piętnaście lat temu, gdy na oślepiec uciekła przed faktem zbyt brutalnym, by zdołała się z nim zmierzyć dziewczyna tak młoda i niezahartowana, prowadziła przepołowioną egzystencję, fastrygując swoją tożsamość, kiedy tylko i gdzie tylko mogła.

„Właściwie skąd w Cheshire pani pochodzi?” - zapytał Jonathan w tamto popołudnie, gdy się poznali. Była wtedy nowa w zespole, przydzielona do asystowania Jonathanowi przy operacjach. I ku swemu zdumieniu nagle mu się przyznała, że naprawdę pochodzi z Kenii, a nie z Anglii.

Patrząc wstecz wiedziała, co w niej zbudziło tak niespodziewanie uczciwość. Sam Jonathan. On ma w sobie, w swoich dużych piwnych oczach coś, co patrzy w głąb duszy i współczuje jak ksiądz, pomyślała, gdy rozmawiała z nim po raz pierwszy. Na wszystkich takie sprawiał wrażenie doktor Jonathan Hayes. Ludzie zwierzali mu się ze swych miłości i lęków, a on słuchał anielsko cierpliwie.

Co nie znaczy jednak - jak Debora się przekonała w ciągu tych dwóch razem przeżytych lat - że on odkrywa własne serce. Jonathan nie okazywał uczuć, starannie je trzymał na wodzy pod powierzchnią „pana doktora”: zrównoważonego, nie przejmującego się niczym.

I właśnie dlatego ten jego nagły impulsywny pocałunek na lotnisku - kiedy? wczoraj? przedwczoraj? - tak ją zaskoczył. Zadrżała i odkryła, że marznie.

Chociaż włosy jej dawno wyschły, nadal była w samym płaszczu kąpielowym. Ale decyzja, żeby się ubrać, przekraczała jej możliwości. Christopher, pomyślała w końcu. On przecież nie jest moim bratem.

Dotąd walczyła, żeby o nim nie myśleć. Z chwilą gdy zamknęła dziennik, odwróciła się od tego, czemu musiała stawić czoła. Teraz doznała uczucia, że podłoga usuwa się jej spod nóg. Chwyciła się klamki, żeby nie upaść. To, czemu tak usilnie przez piętnaście lat zadawała kłam, już nie istnieje.

Nie jestem córką Davida Madengeja. Nie należę do kenijskiej rasy czarnej.

To zapierało dech. Zdołała odejść od drzwi, trafić do łazienki. Zapatrzyła się w swoje odbicie w lustrze, w twarz, na której tysiące razy wypatrywała śladów swego rzekomego pochodzenia. Jakże często tak siebie badała.

Drobiazgowo studiowała swoje rysy w poszukiwaniu afrykańskiego tropu, modląc się przy tym, żeby go nie było, żeby nikt nie podejrzewał.



Po omacku oparła się o krawędź umywalni.

Uciekłam bez powodu. Żadnej zbrodni nie popełniłam. Wolno mi było kochać Christophera. Mogłam zostać.

Łzy znowu wezbrały. Poczula się jak w sidłach. Jonathan by jej pomógł wziąć się w garść, opanować ten zamęt. Ale Jonathana tu nie ma. Jest tylko szydercze odbicie białej kobiety w lustrze.

Wyszła z łazienki i podeszła do łóżka. Podniosła fotografie: Valentine na kucu polo. Lady Rose ogląda się przez ramię. Ciocia Grace za młodu. Czworo białych dzieci w blasku słońca. Popatrzyła teraz na trzy ostatnie fotografie. Pośpiesznie uciekając z Kenii tak dawno temu, zabrała tylko trochę pamiątek - dziennik Grace, listy miłosne, garść migawkowych zdjęć. Owinęła to papierem, owiązała sznurkiem i tak trzymała przez piętnaście lat. Nie wiedziała, czym są dla niej te trzy pozostałe fotografie ani dlaczego je zabrała, ale teraz, mając je w ręce, poczuła dziwną tęsknotę. Tęsknotę do przeszłości.

Terry Donald, prawa noga na ubitym nosorożcu, w prawej ręce sztucer. Taki jak wszyscy mężczyźni w jego rodzinie: przystojny, męski, promieniuje tą męskością i pewnością siebie, opalone, przesycone safari trzecie pokolenie urodzonych w Kenii.

Z kolei spojrzała na Sarę. Sara była jeszcze dziewczynką na tym zdjęciu, jeszcze nieuczesana w „rzędy kukurydzy”, uśmiechała się niepewnie, podlotkowato. W mundurku szkolnym jakoś wzruszająco niewinna. To zdjęcie przypominało czasy mniej skomplikowane, lepsze czasy.

I ostatnia fotografia: Christopher stojący na brzegu rzeki wśród plam słonecznego blasku. Christopher w ciemnych spodniach i białej koszuli z rękawami podwiniętymi. W okularach przeciwsłonecznych, uśmiechnięty. I bardzo, bardzo urodziwy.

Debra patrzyła na niego zdziwiona. Tabu już nie ma. Mogę znów go kochać. ^

I zadała sobie pytanie: Co mam teraz zrobić?

Spojrzała na aparat telefoniczny stojący na szafce nocnej. Przypomniała sobie, że w misji zakonnice spodziewają się jej przyjazdu. Powinnam zadzwonić do nich, powiedzieć, że tu jestem.

Ale gdy wzrok jej się przesunął na niebieską książkę telefoniczną, zdrętwiała, ogarnął ją jakiś niewysłowiony lęk.

Jak gdyby do tego bezpiecznego hotelowego pokoju coś nagle wtargnęło. Zasunięte zasłony, drzwi zamknięte na klucz miały nie dopuszczać żadnych zagrożeń. Ale zagrożenia tu jednak były przy niej w tym pokoju. W tej książce telefonicznej z oślimi uszami.

Sięgnęła po książkę, myśląc o tych wszystkich ludziach, których ta książka może zawiera i którzy mogą otworzyć jej drogę w przeszłość.

Poczuła dziwne podniecenie. Jak gdyby wyruszała w podróż.

Znalazła pozycję: Agencja Turystyczna Donalda.

Gdy uciekła z Kenii, zerwała wszystkie łączące ją z Kenią więzi. W ciągu piętnastu lat starannego budowania nowego życia i tworzenia nowej siebie, odwróciła się od kochanych swojskich imion i nazwisk kenijskich.

Zdecydowała w swojej niedojrzałości, że skoro nie może mieć Christophera, to nie chce już znać nikogo stamtąd.

Tak jak Madengejów, wykluczyła Donaldów.

Poszukiwanie w książce telefonicznej zaowocowało odkryciem, że Dom Safari w Amboseli jest nadal otwarty i cztery jeszcze takie ośrodki Donalda są w Kenii. Natrafiła na reklamę. Był to minibus volkswagen, wesoło pomalowany w pasy zebry, i poniżej napis: „Wycieczki Donalda, największa flota bezpiecznych autobusów i pewnych kierowców w całej Afryce Wschodniej”.

A więc tak. Oni nadal są tutaj i najwidoczniej dobrze im się powodzi. Donaldowie. Potomkowie nieznanego jej sir Jamesa, którego ciocia Grace kochała.

Nagle Debora zapragnęła znów zobaczyć się z Terryem. I z wujem Geoffreyem, i z wujem Ralphem. Teraz ni stąd, ni zowąd oni wydawali się kimś więcej niż tylko starymi przyjaciółmi, ni stąd, ni zowąd Donaldowie stali się jej rodziną.

Rodzina, pomyślała podniecona. Po tylu latach ktoś, z kim będzie można porozmawiać o dawnych czasach, ktoś, kto ją zna i rozumie.

Ale teraz bała się odwracać stronicie książki telefonicznej. Przerazała ją możliwość, że zobaczy wydrukowane nazwisko Christophera, numer jego telefonu. On byłby wtedy za blisko. Wystarczyłoby podnieść słuchawkę, nakręcić...

W końcu odwróciła te stronicie. Ręce jej się trzęsły. Wielu było Madengejów. Może ze trzydziestu. Wodziła palcem po tym spisie. Madengejowie przesuwali się szybko, z imionami od Barnaby do Ezekiela.

Przeczytała te imiona jeszcze raz uważniej. Od początku do końca i znów od początku. Ale Christophera wśród nich nie znalazła.

Czy to znaczy, że nie ma go w Kenii?

Sary Madengej były trzy. Ale czy Sara nie wyszła za mąż? Miałaby teraz inne nazwisko.

Zmogło to wszystko Deborę. Lot odrzutowcem, zmiana czasu, dwie doby bez snu, osiemnaście godzin bez posiłku - teraz to ją dopadło. Wyczerpanie fizyczne w połączeniu ze wstrząsem, jakiego doznała, sprawiło, że poczuła się pokonana. Odłożyła książkę telefoniczną, ukryła twarz w dłoniach.

Znalazła się w pustce, rozciągającej się znikąd donikąd. Jak gdyby odbywając długą podróż, musiała wysiąść z pociągu na opuszczonej stacji na odludziu. A przecież wiedziała, że trzeba jechać dalej, tylko dokąd?

Dlaczego, och, dlaczego Meme Oczerza mnie wzywa?

Gdy telefon zadzwonił, wykrzyknęła.

Zapatrzyła się w aparat, pomyślała w swoim zmęczeniu irracjonalnie, że to ci, których szukała w książce telefonicznej, nagle się zmaterializowali i teraz do niej dzwonią.

Po chwili z westchnieniem podniosła słuchawkę.

-Halo?

- Debbie? Cześć. Czy mnie słyszysz?

- Jonathan. - Posłuchała trasków i wycia na tej dalekiej linii. -Jonathan, czy to ty?

- Boże, Debbie! Już byłem niespokojny! Kiedy tam przyleciałaś? Dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś?

Spojrzała na swój podróżny budzik na nocnej szafce. Czy możliwe, że jej samolot wylądował zaledwie czternaście godzin temu?

- Przepraszam, Jonathanie. Byłam bardzo zmęczona. Zasnęłam.

- Dobrze się czujesz? Wydajesz się dziwna.

- Bo źle słyhać. I ta zmiana czasu. U ciebie wszystko w porządku, Jonathanie?

- Tęsknię.

- Ja też.

Nastąpiła chwila milczenia pełna szumu linii zaoceanicznych.

- Debbie, czy na pewno nic ci nie jest? - zapytał znowu. \ Zaciśnęła palce na słuchawce.

-Nie wiem, Jonathanie. Mam takie mieszane uczucia.

- Mieszane uczucia! Dlaczego? Debbie, co się dzieje? Widziałaś się z tą staruszką? Kiedy wracasz?

Chociaż Jonathan Hayes wydobywał z ludzi spontaniczną szczerość, Debora nie wyjawiała mu swego pogrzebanego sekretu -nigdy więc nie wspomniała o mężczyźnie, do którego chaty poszła w pewną noc i którego przez tyle lat w mylnym przekonaniu, że jest jego siostrą, zabraniała sobie kochać. Straszny sekret i straszne poczucie winy, jakim ją to obarczyło. Jak o tym powiedzieć Jo-

nathanowi, jak wyjaśnić zamęt uczuć teraz, gdy ona jest z powrotem w Kenii?

- Debbie?

- Przepraszam, Jonathanie. Wiesz, że zanadto podlegam emocjom. Ale doznałam niejakiego wstrząsu. Wyszły na jaw pewne...

- O czym ty mówisz?

To pytanie zabrzmiało tak szorstko, tak zupełnie nie w jego stylu. Spróbowała chwycić się Jonathana.

- Pojadę do Nyeri jutro - powiedziała, panując nad głosem. - Wynajmę samochód i pojadę do misji. Spróbuję zarezerwować pokój w hotelu Outspan.

- Więc wylecisz z Kenii pojutrze? Nie zdołała odpowiedzieć.

- Debbie? Kiedy wracasz do domu?

- Nnn... nie wiem, Jonathanie. Jeszcze nie wiem. Zdecydowałam się zobaczyć z paroma osobami. Z przyjaciółmi...

Umilkła. Spróbowała go sobie wyobrazić. Godzina teraz w San Francisco była wczesna. Jonathan wstał dopiero przed chwilą, żeby się przygotować do porannych operacji. Pewnie jest w dresie i zaraz będzie biegał przez pół godziny po Golden Parku. Potem weźmie gorący prysznic, włoży koszulę polo i džinsy i pojedzie do szpitala. Wypije kawę, zje bułkę posypaną otrębami w szpitalnej kawiarni, zanim na oddziale chirurgicznym przebierze się w morską zieleń. Nagle Debora rozpaczliwie chciała wykonywać razem z Jonathanem te prozaiczne czynności, tak jak co dzień rano od roku, odkąd u niego zamieszkała. Chciała być z powrotem w zamglonym San Francisco, w uspokajającej swojskości codziennego rytuału.

Ale przyjechała do Kenii, musi dokończyć to, co zaczęła.

- Kocham cię, Debbie - powiedział Jonathan. Rozpląkała się.

- I ja kocham ciebie.

- Zadzwoń, kiedy będziesz wiedziała, którym samolotem wrócisz.

- Zadzwonię.

Milczał znowu, jak gdyby czekał, co ona jeszcze powie. Więc powiedziała:

- Niech ci się dobrze dziś biega.

- Dziękuję - powiedział. - Do widzenia, Debbie. - I wyłączył się.

Debora, nadal w płaszczu kąpielowym, wsunęła się do rozesłanego łóżka, zgasła światło. Z przerażeniem i jednocześnie z ulgą zobaczyła, że pokój zatonął w prawie zupełnej ciemności. Grube

zasłony, dobrze spełniając swoje zadanie, nie dopuszczały ostrego równikowego słońca. Ale nie mogły nie dopuszczać nieustannych hałasów przenikających przez szyby - ciągłego natarczywego tętnienia Afryki Wschodniej.

Leżąc, Debora patrzyła w tę czarną ciemność. Czowała, jak wszystkie siły z niej uchodzą. Powieki ciążyły. Myśli odrywały się od swoich kotwic, unosiły się na powierzchnię umysłu i dryfowały, leniwe, niepowiązane. Na pół śniła, na pół wspominała.

Zawróciła do dnia dwa lata temu, gdy zaczęła pracować w szpitalu Świętego Bartłomieja w San Francisco. Po sześcioletnim stażu miała wtedy trzydzieści jeden lat. Dostała swoją pierwszą posadę wreszcie jako prawdziwy doktor, w pełni zdana na samą siebie. W szatni pielęgniarek włożyła chirurgiczną zieleń i weszła do sali 8, żeby asystować doktorowi Jonathanowi Hayesowi przy usunięciu woreczka żółciowego.

„Witamy u Świętego Be, pani doktor Treverton - powiedziała krążąca pielęgniarka. - Jaki rozmiar rękawiczek dla pani?”

„Sześć”.

Pielęgniarka sięgnęła do szafki z rękawiczkami.

„Ojej! - wykrzyknęła. - Nie ma już szóstek”. -1 wybiegła.

Gdy Debora rozglądała się po sali dobrze znanej - bo sale operacyjne na ogół są do siebie podobne - a przecież widzianej po raz pierwszy, wszedł wysoki piwnooki mężczyzna, wkładając maskę chirurgiczną.

„Cześć - powiedział. - Gdzie jest nasz anestezjolog?”. „Nie wiem”.

Uśmiechnął się do niej zza okularów w rogowej oprawie, reszta jego twarzy była niewidoczna pod maską.

„Pani pewnie nowa tutaj. - Uśmiech zabrzmiał w jego głosie. - Jestem doktor Hayes. Podobno łatwo ze mną pracować, więc na pewno będziemy się zgadzać doskonale. Mam kilką; zwyczajów, o których powinna pani wiedzieć. Używam dwóch jedwabnych nici do zszycia przewodu pęcherzykowego i lubię mieć obie naraz. Proszę, niech mi pani to przygotuje. A także tampony z gąbką cztery na osiem. Tych innych drobiazgów nie cierpię. Niech pani mnóstwo tamponów ułoży rzędem dla mnie, bardzo proszę”.

Zagapiła się na niego.

„Dobrze, panie doktorze”.

Jonathan podszedł do tylnego stołu, na którym były już instrumenty i wyposażenie. Popatrzył i przytaknął.

„Brawo, brawo. Widzę, że pani już mnie oczekiwała. - Podeszedł do drzwi i spojrzał w jedną i drugą stronę ruchliwego korytarza. -Nawiasem mówiąc - powiedział - będę dziś miał nowego asystenta. Jakiegoś doktora Trevertona. Więc liczę na pani dodatkową specjalną pomoc, dobrze? - Mrugnął do niej. - Niech pani wrzaśnie, kiedy pacjent przyjedzie. Będę w pokoju lekarskim”.

Debora jeszcze gapiła się za nim, gdy przybiegła, zawiązując maskę, młoda kobieta, pachnąca trochę dymem papierosów.

„To Hayes stąd wyszedł? Świetnie, możemy ruszać z tym cyrkiem. Pani pewnie doktor Treverton? Jestem Carla. Jaki rozmiar rękawiczek?”.

W piętnaście minut później Jonathan Hayes stał przy umywalni i szorował ręce. Debora stała przy drugiej umywalni również kończąc szorowanie. Zakręcił kran i z rękami podniesionymi, z łokciami ociekającymi wodą, przeszedł do sali 8. Debora weszła do sali, gdy wycierał ręce. Gdy pielęgniarka podeszła do niego z fartuchem, spojrzał na Debore przelotnie, pytająco. I odwracając się, żeby pielęgniarka zawiązała na nim fartuch, mrugnął do Debory.

„Pan już zna panią doktor Treverton, panie doktorze?” - zapytała pielęgniarka, podając Deborze wyjąłowany ręcznik.

„Doktor Treverton?” - zapytał. I nagle się zaczerwienił, pojmując swoją pomyłkę.

„Nie - powiedziała Debora, śmiejąc się cicho - my się jeszcze nie znamy”.

Wtedy Jonathan też się roześmiał i przystąpili do operacji.

## *Rozdział 62*

Debora uświadomiła sobie, że wprost gapi się na każdego mężczyznę wchodzącego do restauracji. Każdy mógłby być Christopherem.

Jadła ogromne śniadanie. Dwie godziny przedtem obudziła się po czternastu, ku swemu zdumieniu, godzinach snu. Była wypoczęta i bardzo głodna. Wzięła gorącą kąpiel, co bardzo ją ożywiło, i zeszła do restauracji Mara przy hallu hotelowym Hiltona, gdzie hostessy w zielonych mundurkach, uczesane „w rzędy kukurydzy”, prowadziły afrykańskich biznesmenów do stolików. Jedząc croissantsy z angielskim dżemem, płaty papai i ananasa i omlet z grzybami, cebulą, oliwkami, szynką i serem, przyglądała się ukradkiem każdemu mężczyźnie, który wchodził. Chyba Christopher wyjechał z Kenii, myślała, popijając kawę, skoro nie ma go w książce telefoniczej. Więc gdzie jest? Dlaczego wyjechał?

Piętnaście lat temu wyruszył na poszukiwanie mnie!

Ale zaraz pojęła, że gdyby tak było, szukałby jej w uczelni, do której dostała stypendium, i oczywiście by ją znalazł. Cokolwiek Christopher zrobił, dokądkolwiek się udał, wiedziała, że nie wyjedzie z Kenii, dopóki się nie dowie o nim wszystkiego.

Po śniadaniu podeszła do kontuaru recepcji, zapłaciła rachunek hotelowy, poprosiła o zarezerwowanie pokoju w hotelu Outspan w Nyeri i zamówiła samochód z kierowcą. Gdy jej powiedziano, że samochód nie pojedzie zaraz, rozejrzała się, gdzie mogłaby spokojnie poczekać.

W hallu był potworny ruch. Wydawało się, że przybywa i wyjeżdża naraz kilka dużych grup turystów, taki panował tłok w recepcji, zator bagażu przy podwójnych szklanych drzwiach wejściowych

i tyle ciężarówek safari stało przed hotelem. Udręczeni przewodnicy wrzeszczeli polecenia po angielsku i w suahili, znużeni turyści szukali sobie miejsc na licznych kanapach pod ścianami. Debora słyszała, że turystyka to w Kenii kwitnący interes, zapewne główne źródło kenijskich dochodów, zaraz po kawie i herbacie. Dzięki takim ludziom, pomyślała, idąc do szklanych drzwi, jak wuj Geoffrey.

Zatrzymała się na frontowych schodach, bo zaparło jej dech. Ta świetlistość!

Już zapomniała, jakie ostre i czyste jest w Kenii światło dnia. Jak gdyby powietrze nie było z tlenu, tylko z czegoś tak nieopisanie lekkiego jak hel. Wszystko rysowało się niezwykle wyraźnie. Kolory wydawały się bardziej soczyste, niż gdziekolwiek indziej na świecie, kontury i szczegóły się uwydatniały. Pomimo zapachu dymu i spalin to lekkie powietrze cudownie rozrzedzone owiewało świeżością. Między innymi dlatego - jak Debora przeczytała w dzienniku ciotki - jej dziadek, hrabia Treverton, tak pokochał Afrykę Wschodnią.

Spodobała jej się ta myśl. A więc łączy ją coś z tym człowiekiem odpowiedzialnym za to, że urodziła się właśnie w Kenii. To dawało poczucie dziedzictwa, ciągłości rodu.

Poszła w kierunku ulicy Josepha Gieheru, kiedyś alei Lorda Trevertona, i w parę minut później znalazła się w alei Jomo Ke-nyatty, przed głównym biurem Agencji Turystycznej Donalda.

Zawahała się, czy tam wejść.

Cofnęła się na krawężnik, gdzie drzewo, wyrastające ze splekanego i wzdętego chodnika, dawało cieniste schronienie przed prażącym słońcem. Wejście do agencji wydawało się wejściem w przeszłość. Może wuj Geoffrey tam jest teraz, ponad siedemdziesięcioletni, ale tak samo - co do tego nie miała wątpliwości - krzepki i mocny jak dawniej. A może jest tam również Terry i organizuje safari myśliwskie? Czy się ożenił? Założył rodzinę i ma dzieci? Czy też opętał go niespokojny duch przygody odziedziczony po przodkach? Przypomniała sobie, co ciocia Grace napisała w dzienniku, w roku 1919.

*Sir James powiedział, że jego ojciec był jednym z pierwszych, którzy zapuścili się w głąb Brytyjskiej Afryki Wschodniej. Żył nadzieję, że coś zostanie nazwane jego nazwiskiem i wtedy będzie miał nieprzemijającą sławę, nieśmiertelność jak Stanley i Thenyson. Niestety, zabił go słoń, zanim spełniło się jego marzenie.*



Nieśmiertelność, pomyślała Debora wpatrując się w nowoczesną szybę tafLOWĄ okna. Marzenie tamtego pierwszego nieustraszonego Donalda ostatecznie przecież się spełniło.

Weszła tam.

Drzwi prowadziły do gustownie urządzonego biura z kontuarem, pluszowymi dywanami i fotelami przy drążkach z mnogością czasopism. Gdy drzwi, zamykając się za Deborą, odcięły hałas Nairobi, dała się słyszeć cicha muzyka.

Młoda kobieta podniosła wzrok znad komputera.

- Czym mogę pani służyć? - zapytała z uśmiechem.

Debora rozglądała się. Na trzech ścianach były freski - panoramiczne widoki eleganckich domów safari Donalda wśród zapierającego dech krajobrazu. Na kontuarze leżały połyskliwe kolorowe foldery, każdy plik dotyczący innego domu, i ulotki z opisami tras wycieczkowych. Młoda Afrykanka przy komputerze była ładna, dobrze ubrana, uczesana bardzo wymyślnie. Wszysłko w agencji Donalda mówiło o dobrobycie i bogactwie.

- Chciałabym się zobaczyć z panem Donaldem. Proszę mu powiedzieć, że przyszła Debora Treverton.

Młoda Afrykanka patrzyła, nie rozumiejąc.

- Przepraszam, z kim?

- Czy jest tu pan Donald?

- Niestety, proszę pani. Tu nie ma żadnego pana Donalda.

- Ale to Agencja Turystyczna Donalda, prawda? Ta, do której należy Pałacyk Safari w Kilima Simba?

- Tak, ale żadnego pana Donalda tu nie ma.

- To znaczy, że pojechał na safari.

- My tu nie mamy żadnego pana Donalda. -Ale...

W tej samej chwili zza przepierzenia, oddzielającego; frontowe biuro od zaplecza, wyszła druga kobieta. Ta była Azjatką w pięknym jaskrawoczerwonym sari. Gęste czarne włosy miała upięte w kok.

- Pani szuka pana Donalda? - zapytała.

- Tak. Jestem dawną znajomą.

- Bardzo mi przykro. - Azjatka westchnęła i widać było, że przykro jej naprawdę. - Pan Donald zmarł kilka lat temu!

- Och, nie wiedziałam. A co z jego bratem, Ralphem?

- Drugi pan Donald też nie żyje. Zginęli w, katastrofie samochodowej na szosie do Nanyuki.

- Zginęli. Byli razem, kiedy to się stało? Azjatka przytaknęła ze smutkiem.

- Cała rodzina, proszę pani. Pani Donald, jej wnuki... Debora przytrzymała się kontuaru.

- Nie mogę w to uwierzyć.

- Może filiżankę herbaty? Może chciałaby pani porozmawiać z panem Mugambi?

Debora czuła, że drętwieje. Usłyszała swój głos.

- Kto to jest pan Mugambi?

- Właściciel tej agencji. Może on...

- Nie - powiedziała Debora. - Nie, dziękuję. - Rzuciła się do drzwi. - Niech mu pani nie zawraca tym głowy. Byłam przyjaciółką tej rodziny. Dziękuję. Bardzo pani dziękuję.

Weszła w wielki ruch przechodniów na chodniku i dała się mu ponieść. Ogarnęły ją mdłości - zginęli, cała rodzina - i gdy ustąpiły, była wydrążona i pusta. Jak gdyby część jej samej umarła.

Chyba długo Debora tak szła rojnymi ulicami, napominana klaksonami, gdy wychodziła na jezdnię, nie patrząc w prawo. Szła wśród Afrykanek szykownych w modnych sukienkach i za wysokich obcasach, przechodziła obok żebraków i kalek w łachmanach, ignorowała natarczywych młodzieńców usiłujących jej sprzedać bransoletki z włosów słonia i koszyki Kikuju, spotykała turystów, którzy nerwowo szli gromadkami i trzymali się pod ręce. Mijała umundurowanych strażników, stojących przed drzwiami eleganckich sklepów, wysokie prostytutki ze złotymi kółkami w uszach, policjantów w źle dopasowanych mundurach i siedzące na ziemi kobiety z wychudzonymi dziećmi w objęciach. Po zatłoczonej jezdni sunęły limuzyny mercedes-benz, ukrywając za zadymionymi szybami swoich elitarnych pasażerów, poobijane taksówki próbowały się przecisnąć, ciężarówki safari pełne turystów telepały się cal po calu do szos wylotowych z miasta; autobus tak napchany, że ludzie wisieli przy drzwiach, przewarkotał z dużym napisem na boku: PRZEMOC WOBEC KOBIET... WBREW PRAWU!

Debora prawie nie uświadamiała sobie tego wszystkiego. Wspominała swoją pierwszą noc w Pałacyku Safari w Kilima Simba, gdy jeszcze było to tylko obozowisko na bezludziu. Usłyszała tamtej nocy, jak matka mówi wujowi Geoffreyowi, że wyjeżdża z Timem Hopkinsem i że nie chce jej zabrać ze sobą. Płakała wtedy w namiocie, w którym nocowała z Terryem. Terry, wtedy zaledwie dziesięcioletek, nieporadnie próbował ją pocieszać.

W końcu zatrzymała się, gdy zdała sobie sprawę, że zabłądziła na teren Uniwersytetu Nairobi. Szesnaście lat temu przychodziła tu na wykłady takich lekarzy, jak profesor Muriuki. Gdy poszła da-

lej i zobaczyła hotel Norfolk, wzdrygnęła się, pojmując, że idzie przez dawny teren więzienia i że prawdopodobnie to właśnie tutaj został zabity Arthur Treverton. Tamten zorganizowany protest, opisany w dzienniku Grace, był domaganiem się narodu o uniwersytet afrykański tu, w Kenii. Czy to ironia, że to miejsce jest teraz częścią terenu Uniwersytetu Nairobi? Wróciła do hotelu Hilton.

Wynajęty samochód jeszcze nie podjechał, więc podeszła do niedużego kiosku i kupiła gazetę.

Patrzyła na wystawy sklepów pod arkadami hotelu. Za szybami były cenne antyki: średniowieczne biblie etiopskie, siodło arabskie sprzed stuleci, żelazne lichtarze z Kongo, naszyjniki Toro z Ugandy. Sklepy z pamiątkami proponowały „autentyczne rękodzieło rodzime”, widokówki, przewodniki i podkoszulki zdobne w lwy, hipopotamy, głogowce na tle zachodu słońca. Sklepy z konfekcją, szykowne i drogie, kusiły szerokim asortymentem kompletów safari, jakich piętnaście lat temu wcale nie było.

Debra przystanęła przed jedną z wystaw. Manekin na tej wystawie był w olśniewającej sukni z tkaniny w unikalny deseń afrykański, chyba dobrze jej znany.

Nagle podniecona weszła do sklepu.

Cenę podaną w szylingach przeliczyła na ponad czterysta dolarów. Sięgnęła pod dekolot tej sukni i poszukała etykiетки firmowej. Znalazła. Sara Madengej.

- Czym mogę pani służyć?

Odwracając się, zobaczyła snobistyczny uśmiech ekspedientki, Azjatki z długim czarnym warkoczem na plecach, ubranej w lawendowe sari.

- Tę suknię - zapytała - uszyła Sara Madengej?

- Tak, ona. 7

- Gdzie jest jej pracownia, nie wie pani? Czy w Nyeri?^

- Nie, proszę pani. Tutaj w Nairobi.

- Często Sara Madengej tu przychodzi? Młoda Azjatka zmarszczyła brwi.

- To znaczy, nie wie pani, kiedy ją pani znowu zobaczy?

- Niestety. Ja w ogóle nie znam panny Madengej.

- Jestem jej starą znajomą. Chciałabym się z nią skontaktować. Ekspedientka znów uśmiechnęła się łaskawie.

- Może mogłaby ją pani zastać w Domu Madengej. Tam jest dyrekcja.

- Dyrekcja?

- Tak, w Domu Madengej. Wyjdzie pani z hotelu tędy i skęci w prawo. To będzie po drugiej stronie ulicy, zaraz przy Archiwach.

- Dziękuję. Serdecznie dziękuję.

Debora ruszyła szybkim krokiem. Teraz uświadamiała sobie tłok na ulicy, co chwila na kogoś wpadała. Dom Madengej.

Myślała, że Sara szyje suknie w Nyeri i jeździ z nimi od sklepu do sklepu. Dyrekcja!

Zatrzymała się na krawężniku i popatrzyła na drugą stronę ulicy. Przy gmachu Archiwów Państwowych stał nowoczesny budynek, wysoki, co najmniej siedmiopiętrowy, z ogromnym szyldelem na dachu DOM MADENGEJ. Przebiegła przez jezdnię, szybko przeszła obok sklepów i małych przedsiębiorstw, zajmujących parter tego budynku, i znalazła wejście, którego strzegł *askari*. W niedużym hallu, gdzie pachniało detergentami, były dwie windy i tablica informacyjna. Z tablicy wynikało, że cały ten biurowiec zajmuje firma Sara Madengej, spółka z ograniczoną odpowiedzialnością.

Weszła do windy, nacisnęła guzik pierwszy od góry. Myślała, że ten wjazd trwa wiecznie, w końcu jednak drzwi windy się otworzyły. W ładnie urządzonej recepcji młoda Afrykanka pisała na maszynie, jednocześnie rozmawiając przez telefon.

- Czy mogę się zobaczyć z Sarą Madengej?

- Panna Madengej wyszła i dziś już jej nie będzie.

- Ale jest dopiero poranek. Zechce pani sprawdzić. Recepcjonistka podniosła słuchawkę, nacisnęła jeden z licznych guzików i wytrajkotała coś w suahili. Spojrzała na Deborę.

- Pani godność, przepraszam.

- Debora Treverton.

Powtórzyła to imię i nazwisko do mikrofonu, poczekała chwilę, po czym położyła słuchawkę.

- Panna Madengej zaraz przyjdzie.

Debora zdała sobie sprawę, że skęca pasek swojej torby przewieszzonej przez ramię. Jaka jest Sara po tych wszystkich latach? Jak mnie przyjmie? Czy miała do mnie żal, kiedy zniknęłam, porzuciłam ją, chociaż obiecałam, że pomogę umieścić suknie w domach myśliwskich wuja Geoffreya? Czy ma żal wciąż jeszcze?

- Debora!

Odwróciła się. W głębi recepcji były drzwi bez tabliczki. W tych drzwiach stanęła elegancka piękna kobieta, kolorowe zjawisko.

Sara podeszła z wyciągniętymi rękami. Uściskały się tak swobodnie, tak naturalnie, jakby ostatnio widziały się nie dawniej niż wczoraj.

-Deb... - Sara cofnęła się o krok. - Spodziewałam się, że do mnie przyjdiesz. Dzwoniłam dziś do misji. Powiedziały, że nie przyleciałaś przedwczoraj, jak oczekiwały.

Debora prawie oniemiała. Jej przyjaciółka sprzed lat tak mało się zmieniła. Poza tym że takiej sukni, kreacji w różnych odcieniach miedzi podkreślonych czernią i fioletem, tamta osiemnastoletnia Sara przecież by nie mogła mieć. Stroju dopełniał turban z tego samego materiału, ogromne miedziane kolczyki zwisały do ramion, na obu smukłych nadgarstkach lśniły miedziane bransolety. Przed Deborą stanęła radosna przeszłość.

- Wiedziałaś, że przyjadę do Kenii?

- Misja skontaktowała się ze mną trzy tygodnie temu, kiedy babcię przyjęli do misyjnego szpitala. Matka przełożona powiedziała, że babcia prosi o ciebie. Zapytała, czy wiem, gdzie jesteś. Powiedziałam, w którym college'u w Kalifornii dostałaś stypendium.

- Skąd wiedziałaś, że tam pojechałam?

- Profesor Muriuki nam powiedział. Ale tak się cieszę, że cię widzę! Wcale się nie zmieniłaś, Deb. No, może trochę. Wyglądasz na bardziej dojrzałą, mądrzejszą. Złapałaś mnie akurat w porę. Niedługo mam wizytę u prezydenta.

- U prezydenta?! U prezydenta Kenii?

- Jestem krawcową pani Moi. - Sara roześmiała się i objęła Deborę ramieniem. - Zabiorę cię teraz ze sobą. Muszę wpaść do domu i coś załatwić przed tą wizytą. Pani Moi potrafi trzymać mnie całymi godzinami! Porozmawiamy po drodze.

Mercedes-benz czekał przy krawężniku. Uśmiechnięty szofer Afrykanin otworzył przed nimi tylne drzwiczki. Gdy wsiadły, Sara powiedziała ze śmiechem.

- Jestem teraz *obenzi*, Deb. Co o tym myślisz?

Debora nigdy dotąd nie słyszała tego określenia, ale знаła język suahili na tyle, by wiedzieć, że to znaczy „ludzie z Benzi”.

- Jesteśmy zupełnie nowym plemieniem, Deb - mówiła Sara w mercedesie wciskającym się w ruch na jezdni. - Nas, którzy rządzą Kenią, nazywa się plemieniem Benzi. To obraźliwe, i pospólstwo lubi tak nas obrażać. Ale nie daj się nabrać, Deb. Oni przy tym wzdychają, żeby sami być *obenzi*.

Potem przez dłuższą chwilę milczały w tym pachnącym świetną tapicerką luksusowym samochodzie z radiem, które muzyką zagłuszało hałasy Nairobi. Debora wprost musiała powiedzieć:

- Imponujesz mi, Saro. Przeszłaś taką długą drogę.

- Wolę nie myśleć, jak długo do tego szłam. - Sara roześmiała się jakoś nieładnie. - Przeszłość niech zostanie przeszłością. I staram się, żeby jak najmniej cholernych ludzi wiedziało o tych nieszczęsnych chatkach nad rzeką Chanią. Ale opowiadaj o sobie, Deb. Dlaczego tak uciekłaś? Dlaczego nigdy do mnie nie pisałaś?

Debora z początku jąkała się, a przecież opowiadając, jak znalazła miłosne listy matki, jak się zastanawiała, co się stało z tym dzieckiem miłości, nagle stwierdziła, że słowa same zdumiewająco wyrwywają jej się z ust. Gdy doszła do momentu rozmowy z Oczera, do tego, co staruszka jej powiedziała, Sara poderwała się raptownie.

- Nie, Saro - pośpieszyła ją uspokoić Debora. - Christopher nie jest moim bratem. Oczera chciała z jakiegoś powodu, żebym tak myślała. Ja jej uwierzyłam, rozumiesz. A myśmy się kochali w jego chacie. Nie mogłabym żyć z czymś takim. Byłam zanadto niedojrzała. Chciałam tylko uciec, ukryć się. Na pewno wtedy nie mogłabym dalej żyć w Kenii. Zakochana w moim bracie! Czy też w mężczyźnie, którego uważałam za brata. - Na zakończenie powiedziała Sarze, jakie odpowiedzi znalazła w dzienniku ciotki o piętnaście lat za późno.

- Moja babcia - westchnęła Sara, patrząc z okna mercedesa na dzielnicę slumsów, gdzie jezdnie były niebrukowane, a budynki zdawały się uginać pod ciężarem nędzy - to stara wariatka. Zawsze czuła urazę do białych, zawsze czekała, żeby wynieśli się z Kenii. Szaleńczo jej się roilo, że z chwilą kiedy biali odejdą, wszyscy wrócimy do przeszłości. Przepyszczalnie chciała w ten sposób pozbyć się ciebie, w myśl swojej bzdurnej klątwy.

Mercedes zwolnił przed dziećmi bawiącymi się na jezdni. Sara się pochyliła do przodu, zsunęła szybę w przepierzeniu, które oddzielało pasażerów od kierowcy, i powiedziała w suahili:

- Jedź prędzej, dobrze?

Rozparła się znowu i zapytała Debora:

- Więc ostatecznie jesteś doktorem? -Tak.

- Wyszłaś za męża? Masz dzieci?

- Nie i nie.

Sara uniosła pięknie wyskubane brwi.

- Nie masz dzieci? Deb, kobieta powinna rodzić.

Wyjechały już ze śródmieścia i teraz mercedes sunął ulicą w szpalerze drzew. Za wysokimi żywopłotami i ogrodzeniami Debo-

ra widziała szczyty dachów okazałych starych domów. To było Parklands, jedno z najpiękniejszych kenijskich przedmieść.

- A ty, Saro? Wyszłaś za męża?

- Czegoś przecież nauczyłam się od mojej matki: nie być niewolnicą męża. Wiem, co ona przecierpiała w obozie więziennym na pastwie mężczyzn. Od niej się nauczyłam wykorzystywać mężczyzn, tak jak oni zawsze wykorzystywali kobiety. Odwróciłam role, że tak powiem, i to wydaje mi się dosyć odświeżające. Ale mam specjalnych przyjaciół. Takich jak generał Mazrui. Teraz on jest jednym z najpotężniejszych ludzi w Afryce Wschodniej, więc z uwagi na moje potrzeby rozwijam tę bliską znajomość.

Sara spojrzała na zegarek i niecierpliwie znów ponagliła szofera.

- Chcę, Deb, żebyś poznała generała Mazrui. Myślę, że on zrobi na tobie duże wrażenie. Wydaję dziś kolację dla francuskiego ambasadora. Dlatego muszę wstąpić teraz do domu. Trzeba bezustannie pilnować służących, bo inaczej nigdy nie zrobią nic porządnie. Będziesz u mnie na tej kolacji, Deb?

- Wyjeżdżam dzisiaj do Nyeri. Zamówiłam pokój w Outspan. I nie wiem, ile czasu zostało twojej babci.

SaTa wzruszyła ramionami.

- Nie rozmawiam z nią od lat. Ale możesz pozdrowić ją ode mnie, jeżeli chcesz.

Szofer skręcił w krótką aleję wjazdową i zatrzymał samochód przed rozwieszonym łańcuchem. Były tabliczki ostrzegawcze z bijącymi w oczy dużymi napisami: PSY KALI! NIE WYSIADAĆ Z SAMOCHODU! Pokazał się, wychodząc z budki, *askari* z karabinem. Zobaczył mercedesa, zdjął łańcuch, po czym zawiesił go z powrotem. Raz po raz przy tym salutował swojej chlebobawczyni.

Aleja biegła wokół zielonego wielkiego trawnika z klóinbami pełnymi kwiatów. Debora szeroko otwierała oczy. I tutaj byli strażnicy, którzy trzymali na smyczach ujadające psy.

- Saro! - wykrzyknęła. - Mówiłaś, że jedziemy do ciebie, a nie do domu prezydenta!

- To jest mój dom - powiedziała Sara, gdy mercedes podjechał przed drzwi frontowe.

- Jak twierdza! - Debora popatrzyła na ogrodzenie zjeżone skrętami drutów kolczastych. Otaczało chyba całą posiadłość.

- Nie udawaj, że ty tak nie mieszkasz, Deb.

Zaskoczona, spojrzała na Sarę pytająco i w tej samej chwili drzwi otworzył podstarzały Afrykanin w staroświeckim długim

białym *kenzu*. Był bardzo poprawny, ceremonialny i ku zdumieniu Debory, nawet miał na rękach białe rękawiczki. Widok wnętrza domu zaparł Deborze dech.

Była to jedna z tych rezydencji kolonialnych, kiedyś będących zaciszną przystanią dla osadników arystokratów, takich jak dziadkowie Debory, gdy przyjeżdżali do Nairobi na Tydzień Wyścigów. Ale portrety królowej Wiktorii, króla Jerzego, szpady pułkowe, flaga brytyjska, wypchane łby zwierząt już nie wisiały na ścianach. Zupełnie tak, jak gdyby Sara wzięła szczotkę do zamiatania i usunęła wszelkie dowody kolonialnego imperializmu, po czym wprowadziła... Afrykę.

Na wyfroterowanych podłogach z czerwonych kafli leżały utkane kilimy, na skórzanych kanapach indyjskie koce, na wyplatanych palmą krzesłach batikowe poduszki. Każdą ścianę pokrywały maski afrykańskie rzeźbione i pomalowane, niektóre bardzo stare, reprezentujące plemiona i narody całego kontynentu. Debora rozpoznała wiele z eksponatów w tym pokoju. Tykwy Samburu z bani, masajskie nakrycie głowy, grzywa lwa i lalki Turkana i Kalabasha Pokot, włócznie, tarcze i koszyki wyglądały jak w muzeum.

- Mniej więcej dziesięć lat temu - wyjaśniła Sara, gdy olśniona Debora usiadła - zdałam sobie sprawę, że afrykańska kultura błyskawicznie zanika. Że tyle rzeczy idzie w niepamięć, dawnych umiejętności już się nie przekazuje z pokolenia na pokolenie, dawnych ceremonii już się nie dopełnia. Więc zaczęłam zbierać pewne przedmioty, które kiedyś, to wiem, będą dosyć cenne.

Powiedziała coś temu niemłodemu służącemu, potem usiadła na skórzanej kanapie, założyła nogę na nogę. Ale siedziała sztywno, wydawało się, że jest wciąż w ruchu, nawet wtedy, gdy siedzi.

- To piękna kolekcja, Saro.

- Dałam to do oceny. Warto prawie milion szylingów.

- Czy dlatego masz strażników i psy?

- O Boże, nie. Ich potrzebuję zawsze, choćby mój dom był pusty. Straż i psy są po to, by odstraszać zbirów. Ale dzięki mojej specjalnej przyjaźni z generałem Mazrui jestem tu zupełnie bezpieczna. Dla pewności płacę jednak miejscowej policji co miesiąc *magendo*.

Debora nie rozumiała.

- Zbiry?

- Chyba macie zbirów w Ameryce? - Sara roześmiała się nieładnie. Zerknęła na zegarek, a potem w stronę kuchni. - Zbrodniarze, Deb, są wszędzie, gdziekolwiek człowiek się obróci na świecie. Wiesz o tym. W Kenii też są gangi. To z powodu dużego bezrobo-



cia. Oficjalna liczba: dziewięćdziesiąt procent bezrobotnych. W Nairobi pełno niespokojnych młodych bez pracy. Widziałaś takich?

Debora widziała. Wędrowali po dwóch albo gromadą, dosyć przyzwoicie ubrani, wykształceni, energiczni, nie mając dokąd pójść, nie mając pracy, żeby się utrzymać.

- Napadają na prywatne rezydencje - wyjaśniła Sara. - Po dwudziestu czy trzydziestu. Wypatrzą sobie jakiś dom i uderzają w środku nocy z maczugami i taranami. Nie dawniej niż w zeszłym tygodniu mojego sąsiada zbudziły odgłosy ataku. Udało mu się wpakować żonę i dzieci do szafy na górze i czekali. Tylko słyszeli, jak ta banda rozgrabia ich dom na dole.

- Nie mógł wezwać policji?

- A co by to dało? On po prostu nie chce płacić *magendo*. -*Magendo?*

Sara zatarła ręce.

- Łapówka. Pieniądze to jedyny język, który ludzie obecnie rozumieją. I pieniądze to jedyny sposób, żeby przetrwać. Splotła ręce raptownie i wykrzyknęła:

- Co zatrzymuje tego starego głupca tak długo? Simon! *Hereke!*

Podstarzały służący w *kenzu* natychmiast wtoczył wózek z herbatą. Pod baczynym okiem Sary nalał herbatę ze srebrnego samowara popisowo, wprost finezyjnie, jak służący w dawnych czasach. Debora się zastanowiła, czy nie był kiedyś lokajem Anglika. Dziwiła się, że Sara przyjęła taki system.

Częstując Deborę kanapkami i herbatnikami, Sara zapytała:

- Długo będziesz w Kenii, Deb?

- Nie wiem. Jeszcze cztery dni temu nie wiedziałam, że tu przyjadę.

- Jak ci się żyje w Kalifornii? Czy twoja praktyka lekarska jest intratna?

Akurat w tym momencie weszła do pokoju młoda pokojówka i stanęła, czekając. Sara przywołała ją do siebie skinieniem.

- Przepraszam na chwilę, Deb. - Przeczytała kartkę, którą podała jej pokojówka. - Nie, nie - powiedziała z lekkim zniecierpliwieniem. - Powiedz kucharzowi, że chcę zimną zupę ogórkową, a nie z porów! I ma być cabernet Sauvignon zamiast Chardonnay. - Mówiła w suahili. - Miejsca przy stole w porządku, tylko... - Wzięła od pokojówki ołówki i notowała. - Biskup Musumbi z prawej strony ambasadora. Generał Mazrui tutaj, przy ministrze spraw zagranicznych. I powiedz Simonowi, że tancerze mają się zebrać i przygotować do występu punkt o dziewiątej.

Po odejściu pokojówki odwróciła się z powrotem do Debory i zaczęła się usprawiedliwiać.

- Jeżeli nad nimi w pełni nie panuję, niczego nie robią jak trzeba. Te dziewczyny ze wsi to takie matoly.

Debora wpatrywała się w swoją dawną przyjaciółkę. Czy ta salonowa lwica Nairobi to ta sama Sara, która kiedyś bosa siedziała na brzegu rzeki i marzyła o spódniczce mini? Deborze nagle się wydało, że kolonialna rezydencja wokół niej porusza się w swoich posadach niespokojnie.

- Nigdy nie czujesz się samotna, Saro? W tym dużym domu, zdana na siebie?

- Samotna! Nie mam czasu na samotność. Zawsze w moim domu coś się dzieje... prawie co wieczór. I zapraszam gości na całe weekendy. A na wakacje oczywiście przyjeżdżają dzieci.

- Dzieci?!

- Mam dwóch chłopców i trzy dziewczynki. Chłopcy są w szkole w Anglii, dziewczynki w Szwajcarii.

- Mówiłaś, że nie wyszłaś za męża.

- Jakaż z ciebie prowincjuszka, Deb! Myślałam, że jesteś wyzwolona. Małżeństwo nie jest konieczne, żeby kobieta miała dzieci. Chciałam być matką, nie żoną. Wiesz, Deb, Kenijczyk to samiec bardzo *macho*. Gdybym wyszła za Kenijczyka, byłabym mu całkowicie podporządkowana. Mógłby nawet przejąć moją firmę! Każde z moich dzieci jest dzieckiem innego ojca. Tak chciałam. I teraz wszystkie otrzymują europejskie wykształcenie. Kiedy wrócą do Kenii, będą miały zapewnione miejsce w odpowiednim towarzystwie.

Debora spuściła wzrok na swoją herbatę. Coś niedobrze. Sara wydaje się twarda, kanciasta, zachłanna, mówi o wyzwoleniu kobiet, używa takich słów jak *macho* i nawiązuje do systemu pan i sługa, który dawniej krytykowała. Gdy Sara weszła tymi zwyczajnymi bez tabliczki drzwiami do recepcji Domu Madengej, Debora nie posiadała się z radości. Oto jej przyjaciółka, która się nie zmieniła. Teraz pojęła ze smutkiem, że Sara zmieniła się bardzo. Z każdą minutą ta kobieta, siedząca daleko od niej, z wolna stawała się kimś obcym.

W innym pokoju zadzwonił telefon. Po chwili przyszedł Simon i szepnął coś swojej pani. Sara odpowiedziała w suahili:

- Powiedz, że jestem już w drodze.

Ale Debora musiała czegoś się dowiedzieć przed wyjściem z domu Sary.

- Co było - zapytała - po moim wyjeździe? Co zrobiłaś?

- A co mogłam zrobić, Deb? Przeżyłam! Najpierw za pieniądze od babci kupiłam od pani Dai starą maszynę do szycia. Uszyłam kilka sukien i obniosłam po sklepach w Nairobi. Ale kiedy tych pieniędzy zabrakło... - Sara urwała, żeby wdzięcznym, odmierzonym ruchem postawić filiżankę na spodek - nie miałam wyboru, musiałam znowu zwrócić się do tych bankierów, którzy chcieli ze mną zrobić interes. W zamian za pewne grzeczności. I bardzo szybko się przekonałam, że to nic takiego. Jakże cholernie głupia jest duma!

Umilkła. Spojrzała na zegarek i znów podjęła:

- Ostatecznie zaczęło mi się powodzić. Wykupywałam mniejsze firmy, ograniczyłam konkurencję. Kiedy zrozumiałam, że ubieranie typowych sekretarek Nairobi nie jest intratne, zrezygnowałam, zabrałam się do projektowania modeli i przyniosło mi to o wiele więcej pieniędzy. To było bardzo mądre posunięcie. - Przekręcała raz po raz miedziane bransolety na nadgarstku. - Teraz moje suknie sprzedaje się na całym świecie. Jest filia w Beverly Hills i na Champs-Elysees w Paryżu.

- Cieszę się ze względu na ciebie - powiedziała Debora cicho.

- A tobie się powodzi, Deb? O ile dobrze pamiętam, nosiłaś się z dosyć dziwnym pomysłem, żeby prowadzić misję po twojej ciotce. Mam nadzieję, że porzuciłaś ten pomysł!

- Prowadzę praktykę do spółki z pewnym chirurgiem. Dobrze nam idzie.

Obie umilkły jakoś niezręcznie, unikając spojrzenia sobie w oczy. W końcu Debora zapytała o Christophera.

- U niego wszystko dobrze - odpowiedziała Sara raczej zdawkowo i zaraz zapytała o matkę Debory.

Debora nie wyjawiała jej prawdy, że piętnaście lat temu czuła się tak obrzydliwie na wspomnienie nocy ze swoim bratem, że kipiała gniewem na matkę, która zataiła, kto był jej ojcem, i że napisała do matki pełna nienawiści, wyładowując całe swoje obrzydzenie. Po dwóch tygodniach dostała wtedy odpowiedź pocztą, ale podarła ten list, nawet go nie otworzyła. I dostała później jeszcze kilka listów z Australii i każdy tak samo wyrzuciła bez czytania. A potem już żadnych listów nie było.

- Sara - zapytała Debora - czy wiesz, dlaczego twoja babcia mnie wzywa?

- Nie mam pojęcia. Prawdopodobnie chce pogrzechotać kośćmi kuraka nad tobą, czy coś w tym rodzaju. - Sara wstała z gracją, dostojna jak królowa, dając do zrozumienia, że audiencja skończona.

- Przykro mi, Deb. Ale rzeczywiście na mnie już czas. Nie rozmyślisz się co do dzisiejszego wieczora?
  - Jestem zdecydowana. Muszę pojechać do Nyeri. - W drzwiach Debora zatrzymała się, żeby spojrzeć na tę obcą, która kiedyś była dla niej jak siostra. - Gdzie jest Christopher, Saro? Czy miewasz wiadomości od niego?
  - Gdzie on jest? Zaczekaj. Jaki dzień dzisiaj? Chyba jest w On-gata Rongai.
  - To znaczy w Kenii?
  - Oczywiście. A gdzież indziej miałby być?
  - Szukałam go w książce telefonicznej.
  - Możesz go znaleźć pod „Klinika Wangari”. Mój głupi brat kilka lat temu, kiedy jego żona umarła, znalazł Jezusa. Teraz jest świeckim kaznodzieją, nie tylko lekarzem. Pracuje społecznie wśród Masajów. Jak gdyby oni kiedykolwiek okazywali mu wdzięczność. Wciąż mu powtarzam, że tylko marnuje czas.
- Świat ucichł. Wydawało się, że cisza napływa zza masek, spod starych bębnow plemiennych i tykw, i zza spódniczek *ajrue* z grubej trawy. Debora wyobraziła sobie, że ten kolonialny dom znów niespokojnie porusza się w swoich posadach oszołomiony, zagubiony jak ona, i że szmery kroków licznej niewidocznej służby Sary powtarzają raz po raz:
- „Przeszłość umarła, przeszłość umarła...”.

### *Rozdział 63*

Szoferem Debory okazał się życzliwy młody Somalijczyk imieniem Abdi, w spodniach, plażowej koszulce i w białej szydełkowej czapce świadczącej, że jest muzułmaninem i odbył pielgrzymkę do Mekki.

- Dokąd jedziemy, proszę pani? - zapytał, wkładając jej walizkę do bagażnika białego małego peugeot.

- Do Nyeri. Hotel Outspan. - Debora umilkła. Po chwili powiedziała: - Chciałabym przedtem zatrzymać się w Ongata Rongai. To wioska masajska. Wie pan, gdzie to jest?

- Tak, wiem, proszę pani.

Trochę czasu zabrała jazda przez korki na jezdni w kierunku jednej z głównych szos wylotowych z miasta.

Debora zastanawiała się, ile Nairobi liczy teraz mieszkańców. Wydawało się bardziej zatłoczone, niż było przed laty. Białych twarzy w nieustannym potoku przechodniów widziała niewiele. Chyba są bardzo małą mniejszością, pomyślała.

Z powodu wypadku samochodowego musieli stać przez kilka minut w alei Harambee przed Ośrodkiem Konferencyjnym Kenyatty. Mogła więc dokładnie przyjrzeć się tej nowej pięknej budowli i zobaczyła coś, czego nie widać na widokówkach - oznaki zaniedbania, brak remontu, konserwacji, ogólne zapuszczenie tego skądinąd niezwykłego dzieła architektury. I tutaj też, jak wszędzie w Nairobi, widziała ludzi ulicy: kaleki, żebraków, małe dziewczynki ze zgłodniałymi niemowlętami na ręku. Ale po drugiej stronie ogrodzenia stały na parkingu ośrodka szeregi połyskliwych limuzyn.

Abdi poprowadził samochód aleją Hajle Sellasjego, a potem ulicą Ngong i gęstwina śródmieścia zmieniła się w rzadziej zabudo-

wane okolice podmiejskie. Wjechali do Karen, na obszar zielonych gospodarstw rolnych, lasów i domów bogaczy. Z wyboistej szosy Debora patrzyła na te stare kolonialne domy za chroniącymi je drzewami i wysokimi ogrodzeniami, których strzegli umundurowani strażnicy.

Dalej ciągnęły się już zwyczajne *szembe*. Dawne rozległe farmy Europejczyków zostały podzielone na poletka afrykańskie wielkości, zdawałoby się, znaczków pocztowych.

Gdy dojeżdżali do kilku minibusów turystycznych, zaparkowanych przy jednym z takich *szembe*, Debora zapytała Abdiego, co tam jest szczególnego.

Zwalniając, wyjaśnił:

- Grób Fincha Hattona. Pani rozumie, „Pożegnanie z Afryką”. Mam zatrzymać?

- Nie. Proszę jechać dalej.

Obejrzała się na turystów, którzy kłębili się z aparatami fotograficznymi. Potrzeba pielgrzymek, pomyślała, jest chyba cechą całej ludzkości.

Szosa opadała w dół, biegła przez puszcze, wysunęła się znowu między akry małych poletek i niszczące wioski z przydrożnymi „gospodami”, jak skrzynki z blachy i tektury, gdzie gromadnie siedzieli rozleniwieni mężczyźni z butelkami w rękach.

Debora kwestionowała swoje niewytłumaczalne uczucie, że jest w obcym nieprzyjaznym kraju, w którym nigdy przedtem nie była. Czyżby naprawdę mogła w ciągu piętnastu lat zapomnieć, jak wielka tu panuje bieda, jak brutalnie zaznaczają się różnice klasowe, ile kobiet i dzieci prawie nie ma co jeść? Czyżby piętnaście lat tęsknoty powlokło brzydką rzeczywistość Kenii patyną ułudy bajecznej jak w turystycznych przewodnikach?

Wreszcie Debora przyjechała do Ongata Rongai. W tej masaj-skiej wsi domy się waliły, a drogi były błotniste. Szosa wiodła na typowo kenijski „rynek”. Prymitywne budynki z płyt żużlowych z blaszanymi dachami straszyły okropnymi odcieniami tur-kusu i różu. Na jednym szyld głosił: MATHARI. SZYNK I HOTEL. RZEŹNIK I PASZA DLA ZWIERZĄT. Starcy, przyodziani nieomal w łachmany, włączyli się przed ciemnymi sionkami albo siedzieli na ziemi. Sama ta wieś była przypadkowym nagromadzeniem zabudowań, przeważnie bez okien i drzwi, nad brudnym od łajna korytem strumienia, w którym stały krowy, a kobiety masajskie czerpały wodę do tykw. Wprost rozciągał się nad tym wszystkim nastrój klęski i rozpaczy.

Gdy Abdi manewrował peugeotem wśród kamiennych chat i zardzewiałych karoserii porzuconych samochodów, biegly za nim nagie dzieci. Na ich twarzach roilo się od much, miały ręce i nogi jak patyki, brzuchy wzdęte wskutek głodu. Gapiły się na białą w samochodzie, wybałuszając oczy za duże jak na ich głowy.

Debora wypatrzyła to, czego szukała.

- Proszę tu zatrzymać - powiedziała.

Abdi wyłączył silnik, wysiadł i podszedł, żeby otworzyć jej drzwiczki. Ale potrząsnęła głową. Zdumiony, usiadł z powrotem za kierownicą i czekał.

A ona wpatrywała się w prosty kamienny budynek z drewnianym krzyżem na blaszanym dachu. Przed budynkiem stał zaparkowany land-rover z napisem na boku KLINIKA WANGARI. DZIEŁO PANA. Wangari, jak powiedziała Sara, miała na imię żona Christophera.

Najwidoczniej on był w budynku, bo przed zamkniętymi drzwiami czekało sporo ludzi. Debora patrzyła na te drzwi. Bała się mrugnąć, bo może by wtedy zniknęły.

W końcu drzwi się otworzyły. Gdy zobaczyła wychodzącego mężczyznę, serce jej zamarło.

Nie zmienił się wcale. Kroczył szybko, z wdziękiem młodości sprzed lat, nadal był smukły, jego ruchy świadczyły o ukrytej męskiej sile. Ubrany w niebieskie dżinsy i w koszulę, miał na szyi stetoskop. Gdy się odwrócił, Debora zobaczyła błysk słońca na złotej oprawie jego okularów.

Tłum zafalował na jego widok. Właśnie wtedy Debora zauważyła, że wszystkie dzieci coś niosą. Wiele z nich kurczowo trzymało puste butelki. Kilkoro miało w rączkach miski, niektóre, ku jej zdumieniu, coś takiego jak pokrywa na piastę. Już po chwili zrozumiała, po co, bo z budynku wyniesiono masywne kociołki i postawiono na długim drewnianym stole. Dzieci ustawiły sielizownie spokojnie, karnie w ogonku, ich matki, prawie wszystkie z niemowlętami, stanęły pełne uszanowania z boku.

Potem, gdy młody Afrykanin, który siedział po turecku na ziemi, zagrał na gitarze i zaśpiewał, rozpoczęło się wydawanie posiłku.

Niesamowita scena. Nie było zwykłego popychania się, współzawodnictwa, zachłanności. Było tylko składne przydzielanie jakiegoś kleiku, chyba z kukurydzy, we wszystkie pojemniki kolejno podsuwane przez dzieci.

Personel przy kociołkach śpiewał razem z gitarzystą jeden z hymnów religijnych Suahili, a tymczasem Christopher i pielęgniarka badali pacjentów.

Pielęgniarka, Afrykanka, młoda i ładna, pracując, też śpiewała ten hymn.

Abdi spojrział na pasażerkę w lusterku nad kierownicą.

- Chce pani już jechać? - zapytał.

- Słucham?

Abdi uderzył palcem w swój zegarek.

- Już jedziemy do Nyeri, proszę pani?

Znów wyjrzała przez okno samochodu. Pomyślała, żeby wysiąść, pójść do tej przychodni i powiedzieć: „Cześć, Christopher”. Ale coś ją zatrzymało. Jeszcze nie była gotowa stanąć przed nim.

- Tak - odpowiedziała. - Jedźmy już do Nyeri.

Szosa do Thika przecinała równinę maleńkich pól. W pewnej chwili mignął Deborze skromny meczecik wśród akacji. Dalej były brzydkie zakłady przemysłowe. Browary kenijskie, opony Firestone, fabryki papieru, konserw, garbarnie. Niektóre wydawały się dziwnie opuszczone.

Biegły w dal wzdłuż szosy przewody telefoniczne i elektryczne. Przesuwały się stacje benzynowe Shell i tablice reklamowe. „Coca-cola to jest to!”. Reklamę papierosów Embassy Kings uzupełniało życzenie na drogę: KUA USELEME - JEDŹ W SPOKOJU. Szosa była rzeką samochodów - audi, mercedesów, peugeotów - wielu z napisem I LOVE KENYA na zderzaku. Przejeżdżały *meteta*, pojazdy dziewięcioosobowe, w których tłoczyło się ponad dwadzieścia osób. Znak drogowy ostrzegał: PROWADZIĆ OSTROŻNIE. PIĘCIORO LUDZI PONIOSŁO TUTAJ ŚMIERĆ W MAJU 1985 ROKU.

Abdi niespodziewanie skręcił z szosy i wjechał na parking hotelu Bleu Posts.

- Dlaczego tu się zatrzymujemy? - zapytała Debora.

- Bardzo historyczne miejsce, proszę pani. Tu zatrzymują się wszyscy turyści.

Spojrzała na stary przysadzisty budynek, prawie niebędący nawet cieniem swojej dawnej kolonialnej chwały. Blue Posts był kiedyś ulubionym wczasowiskiem białych osadników. Teraz szyldy reklamowały kurze szyjki z rusztu, pieczone kozie żeberka z rożna.

- Nie chcę się tu zatrzymać - powiedziała Debora. - Jedźmy do Nyeri.

Abdi popatrzył na nią z ciekawością, wzruszył ramionami i wyprowadził peugeota z powrotem na szosę. Od czasu do czasu zerkał w lusterko na swoją pasażerkę.



Włączył radio. Po krótkiej reklamie rozjaśniającego cerę kremu Mona Lisa spiker Głosu Kenii oznajmił:

„Nasz ukochany prezydent, czcigodny Daniel Arap Moi, powiedział, że rząd postara się do roku 2000 udostępnić opiekę lekarską wszystkim Kenijczykom”.

Debora pomyślała o wsi Ongata Rongai, o tych wygłodzonych chorych dzieciach, o brudzie, muchach i Christopherze, który usiłuje wnieść jakąś nadzieję, jakąś ulgę w ich nędzne życie. Pomyślała o Sarze, jeżdżącej po rozdzieranych walką o byt ulicach Nairobi mercedesem z szoferem, i o żebrakach w cieniu pokazowej, acz źle utrzymanej wspaniałości Ośrodka Konferencyjnego. To prawie tak, jakby jeden obok drugiego istniały dwa całkowicie odrębne światy, pomyślała.

Klepnęła Abdiego w ramię.

- Jeżeli pan daruje - powiedziała, wskazując radio.

- Och, przepraszam panią. - Wyłączył radio, wyciągnął z kieszeni koszuli łodygę liścia *miree* i zaczął żuć. Debora wiedziała, że *mi-ree*, chociaż uważany za środek pobudzający, rzeczywiście służy do poprawienia nastroju, pomaga Kenijczykom dźwigać ich kłopoty.

Peugeot przemierzał milę po mili obszarów uprawnych. Kobiety pracowały na polach, kobiety szły poboczem szosy, objuczone ogromnymi ciężarami. Prawie wszystkie, jak Debora widziała, albo były brzemiennie, albo niosły na plecach niemowlęta. Kobiety z dziećmi, uczepionymi ich spódnic, stały na rozstajach, człapały do przydrożnych kramów zieleniarskich. Pochylały się nad brudnymi stawami i wśród taplających się krów czerpały w tykwy wodę do picia. Czekały na przystankach autobusowych na *meteta* i tak już niebezpiecznie zatłoczone. Debora zdała sobie sprawę, że Kenia poza granicami Nairobi to państwo kobiet i dzieci.

- Wkrótce będą deszcze - powiedział Abdi, wdzierając się w jej rozmyślenia.

Spojrzała na niebieskie niebo.

- Skąd pan wie?

- *Meme* na polach kopią.

O tym już zapomniała. Ale teraz przypomniało jej się, jakimi świetnymi barometrami są kenijskie kobiety na swoich *szembe*. Nawet jeśli ani jednej chmurki nie ma na niebie i nic w powietrzu nie wróży deszczu, wystarczy zobaczyć, jak kobiety uwijają się na polach i od razu wiadomo, że deszcz spadnie.

Wkrótce będą deszcze. Jak mogła o tym zapomnieć? Od wczesnego dzieciństwa była przystosowana do rytmu okresów suchych

i deszczowych, dorastała, wyczuwając ich zmiany prawie tak jak te Afrykanki. Ale zatraciła zdolność wyczuwania pogody w Kalifornii, gdzie poznała prawdziwe lato i po lecie brązowozłotą jesień, a potem zimowy styczeń i pełną kwiatów wiosnę.

Co jeszcze zatraciłam, zastanawiała się, patrząc na pola kukurydzy i herbaty.

Krajobraz zaczął się zmieniać, serce miała coraz bardziej niespokojne. Prosta, płaska szosa zwęziła się i teraz kręto biegła po wzgórzach z kwadratami urodzajnych pól jak rozłożone dywany. Coraz bliżej była góra Kenya i na niebie już zaczynały rozciągać się ciemne chmury.

- Niebawem będziemy w Nyeri, proszę pani - powiedział Abdi zmieniając bieg, żeby wyminąć ciężarówkę z piwem Tusker.

Ale nastąpiła zwłoka spowodowana katastrofą na szosie. Gdy peugeot powoli przejeżdżał koło tego miejsca, Debora patrzyła na policjantów, na obojętnych sanitariuszy z ambulansów, podczas gdy wielki tłum kobiet i dzieci gapił się na szczątki czterech samochodów. Pomyślała o wuju Geoffreyu i wuju Ralphie. Cała rodzina zginęła...

Nagle Debora przypomniała sobie inny wypadek sprzed roku w San Francisco.

Była premiera baletu. Tańczył Barysznikow i bilety na to przedstawienie wyprzedano już przed miesiącami.

Jonathan dzięki swoim znajomościom dostał miejsca w łoży i zaproszenie na uroczysty bankiet po przedstawieniu.

Od tygodni oboje tego wyczekiwali. Debora kupiła suknię wieczorową specjalnie na tę okazję. Jonathan przyjechał po nią, ale dojechali nie dalej niż do Masona i Powella, gdy zdarzył się wypadek. Zobaczyli, jak samochód na mokrej od deszczu jezdni wpadający w poślizg zderzył się z trolejbusem.

Jonathan tak spokojnie, jakby organizował piknik, pokierował sytuacją. Oddzielił rannych od zmarłych, wydawał polecenia tym, którzy udzielali pierwszej pomocy, uspokajał ofiary, oglądał ich obrażenia, przy czym pobrudził smoking i zamiast bandaża posłużył się swoim białym jedwabnym szalikiem. Zanim zjawiała się policja, opanował panikę i zamęt, a potem jednym z ambulansów pojechał do szpitala. Debora pracowała razem z nim. Ocalili we dwoje niejedno życie i zahamowali histerię. Baletu nie zobaczyli, na bankiecie nie byli, z eleganckiej sukni zrobił się łań. Ale czuła się bardzo hojnie wynagrodzona, bo tamtej nocy zakochała się w Jonathanie.

W okolicach Nyeri minęli szkołę dla dziewcząt, do której Debora uczęszczała swego czasu. Ciekawe, czy panna Tomlinson nadal

jest surową dyrektorką. Ale nie, przecież ta szkoła na pewno została już zafrykanizowana. Dyrektorką musi być jakaś czarna, pomyślała Debora, wyteżając wzrok. Zabudowania i teren szkoły wydawały się zaniedbane, wśród uczennic na piaszczystych boiskach nie wypatrzyła ani jednej białej twarzy.

W końcu przy niebrukowanej szosie ukazała się duża wyblakła tablica: SPÓŁDZIELNIA KAWY AFRYKAŃSKIEJ - OKRĘG NYERI.

Dawna plantacja Trevertonów.

- Proszę tam wjechać - powiedziała Debora. Piaszczysty szlak był równoległy do rzeki Chanii, płynącej w dobrze znanym wąwozie z lewej strony.

Gdy dojechali do plantacji, poleciała:

- Tu proszę zatrzymać.

Abdi zjechał na pobocze drogi i wyłączył silnik. Zaległa głęboka cisza.

Debora patrzyła przez okno samochodu. Taką właśnie tę plantację pamiętała. Równe rzędy krzaków kawowych, ciężkich teraz od zielonych jagód, pokrywały pięć tysięcy akrów łagodnie falistego krajobrazu. Z prawej strony na horyzoncie wznosiła się z płaszczyzny w idealny szpic góra Kenya. „Jak kapelusz Chińczyka” - napisała w swoim dzienniku Grace. Z lewej strony Debora zobaczyła Bellatu, dom wyraźnie odnowiony i wyraźnie pełen życia.

Wysiadła z samochodu, przeszła kilka kroków po czerwonej ziemi. Odwracając twarz od wiatru, zwiastującego deszcz, patrzyła na ten duży dom.

Kto go kupił? Kto w nim teraz mieszka?

Ktoś tam wyszedł z frontowych drzwi i zatrzymał się na werandzie. To była katolicka zakonnica w niebieskim habicie zakonu, który przejął Misję Łaski.

Czy Bellatu jest teraz siedzibą tych sióstr? Może klasztorem?

Debora odwróciła oczy i przeszła na drugą stronę szosy. Stała na porośniętym trawą wzniesieniu i spojrzała na szeroki wąwóz chroniący jak w kołysce rzekę. Puszczony na zboczach wcale już nie było, na огоłonej ziemi znaczyły się biedniutki *szembe*. Zobaczyła kwadratowe chaty z mułu i harówkę kobiet na poletkach.

Zmusiła się, żeby spojrzeć niżej na boisko rugby, dawniej boisko polo. Dwie drużyny chłopców afrykańskich grały w piłkę. Spróbowała sobie wyobrazić, jak jej dziadek, hrabia Treverton, pełen rozmachu, jeździł na kucu i wygrywał. Ogrodzenie z łańcucha oddzielało od boiska skromne obejście, schludne małe zagony warzyw, zagrodę dla kóz i cztery kwadrato-

we lepianki z blaszanymi dachami. I tam pracowały kobiety z niemowlętami na plecach. Debora zastanowiła się, co to za jedne.

I wreszcie, mrużąc oczy, spojrzała na opieszłą rzekę. Zobaczyła ducha stojącego na brzegu, młodego Christophera w okularach przeciwsłonecznych zasłaniających jego oczy. Wydawało się jej, że słyszy, jak nad wodą dźwięczy widmowy śmiech - śmiech jakiejś łagodniejszej, niewinniejszej Sary.

Chciała się odwrócić od bolesnego wspomnienia.

Ale stała jak wryta w tę czerwoną ziemię, którą jej bose stopy znały tak dobrze, gdy była dzieckiem. Drżała. Włosy spięte na karku i zwisające na plecy rozwiewał wiatr. Chłostały ją w policzki. Migwały przed oczami. Odgarniała je, stojąc na porośłym trawą wzniesieniu.

Ten kraj jest nadal taki piękny, powietrze ostre, czyste, pełne tego czaru, którym ją karmiło za młodu. Poczowała się znów tak, jakby była małą dziewczynką i biegała wolna nad rzeką, kochała Afrykę, przebywała w towarzystwie rodziny małp colobus i pary wydr. W tamtym świecie nie było brzydoty ani biedy, tamta Kenia iskrzyła się pełną fantazji. Do tamtego właśnie kraju Debora miała nadzieję wrócić, znaleźć w nim początek, żeby zacząć na nowo, odnaleźć siebie.

Ale tamta Kenia chyba już nie istnieje i czy w ogóle istniała kiedykolwiek? - zastanowiła się Debora. I skoro nie mogę zacząć znów od początku, jak mam znaleźć swoje korzenie, ślady, które by mi pomogły żyć w spokoju z samą sobą?

## *Rozdział 64*

Dyrekcja hotelu Outspan umieściła Deborę, ku jej zdumieniu, w Domku Paxtu, ostatnim domu lorda Baden-Powella, twórcy skautingu.

W tym bungalowie, składającym się z sypialni, saloniku, dwóch kominków i dwóch łazienek, wódz skautów spędził ostatnie lata życia i umarł. Został pochowany w Nyeri w grobowcu na tym samym cmentarzu, gdzie na wieczny odpoczynek położono sir Jamesa. Normalnie domek Baden-Powella stoi pusty, ponieważ to ukochany pomnik narodowy, wyjaśnił Deborze dyrektor. Ale teraz pełno gości i nie ma w hotelu wolnych pokoi. Dyrektor nazywał się Cze Cze, Debora się zastanowiła, czy przypadkiem nie jest to potomek tamtego Cze Che, przewodnika, który wiódł wozy zaprzężone w woły wówczas, gdy ciocia Grace jechała tu z Nairobi sześćdziesiąt dziewięć lat temu.

Paxtu stał wśród zielonych pochyłych trawników otoczonych puszcza. Był odosobniony, cichy. Debora z zadowoleniem przyjęła to locum. Portier przyniósł jej walizkę, rozsunął zasłony w oknach z widokiem na rozległą werandę i w dali górę Kenya. Obejrzała historyczne fotografie i listy pieczołowicie przechowywane w ramach na ścianach. Baden-Powell nazwał ten domek Pax ku pamięci domu swoich przodków w Anglii. Debora się zastanowiła, czy wziął przykład z pobliskiego Bellatu.

Ponieważ pora obiadowa minęła i wielkie autobusowe partie turystów przyjechały, zjadły i odjechały na górę, żeby przenocować w Treetops, nie było teraz w sali restauracyjnej i na tarasie prawie nikogo. Debora usiadła przy stoliku i zapatrzyła się w widok góry Kenya, której szczyty jak namazane węglem drzewnym na tle ołowianych chmur zdawały się szydzić z jej powrotu do Afryki

Wschodniej. Łagodny kelner w czarnych spodniach i białej kurtce podał czajnik z herbatą i wskazał stół zastawiony podwieczorkowymi kanapkami i ciastami.

Takie tradycje wydawały się Deborze zbyt głęboko zakorzenione, pomimo „afrykanizacji” i „kenianizacji”, urzędowych inicjatyw rządu, żeby usunąć z kraju wszelkie ślady kolonialne. Obfity podwieczorek, jak wiedziała, podawano również w hotelu Hilton i nie wątpiła, że tak jak wiele innych zwyczajów brytyjskich będących pozostałością z czasów kolonii, popołudniowa herbata i białe rękawiczki podających przecież się utrzymują.

- Niech mnie licho, jeżeli to nie Debora Treverton! Podniosła wzrok, zaskoczona. Jakiś wpatrzony w nią nieznajomy stał na trawniku.

Też mu się przyjrzała.

- Terry? - zapytała.

Przyszedł do niej na taras, wyciągając rękę.

- Terry? - powtórzyła z niedowierzaniem. Myślała, że widzi ducha. Ale rękę jej uściskał mężczyzna ze wszech miar żywy.

Przystawił krzesło i usiadł.

- To dopiero wstrząs! Widziałem cię, jak tu siedzisz, i myślałem: żebym tak był zdrów, jak ta babka nie jest podobna do Debory Treverton! I raptem mnie olśniło: to jest ona!

Wpatrywała się w niego bez słowa. Wyglądał tak, jak go pamiętała, poza tym, że na jego opalonej twarzy, w jego bezwstydnym pewności siebie teraz jeszcze bardziej się zaznaczało podobieństwo do wuja Geoffreya. Terry Donald jest interesującym mężczyzną, stwierdziła prawie mimo woli, dobrze się prezentuje w tej bawełnianej koszuli bez, w oliwkowozielonej kamizelce i szortach, skarpetkach do kolan i butach z cholewami. Jego ciemnobrązowe włosy były znacznie jaśniejsze niż dawniej, niewątpliwie spłowiały w blasku słońca, i oczy bardziej niebieskie.

- Boże, Deb! Wprost nie mogę uwierzyć, że to ty! Ile to już lat! Podeszedł kelner.

- *Neteke tembo beridi, tefedhali* - powiedział Terry, zamawiając piwo.

- Dlaczego nigdy nie pisałaś, Deb? Dopiero co przyjechałaś, czy jesteś w Kenii już długo?

- Myślałam, że wy wszyscy nie żyjecie - zdołała tylko wykrztusić Debora.

Roześmiał się.

- To cholernie nieprawdopodobne! Poważnie, Deb, o ile pamięć-

tam, mówiłaś na pogrzebie ciotki Grace coś o tym, że nie wyjedziesz ostatecznie do Ameryki. A potem następnego dnia już ciebie nie było. Co się stało?

Usiłowała sobie przypomnieć. Pogrzeb Grace. Wtedy już się zdecydowała nie przyjąć stypendium i najwidoczniej każdemu o tym mówiła.

- Przywilej kobiety - zmusiła się do uśmiechu - to zmieniać decyzje. Ostatecznie wyjechałam do Kalifornii.

- Czy to twój pierwszy przyjazd do Kenii od tamtego czasu?

- Tak. - Patrzyła na niego, jeszcze wstrząśnięta. Te wspomnienia, jakie on raptownie nasunął! - Terry, nie rozumiem. Naprawdę myślałam, że nie żyjesz. W agencji powiedziano, że cała twoja rodzina zginęła w katastrofie samochodowej.

Jego ładny uśmiech zgasł.

- Tak, zginęła.

Dostał piwo. Otworzył butelkę i nappełnił wysoką szklankę. Potem wyjął papierosa, zapalił zapalniczką, którą miał w skórzanym woreczku zawieszonym na szyi. Głęboko się zaciągnął i odwrócił głowę troskliwie, żeby jak najdalej wypuścić z nozdrzy dym.

- Tata, mama, stryj Ralph i moje dwie siostry - powiedział. -Wszyscy naraz. To się stało na tej cholерnej szosie do Nanyuki. Jechali do Klubu Safari. Jeden z tych cholernych *meteta* walnął w nich, kiedy wymijał inny *meteta*.

Dwanaścioro ludzi w *meteta* też zabitych. - Parsknął krótkim gorzkim śmiechem. - Czego nie pojmuję, to tego, że ja przecież miałem jechać z nimi, tylko w drodze do Nairobi opona mi siadła, więc nie czekali, pojechali beze mnie! Jechałem sam do Klubu Safari, kiedy natknąłem się na tę katastrofę. Właśnie przenoszono ich do ambulansu.

- Och, Terry, tak mi przykro.

- Te cholerne szosy - powiedział, kręcąc szklanką z piwem po stoliku - w ogóle nienaprawiane, wiesz. Z roku na rok gorsze. Wkrótce żadna nie będzie przejezdna.

- Więc sprzedałeś agencję?

- Sprzedałem? Za chińskiego boga, nie! Wycieczki Donalda to jedno z najzyskowniejszych przedsięwzięć w Afryce Wschodniej! Dlaczego miałbym agencję sprzedać?

- Byłam tam dzisiaj rano i powiedziano mi, że właścicielem jest jakiś pan Mugambi.

- Ach tak. - Terry się zaczerwienił i roześmiał słabo. - Ja jestem panem Mugambi. Zmieniłem nazwisko, już nie nazywam się Donald.

- Dlaczego to zrobiłeś?

Podniósł wzrok znad piwa i dyskretnie rozejrzył się po tarasie.

- Coś ci powiem, Deb - zniżył głos - czy jesteś teraz zajęta? Może byś pojechała ze mną do domu? Chciałbym, żebyś poznała moją żonę. Mój dom jest tutaj, w Nyeri. Niedaleko.

Debora spojrzała przez ramię w kierunku jego wzroku - zobaczyła dwóch Afrykanów w byle jakich płóciennych ubraniach przy narożnym stoliku. Pili herbatę, rozmawiając cicho.

- Kto to?

Terry rzucił na stolik szylinga i odsunął się z krzesłem.

- Chodź, złotko. Mój rover stoi od frontu. Gdy byli sami na hotelowej alejce, powiedział:

- Ci faceci są z Oddziału Specjalnego. Teraz w Kenii trzeba uważać na to, co się mówi.

Wyprowadzając rovera na szosę, zapytał:

- Jak ty się tutaj znalazłaś? Sama nie prowadzisz samochodu, mam nadzieję!

- Wynajęłam samochód z kierowcą. Zwolniłam go do końca dnia.

- Co tutaj robisz? Przyjechałaś na urlop? Czy żeby zobaczyć stare kąty? Strasznie dużo się zmieniło. Och, może nie na zewnątrz, ale pod spodem Kenia jest już inna.

Debora zamyśliła się. Przejeżdżali koło kościoła i cmentarza, gdzie był pochowany sir James, dziadek Terry'ego.

Jego babkę, Lucille, której ani on, ani ona nie znali, pochowano w Ugandzie, tak samo jego ciotkę, Gretchen. Więc Terry jest ostatnim z Donaldów?

- Masz dzieci? - zapytała. Nagle musiała to wiedzieć.

- Mam chłopca i dziewczynkę. Ale nie odpowiedział na moje pytanie. Co cię sprowadziło do Kenii?

- Pamiętasz Meme Oczere, tę znachorkę, która mieszkała w chacie przy boisku polo?

- Tę cudaczną starowinę?! Tak, pamiętam ją. Ona jeszcze żyje? Mój Boże, przysiągłbym, że jest ostatnim maruderem ze starszego pokolenia.

Debora powiedziała mu o liście, który dostała z misji.

- Przypuszczasz, że ona czegoś od ciebie chce? - zapytał Terry, gdy rover podskakiwał na wybojach.

- Nie mam pojęcia. Zamierzam pojechać do misji jutro. Wtedy się dowiem.

- Czy przyjechałaś do Kenii na stałe, Deb? - zapytał ostrożnie, patrząc na nią z ukosa.



To pytanie ją przeraziło. Powtórzyła je sobie: czy przyjechałam na stałe?

- Nie wiem, Terry - odpowiedziała szczerze.

Podjechali do ogrodzenia z łańcuchów. Na tabliczkach były napisy: HETERI! NIEBEZPIECZEŃSTWO! PSYKALI. NIE WYSIADAĆ Z SAMOCHODU! NACISKAĆ KLAKSON.

- Nawet tutaj? - zapytała Debora, gdy *askari* otworzył bramę.

- Przestępczość jest wszędzie w Kenii. Coraz groźniejsza. To kwestia zaludnienia, rozumiesz? Kenia ma największy przyrost naturalny na świecie. Wiedziałaś o tym?

- Nie, nie wiedziałam.

- Za mało jest ziemi, żeby wszystkich utrzymać, za mało miejsc pracy. A to zaczyna być naród młodych. Na pewno widziałaś młodych Afrykanów w Nairobi, którzy nic nie mają do roboty. Nie uwierzyłybyś, jak potrafią oskubywać naiwnych turystów! Więc ostrzegam moich klientów: nie mieć nic do czynienia z przypadkowymi znajomymi.

Turystkom kradną torebki.

- Policja jest bezradna?

- Bezradna! Tylko wtedy, jeżeli się nie zapłaci dostatecznie dużego *magendo*. Ale ja mam lepszy system, żeby moi ludzie byli uczciwi. Jeżeli ktoś z klientów zgłasza, że mu coś zginęło, po prostu puszczam wiadomość, że nazajutrz wezwę wróżbitę. To nigdy nie zawodzi. Ukradziona rzecz nazajutrz rano już jest z powrotem u właściciela.

- Przesady się utrzymują?

- Chyba jeszcze gorsze niż dawniej.

Wjechali na ogrodzony piaszczysty teren, po którym Afrykanie gonili ujadające psy. Sam dom był bardzo stary.

Debora rozpoznała pierwotną pionierską budowę: pobielane ściany z mułu, dach ze strzechą. Długi, niski, chylący się, był jednak w bardzo dobrym stanie, wyraźnie zadbany. j

- Mam trzy rezydencje - wyjaśnił Terry, wprowadzając ją. - Jedną w Nairobi, drugą na wybrzeżu, no i tutaj. Właśnie tu trzymam swoją rodzinę. Najbezpieczniejsze miejsce, tak daleko.

W domu panował chłód, półmrok pod nisko obelkowanym stropem, lśniły wyfroterowane drewniane podłogi, stały skórzane kanapy, trofea myśliwskie wisiły na ścianach. Afrykanin w spodniach khaki i pulowerze nakrywał stół do podwieczorku.

- Podasz nam tutaj, Augustus! - zawołał do niego Terry i poprowadził Deborę do kanap przed największym kominkiem, jaki w życiu widziała.

Gdy usiedli, znów zapalił papierosa.

- Więc kiedy ty stąd wyjechałaś, Deb? - Zastanowił się. - Czternaście, piętnaście lat temu? Wróciłaś nie do tej dawnej Kenii, którą znałaś. Po pierwsze, ten rząd to po prostu wygłup. Wystarczy popatrzeć, jak usiłuje zahamować przyrost ludności. Kobiety niema-jące mężów, to znaczy prawie wszystkie kobiety w tym cholernym kraju, otrzymują pewien zasiłek na każde dziecko. Rząd Moi uważa za kontrolę urodzeń swoje zarządzenie, że odtąd zasiłki mają być przyznawane tylko dla pierwszych czworga dzieci, następne dzieci będą zdane na siebie. I dużo z tego przyjdzie, do cholery!

Afrykanin postawił na stoliku przed nimi tacę z herbatą.

- *Esente sene*, Augustus - powiedział Terry. Po czym prawił dalej: - Cudzoziemskie służby zdrowia i lekarze misyjni starają się przeforsować kontrolę urodzeń, ale afrykańskim mężczyznom to nie odpowiada. Więc kobiety, które chcą stosować te sposoby, robią to chyłkiem. I niech tylko mąż wykryje, że żona używa środków antykoncepcyjnych, spierze ją do nieprzytomności, do czego ma zresztą prawo.

Zdusił papierosa i obdarzył Deborę uśmiechem.

- Rany boskie! Słyszysz, co ja gadam? Jakież to spotkanie po latach? Nie potrafię ci powiedzieć, jak miło mi cię widzieć, Deb! Jak tam jest w Kalifornii?

Debora opowiedziała mu o sobie, ale tylko powierzchownie.

- Czy ten facet, za którego wyjdiesz, chce przyjechać na stałe do Kenii?

- Nigdy tu nie był. Nie wiem, czyby mu się tu podobało. Jeszcze mówiąc to, Debora zdała sobie sprawę z czegoś, o czym

nigdy dotąd nie pomyślała: tak mało Jonathan wie o Kenii. Więc jakże może znać mnie?

- Miriam nie ma w domu. Jest u swojej siostry. Ale niedługo wróci i chcę, żebyś ją poznała.

- A dzieci?

- Oboje w szkole. Czekaj. - Terry wstał, wziął z parapetu kominka dwie fotografie i podał Deborze. - To Richard. Ma czternaście lat.

- Ładny chłopiec. - Debora przypatrzyła się młodszemu wydaniu Terry'ego.

- A to Lucy. Osiem lat. Zagapiła się. Lucy była Afrykanką.

Jak gdyby czytając w jej myślach, Terry usiadł, znów zapalił papierosa i powiedział:

- Matka Richarda była moją pierwszą żoną. Rozwiedliśmy się, kiedy Richard był niemowlakiem. Wtedy dopiero wchodziłem w sprawy taty. Anne nie mogła znieść mojej nieobecności, moich wyjazdów na safari. I była zazdrosna o klientki. Więc rzuciła mnie, wyszła za pewnego eksportera w Mombasie. Richard pół roku spędza u mnie, pół roku u niej.

- A Lucy?

- Ją mam z drugą żoną. Z Miriam.

- Kikuju?

Terry przytaknął i wypuścił z nozdrzy dym.

- W istocie, przyjąłem jej nazwisko, Mugambi. Debora postawiła fotografie na stoliku.

- Dlaczego? Wzruszył ramionami.

- Dla przetrwania, głównie. Jest nacisk, żeby usuwać białych z Kenii. Strasznie dużo uprzedzeń do przedsiębiorstw europejskich. Nie będę się wdawał w szczegóły, ale rozumiałem, że w moim najlepszym interesie leży utrzymanie agencji pod nazwiskiem afrykańskim.

- Myślałam, że to się skończyło przed wieloma laty.

- Odkąd Jomo umarł w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym, sprawy w Kenii nie zanedbano. Oczywiście, niektórzy faceci patrzą na to inaczej. Ale ja wiem z własnego doświadczenia. Wykształcenie mojego syna, na przykład.

Terry przerwał, zawołał Augustusa i kazał mu przynieść butelkę wina.

- Na specjalną okazję. - Uśmiechnął się do Debory. - To kenijskie wino papaja. Pewnie nie da się porównać z waszymi słynnymi winami w Kalifornii, cóż, kiedy lepszego nie mamy.

- Mówiłeś o Richardzie.

- W tej chwili jest w internacie w Naivasha. Ale ma czternaście lat, czas przenieść go do liceum. Sęk w tym, że szkołę, której chcę dla niego, całkowicie zafrykanizowano. Króla Jerzego w Nairobi, pamiętasz? Teraz to się nazywa Akademia Uhuru. Jest nowy dyrektor, Afrykanin, który absolutnie nie chce dopuścić białych chłopców. Boli mnie to, bo w tej właśnie szkole uczył się swego czasu mój ojciec. Nawet był jednym z pierwszych przyjętych tam uczniów, zaraz po otwarciu w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym ósmym. Jest tablica na froncie z ich nazwiskami, Geoffrey Donald na górze tej listy. A potem oczywiście mnie tam oddali, w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym. A teraz ta szkoła nie

jest dla białych. I co gorsza, żadna szkoła średnia w Kenii nie przyjmie białych uczniów.

- Więc co zrobisz?

- Nie mam wyboru, muszę go wysłać do jakiejś szkoły z internatem w Anglii. Stać mnie na to, ale to jest kwestia zasady. Richard nie zna Anglii. Jego pradziadek urodził się w Kenii.

Augustus przyniósł wino, postawił na stoliku dwa kieliszki, sprzątnął zastawę do herbaty. Terry napełnił kieliszek Debory. Popijała. Wino miało ostry, gorzki smak.

- Co robisz ostatnio, Terry? - zapytała łagodnie, żeby rozbroić jego wyraźnie narastający gniew. - Nadal eskortujesz wycieczki czy zajmujesz się wyłącznie administracją?

Roześmiał się. Znów zapalił papierosa i rozparł się na kanapie, popijając wino.

- Jeżdżę z klientami na safari myśliwskie.

- Myślałam, że polowania są tutaj nielegalne.

- Do Tanzanii. Tam są legalne. Zabieram przeważnie Amerykanów.

Zapytała powściągliwie:

- To przynosi zyski?

- Nie uwierzyłabyś, jakie! Mam już zamówienia aż do dziewięćdziesiątego pierwszego roku. Kiedy dziesięć lat temu zakazano polowań tutaj, przenieśliśmy się, my myśliwi, do innych krajów, żeby szukać pracy. Mnóstwo stad zgodnie z prawem przetrzebiłem w Sudanie. Ubijałem przeważnie sztuki wybrakowane. Nad Nilem na północ od Juba. Tam słoni jest za dużo, niszczą plony. To są kły - wskazał parę kłów wyższych od człowieka stojących z obu stron przy drzwiach -starego buhaja ranionego z muszkietu. Kompletnie oszalał. Zabił trzydziestu czarnych z plemienia Dinka. Ubiłem go jednym strzałem i zażądałem w zamian kłów zamiast sudańskich funtów, doprawdy nic niewartych! -

Popił wina. - W każdym razie, robię teraz dobre interesy w Tanzanii. I płacą mi amerykańskimi dolarami.

- Ale czy import myśliwskich trofeów do Stanów Zjednoczonych nie jest nielegalny?

- Był. Jimmy Carter zakazał sprowadzania lampartów, jaguarów i kości słoniowej. Ale administracja Reagana pozwala przywozić trofea z krajów, gdzie wolno polować. Moi klienci mają zagwarantowane upolowanie jednego lwa, jednego lamparta, dwóch bawołów i dwóch gazel Granta. Zabieram ich na dwadzieścia dwa dni, zapewniam im obozowiska i tropiciele. Płacą mi za to trzydzieści tysięcy dolarów.

Debora milczała.

- Wiem, że ty nie aprobujesz polowań - powiedział Terry cicho. - Nigdy nie aprobowałeś. Ale my, myśliwi, jesteśmy użyteczni. Tępiiliśmy kłusownictwo w Kenii. Byliśmy nieurzędową policją. Kiedy w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym ogłoszono zakaz polowań i myśliwi się wynieśli, zaraz zjawili się kłusownicy. Im wszystko jedno, ile zwierząt ubiją i w jaki sposób. Rezultat to nieustanne cierpienia i rzeź zwierzyny. Czy wiesz, że w Kenii zostało tylko pięćset nosorożców?

Debora patrzyła na fotografie dzieci Terry'ego.

- Rada jestem, że ci się powodzi - powiedziała. - Często się zastanawiałam...

- Tak, powodzi mi się. - Terry ponownie napełnił sobie kieliszek i znów zapalił papierosa. - Ale czy długo jeszcze? Kenia jest krajem cholernie niestabilnym, Deb. Nie jesteś ślepa. Widzisz, jakie tu są warunki. Afrykanie najwyraźniej nie umieją niczego prowadzić. Czy też gwiżdżą na to. Nie wiem. I na domiar złego mamy tu garstkę jakiejś zakichanej bogatej elity, która słodko mówi bzdury dwudziestu milionom powoli konającym z głodu. Popatrz, co zrobili z górą Kenya! Ścięli tam wszystkie drzewa bez żadnego planu. Nie wiedzą, co to ekologia, nie sadzą nowych drzew, nie myślą o następstwach usunięcia wszystkich lasów. Rzeki tutaj zaczynają wysychać, bo góry stają się jałową pustynią. - Potrząsnął głową. - Afrykanie nie myślą o przyszłości. Nigdy nie myśleli, nawet w czasach mojego dziadka. Wykorzystują zasoby i wciąż płodzą dzieci. Żadnemu nie przyjdzie do głowy, że coś trzeba zrobić dla jutra. Popatrz na Kilima Simba, dawne ranczo mojego ojca. Dziadek wprowadził system bruzd nawadniających. Ale Afrykanie, którzy teraz tam mieszkają, na setkach małych *szembe* nie utrzymywali tych bruzd, więc teraz nie mają wody, ich pola obracają się w kurz.

Terry patrzył na Deborę żarliwie swymi niebieskimi oczami.

- Kenia to baryłka z prochem. Bomba zegarowa. Przy tym po-naddźwiękowym tempie urodzeń zmoże ją klęska głodu.

- Myślałam, że inne państwa pomagają.

Zduślił na pół wypalonego Embassy Kingsa i nalał sobie jeszcze wina.

- Mówisz o tym, co Stany Zjednoczone robią dla Afryki? Jak myślisz, ile z tych pieniędzy idzie na ludność, Deb? Wiem z wiarygodnego źródła, że niecałe dziesięć procent tych milionów dolarów, hojnie ofiarowywanych przez Amerykanów, przeznaczają na wyżywienie ludzi. A reszta? No, tylko policz *benzi* na parkingach rzą-

dowych. Kiedyś wybuchnie znowu rewolucja, Deb. Zapamiętaj moje słowa. I Mau-Mau przy tym to tylko jakiś cholerny piknik!

- Więc dlaczego stąd nie wyjedziesz, Terry?

- A dokąd? Tu jest mój kraj, mój dom. Stary Moi niech się wypcha, jeżeli myśli, że nas stąd wystraszy!

Nagle Terry umilkł. Spojrzał przez ramię w stronę kuchni, po czym powiedział zniżonym głosem:

- Mówię ci, Deb. Zacznie się następna rewolucja. Uznają mnie za cholernego kolonistę, będę kozłem ofiarnym. Pomimo że robię wszystko, co mogę... ożeniłem się z dziewczyną Kikuju, zmieniłem nazwisko... jestem gotów wynieść się bez wahania. I każdy biały, który ma olej w głowie, gotów jest zrobić to samo. Po cichu wysyłam pieniądze do Anglii. Kupiłem dom w Cotswolds. Kiedy zrobi się paskudnie, zabiorę dzieciaki i w tym, co będziemy mieć na grzbietach, jazda do Anglii. Przetrwaj, Deb, tego mnie nauczyło to, że jestem Kenijczykiem. I ty, jeżeli jesteś mądra, nie będziesz igrała z myślą, żeby tu wrócić na stałe.

Psy nagle się rozszczękały na dziedzińcu. Debora, patrząc w okno, ze zdumieniem zobaczyła, że mrok już zapadł i że zaczyna padać deszcz. "\*"

- To Miriam wróciła - powiedział Terry. Wstał. - Proszę, zostań na kolacji, Deb. Przyrzekam, że już nie będę takim karawania-rzem. Tyle jeszcze mamy sobie do powiedzenia!

Odwiózł ją do hotelu Outspan w kilka godzin później. Wiedząc, że w San Francisco jest godzina trzecia po południu, zdecydowała się zatelefonować do Jonathana. Zamówiła połączenie i wzięła gorącą kąpiel. W wannie myślała o tym wieczorze z Terryem, który zarówno ją oświecił, jak przeraził. Ale chociaż tak stanowczo chciał ją odstraszyć od Kenii, jego krakanie, rzecz dziwna, odniosło odwrotny skutek. Im więcej słyszała o kłopotach Kenii, tym bardziej poczuwała się do obowiązku pomocy.

Wkładała już płaszcz kąpielowy, gdy przyszedł służący, żeby rozpaść ogień w kominku. Stała przy szklanych drzwiach od strony werandy. Siąpiący deszcz przypominał jej inną deszczową zimną noc, gdy ogień tak samo trząskał, a świat za oknami był tak samo bezpiecznie oddzielony. W taką właśnie noc kochała się z Jonathanem po raz pierwszy.

„Unikałem poważnej więzi - powiedział swym łagodnym głosem Jonathan - aż do teraz”.

Debora, leżąc w jego objęciach, patrzyła na płasające płomienie i czuła się po raz pierwszy zupełnie spokojna, swobodna wobec mężczyzny. Słuchała, jak Jonathan otwiera się przed nią po trochu, jak nigdy dotąd w ciągu roku ich przyjaźni.

„Dlaczego się z nią nie ożeniłeś? - zapytała, mówiąc o kobiecie, która go zraniła przed laty. - Co się stało?”  
Dla niego to nie był temat łatwy. Słyszała w jego słowach, dobieranych starannie, wahanie, niepokój, skrzępowanie mężczyzny wyjawiającego swój ukryty ból może po raz pierwszy. Rozumiała go. Sama ukrywała swoją przeszłość za takimi niewypowiedzianymi zwierzeniami. Nawet on, mężczyzna, którego pokochała, nie wiedział o zbrodni popełnionej w chacie Christophera ani też nigdy mu nie mówiła, że jest na pół Afrykanką. Bardzo się starała pogrzebać przeszłość, nawet wymyślała kłamstwa, żeby wyjaśnić pewne sytuacje, takie jak problem dzieci. Postanowiła ze względu na swoje pochodzenie nie mieć dzieci w żadnym razie. Jaka mogłaby być szansa na to, że dziecko będzie białe jak jego ojciec? Kędy i w jakich nieodpowiednich okolicznościach nagle objawiałaby się ta część afrykańska? Ostatecznie Debora uciekła się do medycyny.

„Nie mogę mieć dzieci. Endometriosis” - mówiła nieraz, również Jonathanowi, aż sama prawie w to uwierzyła. Po miesiącach wspólnej pracy w sali operacyjnej, uśmiechania się do siebie sponad zielonych masek, uciechy ze swoich prywatnych dowcipów, walki o życie ludzkie, omawiania obopólnych korzyści z prowadzenia razem praktyki - po tym balecie, na który nie dojechali, i dwóch wspaniałych godzinach przed kominkiem w jego mieszkaniu, Jonathan podjął następny zdecydowany krok. Gdy już połączyli się fizycznie, zaczął wytyczać drogę do połączenia duchowego zwierzeniami z ukrywanej dotąd przeszłości.

„Dlaczego się z nią nie ożeniłeś? - zapytała Debora w tamtą deszczową noc w San Francisco. - Byliście sobie bardzo bliscy. Ślub miał być za tydzień. Co się stało?”

Odpowiedział głosem tak zdławionym, że ból w tym głosie słyszała nawet teraz.

„Dowiedziałem się, że ona zrobiła coś niewybaczalnego. Coś, z czym nie mogę się pogodzić. Bo co to za miłość, jeżeli kobieta kłamie mężczyźnie, którego rzekomo kocha? Skłamała mi”.

Telefon zadzwonił alarmująco. Debora odwróciła się od szklanych drzwi i zobaczyła, że jest w pokoju sama. Służący rozpałił ogień i dyskretnie odszedł. Telefon dzwonił.

- Jonathan!

Podniosła słuchawkę, nagle pragnąc go, ale usłyszała tylko głos hotelowego telefonisty.

- Niestety, proszę pani. Ten numer nie odpowiada. Mam jeszcze spróbować później?

Zastanawiała się przez chwilę. Ich gabinet przyjęć w środy po południu jest zamknięty, ale może on teraz operuje. Podana telefoniście numer obsługi informacyjnej. Dowie się, gdzie Jonathan jest, poprosi, żeby do niej zatelefonował.

Nie było sensu stać przy telefonie. Pół godziny co najmniej zabierze połączenie z Kalifornią. Więc usiadła na kanapie, podwinęła nogi i zapatrzyła się w ogień.

W tamtą deszczową noc rok temu podobnie patrzyła w ogień w mieszkaniu Jonathana, trochę odrętwiała, wstrząśnięta tym, co Jonathan jej powiedział.

„Taki jestem - wyjaśnił głosem już niezdzławionym, bo zrzucał ciężar, przy niej czuł się spokojny i bezpieczny. - Przez całe życie, odkąd pamiętam, nienawidziłem kłamstwa. Może to skutek surowego katolickiego wychowania. Mogę wybaczyć wszystko, jeżeli wyznanie jest szczere. Ale ona mówiła, że mnie kocha, a kazała mi wierzyć w kłamstwo i nie miała zamiaru, jak mi powiedziała później, nigdy tego kłamstwa sprostować. Strasznie się rozgniewałem, strasznie cierpiałem”.

„Co skłamała?” - zapytała Debora.

„Nieważne. Ważne jest tylko to, że ona wiedząc, że ja wierzę w nieprawdę, zamierzała pójść ze mną do ołtarza. Wiedząc, że będziemy prowadzić małżeńskie życie pod kloszem nieuczciwości. Nieważne, co skłamała, Debbie, ważne tylko, że skłamała i że ja o tym się dowiedziałem z innego źródła”.

Debora zamknęła oczy i mocno przytuliła się do niego. Ależ nie, ważne jest, co skłamała, pomyślała wtedy. Muszę wiedzieć, czy jej kłamstwo było tak wielkie jak moje.

Od tamtego czasu była przerażona swoim kłamstwem. Tamtej nocy omal nie wyjawiała Jonathanowi wszystkiego. Ale ich przyjaźń przesunęła się z beztróskiego świata koleżeństwa na wątlą, och, jakże cenną, płaszczyznę miłości, zbyt jeszcze nową, zbyt kruchą. Poczekam z tym, postanowiła Debora, powiem mu, kiedy to już niczym nie będzie grozić.

Wciąż jednak to było niebezpieczne. Z trwogą stwierdzała, że w miarę jak więź między nimi się zacieśnia, w miarę jak ich miłość się pogłębia i Jonathan staje się treścią jej życia, sposobność do wy-



jawienia prawdy coraz dalej ucieka. W końcu ustalili datę ślubu i Debora miała przed ołtarzem stanąć z kłamstwem. Telefon znów zadzwonił, spojrzała na zegarek. Minęło zaledwie pięć minut.

- Mówi doktor Treverton - powiedziała kalifornijskiej telefonistce. - Proszę przekazać wiadomość dla doktora Hayesa.

- Niestety, pani doktor. Doktor Hayes jest nieosiągalny. Doktor Simonsen przyjmuje wiadomości dla niego.

- A czy wiadomo, gdzie doktor Hayes teraz jest?

- Niestety, nie wiem. Mam coś przekazać doktorowi Simonsenowi od pani?

Debora myślała przez chwilę.

- Nie, dziękuję.

Wyłączając się, postanowiła zadzwonić do Jonathana rano. Wtedy w San Francisco już nastanie noc, więc on na pewno będzie w swoim mieszkaniu. Zamówiła poranne połączenie i położyła się spać. Spała niespokojnie.

## *Rozdział 6 5*

Nie wiem, czy mnie pani pamięta, pani doktor - powiedziała matka przełożona, idąc z Deborą uliczką, która prowadziła do Domu Łaski. - Byłam wtedy siostrą Perpetuą. I chyba ostatnią osobą, która widziała pani ciocię żywą. - Pamiętam, proszę matki. - Deborę zadziwiały wspomnienia na tej trasie od bramy misji. Tutaj był jej pierwszy dom, jedyny rzeczywiście rodzinny dom dzieciństwa. Wydawało się jakoś nie w porządku to, że na tej dobrze znanej werandzie stoi zakonnica w niebieskim habicie, a nie białowłosa kobieta w białym kitlu z zawsze zawieszonym na szyi stetoskopem.

Na ścianie przy drzwiach frontowych zobaczyła plaketkę z brązu: „DOM ŁASKI ZAŁ. 1919 r.". Zdziwiła się, że w tym domu już nikt nie mieszka.

- Tutaj mamy biuro administracji - wyjaśniła matka przełożona - i mały ośrodek dla gości. Przyjemnie będzie pani wiedzieć, że mnóstwo ludzi z całego świata zwiedza dom doktor Grace Trever-ton.

Salonik przeobrażono w małe muzeum ze szklanymi gablotami, z oprawionymi w ramki listami i fotografiami na ścianach. W gablocie zamkniętej na klucz leżały przy medalu z pierwszej wojny światowej insygnia Orderu Imperium Brytyjskiego, który Grace dostała w roku 1960 od królowej Elżbiety, otrzymując też tytuł członkini tego orderu. Była nawet staroświecka szafka z wyposażeniem lekarskim, a w niej instrumenty chirurgiczne, butelki z lekarstwami i wyblakłe karty choroby.

Debora zatrzymała się przed fotografią cioci Grace stojącej u podnóża Treetops z księżniczką Elżbietą i oczy jej zamglily się łzami. Jest tak, jak gdyby Grace nie umarła, jak gdyby nadal żyła.

- Wszystko to w rzeczywistości należy do pani - powiedziała matka przełożona. - Po pani wyjeździe do Ameryki znalazłam skrzynie pełne pamiątek. Myślałam, że pani po nie przyjedzie. Nawet pisałam do pani w Kalifornii. Nie dochodziły moje listy?

Debora bez słowa potrząsnęła głową. Przecież te listy nieotwarte wyrzucała - wszystko, na czymkolwiek był znaczek pocztowy Kenii.

- Więc w końcu zdecydowałyśmy się podzielić tymi rzeczami ze światem. Oczywiście, jeżeli pani chce zabrać coś z tego, ma pani prawo, pani doktor.

Piętnaście lat temu Debora wyjechała z Kenii, zabierając tylko te pamiątki, które chciała mieć. Wśród nich była turkusowa broszka cioci Grace. Niestety, turkus został jej ukradziony na pierwszym roku studiów. Jedna z koleżanek, nielicznych dziewcząt na tym roku, podziwiała turkus tak bardzo, że chciała go od Debory kupić. Gdy zginął, Debora wiedziała, kto go wziął, nie miała jednak dowodu. Ta dziewczyna rzuciła studia w kilka tygodni\* później i wyjechała z powrotem na północ, do domu w Waszyngtonie. Wtedy Debora bardzo się przejmowała utratą pamiątkowej broszki, ale z biegiem lat nauczyła się akceptować nietrwałość wszystkiego - posiadania rzeczy i przyjaciół - i doszła do wniosku, że przeznaczeniem tego turkusu jest przechodzić z rąk do rąk.

Odwracając się do życzliwej matki przełożonej o czarnej twarzy stanowiącej ostry kontrast z białym kwefem, powiedziała:

- Te rzeczy są własnością świata, jak matka mówi. Ja ich nie potrzebuję. Czy mogę już zobaczyć się z Meme Oczera? Gdy szły przez trawnik, zapytała:

- Nie wie matka, dlaczego ona mnie wzywa? Zakonnica lekko zmarszczyła brwi.

- Nielatwo mi było zdecydować, czy panią wezwać. Bo, pani rozumie, nie jestem pewna, czy jej chodzi o panią. Ta biedaczka jest strasznie rozstrojona. Przyszła tu z własnej woli, wie pani. Zjawiała się pewnego dnia bardzo sterana i chora... przypuszczamy, że ma dobrze ponad pięćdziesiąt lat... i powiedziała, że przodkowie jej polecieli umrzeć tutaj. Miewa chwile jasności umysłu, ale przeważnie jakoś wszystko jej się myli. Myślą błędzi w różnych czasach. Niekiedy budzi się i pyta o Kabiru Madengeja, swojego męża. Albo woła nazwisko Treverton tyle razy i tak się wtedy upiera, taka jest wzburzona, że to jednak wymaga uwagi. Uznałam, że może warto by do pani napisać. Modłę się, żeby po zobaczeniu pani miała lżejszą śmierć.

Weszły do bungalowu i młoda pielęgniarka Afrykanka w niebieskim uniformie i niebieskim weloniku poprowadziła je do jednego z łóżek na końcu słonecznej sali. Oczera spała, ciemną głowę spokojnie wtulała w białą poduszkę.

Debora patrzyła na nią, okrutną wiedźmę, gotowa poczuć gniew i zawziętość.

Ale, o dziwo, widziała staruszkę wątłą, niegroźną. Nie pamiętała przez te wszystkie lata, że Oczera jest taka mała.

- Zwykle budzi się później w ciągu dnia - powiedziała młoda pielęgniarka. - Zatelefonować wtedy po panią?

- Proszę. Będę w Outspan.

- Pozwoli pani poczęstować się herbatą? - zapytała matka przełożona. - To dla nas honor, że pani nas odwiedziła.

Popijając herbatę Countess Treverton, Debora gawędziła z matką przełożoną o Meme Oczereze.

- Wnuk często do niej przyjeżdża - mówiła Perpetua. - Doktor Madengej jest zacnym człowiekiem. Jego żona umarła parę lat temu. Wiedziała pani o tym?

- Tak. Ale nie wiem, na co umarła.

- Na malarię. A myśmy już myśleli, że pokonaliśmy tę chorobę. Ale jest nowa odmiana, odporna na chlorochinę. Doktor Madengej nie ustaje w pracy, którą prowadził razem z żoną. Modlimy się za niego codziennie. Doktor Madengej w imię Boże leczy ludzi Kenii.

Później Debora poszła na polankę wśród eukaliptusów, gdzie sa-crario duca d'Alessandro nadal utrzymywał w porządku stary dozorca. I znicz nadal się tam palił. Deborze spodobała się myśl, że jej babcia i włoski książe spoczywają w wieczystym duchowym uścisku miłosnym.

Deszcz padał ulewny, gdy wróciła do hotelu Outspan. Mijając salę restauracyjną, w której podawano obiad, poszła prosto do domku. Zamknięciem za sobą drzwi odcięła wiatr i chłostę deszczu, zaczęła zdejmować przemoczony sweter i... wstrząs.

- Jonathan! Wstał z kanapy.

- Cześć, Debbie. Chyba nie masz mi za złe. Powiedziałem, że jestem twoim mężem. Dałem trochę forsy i wpuścili mnie tutaj.

- Jonathan - powtórzyła. - Skąd ty w Kenii?

- Tak dziwnie rozmawiałaś przez telefon, że się zaniepokoiłem. Zdecydowałem się przylecieć, zobaczyć, co się dzieje.

## *Rozdział 66*

Jonathan otworzył ramiona.

Ale Debora wahała się przy drzwiach. Nie zaplanowała, że powie mu tak od razu. Potrzebowała czasu, żeby się zastanowić i przygotować. Więc podeszła do telefonu, poprosiła o połączenie z obsługą, zamówiła obiad do domu: sałatkę, kanapki, owoce i herbatę, nie spuszczać oczu z Jonathana. Wydawał się zmęczony.

Gdy położyła słuchawkę i zdejmowała sweter, Jonathan na klęczkach przed kominkiem rozpałał ogień.

To była swojska scena, odgrywana już wiele razy w ich mieszkaniu na Knob Hill. On przychodził z mgły i z deszczu, zdejmował mokry płaszcz i rozpałał ogień w kominku, ona parzyła herbatę, a potem następowały godziny ciepła, przytulności, gdy rozmawiali spokojnie o sprawach dnia - o pacjentach i zabiegach, o swoich planach w związku z powiększeniem gabinetu. Wszystko to w takich złocistych kręgach blasku, że ich miłość rosła, umacniała się, aż związała ich bardzo mocno.

Ale ten ogień tutaj pachniał nie tak, jak trzeba, bo drewno było nieamerykańskie, Jonathan nie zdjął mokrej skórzanej kurtki, posiłek przyniósł milczący hotelowy kelner, Afrykanin<sup>^</sup> a ona stała, czekając z pięcioma szylingami napiwku. Gdy została z Jonathanem sama, nie usiadła przy nim na kanapie, nie podwinęła nóg, nie oparła się o niego.

Wciąż jeszcze stała przed kominkiem. Nagle ogarnął ją lęk.

- Co się stało, Debbie? - zapytał Jonathan w końcu. Z wysiłkiem panowała nad sobą.
- Jonathan, ja ci skłamałam. Wyraz jego twarzy się nie zmienił.
- Pytałeś mnie, czym jest dla mnie pewna umierająca stara

Afrykanka, znachorka. Odpowiedziałam ci, że nie wiem. To było kłamstwo. Jest moją babką.

Wpatrzony w nią, nawet nie drgnął.

- Przynajmniej - dodała - tak wtedy myślałam.

Płonące drwa głośno trzaskały, czerwone iskry wlatywały w komin. Za oknami ulewa już zmieniła dzień w noc. Bombardowała dach werandy, zalewała las za trawnikiem na zboczu. Debora podeszła do niskiego stolika i napełniła filiżanki herbatą. Ale pozostały nietknięte.

- Twoją babką? - zapytał Jonathan. - Afrykanka?

Nie spojrzała mu w oczy. Łatwiej było wpatrywać się w ogień. Usiadła na drugim końcu kanapy, zachowując dystans między nimi.

- Myślałam - powiedziała - że jest moją babką. Bo ona chciała, żebym w to uwierzyła. Właśnie przez nią wyjechałam z Kenii.

Włączyła swój głos w odgłosy ognia i deszczu. Mówiła cicho, spokojnie, niczego nie pomijając. Jonathan słuchał. Nie poruszał się. Patrzył na jej napięty profil, na czarne włosy opadające na plecy, jeszcze potargane wiatrem i mokre. Słuchał niewiarygodnej baśni o Mau-Mau, bojownikach, którzy wywalczyli wolność, i o zakazanej miłości dwojga ludzi różnych ras i o rozkwitłym uczuciu z lat dziecięcych, o Afrykanach i białych, o chacie kawalerskiej i o pogrzebie, o znalezieniu listów miłosnych i o klątwie starej kobiety. Słuchał jak w transie.

- Przez te wszystkie lata miałam dziennik ciotki - powiedziała Debora, kończąc swoją opowieść - a przecież go nie czytałam. Otworzyłam go dopiero wtedy, gdy zajechałam do Hilton w Nairobi. I dopiero wtedy się dowiedziałam... - Wreszcie odwróciła się do Jonathana, oczy miała niezwykle ciemne, tylko w zmałych źrenicach odbijała się luna ognia. - Dowiedziałam się, że Christopher ostatecznie nie jest moim bratem.

Przytrzymał na chwilę jej wzrok. Potem on z kolei spuścił oczy.

W czasie jej opowiadania jedno polano osunęło się i leżało na skraju paleniska. Więc wstał teraz, wziął pogrzebacz, pchnął polano z powrotem w ogień. Potem się wyprostował i popatrzył na portret wiszący nad kominkiem, portret niemłodego mężczyzny z siwym wąsem w mundurze skauta. Wiedział, że to lord Baden-Powell, który porzucił swoje wygodne życie w Anglii, żeby żyć na dzikich bezdrożach Kenii.

Co takiego ma w sobie ten kraj, że ludziom tak uderza do głowy? Jaki specjalny czar sprawia, że rezygnują z życia w spokoju?

Odwrócił się i spojrzał na Deborę. Siedziała na brzegu kanapy spięta, jak gdyby gotowa zerwać się i uciec. Ręce splatała mocno przed sobą, twarz miała mizerną. Nieraz ją taką widywał, gdy reanimowała pacjenta. Patrzyła wtedy na monitor ze szczególną pasją.

- Dlaczego nigdy mi o tym wszystkim nie mówiłaś, Debbie? Podniosła na niego oczy pełne bólu.

- Nie mogłam, Jonathanie. Tak bardzo się wstydziłam. Czułam się... brudna. Po prostu chciałam zapomnieć o mojej przeszłości, zacząć na nowo. Nie widziałam sensu w wydobywaniu tego. Postanowiłam już nigdy nie wracać do Kenii.

- Nie skłamałaś mi - powiedział spokojnie. - Tylko zatajałaś przykre wspomnienia.

- Ale w tym jest coś więcej. Byłam po części czarna, Jonathanie. I wcale ci o tym nie powiedziałam. Mówiłam, że nie mogę mieć dzieci. To nieprawda. Ja nie chciałam mieć dzieci. Bałam się, że moje pochodzenie wyjdzie na jaw.

- Mogłaś mi to wszystko powiedzieć, Debbie. Wiesz, że mnie nie obchodzi rasa czy kolor skóry.

- Tak. Teraz wiem. Ale z początku, kiedy zaczęliśmy się spotykać, nie byłam tego pewna. Więc mówiłam ci to samo kłamstwo, które powtarzałam innym. Że mam endometriosis.

- Ale później, Debbie! Kiedy już zdaliśmy sobie sprawę, że się kochamy, kiedy zdecydowaliśmy się pobrać. Wtedy mogłaś mi powiedzieć.

Spuściła głowę.

- Miałam zamiar. Ale opowiedziałeś mi o Sharon, że się z nią nie ożeniłaś. Bo ona ci skłamała.

Jonathan zdębiał.

- Mnie obwiniasz? To moja wina, że trwałaś w swoich kłamstwach?

- Nie, Jonathanie!

- Na Boga, Debbie! - Odwrócił się od kominka, podszedł do szklanych drzwi. Wepchnął ręce w kieszenie, patrząc szarość deszczu.

- Bałam się - powiedziała. - Bałam się, że jeśli ci powiem, że skłamałam, utracę cię.

- Myślałaś, że nasza miłość jest taka miła? - zapytał jej odbicie w szybie. - Tak nisko mnie oceniałaś? Myślałaś, że jestem taki płytki? - Odwrócił się raptownie. - Debbie, to było siedemnaście lat temu. Miałem wtedy dwadzieścia lat.

Byłem młodym nietolerancyjnym aroganckim draniem! Dobry Boże, miło mi myśleć, że

od tamtego czasu się zmieniłem. Przynajmniej wydawało mi się, że się zmieniłem. Myślałem, że jestem rozsądny i że ty widzisz ten rozsądek we mnie.

- Ale kiedy mi powiedziałaś o niej...

- Debbie. - Przeszedł przez pokój, usiadł obok niej. - Sharon i ja byliśmy dwojgiem samolubnych smarkaczy. Jej kłamstwa były haniebne. Miały na celu oszukanie mnie, nawet wyrządzenie mi krzywdy. A ty swoim kłamstwem chciałaś tylko chronić siebie i mnie także. Czy nie widzisz różnicy?

Niemo potrząsnęła głową.

- Boże - powiedział cicho - musisz mnie poznać lepiej, Debbie. Musisz wiedzieć, że za bardzo cię kocham, żeby osądzać cię na podstawie twojej przeszłości. Szkoda, że o wiele dawniej mi się nie zwierzyłaś. Może bym ci pomógł pogodzić się z tym.

- Właśnie staram się z tym pogodzić teraz, Jonathanie. Przyjechałam do Kenii nie tyle do Meme Oczery, ile żeby dowiedzieć się, kim jestem. Czytanie dziennika cioci Grace trochę mi pomogło. Przynajmniej znam teraz historię mojej rodziny. Ale nadal mam to... uczucie braku korzeni. Nie wiem, gdzie moje miejsce.

Przyjrzał się jej, zobaczył w jej oczach uczciwość. Ujął ją za rękę.

- Boże, kocham cię, Debbie - powiedział. - Chcę ci pomóc. Poznałem przez telefon, że coś nie w porządku.

Zaniepokoiłem się. Odwołałem zabiegi, poprosiłem Simonsena o zastępstwo w razie nagłych wypadków. Przez całą drogę tutaj, w tym piekielnym odrzutowcu usiłowałem się domyślić, co zaszło. Bóg świadkiem, nie spodziewałem się tego. Ale przynajmniej nie jest aż tak źle, jak już sobie wyobrażałem.

Debora milczała.

- Jeszcze coś? - zapytał. Przytaknęła.

-Co?

- Kenia, Jonathanie. Doznaję przemożnego uczucia, że mam tu zostać i pomagać. W ciągu tych paru dni widziałam taką biedę, takie choroby, ludzie tu żyją w nieludzkich warunkach. Z wyjątkiem nielicznych, których to obchodzi, takich jak zakonnice w misji -i Christopher, pomyślała, przypominając sobie, jaki on wydawał jej się daremny z tą lekarską torbą wśród tych wszystkich nieszczęść -nikt chyba się nie przejmuje ogólnym cierpieniem w tym kraju. Czuję niewytłumaczalny przymus, Jonathanie, żeby tu zostać, wykorzystywać swoje lekarskie kwalifikacje tutaj, tak jak ciocia Grace.



- Ludzie na całym świecie potrzebują naszej pomocy, Debbie. Nie tylko w Kenii. Co z naszymi pacjentami w San Francisco? Czy im jesteś mniej potrzebna, bo oni są biali i mieszkają w Ameryce?

- Tak - odpowiedziała z powagą. - Bo mają więcej lekarzy, udogodnienia i lepsze warunki.

- I cóż to znaczy dla Bobby'ego Delaneya? Odwróciła wzrok.

Bobby Delaney miał dziewięć lat i walczył o życie w szpitalnym oddziale poparzeń. Psychicznie chora matka z rozmysłem go podpaliła. Debora należała do zespołu zajmujących się nim lekarzy. Z poparzeniami trzeciego stopnia, obejmującymi ponad dziewięćdziesiąt procent powierzchni ciała, i ponadto ciężkim urazem psychicznym, Bobby teraz wytrzymywał niewiarygodny ból, żyjąc w wyjałowionej bańce, gdzie dotykały go ludzkie ręce tylko w gumowych rękawiczkach i pokazywały mu się ludzkie twarze tylko w maskach. Nie wiadomo, dlaczego Bobby wybrał sobie panią doktor Debbie na swoją jedyną przyjaciółkę. Jakże jego oczy w tej biednej oszpeconej twarzyczce patrzyły na nią za każdym razem, gdy wchodziła...

- Wiesz, że on nie chce rozmawiać z nikim poza tobą - powiedział Jonathan. - Wiesz, że on żyje tylko w oczekiwaniu twoich wizyt. Ale są też i inni. Wszyscy twoi pacjenci są warci twojej opieki, Debbie.

- Nie wiem. - Naprawdę nie wiedziała. - Czuję się tak dziwnie, taka jestem niezdecydowana. Gdzie moje miejsce?

- Przy mnie.

- Wierzę w to, Jonathanie. Ale jednocześnie... - Spojrzała w okno na kenijski deszcz. - Tutaj się urodziłam. Czyż nie jestem temu krajowi czegoś winna?

- Posłuchaj, Debbie. Wszyscy mamy dwa życia: jedno, do którego się urodziliśmy, i drugie, które sami sobie wyszukujemy i budujemy. Myślę, że utknęłaś teraz pomiędzy nimi dwoma. Musisz znaleźć wyjście.

- Gdyby ciocia Grace tu była. Porozmawiałabym z nią. Ona by mi pomogła.

- Pozwól, żebym ja ci pomógł, Debbie. Znajdziemy wyjście razem.

- Jak?

- Możemy zacząć od tego, że dasz mi do przeczytania ten dziennik. Wygodnie rozsiedli się na kanapie, Jonathan w jednym końcu

zaczaj czytać w świetle lampy stojącej na stoliku. Debora podciągnęła nogi, oparła się o poduszki w drugim końcu. Ledwie Jona-

than otworzył ten stary dziennik na pierwszej poźółkłej stronicy, Debora zapadła w jakiś dziwny błogostan. Było coś niejasno pocieszającego w tym, że Jonathan czyta słowa jej ciotki. Wsłuchana w szum deszczu, przymknęła oczy.

\* \* \*

Dzwonek telefonu wyrwał ją z głębokiego spokojnego snu. Jonathan odebrał. Kładąc słuchawkę z powrotem na widełki, powiedział:

- To z misji. Meme Oczera się obudziła i prosi ciebie. Debora przeciągnęła się, roztarta sobie zeszywniały kark.

- Która jest godzina?

- Późno już. Przeczytałem ponad połowę. - Jonathan zważył dziennik w ręce. - Właśnie znaleziono hrabiego martwego w samochodzie. Nielicha ta twoja rodzina, Debbie!

Sięgnęła po sweter, który już wysechł przy ogniu.

- Przykro mi, że muszę cię zostawić, Jonathanie - powiedziała.

- Nie przejmuj się. Idź i załatw sprawę z tą staruszką. Ja tu jeszcze będę, kiedy wrócisz. - Uśmiechnął się i podniósł rękę z dziennikiem. - Mam mnóstwo towarzystwa.

Przy drzwiach zatrzymał ją.

- Chcę, żebyś wróciła ze mną, Debbie. Chcę, żebyś znalazła to, czego szukasz tutaj, pogodziła się z tym i położyła przeszłość na wieczny odpoczynek. Debbie, przyszłość należy do nas.

- Tak - szepnęła i pocałowała go.

\* \* \*

Debora nagle sobie uświadomiła, że jest bardzo zdenerwowana. Idąc za pielęgniarzką przez słabo oświetloną salę, czuła, jak serce jej bije szybciej, niepokój wzrasta.

Oczera opierała się na poduszkach tak spiętrzonych, żeby na wpół siedziała. Oddychała z trudem, ciemnopiwne oczy wlepiała w Deborę, siadającą na krześle przy łóżku.

-Ty... - powiedziała głosem jak papierek. - Jest *memseeb*. Przyszłaś.

*Memseeb*? Debora nie słyszała tego słowa od lat, w niepodległej Kenii zostało zakazane. Ale też zauważyła, że znachorka nie zwraca się nim do niej, nie używa go jako formy szacunku. Jaka *memseeb*? - zastanowiła się. - Czy ona mnie bierze za moją matkę?

- Przyszłaś - ciągnął ten bardzo stary głos. - Tyle zniw temu. Ze swoimi wozami i obcymi sposobami.

Moja babcia!

- Byłaś jedyna wśród białych, która rozumiała Dzieci Mambi. Przyniosłaś leki.

Wtedy Debora pojęła: ona myśli, że jestem ciocią Grace.

- Wezwałaś mnie, Meme Oczera - powiedziała łagodnie, przysuwając się bliżej. - Dlaczego?

- Przodkowie...

Oczera mówiła w języku Kikuju. Ze zdumieniem Debora stwierdziła, że rozumie każde słowo i że swobodnie sama mówi w tym języku.

- Co przodkowie, *meme*?

- Będę u nich już niebawem. Wrócę na łono, Pierwszej Matki. Ale pójdę z kłamstwami i klątwą na mojej duszy. Debora zastygła w napięciu. Patrzyła na tę starą ciemną twarz, nadal po stuleciu bez mała rzeźbę znakomitą, ale dziwnie obnażoną, jak gdyby nieuzbrojoną, bo jej zbroją były zawsze przedtem opaski z paciorków na głowie i wielkie pętle kolczyków. Teraz Oczera w zwykłej szpitalnej koszuli leżała pod białymi prześcieradłami, długie żylaste ręce trzymała na jasnoniebieskim kocu. Czy ona wie, zastanowiła się Debora, że wydaje się odarta, pozbawiona autorytetu i władzy.

- Była ta ostatnia dziewczyna - wystękała Oczera. - Wmówiłam jej, że mój wnuk jest jej bratem. To było kłamstwo.

- Wiem o tym - powiedziała Debora łagodnie.

- Tyle grzechów - dalej mówiła z trudem do niej czy do siebie, może nawet nieświadoma jej obecności. - Córka mojego męża zabiła *bu-anę*. Kazałam jej przysiąc, żeby milczała, gdy żona *buany* stała przed radą, która miała postanowić, czy żona *buany* ma żyć czy umrzeć.

Debora w pierwszej chwili nie zrozumiała, potem pojęła, że Oczera mówi o zamordowaniu hrabiego. Przypomniała sobie, że o tym czytała w dzienniku ciotki. Ndžeri, pokojówka Rose.

- Jak? - zapytała. - Meme Oczera, jak Ndžeri zabiła *bu-anę*?

- Słyszała jego kroki, gdy wychodził z dużego domu. Wybiegła z sypialni *memseeb* i poszła za nim. Jego poniosło to zwierzę, które toczy się na kołach. Poniosło do domu ze szkła w puszczy. I Ndžeri widziała, co on zrobił temu obcemu tam. Trzymała się tego zwierzęcia i jechała przez ciemną noc. Okno *buany* było otwarte. Dźgnęła go nożem. To była tylko kara. Ale Ndžeri się przestraszyła. Zastrzeliła go z jego własnej broni.

Debora mogła to sobie wyobrazić: młoda Afrykanka uczeplona samochodu Valentine'a, może skulona na stopniu, czekająca na okazję. Zabiła go, bo bała się o życie swojej *memseeb*.

- Bardzo źle kobiecie umierać z grzechami na duszy - powiedziała Oczero. - Jej duch jest niespokojny, nigdy nie śpi. Nawiedza lasy, mieszka z dzikimi zwierzętami. Ja, Oczero, pragnę spokoju.

Umilkła na długi czas. Oddychała coraz mozolniej, tętno na jej szyi drgało ledwie widoczne. W końcu powiedziała:

- Głosy przodków słabną. Odkąd biały przybył, przodkowie zaczęli odchodzić z Ziemi Kikuju. Żeby ich udobruchać, walczyłam z białymi. Ale teraz, kiedy Ziemię Kikuju dostają z powrotem Dzieci Mambi, przodkowie powrócą.

Zakończyła urywanym głębokim wdechem. Gdy wypuszczała powietrze z płuc, Debora usłyszała dobrze znany grzechot śmierci.

- Już nie ma *tsehy* - powiedziała staruszka - jak przyrzekłam. Ta ziemia znów należy do Afrykanów; biały odszedł. Spojrzała na Deborę i wydawało się po raz pierwszy, że naprawdę ją widzi. Mądre stare oczy nagle stały się bystre, kąciaki ust Oczero nagle uniosły się w przelotnym triumfalnym uśmiechu.

- *Memseeb dektari* - szepnęła. - Zwyciężyłam. I umarła.

Debora pozostała jeszcze przez jakiś czas przy jej łóżku. Przyjechała do Kenii, nienawidząc tej kobiety, czując się wypędzona z Kenii przez nią, a teraz widziała tylko spokojną twarz staruszki, której śmierć symbolizowała koniec pewnej historii.

Potem, wstając, spojrzała na krucyfiks nad łóżkiem Oczero. Jezus na krzyżu, ale Jezus Afrykanin. Zapatrzyła się w tę figurkę. Nigdy takiej nie widziała. Za życia ciotki wszystkie figury przywożono z Europy i były białe. Ten czarny Jezus wydawał jej się niewłaściwością, prawie bluźnierstwem.

A przecież gdy jeszcze raz popatrzyła na ciemną twarz na białej szpitalnej poduszce w tej długiej sali i gdy pomyślała o afrykańskich siostrach w niebieskich habitach, uświadomiła sobie, że w misji teraz nie widziała ani jednej twarzy białej.

Nagle uznała, że ten czarny Jezus jest ostatecznie taki, jaki powinien być.

Deszcz przestał padać, gdy wróciła do swego domku w Outspar. Ku jej zdumieniu Jonathan zbierał się do wyjazdu.

- Simonsen telefonował - powiedział. - Muszę wracać. Organizm Bobby'ego Delaneya odrzuca ostatnią serię przeszczepów. Wywiązało się gwałtowne zakażenie, stan jest krytyczny. Jadę do Nairobi, załatwię miejsca w pierwszym możliwym samolocie.

Chcę, żebyś wróciła ze mną, Debbie. Będę czekał na ciebie na lotnisku.

Pocałował ją.

- Mówiłaś, że żałujesz, że nie możesz porozmawiać z ciotką. Otwórz dziennik tam, gdzie założyłem. To mogłoby ci pomóc. Kocham cię, Debbie, będę czekał.

Jonathan wyjechał. Debora usiadła na kanapie i wzięła dziennik. Zaznaczył, pomyślała, fragment raczej nieważny. Pod datą w roku 1920 Grace pisała o liście, który dostała od swojego brata Harolda z Bella Hill. Ale czytając ten fragment teraz uważniej i z innym nastawieniem niż za pierwszym razem, Debora zrozumiała, co Jonathan miał na myśli. Wytwornym, nieomal jak drukowanym, pismem ciocia Grace zanotowała:

*Jeszcze jeden list od Harolda. On wciąż uparcie jest przeświadczony, że nie możemy być szczęśliwi tutaj w Brytyjskiej Afryce Wschodniej, więc powinniśmy szybko wrócić do Suffolk. Wysuwa ten sam stary sfatygowany argument, którym usiłował mi wyperswadować wyjazd. Suffolk to twój dom - powtarza jak papuga, tutaj jest twoje miejsce. Tutaj, gdzie są twoi rodacy, a nie wśród obcych, którzy tylko uważają cię za intruza. Oni nie znają twego sposobu życia. Oni ciebie nie rozumieją.*

Debora podniosła wzrok znad dziennika i popatrzyła na mglisty błękitny świt przedzierający się przez las. Te słowa wydawały się tak dobrze znane! Gdzie ja kiedyś już je słyszałam?

Po chwili przypomniała sobie. Christopher piętnaście lat temu, Stojąc na brzegu rzeki, powiedział. „Zawsze pamiętaj, że Kenia to twój dom. Tutaj jest twoje miejsce. Tam na świecie... będziesz ciekawostką, będziesz źle rozumiana... Przyrzeknij mi, że wrócisz”.

Spuściła wzrok znowu na dziennik.

*Napisałam do Harolda, żeby raz na zawsze przestał poruszać ten temat. Wybrałam sobie Brytyjską Afrykę Wschodnią na mój dom. Takiego dokonałam wyboru. Gdyby historię zaludniali podobni do Harolda, gdzie byśmy dzisiaj byli? Gdyby nikt nigdy nie poszedł za głosem ducha, nie zapuszczał się w nieznane krainy, jakim nudnym miejscem byłby ten nasz świat! W naturze ludzkiej leży ruch naprzód, eksperymentowanie, zastanawianie się, co jest za horyzontem. Gdy wybije moja godzina, modłę się, żebym nie była tak skostniała jak ten mój brat i żebym miała odwagę powiedzieć ja-*

*kiejś przyszłej latorośli Trevertonów: szukaj swojego przeznaczenia tam, dokąd prowadzi cię twoje serce. Zawsze miej w serdeczną/ pamięci miejsce twojego urodzenia, ale tak jak dziecko musi odejść od matki, pójdź własną drogą.*

Debora kazała Abdiemu czekać przy bramie. Najpierw poszła na grób Grace Treverton przy spizowym pomniku za węglem misyjnego kościoła. Zobaczyła na tym małym spłachetku dowód czulej troskliwości: zakonnice dbały o trawniczek i kwiaty. Nagrobek cechowała prostota: DR GRACE TREVERTON ś.p. 1890-1973, ale ten pomnik zarówno przynosił chlubę artyście, który go stworzył, jak był hołdem złożonym kobiecie przedstawionej tak żywo. Debora uważnie przyjrzała się postaci na piedestale. Grace stała w długiej staromodnej spódnicy, w bucikach zapinanych wysoko na guziczki, miała bluzkę z długimi rękawami i przy kołnierzyku broszkę, była, co dziwne, z gołą głową, hełm tropikalny trzymała w jednej ręce, w drugiej stetoskop. I wielmiście patrzyła na górę Kenya. Na moment Debora zadumała się w spokoju cmentarza. Potem poszła do Domu Łaski.

- Liczyłam na to, że znów panią zobaczę - powiedziała matka przełożona, witając ją w tym małym muzeum. - Chciałam pani podziękować za odwiedzenie Oczery w ostatnich chwilach jej życia. Zawiadomiłam już doktora Madengeja, że umarła.

Debora wyjaśniła powód swojej porannej wizyty.

- Zdecydowałam się. Chcę podziękować za wspaniałomyślną propozycję i jednak zabrać coś z pamiątek po mojej ciotce.'

- Bardzo proszę. Co by pani chciała? Debora podeszła do gabloty.

- Ten naszyjnik. Nie należał do niej. Był własnością mojej matki. Dostała go od kogoś bardzo jej drogiego przed wieloma laty.

- Piękny - powiedziała zakonnica, otwierając gablotę i wyciągając naszyjnik. - Etiopski, prawda?

- Ugandyjski. Napiszę do matki, zawiadomię, że go mam. Przy drzwiach, gdy już się żegnały, zakonnica zawahała się.

- Nie wiem, pani doktor, czy mogę zadać jedno pytanie.

- Oczywiście. Proszę pytać o wszystko, co tylko wielebna matka chce wiedzieć.

- Widzi pani, nie byłam pewna, czy słusznie napisałam do pani. Oderwałam panią od pracy i sprowadziłam tu z tak daleka. Czy to o panią Oczera prosiła?

Debora po namyśle uśmiechnęła się i odpowiedziała: - Tak, o mnie.

Kazała Abdiemu jechać do Ongata Rongai i teraz zaparkowali w tym samym miejscu, co przedtem, w sporej odległości od budynku z płyt żużlowych, filii Kliniki Wangari. Duży tłum już czekał cierpliwie, gdy przyjezdny lekarz z pomocą pielęgniarki przyjmował jedną osobę po drugiej, a ten młody człowiek grał na gitarze i śpiewał pieśni Suahili do Boga.

Debora wysiadła z peugeota, ale nie odeszła. Stojąc przy samochodzie, patrzyła na Christophera.

Było chłodno, dmuchał wiatr. Kolorowe *kenge*, wiszące na sznurze na małym targowisku, trzepotały jak jaskrawe chorągwie. Zapach dymu łączył się z zapachem kóz, gotowania i zwierzęcego łajna. Tak pachnie, pomyślała Debora, Kenia.

Patrzyła, jak Christopher bierze od matek niemowlęta, bada je i zwraca z surowymi zaleceniami. Patrzyła, jak on zagląda starym ludziom w usta i uszy, jak przyciska stetoskop do ich wychudzonych piersi. Chwilami się uśmiechał, chwilami marszczył brwi, ale zawsze zachowywał pełną godności postawę stanowczego lekarza, która budziła w jego pacjentach zbożny lęk; ładna pielęgniarka u jego boku, najwidoczniej dobrze współpracująca, od czasu do czasu śmiała się razem z nim i dziećmi. Oboje modlili się z ludźmi i nierzadko wymieniali szczególne spojrzenia.

Przypomniało się Deborze to, co złowieszczo powiedział Terry Donald: koniec z białymi w Kenii. Przypomniała sobie przedśmiertną wypowiedź Meme Oczery. Ujrzała znów czarnego Jezusa na krzyżu. Ale wiedziała, że ślady pionierów kolonialnych, takich jak jej dziadek, nigdy nie dadzą się całkowicie usunąć z Afryki Wschodniej, ręka białego pozostawiła znak nie do zatarcia.

Bo to było wśród tego tłumu szukającego nadziei, to było w osobie doktora Christophera Madengeja, właśnie on był prawdziwą, trwałą spuścizną po Grace Treverton.

*Kua heri.* - Wargi Debory poruszyły się bezgłośnie, żegnając Kenię.

Wsiadła do samochodu.

- Proszę teraz na lotnisko Jomo Kenyaty. Wracam do domu.

*Spis treści*

<i>Część pierwsza - Rok 1919</i> .....	15
<i>Część druga - Rok 1920</i> .....	141
<i>Część trzecia - Rok 1929</i> .....	197
<i>Część czwarta - Rok 1937</i> .....	259
<i>Część piąta - Rok 1944</i> .....	321
<i>Część szósta - Rok 1952</i> .....	411
<i>Część siódma - Rok 1963</i> .....	499
<i>Część ósma - Rok 1973</i> .....	539
<i>Część dziewiąta - Teraźniejszość</i> .....	593